

# CHRISTOPHER WHITCOMB

Czarne

przełożyła Joanna Przyjemska

Tytuł oryginału Black

Mickowi i Jackowi j

Tyle na temat podróży

Spis treści

Faza I .....	19
Rozdział I.....	21
Rozdział II .....	42
Rozdział III.....	58
Rozdział IV .....	80
Rozdział V.....	102
Rozdział VI .....	120
Faza II .....	141
Rozdział VII.....	143
Rozdział VIII.....	157
Rozdział IX .....	172
Rozdział X.....	186
Rozdział XI .....	200
Rozdział XII.....	215
Rozdział XIII.....	228
8	
Rozdział XIV .....	241
Rozdział XV.....	256
Faza III .....	275
Rozdział XVI .....	277
Rozdział XVII.....	293
Rozdział XVIII .....	308
Rozdział XIX .....	321

Rozdział XX.....	332
Rozdział XXI .....	345
Rozdział XXII.....	356
Faza IV.....	373
Rozdział XXIII .....	375
O Autorze .....	376

## Prolog

### Dzień Prezydenta

GDY JEREMY WALLER wszedł do cichej, niemal pustej hali dworcowej Union Station w Waszyngtonie, zegar na peronie wskazywał 23.37. Za nim podążało bez słowa trzynastu zmęczonych pasażerów. Żaden z nich nie niósł walizki, gazety ani książki, ale wszyscy mieli krótko przystrzyżone włosy, byli ubrani po cywilnemu i starali się ukryć podszyte wściekłością napięcie charakterystyczne u ludzi, którzy szykują się do wykonania jakiegoś zadania.

Waller naciągnął na głowę kaptur od bluzy i wsadził ręce do kieszeni, równocześnie rozglądając się cały czas na lewo i prawo, czy nikt go nie śledzi. Zauważył, że przy kontuarze punktu informacyjnego konduktor będący już po służbie flirtuje z jakąś kobietą, a grupa Europejczyków z plecakami śpi na krzesłach nieopodal wyjścia D, ale nic nie wzbudzało podejrzeń.

Odetchnij głęboko i nie daj się wyprzedzić - powiedział do siebie i zwołał kroku. Głód skręcał mu żołądek, a brak snu mącił ostrość myślenia, ale nie było powodu, aby się spieszyć. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że tej nocy ważniejsza będzie ostrożność niż pośpiech.

W połowie hali dworcowej Jeremy przystanął przy sklepie z upominkami, udając zainteresowanie wystawą, na której królowały przyciski do papieru w kształcie Białego Domu oraz bawełniane koszulki z napisem CIA. Poczekał cierpliwie, aż minie go ostatni z maruderów, a ich sylwetki rozmyją się w barwnych szybach wystawowych. Dziś w nocy Jeremy został wysłany sam, miał działać niezależnie od swej świetnie zgranej brygady.

Dobrze - pomyślał sobie. Ci, którzy go wysłali, nie tolerowali pomyłek. Sukces zależał od dbałości o szczegóły, kreatywności i pomysłowości, trzech cech, którym nigdy nie ufał u innych.

Upewniwszy się, że nikogo już nie ma, Jeremy skierował się ku historycznemu głównemu wejściu i przechodząc pod wielkim, ukrytym w cieniu portykiem, wyostał się na zewnątrz. Nocne powietrze pluło czymś, co bardziej przypominało śnieg niż deszcz i przenikało zimnem jego potężną postać. Przy wzroście metr osiemdziesiąt ważył osiemdziesiąt cztery kilogramy, ale był wysportowany i muskularny. Brak tkanki tłuszczowej stanowił jednak w tym przypadku minus, gdyż pozbawiał jego ciało wszelkiej osłony przed zimnem. Nie pomagał też fakt, że ileś dni spędził bez snu i jedzenia, co odebrało mu jasność myślenia i utrudniało zapamiętanie zadania.

Jeremy stanął w ciemnym kącie, usiłując ukryć się i spokojnie rozejrzeć. Parking wyglądał na opustoszały z wyjątkiem kręgu przemoczonych flag zwieszających się bez życia i przypadkowego żebraka wlokącego się w poszukiwaniu ciepła. Na lewo dwaj policjanci siedzieli w radiowozie i pili kawę. Kierowca taksówki wyciągnął się na siedzeniu i rozwiązywał krzyżówkę. Kongres miał akurat zimową przerwę, a prezydent bawił w Teksasie, toteż miasto wydawało się wymarłe.

Podróżny zabijał ręce i tupał w miejscu, próbując na tyle opanować spowodowane zimnem drżenie, aby móc skoncentrować się na swoim zadaniu. Miał ponad godzinę na przejechanie z Union Station do ambasady Egiptu. Trochę po pierwszej w nocy szary jak dym cadillac STS z waszyngtońskimi numerami rejestracyjnymi miał podjechać pod bramę ambasady i zamrużyć światłami. Do Jeremy'ego należało jedynie zapamiętać numery na tablicy rejestracyjnej, zanotować odpowiedź służb bezpieczeństwa ambasady, a następnie niezauważony wrócić na stację.

Proste - pomyślał sobie, zacierając zziębnięte ręce. Proste, tyle że nie miał nic, co pozwoliłoby mu na wykonanie tego zadania: ani pieniędzy, ani mapy, ani samochodu. Oprócz PIN-u karty telefonicznej, który zapamiętał, i obrączki zabrano mu wszystko, co mogłoby świadczyć o jego tożsamości.

- To jest pojedyncze zadanie o nieokreślonym czasie trwania - poinstruował go koordynator. Masz niepostrzeżenie podejść do stanowiska obserwacyjnego i zebrać ważne informacje potrzebne wywiadowi, ale nie wolno ci się ujawnić. Pod żadnym pozorem nie waż się wyjawić swojej tożsamości nikomu poza agentami HRT. Rozkazy nadeszły, ale nie zawierały żadnych ustaleń co do kierunku, w jakim

znajdował się cel, jego adresu lub rozpoznania drogi dotarcia. Jeremy'ego to nie dziwiło. To przecież była rekrutacja do Hostage

11

Rescue Team, jednostki antyterrorystycznej, która co roku dobierała do swoich szeregów tylko garstkę nowych operatorów. Jeremy całe życie czekał na noc taką jak ta.

- Trzy tysiące pięćset dwadzieścia jeden International Court - wyszeptał pod nosem. Przeszł z nogi na nogę, usiłując nie zamarznąć. Rozejrzał się wokoło, szukając swoich sędziów. Ci z HRT jeździli samochodami terenowymi - wielkimi suburbanami, explorerami i da-kotami. Jeśli nawet gdzieś tam byli, to nie zdołał ich dostrzec.

- Trzy tysiące pięćset dwadzieścia jeden.

Mamrotał pod nosem adres, który uzyskał, dzwoniąc do informacji z automatu telefonicznego znajdującego się w pociągu. W normalnych warunkach zapamiętanie numeru ulicy byłoby łatwe, ale fizyczne wyczerpanie stanowiło barierę nawet dla najprostszych operacji i myślowych. Każdy dzień prób w HRT zaczynał się grubo przed świtem, a kończył długo po zapadnięciu zmroku i składał się z niemających końca dziesięciomilowych maratonów, kursów pokonywania przeszkód pod dużym kątem i walką pełnego kontaktu. Co noc jakiś bezimienny pracownik operacyjny budził wybrańców wybuchem granatu albo rykiem syren. W mgnieniu oka znajdowali się w sytuacji autentycznej wymiany ognia w domku z opon, który HRT nazywało domem śmierci. A gdy nastawał świt, znów grzęzli w błocie, testując własną zdolność do przeżycia.

Połowa wybrańców już odpadła albo doznała kontuzji, a ci, którzy zostali, nie wiedzieli nawet, jak się nazywają.

Jeremy poczekał u wylotu bramy, aż czarny town car podjedzie do zakrętu, i podbiegł do samochodu, trzymając nad głową złożoną gazetę. Ambasada Egiptu była gdzieś tam, ukryta w deszczu - w lepszą pogodę byłby to mozolny sześciomilowy marsz, ale Jeremy nie miał chęci na przechadzkę. Wyziębienie się w taką pogodę byłoby czystą głupotą. HRT potrzebowało ludzi, którzy potrafią myśleć, i tylko tacy tam trafiali.

Biegając, Waller aż się uśmiechnął, zadowolony ze swego sprytu. Ze znajdującego

się w pociągu automatu telefonicznego zadzwonił do domu do żony, Caroline, prosząc, by zatelefonowała do firmy wynajmującej limuzyny i zamówiła samochód. Rozwiązanie wydawało się tak proste, że zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył.

Jeremy dobiegł do drzwi samochodu akurat w momencie, w którym kierowca je otworzył.

- Dobry wieczór panu. - Dochodziła północ, ale pakistański kierowca był dziwnie ożywiony.

12

- Północno-zachodnia część miasta, International Court trzy tysiące pięćset dwadzieścia jeden. Spiesz mi się - powiedział Jeremy, gdy już wsiadł do samochodu.

Kierowca skinął głową, wyczuwając z tonu Jeremy'ego, że ten pasażer nie życzy sobie żadnych pogaduszek. Prawdopodobnie wydało mu się dziwne, że mężczyzna nie miał żadnej walizki i w tak okropną pogodę był lekko ubrany, ale otrzymał zapłatę z góry i był zadowolony, że nie musi wysiadać i otwierać bagażnika. To był po prostu kolejny pasażer, a więc i zarobek, w tę obrzydliwą noc.

Kierowca spojrział w tylne lusterko i ruszył z Columbus Circle, a siedzący na tylnym siedzeniu Jeremy próbował się rozgrzać. Samochód prezentował się całkiem nieźle, jak na swój przebieg. Szklane kubki na ciemnoczerwonych serwetkach, odświeżacz powietrza o orzeźwiająjącym zapachu, z głośników cichutko sączyła się muzyka Johna Coltrane'a. Caroline nie złożyła żadnego nadzwyczajnego zamówienia, a w Waszyngtonie aż roiło się od czarnych cadillaków town car z przyciemnionymi szybami. Prezentowały się skromnie i były tak popularne, jak ubrania firmy Joseph Bank.

Waller osunął się na skórzane siedzenie i zamknął oczy. Tylko chwilka odpoczynku - pomyślał. Pięć minut snu dla trzydziestego jedno-letniego agenta FBI będącego z dala od domu. Jasne, że go śledzili, dziwiąc się, co też on, do cholery, robi, ale teraz to nieważne. Nic nie zobaczą przez przyciemnione okna, zanim się zorientują, on już będzie siedzieć sobie bezpiecznie w pociągu i wracać do Quantico.

!,-' |• ||| \* |||:•||| :,,

- PROSZĘ PANA, dojechaliśmy - usłyszał po jakimś czasie głos kierowcy. Mały mężczyzna uśmiechał się, wskazując imponujący, kamienny budynek.

Jeremy usiadł, podniósł położone oparcie swojego siedzenia i przetarł oczy, przeklinając siebie za to, że zasnął.

- Życzy pan sobie, abym podjechał pod bramę? - spytał kierowca.

- Nie, nie, zaparkuj tutaj - odparł Jeremy, wskazując miejsce po przeciwnej stronie ulicy. HRT nie życzyłoby sobie, aby z powodu tych ćwiczeń wzniecać alarm na światową skalę. Przejeżdżający jak gdyby nigdy nic cadillac zatrzyma się tylko na chwilę, a on już postara się zrealizować swoje zadanie.

13

W porannej mgielce ambasada wyglądała przerażająco spokojnie. Wysoka brama otworzyła się do wewnątrz i w budce wartowniczej widać było dwóch znudzonych strażników w mundurach, wpatrujących się w monitor. Na lewo i prawo od bramy biegł wysoki na dwa i pół metra mur i znikał wśród drzew, które zasłaniały Jeremy'emu widok na boki i tył budynku. Jeremy zaczął rysować na kartce, zaznaczając strzałkami miejsca, w których umieszczone były kamery i inne zabezpieczenia - punkty odniesienia dla wartowników.

- Ten samochód za nami. Czy to ktoś, kogo pan zna? - spytał po kilku minutach kierowca.

Jeremy spojrzął przez ramię i zauważył, że samochód zwolnił i podjechał do krawężnika. Przez strugi deszczu widać było tylko przednie reflektory, które dwukrotnie zapaliły się i zgasły. To musiał być znak.

- Sądzę, że dają nam sygnał. Czy mam się cofnąć? Samochód zatrzymał się dwadzieścia metrów za nimi, zbyt daleko, aby Jeremy mógł określić jego kolor i markę.

- Nie, stój tu, aż... - Przechylił się przez oparcie, uważając, aby nie pokazać twarzy w okienku, i obserwował, jak szary cadillac STS przyspieszył, mijając ich niemal na wyciągnięcie ręki.

JNG 455 - numery na tablicy rejestracyjnej zamigotały jak neon.

Jeremy zapisał je na kartce, podczas gdy tylne światła samochodu sunęły w kierunku Massachusetts Avenue, aż znikły. Jeremy obejrzał się w kierunku ambasady, aby zobaczyć, czy coś się tam dzieje, ale panował kompletny spokój.

Żadnych świateł, strażnicy niczego nie zauważyli.

W porządku, chłopie - powiedział do siebie, czując, że wypełnił zadanie.

- Jedziemy z powrotem na stację. - Nie musiał niczego wyjaśniać, kierowca miał płacone za jazdę, a nie za zadawanie pytań.

Jeremy opadł na luksusowe siedzenie samochodu i uśmiechnął się szeroko. Wreszcie mógł zasnąć: piętnaście minut w samochodzie, potem jeszcze godzina drogi powrotnej do Quantico - może uda się trochę pospać przed świtem. Fala napięcia odpływała, jakby ktoś rozprostował w jego ciele gigantyczną sprężynę.

Kierowca zapalił silnik samochodu, a wraz z nim dwa wielkie snopy światła reflektorów przedarły się przez mżawkę, wywołując wrażenie, podobne do tego, jakie sprawia nagłe zapalenie świateł po

14

przedstawieniu. Jeremy właśnie miał się nachylić ku kierowcy i poprosić go o nastawienie jakiejś innej muzyki, gdy jego oczy rozwarły się ze zdumienia.

Przed reflektorami stanął wielki, kanciasty mężczyzna, który pochylony trzymał przed sobą kałasznikowa 74.

Kierowca krzyknął, otworzył drzwi i dosłownie wykatapultował się na zewnątrz.

Co za cholera? - zdziwił się Jeremy. Instynktownie sięgnął do prawego boku, ale uświadomił sobie, że w jednostce, zanim wybrano go do tej akcji, zabrano mu jego glocka 23. Błysk lampy sprawił, że odwracając się, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku ambasady, ale było już za późno. Obydwoje tylnych drzwi samochodu otworzyły się, a z ciemności wyłoniły się lufy karabinów.

- Nie ruszaj się, ty dupku! - ktoś krzyknął i Jeremy poczuł siedem centymetrów od czubka swego nosa zimną, stalową lufę dziewięciomilimetrowego karabinu uzi. Potem wypadki potoczyły się tak szybko, że jego pozbawiony snu umysł ledwie mógł za ich przebiegiem nadążyć. Ktoś chwycił go z tyłu i wcisnął mu twarz w siedzenie samochodu, a wprawne dłonie wykręciły mu ręce do tyłu, zakładając na przeguby stalowe kajdanki, o wiele powyżej przegubów. Musiały już to robić nie raz.

Mężczyzna z uzi kazał Jeremy'emu położyć się na podłodze w samochodzie, podczas gdy jego towarzysz skręcił kajdanki, używając potwornie bólowego ucisku na kość do poderwania Jeremy'ego. Jeden z mężczyzn postawił obutą w ciężki but nogę na

piersi Jeremy'ego, a drugi wcisnął mu w skroń lufę karabinu. Samochód ruszył pędem. Światła znikły. Jeremy czuł ostre klucie hipotermii. Porywacze gdzieś go zabierali.

,-, \*

- JAK SIĘ NAZYWASZ?

Jeremy obudził się, czując się jak w narkotycznym otumanieniu, i zamrugał oczami, próbując przywyknąć do otaczającego go jaskrawego światła. W pomieszczeniu o ścianach z żużlobetonowych bloków o pomalowanych na ciemno krawędziach nie było żadnych okien, i tylko jedne drzwi. Po cementowej podłodze płynęła woda, a on sam siedział na stalowym krześle, takim, jakie widywał w biurach w budynkach

15 rządowych. To jego było tak krzywe, że musiał cały czas utrzymywać równowagę, aby nie upaść do tyłu.

Gdyby nie ból, to pomyślałby, że to halucynacje wywołane przez narkotyki. Ręce zdrewniały mu z powodu braku krążenia, skrępowane ramiona bolały, a na języku czuł nikły, metaliczny smak krwi. Pamiętał, jak w ósmej klasie ten debil Roger Glover walił go pięścią. Te dzisiejsze uderzenia były sprytniej wymierzone - dostatecznie ostre, by przeciąć ciało, ale nie wybić zębów.

- Jak się nazywasz?

Głos dochodził do Jeremy'ego jakby z tunelu, był odległy i monotony. Głowa opadła mu na piersi, ale ktoś puścił na niego strumień tak lodowatej wody, że aż zeszywniały mu plecy. Płynęła z ogrodowego węża, który wślizgnął się przez drzwi. Na podłodze wałały się strzępy koszuli Jeremy'ego.

Co za cholera? - dziwił się Jeremy. Wzbierający w nim gniew zaczynał brać górę nad strachem i bólem oraz kompletną niemożnością zrozumienia, co się naprawdę stało.

- Jak się nazywasz?

Przed oczami ujrzał twarz Caroline. Znów dosięgnął go strumień lodowatej wody. A teraz buzie dzieci: Maddy, Chrisa, Patricka. Trząśnięcie z zimna.

Chlast! Otrzymał jeszcze jedno ciężkie i tępe uderzenie w twarz.

Opuścił głowę, a śluz z nosa wyciekał mu na pierś. Zaczęło mu się robić niedobrze, ale nie mógł zwymiotować, ponieważ miał pusty żołądek. Czuł, że



nabrzmiwiają mu oczy oraz że grudka zakrzepłej krwi, która wypłynęła mu z ust i przywarła do dolnej spuchniętej wargi, teraz oderwała się i spadła.

Kim oni są? - zastanawiał się, kiedy już zamroczenie minęło na tyle, że odzyskał jasność myślenia. Egipcjanami? Dlaczegoż do cholery mieliby się interesować facetem w wynajętym samochodzie? A może Amerykanami? Kim? Na pewno nie z FBI. Oni nie stosowaliby takich metod.

Zaraz, chwileczkę - nagle przyszło Jeremy'emu do głowy, że nie ma przy sobie żadnego dokumentu, odznaki, niczego, co mogłoby potwierdzić jego tożsamość. A może oni nie wiedzą, kim on jest. Ta myśl sprawiła, że Jeremy otworzył oczy i podniósł głowę. Ci ludzie po prostu straszliwie się pomylili.

- Czekaście... -jego głos wydawał się słabnąć - czekaście. Nazywam się...

16

Ale słowa uwięzły mu w gardle. Być może przyczyną tego było konwulsyjne drżenie spowodowane polewaniem go lodowatą wodą, albo to, że język zakleszczył się mu pomiędzy rozciętymi wargami. W jego wciąż niepotrafiącym otrząsnąć się ze zdumienia umyśle coś jednak na czas powstrzymało go przed ujawnieniem, kim jest. Może o to właśnie im chodzi, aby przyznał się, że jest...

Zzziiiiiiiiiii!

Dźwięk o wysokiej częstotliwości uderzył wprost w jego krzesło. Brzmiał mu wściekle w uszach, głośny jak granaty oślepiająco-ogłuszające, których używało HRT, bezustanny niczym borowanie zęba, falując i piekąc w czaszce. Jeremy potrząsał głową, próbując się od niego uwolnić, ale on przyczepił się już chyba na zawsze.

- Jak się nazywasz - wrzasnął mu ktoś prosto w twarz.

Boże, co się dzieje? - Jeremy już niemal odchodził od zmysłów.

- Nie chce gadać. Poczęstujmy go wodą - usłyszał jakiś głos mówiący z bostońskim akcentem.

Potem było zamieszanie, następnie czyjeś ręce, stół i oto Jeremy leżał na nim na plecach z głową zwisającą poza krawędź, trzymany przez dwóch mężczyzn, podczas gdy trzeci mocował mu na czole gruby skórzany pas. Zacisnęli go mocno, odchylając głowę do tyłu, niemal prostopadle do tułowia.

- Pytam po raz ostatni. Kim jesteś?

Podczas gdy rozbiegane spojrzenie Jeremy'ego błędziło do tyłu i do przodu w poszukiwaniu skrawka informacji, z pokoju obok wyłoniła się jakaś niska, ciemna sylwetka. Ten mężczyzna podszedł do Jeremy'ego z prawej strony i postął nad nim przez chwilę. Był ubrany w zielony T-shirt i miał długie włosy. Jego oczy przeniknęły przez wyczerpanie, ból oraz strach, które odczuwał Jeremy, i dotarły do miejsca przeznaczonego wyłącznie dla koszmarów.

- Nazywam się George - powiedział przymilnie. - Chciałbym wiedzieć, jak ty masz na imię.

Jeremy chciał krzyknąć, ale skórzany pas tak naprężył mu szyję, że niemal uniemożliwił mówienie. Jeremy nie mógł się ruszać i wydawał tylko niezrozumiałe pomruki. Nikt się nie odzywał.

W pomieszczeniu było tak cicho, że Jeremy słyszał szum wody dobywającej się ze szlauchu i spływającej do otworu w podłodze.

Ciemnoskóry mężczyzna zakrył Jeremy'emu oczy ręcznikiem i światło w pokoju stało się nieokreśloną, szarą przesłoną. Jeremy

17

czekał na ból, naprężony jak dziecko na fotelu dentystycznym, ale żadne uderzenia nie następowały.

Ktoś przycisnął mu do twarzy szmatę, a ktoś inny wlał do gardła jakiś płyn.

Jeremy zaczął się krztusić, kompletnie zszokowany tym, co się stało. Płyn wybuchł mu w nozdrzach, podczas gdy on bronił się przed nim, wierzgając, pochylając się, bezradnie wciągając go do tchawicy i do piekących jak ogień płuc. Drgawki zaczęły wstrząsać jego ciałem, a ono samo dosłownie pękało w miejscach, w których ścisnęły go więzy, podczas gdy płyn rozlewał się po płucach hamując dopływ powietrza, tłumiąc głosy, wszelkie dźwięki i światło.

Gdy tak się krztusił w agonii, przed oczami przemknęły mu twarze jego bliskich i nagle przypomniały się- dziwne rzeczy: schodzący ze schodów Slinky, zapach kapryfolium, płatki kukurydziane, które jadł na śniadanie...

Cały pokój zalśnił stalową bielą, a potem zniknął w czerni.

•

OBUDZIWSZY SIĘ, JEREMY zobaczył, że jest kompletnie ubrany, umyty i nie krępują go żadne więzy. Siedział w miękkim krześle, takim, jakie spotyka się w salonach

fryzjerskich, a ręce zwisały mu po bokach. Pośrodku pokoju z sufitu zwieszał się zyrandol w stylu art deco, napełniając całą przestrzeń ciepłym, rozproszonym światłem. Obok fotela znajdował się telewizor - był włączony i akurat Pat Sajak przedstawiał nowego zawodnika Koła Fortuny. Pochodził z Ojai.

Jeremy rozejrzał się, próbując przypomnieć sobie, co mu się przydarzyło. Ściany pokoju pokryte były brokatowym materiałem i aż do samego sufitu ozdobione gipsowymi stiukami w kształcie litery S oraz odlanymi w brązie łbami. Chyba jakiś hotel - pomyślał Jeremy. -1 to kosztowny.

Nieco bliżej niego siedmiu z trzynastu wybranych do akcji w Waszyngtonie członków jednostki antyterrorystycznej siedziało cicho na kanapach i wygodnych krzesłach, gapiąc się bezmyślnie w podłogę. Wyglądali na złamanych i wypranych z osobowości i ambicji. Dwaj inni mężczyźni stali nieopodal drzwi: był to pakistański kierowca Jere-my'ego i człowiek z kałasznikowem.

Jeremy obliznął wewnętrzną stronę spuchniętej wargi, aby upewnić się, że jego umysł nie płata mu jakichś figli. Instykt podpowiadał mu,

18

żeby natychmiast zerwać się i uciekać, lecz coś w wyglądzie jego towarzyszy z jednostki sprawiało, że nie mógł nawet drgnąć. Zdawało się, że żaden z nich nie zamierza się ruszyć. A może wiedzieli o czymś, o czym on nie miał pojęcia.

- No, daj to „R” - powiedział jeden z antyterrorystów, gapiąc się w telewizor.

Vanna podeszła, by przekręcić kostkę z literą.

Pakistański kierowca cmoknął.

- Uwielbiają to pieprzone „R”, no nie? - powiedział nie wiadomo do kogo.

Nagle do pokoju weszło dwóch kierowników z HRT. Zamienili kilka słów z mężczyznami pilnującymi drzwi, a potem koordynator akcji, tęgi mężczyzna o imieniu Quinn stanął na środku pokoju. Odezwał się łagodnie, jak gdyby patrzące na niego twarze były tylko meblami.

- Kolejna akcja będzie pojedynczym zdarzeniem o nieokreślonym czasie trwania - oznajmił. - Wasz kolejny cel to...

Już myślałeś, że udowodniłeś, kim jesteś, ale jak widać to nigdy nie nastąpi.

Faza I

Alicja zerwała się, bo błysnęła jej myśl, że nigdy jeszcze nie widziała królika,

który by miał kieszeń w kamizelce albo zegarek, żeby go z niej mógł wyjąć, więc, paląc się z ciekawości, pobiegła za nim przez pole, w samą porę, aby jeszcze zobaczyć, że smyrgnął do wielkiej nory króliczej pod żywoplotem.

Jeszcze chwilka i Alicja wskoczyła za nim, nie zastanawiając się w ogóle, jakim cudem zdoła się stamtąd wydostać.

Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów Przeł. Robert Stiller

> fi '-

Rozdział I

Cztery miesiące później i •>|, ""|%

- KOMISJA ROZPOCZYNA OBRADY.

Elizabeth Beechum, senator Stanów Zjednoczonych z ramienia Partii Demokratycznej ze stanu Południowa Karolina, uderzyła drewnianym młotkiem i rozejrzała się po S-407, pokoju przesłuchań w gmachu Kapitolu, zarezerwowanym na ściśle tajne konferencje. Tego ranka był on cichy jak zawsze, bez reporterów, kamer i ciekawskich turystów, widoku tak typowego dla innych sal Kongresu.

- Dzień dobry, panowie - powiedziała pani senator, zauważając równocześnie, że wśród dwudziestu kilku osób znajdujących się w tym pokoju była znowu jedyną kobietą. Typowe - pomyślała sobie. W ciągu dwudziestu trzech lat, które spędziła w Waszyngtonie, zauważyła postęp, ale Kongres Stanów Zjednoczonych wciąż pozostawał najpotężniejszym na świecie męskim klubem. Fakt, że zdominowany przez republikanów Senat po raz trzeci z rzędu wybrał ją na przewodniczącą tej komisji - tworząc precedens i odstępstwo od zasady, że to stanowisko powinna piastować osoba z partii, która uzyskała większość w Senacie - miał tu niewiele wspólnego z płcią. Elizabeth Beechum była wytrawnym profesjonalistą w świecie, który posługiwał się swoim własnym językiem, niechętnie wyjawiał tajemnice i wymagał bezkompromisowego posłuszeństwa zasadom. Nawet republikanie wiedzieli, że senator Beechum jest im potrzebna.

- Zanim rozpoczniemy, chciałabym przypomnieć, że jest to posiedzenie Specjalnej Komisji Senackiej do spraw Wywiadu. - Czterokrotnie wybierana pani senator mówiła głośno, z wyrafinowanym południowym akcentem. - Dzisiejsze posiedzenie to zamknięte przesłuchanie poświęcone sprawom technologii. Wszystkie protokoły, rozmowy i przebieg posiedzenia są ściśle tajne.

Beechum przeczytała datę, godzinę oraz znajdujące się na liście nazwiska siedzących przed nią świadków. Dwaj byli z CIA, a potem po jednym z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Agencji Wywiadu Wojskowego, z FBI i z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Pani senator wyczytała nazwiska szybko, jak wychowawca sprawdzający listę obecności. Robiła to machinalnie, po prostu administracyjny wymóg szybkości, z którym miała już do czynienia ponad tysiąc razy.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - dodała Beechum nieco w roztargnieniu.

Właśnie spojrzała na poranne wydanie „Washington Post”, leżące naprzeciw jej kolan na stojaku do gazet, gdy sześciu spóźnionych członków komisji sadowiło się na swoich miejscach.

OSTRE STARCIE BEECHUM I VENABLE'A, głosił tytuł na samej górze strony. Pomimo wysiłków Partii Demokratycznej, aby do końca marca wytypować swego kandydata na prezydenta, wyścig wciąż wydawał się zbyt zawzięty, aby można było cokolwiek wyrokować. Gubernator ze stanu Connecticut David Ray Venable prowadził wśród czwórki kandydatów, ale demokraci poczynając od Kalifornii, a kończąc na New Hampshire, nawoływali, aby głosować wedle własnego uznania, więc w Waszyngtonie aż roilo się od spekulacji. Wobec tego senator Elizabeth Beechum wiedziała, że na miesiąc przed konwencją Partii Demokratycznej najmniejsze nawet przesunięcie punktu ciężkości może spowodować, że to ona stanie się pierwszą kobietą, reprezentującą największą partię Stanów Zjednoczonych w wyścigu do Białego Domu.

- Pozwólcie, że powiem, iż dziś spotyka nas szczególny zaszczyt, ponieważ jest tu z nami specjalny gość - oznajmiła, próbując nie skupiać się od razu na tej sprawie. - Pan Jordan Mitchell.

Skłoniła głowę w kierunku elegancko ubranego biznesmena zasiadającego za stołem dla świadków, dokładnie na ukos od niej. Doskonale zadbana, biała czupryna Mitchella, okulary firmy John Dean i uszyty na miarę garnitur stanowiły wyraźny kontrast na tle rzędu wojskowych mundurów i nędznego poliestru.

- Witamy, panie Mitchell. Miło nam, że pan przyszedł - powiedziała senator.

Jordana Mitchella nie trzeba było szerzej przedstawiać. Jako zarządzający większościowym pakietem akcji Borders Atlantic, największej na świecie firmy telekomunikacyjnej, rywalizował z Billem Gatesem

o miano najbardziej znanego amerykańskiego miliardera. Jego książki Jak odnieść sukces w biznesie plasowały się na listach światowych bestsellerów, a przejęcia olbrzymich firm zapełniały strony ogólnoświatowych gazet finansowych. Kolorowe pisma często się przed nim płaszczyły. Gościł w znanym programie 60 minut - i to dwukrotnie.

- Dzień dobry, pani przewodnicząca - zaczął, uśmiechając się. - Muszę powiedzieć, że to zaszczyt zeznawać przed pani komisją. Od dawna podziwiam pani obiektywizm i zdolność przewidywania, jeśli chodzi o stanie na straży tego wielkiego narodu. I dodam, że gdy pozna się panią osobiście, to wygląda pani... sympatyczniej niż na ekranie telewizyjnym.

Czaruś - zapisała sobie Beechum na marginesie swego notatnika. Na szczęście nie był w jej typie. Mężczyźni pokroju Jordana Mitchella traktowali kobiety protekcyjnie, nie zgadzali się na żadne kontrole i ignorowali jakikolwiek autorytet poza własnym. Mitchell żył sam dla siebie w świeckim świecie kosztów i zysków, bilansów i analiz zysków oraz strat. W czasie dwudziestu lat zasiadania w Kongresie widziała dostatecznie dużo facetów jego pokroju. Jego pieniądze i władza wyróżniały go w świecie biznesu, ale tutaj raczej mogły mu się źle przysłużyć.

- Dziękuję, jestem pewna, że tak - odpowiedziała Beechum, siląc się na udawanie zadowolonej z pochlebstwa. - Ta komisja docenia pańską pomoc, podobno aby być tu dzisiaj z nami, zrezygnował pan z podróży do Dubaju.

Mitchell skinął głową. Nie widział potrzeby wdawać się w szczegóły.

- Zapewniam pana, tak jak to powiedziałam wcześniej - ciągnęła Beechum - że nasza dyskusja jest w całości tajna i jej treść nie wydostanie się poza ten pokój. Wszyscy rozumiemy, jak delikatna to kwestia, bez żadnych obiekcji może pan sobie pozwolić na absolutną szczerłość.

Mitchell uśmiechnął się uprzejmie. Czuł się swobodnie w Waszyngtonie, ale tylko wtedy, gdy przestrzegał dwóch niezawodnych zasad - po pierwsze: nigdy nie wierzyć politykom, i po drugie: nigdy nie mówić niczego, czego nie chciałby usłyszeć po dwóch godzinach na kanale CNN. Jordan Mitchell zainwestował miliardy dolarów w nową inicjatywę, nad którą do dyskusji dziś go tu zaproszono, i nie

było mowy, aby zdradził Elizabeth Beechum i spółce cokolwiek, co zagroziłoby temu jego projektowi.

24

- Jeśli można... - przerwał jakiś głos.

O cholera, zaczyna się - skrzywiła się Beechum. Odwróciła się w stronę Marcellusa Parsonsa, republikanina ze stanu Montana. Wysoki, kościsty hodowca bydła poprawił swój rzemyk z turkusem pod szyją, odchrząknął i od razu rozpoczął wielkim zadęciem.

- Chciałem uświadomić państwu - oznajmił -jaki to honor gościć przed obliczem tej komisji człowieka, który osiągnął tak wiele. Nowe telefony działające na zasadzie transmisji bezpiecznych wybuchów -czyli technologii SBT - które opracowała pańska firma, sprawią, że Stany Zjednoczone ponownie staną się wybitnym liderem w światowym przemyśle telekomunikacyjnym. Jesteśmy zaszczyceni pańską obecnością.

Beechum usiłowała nie zakrztusić się z powodu tej czołobitności Parsonsa.

Oczywiście jeśli chodzi o technologię, to miał rację. Po to tu byli; firma Mitchella zbudowała całkowicie bezpieczny, tani zaszyfrowany system pozwalający każdemu użytkownikowi komunikować się bez obawy przechwycenia treści rozmowy. System ten funkcjonował równie dobrze w przypadku telefonów komórkowych, jak i stacjonarnych oraz w cyberprzestrzeni i miał się stać dobrodziejstwem dla biznesmenów, specjalistów od marketingu internetowego i opowiadających się za poszanowaniem osobistej prywatności.

Niestety terroryści, kryminaliści, rządy innych państw - każdy, kogo tylko było stać na sumę 59 dolarów i 99 centów miesięcznie - korzystał z tych samych zabezpieczeń. I o ile Mitchell nie podzielił się swoją tajemnicą z agencjami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych, to Borders Atlantic wyprzedzi wszystkie inne technologie zmierzające do przechwytywania sygnałów o dwadzieścia pięć lat.

- Wobec tego może zacniemy - zaproponowała senator Beechum. -Panie Mitchell, sądzę, że rozumie pan nasze zaniepokojenie nową technologią SBT. Rząd Stanów Zjednoczonych wydaje co roku dziesiątki milionów dolarów, zbierając informacje o planowanych atakach. Jak to stwierdzą nasi pozostali świadkowie, sygnały, jakich dostarcza nam wywiad, to niemal osiemdziesiąt procent naszych informacji ze

wszystkich źródeł. I jest to znacząca część w systemie obronnym naszego kraju. Świadkowie, pracujący dla rządu naukowcy oraz menedżerowie programów wywiadowczych mający zeznawać przed komisją, nagle wyprostowali się, czekając, że być może Elizabeth Beechum wezwie ich, aby poparli jej słowa. Każdy z nich wiedział, że te przesłuchania

25

pociągały za sobą realne następstwa, i wszyscy oni chcieli się do nich przyczynić.

- Zaznaczam - rozżłościł się Parsons - że nie wszystkie stwierdzenia przewodniczącej odzwierciedlają intencje i opinie komisji. -Po czym ponownie odchrząknął i skinął głową bezpośrednio w kierunku Mitchella. - Ja przede wszystkim cenię sobie ochronę, o której mówią i które gwarantują Pierwsza, Czwarta i Piąta Poprawka do Konstytucji, i przypominam każdemu, że kraj ten jest dumny ze swoich tradycji dotyczących innowacji i przedsiębiorczości.

Beechum bawiła się piórem i potrząsała głową. Źle znosiła przejawy manii wielkości, szczególnie jeśli towarzyszył im brak szacunku dla konstytucji.

- Panie senatorze, nie mówimy tu o konstytucji... - próbowała odpowiedzieć, ale Parsons przerwał jej.

- No więc cóż to jest? Jak to się dzieje, że Senat Stanów Zjednoczonych ściąga tu jednego z najbardziej prominentnych biznesmenów tego kraju i oskarża go o...

- Ja go o nic nie oskarżam - odparowała Beechum. - Ja tylko...

- Proszę, pani przewodnicząca... senatorze Parsons. - Jordan Mitchell podniósł rękę niczym sędzia, który chce rozdzielić dwóch bokserów. Ci legislatorzy nie wygłosili nawet żadnych wstępnych oświadczeń, a już rozpoczęli walkę od gryzienia i zadawania ciosów w okolice nerek. - Rozumiem obie strony tego zagadnienia - rzekł z takim samym dobrodusznym przekonaniem, z jakim sprzedawał swoje książki i telefony komórkowe - lecz należy zaznaczyć, że od momentu wynalezienia telegrafu identyczne sprzeczki padały przy okazji dyskusji nad każdym większym wynalazkiem w dziedzinie komunikowania się. Ilekroć prywatne firmy dokonują jakichś osiągnięć, rząd podnosi krzyk, że to utrudnia jego wysiłki stania na straży dobra narodu. Nie można oczekiwać od sektora technologicznego, że utrzyma przewagę nad zagranicznymi rywalami, a powściągnie



cugle, gdy tylko jego usiłowania przerosną waszą zdolność sterowania nim.

- Panie Mitchell, prowadzimy wojnę - powiedziała Elizabeth Beechum strofującym tonem. - Wojnę z terroryzmem. Nie mogę pokazać panu najnowszych informacji dostarczonych nam przez wywiad, ale FBI i CIA mają wiarygodne i szczegółowe dowody istnienia planów zaatakowania w ciągu kilku najbliższych miesięcy największych amerykańskich instytucji finansowych. Telefony SBT, które chce pan

26  
wprowadzić na rynek, umożliwią terrorystom swobodne komunikowanie się i bardzo utrudnią nam pracę. I mogą sprawić, że zginą ludzie.

Parsons zjeżył się, słysząc to kazanie. Podobnie jak inni członkowie komisji do spraw wywiadu, zarówno senackiej, jak i Izby Reprezentantów, otrzymał on tajne skróty raportów na temat tego, co nieformalnie znane było w Waszyngtonie jako Matrix 1016, czyli TPI (Tajna Podzielona Informacja) - raportów dotyczących wysiłków mało znanej komórki saudyjskich fundamentalistów, aby zaatakować lub zniszczyć Zarząd Rezerw Federalnych. Raport, który czytał Parsons, nie wymieniał żadnych dat, godzin ani metod tego spisku i nie było tam też nic, co dawałoby Elizabeth Beechum prawo do udzielania jednemu z największych amerykańskich biznesmenów lekcji praw obywatelskich.

- Głównym zadaniem tej komisji jest nadzorowanie, a nie nakazywanie - upierał się Parsons. - Jedną z naszych najważniejszych funkcji jest zapobieganie nadużywaniu władzy, upewnianie się, że rząd nigdy nie przekracza swoich uprawnień. Nie widzę związku pomiędzy jakimś tajnym raportem wywiadu a nowym systemem telefonii pana Mitchella.

- Panowie senatorowie, jeśli mogę - wtrącił się Mitchell. - Doskonale rozumiem, że prowadzimy wojnę z terroryzmem i że odpowiedzialność spoczywa na każdym z nas. Jednak problem polega na tym, że nie możemy zahamować postępu technologicznego w imię bezpieczeństwa. Prywatne firmy nigdy nie wynalazłyby internetu, komunikowania się opartego na mikrofalach, satelitów... setek wspaniałych rozwiązań, gdyby naukowcy musieli się liczyć z każdym testem przeprowadzanym przez rząd za pomocą papierka lakmusowego.

- To co innego - zaprotestowała Beechum. Całe jej życie zawodowe upłynęło wśród ludzi zajmujących się wywiadem, toteż była obeznana z jego meandrami i bocznymi

torami lepiej niż ktokolwiek na Kapitolu. - Sygnały przekazywane nam przez wywiad to nasza najskuteczniejsza broń przeciwko terroryzmowi, a pan uważa ją za przestarzałą.

- Proszę - powiedział Mitchell z niedowierzaniem w głosie. — Agencje wywiadowcze zawsze znajdowały sposoby na złamanie wymyślnych szyfrów. Jako przykłady wystarczy podać program FBI o kryptonimie „Mięsożerca” albo system Echelon Agencji do spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Obydwa zostały stworzone w celu podsłuchiwania, jakby nie było, bezpiecznych systemów komunikowania się i obydwa okazały się bardzo skuteczne. Ale jednak ludzie, używając telefonów i komputerów, słusznie żądają poszanowania ich prywatności

27

i na szczęście dla konsumentów, moja firma wynalazła sposób na przywrócenie tego. To nie jest zdrada... to dobry biznes.

- Nie próbujemy naruszać prawa Ameryki do prywatności. - Senator Beechum mówiła to rozdrażnionym tonem. Dwadzieścia lat spędzonych w Kongresie Stanów Zjednoczonych wykształciło w niej żelazne poczucie wagi bezpieczeństwa kraju i wyostrzyło postrzeżenie niedorzeczności. - Stajemy w obronie naszej odpowiedzialności za badanie i zbieranie danych wywiadowczych.

- Rozumiem - odparł Mitchell. - Ale pani jest pochodzącym z wyboru urzędnikiem państwowym, natomiast Borders Atlantic to prywatny biznes, mający udziałowców, zarząd, analityków rynkowych i prawników - i wszyscy oni mówią nam, że mamy legalne i etyczne podstawy, aby rozwijać tę technologię. - Tu zrobił przerwę dla wywołania większego wrażenia. - Jeśli uważa pani za konieczne poddanie drobiazgowej analizie naszej nowej technologii SBT, to proszę przyłączyć się do naszej konkurencji, ale proszę nie zamieniać Borders Atlantic w wyborczy slogan, który zostanie wykorzystany w tegorocznej prezydenckiej kampanii wyborczej. Niech nas pani nie wykorzystuje do politycznych celów.

Beechum odchyliła się do tyłu, zdumiona tą przeraźliwą arogancją. Jesienią zamierzała rywalizować ze słabym prezydentem w wyborach, a Mitchell w piekielny sposób wykorzystał nadarżającą się okazję, podjudzając ją.

- Tak naprawdę pan w to nie wierzy, mam rację? - spytała. - Przecież w rzeczywistości nie uważa pan, że prawo do zarobienia pieniędzy powinno górować

nad prawem rządu do myślenia o sprawach obronności.

- Pani senator, jestem biznesmenem, a nie szpiegiem. - Mówiąc to, Mitchell patrzył Elizabeth Beechum prosto w oczy, a ona odczuła jego potęgę. Osobisty majątek tego człowieka wynosił czterdzieści siedem miliardów dolarów, a oprócz tego posiadał jeszcze ogromną międzynarodową firmę. On przed nikim nie chylił głowy.

- Pan Mitchell poruszył jeden ważny punkt - wtrącił się Parsons. - Ta nowa technologia szyfrowania stworzy miejsca pracy dla tysięcy ludzi, przyniesie miliardowe zyski, wymianę handlową, udziały w rynku...

- I dwie nowe fabryki na terenie stanu, z którego pan kandydował. - Te słowa wymknęły się z ust Elizabeth Beechum niechcący.

28

Parsons wytrzeszczył na nią oczy, podobnie jak szesnastu pozostałych członków komisji. Politycy często obrzucali się błotem, ale nigdy mięsem. Każdy, kto miał do czynienia z polityką, wiedział, że wyborcy głosują za pomocą portfeli. Nie istniał urzędnik z wyboru, który nie powitałby z zadowoleniem w swoim okręgu wyborczym takich fabryk, jakie budował Mitchell.

- Myślę - warknął Parsons - że szanowana pani senator z Karoliny Południowej mogłaby rozważyć stawanie w obronie przemysłu tytoniowego, zanim rzuci kamień na fabryki w Montanie.

To, co zaczęło się jak spokojne przesłuchanie, szybko przerodziło się w pyskówkę.

- Borders Atlantic jest dumny z tego, że może stworzyć niemal piętnaście tysięcy nowych stanowisk pracy w biednym regionie Stanów Zjednoczonych - przytaknął niezrównany taktyk Mitchell. - Przecież mogliśmy zbudować te fabryki w Tajlandii, Meksyku lub nawet w Chinach, ale wybraliśmy pozostanie przy najwydajniejszej na świecie sile roboczej. Obiecaliśmy utrzymać wszystkie wysoko płatne stanowiska w dziedzinie nowych technologii tam, dokąd one przynależą, to znaczy dla obywateli Stanów Zjednoczonych.

Brawo - pomyślała Beechum. Mitchell dobrze się przygotował.

- Ja się nie sprzeciwiam budowie fabryk, panie Mitchell, ale stojącej za nimi technologii. Żadne stanowisko pracy nic nie znaczy, jeśli Amerykanie pracujący w tych zakładach będą żyć w nieustannym strachu. - Zamilkła na chwilę, gdyż

zabrakło jej argumentów. - Zanim okrzyknjemy pana Mitchella świętym - powiedziała - zarówno ja, jak i komisja chcielibyśmy zadać mu jeszcze kilka pytań.

- Mam do dyspozycji cały ranek, pani senator - odparł Mitchell; mówiąc to, skinął głową w stronę reszty zebranych i Parsonsa, jak zawsze profesjonalny, ale niemal bezwstydnie nonszalancki.

Sekretarz Elizabeth Beechum do spraw prawnych, facet po Harvardzie, noszący krawat w kolorach swej uczelni i marynarkę zapinaną na rząd drobnych guziczków, nachylił się ku niej, trzymając naręcze papierów, statystyk, danych i zarzutów. Jedna z tych teczek - ściśle tajne rozpoznanie dotyczące bezpieczeństwa kraju - dawała jej do rąk amunicję, zdolną powalić Mitchella na krzesło, tak że pogniótlby te swoje ręcznie szyte spodnie, ale nie było jeszcze potrzeby wyciągać z zanadru głównej karty przetargowej. Gdy nie było kamer i grzecznych oraz przemądrzałych reporterów, przesłuchania te przypominały toczoną w korytarzu pyskówkę.

29

Pani senator Beechum odłożyła pióro i wypila łyk wody. Była de-mokratką żyjącą w kraju rządzonym przez republikanów i teraz oni obwieszczali wojnę wymierzoną w jej autorytet. No i co takiego? - pomyślała. Ten drań był dobry, ale ja byłam lepsza.

\*

- WOŁOWINA! WOŁOWINA! WOŁOWINA!

Jeremy Waller torował sobie drogę wśród tłumu mężczyzn, starając się znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. Pięćdziesięciu członków jednostki antyterrorystycznej zgromadziło się w pobliżu huštawek dla dzieci przed długim, jednopiętrowym domem (z mieszkaniami także w podpiwniczonej części) w Hampton Oaks, gdzie mieszkali agenci. Wszyscy członkowie jednostki antyterrorystycznej musieli mieszkać w pobliżu w obrębie obozu treningowego leżącego na terenie bazy piechoty morskiej w Quantico; chodziło o to, aby w razie potrzeby odległość z domu do bazy można było pokonać pieszo. Jeremy właśnie przeprowadził się wraz z rodziną do takiego domu, położonego przy tej ulicy.

- Masz go, chłopie! - wrzasnął ktoś.

Obiektem zainteresowania wszystkich wydawał się Albert Devroux, szturmowiec brygady Charlie, bardziej znany wśród członków HRT pod pseudonimem „Wołowina”. Mierząc metr dziewięćdziesiąt bez mała oraz ważąc sto dwadzieścia dwa kilogramy, wciąż wyglądał bardziej jak chłopak ze zdjęcia uczelnianej drużyny futbolowej niż agent FBI. Jego przystrzyżone płasko na czubku włosy połyskiwały w chylącym się ku zachodowi, popołudniowym słońcu, a po usianej bliznami po ospie szyi spływały strużki potu. Na kolanach spodni w kolorze khaki widniały plamy od klęczenia na ziemi i trawie. Już raz próbował to zrobić.

- Jakie jest zadanie i jaki wynik? - spytał jeden z członków jego brygady.

Wołowina ciężko dysząc, wpił w niego wzrok, próbując wysondować jego siłę. Rzecz jasna pytanie było retoryczne, jedno z tych, jakie tacy faceci zadają sobie nawzajem, gdy nie chcą pokazać, że się boją.

„Zadanie” wyglądało bardzo prosto. Wołowina stał za bramką startową wyposażony w koszyk do krokieta i grabie. Wydeptana ścieżka

\*\*ss

Svaj\*,

ife

iSSi^S-

|we

30

wiodła na przełaj przez trawnik za domem, między ścieżką a trampoliną oraz pomiędzy starym kółkiem do hula-hop a białym plastikowym ogrodowym krzesłem. Dokładnie pośrodku jego siedzenia stała sobie szklanka z przezroczystego plastiku wypełniona po brzegi lodowato zimnym piwem.

Reguły gry były proste: każdy zawodnik mógł dwukrotnie spróbować dobiec do kółka hula-hop, wykonać jedną pompkę, a następnie usiąść na krześle i wypić piwo. Czas każdego biegu był mierzony. Wygrywał ten, kto najszybciej wykonał zadanie.

Problem - a ten zawsze istniał we wszystkich zawodach organizowanych przez jednostkę antyterrorystyczną - leżał w miejscu usytuowania kółka i krzesła.

Albert właśnie otoczył dziedziniec niewidocznym, mającym chronić podwórko przed psami, elektrycznym treserem, a kółko hula-hop leżało dokładnie pośrodku tego okręgu.

Wszyscy nadal byliby zajęci jedzeniem burgerów i kukurydzy, gdyby żona jednego z uczestników nie zaczęła utyskiwać, że szkolenie psa za pomocą elektrotresera to okrutna metoda. Albert dowodził, że wypróbował ją na sobie i że kopnięcie prądem jest tylko trochę nieprzyjemne. Te wyjaśnienia stały się wyzwaniem, które przekształciło się w ustanawianie reguł gry, a one z kolei rozbudziły żyłkę współzawodnictwa i w ciągu dwudziestu minut nie było na przyjęciu ani jednego mężczyzny, który nie chciałby zmierzyć się z niewidocznym ogrodzeniem.

Jeremy wiedział, że uczestnictwo w tym konkursie stawia go w trudnej sytuacji. W podlegającej jednostce antyterrorystycznej Akademii Treningowej był dopiero na okresie próbnym, a w związku z tym nie należał do pełnoprawnych członków tego towarzystwa. Stojący obok agenci-weterani oczekiwali od niego pełnego poświęcenia, ale nie podobałoby się im zepchnięcie ich na drugi plan i to przez jednego z tych „pieprzonych żółtodziobów”. Za trzy dni miał otrzymać dyplom ukończenia Akademii, a teraz musiał znaleźć sposób na wykazanie się, a równocześnie nie zrazić do siebie ludzi, którzy przez następne pięć albo sześć lat będą decydować o jego losie.

- Dalej, kochanie, przecież dasz radę!

Priscilla, żona Alfreda, krzyczała do niego z tyłu domu. Większość żon operatorów HRT nie wtrącałaby się w takiej chwili jak ta, ale ona czuwała nad tym bojem niczym strażnik, wymachując trzymaną w jednej ręce szpadką od grilla, a drugą przytrzymując ich latorośl, czyli

31

Wołowinę Juniora. W tym wypadku nie liczyły się maniery, ponieważ chodziło o dumę.

Jeremy stanął na skraju tłumu i potrząsnął głową. Bez względu na to, jakie byłyby to zawody, członkowie jednostki antyterrorystycznej posługiwali się niczym mieczem przekonaniem, że przeżywają wyłącznie najsprawniejsi. Być może w pewnych sytuacjach to się sprawdzało. Ze strzelaniny tylko jeden wychodzi cało.

Drugie miejsce mało kiedy się liczy.

- Czy... jesteś... gotów?

Wołowina pokręcił osadzoną na szerokich ramionach głową, po czym skinął nią i klasnął w ręce. Woń grillowanych krabów i wieprzowiny unosiła się nad trawnikiem

za domem. Małe grupki dzieci to wpadały, to wybiegały z tłumu, nie bacząc na toczącą się wokół nich walkę.

- Na miejsca.

Quinny, również świeżo upieczony abiturient szkoły marynarki wojennej, stanął obok punktu startowego, w jednej ręce trzymając stoper, a drugą kładąc Albertowi na ramieniu.

- Gotowi...

Tłum uciszył się, a Priscilla Devroux opuściła niżej wciąż trzymaną w ręce szpadkę od grilla.

- Start!

Wszyscy oszaleli. Pięćdziesięciu mężczyzn wraz ze swymi latoroślami płci męskiej wrzeszczało, niczym widzowie obserwujący bójkę.

- Wołowina! Wołowina! Wołowina! - krzyczeli, wymachując uniesionymi w górę pięściami i śmiejąc się z losu zawodników.

A on najpierw posuwał się do przodu wolno, sprawdzał własne możliwości. Pierwsze osiem czy dziesięć kroków było łatwe, ale gdy podszedł bliżej, warkot elektrotresera zaczął dźwięczeć mu w uszach. Potem już każdy kolejny krok był coraz trudniejszy, a warczenie przerodziło się w kopanie prądu. Przez jego ciało przebiegał nieustający ból, biorąc górę nad naturalnymi impulsami, powodując kurcze mięśni.

Wołowina próbował iść szybciej. Wiedział, że najpierw zawiodą mięśnie długie - te w nogach i na plecach. Chwycą je kurcze i bardzo trudno będzie posuwać się do przodu, bez względu na płynące z mózgu rozkazy.

Wyteżył całe swoje sto dwadzieścia dwa kilogramy: tak muskuły, jak i kościec. To koniec, pomyślał sobie, Priscilla patrzy, a koledzy wznoszą okrzyki. Cholera, liczy na niego cała jednostka. Jeśli on nie

32

dotrze do krzesła, to nagroda przypadnie temu jakiemuś chłopakowi z Akademii Treningowej. W liczącej sobie dwadZ<sup>3</sup> jeden lat historii HRT jeszcze nigdy się to nie zdarzyło.

Wołowina przeszedł przez trawnik, zanurkował w środek koła i tam z wysiłkiem ukląkł opierając obie dłonie o trawnik-

- Tylko jedna pompka - zachęcał sam siebie- \_ Tylko jedna.

Wypicie piwa to już pestka.

/ | , ...

•

DWIEŚCIE TRZYDZIEŚCI CZTERY MILE na Padnie od Quan-tico, poza granicami Raleigh

w Karolinie Północnej siedmiu członków zarządu jednej z korporacji zebrało się na terenie kompleksu biurowego na zadanie określonego charakteru. Centrum V Artagnon wyglądało jak tysiące innych - składało się z sześciu jednopiętrowych, krytych gontem baraków o wielkich oknach oraz mnóstwa przestrzeni parkingowej. Cieszyło się powodzeniem wśród lekarzy, szczególnie dentystów oraz pediatrów, ze względu na panujący tam spokój i łatwy dojazd. Gabinet numer 411 został wynajęty dopiero tydzień temu przez doktora Hernandeza i partnerów, lekarzy internistów, a tabliczka na drzwiach wciąż pachniała świeżą farbą.

W skąpo umeblowanej poczekalni, do której przez tanie żaluzje zaglądały promienie słońca, spokojnie czekało sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Na stoliku wykonanym z imitującego drewno tworzywa piętrzyły się kolorowe pisma, a na ścianach pokierowanych na czarno ramach wisiały plakaty kupione w Wal-Martie - Cholerna, tania opieka zdrowotna - mruknął pod nosem jeden z prezesów. - Domy publiczne, które widziałem, były lepiej udekorowane. - Kilka osób skinęło głowami i uśmiechnęło się ale nikt się nie odezwał.

Niebawem otworzyły się drzwi i stanęła w nich skromna pielęgniarka w okularach i w skarpetkach takich, jakie noszą gracze w hokeja. Tabliczka na jej fartuchu informowała, że ma na imię Debbie.

- Dzień dobry - powiedziała. - Doktor Hernandez zaraz państwa przyjmie, ale aby wszystko poszło szybciej, musimy prosić państwa, żebyście rozebrali się i pozostali tylko w bieliźnie-

- W bieliźnie! - wykrzyknął jeden z czekających. To przecież wszechmocni prezesi jednej z największych światowych korporacji.

33

Kim ona, do cholery, była, aby prosić ich o zdjęcie ubrań? A poza tym wśród nich znajdowała się kobieta -bardzo atrakcyjna kobieta. Takie rzeczy nie mają miejsca



wśród ludzi z grona amerykańskiego świata korporacji. A w każdym razie nie w czasach, kiedy przypadkowe spojrzenie może wywołać proces o napastowanie seksualne.

- Niech państwo zrobią, o co proszę - oświadczyła Debbie. - Niedługo wrócę. - I z tymi słowy odwróciła się i wyszła.

Najpierw nikt nawet nie drgnął, ale po wymianie kilku spojrzeń szef działu bezpieczeństwa w jednej z firm, okularnik Dieter Planck, pewnym ruchem rozsypał swój krawat od Hermesa, rozpiął koszulę i zdjął mokasyny od Salvatore Ferragamo. Podczas gdy pięciu pozostałych mężczyzn i kobieta wciąż siedzieli, próbując podjąć decyzję, czy rzeczywiście chcą odsłonić swoją zbroję w rzucik lub w drobne paseczki, Dieter zdjął spodnie i złożył wszystko starannie na kupkę na podłodze.

Potem usiadł znów na krześle, a fałdy pozbawionego nawet jednego włoska brzucha leżały mu na kolanach niczym pęto kielbasy. Okulary w cienkiej, srebrnej oprawce zsunęły mu się na koniec nosa.

Po kilku chwilach drzwi otworzyły się i ponownie pojawiła się Debbie.

- Lekarz przyjmie... - urwała w pół słowa najwidoczniej zmieszana faktem, że pacjenci nie wykonali jej polecenia. - Przepraszam - sapnęła - ale pan doktor jest dziś bardzo zajęty i nie będzie mógł przyjąć wszystkich państwa, o ile nie zrobicie tego, o co prosiłam.

Jej ton nie pozostawiał żadnych domysłów. Te młode latorośle amerykańskiego biznesu zarabiały dziesięć razy tyle co ona, ale pierwszy krok w kierunku stołka wiceprezesa tej firmy prowadził przez gabinet lekarski, a klucz do niego miała ona.

- Widzę, że pan jest gotów, sir - zwróciła się do Niemca. - Proszę tędy.

Dieter zgarnął swoje starannie poskładane ubranie i kołysząc się, poczłapał za nią boso. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

- A pieprzę - stwierdził po chwili jeden z czekających. Zdjął swój trzyczęściowy garnitur od Hugo Bossa i usiadł, mając na sobie jasno-czerwone stringi składające się jedynie ze sznureczka. Konsultant do spraw human resources z Orlando przyglądał mu się nieco zbyt długo, ale potem niechętnie także zdjął ubranie. W ciągu kilku minut wszyscy się rozebrali. W korporacyjnym świecie, w

którym kolor klapy od

34

marynarki bądź kostiumu pochodzących od znanego projektanta świadczy o sile lub słabości, ci ludzie po prostu zrobili z siebie słabeuszy.

PODCZAS GDY JEREMY WALLER wraz z kolegami płaWił się w basenie testosteronu, jego żona, Catherine, siedziała w domu wraz z innymi paniami i starała się zachować spokój. Patrick, jej dziesięciomiesięczny maluch, nie spał w dzień i w związku z tym marudził, a Maddy i Christopher biegali wraz z innymi dziećmi. A ona sama powinna w poniedziałek przedstawić prezentację i nie miała czasu na marnowanie tego popołudnia na takie głupoty.

Ale dzisiejszy dzień został już zarezerwowany dla HRT i nie było dyskusji ani wymówek. Proces przyjmowania do jednostki to oficjalna ceremonia, a dziś była to prywatna zabawa dla rodzin i oczekiwano, że wszyscy będą obecni.

- Co za śliczny mały chłopczyk! - Jakaś elegancka kobieta wyciągnęła rękę, aby wytrzeć ślinę z policzka dziecka. - Ty na pewno jesteś Caroline Waller, a to Patrick.

Patrick znowu zaczął płakać. Akurat w porę pomyślała sobie Caroline.

- Moja droga, jestem Louise Connell - oświadczyła kobieta, uśmiechając się do najmłodszej latorośli - ~ Cricja}am skorzystać z okazji i powitać was w naszym gronie.

Caroline знаła to imię. Steve, mąż Louise, był jednym z dowódców brygady szturmowej.

- Miło mi cię poznać - uśmiechnęła się Caroline. Tylko tyle przyszło jej do głowy. Jak dziękuje się żonie kogoś, kto co wieczór odsyła Jeremy'ego do domu zakrwawionego, pocapanego i wykończonego?

- Dzwon do mnie, jak tylko czegoś potrzebujesz, dobrze? Musimy trzymać się razem, gdy tych chłopców flie ma -> bo robią to, co tam mają do zrobienia.

Louise ponownie się uśmiechnęła i zniknęła pomiędzy podgrzewaczami do garnków i półmisek. Nie wydała się Caroline osobą której powierzyłaby najtajniejsze sekrety, a w^ród tej burzy jakikolwiek port, do którego można by w razie czego zawinąć, był pożyteczny.

Dla całej rodziny Wallerów ta nagła zmiana stylu życia była pewną niespodzianką.

Pierwsze cztery lata po wstąpieniu Jeremy'ego do FBI

35

okazały się cudowne. Springfield w stanie Missouri tryskało życiem, dzięki przystępnym cenom żyli na dobrym poziomie za pensję Jeremy'ego, wynoszącą na starcie 41 370 dolarów rocznie.

Z kolei północna Wirginia zdawała się bezkresną prowincją bez więzi sąsiedzkich. Mieszkania i domy były tu o wiele droższe. Caroline przez rok siedziała w domu, zajmując się dzieckiem, co w jej życiorysie stworzyło lukę, która sprawiła, że znalezienie pracy okazało się trudniejsze, niż myślała. Nawet mając magisterium z psychologii, musiała zadowolić się niskopłatnym stanowiskiem w radzie zarządzającej usługami dla ludności.

Na szczęście Maddy i Chris lubili swoją nową szkołę i mieli w sąsiedztwie mnóstwo kolegów. Żony innych operatorów utworzyły silną grupę wsparcia: na zmianę pilnowały dzieci albo nawet czasem razem wychodziły gdzieś wieczorem. Jeremy wydawał się naprawdę szczęśliwy w swojej nowej pracy, pomimo wielu godzin, które musiał w niej spędzać, i czasem jej brutalności. Ta praca to było jego marzenie i Caroline też do niej przywykła.

- Mamo, mammo, telaz tatuś!

Maddy wpadła, cała umazana czekoladą. Z buzi wystawał jej język, a znajdował się dokładnie w dziurze, w której powinny być dwa górne zęby. To sprawiało, że jej angielszczyzna stała się nieco sepleniąca.

Patrick wpatrywał się w nią spod swojej butelki, wyczuwając, że czas ciszy się skończył.

- Caroline! - rozległ się czyjś krzyk. Wpadła Priscilla Devroux z Wołowiną Juniorem uwieszonym u jej rozłożystych bioder. - Twój mąż myśli sobie, że zakasuje wszystkich innych chłopaków. Nawet nie pójdziesz, żeby popatrzeć? Taka myśl nawet nie przyszła jej do głowy, ale ponieważ wszystkie inne żony spoglądały na nią nie miała zbytniego wyboru. Żony operatorów z HRT wspierały swoich mężów. Caroline знаła tę zasadę jak przysięgę małżeńską.

- No już, kochanie - powiedziała Melissa Tovar. Wyciągnęła ręce, aby wziąć Patricka. - Idź i kibicuj mu.

ZANIM PIELEŃNIARKA DEBBIE po godzinie i dziesięciu minutach ponownie przyszła

do

poczekalni, sześć obecnych tam osób

36

zaczęło się denerwować. Siedzieli w bieliźnie, nie mieli laptopów ani telefonów komórkowych. Mężczyzna w stringach osunął się na krzesło, narzuciwszy na ramiona marynarkę, już kompletnie nie zażenowany. Jedyna pośród nich kobieta siedziała na końcu rzędu, mając na sobie biustonosz z falbankami i majteczki włoskiej firmy. Nie zwracała uwagi na spojrzenia.

- Okay, słuchajcie - powiedziała pielęgniarka, wychylając się przez wpołotwarte drzwi. - Strasznie mi przykro, ale doktor Hernandez właśnie został pilnie wezwany do szpitala. Obawiam się, że musimy przepisać państwa na jakiś późniejszy termin w tym tygodniu.

Chrząknięcia i głębokie westchnienia poinformowały ją o wszystkim, co chciała wiedzieć o ich odczuciach. Ci ludzie stracili na próżno czas, a na dodatek byli w bieliźnie.

- Wychodząc, proszę zgłosić się do recepcjonistki. Zapiszę państwa. -Z tymi słowy Debbie odwróciła się i zniknęła gdzieś za drzwiami.

- Chyba robicie sobie jaja! - wykrzyknął facet w czerwonych stringach. Wstał, podniósł swoje ubranie z podłogi i wskoczył w spodnie. - Siedzimy tutaj cały ranek z powodu jakiegoś głupiego badania, a jesteśmy traktowani niczym grupka stażystów. Nie mam czasu na takie gównno.

- Co oni sobie myślą, że kim są? - rzucił pytanie w przestrzeń inny mężczyzna. Reszta ubierała się w ciszy, jakby był to kolejny dzień w biurze. Kiedy już byli gotowi wyjść, drzwi znowu się otworzyły i weszła pielęgniarka z notatnikiem.

- Nie jest moją intencją utrudniać państwu życie - powiedziała -ale właśnie znaleźliśmy innego lekarza, który zbada państwa. Więc jeśli moglibyście znowu rozebrać się, proszę.

- Mnie już tu nie ma - oświadczył facet w czerwonych stringach. Inny biznesmen wyszedł za nim. Reszta w ciszy zdjęła ubranie, tak jak im kazano.

- Myślałem, że już mam takie numery za sobą, gdy opuściłem marynarkę wojenną- odezwał się po chwili jeden z mężczyzn. Nie wyglądał na zdenerwowanego, po prostu chciał nawiązać rozmowę.

Adwokat, Latynos siedzący obok niego, wyciągnął rękę i uśmiechnął się.

- Joel Garcia. Z Nowego Jorku - powiedział. - Jest pan tu w związku ze sprawą Quantis?

Facet z marynarki skinął głową.

- Fred Hastings. Biuro w Portland.

37

- Mark Den Ouden - odezwał się trzeci mężczyzna. - Kieruję spółką-córką w Bangkoku.

Wysoka, wysportowana kobieta o urodzie zdradzającej jej bliskowschodnie pochodzenie, siedziała trzymając kolana razem, a ręce starannie złożyła na kolanach. Jej równo opalone, zadbane ciało niemal lśniło na styku z kosztowną bielizną, sprawiając, że trudno było na nią nie patrzeć.

Ta kobieta mogłaby się przedstawić jako Sirad Malneaux, wiceprzewodnicząca IT oddziału w Atlancie. Mogłaby się chlępić swoim pojawieniem się niczym meteoryt na korporacyjnej drabinie kariery lub wspomnieć, że prezes z Nowego Jorku dzwonił osobiście, aby namówić ją na objęcie tego nowego stanowiska. Ale tego nie zrobiła. Ta cicha, piękna kobieta siedząca na końcu rzędu patrzyła prosto przed siebie i nie powiedziała ani słowa.

•

JEREMY ZACZEKAŁ, aż operatorzy-weterani spróbowali szczęścia, i wówczas podszedł do linii. Wszyscy tłoczyli się dokoła niego, a Quinny położył mu rękę na ramieniu i nastawił stoper. Fritz Lottspeich oraz reszta klasy Jeremy'ego z Akademii Treningowej stała w odległości trzech stóp, dodając mu na różny sposób odwagi. Było wiadomo, że Jeremy ma jedyną i ostatnią szansę pokonania Wołowiny, który co prawda nie wypił piwa, ale był jedynym, który dotarł do hula-hop i zrobił pompkę. Jak dotąd było to największe osiągnięcie, na jakie ktokolwiek się zdobył.

- Jesteś gotów? - spytał Quinny. Jeremy pochylił się w przód, przenosząc ciężar na lewą nogę, wyciągnął ręce do przodu i skupił uwagę na białym krześle.

- Na miejsca... gotów...

- Hooo - cha! - wrzasnął Lottspeich, zarabiając więcej niż parę groźnych spojrzeń. Żółtodzioby musiały trzymać głębę na kłódkę.

- Start! - wrzasnął Quinny.

Jeremy wystartował z linii granicznej i szybko parł do przodu, biegnąc truchtem w kierunku koła, rozpędzając się jak skoczek w dal szukający dobrego odbicia. Jasne popołudniowe światło otaczało wszystko dokoła. Zapach grilla gdzieś się ulotnił. Nawet śliczny głosik Maddy rozplynął się w przestrzeni.

38

Większość osób w takich przypadkach zawężyła myślenie do koncentracji na jednej rzeczy. Jeremy zaczął rozpatrywać różne możliwości. Zamiast nastawić się na jedno podejście do problemu, jego świadomość rozsadzały rozmaite wersje rozwiązania.

Ci, którzy decydowali o przyjęciach do HRT, zauważyli tę jego cechę podczas selekcji. Większość kandydatów parła naprzód, pokonując wyzwania, on zdawał się na kreatywność i przedsiębiorczość. W jednym z rozgrywanych scenariuszy uniknął gwałtownych rękoczynów, udając pijanego i ulatniając się tylnym wejściem, podczas gdy spełniający rolę aktorów operatorzy HRT czekali na niego, szykując się do zaatakowania głównego wejścia. Innym znów razem wygrał dwudziestomilowy wyścig przełajowy, bo ukradł rower z garażu Akademii i przepedałował sobie, wyprzedzając wszystkich.

- Jakie zasady? - zapytał, gdy inni skarżyli się, że oszukiwał. Otrzymał informację na temat celu i zamiary na metę, a nikt nie wspomniał ani słowem o tym, jak trzeba tam dotrzeć.

Dowódcy jednostki zgodzili się z nim i obserwowali go codziennie z rosnącym zainteresowaniem. Jeremy odznaczał się pomysłowością, czy to obmyślając scenariusze aresztowań, czy strzelając w domku z opon, czy wcielając się w różne postacie, czy też biorąc udział w zawodach sprawnościowych bądź siłowych. Nie zawsze był najszybszy lub najsilniejszy, ale nigdy nie zawiodła go jasność myślenia.

Psycholodzy, z którymi HRT skontaktowało się, aby ocenili wybranych kandydatów, jeszcze potwierdzili tę opinię swymi testami. Nadzwyczajny, stwierdzał ich raport. Niebywały. Dowódcy HRT też tak uważali. Dane jednostki zawierały nazwiska kilku innych kandydatów, których IQ było bliskie tego, jakie miał Jeremy, ale pod względem psychologicznym żaden z nich mu nie dorównywał. Jeśli

chodzi o oryginalność, inteligencję intuicyjną oraz dojrzałość emocjonalną - główne cechy, jakie powinny charakteryzować operatora HRT - ten człowiek nie miał sobie równych. Był doskonały.

Jeremy'ego nic nie obchodziły współczynniki inteligencji albo cechy osobowości, gdy zbliżał się do kręgu. Caroline uśmiechała się do niego z tarasu, Maddy była na zjeżdżalni, a cała jednostka przyglądała się z różnymi oczekiwaniami, ale on skoncentrował się natychmiast na tym, co miał zrobić. Jedyna rzecz, która znajdowała się pomiędzy nim a szklanką zimnego piwa, to przewód pod napięciem.

39

Jeremy przeszedł przez trawnik i rozpoczął nurkowanie w krąg znajdujący się pięć stóp od koła hula-hop. Za pierwszą próbą obie ręce wylądowały na terenie kręgu. Zerwał się na kolana i zmusił się do kolejnej próby, ale skręcające się w spazmach mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Ostry, przeszywający ból zaatakował czaszkę, a potem powędrował wzdłuż kręgosłupa w dół. W jego umyśle zaczęły pojawiać się dziwne doznania: poczuł zapach marcepanu, smak limonki, głucho dzwonięcie w uszach.

- Tylko jedna pompka - pomyślał. Ugiął ręce, odruchowo uniósł się na nich i gdy tak robił pompkę wiedział, że wygrał. Nawet trzęsąc się pod wpływem prądu, wiedział, że wygrał. Teraz już pozostawało tylko usiąść na krześle i wypić piwo. Jeremy powoli wstał i stanął w obrębie koła. Wziął szklankę z piwem w niemal sparalizowane dłonie, odwrócił się, aby usiąść, i uniósł nogi nad ziemią.

I wtedy wszystko minęło. Ból nagle ustał, a jego umysł znowu zaczął filtrować kształty i dźwięki. Niektóre partie jego ciała wciąż bolały, ale tylko gdy się o tym myślało. Maddy machała do niego ze szczytu zjeżdżalni.

Jeremy obejrzał się na tłum operatorów stojący od niego na odległość rzutu kamieniem. Była tam cała jego klasa z Akademii, mając nadzieję, że wykona zadanie do końca. Fritz Lottspeich, jego najbliższy przyjaciel w tym tłumie, dawał mu znaki głową, żeby wreszcie finiszował.

Ale to nie było takie proste. Jeremy miał szansę samookreślenia się wśród operatorów. Być może nie mieli pojęcia, że kiedy usiadł na krześle i oderwał stopy od trawy, prąd już go nie raził. To były zasady fizyki, których uczą w szkołach średnich - właśnie dlatego ptaki mogą siadać na przewodach wysokiego

napięcia. W chwili gdy uniósł stopy nad ziemię, ten cholerny elektryczny treser stał się po prostu kawałkiem sznurka, który Maddy mogłaby nosić na szyi. Thum gapił się na Jeremy'ego, jakby był jakąś zjawą siedzącą sobie tam z podwiniętymi pod siebie nogami w środku kręgu. Minęło dwadzieścia sekund, a może więcej.

- Kurwa, co z tym facetem? - wymamrotał Wołowina. Kiedy Jeremy doszedł już do siebie po tych smakach marcepanu i był w stanie poruszyć językiem, podniósł szklankę w stronę tłumu.

40

- Za Akademię - powiedział. Cokolwiek więcej brzmiałoby jak drwina.

w •

PO UPŁYWIE PÓŁTOREJ GODZINY PIEŁĘGNIARKA DEB-BIE WRÓCIŁA do poczekalni.

- Nie uwierzycie - oznajmiła - ale doktor, którego znaleźliśmy, z powodu jakichś ważnych spraw osobistych musiał wyjść. Bardzo mi przykro, musimy jednak przepisać państwa na inny termin.

Garcia roześmiał się na głos. Hastings potrząsnął głową i natychmiast sięgnął po spodnie.

- Co się z wami dzieje, do cholery? - zapytał Debbie, gdy już miała wyjść.

- Ja tylko wykonuję swoje obowiązki - odparowała pielęgniarka i wypadła z poczekalni.

Menedżer z Bangkoku zapiął koszulę.

- Wcale im nie wierzę - powiedział. - Jak długo jestem tam zatrudniony...

Obecna tam kobieta ubrała się równie starannie, jak przedtem rozebrała. Najpierw włożyła spódnicę, potem białą lnianą bluzkę i kamizelkę. Zapinała guziki szybko, dokładnie, odwracając się tyłem do reszty, aby cały ten proces nie przypominał striptizu.

- Czy widziała pani coś podobnego? - spytał ją Hastings. Był trochę zmieszany, że przez cały ranek nie powiedziała ani słowa. - Na biurku czekają na mnie dwa raporty. Muszę je skończyć. Gdybym wiedział, że...

Nagle drzwi ponownie się otworzyły i pojawiła się w nich Debbie. Wzrok miała utkwiony w podłogę, a w skrzyżowanych na piersi rękach ścisnęła podkładkę do



pisania.

- Właśnie zadzwoniono z dyrekcji i powiedziano, że przysyłają zaraz dyrektora całego programu, który zbada państwa. - Głos zaczął jej drżeć. - Chcą, żebyście się państwo znów rozebrali.

- Właśnie - roześmiał się Hastings. - Niech pani powie swojemu dyrektorowi programu, żeby pocałował mnie w dupę.

Garcia kończył zawiązywać sznurowadła, a Den Ouden zapinać pasek.

- Nooo - powiedział menedżer z Bangkoku, idąc w stronę kobiety. - Zamierza pani pozwolić, żeby ci idioci tak panią pomiatali? ,

41

Debbie patrzyła za wychodzącymi mężczyznami. Została tylko milcząca kobieta. Zdjęła kamizelkę i zaczęła się znów rozbierać, tak jak kazano.

- Właściwie, proszę pani, to nie będzie konieczne - stwierdziła pielęgniarka, kiedy pozostali opuścili poczekalnię. - Lekarz zaraz panią przyjmie. Zaczekała, aż Sirad pozbiera rzeczy, po czym poprowadziła wzdłuż korytarzem. Szła szybko, dzierżąc sztywną podkładkę do pisania niczym tarczę. - Dziękuję pani za współpracę - powiedziała, zatrzymując się przed zamkniętymi drzwiami. - Była pani bardzo miła, że zniosła to wszystko.

Zapukała dwa razy i otworzyła drzwi. Ukazał się kompletnie biały pokój, w którym stał tylko stół konferencyjny ze szklanym blatem i sześć niskich krzeseł. Kilku mężczyzn siedziało w ciszy dokoła stołu, zapisując coś w notatnikach.

- Gratulacje, panno Malneaux - powiedział mężczyzna siedzący na końcu stołu. - Właśnie pokonała pani pierwszą trudność w procesie ubiegania się o stanowisko. Sirad potrząsała głową skonsternowana, nie mogąc wydobyć słowa. To nie był gabinet lekarski, a siedzący przed nią mężczyźni nie byli lekarzami. Byli to ci sami mężczyźni, którzy czekali wraz z nią w poczekalni całe rano. A tym, który jej gratulował, był Dieter.

RpZBZWŁII

|>r •.

SALA NUMER 3171 w nowojorskim budynku zwanym Albermarle była znana w świecie biznesu jako Pokój Wojenny. Budynek każdej korporacji miał taką salę, najświętsze ze świętych miejsc, w którym najwyższa kadra kierownicza obmyślała

strategie wymierzone we wrogie przejścia firm i zbliżające się utarczki, ale ta sala przeszła do legendy.

Zaprojektował ją Edward H. Clark u schyłku Złotego Wieku i przez ponad sto lat to pełne przepychu miejsce przeszło tylko niewielką renowację. Kto ośmieliłby się zmienić cokolwiek w sali, która podobno była świadkiem walki na pięści, jaką stoczył młody prezydent Theodore Roosevelt z impertynenckim przedstawicielem linii kolejowej? Krążyła plotka, że człowiek, który pierwszy popełnił samobójstwo w Czarny Czwartek 1929 roku, rzucił się z ozdobionych szkłem Tiffany'ego okien budynku, spadając trzydzieści jeden pięter i rozbijając się o zaparkowany samochód Wills Sainte Claire. Masywny stół konferencyjny wykonany z czerwonego dębu wciąż nosił ślad kuli kalibru .45, która podobno odbiła się o świecznik wykonany przez Pauldinga Farnhama, gdy był prezes firmy wystrzelił ją w szale zazdrości.

Inne pokoje przeznaczone na spotkania członków rady nadzorczej były wyposażone w najnowszą technologię przydatną podczas konferencji, miały podłączony internet i elektroniczne systemy zagłuszania, ale Pokój Wojenny pysznił się wielkością z innej epoki. Od swych ja-snoorzechowych paneli aż po czarne tonacje iście pałacowych wymiarów dywanów Uszak, sala 3171 wyglądała jak miejsce wprost stworzone do tego, aby rozstrzygać w nim konflikty.

Jordanowi Mitchellowi podobało się urządzenie tej sali. Jego zdaniem ludzie działają lepiej, gdy otaczają ich przedmioty podkreślające status firmy. Dlatego też zawiesił na trzech ścianach wybrane egzemplarze ze swojej słynnej kolekcji karabinów Henry'ego i lasek Luddite'a. I chociaż wojny korporacyjne rozgrywane są za pomocą telefonów

43

komórkowych i kilometrów pokonanych drogą powietrzną, to Jordan Mitchell nigdy nie pozwalał swoim ludziom zapomnieć o dowiedzionej przydatności strachu wywołanego przez widoczną gołym okiem siłę.

- Jak tam sondaże? - spytał, idąc ze swym sekretarzem do Pokoju Wojennego.

Mitchell był ubrany w szary garnitur z Savile Row o tak ścisłym splocie, że połyskiwał jak mika. Skierował się do swojego miejsca u szczytu konferencyjnego stołu, gdzie na zastawie z antycznej, kostnej porcelany czekało już na niego

śniadanie składające się z jajek na miękko (gotowanych trzy minuty), soku grejpfrutowego i bagietek bez masła. Mitchell jadł na stojąco.

- Sondaż stacji CNN, tygodnika „Time” i Instytutu Gallupa daje Venable'owi trzy punkty przewagi - odparł jego sekretarz Trask, wysoki mężczyzna, były żołnierz piechoty morskiej. - Tak wygląda statystyka, ale Beechum zyskała w ubiegłym tygodniu cztery punkty i wyprzedza Venable'a popularnością wśród wybierającego się głosować elektoratu. W przyszłym tygodniu „Newsweek” daje jej zdjęcie na okładkę, a dziennik „USA Today” w swoim jutrzejszym wydaniu zamieszcza jej obszerną biografię. Ten czas bez wątpienia należy do niej.

- Jak na razie - przytaknął Mitchell. Chwycił jedno jajko i zaczął przechadzać się po sali.

- Prezydent obawia się jej bardziej niż kogokolwiek innego z grona swoich rywali - ośmielił się wtrącić Trask. - Ona ma znane nazwisko, charyzmę, cholernie czystą przeszłość. Nie wiem, szefie - zdaje się, że wielu ludzi w tym kraju dojrzało wreszcie do tego, aby na ich czele stanęła kobieta.

- Możliwe. Ale to nie dlatego, że jest kobietą, lecz ponieważ w tym wyścigu jest jedyną osobą bez jaj. - Mówiąc to, Mitchell zaczął stukać widelcem w skorupkę jajka. - Ona ma zamiar próbować przekształcić naszą firmę w propagandowy slogan, no wiesz, taki temat zastępczy. Jeśli uda się jej określić technologię SBT jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, to może też udać się jej przystopować nas za pośrednictwem Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej, FCC.

- To się jej nie uda - stwierdził Trask. Rzadko kiedy mówił wprost to, co myślał, ale tym razem to zrobił. - Ludzie głosują na podstawie swoich portfeli, przekonań, wyznawanych wartości. Nie widziałem, żeby ktoś głosował za pomocą telefonu komórkowego.

- To nie chodzi o telefony komórkowe - warknął Mitchell - ale o strach. W ubiegłym roku Kongres wydał więcej pieniędzy na walkę

44

z terroryzmem niż na wszystkie programy socjalne razem wzięte: edukację, zdrowie i sprawy społeczne, transport itd., a my wciąż wierzymy w zagrożenia, o których istnieniu przekonują nas doradcy. Zaatakowaliśmy dwa kraje, przegrupowaliśmy koła, których zadaniem jest wprowadzanie zmian w przestrzeganiu prawa,

zaangażowaliśmy, pomimo podupadającej gospodarki, dwieście miliardów dolarów w działania wojenne. I co otrzymaliśmy w zamian? Nic. Okazało się, że nie było broni masowego rażenia ani też nie istniały więzi między Saddamem Husajnem i Al-Kaidą. Amerykańskie społeczeństwo ma dość terroryzmu i wie, że polityka obecnego prezydenta po prostu nie gwarantuje mu bezpieczeństwa.

Mitchell odłożył widelec i potarł skronie. Nie znosił, gdy dzień zaczynał się bólem głowy.

- Jeśli senator Beechum uda się połączyć technologię SBT z terroryzmem za pośrednictwem tego... Matrixa 1016, to będziemy mieli sporo kłopotów - skonstatował. - Czy ciągle jeszcze nie ma tego raportu?

Trask sięgnął do sterty papierów.

- Proszę. - Podał swojemu szefowi trzydziestoczczeronnicowy dokument opatrzony nagłówkiem Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz niebieskim znakiem wodnym SCI w górnym prawym rogu. - Przeważa język typowy dla wywiadu wojskowego, ale proszę spojrzeć na stronę siódmą.

Mitchell szybko przekartkował dokument, rozkoszując się tym, że jego bogactwo oraz koneksje dostarczały mu informacji tak tajnych, iż członkowie Komisji do spraw wywiadu obu izb Kongresu otrzymywali jedynie ich przeredagowane streszczenia przygotowane na potrzeby szefów korporacji. Jego wzrok zatrzymał się na zaznaczonym na żółto fragmencie.

- Wygląda na to, że udało się im przechwycić jakieś sygnały... rozmowy telefoniczne, informacje przekazywane za pośrednictwem in-ternetu - powiedział Mitchell. - No, więc jak?

- Proszę czytać dalej - poradził Trask.

- Jedyne źródło HUMINT znajdujące się w Rijadzie oraz wysoko postawiony funkcjonariusz w Nowym Jorku wskazują na ścisłe kontakty pomiędzy znanymi sympatykami Al-Kaidy i pewną dużą amerykańską korporacją- czytał głośno Mitchell.

-Analiza częstotliwości, potwierdzona informacją zawartą w aktach FBI pod numerem 315A-WF-17753, oraz pułapka FISA i ślad zapisków (BA-799, BA-811) sugerują...

45

Mitchell urwał w pół zdania.

- Tak jest - przytaknął Trask. - Wiedzą o naszych kontaktach z Saudyjczykami.

- Co oznacza, że wyśledzili nasze kontakty, ale nie potrafią złamać szyfru -  
uśmiechnął się Mitchell, bębniąc palcami w kartki dokumentu i szukając dalszych  
poczynionych przez Traska podkreśleń. Wszystkie rozmowy telefoniczne pomiędzy  
Nowym Jorkiem a Rijadem odbywały się za pośrednictwem prototypów aparatu SBT. -  
To dlatego Beechum tak się denerwuje. Kto jak kto, ale ona na pewno widziała  
obszerniejsze fragmenty tego raportu aniżeli pozostała część komisji. Jak się  
mają nasze sprawy?

- Ubiegłej nocy Rijad podpisał memorandum porozumienia - odparł Trask. - W  
następny wtorek z kosmodromu Swobodnyj ma być wystrzelony nowy satelita ARVIS, a  
my jutro wysyłamy naszą przesyłkę z systemami rezonansu magnetycznego i  
mikrofalowego; wszystkie dokumenty oraz wizy dla naszego personelu w Dubaju  
powinny być gotowe około...

- Powinny? - przerwał Mitchell. - Jak to „powinny”?

- Będą - poprawił się Trask. - To już murowane, panie Mitchell, poczynając od  
pozwoleń na wszelkiego rodzaju transfery pieniężne po ćwiczenia ewakuacji  
personelu medycznego do Kataru. Jeszcze przed końcem lata Quantis będzie  
najbardziej poszukiwanym produktem na czterech kontynentach. Wszystko przebiega  
zgodnie z planem.

Wyraz twarzy Mitchella uległ zmianie. Teraz nie malowała się już na niej  
konsternacja, ale duma. Odłożył raport i zabrał się za dokończenie śniadania.  
Tak jak większość firm telekomunikacyjnych, Borders Atlantic poniósł pewne  
straty z powodu stagnacji na rynku amerykańskim, lecz podczas gdy rywale  
wpuścili sobie długi w koszty i ukryli kłopoty, posługując się buchalteryjnymi  
sztuczkami, Mitchell podwoił nakłady na badania i rozwój. Efektem tego był, jak  
powiedzieli mu jego naukowcy, nowy algorytmiczny model szyfru oparty o  
„stochastyczną falę teorii generacji”. Zarządzający tym programem zapewnili go,  
że rubryka tego szyfru była tak skomplikowana, iż komputery Agencji  
Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) potrzebowałyby roku tylko na jej przekopiowanie.  
Za dwa miesiące Mitchell planował zaprezentować światu nowy telefon komórkowy,  
Quantis, działający na zasadzie technologii SBT. Był on mniejszy, lżejszy i  
atrakcyjniejszy aniżeli każdy inny telefon komórkowy będący na rynku, a przy tym

mógł przekazywać gigabajty

46

informacji, łącznie z obrazem wideo w postaci zaszyfrowanych mikro-eksplozji. Dni tradycyjnego naliczania opłat zgodnie z wykorzystanymi minutami dobiegały końca. Za skromną opłatę wynoszącą 59 dolarów i 99 centów miesięcznie konsumenci mogli cieszyć się pierwszym na świecie całkowicie prywatnym, kompatybilnym z internetem telefonem komórkowym, który na dodatek był eleganckim cackiem. Ten cienki jak opłatek telefon ważył tylko pięć deagramów, był napędzany baterią taką samą jak do zegarka i z łatwością mieścił się w kieszeni marynarki, nie powodując nawet jej wybrzuszenia.

- No dobrze, a jak przedstawia się sprzedaż? - spytał Mitchell, zmieniając temat.  
- Podaj mi nieco danych. Mówiąc to, wsunął do ust kawałek bagietki, podczas gdy palcem drugiej ręki wciąż przytrzymywał dokumenty.

Trask obserwował, jak palec Mitchella przerzucał plik kartek i niemal zastygł na zaznaczonym zielonym kolorem pliku zatytułowanym „Wydawnictwo”.

- Numer dwa, sir. W kraju sprzedał pan w minionym tygodniu trzydzieści tysięcy egzemplarzy. To dane z wczoraj wieczór, z naszego źródła w „New York Times”. Mitchell otworzył plik zawierający zbiór przeglądów z gazet, artykułów oraz wewnętrznych prognoz przygotowywanych przez jego firmę. Jego ostatnia książka zatytułowana Handel była hitem na liście bestsellerów „New York Timesa”, ale jeszcze nie znalazła się na pożądanym pierwszym miejscu.

- Dobrze - stwierdził Mitchell, sącząc sok - bardzo dobrze.

Uśmiechnął się szeroko, zadowolony nie tyle z sukcesu, jaki odniosła książka, ile z szybkości, z jaką jego pierwszy sekretarz pojął jego zamiary. Należało się spodziewać, że firma ma swego człowieka w „New York Timesie”, lecz posiadanie sekretarza takiego jak Trask, który potrafił niemal czytać w myślach szefa, świadczyło o znaczeniu. W epoce, w której menedżerowie zarządzający personelem zajmowali się takimi tematami jak troska o starych pracowników, elastycznym czasem pracy czy też samorealizacją ludzi firmy, Borders Atlantic tworzyło swoją kadrę kierowniczą w staroświecki sposób: za pomocą upokarzania. Zdaniem Mitchella niech tam IBM i Xerox hodują sobie sforeę wysoko opłacanych mięczaków. Piramidy w Egipcie powstały dzięki ryżowej zupie i pejczowi, natomiast

starożytny Rzym utopił się w swoich luksusowych łaźniach.

47

- Według naszych prognoz, w przyszłym tygodniu książka znajdzie się na pierwszym miejscu listy „New York Timesa” i „USA Today” - powiedział Trask.

Mitchell skinął głową. „Asymetryczna dynamika” - tak nazwał styl zarządzania, który opisał w tej książce. Nie odbiegał on zbytnio od napoleońskiej strategii dziel i rządź, ale piszący za Mitchella murzyni dobrze zakamuflowali ją używanym na Wall Street żargonem oraz mnóstwem opowieści typu kup, a następnie zmieć z powierzchni ziemi. W tej pączkującej ekonomii każdy poszukiwał innowacyjnych strategii. Mitchell wiedział, że jego pomysł się sprzeda, i to dobrze.

- Trzymam cię za słowo - powiedział, pochłaniając ostatnie kęsy śniadania.

- Tak jest, sir.

Trask rozumiał niuanse równie dobrze, jak zawijasy w inicjałach. Stał cicho, podczas gdy Mitchell wodził wskazującym palcem po najświeższych prospektach kupna, raportach rynkowych i zaleceniach Departamentu Stanu. Obydwaj panowie czytali, aby przeżyć -jednym rzutem oka ogarniali całe strony, książki podczas śniadania, kursy -podczas lotu helikopterem do weekendowego domu w Berkshires.

- A jak tam nasz nowy cenny nabytek, który hołubimy? - mówiąc to, Mitchell sięgnął po inną teczkę z dokumentami - zawierającą dossier personelu i zatytułowaną „POUFNE”. Za okładką w czerwono-białym obramowaniu krył się niemal każdy szczegół życia człowieka, którego Mitchell miał na oku od ponad dwóch lat. Przedmiotem tej inwigilacji był biały mężczyzna, lat trzydzieści jeden, żonaty, trójka dzieci. Odpowiadał on wszelkim wymogom pod względem fachowości, był absolutnie wiarygodny, spełniał wszystkie kryteria. W leksykonie algorytmicznie ukierunkowanych spekulacji rynkowych Mitchella człowiek ten uważany był za pewnik - podobnie jak śmierć i podatki.

- Siedemnaste piętro bacznie go obserwuje - odparł Trask. Dział bezpieczeństwa w Borders Atlantic pracował w znajdującym się na siedemnastym piętrze centrum, do którego niezatrudnione tam osoby nie miały wstępu. Większość pracowników firmy tylko snuła spekulacje na temat tego, co robi centrum, które nazywano Króliczą Norą. - Przez cały czas śledzimy każdy jego krok, monitorujemy wyniki jego testów i odporność psychiczną. Wydaje się, że jest bardzo silny i odporny.

- To dobrze - pomyślał Mitchell. Zegar na ścianie wskazywał 7.10. Śniadanie było skończone. Należało zabierać się do pracy.

48

';-•" - Obmyślmy sprawdzian i zobaczmy, jak sobie poradzi.

' Trask zapisał polecenie i skinął głową. Ze wszystkich rekrutacji ludzi do pracy, jakimi zajmował się przez lata, ta była najtrudniejsza. Coś w świecie, w którym gospodarka znajdowała się w stanie przejściowym, sprawiało, że niezmiernie trudno było znaleźć wysokiej klasy, a równocześnie zaufanych zabójców. |•

• ,|||-\* . • || ..... |

W PONIEDZIAŁEK RANO Jeremy jechał samochodem do pracy, a na jego ustach gościł tak szeroki uśmiech, że niemal przez to nie widział drogi. Pomimo odniesionego sukcesu w zawodach i pokonania elektrotresera w domu Wołowiny nikt właściwie nie został mianowany operatorem, dopóki nie przeszedł tradycyjnej obowiązującej w jednostce antyterrorystycznej ceremonii inicjacyjnej. Dzisiejsza uroczystość miała być kulminacją wszystkiego, nad czym tak ciężko pracował, i po trwającej dwa tygodnie selekcji i sześciu miesiącach Akademii Treningowej dla Nowych Agentów (NOTS) za niecałe dwadzieścia minut miał otrzymać zapłatę.

Zwolnił przy głównej bramie wjazdowej do Akademii FBI, machnął odznaką wartownikowi i wjechał na zalesiony teren zadbanego, zamkniętego kampusu, zbudowanego w latach siedemdziesiątych z brązowej cegły i przydymionego szkła. Ciesząca się sławą jednego z najlepszych na świecie miejsc szkolenia agentów Akademia FBI zawsze bardziej przypominała Jeremy'emu college w którymś ze stanów na środkowym zachodzie aniżeli instytucję stojącą na straży przestrzegania prawa. Po jej wąskich drogach spacerowały sobie jelenie oraz mieszkańcy kampusu pogrążeni w rozmyślaniach. I o ich rzeczywistych zadaniach dnia codziennego przypominał jedynie odgłos strzałów i pisk opon gwałtownie hamujących samochodów. No, i jeszcze drut kolczasty.

Jednak w lesie pochowane były budynki niemające nic wspólnego z Akademią. Tuż za bramą, po wschodniej stronie rozłożonego na czterystu akrach kampusu, stał budynek, a w nim naukowcy i technicy, których obdarzano specjalnym zaufaniem, pracowali nad najwymyślniejszym sprzętem podsłuchowym oraz służącym do



monitorowania.

Nieco dalej Jeremy minął wielkie laboratorium badań kryminalistycznych, którego zbudowanie kosztowało sto trzydzieści milionów

49

dolarów. W jego wnętrzu jedni naukowcy odziani w specjalne kombinezony pracowali nad gazami działającymi na system nerwowy, inni znów nad przełomowymi technologiami, jak na przykład nowymi, uzyskanymi na skutek dokonania zmian w kodzie DNA komórkami reagującymi na zapach, co pewnego dnia pozwoli śledczym określić czyjąś bytność w danym miejscu jedynie na podstawie zbadania próbki pobranego tam powietrza. Eksperci komputerowi poszukiwali zaszyfrowanych danych, a patolodzy sądowi, chcąc dowiedzieć się więcej o wpływie środowiska na ciała zamordowanych, obserwowali żerujące na trupach robaki.

Jednak zaledwie pół mili dalej, z tyłu za budynkiem szkolnym i nowo wybudowanym nakładem wielu milionów dolarów kompleksem służącym do ćwiczeń w strzelaniu, znajdował się cel podróży Jeremy'ego - najbardziej strzeżona i tajna ze wszystkich jednostek FBI. HRT -jednostka antyterrorystyczna służąca do odbijania zakładników.

Niemal każdy gość, który otrzymał zgodę na obejrzenie Akademii FBI, mógł podejść wszędzie i wszystko obejrzeć, ale nikt - żaden agent, turysta ani też nawet członkowie rodzin operatorów - nigdy nie poznał sekretów kryjących się za ścianami, za którymi szkolila się ta jednostka. Jedyнным sposobem na dowiedzenie się, co się tam dzieje, było wstąpienie do niej i stanie się członkiem którejś z siedmioosobowych brygad snajperskich lub szturmowych.

Jeremy skręcił na należący do jednostki parking, zatrzasnął drzwi swojego chevroleta suburban, wziął prowiant i podszedł do wejścia, gdzie przesunął kartę przez zaszyfrowany zamek. Napis umieszczony na tabliczce na ogrodzeniu informował, że jest to strefa wyłącznie dla personelu HRT, ale ta informacja wywołała na twarzy Jeremy'ego tylko jeszcze szerszy uśmiech. Od godziny Jeremy Waller nie był już kandydatem na operatora ani też jednym z „pieprzonych żółtodziobów”. Gdy rano dołączył do jednostki w domku z opon na poranną walkę w pomieszczeniach zamkniętych, czyli CQB, był już jednym z członków HRT.

•

- BETSY! POCZEKAJ, BETSY!

Tylko jedna osoba na świecie nazywała panią senator Elizabeth Beechum „Betsy”, a ona nie mogła znieść choćby myśli o tym człowieku. Marcellus Parsons biegł za nią korytarzem, kiedy zmierzała do swojego gabinetu.

50

- Marcellusie, mam na imię Elizabeth - powiedziała, nie zatrzymując się. -A o co chodzi? Dziś rano jestem bardzo zajęta.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o tym całym nonsensie dotyczącym Jordana Mitchella, jaki miał miejsce w ubiegły piątek w komisji.

Marcellus trzymał w prawej ręce egzemplarze „New York Timesa” i „Washington Post”. Jak było do przewidzenia, wiadomość o zeznaniach, jakie składał Jordan Mitchell, przedostała się na zewnątrz i prasa zrobiła z tego czołówki.

Niezidentyfikowane źródła pochodzące z pewnością z obozu Mitchella utoczyły już pierwszą krew, czyniąc zarzut, że przeprowadzone przy drzwiach zamkniętych przesłuchania zostały nieetycznie wykorzystane w celu zahamowania przełomowego postępu technologicznego.

Zdaniem pani senator strategia polegająca na upublicznianiu tej kwestii wydawała się ryzykowna, ale ludzie Mitchella za wszelką cenę chcieli uniknąć posądzenia o kierowanie się chęcią zysku. W wyścigu do fotela prezydenckiego kwestia terroryzmu nadal była najważniejszym tematem, a status międzynarodowej korporacji, którym cieszyło się Borders Atlantic, czynił je podatnym na ataki demokratów szermujących przede wszystkim hasłami nacjonalistycznymi. Właściwie Elizabeth Beechum spodziewała się, że Mitchell zaatakuje pierwszy. To była jego jedyna szansa.

- Jest poniedziałek rano, a ja jeszcze nawet nie wypięłam filiżanki kawy - powiedziała pani senator. - Czytałam dziś rano tę małą diatrybę twojego nowego sojusznika w „Washington Post” i wydaje się, że nie bardzo zrozumiał, iż wszystkie nasze posiedzenia są tajne.

Mówiąc to, wciąż szła korytarzem.

- Nie wiesz, kto to wygadał - prychnął Parsons, usiłując za nią nadążyć. - Panu Bogu wiadomo, że nic nie da się zataić zbyt długo za tymi drzwiami. A ja wcale nie mówiłem o artykule w „Washington Post”, ale o tym, jak my oboje odnosiliśmy

się do siebie przed komisją.

- To znaczy masz na myśli, jak ja się zachowywałam przed komisją - uściśliła Beechum. - Rozumiesz przez to, że powinnam była postępować bardziej „prezydenckim” i że nie atakować tak otwarcie twego nowego dobroczyńcy.

- Cóż, ja... nie - Parsons zaczął się jąkać. - Widzisz, Betsy... to znaczy Elizabeth, te nowe fabryki znaczą bardzo wiele dla mojego stanu. Przecież wiesz o tym. Jordan Mitchell nie jest dopustem Bożym,

51

za jakiego go uważasz; to tylko biznesmen, który stara się wprowadzić na rynek doskonały nowy produkt.

- Taak, podobnie jak Fritz Haber - nie ustępowała Beechum, ruszając znowu naprzód.

- Kto?

- Chemik, który wynalazł gaz cyklon B. - Wyjęła swoją komórkę, ale przypomniała sobie, że w tych olbrzymich, marmurowych pomieszczeniach nie było zasięgu. -

Mitchell to oportunist, frymarzący bezpieczeństwem kraju dla prywatnych korzyści - stwierdziła. -1 mam zamiar go powstrzymać.

- Ale poczekaj... pracowaliśmy razem przez wiele lat i choć czasem coś nas różniło, to nie ścierpię myśli, że coś takiego jak ta sprawa mogłoby...

- „Coś takiego”? - Elizabeth Beechum aż przystanęła na chwilę. - Mówimy o masowej produkcji telefonów komórkowych, którymi terroryści będą mogli posługiwać się podczas swoich operacji jak wal-kie-talkie! Mówimy o zaprzepaszczeniu całych dziesiątków lat ściśle tajnych i niezwykle kosztownych badań, co teraz pozwala nam podsłuchiwać właściwie każdy rodzaj komunikowania się na kuli ziemskiej, jeśli tylko opiera się on na wysyłaniu sygnału! Nie sadzę, że Amerykanie nazwaliby nową zabawkę Jordana Mitchella „czymś takim”. A właściwie uważam, że gdyby ujawnił się ze swoim pomysłem kilka miesięcy wcześniej, to dziś nie musielibyśmy prowadzić tej dyskusji!

- Co masz na myśli? - Poranne słońce wpadające z przyległego gabinetu oświetlało długą, niezgrabną sylwetkę Parsonsa wyjątkowo niekorzystnie.

- Nie udawaj naiwnego - odparła Beechum. - Jordan Mitchell posługuje się tobą, aby zyskać przychylność komisji. Czy faktycznie sądzisz, że choć trochę obchodzą

go ludzie w Montanie? Przenosi te dwie fabryki do twojego stanu po to, aby mieć cię w kieszeni.

- Och, proszę - prychnął Parsons. - Marcellus Parsons nie siedzi u nikogo w kieszeni. A poza tym Komisja do spraw Wywiadu nie jest ciałem prawodawczym. Nie możemy powiedzieć mu, co ma robić. A nawet nie możemy wrócić do tej sprawy, to dlaczego miałyby go to obchodzić?

Beechum widziała po jego oczach, że doprawdy nic nie rozumiał.

- Zainwestował miliardy w ten produkt i chce wprowadzić go na rynek bez cienia kontrowersji - odparła. - Ostatnia rzecz, jakiej mu

52

potrzeba, to przesłuchanie w komisji senackiej na temat implikacji wiążących się z bezpieczeństwem kraju w związku z jego nową technologią telefonii komórkowej. Jeśli wysuniemy tezę, że telefon Quantis to zabawka dla terrorystów - szczególnie w istniejącym klimacie politycznym, to wszystko może skończyć się przed FCC i go zniszczyć.

Parsons nie odzywał się dostatecznie długo, aby Beechum zaczęła zastanawiać się, czy w ogóle rozważał taki scenariusz.

- Ależ dlaczego, to śmieszne - powiedział.

- To rzeczywistość. - Beechum próbowała przystopować, ale odraza sprawiała, że słowa wylatywały jej z ust, zanim zdołała nad nimi zapanować. W świecie, w którym tacy ludzie jak Jordan Mitchell mogą zgromadzić większy majątek niż wszystkie państwa razem wzięte z wyjątkiem siódemki najbogatszych, pieniądze oznaczają władzę. To silnik napędzający świat, polityka zaś to przeżytek. -

Marcellus, czy wiesz, jaki jest problem z takimi ludźmi, jak ty? - odparowała. -

Twoje poczucie wizji politycznej kończy się przy barze znajdującym się tuż nad korytem. Wszystko sprowadza się do pieniędzy - cycka, który można wetknąć do gęby tłumowi - projekty autostrad, subsydia dla farm, wszystko, co przyczyni się do utworzenia stanowisk pracy, wyciągnięcia pieniędzy od podatników, o czym napisze prasa, a następnie co w czasie wyborów przełoży się na głosy.

- Nie próbuj przemienić moich zobowiązań w stosunku do wyborców z Montany w coś nikczemnego. Oczywiście, że reprezentuję ich interesy. Na tym polega moja praca.

- Twoim zadaniem jest reprezentować wszystkich Amerykanów - ripostowała Beechum.

Zanim jeszcze jej życie weszło w nowy etap kandydatki do urzędu prezydenta, Elizabeth Beechum już czuła się zobligowana do bycia przedstawicielką szerszego elektoratu. -A ile osób straci życie, jeśli telefony Mitchella pomogą jednemu, jednemu terrorysty wykonać zadanie? Przecież czytałeś Matriksa 1016 - wiesz, że rozmawiamy o wiarygodnym i bliskim zagrożeniu.

Parsons podszedł blisko do Beechum.

- A może tak zsiadłabyś z tego konia i porozmawiała o faktycznych przyczynach takiego swego stanowiska? - wypalił. - Chodzi ci o slogan w kampanii wyborczej, który zrówna twoje szanse z prezydentem. Występujesz przeciwko Patriot Act, przeciwko Homeland Security Act oraz przeciwko wojnie w Iraku. Ale na tych polach jesteś przegrana, wobec tego potrzebujesz jakiegoś nośnego tematu, bo szala zwycięstwa

53

przechyla się na naszą stronę. - Cofnął się i zamierzał odejść, ale zmienił zdanie. - Nie praw mi kazań, Elizabeth. W tym gmachu nie dzieje się nic bez zakulisowych motywów, a ty myślisz tylko o tym, co możesz zyskać.

Obydwoje patrzyli na siebie, nagle zdając sobie sprawę, że wzdłuż całego, zazwyczaj cichego, korytarza pracownicy wytknęli głowy przez drzwi.

Głos Beechum stał się cichszy, ale za to zamienił się w syk.

- Marcellusie, wierzę w ten kraj i nie zamierzam sprzedać bezpieczeństwa dwustu milionów Amerykanów tylko dlatego, żebyś ty mógł wrócić do swego stanu z obietnicą budowy kilku nowych fabryk. Moim celem jest powstrzymanie go i jeśli będę musiała wykorzystać do tego siłę ogólnokrajowych wyborów prezydenckich, to przysięgam, że to zrobię.

Nieproporcjonalnie wielka górna warga Parsonsa zaczęła drżeć, jak zawsze, gdy był wściekły.

- Wiesz, co myślę? - wyszeptał. - Otóż sądzę, że to jest twój sposób na zatuszowanie wynoszącej czterdzieści miliardów dolarów czarnej dziury w ubocznych wydatkach na te wszystkie tajne projekty, których nikt nigdy nie ujrzy, a o które przez tyle lat walczyłaś. Nie masz nic do zaoferowania wyborcom, więc wzięłaś sobie na ząb Mitchella.

Beechum chciała mu odpowiedzieć, ale porażająca skala ignorancji Parsonsa

wprawiła ją w osłupienie. Owszem, Komisja do spraw Wywiadu przepchnęła kilka tak zwanych tajnych programów, ale tylko dlatego, że cały proces budżetowy wymagał dodatkowego utajnienia.

- To cię gnębi? Tajne operacje? - Pani senator potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Ze względu na dobre maniery nie powinna już posuwać się dalej, ale w Robert's Rules of Order nie ma mowy o aroganckim kretyńcu w kowbojskich butach w rybie łuski. - Wojna z terroryzmem jest o wiele bardziej skomplikowana, aniżeli przydzielanie pieniędzy z budżetu na tajne operacje, panie senatorze - warknęła.

- Najprostsze aresztowanie poza granicami Stanów może spalić na panewce, jeśli jakiś kraj nie zezwoli naszym samolotom na skorzystanie z jego przestrzeni powietrznej. A niezmiernie tajne operacje mogą rozpaść się z powodu jednego expose. Nie próbuj odmalowywać mojego poparcia dla Komisji do spraw Wywiadu jak żłopania z koryta.

- Już on znajdzie sposób, by cię powstrzymać - stwierdził Parsons.

54

Beechum nachyliła się w jego kierunku na tyle blisko, że poczuła wydobywający się mu z ust zapach świeżego bekonu.

- Jedna maleńka rada, senatorze - wyszeptała. - Sprawiedliwość. A ta jest po mojej stronie.

Senator Marcellus Parsons obrócił się na pięcie i niemal pobiegł w kierunku wyjścia, a ona stała i kręciła głową, gdy echo gniewnego stukotu jego obcasów gasło w wyłożonym marmurem holu. Doprawdy nienawidziła tego faceta, jego rzemyka z turkusem zamiast krawata i w ogóle wszystkiego. | r.

||||•  
|| ||

- NO DOBRZE, PODNIEŚCIE GŁOWY... ZACZYNAMY! -

Specjalny agent HRT Billy Luther stał na mównicy znajdującej się na froncie zatłoczonej klasy. To pomieszczenie nie miało ani jednego okna. Na przedniej ścianie wisały dwie ścieralne na sucho tablice, a na tylnej na półkach stały sobie ponumerowane kufle do piwa. W sali siedziało niemal pięćdziesięciu mężczyzn, ubranych przeważnie w zielone spodnie lotnicze ściśnięte w talii paskiem oraz w białe T-shirty, na których widniało logo jednostki - orzeł trzymający w szponach łańcuch i dwa łacińskie słowa: Servare vitas (Aby ratować

życie). Wszyscy wpatrywali się w Luthera.

HRT jest wierne wielu tradycjom, a jedną z najstarszych jest poranna odprawa.

Każdego roboczego dnia o ósmej wszyscy operatorzy zbierają się na coś, co jest jakby połączeniem zebrania i burzy mózgów.

- Hotel? - spytał Luter.

Chuck Price odchrząknął i otworzył małą czarną książeczkę. Już niemal pięć lat był dowódcą brygady Hotel, powietrznodesantowej, i znał obowiązujący dryl.

- Mam Pipeta, Fisha, Redstone'a, Harbaugh ma zajęcia z TO, a Gruby Jack ma ODW za akcję w Khallinie.

A teraz tłumaczenie: szturmowcy z brygady Hotel, Mikę „Pipes” Sinnott i John Fisher szkolili swoje umiejętności wysadzania bram, drzwi itp. w wojskowej szkole w Huntsville w Alabamie. Lukę Harbaugh prowadził kurs z taktyki obronnej po drugiej stronie ulicy, w Akademii Treningowej FBI, a Jack Morrissey odbierał dzień wolny, czyli ODW, bo właśnie poprzedniej nocy wrócił z Bangkoku z bardzo zakręconej akcji łapania zbiega.

55

- Echo? - Billy robił zapiski w książce jednostki i kontynuował przegląd brygad szturmowych.

- Echo obecna. - Z końca sali dobiegł głos Eda Damona. Otworzyły się drzwi i wślizgnął się Les Mason, dowódca HRT.

Usiadł na krześle pod ścianą. Jako jedyny będący w jednostce od samego jej początku cieszył się szacunkiem wykraczającym daleko poza stopień zastępcy naczelnika. Jego teczkę personalną czytało się niczym chronologię największych kryzysów w historii amerykańskiego prawodawstwa: Covenant, Sword, sprawa Armii Boga w 1985 roku, strzał snajperski w Sperryville w 1988 roku, porwanie Fawaza Junisa w 1987 roku, uśmierzenie zamieszek w więzieniu Talladega, Waco, Ruby Ridge, Kosowo, Jemen, 11 września. On wszystko to widział na własne oczy.

- Snajperzy Promienie X?

- Bucky i Cox są na Litwie - wysłani przez FBI - zameldował Jesus Smith. Był najstarszy wśród dowódców brygad i cieszył się ogromnym szacunkiem. Przyszedł do jednostki z Delta Force, gdzie otrzymał liczne medale za odwagę. Była w nim ta trudna do określenia doskonałość, która wynosi urodzonych przywódców ponad

innych. Miał w sobie powagę.

- Tiny ma być na urlopie macierzyńskim... to znaczy bierze go, jako ojciec... jakiś czas go nie będzie.

- Nie wiedziałem, że był w ciąży - wymamrotał ktoś. Zaczęły się żarty. Dave Shellenby, szturmowiec z brygady Charlie, wyczuł, że można pożartować, i nie czekał ani chwili.

- Będzie karmić piersią - oznajmił. Rozległ się huragan śmiechu.

- No, dobra, skończmy przegląd - powiedział Billy, śmiejąc się. Przebiegł przez resztę spisu: brygady Charlie i Golf (szturmowe), Yankee, Whiskey i Żulu (snajperzy). Wszyscy obecni.

- Okay, szefie - powiedział Billy, zwracając się do Lesa Masona. - Są twoi.

To mówiąc, Luther zszedł z mównicy, a na środek pokoju wyszedł Mason. Zapanowała cisza. Pięciu nowych członków jednostki siedziało pod ścianą. Byli to: Walter, Mikę Moss, Jorge Salinas, Will Andrews i Fritz Lottspeich. Jako najmłodszy rocznik operatorów, musieli odwalać całą czarną robotę. Teraz nadszedł czas, by powitać ich na pokładzie.

56

- Wszyscy wiecie, że nie lubię ceremonii - powiedział Mason. Osiem lat bycia snajperem wyrobiło w nim zamiłowanie do niedomówień. - Ale o kilku rzeczach muszę powiedzieć.

Oparł obie ręce o mównicę.

- Nasz kraj jest w stanie wojny. Możecie to nazwać wojną w cieniu lub za zamkniętymi drzwiami - jak chcecie, ale to wojna, której być może nie rozumiecie. Mamy do czynienia z wrogiem, który jest silniejszy, zręczniejszy i szybszy aniżeli wszystko, co dotychczas widzieliście. Nie nosi munduru i nie zawsze ma imię.

Odchrząknął.

- Za kilka minut otrzymacie zadania. Zaprowadzą was w miejsca, o których nigdy się wam nie śniło, i będziecie musieli robić rzeczy, o jakie nigdy nawet byście się nie podejrzewali. Musicie zrozumieć, jeszcze zanim pociągniecie za sznurek tego dzwonka, że zaakceptowanie tego przydziału oznacza oddanie się. Poświęcenie. Perfekcję jako sposób życia, poczynając od tego, jak biegniecie w domku z opon,



aż do sposobu, w jaki bierzecie na ręce swoje dzieci.

Serce każdego z obecnych wypełniło identyczne poczucie dumy.

- Nasze prawa tu są niezłomne. Po pierwsze: na naczelnym miejscu zadanie, które trzeba wykonać. Nasze życie zależy od naszych kolegów.

Nikt nawet nie mrugnął. Codziennie przechodzili obok McAllister, liczącego już sobie dwadzieścia lat drzewa, zasadzonego ku pamięci pierwszego operatora zabitego podczas wykonywania zadania. Każdy rozumiał znaczenie słów Lesa.

- Po drugie: nic nie wydostaje się poza próg tego pomieszczenia. -Wskazał na znak nad drzwiami. Napisane było po grecku, a było to motto Spartan: EXO TES THYRAS OUDEN, czyli „Poza tymi drzwiami nie ma nic”.

- Nie obchodzi mnie, czy to dyskusja w przydrożnym barze, czy Biały Dom - ostrzegł Les. - Macie jakąś sprawę i jest ona tu omawiana, to nie wychodzi poza ten pokój. Kropka. Nie mamy zbroi, lecz honor.

Shellenby zaczął strzelać kostkami u rąk, a reszta zaczęła go naśladować i ten dźwięk narastał, przypominając walenie w pancierz

przed bitwą. Oczy wszystkich zwróciły się na świeżo upieczonych operatorów, którzy siedzieli pod ścianą znieruchomiali od zdziwienia tym dźwiękowym przejawem solidarności.

- Servare vitas - powiedział Mason, przytaczając motto jednostki. Skinął głową w stronę Billy'ego, który poszedł w kąt sali i podniósł

57

wielki, mosiężny dzwon, taki jaki jest na statkach, przytwierdzony do dębowego stojaka. Od powstania jednostki, co miało miejsce 3 stycznia 1983 roku, przyjęcie każdego nowego operatora odbywało się w ten sam sposób. Każdy nowicjusz wychodził na środek sali, wykrzykiwał swój nowo otrzymany „numer alfa”, dzwonił dzwonem i oznajmiał gotowość do pełnienia obowiązków.

Billy ustawił ciężki, pięknie wypolerowany dzwon na stole. Les odchrząknął.

- Specjalny agent Will T. Andrews - wywołał. - Brygada Charlie. Billy wstał i wyszedł na środek. Ledwie opanował uśmiech.

- HR-27, jestem gotów - powiedział. Schylił się i pociągnął za sznur, napełniając salę pięknym dźwiękiem i przywodząc każdemu na myśl jego własny, pierwszy dzień w tej pracy.

Mason nie tracił czasu na sentymenty.

- Specjalny agent Fritz Lottspeich. Snajperzy. Brygada Promienie X. Teraz Fritz wyszedł na środek, zadzwonił.

- HR-28, jestem gotów - oznajmił. i < Les jechał dalej, po kolei. ->•\*.,

- Specjalny agent Michael A. Moss. Brygada Echo, szturmowcy. Specjalny agent Jorge Salinas. Brygada Hotel, szturmowcy. Uścisnął im dłonie, gratulując z tym samym autorytatywnym skinieniem głowy, a każdy z nich dzwonił.

- Specjalny agent Jeremy M. Waller. Brygada Promienie X. Snajperzy.

Jeremy wstał i ruszył na przód sali. Jeśli mógłby, to wybrałby brygadę szturmową, ale HRT rzadko brało pod uwagę czyjeś osobiste preferencje. Przynajmniej będzie razem z Fritzem, a to też nieczęsto się zdarzało nowicjuszom.

- HR-28, jestem gotów - zawołał Jeremy. Zadzwonił, wywołując w sobie falę emocji, która rosła mu w przetyku i zawężała pole widzenia. Uścisnął dłoń Lesa i poszedł na swoje miejsce, starając się zachować stoicyzm, który z taką dumą obnosili ci mężczyźni.

- Snajperzy - pomyślał. - A, niech będzie. - Zadanie przede wszystkim i czy mu się to podoba, czy nie, tak ma być.

1/0

es\*

i ri cf' ^^ A sf e ••• co |fi w -r; >> C ? >, |"i . \* I 1 -« 5- 'f 2 -i -Jl ^

|f

« L» 2

2, u u fi 'C

" °" 8 g «

C^

(-J

<Ly

OS

a -o

X>

3 "ab

.2 ń

|a c . 'c > x: -o 3 '3 .2

i?j? L\* <?L

3 "o o -o iT fi 3 °-m >, \*- -o 'n o —

« >^ .2 \* % >> .S

o

60

t/5

•S g I '§| 2 g ~& '.S1

"Sn -^ 2 & \* ^ 'L |-

5 o x> L

S! c X> ? w" cu fi e ^ Lj ? ,,

- to ,,

-O c/3 .fi

\* 'fi 2

° n • € Ó C » 5 €«2cu^-2cu3fc:

"» ^ o ""^ ^ -^ |<S-T«

<L>

B

3

3 o n3

|u °-

ffl | c/3 »2

c« "B -> o

a> C

N -O

I

a

03 N

-o ca

I ^

ca

c

c o.

.o fi.

-^ - oo^

a" "S K i

^ 4> ^ (U ci-3 ^

c fi

^ ca

n %

— -o -§

©o. \_ -

N O

N N

O C

s •=> o p^ >> \* «. •S 13 73 ^ '51 >, o

o-

2. fi' N

|- M

t> B V, ^ \* h\* e O \* ii -2 ? \*?,

'U " | n

o «ca o r> O C H — U Xł

O

'ca^

c

N

c/3 CU

1:3 s fi Ł.ocę gja

C/3

I

GC

| ca

'5, § M

-ir 'C >>

tU v<fl

O T3

0Q iS

3

E o

T3

•|E

o ca

-a l-

.2 .S

c ™

-t/3 'S

cu E

8 «

•S «

e 8-

ećT cu

N -N

>-<

CU 3

Lj -^

(U cf

C N

s a

ei E

CU >>

5 i

.Z-. C/3

ca ca

ECO i c ^ >^ Vj

N :s •\*

«3 \*J O

o- S fi cu a. S

—' c cU

I i. .-2

E fi c

" B «

- %

o

^.2

N O

N

CU

Ss .

N CU

° E ca 0 c >-o ca

ca \*

ca ^

|JU CU

U CO

0Q n.

ca CJ

W .2-

PQ

< ^

N CU

J 2\*

W 'E,

>.

N

CU -N

C 3

O C3

rC 'N

\_g -0

•- •\* -S

•—, cu O

^ E L

CU O ? "i?

c

N O

ca

o

^»s ..

LE

o >.

fi. fi

t- ca

>> c

X)

2 M

•S o

ca L

u o

cu a

&I13

N O

^ o.

s .2"

E 'S

ca w

L- o.

00 o E

Lh C3

O. ^i

ca e

-= t

o %

^-o -s

-^r- ri ca

? O O

a -co c

"fi h «>

^ 3

O O C

^> i

>, \*

N ,u L3 CU

o m

|a -8

|2, .a ..

J5

|N

O

c

E ca

c

L

co

-2 "oo

c3

C

E

3 JS

CU

CU

aa

N



-o

CU

L»

N 0-i

co

e >

N O

cu

& N N t.

•o S |-

o o.

I

|fi : 15 ^ .

ca c/3

ca x> Cm O

N o\* tio

"~i

ca 2 >>

\*2 C m

c cu j\*;

ozda onw inde

^ |\*

ca ca' J3"

a. ^ c^

co O ofl

'5b c 'c? JJ-

o

3 O.

CU

'%

ca

>->»

C/3 T3

ca

N

-o

-4—\*

cu"

n o

l c

l ca

i-

CO

3 T3

fi

c2

Xl

N

.5: ca

— c w

-o ^

oo ,c

>.L

c^ 8

1^

xi ca

O N o es

•s gl

N .\_i

i- cu^

3 fi

„N

4= «

-I

•° Q

"- cu ca c B 5 >% "i

- L

co ^

CU-----,

'c^.2,

M fi

etfl X>

g E^

O fc-

fi ca

o

3 '

ca ^>

E 2 boia

\* E

2 g

g Q

c« \_

^:€

5 .2 c x>

ii

% •-, \*

.Ś? fi -^ -lf « .2

§^ co ca

:- c

'ó\*1 cu O c3

|3 «

2 3

c S.

-o ca

o <y

Eg

D. 5 ca

cu Vi

N CJ CU

N O CU

o

CU •N

ca

x>

o

ca' > .!

fi X) N

•O cu cj

CO N CU

O ł-i • —

E ^? fc

cu 2

Cu c

•|M ryl

e .2 a

c r- K

T3 e cu O

c5 2 ^

N C T3

> CU

^ N

O s-

CU ^

O

fi

o -

fi '2, -2

•a? l

|3 fi

O fi cj O

L

CU

ii

-O cj

^ c

S N

2 S o 2

—, J^ c ?

> co co

.2 ca

• — N N

-a cu ^

o cj -o

L O XX>

2- >>

N co

'i I

•O ca O 'o

L •\* =

cu "

Ł3 o

"\* CU

J2 la

N M

o T

B H

ca u. o <

•° J3 cu Cj

'n %

"O K O .2  
00 O O ^  
IS  
° g  
.2- n  
C/3  
-o '57  
s 'fi  
fi 'S  
N Oh  
CU  
-CJ CU  
ca co  
u, "-X> CU  
cu ca  
;2  
cu  
2 « •S fi  
ca  
o.  
0Q -^ cj  
cj ca'  
3 '<?  
OS 00  
N  
L ^  
cu -O  
"S |\* .2 »  
cu -Ss  
N fi V- CU D. N  
C N  
21

'co c

-CJ CU

>> CO

•M 'C

.2 -fi

o ^

2 -

E °

o °-

•o ^

-o 2

-co .Ti

5 o.

a. ca

RozpAtlll

ELIZABETH BEECHUM wracała wcześniej do domu. Był pierwszy piątek lipca i pani senator jak zawsze miała radio nastawione na program Wszystko, co ważne stacji NPR. Menedżer zajmujący się jej kampanią powiedział jej już na samym początku, że pomimo dość marnych wyników słuchalności tej stacji, była ona czasem najlepszym ze wszystkich środków masowego przekazu barometrem sympatii na rzecz Partii Demokratycznej. Do ogólnokrajowej konwencji demokratów pozostały już tylko trzy tygodnie, cały kraj był rozpolitykowany, a nazwisko Elizabeth Beechum uplasowało się na samym szczycie listy wyborczej.

- Listy - powiedziała Beechum na głos. - Tyle namnożyło się tych list.

Zaczynała mieć na ich punkcie obsesję. Terminy dotyczące kampanii, przemówienia, zbieranie funduszy, rankingi, sprawozdania z badań fokusowych, urzędnicy obsługujący ogólnokrajową konwencję Partii Demokratycznej, organizatorzy zebrań w okręgach, indeksy głosów wyborców - sporządzała swoje własne listy na podstawie tych publikowanych. Piętrzyły się na jej biurku w gabinecie, który zajmowała jako przewodnicząca komisji senackiej w budynku Dirksena w gmachu Senatu na Kapitolu, a także na biurku w siedzibie Partii Demokratycznej oraz w domu. Pełno ich było także w jej samochodzie, w teczce, w kieszeniach i w snach.

Beechum pędziła w kierunku północno-zachodnim autostradą Rock Creek. Ręce zaciskała mocno na kierownicy, myślami przebiegając sprawy, które musi jeszcze załatwić przed dzisiejszym wieczornym przemówieniem w ogrodzie botanicznym dla przewodniczących zrzeszenia związków zawodowych AFL-CIO. Dlatego chciała szybko wpaść do domu, odświeżyć się, przebrać, zatrzymać się na chwilę na Kapitolu i spotkać z Chrisem Matthewsem, a później z dziennikarzem

59

z CNN. A wszystko to w niecałe dwie godziny, bo potem czekało ją kluczowej wagi przemówienie do władz związkowych.

Przemówienie. Ach, ty skończona kretynko! - złała samą siebie. Przecież powinno ono figurować na pierwszym miejscu na liście rzeczy do zapamiętania, a wychodząc, zostawiła je na samym wierzchu na biurku w swoim gabinecie w budynku Dirksena. Uderzyła pięścią w kierownicę, wywołując tym uśmiech na twarzy mijającego ją kierowcy, który mrugnął do niej i uniósł kciuk w górę. Teraz, kiedy była jednym z dwóch kandydatów do nominacji Partii Demokratycznej na kandydata na prezydenta, mogła zapomnieć o prywatności oraz o emocjach. „Ktoś zawsze cię obserwuje” - przypomniała sobie te słowa, zjeżdżając z autostrady do Georgetown. Do listy spraw, nad którymi należało jeszcze popracować, będzie musiała dodać samokontrolę.

Gdy jechała wschodnią stroną M Street, ruch wydawał się większy niż zwykle. Wszędzie: na chodnikach, w barach i sklepach pełno było tryskających niespożytą wręcz energią studentów. W innym momencie byłaby podekscytowana widokiem i odgłosami tego emanującego młodością miasta, ale nie tego wieczoru. Kandydowanie na urząd prezydenta oznaczało puszczenie w niepamięć wszelkiej spontaniczności i kapryśności, a wybranie dyscypliny, poświęcenia, strategii i koncentracji.

Oznaczało... wrrrrrrrr, wrrrrrrrr, wrrrrrr - jej komórka zaczęła wibrować - doprowadzanie do szału.

- Halo? - powiedziała, sprawdzając, kto dzwoni. Numer wydawał się znajomy, tak jak jej własny.

- Jeszcze nie dotarłaś do domu? - rozległ się męski głos. To był James Appleton, jej sekretarz do spraw administracyjnych.

- Właśnie skręciłam na Wisconsin. - Mówiąc to, gwałtownie skręciła kierownicą,



aby uniknąć manewrującej wśród ruchu ulicznego elektrycznej hulajnogi. Roboty budowlane zwężyły przejazd do jednego pasma ruchu, zmieniając zwykły uliczny korek w parking przepelniony wściekłymi, wymachującymi pięściami kierowcami. - Zaraz, zanim zapomnę. Zostawiłam tekst dzisiejszego przemówienia do AFL-CIO na...

- Czy słuchasz stacji NPR? - przerwał jej James. Beechum słyszała w telefonie głosy z biura, z którego dzwonił James, pracujące maszyny biurowe i dzwoniące telefony.

- Próbuję - odwarknęła. Sięgnęła, aby nastawić głośniej radio w chwili, gdy poprzez ryczące wokół niej młoty pneumatyczne i ryczące

60

na cały regulator radia stereo dobiegł jężnający głos. To był Parsons. -Do diabła, co on ma do powiedzenia? - zdumiała się.

- Mam to przemówienie... - odparł James, usiłując nawiązać przerwana rozmowę. - A on rozpętuje ofensywę w sprawie Borders Atlantic. Lepiej posłuchaj... hej, muszę iść. Zadzwoń, gdy on... Telefon wyłączył się, stając się częścią tego chamowatego szaleństwa, wytyczającego teraz jej życie.

„Rozumiem, że senator Beechum ma zobowiązania wobec obywateli tego kraju - grzmiał w radio głos Marcellusa Parsonsa - ale popełnia błąd, próbując użyć tego w charakterze bicza bożego w roku wyborczym. Mamy wiele ważniejszych kwestii, na których należy się skupić, jak na przykład uporządkować naszą politykę wobec terroryzmu i ujednoczyć działania CIA, FBI i NSA. To przecież nie są wybory prezesa rady nadzorczej, ale prezydenckie, i to w tym samym czasie, w którym prowadzimy wojnę z terroryzmem”.

Elizabeth Beechum wyłączyła radio i skręciła w Prospect Street, w kierunku swego domu. Już dość się nasłuchiwała patetycznej gadaniny Parsonsa. Nie miał nic nowego do powiedzenia, a słuchanie tego kretyna tylko wprowadziłoby ją w zły humor i z pewnością nie byłoby mądrym posunięciem, zważywszy wagę jej wieczornego wystąpienia. Centrala związkowa AFL-CIO wciąż nie udzieliła jej swego poparcia, a teraz nadarzała się najlepsza sposobność uzyskania przewagi nad Venable'em.

- Znakomicie, Elizabeth - powiedziała sama do siebie, naśladowując słowa swego trenera wymowy. Wyrzuciła już z pamięci myśli o Par-sonsie i skręciła mercedesem na N Street w kierunku szeregu starych, eleganckich domów z piaskowca -jej

adresu od ponad dwudziestu lat. I chociaż kochała swoje rodzinne stany, Karolinę Północną i Południową, to jej życie jako polityka, a także prywatne, znalazło swoją przystań tu, w Georgetown, eklektycznej społeczności złożonej z biurokratów, artystów i ważnych osobistości. Czasem wydawało się, że tysiące mil dzieli ją od tytoniowych pól hrabstwa Berkeley, ale w czasie tych dwustu jeden dni, w które Senat obradował, adres 173 N Street NW wciąż był dla niej domem.

- Do cholery, Elizabeth, kiedy zamierzasz zadzwonić do władz miejskich w sprawie tego parkowania? - warknęła pod nosem. Pani senator wykręciła szyję, usiłując zaparkować równolegle swój wielki sedan. Dwa ekscentryczne przyzwyczajenia często przysparzały jej kłopotów: tendencja do głośnego myślenia i dorożkarski język. Niewiele

61

kobiet klęło publicznie tak jak Elizabeth Beechum, a jeszcze mniej potrafiło się od tego odzwyczaić. - Za stara jesteś na to wszystko!

Zatrzasnęła drzwiczki samochodu, przewiesiła torebkę przez ramię, drugą ręką zebrała rzeczy, które odebrała z pralni, i aktówkę i weszła na stopnie domu.

Większość z pewnością przypuszczałaby, że wybrany w drodze wyborów urzędnik ma kogoś, kto dba o jego pranie i go wozi, ale ponieważ wyścig do Białego Domu był tak blisko, Elizabeth Beechum nie chciała ryzykować i zarobić w oczach wyborców miana „otoczonej służbą ważniaczy”. Aczkolwiek jej personel, osoby pracujące przy kampanii wyborczej oraz ochotnicy, troszczyli się o jej pewne obowiązki, to jednak codziennie rano wstawiała z łóżka, w którym była sama.

Elizabeth Beechum szła F Street w kierunku swego domu, starając się zapomnieć o Parsonsie, Mitchellu, Matriksie 1016 i całej technologii SBT. Był piękny, choć parny dzień, jeden z tych czarownych, kiedy to słońce migocze na rzeką Potomac, malując białe marmury i brązy głębokimi, mieniącymi się odcieniami szkarłatu i różu. Dawniej nazywano to czerwoną pogodą. Legenda głosi, że Abraham Lincoln zobaczył to zjawisko po raz pierwszy latem 1861 roku i uznał za przepowiednię krwawej wojny.

- Strugger di gioia di timor mi sento... - śpiewała na głos pani senator, starając się dostroić swój nastrój do złamanego półaltu interpretacji arii Ecco U monologo z opery Adriana Lecocq. - A może dzisiejsza czerwona pogoda to

także zapowiedź wojny - pomyślała. Co prawda prezydencka krucjata przeciwko terroryzmowi zesłała w cień, ale batalia przeciwko demokratom dopiero nabierała tempa.

Senator Beechum szła szybkim krokiem, spoglądając na ostatnie już kwiaty rosnących w donicach nagietków, chryzantem oraz azalii wyglądających z podwórek i ogródków w górze i w dole ulicy. Jej sąsiedztwo zmieniło się bardzo od chwili, gdy po raz pierwszy przybyła tu w 1982 roku, ale wciąż było to jej ulubione miejsce w Waszyngtonie. Budynki zachowały swój wiktoriański urok, mimo że większość starych rodzin wyprowadziła się, sprzedając domy młodszym, bogatszym i mniej nastawionym na robienie pieniędzy. I gdyby nie rangę rovery, ścieżki dla uprawiających jogging i maty do jogi, pani senator zaledwie dostrzegłaby, że od jej zamieszkania tu czasy się zmieniły.

Zanim doszła do swoich drzwi, już zdołała się opanować. Apieprzyć Parsonsa, Mitchella i ich jałowe gadki - pomyślała, wracając myślami

62

do zbiórki funduszy na rzecz jej kampanii wyborczej. Nie ma potrzeby brać cokolwiek z tego do siebie - to jest polityka: czysta i zwyczajna. Nauczyła się przez wszystkie te lata z tym godzić.

Wsunęła klucz do starego zamka i pchnęła drzwi. Mieszkanie pachniało skórzanymi obiciami i świeżymi kwiatami - dwoma zapachami, które kochała od dzieciństwa. Jej ojciec Ancil Beechum wychował ją w domu, w którym nie było kobiety, w jednej z tych rozległych dynastii Południa, z których waszyngtońska prasa tak uwielbia kpić. W obecnej generacji nieuznającej palenia papierosów uprawianie tytoniu nie było już uważane za zajęcie godne dżentelmena, ale Elizabeth Beechum wciąż odnosiła się z szacunkiem do tej spuścizny. Uprawa tytoniu zapewniła jej dobre życie i nigdy o tym nie zapomniwała.

- Halo? - krzyknęła, wchodząc do holu, raczej z przyzwyczajenia, bo jej gosposia miała wychodne.

Rzuciła rzeczy odebrane z pralni, torebkę i aktówkę na stół stojący pośrodku holu i poszła do kuchni, napawając się spokojem swego starego domu. Coś w tym gasnącym świetle dnia przypomniawszy jej chwilę, w której zobaczyła go po raz pierwszy - charakterystyczny punkt Georgetown, zbudowany, gdy Waszyngton był

niewielką miejscina, w której czuć było zapach mokradeł i gdzie w miejscu, na którym stoi dziś Smithsonian Institute, odbywał się handel niewolnikami. Pani senator przypomniała sobie, jak bogaty blask mahoni i dębu zamigotał w oczach Paula, jej męża na widok tego domu. Jako profesor historii był zafascynowany, dowiedziawszy się, że to miejsce należało kiedyś do Ellingtona Peacha, szanowanego waszyngtońskiego prawnika, po wojnie secesyjnej oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Konfederacji. Paul rozpoczął własne studia nad rezydencją i odkrył, że Peach wybudował tajne schody prowadzące z piwnicy do ukrytego na drugim piętrze pokoju. Zapewne członkowie jego szpiegowskiej siatki korzystali z tunelu prowadzącego z przylegającego obok ogrodu, aby zakraść się do domu i tu planować swoje działania. Dalsze badania za pomocą latarki i drąga ujawniły zatęchłe pomieszczenie nad kuchnią i nadal nadającą się do przejścia drogę ucieczki prowadzącą na pobliski klomb z petuniami.

Ale to były dawne czasy, zanim jeszcze jej ukochanego zżarł rak, a ona została sama w Waszyngtonie. Tajny pokój stoi teraz pusty i zamknięty - podobnie jak stał przez sto albo i więcej lat, pojawiając się tylko przypadkowo we wspomnieniach w popołudnia takie jak to, kiedy światło przywodziło jej na myśl łatwiejsze chwile.

63

- Tęsknię za tobą, kochanie - zawołała do człowieka, którego nadal, przez wszystkie te lata, jakie minęły od jego śmierci, nosiła w sercu. Czasem nawet nikłe wspomnienie o nim było dla niej ostoją.

Elizabeth Beechum właśnie przechodziła koło drzwi do garderoby, gdy usłyszała jakiś hałas. Zaskrzypiały schody. To był znajomy dźwięk w starym domu, słyszała go już tysiące razy.

- Rosa... myślałam, że dziś wieczorem masz wychodne - zawołała. Jej gosposia, gdy brała wolne, jechała do swojej córki do Aleksandrii.

Nie było odpowiedzi.

- Halo! Rosa, mówię do ciebie! - krzyczała Elizabeth. Cofnęła się krok, aby spojrzeć w górę głównych schodów, ale nie było tam nikogo. Po chwili odwróciła się w stronę kuchni i poszła nalać sobie kieliszek wina. W starych domach słyhać różne dźwięki, zdecydowała, a jej chciało się pić.

PO PRZYJĘCIU DO HRT Jeremy Waller nie interesował się zbytnio polityką. Biuro HRT dało mu zaledwie trzy dni na spakowanie rzeczy i wysłało go do odległej o milę od Akademii FBI Szkoły Snajperskiej Korpusu Piechoty Morskiej. Tam miał odbyć jeszcze miesięczne specjalistyczne szkolenie. Podczas gdy Andrews, Moss i Salinas dołączyli do swoich brygad szturmowych i zaczęli trenować w pobliżu budynku należącego do HRT, Waller i Lottspeich spędzali dni, leżąc w zbożu lub w sosnowych lasach, gdzie uczyli się swego zawodu, sztuki walki w polu, szycia ghille i kamuflażu, oceny odległości, ukrywania się -jednym słowem wszystkiego, co tylko jest potrzebne do podniesienia „sztuki zabijania” na wyżyny maestrii.

- Jastrząb do tropiciela Numer Jeden - rozległ się jakiś głos. - Widzę ruch na twojej szóstej.

Dzisiejsze zajęcia koncentrowały się na „podchodach”, czyli czołganiu się przez otwartą przestrzeń, ukrywaniu się w widocznym miejscu i strzeleniu do wroga, zanim on strzeli do ciebie. Jeremy leżał twarzą do dołu na polu, podczas gdy z walkie-talkie żołnierzy z Korpusu Piechoty Morskiej dochodziła wrzawa. Ostatnie blaski popołudniowego słońca padały mu na ramiona, a łokcie i kolana krwawiły od czołgania się przez czerwoną glinę Wirginii. Właśnie natrafił na resztki ofiary lisa i choć spodziewał się, że ta kupka futra i wnętrzności należała kiedyś do

64

oposa, to jednak trudno było to stwierdzić z całą pewnością. Po dwóch dniach gnicia na słońcu każda padlina śmierdziała tak samo.

Sztuka zabijania - pomyślał Jeremy. Jeśli w tej nędznej harówce kryła się jakaś sztuka, to jej nie znalazł.

- Jastrząb, uwaga - krzyknął niski, krępy marinę. - Już idę.

Gdy w oddali umilkły ciężkie kroki, na polu zapadła cisza.

Dyscyplina - przypomniał sobie Jeremy. Choć zasady wciąż wydawały się nieco mylące, cel tej gry o wysoką stawkę był jasny: miał cztery godziny, aby przeczłogać się przez otwarte pole, wykryć dobrze zamaskowany cel i namierzyć go. W każdym innym miejscu mogłoby to uchodzić za dość proste, ale w Cjuantico nie było proste. Przede wszystkim tym „wrogiem” był instruktor z piechoty morskiej zwany Pittsem, który skrył się gdzieś na linii drzew ze swoją lunetą i latami doświadczenia. Studenci przezywali go Jastrzębiem ze względu na jego

niesamowitą zdolność do dostrzeżenia ich, gdy starali się podkraść i pokonać go jego własnymi zagraniami. Pitts był strażnikiem celu. Oficjalnie był ofiarą, ale faktycznie to on na ogół wygrywał.

Aby jeszcze wszystko utrudnić, należało pokonać niezwykle skomplikowane przeszkody, za co dostawało się punkty. Znalezienie celu i oddanie strzału to zaledwie mizernych pięć punktów. Snajper, jeżeli po oddaniu pierwszego strzału wciąż pozostawał niewykryty - a strzelano ostrą amunicją, pomimo wiążącego się z tym ryzyka - musiał leżeć absolutnie nieruchomo, podczas gdy tropiciel mógł podejść na wyciągnięcie ręki. Jeśli nadal pozostawał niewykryty przez Jastrzębia, snajper musiał oddać drugi strzał i to mając świadomość, że jest obserwowany. Jeśli udało mu się to i nie został zauważony, wówczas tropiciel miał dosłownie wyciągnąć rękę i dotknąć snajpera, ale tylko wtedy, gdy ten tak się ukrył, że Jastrząb nadal nie mógł go dostrzec. Wtedy snajper otrzymywał dziewięć punktów. Dziesięć można było dostać za niezauważalną ucieczkę, wyczyn niemal niemożliwy do wykonania.

A co najgorsze dla niektórych uczestników tego kursu, podchody były dziesiątym i ostatnim zadaniem w trwającej dwa tygodnie nauce podchodzenia. Egzaminy zaliczano, jeśli otrzymało się osiemdziesiąt punktów, przy czym co najmniej raz ocenę najwyższą, a więc dziesięć punktów. Jeremy radził sobie doskonale z tą wymagającą grą w kotka i myszkę, ale ponad jedna trzecia żołnierzy piechoty morskiej już odpadła. Lottspeich ze swoimi siedemdziesięcioma punktami ledwie się utrzymał.

65

- Co my, do cholery, tu robimy? - rozległ się jakiś szept. Jeremy odwrócił głowę w lewą stronę i zobaczył swojego kolegę z HRT. Fritz leżał zaledwie piętnaście stóp od niego, płaski jak cień, i wcale nie wydawał się zadowolony.

- Nie ruszaj się, aż znajdę tego fiuta - powiedział Jeremy. Zasady zabraniały pomagać sobie wzajemnie, ale pochodzący z Chicago Lottspeich nie mógł przystosować się do swoich nowych zadań. Jeśli dziś nie dostanie najwyższej oceny, odpadnie.

- Widzisz go? - Fritz leżał idealnie nieruchomo.

- Jeszcze nie.

Słońce huštało się tuż nad horyzontem, zapewniając jeszcze może przez trzydzieści minut światło dnia. Czas uciekał, a oni wciąż nie mieli pojęcia, gdzie szukać Pittsa.

Jeremy nieznacznie podniósł głowę i rozważał swoje szanse. Wiedział, że jeśli tylko znajdzie cel, to nie będzie miał problemu z oddaniem strzału. Celne strzelanie przychodziło mu łatwo, ale pomagał mu w nim wyczynowej klasy karabin na nabój .308, zbudowany specjalnie dla niego według jego wymagań przez rusznikarzy FBI. W komorę zamkową remingtona 700 wkręcona była sportowa lufa Harta ze stali nierdzewnej, z matowozielonym pokryciem Birdsonga, osadzona samonośnie w łożu Mcmillana z włókna szklanego, a polerowany mechanizm spustowy zwalniał bijnik przy nacisku dokładnie 2,25 funta. Na broni zamontowany był dziesięciokrotny celownik optyczny Unertla, a skórzana baka grubości 3/16 cala zapewniała doskonały odstęp źrenicy od okularu.

W dzień czy w nocy, w arktycznym zimnie lub w pustynnym upale grzmiący gną Jeremy'ego wsparty na dwójnogu mógł poczynić znaczne spustoszenia. W jego pewnych rękach był on w stanie z odległości pół mili wpakować trzy kule pod rząd w otwór wielkości hokejowego krążka.

Niestety Jeremy nie mógł strzelić do czegoś, czego nie widział. Aby wkroczyć do gry, musiał znaleźć lepszy punkt obserwacyjny i dokładnie przeszukać wzrokiem całe pole.

BUUM! Rozległ się huk wystrzału. Ktoś go wyprzedził.

Nie ma problemu - pomyślał Jeremy. Piechota morska nie przyznaje nagród za szybkość.

- Zostań tu, dopóki nie znajdę jakiegoś miejsca, w którym można by się schować - wyszeptał do Lottspeicha. Płatanina zeschniętych gałęzi

66

i liści po prawej stronie wydawała się dobrym miejscem, z którego można by prowadzić obserwacje. Jeremy znał już teraz na tyle dobrze zasady tej gry, aby wiedzieć, że skoro jeden z nich oddał strzał do Jastrzębia, to teraz inni mieli swobodne pole do działania. Lepsza szansa już się nie nadarzy.

- Wiesz, że muszę dostać dziesięć punktów, żeby to zdać - przypomniał mu Fritz.

Rozmowy o tej iluzorycznej punktacji zajmowały im większą część czasu.

- Nie podnoś dupy, dopóki nie wrócę - ostrzegł go Jeremy. Jeszcze nigdy żaden snajper z HRT nie odpadł z tego znanego ze swej trudności szkolenia i Jeremy nie miał zamiaru pozwolić, aby jego kolega był pierwszy. - Rób, co ci mówię, i za godzinę idziemy na piwo. Na razie.

Powiedziawszy to, dał nura w trawy. Gdzieś na tym polu siedział sierżant z korpusu marines wyposażony w lunetę z czterdziestokrotnym powiększeniem i wrogo usposobiony, a Jeremy miał zamiar go zabić.

PANI SENATOR ELIZABETH BEECHUM wyciągnęła butelkę swojego ulubionego starego

wina ze stojącego na podłodze stojaka, naląła sobie pełną szklanę, po czym zgasiła światło w kuchni, które Rosa w roztargnieniu zostawiła zapalone. Teraz zamierzała pójść na górę i szybko się wykapać. Oświadczenia o stanie majątkowym kandydatów biorących udział w kampanii szacowały jej majątek na trzy do siedmiu milionów dolarów, ale pomimo to pani senator nie widziała potrzeby marnować elektryczność.

„Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”, mawiał zawsze jej ojciec, który przekształcił czterdzieści akrów pasa nieużytków w jeden z największych arealów w Charleston tylko dlatego, że dbał o każde ziarnko. I Elizabeth nigdy nie zapomniała o cnocie oszczędzania.

Idąc przez korytarz, pani senator chwyciła rzeczy, które odebrała z pralni, oraz aktówkę, weszła na górę po schodach i przeszła przez hol do łazienki - prowadziły do niej drugie drzwi na lewo. Zanim zapaliła światło, cisnęła rzeczy na olbrzymie, pamiętające jeszcze czasy rezydencji plantatorów sprzed wojny secesyjnej łóżko i zasunęła żaluzje na olbrzymich, sięgających od podłogi do sufitu oknach. Wychodziły na ulicę, wpuszczając w dzień piękne światło słoneczne, ale wieczorem wystawiając ją na aparaty fotograficzne paparazzich, reporterów oraz

67

wścibstwo sąsiadów. Tak jak wszystkie osoby publiczne, już dawno temu nauczyła się, że odrobina ostrożności pozwala uniknąć niewy-mierzalnych strat.

Kiedy już znalazła się w zaciszu swojej sypialni, pociągnęła łyk merlota i pozwoliła, aby chłodne, czerwone wino zatrzymało się na chwilę na języku.



Postawiła szklankę na francuskim sekretarzyku i przeszła przez garderobę do łazienki. Dźwięk płynącej z kranu wody oraz smak wina odpychały całodniowy stres coraz dalej i dalej. Kiedy weszła do garderoby i zaczęła się rozbierać, wszystkie szacunki, listy gości, rozważania partyjne i wyniki sondaży opinii publicznej wydały się o wiele mniej istotne.

- Imiona - powiedziała do swego odbicia w lustrze. - Jak to ma na imię żona Franka Morgana? - Elizabeth Beechum zdjęła zakiet kupiony w domu Lord & Taylor, przypomniawszy sobie, jak ważne może być zapytanie kogoś o żonę, jeśli prosi się tę osobę o dotację przewyższającą sumę stu tysięcy dolarów. - Nancy - przypomniała sobie. - A synowie: Darrell i Jon.

Nancy prowadziła zbiórkę wśród demokratów w stanie Wirginia, głównie w hrabstwach znanych z hodowli koni - a właściwie tego, co jeszcze z nich zostało - i zamierzała zebrać milion siedemset tysięcy dolarów, głównie podczas popołudniowych herbatek oraz meczy polo. James zarezerwował dla nich miejsca u szczytu stołu, mając nadzieję na dodatkową szczodrość w zamian za uznanie.

- Córka Toma Kolikowskiego właśnie urodziła chłopca... Emme-ta? Athola? Andersa? - mruzczała. - Andersa. A co, do cholery, stało się z imionami takimi jak Dick czy Fred?

Pani senator spojrzała na zegarek i zdjęła bluzkę. Było akurat dość czasu, aby przed przemówieniem odprężyć się w solach do kąpieli. Powiesiła bluzkę na wieszaku o wyściełanych miękko ramionach i odwróciła się w kierunku płynącej z kranu wody.

Zauważyła coś, rozpinając i zdejmując spódnicę, ale nie zwróciła na to uwagi. Po całym domu tańczyło światło zachodzącego słońca, a poza tym obraz, jaki dostrzegła w lustrze, zmartwił ją. To zdumiewające, jak zaczyna być widoczny na mnie upływ lat - pomyślała, stojąc tylko w staniku i w majtkach. Ciężar i nieustanny bieg partyzanckiej polityki zebrały swoje żniwo, szczególnie teraz, kiedy rytm kampanii o nominację partii na kandydaturę na prezydenta zawładnął godzinami, które zazwyczaj przeznaczala na spanie. W wieku pięćdziesięciu pięciu

68 lat nadal zwracała uwagę, ale teraz bardziej zajmowaną pozycją niż wyglądem.

Właśnie odwróciła się w kierunku łazienki, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy.

Elizabeth Beechum podeszła do łóżka, by go odebrać.

- Halo? - powiedziała, stojąc w samej bieliźnie. Chłodne powietrze przyjemnie głaskało jej skórę.

- Pani senator Beechum - usłyszała męski głos. - Tu Andy Peltier z Grupy.

Przepraszam, że niepokoję panią w domu, ale proszono mnie, abym zadzwonił i powiedział pani, że na prośbę prezydenta spotkanie Starfire zostało przesunięte na godzinę trzynastą.

Elizabeth Beechum potrząsnęła głową i stłumiła w sobie chęć udzielenia nagany.

Ten człowiek wchodził w skład personelu Antyterrorystycznej Grupy Bezpieczeństwa w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, a Starfire było zakodowaną nazwą satelickiego projektu realizowanego przez otoczone ścisłą tajemnicą Krajowe Biuro Rozpoznania. Był to jeden z trzech programów, które telefon Jordana Mitchella wystawiał na wielkie niebezpieczeństwo. Tylko napomknięcie o Starfire przez niezabezpieczony przed podsłuchami telefon naruszało co najmniej z pół tuzina protokołów bezpieczeństwa.

- W porządku - powiedziała. - Będę tam.

Rozłączyła się. Udzielenie przez telefon reprimendy temu nieostrożnemu urzędnikowi byłoby tylko sygnałem dla każdego podsłuchującego rozmowę. Lepiej złożyć formalną skargę na piśmie, a wtedy Rada Bezpieczeństwa Narodowego nie będzie mogła jej zignorować.

- No dobrze, zobaczymy, ile masz do powiedzenia, gdy sprawdzi się ciebie - mruknęła Beechum. Nigdy nie przyzwyczała się do stylu bycia, jaki reprezentował personel Białego Domu, szczególnie za republikanów. Podobnie jak ich szef większość z nich obnosiła swoje ego porównywalne wielkością z rozmiarami Teksasu, z którego pochodził prezydent, i nie wykazywała zainteresowania prawami ułożonymi w celu rządzenia mniej zamożną częścią społeczeństwa.

Elizabeth Beechum poszła z powrotem do łazienki, wybierając numery na klawiaturze telefonu. Gdyby złapać Jamesa, zanim wyjdzie, to przynajmniej mógłby zająć się pracą papierkową. Mając tyle innych spraw na głowie, nie chciała jeszcze i tego dodawać do listy rzeczy, które należy zrobić.

DZIESIĘĆ MINUT ZAJĘŁO Jeremy'emu podczołganie się trzydzieści stóp i przetoczenie pod gmatwaninę korzeni powalonego dębu. Szyja go bolała, oczy piekły, a pragnienie domagało się, by wstał i zakończył całą sprawę. Ale odrzucił wszystkie te myśli. Ból to uchodząca z ciała słabość. W HRT powiedziano mu, że odczucia tego rodzaju nigdy nie powinny przesłonić wagi zadania.

- No, dobrze, ty skurwysynie - szepnął do Pittsa nieco zbyt głośno. - Gdzie, do cholery, jesteś?

Jeremy wyciągnął z futerału na broń lornetkę i ostrożnie podniósł się nieco, aż do brzegu swojej nowej kryjówki. Przeczesał wzrokiem całe pole, począwszy od wysokiej sosny na horyzoncie, a następnie od lewej strony do prawej, przesuwając lornetkę w dół pod kątem pięciu stopni. Gdyby tylko znalazł cel, to miałby czas, aby ustawić Fritza w odpowiednim miejscu, i zarobiłby on te punkty, których potrzebował, aby zdać.

Jeśli zaś naprawdę dopisałoby mu szczęście, to mógłby i sam zyskać dziesięć punktów. A to szczególnie by się dziś przydało, bo pomiędzy żołnierzami piechoty morskiej a operatorami z HRT zaczęła dochodzić do głosu rywalizacja. Jeden z tych diabelnych cwaniaków, Nakamura, założył się o kolejkę dla wszystkich dziś wieczorem w barze, że dopadnie Jastrzębia pierwszy i zawiesi sobie jego skalp u pasa, a Jeremy nie miał najmniejszego zamiaru stawiać kolejki czternastu spragnionym facetom.

Myśl tak, jak twoja ofiara - przypomniał sobie słowa instruktora. -Postaw się w jego sytuacji i pokonaj go jego własną grą.

Szukał powoli i metodycznie, zwalczając chęć pośpiechu, gdyż dzień miał się już ku końcowi. Gdzie ukryłbym się przed klasą przyszłych snajperów? - zastanawiał się. Po pierwsze, Pitts musiałby znaleźć jakiś zaciszny zakątek i to taki, aby słońce padało mu na plecy, wtedy bowiem słońce oślepi zbliżających się snajperów i zwiększy prawdopodobieństwo powstania zdradzieckiego błysku w celowniku optycznym. Po drugie wykorzystuje na pewno topografię terenu. To pole przechodzi dalej swoim północno-zachodnim krańcem w wąską dolinę, toteż może on się schować na wzniesieniu, dokładnie na linii lasu. Każdy, kto tylko będzie przechodzić przez tę wąską nizinę, musiałby chyba stać się niewidzialny, aby się przedostać.

A wreszcie wybrałby chyba jakiś

znaczący punkt, tak by jego tropiciele wiedzieli, w jakim kierunku mają się zwrócić, gdy zawoła ich, aby wykryć kogoś ze snajperów. Biorąc pod uwagę teren oraz odległość, powinien był wybrać miejsce położone wysoko, a równocześnie dobrze widoczne, jak na przykład rozwidlenie konarów albo dużą, złamaną gałąź.

Jeremy przepatrywał horyzont za pomocą swojej małej lornetki i szukał tak długo, aż znalazł dokładnie to, co sobie wyobrażał. To jest to. Tam będę - postanowił Jeremy, kierując się w stronę stuletniego modrzewia. Potargane przez wiatr drzewo stało, górując nad wszystkim na horyzoncie, z dwoma konarami uniesionymi w górę niczym dwa maszty. Dokładnie obejrzał teren u podnóża drzewa, aż wreszcie znalazł swój cel: oto siedział tam sobie sierżant sztabowy Emory Pitts, wraz z ośmiocalową tarczą, stanowiącą cel strzałów, tuż ponad lewym ramieniem.

Jeremy nastawił azymut - 187 stopni - i zaczął rozważać możliwości. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, gwarantując jeszcze mniej niż dwadzieścia minut światła. Po odgłosach poprzednich strzałów wnioskował, że nikt jeszcze nie zauważył Pittsa. To były strzały do iluzorycznego celu, bo snajperzy bezowocnie próbowali zyskać punkty. Wobec tego wciąż miał szansę wygrać.

- Dość już tego węszenia w kółko, Waller - szepnął sam do siebie, tak żeby tylko się odezwać. - Czas brać się do roboty.

\*

ELIZABETH BEECHUM WESZŁA do łazienki, wciąż wystukując numery na klawiaturze swojego telefonu komórkowego i złoszcząc się na pogwałcenie zasad bezpieczeństwa, co sprawiło, że znów zaczęła myśleć o Jordanie Mitchellu. Matrix 1016 zarysował wyraźny i wiarygodny dowód, że jego wysiłki zmierzające do budowy nowego telefonu Quantis stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju, ale nie mogła nic zrobić, aby upublicznić ten raport. Jak długo Parsons siedział u Mitchella w kieszeni, tak długo Senat w pełnym swoim składzie nigdy nie zgodzi się poddać tego tematu pod obrady.

Przestała wystukiwać numery i schyliła się, aby zakręcić wodę, która niemal już się wylewała z wanny. Zdumiewające - pomyślała. Nie liczyło się, że zarówno CIA,

jak i DIA niezależnie od siebie dowiedziały się, iż planowany jest atak na krajowy system bankowy. Dla

71

Marcellusa Parsonsa i jego popleczników, to znaczy właścicieli fabryk w Montanie, liczyły się dolary, stanowiska pracy oraz głosy - i kryjąca się za nimi wielce lukratywna technologia SBT. To było widoczne, tajne raporty zaś zawierały tylko spekulacje.

Elizabeth sprawdziła wodę końcem palca, ale stwierdziła, że jest za gorąca, aby od razu do niej wejść, wobec tego skończyła wybierać numer, rozpięła stanik, powiesiła go na wieszaku na ręczniki i zsunęła majtki. I wtedy to dostrzegła - najpierw cień, a potem jakąś postać, która szybko przemknęła przez drzwi holu. To była postać ludzka. Pani senator szybko cofnęła się do garderoby.

- Kto tam jest? - zawołała.

Myśl, że wtargnął tu jakiś intruz, nie od razu przyszła jej do głowy. To musiał być ktoś inny, może Rosa albo James, lub błysk na ścianie. W Stanach Zjednoczonych zajmowanie odpowiedniego stanowiska pociągało za sobą poczucie nietykalności. Mieszkała w tym domu -i w tym mieście - przeszło dwadzieścia lat i nigdy nie miała najmniejszych kłopotów.

- Kto tam?

Teraz go usłyszała. Sosnowa podłoga zatrzeszczała za jej plecami i Elizabeth Beechum nagle zrozumiała, że jest naga i nie sama.

- Co... ? - zaczęła wołać, ale słowa ugrzęzły jej w gardle. Z tyłu chwyciła jączyją ręką, więc odwróciła się w kierunku wysokiego mężczyzny w wieku czterdziestu paru lat, ale on obrócił ją znowu tyłem do siebie, zanim zdążyła dobrze mu się przyjrzeć.

- Przepraszam, pani senator - powiedział. Żadnych emocji, w jego słowach nie można było wyczuć cienia akcentu ani indywidualnego brzmienia. - To nie jest sprawa osobista.

Niemal przez chwilę mu uwierzyła - jak większość ofiar. Irracjonalne myśli przebiegły jej przez głowę, gdy intruz schwycił ją za włosy - ..zostawiłam kieliszek z winem w sypialni. Samochód wymaga przeglądu. Z ust Parsonsa zawsze czuć bekon.

Intruz otoczył jej szyję ramieniem, a przed oczami Elizabeth zaczęły przesuwać się różne obrazy. Zasłonka w kabinie prysznicowej. Kobaltowo-niebieski dzbanek na umywalce. Tatuż w jaskrawych barwach przedstawiający rzucane kości do gry na przedramieniu tego mężczyzny. Na plecach czuła szorstki materiał jego koszuli. Ten człowiek miał na rękach rękawiczki - lateksowe, chirurgiczne rękawiczki, takie jak mężczyzna, który wiele lat temu przyjechał karetką, aby zabrać jej

72  
męża. Ten gumowy uścisk przywarł do jej skóry, gdy próbowała się od niego uwolnić.

- Proszę... - zaczęła błagać, ale ramię mężczyzny zaciskało się na jej szyi, a ona czuła, jak osuwa się na niego, ślizgając się na kafelkach, niezdarnie machając rękami, usiłując przykryć piersi i łono.

- Proszę... nie... -nie w ten sposób- pomyślała. Nie dziś.

Strach przerodził się w gniew, postanowiła się bronić, ale było za późno. Uścisk dokoła jej gardła zacieśnił się, podczas gdy mężczyzna coś mówił, a słowa plątały się wraz z adrenaliną i jej uciekającą świadomością. Ostatnie, co Elizabeth Beechum zapamiętała, to myśl, że bardzo chciałaby się wykapać.

\*| '4.....\* ' \*

JEREMY PRZEŚLIZGNAŁ SIĘ w lewą stronę, w kierunku Lott-speicha. Mógłby łatwo wygrać, bo zajął dobrą pozycję, ale musiał myśleć o koledze. Teraz należało wrócić i przyprowadzić go tu.

- Fritz! - szepnął, kiedy już przebył otwarte pole. W miejscu, w którym leżał Lottspeich, trawa była pognieciona, ale on sam zniknął.

Co za cholera? - dziwił się Jimmy, starając się nie unosić głowy, ażeby nie zdradzić swojej pozycji. Dokoła słychać było strzały z karabinów - to inni kursanci strzelali w desperacji. Słychać je było z lewa, z prawa i z tyłu, a jeden od strony doliny. Nakamura wciąż nie znalazł Jastrzębia.

Jeremy leżał przez chwilę spokojnie, usiłując wymyślić kilka sposobów wyjścia z tej sytuacji. Fritzowi z pewnością już zbrzydło czekać i stracił nadzieję na znalezienie celu. Szlak jego „ewakuacji” wiódł w lewą stronę i oddalał się od doliny, ale z dającej przewagę dobrego ukrycia się kryjówki Jeremy'ego nie dało się zobaczyć, jak daleko Fritz odszedł. Czy starczy czasu, aby iść za nim?

Trrach! Uwagę Jeremy'ego przykuł trzask łamiącej się gałęzi drzewa. Dokładnie na prawo, jakieś trzy długości człowieka od Jeremy'ego ubrany w ghille snajper czołgał się w kierunku doliny.

Waller wpatrywał się dostatecznie długo w przesuwający się wzgórek składający się ze sztruksu i z juty, aby domyślić się, że jest to kamuflaż, w którego środku znajduje się człowiek. Snajperzy z piechoty morskiej trzymali swoje karabiny przed sobą, a tymczasem ten ciągnął

73

go za sobą w pokrowcu. Na nogach miał zamszowe buty, takie jakie noszą rangersi, ghille uszyte na bazie kamuflażowej koszuli i zasłonę na twarz z rozplecionych konopi. Może miał też jakieś imię. To był Lottspeich, Waller nie miał co do tego cienia wątpliwości.

- Tropiciel Dwa, lepiej odwróć się w tamtą stronę - zawołał Pitts przez radio do swoich pomagierów. - Znajdź mi strzelca dwadzieścia metrów od twojej szóstej. Jeremy zaczekał, aż był pewien, że tropiciel już przeszedł, po czym dał nura w tunel traw, goniąc swego niecierpliwego towarzysza. Sprawy przybrały szybki obrót i nie było czasu, by bawić się w zachowanie ostrożności.

BUUM! Kolejny strzał z karabinu, tym razem gdzieś na wprost.

- Cholera - syknął Jeremy. Ktoś inny znalazł cel i znajdował się przed nimi.

- Gdzie jesteś? - zawołał tropiciel, usiłując znaleźć strzelającego; Jeremy leżał absolutnie nieruchomo, nasłuchując, kiedy z radia usłyszy cenne dla siebie komentarze. Teraz Pitts na pewno nie odrywa oczu od lunety. Tu wśród traw było na pewno jeszcze z tuzin snajperów, a on chciał odrzucić tyłu, ilu tylko zdoła, zanim zabrzmi dzwonek.

- Nic nie mam - relacjonował Pitts. - Powiedz mu, aby strzelił jeszcze...

BUUM! Brzdęk!

Jeremy usłyszał metaliczny dźwięk tarczy, którą Pitts miał przymocowaną powyżej ramienia. Ktoś najwyraźniej uzyskał osiem punktów.

- Nic nie mam - biadolił Jastrząb. Nie cierpiał przegrywać. - Kto to jest?

- Nakamura - oznajmił tropiciel tak głośno, by usłyszał każdy z obecnych na polu. Jeremy czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Do zakończenia zadania pozostało zaledwie kilka minut, a on nie oddał jeszcze żadnego strzału. Jeśli nie namierzą

Nakamury, to wszyscy będą pić na koszt Jeremy'ego.

- Jeszcze go nie dostałeś - wyszeptał.

Ponieważ Lottspeich zniknął gdzieś z przodu, Jeremy zajął jego miejsce i popędził przed siebie. Z prawej strony znajdowała się mała rozpadlina zarośnięta trawą i korzeniami, dotarcie do niej było niebezpiecznie odsłonięte, lecz nie było już czasu, by szukać lepszej kryjówki. Pozostawała ta albo żadna.

74

Ostatnie dziesięć stóp dzielące go od tego miejsca Jeremy przebył niemal w powietrzu. Przez chwilę zastygł w bezruchu, a potem przetoczył się wraz ze swoją lornetką i ocenił widoczność. Doskonała. Przed nim rozpościerała się cała dolina, tuż po swojej lewej stronie widział Lottspeicha, jak przemykał za młodymi świerkami, próbując zająć pozycję strzelecką. Nieco bliżej leżał Nakamura, tylko trochę bardziej w przodzie, przy wejściu do doliny, nie dalej niż w odległości piętnastu stóp. Pewny siebie żołnierz piechoty morskiej sprytnie się zatrzymał, czekając, aż Pitts ujawni się i ktoś inny odda strzał.

Jeremy rozważył własne możliwości. Pozostało jeszcze nie więcej niż cztery lub pięć minut do zmierzchu. Lottspeich zdaje się, że znalazł cel i dobrą kryjówkę, ale nie był gotów do oddania strzału. Jeśli Jeremy zaczeka na niego, to nie wystarczy już czasu, aby obydwaj strzelili i dostali świetne oceny. Pozostawał więc tylko wybór: uratować Lottspeicha lub pokonać Nakamurę.

Jedynie możliwe wyjście wydawało się oczywiste. Jeremy ostrożnie wyciągnął karabin z futerału i rozsunął roślinność dookoła, tak aby wyeliminować możliwość bocznego światła albo oświetlenia jego sylwetki. Upewnił się, że nic nie wpłynie na zmianę toru pocisku, a następnie ostrożnie, używając ogrodniczego sekatora, wyciął w wysokiej trawie ścieżkę, która zamaskuje odbłask lufy. Ustawił bęben podniesienia, wprowadzając poprawkę na opad pocisku na półtora kliknięcia, i uwzględniając siłę wiatru w celu perfekcyjnego strzału, dodał jeszcze ćwierć minuty kątowej. Wreszcie wsunął nabój do komory nabojoyej i załadował karabin. Jedno pociągnięcie za spust i Nakamura będzie wiedział, że gra jeszcze się nie skończyła.

Położył palec na spuście, ustawił krzyż celownika na tarczy znajdującej się za Pittsem i odetchnął głęboko, jak zawsze robią snajperzy przed oddaniem



śmiercionośnego strzału. Bolał go każdy mięsień. Język spuchł z pragnienia. A czas uciekał.

Jeremy delikatnie dotykał palcem spustu i czekał na ruch Naka-mury. Było prawie ciemno, a niecierpliwy marinę chciał już sobie stąd pójść. Musiał jedynie podczołgać się w górę doliny i uciec. Jego chęć zwycięstwa niemal brała górę nad dyscypliną i czekaniem.

Zaczekaj... zaczekaj... zaczekaj... - uspokajał sam siebie Jeremy, kiedy Nakamura czołgał się tuż obok, nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, nieświadomy, że tuż obok jest jego kolega. Lottspeich sprawiał wrażenie niemal przygotowanego do strzału, jeszcze trzydzieści sekund i strzeli.

75

- Nie dziś, ty garnkogłowy - pomyślał Jeremy. Najzdolniejszy z nowego narybku HRT zaczerpnął śmiercionośny haust powietrza... i strzelił.

ELIZABETH BEECHUM OCKNEŁA SIĘ, leżąc w kałuży krwi. Natychmiast odzyskała przytomność, tak jak po jednym z tych stanów półsnu, kiedy zrywasz się z łóżka, zastanawiając się, czy jeszcze żyjesz. Ale równie szybko pogrzyła się w mgliste zdumienie, które ogarnia człowieka, gdy doznał urazu. Głowa bolała ją bardzo, szczególnie potylicą, ale ból nie usprawiedliwiał tego, co ujrzała dokoła siebie. Krew. Kałuże i plamy w najróżniejszych odcieniach czerwieni i czerni tam, gdzie krew przyłgnęła, rozmazała się albo rozlała.

Kobieta sięgnęła ręką do krocza, modląc się, aby nie okazało się, że została zgwałcona, i zastanawiając się, czy zdoła to poznać. Ale nie miała tam żadnego czucia, podobnie jak w całym ciele, które zdawało się jakieś odległe, jak gdyby straciła je i nie wiedziała, jak odzyskać.

Udało się jej chwycić za brzeg wanny i uklęknąć. Z powierzchni wody unosiła się para, a z kranu kapała woda, przerywając tym dźwiękiem niesamowite napięcie - plusk... plusk... plusk.

- Och, Elizabeth... - westchnęła. Jej łazienka, jej piękna łazienka wyglądała jak z horroru. Wszędzie było pełno krwi. Na ścianach odbite krwawe dłonie, zacieki dokoła zasłonki od prysznicy, która zwisała porwana ze złamanego drążka. Długi, poszarpany ślad wiódł do holu, gdzie chyba jakaś zjawa odcisnęła znaki na podłodze - ludzka postać w zakrzepłej krwi, jakby upadło tu potwornie

pokaleczone ciało, a następnie powlokło się dalej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknęła Beechum, podejrzewając, że ten człowiek być może ukrył się gdzieś za rogiem. Zachwiała się do tyłu, usiłując wstać i poślizgnąwszy się na śliskich czerwonych kafelkach, upadła na umywalkę, potem na podłogę na coś ostrego - to był jej telefon komórkowy. A obok leżał rewolwer, kolt kalibru .45 półautomatyczny, który dostała od ojca, gdy tylko przeniosła się do Waszyngtonu.

Miasto, to miasto - powiedział jej. - Dla zbrodni nie ma żadnej różnicy, czy to Nowy Jork, czy Waszyngton.

76

Chwyliła broń z podłogi i ścisnęła rękojeść rewolweru, usiłując na-macać spust przez śliską, zakrzepłą krew, która skapywała z lufy i z rękojeści. Broń? - zdziwiła się, przeskakując myślami z tematu na temat bez żadnego racjonalnego związku. - Dlaczego paliły się wszystkie światła? Kiedy miasto zrobi coś w sprawie nielegalnego parkowania? Czy zatkała butelkę z winem? Nie było czasu na zastanawianie się, w jaki sposób broń znalazła się obok niej. Opuścił ją zdrowy rozsądek.

- Nie wyjdiesz, ty skurwysynie! - zaklęła, ale nikt nie odpowiedział.

Ostrożnie! Ostrożnie! - powtarzało echo w jej myślach, ale kołatał się w nich strach zmieszany z gniewem. Elizabeth Beechum przysunęła się odrobinę w kierunku otwartych drzwi, chwytając powietrze i wystawiając przed sobą stal broni niczym sondę. Umiała strzelać. Jeśli dorastało się na farmie, to broń była rzeczą powszedniego użytku, narzędziem, którym posługiwać się nauczył ją ojciec, czy to strzelając do nicponi, czy też przynosząc do domu pożywienie. Ale ona nigdy nie musiała używać jej do obrony - aż do dziś.

Skierowała rewolwer znów w stronę garderoby, a potem z powrotem w kierunku drzwi. Wydawał on dziwny, szumiący dźwięk, gdy tak się obracała, i sprawiał, że znów odwracała głowę w tym samym kierunku. Machała pistoletem w tę i we w tę, niepewna, w którą stronę się zwrócić. Ale nikogo tam nie było. Żadnego innego dźwięku poza jej oddechem i miarowym rytmem kropli wody spadających z kapiącego kranu.

- Kim jesteś? - krzyczała kobieta. W jej umyśle pojawiały się rozmaite obrazy:



do drugiego strzału.

Pitts natychmiast skierował lunetę w stronę, z której dobiegły go wystrzały.

Gdzieś tam w trawie leżeli snajperzy, ale on widział tylko jednego, Nakamurę.

Jeremy na chwilę odwrócił wzrok od celownika, ale to mu wystarczyło, aby napawać się widokiem wysmarowanej kamuflażową farbą twarzy swego przeciwnika.

- Pieprz się, Waller! - krzyknął marine.

- Co masz? - spytał tropiciel Numer Dwa, nadbiegając z radiem w rękę i zatrzymując się przy Nakamurze.

- Snajper u twoich stóp - padła odpowiedź. Nakamura odpadł. Już jako dziesiąty tego dnia.

- Powiedz tym dwóm ostatnim strzelcom, że czasu i światła starczy już tylko dla jednego z nich - poinformował przez radio Pitts.

78

- Zarezerwujcie to dla Lottspeicha - odparł, uśmiechając się, Je-remy. Tym razem jego kolega dobrze się ukrył i Jastrząb nie miał najmniejszych szans go wypatrzeć.

BUUM! To Fritz walnął ponownie. A Jeremy zbierał w tym czasie swoje rzeczy i kierował się w stronę autobusu, wiedząc, że Fritz zda i otrzyma ocenę celującą - dziesięć punktów. Być może Jeremy'emu Wallerowi nie udało się dziś pokonać Korpusu Piechoty Morskiej, ale wygrał, i to na pewno.

•

NA MIEJSCU ZBRODNI w domu Elizabeth Beechum zjawił się osobiście szef policji Dystryktu Kolumbii. Kiedy przybył, było już tam z pół tuzina agentów FBI oraz innych tajnych służb, a także dwie karetki pogotowia, wozy strażackie i lekarz z Kapitolu. Telefonował też przebywający z oficjalną wizytą w Chinach prezydent; chciał się dowiedzieć, jak czuje się pani senator - co było przebiegłym politycznym posunięciem zabarwionym autentyczną osobistą troską. Stacje telewizyjne CNN, Fox oraz trzy inne zaparkowały już wozy transmisyjne przed jej domem i rozpoczęły relację na żywo, a gapie zostali usunięci z całej F Street.

- Wiem, że to dla pani trudne - powiedział jakiś mężczyzna. To był jeden ze śledczych do spraw zabójstw - niski, łysy, około pięćdziesiątki. Teraz pochylał się nad Elizabeth Beechum, starając się ją pocieszyć, a ona, chociaż zawsze

uważała się za silną kobietę, zaczęła płakać na wspomnienie tego gwałtu, okropnego ataku i kompletnego pogubienia się we wszystkim, co się wydarzyło.

- Nie pamiętam... po prostu nie pamiętam - chlipała.

W jej głowie fruwały jakieś obrazy, ale zupełnie bez związku. Był tam jakiś mężczyzna w rękawiczkach. Jego uścisk niczym imadła wokół jej szyi, ten tatuaż i ta krew. Broń...

- Nie widziałam jego twarzy - powiedziała, mając na myśli tego, który ją zaatakował. - A co z moim przyjęciem? Ktoś powinien zadzwonić i powiedzieć, że nie będę na przyjęciu. Rozejrzała się po pokoju pełnym obcych twarzy, ludzi chodzących po jej wspinałym domu. -I zgaście te wszystkie światła. Marnujecie prąd. Przestańcie - zażądała. - To mój dom. Czy nie przestaniecie?

Ktoś wręczył jej kawałek papieru, prosząc o pozwolenie na przeszukanie domu.

Podpisała, nawet nie patrząc. Oczywiście, że mogą przeszukać dom.

79

- Tak jest, proszę pani, załatwimy sprawę tego przyjęcia - powiedział detektyw.

Machnął do kogoś w mundurze i kazał mu zgaścić część świateł, co na chwilę

uspokoilo panią senator. - Więc nie widziała go pani? - spytał. - Wobec tego po co pani broń?

Ten detektyw przeprowadzał śledztwa w sprawie setek zabójstw: popełnionych w domu, przedziwnych, seryjnych morderstw, masowych dokonanych w przyływie ataku szaleństwa, porachunków gangsterskich, zabójstw na zlecenie, przy okazji grabieży - ale jeszcze nigdy w żadne z nich nie była zamieszana osoba tak wysoko postawiona. Elizabeth Beechum była jedną z najważniejszych osobistości w Senacie Stanów Zjednoczonych, prowadziła w wyścigu do fotela prezydenckiego i była chyba najbardziej znaną kobietą w Waszyngtonie. Stacje telewizji kablowej nadawały już obszerne transmisje, wymądrzając się i pokazując plansze, na których zaznaczono ślady od wystrzelonych w domu kul. Podjeżdżały taksówki pełne reporterów, a szef planował konferencję. Jeśli dobrze rozegram swoją partyjkę - medytował sobie detektyw - to może pokażą mnie w telewizji. Jego dzieci byłyby zachwycone.

- Broń? - zdziwiła się Beechum. Rozejrzała się po pokoju, jak gdyby odpowiedź na to pytanie znajdowała się gdzieś pośród antyków lub olejnych obrazów. - Ja nie...

- wybelkotała - ja nie wyjmowałam swojej broni. Ocknęłam się, a ona leżała obok

mnie.

- Nie pamięta pani, aby brała pani broń? - spytał detektyw. Jedną ręką obejmował mały notes, a drugą bawił się czarnym ołówkiem. Przeszedł obok nich fotograf sądowy, kierując się w stronę zasłonki od prysznic. W całym domu błyskały flesze i rozbrzmiewały jakieś głosy. Elizabeth Beechum otarła łzy.

- Trzymałam ją w górnej szufladzie i nawet nie miałam możliwości jej wyjąć - powiedziała. Łzy płynęły teraz ciurkiem, krztusiły ją, zaskakiwały i dławiły każdą odpowiedź.

- Elizabeth, jak się czujesz, kochanie? - Otoczyło ją jeszcze jedno ramię. - Czy nie widzi pan, że ta kobieta przeżyła szok? - spytał rozkazująco jakiś głos.

- Tak, proszę pana, a kim pan jest? - odparł detektyw. Ta nowo przybyła osoba była ubrana w garnitur wart dwa i pół tysiąca dolarów, wykończoną ręcznie koszulę i miała chusteczkę w kieszonce marynarki. Żadnych odznak ani dokumentów tożsamości.

- Jestem Phillip Matthews - odparł mężczyzna. - Jestem adwokatem tej pani i to już koniec tych pytań.

#### Rozdział IV

JORDAN MITCHELL NIGDY się nie ożenił. I nie dlatego, że nie podobała mu się instytucja małżeństwa. Wręcz przeciwnie. Uważał małżeństwo za szlachetny związek, ukuty z zaufania i wzajemnego szacunku. To były najlepsze elementy składowe każdych więzi. Przynajmniej taka panowała opinia. Jednak jego życie potoczyło się w innym kierunku.

- Czy mają jakieś dzieci?

Mitchell siedział na składanym krześle na trawniku w swojej wiejskiej posiadłości w South Egremont w stanie Massachusetts, w rozległym sanktuarium zbudowanym z piaskowca i drewna świerkowego. Ostatnie chmury letniej nawałnicy przetoczyły się przez górę Greylock, ustępując miejsca pięknemu słońcu w zenicie. Trask, jego szef sztabu, nalał pellegrino do wykonanego ręcznie pucharu Simon-Pearce i podał mu teczkę z papieru manila.

- Trójkę - odparł. - Dwóch chłopców i dziewczynkę.

Mitchell otworzył teczkę i mrużąc oczy pomimo okularów słonecznych, spojrzał na gruby plik papierów. Ci z siedemnastego piętra dali mu z pół tuzina personalnych

dossier, z których każde dotyczyło budzącej nadzieje osoby, przydatnej w jego projekcie Quantis.

- No, dobra, moi mili! Czas zająć stanowiska. Ten facet nie może zmarnować na to całego dnia.

Drugi na liście najbogatszych obywateli Stanów Zjednoczonych potrząsał głową i nie mógł się nadziwić dziwnej scenie rozgrywającej się wokół niego. Namioty, sprzęt oświetleniowy, makijażystki i samochody firm cateringowych przekształciły jego idylliczny ogród w obraz jak z planu filmowego. Asystenci produkcji, elektrycy, styliści i aktorzy uwijali się dokoła, starając się w dwie godziny (bo tyle dał im Mitchell) zrobić wszystko to, co zazwyczaj zajmuje im osiem godzin.

81

- Na miejsca, na miejsca, na miejsca! - wołał nie bardzo wiadomo do kogo jakiś niezmiernie wysoki i chudy asystent produkcji. Był ubrany w czerwone brezentowe spodnie i wysadzaną kolorowymi szkiełkami koszulkę.

Mitchell nigdy nie pozwoliłby na taką inwazję swojego azyłu, a szczególnie w dzień powszedni, ale ważni klienci tak często pytali go, dlaczego nie ma w swoim gabinecie zdjęć rodziny, że postanowił coś z tym zrobić. Trask skontaktował się z agencją teatralną w Nowym Jorku, prosząc o przeprowadzenie castingu - chodziło o dzieci, rodzeństwo, rodziców, jednym słowem o całą fałszywą rodzinę, której zdjęcia stanowiłyby dla Mitchella swego rodzaju listy uwierzytelniające.

Najlepszy fotograf magazynu „Vanity Fair” zgodził się w ramach osobistej przysługi zrobić wszystko tak, by wyglądało jak najbardziej realnie. Tak więc Mitchell wygospodarował czas i przyleciał tylko na te popołudniowe zdjęcia. zakładka..

- A co z żoną? - spytał Mitchell, starając się nie zwracać uwagi na chaos.

Wyciągnął zrobione podczas przeprowadzania rozpoznania zdjęcie z dossier numer siedem i przesunął palcem po stanowczej twarzy kobiety z klasy średniej. - Co ona robi?

Żony zawsze go fascynowały, a właściwie kobiety w ogóle, choć w niezbyt zdrowy sposób. Poza matką kobiety znał tylko z oficjalnych przyjęć, a także całe rzesze narzuconych nianiek. Istoty rodzaju żeńskiego nie odgrywały zbyt wielkiej roli w

jego życiu. Dojrzałość przyszła późno, podczas drugiego roku studiów w Andover, a mieszkanie w męskim internacie nie stwarzało zbyt wielu okazji do randek. Jego jedyne doświadczenie z kobietami odbyło się za pośrednictwem dwóch starszych braci, którzy nauczyli go życia w drogich nowojorskich hotelach przy pomocy jeszcze droższych prostytutek.

Pamiętał swój drugi rok studiów w męskim college'u w Dartmouth, kiedy to autobusy tranzytowe podjeżdżały pod Hannover Inn wypełnione pannami z Colby-Sawyer i rezydencji Skidmore i Pine. W piątkowe popołudnia wraz z kolegami wypadał z klasy i pędził do miasta na „polowanie na jałówki”.

- Jego żona ma na imię Caroline i jest administratorem... pracuje dla pewnej agencji zajmującej się sprawami socjalnymi - odparł Trask. - Zarabia trzydzieści sześć tysięcy rocznie.

Mitchell wpatrywał się w zdjęcie kobiety. Wyglądała prosto, ale ładnie, mając tę pewną zdrową klasę, której prawie nigdy nie nabywa się wraz z pieniędzmi.

82

- Protestantka. Magister psychologii, ukończyła Kalifornijski Uniwersytet Stanowy w Long Beach. Prenumeruje „McCall”, „Red-book” i...

- Umiem czytać - rzucił oschle Mitchell.

Nagle z zadaszenia koło basenu wyłonił się fotograf w okularach, a wraz z nim mała armia asystentów i wszyscy oni zmierzali w kierunku Mitchella.

- Myślę, że jesteśmy gotowi - powiedział fotograf. - Nie będziemy oświetlać zbyt długo tym światłem.

Jakaś władcza kobieta, znakomitość jej własnym zdaniem, wykrzykiwała rozkazy do jednego ze swych pomagierów i dodała nieco białego odcienia tuż obok koniuszka nosa Mitchella. - Najpierw zróbmy kilka zdjęć polaroidem - warknęła. - Daj mi leicę z przesłoną B.

Mitchell zignorował ją i zajął się przeglądaniem plansz z nieupożycowanymi zdjęciami: dzieci na huśtawkach, roześmiane buzie wyglądają z wanny, pierwszy dzień w szkole. Przesunął palcem po ich gładkich twarzyczkach. Jak by to było, gdybym miał syna? - zaczął się zastanawiać. Nie fałszywą fotografię, potrzebną mu jako trofeum, ale kogoś, komu mógłby przekazać dzieło swojego życia.

Zaczął przerzucać kartki, jak powieść, w której byli bohaterowie, ale brakowało



prozy. Życiorysy. Oceny. Stopnie uzyskane z egzaminów na dyplomatę. Przez wszystkie lata Mitchell widział już setki akt osobowych, ale coś w tym solidnym, prawdziwym dossier numer siedem dotyczącym osoby z klasy średniej fascynowało go. Nie dotyczyło starających się o pracę ani też osób przysyłanych przez łowców głów; to był kawałek prawdziwego życia uchwycony na nieupozowanych zdjęciach, a także psychologiczny rys postaci oraz szkic behawioralny. W świecie Mitchella - kostnicy pozbawionej jakiegokolwiek prawdziwej bliskości - ta więc wydawała się niemal duchowa.

Po zakończeniu zdjęć Mitchell położył dossier numer siedem na stole obok i wziął teczkę oznaczoną numerem trzy. Sirad Ames Mal-neaux. W przeciwieństwie do większości innych kandydatów, ta kobieta pracowała już dla Borders Atlantic. Zajmowała średnie stanowisko kierownicze w biurze w Atlancie.

- A jak tam ona? - spytał Mitchell. - Malneaux. Co to, Francuzka?

- Libanka - odparł Trask. - W wieku dwunastu lat zaadoptowana przez francuskie małżeństwo. Wychowana w Luizjanie.

- Mamy opracowaną jej sylwetkę?

83

- Podstawowe sprawy. Przyszła do nas od razu po uzyskaniu dyplomu, więc musi być czysta.

- Trzydzieści jeden lat. Świetne wykształcenie. Niezamężna. A co kryje się pod tym?

Ta kobieta, jako młodsza wiceprzewodnicząca, już udowodniła swoje możliwości w firmie, przeżuwej i wypluwającej niczym pestki absolwentów uczelni Ivy League. Jejteczka osobowa pęczniała od pochwał, nagród motywacyjnych i rekomendacji do premii.

- Na nic nie trafiliśmy - odparł Trask. - I właśnie dlatego nas interesuje.

- Na miejsca, na miejsca! - krzyczał asystent produkcji. Mitchell spojrzał na chwilę w górę, dziwiąc się, jak ktoś może być tak kompletnie pochłonięty przez tak przyziemne sprawy.

- Teraz będziemy fotografować dziadka! - krzyczał niemal komicznie przejęty mężczyzna. - Dziadek! Dziadek! A gdzie są jakieś wnuczki, na Boga.

Nagle ośmioro dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat wyszło z namiotu i

ukłękło wokół Mitchella. Były ubrane w białe, lniane spodnie i w kaszmirowe sweterki, w sukienki z muślinu oraz w rzeczy z jedwabiu w kolorowe wzory z Dalekiego Wschodu. Ich włosy zdawały się spłowieć od słońca i perfekcyjnie potargane, jak gdyby dopiero co modelował je wiatr podczas popołudniowej wycieczki ka-tamaranem.

- Tak - stwierdził Mitchell, gdy ta gromadka tłoczyła się wokół niego, niepomna jego intencji. - Dzieci. Tak właśnie by wyglądały.

Fotograf kręcił się wśród nich tam i z powrotem, ustawiając, przemawiając i napełniając całą tę scenę jakimś dziwnym poczuciem rodzinnego spotkania.

Fałszywa żona Mitchella, jego fałszywi rodzice, troje fałszywych dzieci i ich fałszywi małżonkowie patrzyli, czekając na swoją kolej.

- Najpierw kilka zdjęć polaroidem, panie Mitchell — powiedziała fotograf.

Stała przy aparacie, który był już naładowany, wycelowany i ustawiony przez jednego z jej asystentów. - Wszyscy brody w dół, oczy do góry. Uśmiechać się. Zęby. To jest dom waszego dziadka, wy chodzące do szkoły bogate, pieprzone cherubinki. Uśmiech!

Dzieci dostarczyły rodzinnego ciepła. Elektrycy - światła, przesuważając swoje ekrany i kurtyny, aby uzyskać dokładnie taki kolor, o jaki chodzi. Twarz Mitchella ożywił uśmiech, jak przystało na dziadka.

84

- Pozostańcie tak - powiedziała pani fotograf i błysnął flesz. Mitchell zaczekał, aż kobieta odejdzie od aparatu, a wtedy wziął teczkę osobową Sirad Malneaux i zwrócił się do swojego szefa sztabu.

- No, dobrze. Przyprawdźcie ją. Zobaczymy, jak dobrze ta kobieta potrafi kłamać.

:| .| | | | " \* ;- ' | | | | :| . | | ;

SIRAD MALNEAUX PRZYJECHAŁA do Nowego Jorku w czwartek. Nie zwracała uwagi na

wielkie upały, jakie przez cały tydzień panowały na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych i które sprawiały, że na eleganckich ubraniach od Buffalo po Montauk pojawiały się plamy potu. Zawsze mówiła, że wychowała się w Nowym Orleanie, więc wiedziała, co to znaczy upał; znała jego smak od śmiesznego zapachu piżma w Garden District po woń przyrządzanej przez siebie jambalayi\*.

Dziś to nie pogoda była powodem jej troski. Pracowała w Borders Atlantic już trzy lata, ale jeszcze nigdy nie była w słynnym gmachu Albermarle. A właściwie to nigdy jeszcze nie była w Nowym Jorku. Po trzymiesięcznym stażu menedżerskim w San Francisco przez rok przebywała w Memphis i w Dallas, a w końcu osiedliła się w Atlancie. Była w siedmiu krajach, na trzech kontynentach, ale, co mogło się wydawać dziwne, żadne z jej osobistych bądź zawodowych planów nie zaprowadziły jej do Nowego Jorku.

Słyszała oczywiście różne historie. Każdy, kto pracował w Borders Atlantic, słyszał o zmieniających się błyskawicznie nastrojach Jorda-na Mitchella oraz o jego nierealnych wręcz wymaganiach. Magazyn „Time” mógł go sobie nazywać prezesem Stanów Zjednoczonych, ale jego pracownicy nazywali go markizem de Sade. Przez wszystkie te lata Sirad udało się uniknąć jego jadowitego krytycyzmu, co uważała za dobry omen, ale zdaje się, że te czasy dobiegały końca. Została wezwana na dywanik.

- Dzień dobry, panno Malneaux. - Elegancko ubrany recepcjonista powitał ją tuż przy windach na dwudziestym siódmym piętrze. Wskazał

\* Jambalaya - potrawa przyrządzana z ryżu gotowanego wraz z kawałkami szynki, kiełbasy, ostrygami lub krewetkami i przyprawiona ziołami, charakterystyczna dla południowych stanów (przyp. tłum.).

85

jej elegancką poczekalnię z meblami z drewna tekowego i szklanym wodospadem mającym ze dwanaście stóp wysokości. Specjalne oświetlenie nadawało temu pomieszczeniu spokojny, niemal hipnotyczny nastrój.

- Pozwoliłem sobie przygotować dla pani herbatę latte z brązowym cukrem - powiedział recepcjonista. Ręcznie malowana filiżanka stała obok najnowszego egzemplarza magazynu „Aviation Daily”.

Robi wrażenie - pomyślała Sirad. Dowiedzenie się, co lubi pić rano, było dosyć łatwe, ale skąd wiedzieli, że właśnie otrzymała licencję pilota prywatnych samolotów?

Spojrzała na zegarek. Była punktualnie ósma.

- Dzień dobry. - Delikatna, wytworna kobieta wyszła skądś z tyłu i podała jej rękę. - Nazywam się Greta - oznajmiła porcelanowym głosem. - Witamy w korporacji.

Rozumiem, że jest pani po raz pierwszy w Nowym Jorku.

- Tak - odpowiedziała Sirad. - Dziękuję za wspaniałe lokum. - Jej pokój w hotelu Mercer był skromny, ale chłodny.

- Och, nic takiego - uśmiechnęła się sekretarka. - Wszyscy już na panią czekają. Proszę tędy.

Sirad nie mogła nie zauważyć, jak chanelowski kostium Grety przywierał do jej krągłych bioder, gdy szła przez labirynt korytarzy. Po chwili zatrzymały się przed drzwiami bez żadnej tabliczki, dziwnie podobnymi do tych, przez które weszła rzekomo do gabinetu doktora Hernandeza. Greta otworzyła je i wprowadziła Sirad do wyłożonego drewnianymi panelami gabinetu, z którego rozpościerał się widok na panoramę środkowego Manhattanu. Z pokoju usunięto wszystkie meble z wyjątkiem dwóch krzeseł i małego, drewnianego stolika. Ogromny, łysy mężczyzna z niezwykle owłosionymi rękami krzątał się wokół urządzenia, które Sirad natychmiast rozpoznała jako wariograf. Mężczyzna ten podniósł na chwilę wzrok, a następnie wskazał na stojące bliżej niego krzesło.

- Niech pani siada, panno Malneaux, i zaczynamy - powiedział.

•

SENATOR BEECHUM SIEDZIAŁA w swoim gabinecie w biurze komisji senackiej na drugim

piętrze gmachu Kapitolu i spoglądała przez okno na rozciągający się stąd panoramiczny widok na budynek poczty głównej. Zazwyczaj inspirował on ją do rozpoczęcia kolejnego

86

dnia przesłuchań, lunchy, telefonów, wystąpień związanych z kampanią wyborczą, szacunków grup fokusowych, strategicznych spotkań i lekcji wymowy, ale dziś równie dobrze mogłyby to być lekcje malowania. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Ten tydzień od momentu ataku przesunął się wolno przez jej życie, jak poranna mgła, która nie chce się rozwiać.

Emocjonalne skutki tego ataku zdumiewały ją. Zawsze uważała siebie za osobę nieustraszoną, która potrafiła szybko otrząsnąć się po śmierci ojca, dwóch poronieniach, a nawet po tragicznej i przedwczesnej śmierci męża, który zmarł na raka. Przetrwiała ataki partyjne, złowrogie oszczerstwa rzucane podczas kampanii

i z tuzin druzgocących porażek ideologicznych na forum Senatu. Ale nic nie dotknęło jej tak, jak to.

Wstępny raport policyjny był gotów siedemdziesiąt dwie godziny po całym wydarzeniu. Na okładce widniał tytuł Nieszczęśliwe zdarzenie - jeszcze jeden przypadek na długiej liście ataków dokonanych w domu, który pozostał nierozwiązany. I nikt nie wydawał się szczególnie martwić faktem, że policja nie znalazła ciała. Rejestry w miejscowych szpitalach nie odnotowały żadnych ran przypadków postrzelenia lub tajemniczych urazów. Żadnych NN. Żadnych wątków. Ta zbrodnia dotyczyła wysoko postawionej osoby, ale Elizabeth Beechum nie została ciężko ranna ani też nic z jej domu nie zginęło. A poza tym Dystrykt Kolumbii ma jeden z najwyższych wskaźników przestępczości w kraju. Jest tam pełno narkomanów, bandytów i potępieńców, których można by obarczyć winą za to, co się stało. Jeden z nich prawdopodobnie wyważył okno, spędził zbyt wiele czasu na podziwianiu wnętrza i był zszokowany faktem, że pani domu nie tylko potrafi walczyć, ale jeszcze na dodatek jest uzbrojona.

- Jeśli już chcecie wiedzieć, to powiem, że to cholernie dobry strzał, jak na starszą panią - stwierdził przydzielony do tej sprawy detektyw. - Burmistrz powinien dać jej jakąś nagrodę za służbę na terenie dzielnicy.

Biuro prokuratora rejonowego przez ćwierć sekundy zastanawiało się, czy nie oskarżyć Beechum o nielegalne posiadanie broni, ale szybko zrezygnowało z tego pomysłu. To prawda, ta broń nie była zarejestrowana, ale przecież chodziło o pięćdziesięcioletnią kobietę, broniącą się przed człowiekiem, który gwałtownie wtargnął do jej domu. A co ważniejsze, kobieta ta była długoletnim senatorem oraz

87

głównym pretendentem do nominacji Partii Demokratycznej na kandydata na prezydenta. Nikt nie miał żadnego interesu, aby ciągać ją po sądach.

Oficjalne czynniki w Waszyngtonie zareagowały z przewidywalnym ceremoniałem. Prezydent uważał za konieczne przyjechać na minutę na Kapitol, aby złożyć wyrazy współczucia oraz zrobić sobie zdjęcie ze swoją potencjalną rywalką, a Senat w pełnym składzie przegłosował rezolucję potępiającą przemoc w mieście i wzywającą do ponownego poparcia programów dążących do utworzenia straży w dzielnicach.

Każdy, od rzecznika do spraw dobrobytu kobiet po radę do spraw przemocy domowej oraz centralę związkową AFL-CIO, gdzie Elizabeth Beechum nie zdążyła już wygłosić przemówienia, zwoływał konferencję prasową, aby chwalić panią senator i spieszyć z wyrazami poparcia. „Washington Post” cytował nawet Marcellusa Parsonsa, który nazwał postępowanie Beechum „dzielnym i skutecznym”. Oczywiście wszystko to stanowiło część gry. Elizabeth Beechum była wykończona niezliczonymi godzinami pozytywnych i absolutnie darmowych programów informacyjnych na jej temat, które zbaczały z każdej niemal politycznej dyskusji na znaczenie, jakie miał atak na nią, oraz na jej dochodzenie do siebie, republikanie zaś oraz jej rywal z Partii Demokratycznej, David Venable, przeklinali szczęście, jakie ją spotkało, że udało się jej zyskać taką popularność. Cały ten incydent zrobił z niej ofiarę, która potrafiła walczyć i przeżyć, jednym słowem kogoś takiego, kogo każdy ma nadzieję odkryć w sobie. A faktycznie to jednostkowe zdarzenie raz na zawsze zburzyło jakiekolwiek nadzieje rywali Elizabeth Beechum, że da się wzbudzić w społeczeństwie wątpliwości co do tego, czy kobieta może być głównym dowódcą sił zbrojnych\*. Jak ktokolwiek mógł kwestionować jej zdolność do prowadzenia wojny z terroryzmem, skoro było jasne, że w swoim własnym domu zastrzeliła z kolta .45 jakiegoś oprycha? To było perfekcyjne, zbyt perfekcyjne, spierali się niektórzy, ale przecież cynizm nie był w Waszyngtonie zjawiskiem obcym.

- Widziałaś to? - spytał James, wpadając do jej biura i wyrywając ją z ponurych rozmyślań. Miał ze sobą kilka kartek kolorowego papieru - wydruków z internetu.

- To z agencji Associated Press, świeżutkie.

\* Prezydent Stanów Zjednoczonych jest także najwyższym dowódcą sił zbrojnych (przyp. tłum.).

88

- Nie - odparła pani senator. - Co piszą?

- Najnowszy sondaż opinii publicznej przeprowadzony przez Instytut Gallupa i dziennik „USA Today”.

Uśmiech na twarzy Jamesa i tak wszystko zdradzał. Wyniki sondaży były dobre.

- Według ich analizy obecnie wyścig ogranicza się do dwunastu kandydatów - drażnił się z nią, starając się zapanować nad podnieceniem.

- Dwunastu? - zdziwiła się Beechum. - Jeszcze tydzień temu było ich tylko czterech. Jaka to do diabła dobra wiadomość?

- Tym razem tych dwunastu kandydatów jest naszych! - wrzasnął James. Beechum usłyszała, jak w jej biurze rozpętała się kakofonia wiwatów, gwizdów i walenia pięścią. Był to jakiś surrealistyczny koniec snu, trzymający przegranych w grze. Prowadzimy, szefowo, a do konwencji w Bostonie pozostało siedemnaście dni. I to wszystko dzieje się naprawdę!

Beechum próbowała zerwać się i dołączyć do tego świętowania, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Całe życie zastanawiała się nad tym, czy kobieta mogłaby zostać prezydentem. Marzyła o takiej chwili, o chwili ukutej nie tylko z jej ambicji, ale również z ambicji milionów innych kobiet, które nie były w stanie przebić szklanego sufitu i nadętej szowinistycznej niesprawiedliwości.

- O mój Boże - westchnęła. Choć klęła jak szewc, to niemal nigdy nie wzywała imienia Pana Boga nadaremnie. To wołanie płynęło z głębi duszy. - Co robimy?

- Co robimy? - spytał James. - To był najkrótszy od wielu lat okres przygotowań do wyborów wstępnych, a ty już stałaś się ich bohaterem. Pieprzyć wojnę prezydenta z terroryzmem - my oferujemy wyborcom coś, czym mogą się cieszyć, a nie coś, przed czym trzeba się chować. Elizabeth, jedziesz na wszechpotężnej sile mediów i jeśli dobrze to rozegrasz, to dojedziesz w ten sposób aż do samej konwencji. Powiem ci, co zrobić - wyjdźmy na ulice i mówmy o tym wszędzie, gdzie tylko się da i za ile tylko się uda.

- Pani senator, telefon — powiedziała jej recepcjonistka przez in-terkom.

James wysunął głowę z gabinetu Beechum.

- Nie łącz żadnych rozmów z prasą! - powiedział, po czym zwrócił się do senatora:

- Każdy chce, żebyś wystąpiła w jego mediach dziś

89

wieczorem, a ja uważam, że coś takiego to dla nas jakby jeszcze jeden sondaż opinii publicznej, jeszcze jeden wynik. Nic to nam nie przeszkadza. Przecież dla nas to bieg na długi dystans, bo my koncentrujemy się na sprawach, które interesują wszystkich Amerykanów, na starym gównie, dopóki...

- Przepraszam, pani senator, ale nie dzwonią z prasy, tylko z policji -

przerwała recepcjonistka. - Mówią, że to coś ważnego.

Elizabeth Beechum wzruszyła ramionami. Słowa Jamesa trafiły na podatny grunt i senator promieniała z podniecenia. Nie miało znaczenia, dlaczego tak niebywale liczne rzesze wyborców wołały właśnie ją. Liczyło się, że popychały ją ku światłu, które przerażało zarówno jej biorących udział w prawyborach oponentów, jak i prezydenta.

- Wiesz, nadszedł już czas, aby ktoś wprowadził nieco kolorystyki do Owального Gabinetu - powiedziała. - Paletę, zawierającą trochę pastelowych barw. Myślę, że moja pierwsza ustawa tuż po inauguracji będzie dotyczyła zakazu kładzenia tych niebieskich, kolonialnych dywanów i stawiania figurek koni z brązu.

Jednak sięgając po telefon, pani senator odsunęła na bok myśli o wystroju wnętrza. Nie pamiętała już też o tym facecie, który na nią napadł, za to tego dnia nie zapomni.

- Halo? - spytała, zanim jeszcze przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Dzień dobry, pani senator - odpowiedział męski głos, po którym rozpoznała detektywa prowadzącego śledztwo w jej sprawie. - Obawiam się, że mam złe wiadomości.

SIRAD ODSUNĘŁA ciężkie dębowe krzesło pamiętające jeszcze XIX wiek i usiadła, tak jak jej kazano. W pokoju wypełnionym zapachem stęchlizny, mentolowych papierosów i kawy robiło się duszno i gorąco.

- Jak się pani miewa? - spytał mężczyzna, nerwowo przestawiając dwa cienkie pudła wielkości walizki, z których wystawały rozmaite pokryte plastikiem druciki.

- Dziękuję, dobrze - odparła Sirad, kładąc ręce na kolanach.

- Przypuszczam, że powiedziano pani, dlaczego tu dziś jesteśmy. Sirad skinęła głową. Spodziewała się tego od miesięcy.

- Bez względu na to, co pani słyszała, badanie wariografem ma na celu wykrycie kłamstwa. - Mężczyzna skończył ustawiać przyrząd,

90

dokonując uprzednio kilka małych poprawek i skalowań. - To nie są żadne czary ani wudu, ani też czytanie w myślach. To po prostu pomaga nam zmierzyć psychologiczną reakcję na stres. Gdy kłamiemy, nasze ciało reaguje na to. A te urządzenia mierzą tę reakcję i informują nas, gdy pani kłamie.

Tak jak większość pracowników Borders Atlantic, Sirad przechodziła już testy z



wykrywaczem kłamstw. Zapis w jej umowie o pracę zezwalał na okresowe badania tego rodzaju z powodu bezpieczeństwa i wymogów przy awansowaniu, a poza tym warunkiem zatrudnienia było również poddanie się badaniu wariografem. Sirad to rozumiała. Co roku szpiegostwo przemysłowe i śledztwa dotyczące wywiadu gospodarczego kosztowały firmy dziesiątki miliardów dolarów, toteż testy tego rodzaju były rozsądnym środkiem ostrożności.

- To nie powinno trwać dłużej niż godzinę - powiedział mężczyzna o owłosionych rękach, po czym pokiwał głową, zadowolony ze swych przygotowań, a następnie przysunął sobie krzesło i usiadł blisko Sirad. - To teraz może opowie mi pani coś o sobie - zagaił, zakładając nogę na nogę identycznie, jak ona. - Rozumiem, że lubi pani latać.

- Latać? Tak, właściwie dopiero dostałam licencję. Skąd pan o tym wie?

Egzemplarz magazynu „Aviation Daily” powiedział jej, że oni już wiedzą o jej nowym hobby, ale Sirad nie widziała niczego złego w zadawaniu pytań osobie, która miała ją przepytować. Ten w odpowiedzi sięgnął do swojej skrzynki i wyjął stamtąd teczkę z aktami osobowymi grubą niczym żółte strony książki telefonicznej.

- Tutaj ja zadaję pytania, panno Malneaux, a nie pani. - Zaczął wertować teczkę, zatrzymując się na niektórych stronach. - Mężatka?

- Nie. Byłam raz zaręczona, ale... no, wie pan.

Sirad dziwiła się, dlaczego on wie o tym, że lubi latać, a nieznany jest mu jej stan cywilny. Być może już oceniał jej odpowiedzi.

- Właściwie nie wiem. - Pokazał jej obrączkę. - Jestem żonaty od dwudziestu czterech lat z dziewczyną która przed zamążpójściem nazywała się Betty Jean Tuffs i mieszkała w Alton Park w stanie Tennessee. Poznaliśmy się na studiach. To jedyna kobieta, z którą się spotykałem. Rozumiem, że nie ma pani dzieci.

- Nie.

- Czy aktualnie bierze pani jakieś lekarstwa?

- Nie.

91

- Czy miała pani problemy z nadciśnieniem, sercem, cukrzycą?

- Nie.

- A z nerkami? Albo sprawy neurologiczne? Depresja? - Wpisywał odpowiedzi w odpowiednich rubrykach w kwestionariuszu.

- Nie.

- Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin brała pani jakieś nieprzepisane przez lekarza leki, na przykład uśmierzające ból?

- Nie.

- Czy pani pali?

- Nie.

- Czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pani piła albo paliła?

- Nie.

Mężczyzna wstał, przeszedł wokół stołu i stanął naprzeciw Sirad.

- Sądzi pani, że potrafi pani pokonać wykrywacz kłamstw?

- Tak - odparła. - Sądzę, że potrafię, ale nie mam powodu, aby to robić, bo nie mam nic do ukrycia.

- Wobec tego dobrze. - Usiadł obok niej. - No to zobaczymy, jeśli zawinie pani rękawy.

.. • ||||-, =

JORDAN MITCHELL pędził przez trzy kondygnacje schodów z biura radcy generalnego do sali konferencyjnej. Po drodze czytał, starając się wprowadzić nieco ćwiczeń do swego nieugiętego planu dnia. Silne serce wpływa na jasność umysłu, mawiał. Windy rozleniwiają ludzi.

- No i jak z tym wyglądamy?

Trask starał się wyprzedzać myśli Mitchella, podczas gdy jego szef wodził kciukiem po opinii obiecującej firmy z Bostonu zajmującej się oprogramowaniem internetowym.

- Już czekają na pana. Jest tam doktor Schilling z Izraela, analityk głosu.

Proszę nie zapomnieć napomknąć o jego przemówieniu w Genewie w ostatnim miesiącu.

Mamy też Katherine Hillock, analityka programowania neurolingwistycznego, oraz dwóch facetów z FBI, którzy kiedyś zajmowali wysokie stanowiska.

Trask nauczył się lawirować w płytkich wodach uwagi swego szefa niczym spławik.

Mógł wyrecytować całe tomy informacji na temat

programowania neurolingwistycznego, psychologicznych sposobów oceny prawdomówności. Był w stanie odpowiedzieć na niemal każde pytanie dotyczące rodzącej się dziedziny analizowania siły głosu i odparować jakieś niespodziewane pytanie Mitchella o wartość takiego oceniania. Ale on nie pytał. Najtrudniejszą sprawą w kontaktach z Jordanem Mitchellem było wyczucie, ile informacji podać. Zawsze bądź przygotowany do wojny - przypominał sobie Trask, w ciszy przetwarzając perfekcyjny akcent Mitchella - ale wydaj tylko tyle, by wygrać ją od razu.

Trask otworzył drzwi na dwudziestym siódmym piętrze i przeszedł przez całąamfiladę drzwi.

- Tutaj, panie Mitchell - powiedział, przekręcając gałkę i wprowadzając szefa do marnie oświetlonego wnętrza. Było to pomieszczenie, w którym przeprowadzano interview oraz z którego można było obserwować drugi pokój za pośrednictwem lustra weneckiego. Mitchell wręczył Traskowi list intencyjny i zwrócił się do czterech znajdujących się w pokoju ludzi.

- Doktorze Schilling ... - powiedział, wyciągając rękę do drobnego, brodatego mężczyzny w dżinsach i w śmiesznym swetrze z golfem. - Fascynuje mnie pańska praca. - Mitchell przywołał cały swój urok polityka. Potrafił w mgnieniu oka przeistoczyć się z ludożercy w księcia.

- Doprawdy - odparł Izraelczyk rosnąc z dumy. - Nie spodziewałem się, że zna pan moje prace.

- O, tak - kłamał Mitchell. - Czytałem, i to z przyjemnością, pański artykuł w „Journal of American Psychology” i w ubiegłym miesiącu miałem szczęście oglądać pańską prezentację na konferencji UNESCO w Genewie.

Doktor, wciąż szeroko się uśmiechając, odwrócił się i przyglądał, jak Mitchell zwraca się do najwybitniejszego w Stanach Zjednoczonych eksperta do spraw programowania neurolingwistycznego. - Jak miło panią widzieć, Katherine - powiedział, potrząsając ręką niewysokiej, chudej kobiety ubranej w coś w niebieskie prążki. - Po prostu uwielbiam pani ostatnią książkę.

To było jeszcze jedno kłamstwo. Przebiegł szybko oczami kilka pierwszych rozdziałów, w każdym razie wystarczająco, aby dostrzec, że pisała z wdziękiem

pluga, co jest charakterystyczne dla nauczycieli akademickich. Jej teorie zdawały się przyziemne i brakowało puenty w zakończeniu. Ale dziś była mu potrzebna.

93

- A propos. Pewnego dnia rozmawiałem z pani starym przyjacielem.

- O!?! - zdziwiła się, skłoniwszy głowę, aby ukryć zaskoczenie. - A z kim?

- Z Johnem Hagmeierem - odparł Mitchell. Aż się cofnęła, niezmiernie zdziwiona, że człowiek o reputacji i z majątkiem Jordana Mitchella zawraca sobie głowę takimi ezoterykami, a jeszcze na dodatek tak tajnymi ezoterykami. Hagmeier kierował mało znaną komórką w NSA, a mianowicie Stowarzyszeniem Wspierającym Bezpieczeństwo. Tylko człowiek obsesyjnie przywiązujący wagę do szczegółów i mający doskonałe kontakty w pewnych kręgach mógł znać to nazwisko.

Dwie osoby z FBI Jordan Mitchell powitał tak samo familiarnie -wspólni znajomi, profesjonalne pochwały, napomknienie o projektach, o których nikt inny nie wiedział.

- A teraz - zaczął, powitawszy swój panel ekspertów - chcę, abyście patrzyli uważnie i powiedzieli mi, czy ta kobieta jest dobra. - Mówiąc to, przysunął krzesło blisko lustra weneckiego.

SENATOR BEECHUM JECHAŁA na posterunek policji. Detektyw chciał przyjść do jej biura i tam omówić całą sprawę, ale nie zgodziła się. Ta sytuacja wtargnęła do jej osobistego życia; ale nie będzie już dalej ciążyć na jej zobowiązaniach wobec wyborców z Karoliny Południowej, albo też wobec wszystkich tych zagorzałych demokratów w całym kraju, którzy teraz wydają się zdeterminowani, aby wybrać ją na prezydenta. Atak wydarzył się w jej osobistym życiu i niech tak pozostanie.

- Dziękuję, że pani przyjechała - powiedział detektyw, przytrzymując drzwi, gdy Elizabeth Beechum wchodziła do prywatnego pokoju konferencyjnego jego szefa, Splude'a. On sam nalegał na to, a detektyw się zgodził. Najwyższy rangą policjant w Waszyngtonie DC otrzymał swoje stanowisko z nominacji politycznej i w pełni rozumiał, jaką potencjalną zniewagą byłoby dla obu partii, gdyby wyszło na jaw, że relegował głównego kandydata na prezydenta do jakiegoś pomazanego graffiti pokoju przesłuchań z wiszącą u sufitu żarówką i z weneckim lustrem.

- No, więc jakaż to wielka tajemnica? - spytała Elizabeth Beechum, gdy już drzwi zostały zamknięte. Detektyw wyglądał na skrępowanego i był bardziej oficjalny aniżeli poprzednio.

94

- Obawiam się, że zidentyfikowaliśmy tego człowieka, który tamtego wieczoru został raniony w pani domu - powiedział.

Tego człowieka? Tamtego wieczoru? - myślała Elizabeth Beechum, odsuwając sobie krzesło po przeciwnej stronie stołu. - Dlaczego ci ludzie mówią zawsze tak, jak gdyby odznaka sprawiała, że angielski przestaje być ich ojczystym, a staje się wyuczonym językiem?

Nachyliła się w przód, pełna oczekiwania.

- No i? Kto to, do cholery, jest? Czy też był? Jak go znaleźliście? W głowie miała gonitwę myśli. Od tamtego straszego wieczora dręczyło ją pytanie, kim był ten gnojek. Sama świadomość, że on wciąż gdzieś tam jest - liżąc rany, a może czekając, by wrócić i dokończyć to, co zaczął - przyprawiała ją o mdłości.

- Nazywa się Craig S. Slater, proszę pani. Czy pani go zna?

Czy go znam? - pomyślała zdziwiona. - A dlaczegoż to niby miałabym go znać?

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie słyszałam tego... - tu przerwała w pół zdania.

Jej adwokat radził jej nie rozmawiać o szczegółach tej sprawy bez uprzedniego skontaktowania się z nim. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek słyszała to nazwisko.

- Nie przypomina pani sobie, czy też nigdy go pani nie słyszała? - spytał detektyw.

Wydawało się, że się ożywił, jak to detektyw, gdy węszy kłamstwo.

- Detektywie, w mojej pracy spotykam wielu ludzi - odparła Beechum. - Nie chciałabym powiedzieć, że nigdy nie słyszałam tego nazwiska... po prostu nie przypominam sobie, abym je słyszała. Kto to jest? Jak go znaleźliście? Czy przedtem popełnił już jakieś przestępstwa?

Detektyw wpatrywał się w nią, jak gdyby rozczarowany, że o to spytała.

- Pani senator, to jest dla mnie bardzo trudne - patrzył na nią z prawdziwym żalem, niemal jak dziecko, które przyłapało swych rodziców na kradzeniu zabawek

w sklepie sieci Wal-Mart. - To znaczy, obydwójce wiemy, o co chodzi. Pani jest senatorem Stanów Zjednoczonych, ubiega się pani o prezydenturę, a ja jestem tylko detektywem do spraw zabójstw. Jestem pewien, że gdyby tylko pani chciała, to mogłaby sprawić, że zostałbym zwolniony, ale przecież musimy tę sprawę wyjaśnić, zanim zajmą się nią inni. Ja tylko wykonuję to, co do mnie należy.

95

- Zajmą się nią inni? - Beechum poczuła silny ból w żołądku. Było to miazdzące uczucie paniki, które narastało w niej, ilekroć przechodziła obok swojej łazienki. - Co to znaczy „zajmą się nią inni”? Nic nie rozumiem.

Detektyw popatrzył na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

- Bernie! - zawołał i drzwi otworzyły się.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - spytała Elizabeth Beechum. Długie lata spędzone w Senacie sprawiły, że sztywniała, jeśli podejrzewała wykręt.

- To jest detektyw Morrison, proszę pani - powiedział. - Na tym etapie myślę, że lepiej pouczymy panią o prawach Mirandy. A Bernie jest moim świadkiem. \*

..\*.,|

SIRAD SIEDZIAŁA SPOKOJNIE na krześle, starając się wyglądać na znudzoną.

- Proszę podnieść ręce, bo muszę zamocować to wokół pani klatki piersiowej - poinformował ją mężczyzna. Stał obok dwóch urządzeń. Pierwsze wyglądało jak standardowy wykrywacz kłamstw, których Sirad widziała już wiele - cienkie druty oraz różowy papier do zapisu odczytu, a także chirurgiczne, gumowe akcesoria, które pękały i strzępiły się. Drugie urządzenie zdumiało ją. Było mniej więcej takiej samej wielkości jak pierwsze, ale nowiusieńkie, eleganckie i o wiele bardziej skomplikowane.

Sirad nie wiedziała, że ten przyrząd został właśnie skonstruowany w laboratorium fizyki stosowanej Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa w celu badania wyjątkowo trudnych osób. Nosił nazwę systemu oceny danych wykrywacza kłamstw, czyli SOD, i był podłączony do komputera Axciton, który dokonywał (w ujęciu statystycznym) analizy fizjologicznej reakcji organizmu badanego człowieka na stres. Ten całkowicie zautomatyzowany system przekazywał rezultaty w ułamku sekundy - w przeciwieństwie do tego drugiego, analogowego, który działał powoli - i eliminował wszelkie ludzkie uprzedzenia. Po raz pierwszy w życiu Sirad zobaczyła,

jak sztuka oraz nauka wykrywania kłamstw zostały sprzężone w jednym urządzeniu. Badany obiekt ze stoickim spokojem zawinął rękawy, tak jak kazano, i uniósł ręce, a przeprowadzający test mężczyzna owinął kabel

96

dokoła jego piersi, poniżej linii biustonosza, i zamocował. Następnie przypiął elektrody do wskazującego palca prawej ręki Sirad, a wokół jej bicepsu na lewej ręce owinął rękaw ciśnieniomierza. Kiedy skończył, sprawdził ołowiane przyczepy i wrócił do swego urządzenia, aby pomajstrować jeszcze trochę przy tarczy i wpisać dane na klawiaturze komputera. Jeśli peszyła go jej uroda, to nie okazywał tego.

- No, dobrze - powiedział, spoglądając przez znajdujące się za plecami Sirad okno na wspaniały widok środkowego Manhattanu. - Teraz dam pani listę pytań, które będę zadawać podczas badania. - Mężczyzna wręczył Sirad dwustronicowy, napisany na maszynie dokument, na którym widniały krótkie, ponumerowane zdania. - Proszę to przeczytać i powiedzieć, jeśli coś tu panią niepokoi.

Sirad przebiegła wzrokiem kwestionariusz.

- Niektóre z nich są niejasne, na przykład numer siedemnaście: „Czy kiedykolwiek ukradłaś coś, co należało do firmy?”. Czy przez „złodziejstwo” rozumie się też coś takiego, jak zabranie do domu długopisu albo dzwonenie ze służbowego telefonu itp.? Nie chcę, aby wyglądało, że kłamię, ale...

Kręciła się na krześle. Wszystko to było częścią jej gry.

- Nie, nic z tych rzeczy. Każdy czasem zabiera do domu długopis. Mam tu pani teczkę osobową i jasne, że nie jest pani osobą, która by coś ukradła. Po prostu muszę sprawdzić to, co już wiemy: że nigdy nie wyniosła pani z Borders Atlantic żadnej ważnej rzeczy, to znaczy pieniędzy, tajemnic handlowych, raportów finansowych - niczego takiego. Jasne?

Sirad skinęła głową.

- Będę zadawać pani pytania, a pani musi tylko odpowiedzieć na nie słowem „tak” lub „nie”. Rozumie pani?

- Tak - odparła Sirad, kiwając głową. Mężczyzna zaznaczył coś piórem na wydruku.

- Dobrze. Czy nazywa się pani Sirad Ames Malneaux? - spytał.

- Tak.

- Czy mieszka pani przy ulicy Marbridge 1542 w Atlancie w stanie Georgia?

- Tak.

Sirad policzyła liczbę swoich oddechów, pulsu i skoncentrowała uwagę na otoczeniu.

- Czy kiedykolwiek ukradła pani coś z Borders Atlantic?

97

- Nie.

- Czy kiedykolwiek zaproponowała pani innej korporacji albo agencji rządowej przekazanie informacji uzyskanej na skutek zajmowanego stanowiska?

Sirad wstrzymała się na chwilę z udzieleniem odpowiedzi.

- Chodzi o co? To znaczy przekazywałam informacje dotyczące zatrudnienia firmom wydającym karty kredytowe... sprawy tego rodzaju.

Przeprowadzający badanie zrobił krótką notatkę na papierze wychodzącym ze starszego urzędnika.

- Panno Malneaux, to nie są podchwytliwe pytania - powiedział. - Chcę uzyskać prostą odpowiedź „tak” lub „nie”. A może - tylko aby upewnić się, że nie chcemy pani oszukać - proszę napisać te wszystkie przypadki, w których udzielała pani na zewnątrz informacji związanych z Borders Atlantic. Zaznaczymy, dla celów testu, że pani odpowiedzi pomijają te właśnie przypadki.

Sirad wzięła od niego notatnik i pióro i napisała trzy kluczowe punkty: wnioski o wyrobienie kart kredytowych, rekomendacje dla spółdzielni mieszkaniowej oraz informacja o zatrudnieniu dla firmy, która udzieliła jej pożyczki na zakup samochodu.

- No, dobrze - przeprowadzający test mężczyzna odchrząknął. - No, to zacznijmy jeszcze raz. Czy w przypadkach innych niż te, które właśnie pani zapisała, kiedykolwiek udzielała pani informacji uzyskanych w drodze zajmowanego stanowiska innej korporacji lub agencji rządowej?

- Nie.

- A czy kiedykolwiek pracowała pani dla którejkolwiek z federalnych agencji stojących na straży przestrzegania prawa lub wywiadowczej?

- Nie.

Sirad patrzyła na ścianę, koncentrując się na swym oddechu. Koktajl krążący w



jej żyłach złożony z meprobamatu, diazepamu i metylo-fenidadu sprawiał, że tapeta tańczyła jej przed oczami, o czym zresztą ją poinformowano, ale jednak spełnił swój cel. Sirad zawsze umiała kłamać przekonująco, ale ta mieszanka jeszcze ułatwiała to zadanie.

•

98

- CHCĘ WIEDZIEĆ, o co tu chodzi, do cholery! - wrzeszczała senator Beechum. Jej adwokat, Phillip Matthews, machał rękami, chcąc ją uspokoić, i prowadził w kierunku wiktoriańskiej kanapki, która widziała już wielu podobnie zaskoczonych klientów. Gabinet Matthews'a oświetlała zielona lampa, taka, jakie wiszą w bibliotekach, przypominając, że oficjalny Waszyngton już dawno udał się na spoczynek.

- Teraz, Elizabeth, możemy się tym zająć - powiedział. - Ale najpierw musisz się uspokoić, zanim...

- Uspokoić? Uspokoić? Odczytali mi moje prawa, jakbym była jakimś cholernym kryminalistą!

Elizabeth Beechum zerwała się z kanapki i zaczęła chodzić po pokoju. Jej życie szybko zbaczało z drogi władzy i poważania w stronę kompletnego chaosu. Co zrobią z tego media?

- To, co się wydarzyło dziś, jest nieodpowiedzialne - stwierdził adwokat. - Najpierw powinni byli zadzwonić do mnie, a wtedy pojechałbym tam z tobą. Telefonowałem już do ich szefa i zażądałem, aby udzielił nagany tym, którzy cię przesłuchiwali.

- Za co? - spytała Beechum. - Za to, że wykonują swoją pracę?

- Za przesłuchiwanie członka Senatu Stanów Zjednoczonych bez możliwości naradzenia się z adwokatem - odrzekł Matthews. - W tym kraju istnieje konstytucja, a jest ona po to, aby zapobiegać takim właśnie zachowaniom.

- Wiem, że jest konstytucja - odparła Beechum. Znowu usiadła na kanapce i pocierała czoło opalonymi dłońmi. Nadal nosiła obrączkę, choć już tyle lat upłynęło od śmierci męża. - Podobno okazało się, że ten człowiek to jakiś uliczny chuligan, prawdopodobnie narkoman, który chciał mnie obrabować. Powiedziałaś, że bym się tym nie martwiła, bo to wszystko minie.

Gniew w jej głosie zaczynał przygasać, wypalił się. Elizabeth Beechum była racjonalistką, która zjadła zęby na polityce wewnętrznej.

- Cóż, Elizabeth, niedokładnie tak powiedziałem. W ubiegłym tygodniu przeszłaś ogromny stres i... - Matthews zamilkł, chcąc uniknąć wygłoszenia kolejnej tyrady.

- Kochanie, to był dla ciebie ciężki okres - ciągnął. - Po prostu nie wiemy, co wydarzyło się tamtej nocy. A przynajmniej ja nie wiem.

- Ja też nie, Phillipie! Powiedziałam ci to.

- I ja ci wierzę - odparł. - Współczuję ci, że to wszystko przeszłaś, ale sprawy uległy zmianie i jako twój adwokat muszę być z tobą szczery.

99

Mówiąc to, ujął jej dłoń. \*; •!;<.,;-... ||r.-'

- Policja twierdzi, że ten człowiek, którego ty bez wątpienia postrzeliłaś, pracował w Białym Domu, a nawet więcej, Elizabeth, był to adwokat, członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego, prezydent osobiście mianował go na to stanowisko. I współpracował ze sztabem twojego komitetu wyborczego. Musiałaś go znać.

- Jak, do diabła, mogłam go znać? - lamentowała senator.

- Cóż, ta broń należała do ciebie - powiedział Phillip - i nawet myślę, że wiem, co powiedziałaś policji, a oni znaleźli sprzeczny z twoim zeznaniem dowód. Na bronie są wyłącznie twoje odciski palców, nie ma żadnych śladów włamania, a dowody balistyczne wykazują obecność prochu na umywalce, w której poblizu upadłaś. - Matthews wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. - Kod DNA krwi, której pełno było w twoim domu, jest identyczny z kodem Slatera. On musiał tam być.

Beechum potrząsała głową, próbując cokolwiek zrozumieć. W Radzie Bezpieczeństwa Narodowego były całe zastępy prawników; zresztą było ich pełno w każdym budynku w Waszyngtonie. Jeśli cały swój czas miałyby poświęcić na zapamiętywanie ich nazwisk, to nigdy by niczego nie zrobiła.

- Jest jeszcze coś - rzucił Phillip i podał jej białą kartkę.

- Czy pamiętasz, żebyś to podpisywała?

Beechum popatrzyła na papier. Wydawało się, że to jakiś urzędowy list. Na górze zobaczyła pieczęć FBI oraz słowa Zgoda na dokonanie rewizji oraz numer dokumentu: FD-26. Na dole znajdował się jej podpis, jego litery były półcalowej wielkości.

- Musieli dać ci to do podpisu, zanim przyjechałem, gdyż zapewniam cię, że ja

nigdy bym się na to nie zgodził.

- Tak, pamiętam - odpowiedziała, czytając dokument. - Dlaczego miałabym nie zgodzić się na przeszukanie domu. Nie miałam nic do ukrycia. Ten człowiek włamał się i zaatakował mnie. Dlaczego nie miałabym pomóc ludziom usiłującym go schwytać?

- Nie kwestionuję twych usprawiedliwień, Elizabeth, tylko mówię ci, że podczas tego przeszukania znaleźli rzeczy, które mogą przysporzyć ci kłopotów.

- Kłopotów? Co znaleźli?

- To. - Podał jej szczegółowy spis rzeczy zabranych z jej domu: portfel, który znaleziono w pojemniku na śmieci przed domem, męski but - rozmiar 12 E - Palm Pilot zawierający informacje na temat pani

100

senator, a w tym jej zastrzeżony numer telefonu, datę urodzenia oraz rozmiar ubrań.

- I mówisz, że co... że te rzeczy należały do niego? Dlaczego tak długo trwa poskładanie tego wszystkiego do kupy?

- Zdaje się, że ten Slater jest entuzjastą archeologii - pojechał na jedną z tych tematycznych wycieczek do Turcji. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia aż do czasu, gdy jego rodzice zaczęli martwić się, że nie wrócił - wyjaśniał Matthews.

- Jednak jest jasne, że on nigdy nie wyjechał - a przynajmniej na to wygląda.

- Jednak wszystko to nie oznacza, że znałam tego człowieka. To znaczy, no, przecież mnóstwo osób ma mój zastrzeżony numer telefonu. A czy ktoś wie, w jaki sposób dowiedział się, jaki noszę rozmiar ubrań - może to jakiś podglądacz albo coś w tym stylu. Policja powinna go przesłuchać!

- Elizabeth, przecież przede mną nie musisz się bronić - westchnął Phillip. - O ile rozumiem, policja przedstawia ci teraz zarzuty, jakie ma wobec ciebie w związku z tą sprawą.

Beechum patrzyła na swojego adwokata i zarazem przyjaciela od dwudziestu lat z wyrazem najgłębszego osłupienia.

- Phillip, jeśli mówisz, że znałam tego człowieka, to się mylisz. Nie znałam.

Matthews odczekał chwilkę, rozważył słowa i powiedział miękko:

- Jest jeszcze coś. Przeszukali twój komputer i twój prywatny adres e-mailowy.

Mój kontakt nie wyjawia natury informacji, ale jest ona raczej druzgocąca.

Powiedziano mi, że wskazuje na motyw.

- Motyw czego? - spytała Beechum.

Phillip odetchnął głęboko. Było jasne, że jest więcej złych wieści.

- Dziś rano znaleziono jego samochód. Był na lotnisku Dullesa. Wszędzie w środku pełno jest twoich odcisków palców. I choć jeszcze nie znaleziono ciała, to koroner gotów jest zeznawać, że ilość krwi, jaka znajdowała się w twoim domu, wskazuje na śmiertelne rany.

- O Boże - wyjąkała Beechum. - To przecież chore. Nigdy nawet. ... - słowa uciekły jej z głowy, wszystko spowolniało, a potem stało się zamazane.

Phillip przysunął się bliżej i znów wziął ją za rękę.

- Z uprzejmości i ze względu na twoją obecną sytuację zgodzili się nie podawać oficjalnego komunikatu. Ale gazety i tak wkrótce się o tym dowiedzą. Nie zdołamy temu zapobiec.

101

- Dowiedzą się o czym? - warknęła Beechum.

- Elizabeth - głos Matthews'a był łagodny - oni sądzą, że ty i Slater mieliście romans i że kiedy próbowałaś go zerwać, ze względu na swoją kampanię wyborczą, on zagroził, że poinformuje o tym media. Spekulują, że biliście się i że ty ...

- Phillip usiadł obok swojej klientki i przyjaciółki zarazem. - Sprawę przesłano już do prokuratury.

Otoczył ją ramieniem, gdy zaczęła płakać.

- Przykro mi, kochanie - wyszeptał - ale chcę oskarżyć cię o popełnienie morderstwa.

Rozdział V

JEREMY PO UKOŃCZENIU SZKOLENIA SNAJPERSKIEGO WRÓCIŁ DO HRT  
przekonany, że umarł

i trafił do nieba. Aczkolwiek nadal musiał się szkolić, bo stanowiło to integralną część jego pracy, to nie był już dłużej uczniem. Był częścią zespołu, jednostki, był operatorem. Faceci, którzy siedzieli i obserwowali, jak po raz pierwszy tego dnia dzwonił, żartowali i poganiali go jak równego sobie.

Szanowali go, bo im dorównywał.

Zmiana dokonała się niepostrzeżenie. Rygor Akademii Treningowej dla Nowych Operatorów i szkolenie snajperskie sprawiły, że ciało Jeremy'ego miało wygląd i sprawność zawodowego sportowca. Jego umysł pracował z wydajnością młota spadowego, pozwalając mu na odtwarzanie w głowie skomplikowanych historii, ocenę zmiennych, identyfikację rozwiązań i podejmowanie decyzji w ułamku sekundy, a wszystko to w niebywałym stresie. Poruszał się z poczuciem pewności, które dawało takie bezpieczeństwo, jak jego kuloodporne ubranie, które wkładał przed wejściem do domku z opon. Czuł, że jest w stanie osiągnąć wszystko.

I uwielbiał to. Jego koledzy z college'u rozpoczynali dzień od przyglądania się kursom rynkowym i zastanawiania się, jakie akcje kupić, a Jeremy wraz z kompanami z jednostki szykowali sprzęt do krótkiej zaprawy, mającej udoskonalić ich umiejętności walki oraz strzeleckie na poligonie, lub przeprowadzali walkę w zamkniętych pomieszczeniach (czyli CQB) - kluczową, jeśli chodzi o ratowanie zakładników -w Taktycznym Strzeleckim Ośrodku Szkoleniowym. Nigdy nie mógłby mieć własnego gabinetu i sekretarki, bo Jeremy najbardziej lubił, kiedy jego „biuro” szybowało dziewięćdziesiąt stóp nad ziemią i znajdowało się na pokładzie helikoptera Bell 412. W HRT nie było kadry kierowniczej ani spółek partnerskich, ale każdy dążył do zostania dowódcą jednej z ośmiu brygad i Jeremy wiedział, że pewnego dnia dostanie

103

taką szansę. I były również inne nagrody, jak na przykład dreszcz, który przebiegał przez ciało podczas szybkich desantów z helikoptera na teren wroga, albo wpadanie tuż za łuną ognia podczas wyważania drzwi za pomocą granatów ogłuszająco-oślepiających.

Jeśli to nie było dostatecznie podniecające, to wtorki i czwartki musiał spędzać, tropiąc cel w lasach wokół Quantico i doskonaląc swoje umiejętności strzeleckie na odległość do tysiąca jardów. Dwa lub trzy razy w tygodniu nurkował, wspinał się na skały, boksował, wysadzał coś, maszerował podczas zajęć z nawigacji lądowej, ścigał się w samochodzie podczas kursu szybkiej jazdy itd. - ta lista ciągnęła się bez końca dla tych poszukiwaczy wrażeń zapewniających wysoki poziom adrenaliny.

Jednak to, co najbardziej inspirowało Jeremy'ego, nie miało nic wspólnego z

bronią ani z dreszczem przebiegającym ciałem. Ku fizycznemu wyczerpaniu i osobistemu poświęceniu pchała go spoczywająca w jego kieszeni złota odznaka, na której widniał napis Federalne Biuro Śledcze i która utożsamiała najświetniejszą tradycję amerykańskiej sprawiedliwości. Wiedział, że pięćdziesięciu pięciu jego kolegów w razie potrzeby odda za niego życie, i pęczniał z dumy, wiedząc, że jeżeli prezydent Stanów Zjednoczonych będzie potrzebował pomocy, aby uwolnić zakładników bądź aresztować międzynarodowych terrorystów, to na pewno zadzwoni do Quantico.

Na szczęście na froncie domowym sprawy również układały się pomyślnie. Caroline awansowała w pracy, dzieci lubiły nową szkołę, a w Hampton Oaks czuli się teraz jak w domu. Wszyscy w okolicy się znali, było tam pełno ścieżek rowerowych, zawieszonych wszędzie kółek do gry w koszykówkę i podwórkowych spotkań. Niemal każdy pracował dla tej czy innej agencji rządowej: najbliższym sąsiadem był bosman sztabowy Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, dalej przy tej samej ulicy mieszkał major Korpusu Piechoty Morskiej, a za nim agent tajnych służb. Praca dla rządu tworzyła między nimi więź. Ci ludzie doświadczali tych samych stresów.

Jednak co najważniejsze, trójka dzieci Jeremy'ego wciąż była zachwycona tym, co robił. Być może Maddy, Chris i Patrick nigdy nie będą podróżować po Europie, czerpiąc środki z jakiegoś dużego funduszu powierniczego, ale za pieniądze, które odłożył, pójdą do college'u, a kiedy przyjadą na weekend do domu, to nie będzie to wizyta wyłącznie w celu zostawienia rzeczy do uprania. Dzieci kochały go z tą samą,

104

wielką obawą, jaką on, kiedy dorastał w Białych Górach w północnym New Hampshire, żywił w stosunku do swojego ojca, który był strażakiem. W HRT nie było wprawdzie garażu, w którym stałyby jaskrawo-czerwone wozy strażackie, ale było ono identycznym sprawdzianem poświęcenia, charakteru i heroizmu. Za każdym razem gdy z ust Jere-my'ego padał skrót FBI lub HRT, na buziach jego dzieci pojawiała się podniecenie. Nawet dla nich brzmiały one obiecująco.

Tak jak w każdej pracy, tak i w HRT były dni wolne, a o tej porze roku oznaczało to tylko jedno: bejsbol. Jeremy zawsze kochał tę grę i chociaż z jego marzeń o

wielkiej lidze nic nie wyszło, to jednak nadal z niemal nabożnym zapałem śledził grę Red Soksów. A kiedy Mad-dy zapisała się do Little League, zgłosił się na ochotnika jako trener. W sobotnie poranki jak ten nie mówiło się już o pracy. Kiedy rozlegał się okrzyk sędziego „Piłka w grze!”, na boisku był tylko Jeremy i jego banda szczerbatych dzieciaków.

- Tatusiu! - piszczący głos Chrisa Wallera przebił się przez pomruk głosów rodziców i fanów. - Kup mi pieska!

Jeremy spojrzął na tablicę, na której wypisane były wyniki: miejscowi - 7, goście - 8, i odwrócił się, by zobaczyć, co też robi ten pięcioletni terrorysta.

Jego druga pociecha chwyciła jeden z kijów bejsbo-łowych i właśnie usiłowała trenować rozbawionego szczeniaka setera irlandzkiego uważając przy tym, aby nie pobrudzić swojej nowiusień-kiej, lśniącej rękawicy.

- Caroline! - krzyknął Jeremy, wskazując na małego bejsbolistę. - Mogłabyś się nim zająć?

Caroline wychyliła się z trybun, a tymczasem Jeremy odwrócił wzrok w kierunku miejsca, w którym stał zawodnik rzucający piłkę. Marshall Baldwin, siedmioletni synek agenta Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej patrzył na ławki, czekając na sygnał.

Nagły skowyt zza trybun poinformował Jeremy'ego, że Caroline nie złapała Chrisa w porę. Na szczęście zdaje się, że nikt nie zauważył.

Pod koniec ostatniej zmiany Marlinsy Jeremy'ego przegrywały jednym punktem i spojrzenia wszystkich skoncentrowały się na cienkiej rączce miotacza numer jeden.

- Dwaj wyautowani - krzyknął Jeremy do swoich graczy. - Dotknął daszka czapki, poklepał się po policzku i potarł przód koszuli. - Gramy z pierwszej!

105

Marshall Baldwin przy wzroście metr pięć i trzydziestu dwóch kilogramach wagi nie wzbudzał strachu. Zielonkawoniebieski T-shirt zwisał mu luźno z ramion, a ilekroć rozpoczynał wymach, czapeczka zsuwała się niebezpiecznie na oczy.

Przedmiot trzymany przez niego w ręku bardziej przypominał piłkę do siatkówki niż do bejsbola, ale dla pałkarzy z przeciwnej drużyny ten mikroskopijny miotacz musiał wyglądać jak wcielony diabeł. Pomimo swego niezdarne go wyglądu Baldwin dysponował taką bronią rażenia, którą mało kto z ligi ze Staf-fordu kiedykolwiek

widział - podkręcaną piłką.

- Dalej Marshall! Załatw go! - Jeremy starał się poskramiać swoją inspirowaną przez HRT agresję, ale w obliczu stresu snajperski żargon nieodmiennie wciskał się do jego słownictwa.

Pałkarz z drużyny gości zamachnął się kilka razy na próbę, a potem walnął w swoje gumowe korki. Czterdzieści par oczu należących do graczy drużyny gospodarzy patrzyło w górę, jak Marshall skinął głową do łapacza, ułożył palce dostosowując je do szwów na piłce i odchylił się do tyłu, biorąc zamach. Na widowni zapadła cisza.

Piłka wzbija się, skręciła w prawo, przeleciała przez strefę strajku i walnęła w cel z głośnym ŁUP! Jeremy zerwał się na równe nogi, zanim jeszcze sędzia ogłosił trzeci strike. Zawsze emocjonował się dźwiękiem podkręconej piłki trafiającej w rękawicę łapacza. Rodzice krzyczeli z radości, zagłuszając protesty Christophera, którego Caroline odciągnęła od szczeniaka.

- Dobra, słuchajcie - powiedział Jeremy, gromadząc wokół siebie i stosu hełmów swoją drużynę. - To nasza ostatnia zmiana i potrzebujemy dwóch punktów, aby wygrać. Potrzebujemy trzech autów, aby zdobyć dwa obiegi. Łatwe, co?

- Taak! - krzyknęli unisono. Richie McCauley włożył już hełm, a na kiju wisiał obciążnik. Dzieciaki były dopiero w drugiej i w trzeciej klasie, ale rozumiały sytuację. Dwa obiegi oznaczałyby świetny wynik 7:0.

Richie stanął w bazie domowej w chwili, gdy ktoś z przeciwległych trybun krzyknął: „Pałkarz-Mięczak”.

Jeremy cały się zjeżył. Czasem nie powinno się pozwalać, aby dzieci i rodzice przebywali razem. Ale Richie McCauley nawet się nie skrzywił. Łypał na łapacza, dokładnie tak, jak nauczył go trener, i splunął poza bazę domową, jakby rzucając wyzwanie.

- Pierwsza piłka - wymamrotał sędzia. Łatwizna - odbiła się od bazy domowej.

106

Następna poszybowała nad głową Richiego. Zamachnął się na trzecią, ale chybił. Z czwartą mogło być różnie, lecz sędzia pomylił się co do czasu i zaliczył ją jako strike.

- Nie spiesz się. Dobrze się przygotuj - przypominał Jeremy pałkarzowi. Dotknął



czubka nosa, poklepał się po brzuchu i potrząsnął głową, stosując uniwersalny język gestów oznaczający zrobienie skrót. Richie był szybki, a miotacz wyglądał na zmęczonego.

Podczas zamachu miotacza na trybunach zapanowała cisza, po czym piłka poszybowała w kierunku bazy domowej i pac! Richie albo nie zauważył znaków dawanych mu przez Jeremy'ego, albo też postanowił odbić ją po swojemu. W efekcie piłka szybowała krótko i gruba dziewczynka z aparatem na zębach złapała ją, powodując wyautowanie Richiego.

Rachel Bumgartner zakończyła następny rzut wyautowaniem dwóch przeciwników. Billy Shellenby, syn Dave'a, złapał piłkę, dzięki czemu zajął pierwsze miejsce, a Rachel trzecie. Brian Gladman walnął piłkę, nawet nie unosząc kija z ramienia. W takiej sytuacji drużyna Marlinsów Jeremy'ego miała jeszcze tylko jedną szansę, z pałkarzami na rogach. Bazowe uderzenie to remis. Wyautowanie dwóch mogłoby oznaczać wygraną.

Jeremy poczuł ścisk w gardle. Rywalizacja była dla niego czymś więcej aniżeli odprężeniem. Musiał wygrywać, czy to grając w koszykówkę, czy biorąc udział w zawodach snajperskich.

Odwrócił się, aby zobaczyć, kto następny w kolejności ma być pałkarzem, i niemal go zatkało. Pałkarzem z numerem dziewiątym była ładniejsza od innych siedmioletnia dziewczynka nazwiskiem Maddy Waller. Może i była córką trenera, ale nawet na pewno nie odziedziczyła jego zamiłowania do współzawodnictwa.

Jeremy popatrzył prosto w jasne oczy swojej córeczki. Nie tak chciałby rozpocząć sezon. Czasem granica pomiędzy byciem ojcem i byciem trenerem zdaje się odległa o mile. Bardzo chciał podbiec, objąć ją, dodać wielkiego buziaka i kilka słów zachęty, ale to były rozgrywki Little League. Całowanie graczy, nawet tak ładnych, nie było dozwolone.

- Dobra, Maddy, nawiąż tylko kontakt, co? - Jeremy miał właśnie dorzucić jeszcze jakąś małą zachętę, kiedy z jego paska rozległ się jakże znajomy dźwięk.

Piiiiip, piiiip, piiiip.

107

Jego pager. I jeszcze jeden gdzieś na trybunach, dokładnie po przekątnej od miejsc dla gości.

Maddy, która rozpoczęła już tysięczny (jak dla niej) marsz w kierunku miejsca dla pałkarzy, zastygła w bezruchu. Jeremy już dawno wyjaśnił swoim dzieciom, że gdy piszczy pager, znaczy to, że musi natychmiast iść i może nie wrócić szybciej niż za tydzień lub dwa. Dla Maddy każdy inny dzień byłby do przyjęcia, ale ten - nie.

- Cholera - mruknął na tyle głośno, że kilkoro dzieci usłyszało. Jeśli na pagerze wyświetlał się numer 888, to dla członków HRT oznaczało to alarm, podobnie jak gwizd dla strażaków. Jeremy nie miał czasu czekać na rzut swojej córki.

- Akurat w porę, co? - stwierdził siedzący z nim na ławce Shellenby. - Chodź, podwiozę cię. Vicki może wrócić do domu z Caroline.

Służąc już pięć lat w HRT, Dave Shellenby poświęcił niejedne urodziny, święta i rozgrywki Little League, a w 2001 roku nie było go w domu nawet podczas narodzin ostatniego dziecka, bo akurat został wysłany do Indonezji.

Jeremy patrzył na żonę dostatecznie długo, aby wyjaśnić jej, że nie ma wyboru. Nie alarmowano by, gdyby nie wydarzyło się coś naprawdę ważnego. Caroline kiedyś to zrozumie. I z takim przekonaniem wskoczył za Dave'em do jego GTO z 1968 roku. Właśnie zamykał drzwi, kiedy nagle ŁUP! - po całym parkingu rozległ się dźwięk oznajmiający, że stalowy kij bejsbolowy zetknął się z piłką, nadając jej szybkość dwudziestu dwóch mil na godzinę. Z trybun rozległy się krzyki.

- Mocny gracz! - stwierdził Shellenby.

Jeremy uśmiechnął się i wyciągnął wykonany na zamówienie rewolwer Les Baer kalibru .45, który trzymał za pazuchą. Odciągnął zamek i sprawdził, czy jest nabój w lufie. To już weszło mu w nawyk.

- Spokojnie, chłopie - stwierdził Shellenby, włączając radio. Jeremy'emu już cisnęła się na usta odpowiedź: Co, do cholery. To przecież jego pierwsza akcja. Nie ma niczego złego w psychicznym nastawieniu się do niej.

.. \* ' ;

JORDAN MITCHELL SIEDZIAŁ u szczytu stołu w swoim monstrualnie wielkim Pokoju Wojennym i klaskał w starannie

wypielegnowane dłonie. Trzech mężczyzn i dwie kobiety spoglądali na niego ze swych miejsc; byli to analityk głosu z Izraela, dwóch dawnych agentów FBI, ekspert od programowania neurolingwistycznego i mężczyzna przeprowadzający testy z wykrywaczem kłamstw. Upłynął już ponad tydzień od dnia, w którym obserwowali odpowiedzi Sirad Malneaux, a więc mieli mnóstwo czasu na przygotowanie wniosków.

- Więc proszę, powiedzcie mi, przecież jesteście ekspertami - rzucił Mitchell. - Co to wszystko znaczy?

Po wyrazie ich twarzy poznawał, że to miejsce wywarło zaplanowany skutek. Ciężkie, orzechowe panele, przytłumione światło oraz rzędy broni w szklanych gablotach odwracały uwagę gości nawet od pięknego widoku za oknami. Niemal każdego, kogo przyjmował w tym Pokoju Wojennym, ogarniało uczucie onieśmienia. Było to zresztą wkalkulowane w plany wszystkich jego przedsięwzięć - czas, miejsce i porównanie zawartości, to elementy, w które wierzył jak w religię. Wszystko, co Jordan Mitchell mówił bądź robił, miało jakiś cel, od poziomu, na jaki nastawiał klimatyzację, aby ludzie ci trzęśli się z zimna, po umówienie tego spotkania na niedzielę rano. Chciał, aby czuli jego władzę, aby ogarnęło ich onieśmienie. Tutaj on był jedynym ekspertem.

- Mogę zabrać głos jako pierwszy - odezwał się mężczyzna przeprowadzający badanie. Poprawił okulary. - Moje zapisy wyglądają dobrze, zarówno wydruki analogowe, jak i punktacja PASS. Przypuściłem na nią atak w trzech dziedzinach, aby zobaczyć, jak znosi oskarżenia, ale ona nawet nie mrugnęła okiem. Ta kobieta mówi prawdę albo też jest najlepszą aktorką, jaką w życiu widziałem. - Po tych słowach odchylił się w tył i założył ręce, jak gdyby wyzywając innych, by mu zaprzeczyli.

Analityk głosu z Izraela pocierał nos ołówkiem.

- Panie Mitchell, jest pan światłym i utalentowanym człowiekiem - powiedział. - Nie mam do pana pretensji za to, że dla dokonania ostatecznej oceny wykracza pan poza tradycyjne wykrywacze kłamstw.

Mężczyzna o owłosionych dłoniach rzucił mu pełne absolutnej pogardy spojrzenie.

- Zebraliśmy się tu po to, aby coś ustalić, a nie debatować nad korzyściami stosowanych przez nas metod badawczych - przerwał Mitchell. Swoich dyrektorów rozszarpałby na kawałki, gdyby tak na siebie naskakiwali. - Czy ta kobieta jest

wiarygodna, czy też gra?

109

- Analiza brzmienia głosu wykazała odchylenie od normy -stwierdził doktor Schilling. - Jej głos przejawia drżenie na poziomie proporcjonalnym do stresu, jakiego oczekujemy od prawdomównej kobiety pochodzącej z takiego jak ona środowiska i posiadającej takie wykształcenie. Jeśli jej życiorys jest prawdziwy, to ta kobieta ostro postrzega różnicę między tym, co słuszne, a tym, co nie. Z pewnością należałoby się spodziewać większego wahania, gdyby kłamała. Mitchell zwrócił się do eksperta od neurolingwistyki, mało znanego i tracącego alchemią procesu badającego prawdomówność na podstawie obserwacji ruchów oczu i mimiki.

- A pani, Katherine? Czy dostrzegła pani prawdę w oczach tej kobiety?

- Prawdę? - spytała mała, uczona kobieta. Cienkie, szarzejące włosy okalały jej bladą twarz, kiedy podniosła się z krzesła i wskazała na monitor telewizora. - Niewiele wiem na temat prawdy, panie Mitchell. Ale mogę państwu powiedzieć, że ta kobieta na pewno jest przekonana o tym, co mówi. Proszę spojrzeć.

Skierowała pilot w stronę wielkiego ekranu telewizyjnego i nacisnęła guzik „play”. Pokazało się zbliżenie twarzy Sirad, była to część zmontowanych scen, nagrywanych podczas badań wykrywaczem kłamstw.

- Programowanie neurolingwistyczne koncentruje się na subtelnych zmianach ruchów gałki ocznej w czasie funkcji poznawczych. Podczas tego procesu człowiek posługuje się częścią mózgu odpowiedzialną za gromadzenie informacji. Za pamięć odpowiada lewa część półkuli mózgowej, toteż odwołujemy się do niej, gdy staramy się uruchomić pamięć - odpowiedziała uczona. - Jako przykładem posłużę się pytaniem zadany Sirad o panięskie nazwisko jej matki. Kiedy spytano, czy brzmiało ono Hawthorne, widać, że spojrzała ona najpierw w górę, a potem w lewo. Mitchell wpatrywał się w ekran, udając zainteresowanie spostrzeżeniami tej drobnej kobiety.

- A teraz spytana, czy dorastała w Luizjanie, patrzy w górę, a następnie w lewo. Widzicie?

Pozostali cierpliwie słuchali wywodów uczonej. W przypadku tej dziedziny każdy patrzył na drugiego jak na wróżbitę z tarota, a wykład tej niepozornej kobietki

był po prostu kolejną opinią.

110

- Oto, jak Sirad przypomina sobie. To pamięć neurowegetatywna. Ludzie szukają w tej części mózgu, w której dokonują rekonstrukcji minionych zdarzeń, albo też w pamięci długiej. Kiedy zaś tworzą fikcję, to posługują się częścią mózgu odpowiedzialną za kreatywność. Gdy uda się nam ustalić za pomocą pytań testowych, co jest podstawą dla prawdomówności, to wówczas możemy zmierzyć różnice i wyodrębnić kłamstwo.

- No dobrze, a skąd pani wie, że ona nie okłamała nas przy każdym pytaniu? - zapytał Mitchell. - Skąd pani wie, że ten jej cały życiorys nie jest jej wymysłem? Być może to wszystko kłamstwo, nawet ta podstawa, o której pani wspomniała.

- Proszę spojrzeć. - Kobieta przewinęła taśmę. - Przed badaniem, kiedy Sirad usiadła, przeprowadzający test spytał ją, czy dobrze spała, a ona odpowiedziała, że tak.

Kobieta zatrzymała obraz i na ekranie ukazało się zbliżenie twarzy Sirad.

Patrzyła w dół i na prawo - a więc w przeciwnym kierunku niż chwilę wcześniej, gdy przypominała sobie coś.

- Kiedy zapytano ją, jak się nazywa, patrzyła w przeciwnym kierunku - zauważył Mitchell. - Dlaczego miałyby kłamać co do tego, czy dobrze spała?

- Mnie nie interesuje dlaczego, panie Mitchell. Natomiast mogę panu powiedzieć, iż raport śledzącego ją detektywa stwierdza, że ta kobieta wyszła ze swojego pokoju hotelowego zaraz po dziewiątej wieczorem i nie wróciła aż do drugiej w nocy. Dwukrotnie w nocy wstawała, a szóstej rano wzięła prysznic. Nie nazwałabym tego dobrym nocnym wypoczynkiem.

Jordan Mitchell w zamyśleniu pokiwał głową.

- To bardzo interesujące. Więc pani zdaniem, przed rozpoczęciem testu ta kobieta raz skłamała. - Zwrócił się do ludzi z FBI przywykłych do analiz tego typu. - Powiedzcie nam, proszę, co skłania kobietę do kłamstwa w tak prostej sprawie, jak ta, czy spała w nocy dobrze, czy źle.

- Nie usiłujemy odgadnąć prawdy na podstawie kłamstwa - powiedziała kobieta o surowym wyglądzie, otyła, dobrze ubrana, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat.



z brygady Whiskey i Żulu upychali do plecaków sprzęt przydatny w tropikach. Służby techniczne kręciły się dokoła, usiłując wepchnąć półtorej tony sprzętu elektronicznego do skrzyń firmy Haliburton.

Dla niewprawnego oka taki wyjazd HRT mógł wyglądać jak wyprowadzka z internatu w college'u. Ale dla wytrawnych operatorów

112

wózki widłowe, skórzane rękawice i każdy inny szczegół zawierał się w drobiazgowo przygotowanym i sprawnym planie.

- I co tu mamy? - spytał Jeremy, zwracając się w stronę Jamy" snajperów z brygady Promieni X. Fritz i Johnny Langdon właśnie szykowali swoje dzienne racje żywnościowe, pakując puszki z ravioli i paczki krakersów.

- Portoryko - odrzekli. - Bierz swoje ghille, sprzęt potrzebny w dżungli i to całe gównno, które trzeba mieć ze sobą podczas nocnych operacji. Startujemy z bazy Andrews o trzynastej trzydzieści.

Jeremy zaczął wypytywać o szczegóły, ale w końcu przestał. Reszta była już w magazynie, przygotowując swój sprzęt, a on był „kotem”, „pieprzonym żółtodziobem”. Dowie się wszystkiego, co trzeba, w odpowiednim czasie.

- WITAM, POŁĄCZYŁEŚ SIĘ Z NUMEREM 643-9623 - zabrzmiał głos Sirad z automatycznej sekretarki. - Zostaw wiadomość, a oddzwonię.

Kopnęła w drzwi, które zamknęły się za nią, i weszła do apartamentu 29 F, przestronnego, o dwóch sypialniach, znajdującego się w dzielnicy Buckhead w Atlancie. Słońce wpadało przez okna od podłogi do sufitu, zalewając bogato urządzone wnętrze ostrym światłem. Sirad oddychała ciężko i ocierała pot z oczu, starając się ochłodzić po siedmio-milowym biegu, którego domagał się jej organizm. Aczkolwiek szybki metabolizm utrzymywał jej wagę w ryzach, to Sirad przykładła duże znaczenie do ścisłego przestrzegania reżimu.

- Uff- mruknęła, mrużąc oczy. Powietrze było nieruchome i duszne i natychmiast przypomniało jej chwilę, kiedy jako mała dziewczynka siedziała w namiocie i niemal nie mogła oddychać z powodu gorąca. - Napraw moją klimatyzację! - krzyknęła właściwie do nikogo. To była jeszcze jedna z rzeczy, której nie zdążyła zrobić, spędzając długie godziny w biurze.

- Tak, och... witam, panno Malneaux - odezwał się głos w telefonie. - Tu Roland

z warsztatu BMW w Buckhead. Chciałem tylko sprawdzić... to znaczy pani nowa pięćset czterdziestka. Sądzę, och... proszę o telefon, jeśli będę mógł w czymś pomóc. - Mówił jak uczeń, zbierający się na odwagę, by o coś zapytać.

113

Sirad rzuciła klucze do płaskiej ceramicznej wazy stojącej na stoliku z książkami Kaja Gottloba i szybko przesunęła palcem po korespondencji z dwóch tygodni. Rachunki. Dokumenty prawne. Informacje o nowościach wydawniczych oficyny Clearing House. Typowe papiery. Większość z nich, zanim jeszcze ucichł głos z jej sekretarki automatycznej, nawet nie otwierając, wrzuciła do śmietnika, następnie ściągnęła przez głowę biustonosz, w którym zawsze biegała, kopnięciem zrzuciła buty i przepocone szorty. Rano musiała skończyć raport, w związku z czym biegała nieco później, co w południe w słońcu Georgii było nie lada mozołem. Sirad chwyciła ręcznik z łazienki dla gości i przeszła nago do niewielkiego pomieszczenia zaraz za pokojem gościnnym, gdzie nowiuteńki komputer stał sobie na mahoniowym biurku. Otarła pot z czoła i wyciągnęła rękę, aby go włączyć. Zaczekała chwilę, aż twardy dysk zaczął pracować, a przez ten czas podziwiała płaską, w kolorze chromu i kości słoniowej obudowę komputera. Uwielbiała rzeczy materialne, wszystko, co tylko było rzadkie i budziło nieodparte uczucia, czy to swym wielkim pięknem, czy też nieokiełznanym brakiem gustu. Akryl Barnetta Newmana wisiał nad misą wykonaną przez Indian Yanomami z kości lędźwi, a tryptyk sporządzony z pociętych fotografii Roberta Mapplethorpe'a stał na starym kredensie Jeana Pascauda. W swoich zakupach Sirad kierowała się kontrastem pomiędzy estetyką a bez-guściem, sztywnym uczuciem przyjemności spotęgowanym odrobiną bólu.

Sirad nachyliła się do przodu, aby zanim ekran komputera się ożywi, nieco się przeciągnąć, a następnie usiadła na skórzanym krześle Alfreda Portoneuve'a. Chłodna skóra obicia wydawała się jej nagim udom szorstka i sucha, stanowiąc jaskrawy kontrast z gorącym, nieruchomym powietrzem we wnętrzu mieszkania. Kobieta wyciągnęła rękę i nacisnęła przycisk „play” na sekretarce automatycznej. - Cześć, Sirad. - Męski głos wypełnił pokój. - Dzwonię tylko, żeby powiedzieć, że już nie mogę się doczekać przyszłego tygodnia, kiedy cię zobaczę. Ja, eeh... mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. - Klik. Odłożył słuchawkę.



To Hamid - pomyślała. Jej najnowszy adorator - wiceprezes Borders Atlantic, któremu podlegają finanse firm stowarzyszonych z firmą. Wydawał się bardziej pewny siebie aniżeli większość mężczyzn, ale nadal był nieco nieśmiały. Spotkała go podczas wyjazdu do Nowego

114

Jorku na test z wykrywaczem kłamstw i sprawy potoczyły się na tyle dobrze, że zaprosił ją na kolację tu, w Atlancie, w czwartek.

Sirad przebiegła myślą po liście swoich e-maili. Od matki, od szefa. Informacja o starym wiecznym piórze, które usiłowała kupić na aukcji internetowej. Nikt nie przebił jej oferty. Poczula się tak, jakby żyła przed ekranem komputera. Jej praca w Borders Atlantic dawała jej tak niewiele okazji do kontaktów z ludźmi - ciągle tylko pogłębione raporty, dane do zapamiętania, przeglądy rynku oraz analizy kosztów i zysków. Wyglądało to tak, jakby cały dzień spędzała w jakiejś alternatywnej rzeczywistości, usiłując sfingować swą karierę z pikseli, wykresów i algorytmów FORTRAN.

Przesunęła w dół listę wiadomości, aż coś przykuło jej uwagę.

Hotbody69@yahoo.com - Czekaj cię przygoda.

Zignorowała ostrzeżenie o wirusie i kliknęła na tę wiadomość dwukrotnie.

- Cześć, Sirad - mówiła wciąż jej sekretarka automatyczna. - Bardzo mi przykro, ale jednak potrzebuję tych prognoz dotyczących Miami. W poniedziałek, jak tylko przyjdiesz. - To był jej kierownik i wcale nie było mu przykro. On raczej lubił tak postępować.

Sirad patrzyła na stronę porno, która wypełniła ekran jej komputera detalami i sposobami podniecania się w najrozmaitszych zbliżeniach podczas aktu seksualnego. Mężczyźni z olbrzymimi członkami stali nad kobietami, które wyglądały, jak gdyby zapłacono im za to, aby sprawiały wrażenie zaszokowanych. Dziewczęta w spódniczkach, jak od mundurków ze szkoły katolickiej. Chude dziewczyny. Geje. I coś zatytułowane: „Strefa zabroniona”.

Sirad kliknęła na obrazek o tytule „Niegrzeczne, ale miłe”, na którym było zastrzeżenie, że na strony te mogą wejść wyłącznie zapisani i posiadający własne hasło. Napisała APT29F i poczekała, aż na ekranie pojawi się połączenie, S&M i rozmaite fetysze — wszystko od rzeczy z lateksu i gumy po używane w ostrym

seksie stalowe akcesoria jak ze średniowiecznych lochów.

Sirad usiadła nieco wygodniej na krześle, a następnie najechała kursorem na wyjątkowo groteskowy obrazek mężczyzny w masce Hannibala Lectera, stojącego z pejczem nad nagą poddanką, odzianą tylko w kajdanki i trzymającą w ustach piłeczkę. Znowu kolejne podwójne kliknięcie i zdjęcie zostało zalogowane jako mpeg na jej twardym dysku.

115

- Panno Malneaux, tu doktor Dieter Planck z Nowego Jorku - mówiła wciąż jej sekretarka automatyczna. - Dzwonię, aby powiedzieć, że pani starania o pracę przy projekcie Quantis wyglądają bardzo pozytywnie. Jeśli odsłucha pani tę wiadomość przed siódmą trzydzieści, to proszę zadzwonić do mnie do biura.

Sirad przeniosła mpega do programu, który miała na pulpicie swego komputera. Nosił on nazwę DEtox. Teraz wzięła z półki przedmiot przypominający starą płytę CD z muzyką pop, włożyła ją do komputera i zaczęła, aż maszyna zaczęła warczeć. Trwało to kilka sekund, po czym komputer uspokoił się i na ekranie ukazała się niemająca końca seria cyfr. Odpowiednia technologia w programie DEtox właśnie poddała drobiazgowej analizie dwuskładnikowy język komputera, który zmienił żargon DOS na język 8x10 S&M.

Analitycy nazywali to steganografią, pod fantazyjną nazwą ukrywając starą sztukę magików - za pomocą hokus-pokus schować coś w pełnym świetle. Ujmując w skrócie, program tego komputera pozwalał na odkodowywanie i przekazywanie wiadomości tekstowych za pomocą fotografii - a w tym przypadku zdjęć porno. Dopóki Jordan Mitchell nie wymyślił swojej technologii SBT, steganografią była uważana za swoisty atrament sympatyczny.

Sirad nacisnęła Ctr+F7 i nagle wszystko znikło z ekranu, a następnie wyświetliła się tylko jedna krótka wiadomość:

Zgoda na kolację z Hamidem w poniedziałek. Wartość peryferyjnych transakcji Borders Atlantic osiągnęła w tym tygodniu 7,2 miliarda dolarów. Czas na ruch. Może zjemy lunch. Hoch.

Kobieta uśmiechnęła się i nacisnęła klawisz „escape”, znowu przywołując na ekranie scenę porno i kasując cały przekaz raz na zawsze. Wyjęła też i odłożyła na półkę płytę CD.

- Siedem koma dwa miliardy? - szepnęła. - To chyba warte jest lunchu.

Przeszła do kuchni i otworzyła lodówkę, z której wyjęła jedyną rzecz, jaka tam się znajdowała: małą butelkę wody mineralnej pellegri-no. Teraz wzięła telefon bezprzewodowy i siadła na środku pokoju ze skrzyżowanymi nogami.

- Tu Sirad Malneaux do pana Plancka - mówiła do telefonu. Usadowiła się w pozycji lhan i zaczęła się rozciągać. Gibkie mięśnie jej pleców i nóg odczuły relaks, gdy zapanowała krótka cisza, ale potem drgnęły, gdy rozległ się głos Dietera.

116

- Cześć, Sirad, jak się masz - powiedział.

- Dziękuję, dobrze. - Starła się, aby głos brzmiał spokojnie, choć jej serce zaczęło walić. Bardzo wiele, więcej niż tylko czek na dużą sumę, zależało od tego zagrania z Quantis. - Jestem wdzięczna za gościnność. Dzięki panu mój pierwszy pobyt w Nowym Jorku był bardzo sympatyczny.

- To miłe z pani strony. - Tu zamilkł na chwilę, a potem przystąpił do sedna. - Właściwie dzwonię, aby przeprosić, że tak długo się nie odzywałem. Jeśli chodzi o obsadzenie stanowisk za granicą, to decyzje podejmuje pan Mitchell osobiście, a z powodu swojego napiętego grafiku był nieosiągalny. Jednak chciałby się z panią spotkać. Miałem nadzieję, że uda mi się umówić was dziś wieczorem na kolację w Waszyngtonie.

- Dziś wieczorem? - zapytała Sirad. Było już niemal południe i liczyła, że będzie miała wolny weekend. - Tak, oczywiście... tak, jeśli uda mi się złapać samolot.

- Och, proszę się o to nie martwić, panno Malneaux - roześmiał się Dieter. - Zabierze panią jeden z odrzutowców należących do Borders Atlantic. Dzwonię, aby się dowiedzieć, czy nic nie stoi pani na przeszkodzie.

- Nie, jestem zupełnie wolna - powiedziała. Projekt dotyczący Miami na poniedziałek. Ale nagle uśmiech rozjaśnił jej twarz. Jak się dowiedziała, Dieter dowodził kosztownym działem w Borders Atlantic, działem bezpieczeństwa. A ona zdała test z wykrywaczem kłamstw. W przeciwnym przypadku przecież nie zadzwoniliby do niej.

- Cudownie - powiedział Dieter. - Samolot będzie czekać na panią dziś o

szesnastej. Terminal pasażerski na międzynarodowym lotnisku w Atlancie. Dalej już się wszystkim zajmujemy.

- Jasne. Tak jest... to znaczy, dziękuję. - Powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Ta praca była dla niej wszystkim. Oczywiście, że poleci do Waszyngtonu na kolację z Jordanem Mitchellem.

- AufWiedersehen.

- AufWiedersehen - odpowiedziała.

Sirad wyłączyła telefon i przyłożyła policzek do nagiego, opalonego uda.

Najpierw wiadomość o Borders Atlantic, teraz to. Sprawy zaczynają układać się lepiej, niż śmiała przypuszczać.

Auf Wiedersehen. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak głupio wyglądał ten grubawy Niemiec podczas maskarady w gabinecie lekarskim. Nie posługiwała się niemieckim już od lat.

117

• ..- ||, ••, >

HRT ZOSTAŁO TAK POMYŚLANE, ABY w ciągu czterech godzin być gotowe do akcji, toteż jeśli Kwatera Główna FBI zdecydowała o wysłaniu gdzieś swojej jednostki antyterrorystycznej, to sprawy nabierały tempa. Jeremy pomagał załadować do jednej z ciężarówek sprzęt snajperski brygady Promienie X, a następnie pomknęli na sygnale na północ do bazy sił powietrznych w Andrews, gdzie stały już przygotowane dwa biorące udział w tej misji samoloty transportowe C-17. Tam wraz z nowym dowódcą brygady, Jesusem Smithem, Jeremy poszedł do doku załadunkowego.

- Jesus! Twoi chłopcy są w pierwszym samolocie - wrzeszczał oficer do spraw logistyki. Jak większość chłopaków w jednostce wymawiał imię Smitha twardo.

- Waller, trzymaj się mnie, gdy już tam będziemy - warknął Jesus.

Jeremy wiedział, że dowódcy brygady zazwyczaj podczas pierwszej akcji towarzyszą nowym kolegom, toteż ucieszył się z tej kompanii. Przed przyjęciem do HRT Jesus był w szwadronie szturmowców w Delta Force. Widział wojny w najrozmaitszych zakątkach świata, od bezpośrednich walk w Kuwejcie i w Mogadiszu po pakowanie ciał w czarne plastikowe worki w Indonezji, w Ameryce Południowej oraz w Libanie, gdzie krążyły pogłoski, że pewnego razu zastrzelił stojącego na warcie członka Hezbollahu z odległości 1300 metrów. Jesus trzymał Srebrną Gwiazdę w szufladzie

w biurku, pod stertą katalogów sieci Bass Pro Shops, i choć nigdy nie wspominał o swojej przeszłości, każdy znał jego życiorys. I nikt nie kwestionował jego rozkazów.

Nowe zadanie pochłonęło Jeremy'ego, a on rozkoszował się jego smakiem. Zgodnie ze wstępnymi informacjami członkowie bezwzględnego ugrupowania Macheteros działającego w Portoryko porwali siedmioletnią córkę tamtejszego gubernatora i grozili, że ją zabiją, jeśli w określonym czasie ich żądania nie zostaną spełnione. Było to to samo ugrupowanie, które niegdyś zaatakowało za pomocą lekkiej broni przeciwczołgowej miejscowe biuro FBI i użyło ładunków wybuchowych własnej produkcji, aby zniszczyć myśliwiec Narodowej Gwardii Powietrznej. Na szczęście siatka informacyjna biura w San Juan dostarczyła kilka obiecujących kontaktów, a agenci szybko zlokalizowali prawdopodobną

118

kryjówkę. Jednostki SWAT i Specjalne Grupy Operacyjne otoczyły miejsce i nie miały chęci iść na kompromis, ale specjalny agent w biurze terenowym w San Juan, a była nim kobieta, zdawał sobie sprawę z ograniczeń. Mając w perspektywie polityczne załamanie w Portoryko i nikłe szanse na uratowanie życia dziewczynki, agentka poprosiła o wsparcie.

W kilka minut po jej telefonie Centrum Informacji Strategicznej i Operacyjnej FBI, czyli SIOC, pospieszyło z odpowiedzią. Zastępca dyrektora Wydziału do spraw Walki z Terroryzmem, czyli ADIC, zatelefonował do zastępcy dyrektora Wydziału Wsparcia Śledztwa, który z kolei zadzwonił do specjalnego agenta do spraw Grupy Reagowania Kryzysowego (CIRG) w Quantico, aby przygotować się do wyjazdu. Dwadzieścia minut później, o 13.37, czyli dziewiętnaście godzin od chwili porwania dziewczynki, wystartowały dwa samoloty z ponad dwustu ekspertami do spraw taktycznych, negocjacji oraz logistyki.

Wśród nich znajdował się Jeremy Waller. Siedział z boku na siedzeniach z płótna, a czterotonowa ciężarówka kołysała się w górę i w dół tuż obok jego kolan. Jego bawełniana koszulka była mokra od potu, który kapał z niego, gdy pomagał ładować sprzęt, żywność, broń, amunicję i pojazdy - wszystko, co zapewniało funkcjonowanie przedsięwzięcia przez co najmniej siedem dni. Po raz pierwszy znajdował się na pokładzie samolotu wojskowego i dziwił się, jak coś tak

wielkiego i ciężkiego może wystartować i oderwać się od ziemi.

- Gramy? - zawołał ktoś. Wąskim przejściem wśród sprzętu szedł Fritz Lottspeich. Miał na sobie zielony kombinezon lotniczy i żółte na-uszniki z gąbki. Samoloty C-17 były bezpieczniejsze aniżeli stare konie pociągowe C-5 i C-141, które przez ostatnie dwadzieścia lat wozily operatorów z HRT po całym świecie, ale były głośnie.

- Gram - odkrzyknął Jeremy, starając się przekrzyczeć wysoki ryk silników odrzutowca. Wszystko dobre, byle zabić czas. Latanie nigdy nie należało do jego ulubionych rozrywek, a to nie był lot samolotem pasażerskim. Lot z szybkością pięciuset mil na godzinę w tej cylindrycznej składnicy bez okien powodował jego rozdrażnienie. I nie pomagała świadomość, że załadowali też helikopter MD-530 i jeden z pontonów brygady Golf.

- Czy leciałeś już kiedyś czymś takim? - wrzeszczał Jeremy do swego sąsiada.

Walt Hellier kierował w HRT Taktycznym Programem

119

Helikopterowym. Latał na blackhawksach w elitarniej Task Force 160 i o lataniu wiedział tyle, ile nikt inny na świecie.

- To nie w moim stylu - odwrzasnął Walt. - Pilotowanie C-17 to jak siedzenie na sedesie i usiłowanie poderwania całego domu w powietrze.

- Chodźmy, Waller! - zawołał Lottspeich, zbierając chętnych do gry w karty.

Jeremy zapatrzył się na chwilę na MD-530, po czym odpiął pas i poszedł grać.

Jedyną dobrą stroną latania samolotem bez okien jest to, że w przypadku katastrofy nie masz możliwości zobaczyć zbliżającej się ziemi, która cię pochłonie.

4

## Rozdział VI

HOTEL WILLIARD PRZY 1401 Pennsylvania Avenue jest bardziej znany ze swych filigranowych, mahoniowych rzeźb aniżeli ze swojej kuchni, ale znane osobistości Waszyngtonu nie miały trudności w znalezieniu powodu dla bywania w jego wielkiej sali jadalnej. Od 1850 roku, to jest od dnia zbudowania, w jego pokojach odpoczywało trzydziestu dwóch prezydentów, a wielce znaczące osobistości

przechadzały się po olbrzymich korytarzach. Jordan Mitchell rozumiał to zauroczenie; doceniał wagę rodowodu.

Na nieszczęście dla Sirad Mitchell rozumiał też wagę oczekiwania i kazał jej czekać dwadzieścia minut, zanim się zjawił. Jeszcze jedna głupia gra - pomyślała sobie, szacując lubieżne spojrzenia zamożnych, żonatych mężczyzn, rzucające w jej kierunku ze wszystkich stron. Sirad podniecała ich, oblizując alkohol z palców, którymi wyławiała oliwki ze swego martini. Wyolbrzymiała jeszcze tę chwilę, prowokując ich do rzucania spojrzeń za plecami żon, gdy sięgali po kawałek chleba lub po widelec do sałatki. Sirad uwielbiała skupiać uwagę. To dodawało jej sił.

- Panna Malneaux - ten głos ją zaskoczył. - Przepraszam, że kazałem pani czekać. Sirad odwróciła się, aby powitać wysoką, imponującą postać, mężczyznę nie tyle przystojnego, ile rzucającego się w oczy. Miał długie, proste włosy, na modłę edwardiańską, zupełnie białe i stanowiące tło dla oczu w kolorze nierdzewnej stali. Ubranie leżało na nim doskonale wzdłuż kanciastych, prostych linii. Oto człowiek nieprzystosowany do zbytku.

- Panie Mitchell - uśmiechnęła się Sirad, ściskając kolana. Nagle zabrakło jej tchu. - Miło pana poznać.

Jordan Mitchell wyciągnął rękę, rozświetlając twarz uśmiechem, który przeszył ją na wskroś aż po opalone plecy, zatrzymując się

121

w miejscu, w którym czarna podszewka jej sukienki przywierała do zewnętrznej części rajstop. Jego ręka była gorąca, lekko wilgotna, jak gdyby dopiero co wbiegł z ulicy. Ten człowiek emanował władzą, od długiego zbrocza jego czoła świadczącego o pochodzeniu z Greenwich, aż po rodzinny krzyż na sygnecie.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, siadając na odsuniętym przez kelnera krześle. - Powiadają, że Waszyngton to miasto wydajności ludzi z Południa, ale czaru tych z Północy. Obawiam się, że czasem nie doceniam jego wyzwania.

Sirad uśmiechała się poprzez światło rzucające przez dwie stojące pośrodku stołu świece. Pół tuzina mężczyzn, którymi niedawno się bawiła, gapiło się ze zgodnym poczuciem zazdrości, dziwiąc się, co też ten starszy mężczyzna mógł zaoferować tak oszałamiającej towarzysze kolacji. Waszyngton, podobnie jak inne centra

władzy, obraca się dokoła strachu - strachu, że ktoś inny może mieć większe wpływy, większy majątek, więcej czegokolwiek. Ale potem zobaczyli twarz Mitchella i zrozumieli.

- W porządku - odparła Sirad, sadowiąc się wygodniej na krześle. Mitchell ubrany był w dwurzędowy, kaszmirowy, rozpinany z przodu sweter, buty od Johna Lobba, a dokoła niego unosił się lekki zapach wetiwerii. - To miło, że mnie pan zaprosił.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Malneaux. - Mitchell otworzył listę win, podczas gdy kelner i jego pomocnik byli w pobliżu gotowi na każde jego skinienie. Szybko dokonał wyboru: Batard-Mon-trachet, zamówił i rozpiął wśród obsługi wrzawę aktywności.

- Zdaje się, że odwaliła pani dla nas w Atlancie kawał dobrej roboty. Proszę mi opowiedzieć o sobie. - Jordan Mitchell nachylił się ku niej, opierając się na łokciach, i przeszywał ją wzrokiem. Jego oczy świeciły błękitno-srebrzyście. Ale i alarmująco.

- O sobie? - powtórzyła Sirad. -No, dobrze. Zapewne pan wie, że nadzoruję w Borders Atlantic...

- Nie... proszę pani; chcę dowiedzieć się czegoś o Sirad Mal-neaux - przerwał jej Mitchell. - Wiem, że po ukończeniu college'u rok spędziła pani na podróżach po Indiach, Nepalu, że była pani na Mount Evereście. Fascynujące.

Zgadywał jej zapach - to nie były perfumy, ale coś lżejszego. Po prostu zapach ziół, zapewne szafranu i bzu. Emanował z jej ciała, z miejsca, w którym jej piersi znikwały w dekolcie sukni.

!šgmk

122

- Dorastałam w Nowym Orleanie, przeważnie, gdyż mój ojciec był profesorem. Gdy byłam mała, rodzice zabierali mnie w zimie do kurortów nad Morzem Martwym. Dlatego też pomyślałam sobie, że skoro spędziłam tyle czasu w największej depresji na świecie, to warto wspiąć się także na najwyższy punkt na kuli ziemskiej.

- Ale nie wspinała się pani? - dopytywał się Mitchell.

- Wychowałam się w Luizjanie, więc niewiele wiedziałam o wspinaniu się.

- Zdaje się, że pani się uczy - powiedział, gdy tymczasem kelner przyniósł wino,



które Mitchell obejrzał, zaaprobował i skosztował.

- Doskonałe. - Cały czas przyglądał się Sirad. Co za oryginalna kobieta - mniej interesująca w sprawie swej urody aniżeli w poznawaniu jej. Miała na sobie kolczyki z czarnych pereł i platynową obrozę na szyi, z której zwisał jeden wisiołek - dopiero tydzień temu sam podziwiał ten wzór u Harry'ego Winstona. Robi wrażenie, a jednak przekracza to jej finansowe możliwości - pomyślał.

- Za te góry, na które jeszcze trzeba się wspiąć - brzmiał jego toast. Sirad uniosła kieliszek, naśladowując każdy ruch Mitchella.

- Zdrowie - przytaknęła. - Ale jednak trzeba zachować jeszcze coś na później.

|>, >;, :-y ... \* /-., -,, |, , . ..... ,,, ,,, -

- HR-29DOTCO.

Jeremy wzywając Taktyczne Centrum Operacyjne, nachylił się do lunety obserwacyjnej Burrisa o czterdziestokrotnym powiększeniu. Powietrze wisiało wokół niego niczym włochata koszula nasiąknięta marmoladą. Gwiazdy dawały tylko siedem procent światła. Było bardzo ciemno.

- Łączę z TCO - usłyszał Jeremy w lewym uchu miękki kobiecy głos telefonistki w San Juan.

- Sierra Trzy ma cel na oku - szepnął głos, oznaczając jego status na stanowisku, które nosiło nazwę Pozycji Snajperskiej Numer Trzy. - Zaznacz naszą pozycję sto dwadzieścia siedem jardów od biało-czerwonego narożnika, azymut wsteczny dwieście dwadzieścia pięć stopni.

Jeremy wyglądał spoza gąszczu drzew mangrowych przez szeroki trawnik rozciągający się aż do walącego się domu. Z dużych okien na

123

obu piętrach wylewało się światło. Od frontu ciągnęła się kamienna balustrada, a z niskiego dachu wystawały mansardowe okienka.

Na skraju domu cował się niski, nerwowo wyglądający mężczyzna. Palił papierosa. W małej zagrodzie znajdującej się na lewo od tego człowieka pasło się kilka kóz, a niespętany osioł chodził po kamykach, którymi wysypany był podjazd.

- Zrozumiałem, Sierra Trzy. Śledzicie cel na pozycji dwadzieścia jeden dwadzieścia siedem.

Lekka morska bryza poruszała liśćmi nad głową Jeremy'ego, gdy sprawdzał na

kompasie, czy na pewno podał prawidłowe współrzędne. Większość pozostałych snajperów używała GPS-ów, ale dorastanie w północnym New Hampshire, wśród lasów, wykształciło w Jeremym wyczucie kierunku i umiejętność posługiwania się kompasem. Cała ta technika dobrze wygląda w katalogach, ale nigdy nie ufał bateriom.

- Mam długą broń na zewnątrz od Czerwonego Brawo Jeden - powiedział Jesus. Dowódca brygady, w której był Jeremy, leżał nie dalej niż stopę od niego. Jesiis patrzył przez lunetę obserwacyjną, przesuwając dwudziestodwucalową lufę tam i z powrotem po frontowej ścianie budynku. Pomiędzy nimi a domem rosło gigantyczne drzewo banianowe, a jego niewiarygodnie wielki system korzeniowy zasłaniał werandę.

Jedyny wartownik oparł się o drzewo, niemal całkowicie niewidoczny za jego wielkim pniem.

- Mam go - wyszeptał Jeremy. Ustawił mikrofon radia i przekazał wiadomość do Taktycznego Centrum Operacyjnego na Roosevelt Road. - Sierra Trzy do TCO... mam tu, na zewnątrz Czerwonego Brawo Jeden, mężczyznę z karabinem. Latynos, wiek dwadzieścia pięć-trzy-dzieści lat, krótko ostrzyżony, włosy czarne, wąsy, okulary. - Na chwilę zamilkł, aby nadać mu jakiś pseudonim: - Nazwijmy go Hektor. - Zrozumiałem - odpowiedział radiooperator. - Masz Hektora w Czerwonym Brawo Jeden.

Jeremy użył swojej lunety obserwacyjnej, aby przeczesać teren wzrokiem w poszukiwaniu innych niebezpieczeństw. Wstępne dochodzenie przeprowadzone przez biuro FBI w San Juan ustaliło, że co najmniej pięciu uzbrojonych mężczyzn porwało córkę gubernatora z boiska prywatnej, katolickiej szkoły, do której chodziła. Jeden z uzbrojonych po prostu wszedł, zastrzelił chroniącego ją strażnika i uprowadził dziewczynkę, a ponad dwadzieścia jej koleżanek patrzyło, nie wierząc własnym oczom.

124

Znalezienie ich nie trwało długo. Portoryko to mała wysepka, a FBI dbało tu o bogatą bazę informatorów. Agenci szybko namierzyli terrorystów, którzy ukryli się na opustoszałej plantacji trzciny cukrowej siedem mil na wschód od Ponce, a na obrzeżu El Junke, portorykańskiego tropikalnego lasu. Odizolowanie tego miejsca czyniło obserwację ryzykownym zajęciem, ale skoro należący do FBI

samolot służący do przeprowadzania zwiadu nocnego potwierdził, za pomocą swojego radaru na podczerwień (czyli FLIR), obecność ludzką, wysłano HRT na bliższe rozpoznanie.

- No, więc co myślisz? - spytał Jesus. Ten syn Meksykanki i robotnika stalowni w Chicago nie należał do rozmownych.

- Co myśłę? - Jeremy zauważył, że za oknem przeszedł jakiś mężczyzna, ale nie widział żadnych szczegółów.

- No taaak, przecież to twoja pierwsza akcja, nie? Jak ci się to na razie podoba?

- Bije na głowę wszystko, co było w szkole snajperów - wyszeptał Jeremy.

Nigdy w życiu nie był tak ożywiony. I nie powodowało tego bynajmniej podniecenie, że od pociągnięcia za spust zależy życie innego człowieka. Sprawiało to poczucie, że znajdował się w małej grupce ludzi, wezwanych do wykonania zadania, któremu nikt inny na świecie nie potrafił sprostać. Rzecz jasna wojsko ma specjalne jednostki operacyjne wyszkolone do radzenia sobie z operacjami większymi niż ta, ale nie w takich okolicznościach. Grupa Działań Lądowych Marynarki Wojennej, niegdyś SEAL Team Six, oraz Grupa Stosowania Walki, znana bardziej pod nazwą Delta Force, miały w swoich szeregach najlepszych wojowników na świecie. Ale prawo federalne zabraniało im działać (chyba że uzyskali specjalne zezwolenie prezydenta) w przypadkach zwykłych, cywilnych obywateli. A na dodatek nie mieli prawa dokonywać aresztowań ani też szkolić w zasadach prawa kryminalnego. Specjalne jednostki wojskowe doskonaliły się w zabijaniu złoczyńców, ale nie miały możliwości zajmowania się tymi, których ratowali. Toteż w sprawach takich jak te wzywano HRT.

Jesus nic nie powiedział. Wypluł na ziemię kulkę tytoniu z liści orzecha, który żuł, i kontynuował swoje obserwacje.

- TCO do wszystkich jednostek... - wezwał kobiecy głos. - Przygotujcie się do odbioru.

Jeremy poprawił słuchawkę i czekał.

125

- Wiedźcie, że mamy tu pływaków. Są dwie mile stąd. Hotel i Echo przechodzą na Żółty. Rozłączam się.

Radiowcy często używają terminu „rozłączam się”, aby dać innym dzwoniącym szansę

na włączenie się do sieci, w przeciwieństwie bowiem do telefonów komórkowych radio nie pozwala na prowadzenie rozmowy.

- Proszę powiadomić, gdy będziecie gotowi do włączenia się.

Każde z kolejnych stanowisk Sierra meldowało się, sygnalizując, że sieć zarzucona przez FBI wokół tej starej plantacji się zacieśnia. Snajperzy otoczyli budynek, dzieląc jego cztery części niczym kawałki jakiegoś wielkiego, wstrętnego ciasta. Każdy dwuosobowy zespół pilnował trójkąta o piętnastostopniowym kącie u wierzchołka, zmniejszając tym samym możliwość przeoczenia czegokolwiek.

- Sprawdź Biały Brawo Trzy - szepnął Jesus. Wygląda jak - AK. Jeremy sprawdził. Przy trzecim oknie od lewej strony budynku na drugim piętrze stał strażnik z karabinem kalibru 7.62 mm.

- Chiński SKS - stwierdził Jeremy. - Sprawdź.

Terrorysta odwrócił się ku niemu twarzą, ale Jeremy wiedział, że nie zrobił tego celowo. Wraz z Jesusem dobrze zakopali się pod korzeniami i niemal zniknęli z powierzchni ziemi.

Jeremy wycelował krzyż swojego celownika na czoło machete-ro, cicho obliczając zmienne. Wilgotność - 95 procent, kąt padania światła - dwa stopnie, prędkość wiatru - zero do trzech mil na godzinę z kierunku południowego. Nie ma ryzyka, aby kula zoczyła z toru, ani też oślepienia przez światło, a więc nie ma powodu, by spudłować.

- Sierra Trzy do TCO, mamy tu jeszcze jednego uzbrojonego mężczyznę w Białym Brawo Trzy - zamilkł na chwilę, aby wymyślić jakiś przydomek dla tego człowieka. Przypominał mu pewnego detektywa, którego widział w telewizji. - Nazwijmy go Sipowicz.

Jasnozielony gekon pełził wzdłuż lufy karabinu Jeremy'ego.

- Chcesz tego faceta czy Hektora? - spytał Jesus, któremu było zupełnie wszystko jedno.

- Hektora - odparł Jeremy. Ustawił dwunóg swojego karabinu pomiędzy rozwidleniem korzeni i oparł policzek na kolbie. Lufa była wymierzona w krawędź budynku, a krzyż celownika optycznego dzielił głowę wartownika na cztery części.

- Sierra Trzy do TCO - mówił Jeremy przez radio. - Niech tu przyjdą pływacy.

ZANIM JESZCZE ZAMÓWILI COŚ DO JEDZENIA, Jordan Mitchell wiedział, że znalazł właściwą osobę. Ta kobieta skupiała na sobie uwagę każdego, kto tylko znajdował się w jej otoczeniu, i to tak wdzięcznie, jak skóra koncentruje na sobie blask świecy. Podczas rozmowy przy kolacji Sirad zelektryzowała całą salę i to nie wypowiadając głośno ani jednego słowa. Mówiła tak, aby słyszał ją tylko jej szef. Mitchell miał zamiłowanie do pięknych rzeczy, a Sirad miała urok, który widział u gwiazd rocka i projektantów mody.

- Muszę przyznać, że pani mnie intryguje - powiedział, nalewając jej więcej wina.

- Nigdy nie wyszła pani za mąż?

Sirad nie zachnęła się na to pytanie. Ta kolacja nie oscylowała wokół seksizmu czy szklanych barier stosowanych w awansach albo niewłaściwych praktyk przy zatrudnianiu; dotyczyła wzajemnych korzyści. Ona chciała złowić Quantis, a on jej talent. Do diabła z tymi wszystkimi broszurami o równości zatrudnienia i skargami na szowinizm Jordana Mitchella. To był biznes i pokaz, jak należy załatwiać sprawy.

- Jestem bardzo niezależną kobietą - odparła Sirad.

Mitchell skinął głową, starając się jej nie przyglądać. Małe płomyki światła świec tańczyły na jej skórze.

- Czy dlatego ubiega się pani o to stanowisko w Quantis?

- Ubiegam się, bo wydaje się ono niewiarygodną okazją. Z tego, co wiem o nowym projekcie SBT, ma on szansę zrewolucjonizować przemysł osobistego komunikowania się. Jeśli zaangażowanie wymaga wyprowadzenia się na kilka lat z Atlanty, to nie ma sprawy.

- Ale pani lubi tam mieszkać? - powiedział, usiłując sprawiać wrażenie, że go to interesuje. Nie przywykł do zmian tematu, ale ta kobieta całkowicie zawładnęła wszystkimi jego myślami. - Czy wie pani, że będzie się pani musiała przeprowadzić do Nowego Jorku? A ponieważ pod koniec sierpnia chcemy wejść na rynek, będzie to wymagało od pani wielu podróży do Rijadu i z powrotem, nawet zanim jeszcze się pani przeprowadzi.

- Atlanta to miłe miasto - stwierdziła Sirad - ale to nie dom. Jestem gotowa na zmianę.

Kiedy kelner przyniósł przystawki, Mitchell złożył ręce na kolanach. Ukradkiem nacisnął guzik na swoim pagerze, dając znać Trasko-wi, że już wszystko wie.

Pomimo że ta kobieta wydawała się zachwycająca, to nie mógł znieść myśli o obserwowaniu, jak je, choćby jeden kęs. Zapewne zamknąwszy usta żuje powoli, starannie i bezgłośnie, ale to było jedno z jego dziwactw, które towarzyszyło mu od dzieciństwa. Posiłki spożywane wspólnie z ojcem oznaczały znoszenie nieustannych szyderstw z manier i etykiety. Jedzenie było dla Mitchella sprawą niezwykle osobistą, nawet bardziej niż seks.

Rozległ się dzwonek jego komórki.

- Proszę wybaczyć - przepraszał swego rozmówcę. - Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać... nie, ja... tak, zgoda. Powiedz mu, że będę tam za... - Spojrzał na zegarek, starego roleksa prince. Sirad zauważyła go. Jeszcze nigdy nie widziała tego zegarka wykonanego z białego złota - ..za dwadzieścia minut. Rozłączył się i skinął na trzech mężczyzn, siedzących przy stoliku po przeciwnej stronie sali. Dwóch z nich wstało i wyszło.

- Zdaje się, że to mój wieczór przepraszania-powiedział Mitchell. - Członkowie Kongresu mają dziwny zwyczaj umawiania spotkań już po zaniknięciu sesji. Myślę, że to ma jakiś związek z władzą.

Sirad uśmiechała się, ale wyłącznie z absurdalności jego fortelu. Jordan Mitchell mógł zadzwonić do prezydenta, korzystając ze specjalnej, bezpośredniej linii. Światowi przywódcy zabiegali o audiencję u niego i bardzo niewielu polityków z jakiegokolwiek partii ośmieliłoby się mu powiedzieć, gdzie i kiedy mają się spotkać.

- Jest pan zajęтым człowiekiem, panie Mitchell - rzuciła Sirad -i w pełni rozumiem. - Zaczęła się podnosić.

- Nie, proszę skończyć kolację - nalegał. Pomachał ręką, przywołując wysokiego, silnie zbudowanego sekretarza. - To szef mojego zespołu, John Trask. - Sirad podała mu rękę. - Zanim wszystko będzie oficjalnie uzgodnione, musi dowiedzieć się kilku rzeczy. A poza tym mamy już mało czasu jeśli chodzi o ten projekt; w następnych tygodniach będzie pani raczej zajęta. Więc mogę liczyć na panią w sprawie projektu Quantis?

- Jeśli mnie pan zatrudni - kokietowała Sirad. Mitchell uśmiechnął się wyczekująco.

- Było mi bardzo miło panią poznać, Sirad. - Potrząsnął jej ręką, przytrzymując ją chwilę dłużej, niż wypadało. - Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy.

128

Po czym Mitchell spiesznie poszedł do samochodu i wsiadł do auta. Przez chwilę pozwolił sobie na fantazjowanie, gdyż w głowie miał mnóstwo widoków Sirad, ale potem zadzwoniła jego komórka, odrywając go od tych rozmyślań na tak długo, że nie był już w stanie pamiętać, dlaczego przede wszystkim zatrudnił tę kobietę.

Te same wartości, dzięki którym była dla niego cennym nabytkiem, sprawiały, że niemożliwością było kiedykolwiek w pełni jej zaufać. Sirad była piękna, inteligentna i pociągająca, ale jej życie kryło różne historie.

• »>'|||||  
|||..

OKOŁO JEDENASTEJ WIECZOREM powietrze jeszcze bardziej znieruchomiało. Jeremy słyszał dźwięk wody kapiącej z ciał nurków brygady Golf, kiedy wyłaniali się ze szklistego ujścia rzeki płynącej z tyłu i wczołgiwali na brzeg. Nurkowie pełzali niczym pływające gady i skupili się w gąszczu bambusów tuż za wysuniętym stanowiskiem strzeleckim Jeremy'ego. Spojrzał przez ramię, jak zdejmowali aparaty tlenowe i mokre ubranie. Wyłoniły się torby pełne broni, noktowizorów i granatów oślepiająco-ogłuszających.

- Golf Jeden na Żółtym - zameldował przez radio do TCO dowódca brygady, pochodzący z Bostonu Irlandczyk Sean Devlin. - Prosimy o zezwolenie na rozwiązanie kompromisowe i przejście na Zielony.

- Zrozumiałem, Golf Jeden - odpowiedział głos w radio. - Macie pozwolenie, aby przejść na Zielony.

Devlin przekradł się na tyły Jeremy'ego i Jesusa. Teraz był tuż z lewej strony Jesusa. W nikłym świetle wyglądał zdecydowanie i równie tajemniczo, jak dżungla mangrowców z tyłu za nim.

- Co masz? - wyszeptał Devlin. Sześciu pozostałych członków jego brygady przeszukiwało wzrokiem teren w poszukiwaniu zagrożenia.

- Dwa kruki z AK na czerwono-czarnym narożniku - zawiadomił Jesus. - Musicie zaatakować zachodnie wejście.

Rozkaz operacyjny wskazywał na trzy potencjalne wejścia: włąz na płaskim dachu oraz drzwi na poziomie parteru jedne po wschodniej, a drugie po zachodniej stronie. Wejście od zachodu dawało szturmowcom z brygady Golf doskonałą okazję uniknięcia strażników, ale oni zawsze woleli element zaskoczenia.

- Daj mi dziesięć minut na dotarcie tam - wyszeptał Devlin.

129

Jeremy wbił wzrok w czoło Hektora, obserwując, czy mężczyzna zareaguje na ruchy brygady Golf. Krzyż celownika optycznego był nakierowany na żyjącą, oddychającą istotę ludzką. I nie miało znaczenia, czego uczyli go żołnierze piechoty morskiej, w tym fachu nie odbywało się żadnej praktyki.

Wsunął kolbę karabinu pod ramię i cały zewnętrzny świat ulotnił się do podświadomości. Ludzkie życie wisiało na włosku, a Jeremy delikatnie wodził palcem po spuście.

•|-!•• • ||:;./-...•,

MARCELLUS PARSONS CZEKAŁ w pokoju gościnnym apartamentu hotelowego Jordana Mitchella, kiedy wróci on z kolacji.

- Dobry wieczór, senatorze - powitał go Mitchell. - Mam nadzieję, że nie czekał pan długo.

- Nie, nie... dopiero przyszedłem. - Senator z Montany wstając na powitanie Mitchella, potknął się i niemal przewrócił wysoką wazę z epoki dynastii Ming. - Właściwie nawet wcale nie czekałem, bo ten pana sekretarz trzyma wszystko żelazną ręką.

Trask starał się jak mógł, aby doszło do tego spotkania, i upewniał się, czy Parsons wstąpi chociaż na chwilę po wyjściu z imprezy Partii Republikańskiej mającej na celu zbiórkę pieniędzy na rzecz kampanii wyborczej, a w drodze na oficjalne spotkanie w rezydencji ambasadora Włoch. Już każdy reporter w mieście wiedział, że senator Beechum jest bardzo przeciwna telefonom Quantis, i ani Mitchell, ani Parsons nie chcieli przez swoje nieostrożne posunięcia dawać jej broni do rąk.

- Czego się pan napije? - spytał Mitchell, prowadząc gościa do głównego salonu. Podszedł do doskonale zaopatrzonego baru i wybrał butelkę trzydziestoletniego burbona.



- Aaa, to wygląda dobrze, cokolwiek pan tam ma. - Parsons próbował czuć się swobodnie, ale widać było, że obecność Mitchella wprawia go w zakłopotanie.

- Wie pan, właśnie jadłem kolację z niezwykle fascynującą kobietą. - Mówiąc to, Mitchell nalał do dwóch szklanek rzadkiego, bursztynowego płynu. - Chcę, aby kierowała za granicą marketingiem naszego projektu Quantis. Muszę panu powiedzieć, że jest bystra, zdolna... i ma bardzo silną motywację. ?

130

- Tego samego oczekuję od swoich ludzi - uśmiechnął się Parsons, biorąc swój burbon i kołysząc ciecżą w szklance. Wyobrażał sobie, że teraz jego i Mitchella coś łączy. - To znaczy musi mieć zwarty, mały tyłek i umiejętność trzymania gęby na kłódkę.

Mitchell zmarszczył brwi na ten nieokrzesany męski żart.

- Ja cenię kompetencję, Marcellus - odparł. - Urok tej kobiety jest towarem, który będzie nam pomocny na rynkach Bliskiego Wschodu oraz azjatyckich. Nic ponadto.

Niektórzy radzą prezesom wielkich korporacji, aby nie siadali do stołu z kierownictwem średniego szczebla - szczególnie płci przeciwnej - ale znów niewielu ludzi potrafiło zrozumieć Jordana Mitchella. Ci, którzy to umieli, wiedzieli o jego niemal patologicznym przywiązywaniu wagi do szczegółów oraz o fundamentalnym braku zaufania do podwładnych. Chciał się upewnić, że Sirad nadaje się do tej pracy, a uroda tej kobiety nie była niczym więcej, jak ciekawostką.

- Oczywiście... - gruchał Parsons. - Miałem tylko na myśli, że...

- Co masz dla mnie? - spytał Mitchell, siadając na francuskiej kozetce i zakładając nogę na nogę.

- Co mam? Ja... och, tak. Rozmawiałem z ważnymi osobami i jasno uzgodniliśmy stanowisko w sprawie inicjatywy Quantis. Nie zostanie zarzucona. Nie skończy się na żadnej dobroduszej rezolucji lub memorandum dla Federalnej Komisji do spraw Środków Masowego Przekazu. A jeśli chodzi o Senat, to sprawa jest zamknięta.

- To dobrze, to dobrze. - Mitchell uśmiechał się, wyraźnie zadowolony. - No, bo wie pan, senatorze, mogę być kapitalistą, ale jestem też patriotą. Naprawdę.

Niepokornym...

Parsons kiwał się w przód i w tył na obcasach swoich kowbojskich butów od Lucchese, aż wreszcie usiadł na fotelu naprzeciwko gospodarza.

- Nie mógłbym się bardziej z panem zgadzać - powiedział, sącząc burbon. - A teraz jeśli chodzi o te dwie fabryki, które budujemy. Komisja Środków Budżetowych...

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Trask.

- Proszę mówić dalej - powiedział Mitchell Parsonsowi, spoglądając od czasu do czasu na swojego sekretarza i szefa personelu.

- Mam w tej komisji adwokatów, którzy pracują nad korzyściami podatkowymi. Jak panu wiadomo, system legislacyjny stanu Montana już zaproponował bardzo korzystne finansowo zachęty. Myślę, że to będzie można zastosować na wielu płaszczyznach.

131

- A co z Komisją do spraw Wywiadu? - zapytał Trask. - Beechum nie pozwoli, aby to przeszło tak cicho.

- Nie, nie pozwoli. A tak naprawdę to usiłuje powiązać to wszystko z Matriksem 1016. Z tego, co rozumiem, to dotyczy on projektu komórki Al-Kaidy, aby w jakiś sposób przeniknąć do Federalnego...

- Tak, wiem wszystko o Matriksie 1016 - przerwał Mitchell. - Czy ona ma dość informacji, aby użyć ich przeciwko nam?

- Nie, nie ma - odrzekł Parsons - a oprócz tego ma własne kłopoty.

- O czym pan mówi? - Mitchell udał, że o niczym nie wie. Parsons ocenił jego umiejętności aktorskie bardzo nisko.

- Jak słyszałem, w jej łazience te sprawy wcale nie przebiegały tak, jak każdy myśli - odparł. - W jej domu znaleziono dowody łączące ją z człowiekiem, który zniknął akurat w tym samym czasie, w którym nastąpił ten rzekomy atak na panią Beechum. A ten człowiek to adwokat z Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

- I? - spytał Mitchell spokojnie.

Parsons milczał chwilę, starając się odczytać znaczenie subtelnych spojrzeń, jakie wymieniali między sobą Trask i Mitchell. Prezes Borders Atlantic nie okazywał żadnych uczuć. Parsons zastanawiał się, czy kiedykolwiek widział, by Mitchell choćby mrugnął.

- Mówię, że nowy rozpęd pani senator Beechum walnie w wielki zderzak - odparł.

Trask wziął pustą szklankę swego szefa i poszedł do barku, aby ją napełnić.

- To może oznaczać wszczęcie śledztwa przez Komisję Etyki, nieprawdaż? - zapytał

Trask. - Być może pojawiają się jakieś oskarżenia. Czy to oznacza, że istnieje możliwość, iż Elizabeth Beechum będzie zmuszona ratować się przed przesłuchaniami przed Komisją do spraw Wywiadu i grożącą jej sprawą sądową?

- Tak, istnieje... możliwość... na pewno - bełkota! niewyraźnie w podnieceniu Parsons. - Ale...

- I to oznaczałoby, że partia mająca większość w Senacie - to znaczy pańska partia, republikanie - może być zmuszona przemyśleć swoją szczodrość i zastąpić panią senator jakimś starszym, bardziej odpowiednim senatorem, który będzie pełnić funkcję spikera tej izby - zasugerował Mitchell. - Może zostanie nim pan?

132

Mina Parsons mówiła sama za siebie. - No, cóż, tak, tak przypuszczam - odparł, a kąciki jego ust ułożyły się w coś na kształt miny towarzyszącej jedzeniu gówna.

- To interesujące - zgodził się Mitchell. - Mamy nadzieję, że będzie nas pan informować o rozwoju nowych zdarzeń. - I z tymi słowy Jordan Mitchell wziął do rąk leżący na niskim stoliku nowy album Helmuta Newtona z nagimi postaciami. Spotkanie było zakończone.

- Tak, tak, oczywiście - odrzekł Parsons. - Cóż, muszę dotrzeć do... - z tymi słowy wstał i skierował się ku drzwiom. - Rozumiem, że wszystko uzgodniliśmy dla przełamania lodów. Prawda? To znaczy, powinniśmy być przygotowani na...

- Miło z pana strony, senatorze, że pan wpadł - powiedział Trask, odprowadzając Parsonsa do drzwi. - Dziękuję panu za wszystko, co pan dla nas robi. Po powrocie do Montany proszę powiedzieć tym wszystkim operatorom koparek i rowów, że Boże Narodzenie będzie ładne w tym roku. Jeśli wszystko potoczy się tak, jak dotychczas, to Borders Atlantic trafi do Montany.

TUŻ PO PÓLNOCY BRYGADA GOLF ZACZEŁA WYPROWADZAĆ SIĘ z pozycji Żółty, a więc ze

swego ostatniego stanowiska, które służyło jej za kryjówkę. Uzyskała na to zgodę, a to znaczyło, że nie ma odwrotu.

- Jesteś gotów? - spytał Jesus swego towarzysza. Teraz zależało to już wyłącznie od nich, bo skoro brygada Golf wyniosła się z dżungli, to oni byli narażeni na

ataki Hektora i jego kompanów.

- Obserwuję go - odparł Jeremy. Strażnik przesuwiał się, co Jeremy widział w swoim celowniku optycznym Unertla z dziesięciokrotnym powiększeniem, gdyż palił papierosa.

- Miej go na oku. - Jesus nastawił radio. - Sierra Trzy, odbiór - powiedział. Jeremy spojrział na zegarek. Większość tych typów na dole już spała, a ci na posterunku jasne jak cholera, że wkrótce też zasną. Teraz był najlepszy czas, by zaatakować.

- Hotel Jeden do TCO, proszę o pozwolenie przejścia na Zielony - wyszeptał Chuck Price. Jego siedmioosobowa brygada szturmowców

133

miała pod osłoną snajperów z brygad Yankee i Żulu podejść do budynku od drugiej strony.

- Zrozumiałem. Hotel i Golf na Żółtym.

Jeremy skupił się na spowolnieniu bicia swego serca, tak jak go uczył instruktor strzelania:

Mięśnie się nie liczą, tylko trzeba dla kości ręki znaleźć twarde oparcie, najlepiej także kość - mówił. Miękka tkanka puchnie pod wpływem krwi, adrenaliny albo ukąszenia komara. A kość rzadko kiedy drgnie.

Przetarł zmęczone oczy i wsparł policzek na poplamionej potem podkładce. Karabin strzela tam, gdzie się go wyceluje, a reszta zależy już od człowieka.

- Nie spieprz, nie spieprz... - mamrotał Jeremy pod nosem. Leżał w tej pozycji od ponad ośmiu godzin i zaczynał się denerwować.

- TAC-AIR Jeden do TCO, na Żółtym, proszę o pozwolenie przejścia na Zielony.

Głos Walta Helliera skrzeczał w słuchawce, którą Jeremy miał na uchu, gdzieś jakby w tle warkotu dwóch silników odrzutowych Bell 412. Za chwilę dwa z zaciemnionych helikopterów wyłonią się tuż za linią drzew i wyrzucą szturmowców z brygady Charlie oraz Echo na dach. Celem tego dwuetapowego planu szturm było zaskoczenie Macheteros. Brygady Hotel i Golf będą się przedzierać do wnętrza, a Charlie oraz Echo zaatakują z góry i wszyscy będą walczyć dopóty, dopóki nie znajdą dziewczynki i nie zapewnią bezpiecznego sposobu wydostania jej stamtąd.

- Zrozumiałem, TAC-AIR Jeden. Jesteście na Żółtym. Wszystkie brygady uwaga...

Cholera jasna - pomyślał Jeremy, ściskając w ręku kolbę karabinu. To się stanie. Nie ma więcej żadnych treningów, żadnych wykładów, żadnych zapraw na sucho w domku z opon. Obrzucił wzrokiem swój sektor i znów ustawił krzyż celownika na Hektorze, którego papieros świecił tam czerwono. Chociaż od tego człowieka dzieliła Jeremy'ego odległość stu pięćdziesięciu jardów, to jednak czuł się w jakiś sposób z nim związany, jak gdyby położył rękę na niegrzecznym dziecku, które bardzo potrzebowało klapsa.

- Jesteś gotów? - spytał Jesus.

- Tak - wyszeptał Jeremy. Teren oddzielający Sierra Dwa od miejsca, w którym stał tamten człowiek, połyskiwał w świetle wschodzącego

134

księżycy. Jeremy po raz ostatni obrzucił swój sektor wzrokiem, tak, żeby być...

Tirach!

Tuż na prawo od nich, trzydzieści jardów (j skraju dżungli, coś sprawiło, że serce Jeremy'ego niemal zamar\*o - Instynktownie odwrócił głowę, pozostawiając celownik nastawiony" fla parną ciemność. Tam wyżej jeden ze szturmowców z brygady Golf Przykłęknął, natrafiając akurat na złamaną gałąź cyprysa.

- Jezu! - syknął Jeremy.

- Co? - spytał jego towarzysz.

- Nie, nie ty... chciałem przekląć, to znaczy chciałem powiedzieć „o kurwa” - wyjaśnił. Próbował mówić dalej, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Spojrzał znów w celownik. Hektor zniknął.

- HR Jeden do wszystkich brygad... - I^aSon krzyknął nagle do pięćdziesięciu słuchawek operatorów HRT. - ^acie pozwolenie przejścia na Zielony.

Nie! - zaprotestował Jeremy w myślach. Hektor usłyszał trzask gałęzi i teraz się schował. Brygada Golf wejdzie Prosto w zasadzkę.

- Schodzę, schodzę... - wyszeptał pospieS\*nie do swojego kolegi i równocześnie dowódcy brygady.

- Schodzę? Co to znaczy? - zapytał Jesus, który miał mnóstwo własnych zmartwień.

- Zniknął. To znaczy Hektor. Nie mogę 80 znaleźć... - Jeremy przesunął swój celownik optyczny tam i z pOAVrotem, ale dziesięciokrotne powiększenie, jakie dawało urządzenie, sPrawiało, że nie można było uzyskać perspektywy. Trzydzieści

jardów prze(j) mój z dżungli ostrożnie wyłonił się pierwszy szturmowiec z brygady Golf, przecierając szlak do miejsca, w którym należało użyć materiałów wybuchowych, aby w ten sposób utorować sobie dalej drogę. Jego towarzysze podążali szybko za nim, z bronią gotową do ataku

Nad wodą dał się słyszeć stłumiony, obcy w tej pustce nocy dźwięk *tamp, tamp, tamp* wydawany przez śmigła helikopterów. To przybywały brygady Echo i Charlie. Wyruszały na wojnę i teraz już nic nie mogło ich powstrzymać.

Jeremy obejrzał murawę gołym okiem, mając nadzieję, że dojrzy gdzieś Hektora. Jego ciało było niczym drut wsadzony do gniazdka elektrycznego. Musiał coś zrobić, ale co?

- Znajdź tego skurwysyna! - rozkazał Jesus, i tu uderzając do swojego celu.

135

Coś przykuło uwagę Jeremy'ego. Dym - tylko jakby cień oddechu - unosił się na skraju żywopłotu z bugenwilli. Jeremy dostrzegł mgliste odbicie sylwetki Hektora w obwisłych ołowianych szybach podzielonego szprosami na dwanaście części okna. Wartownik Machete-ros zaciągnął się po raz ostatni i podniósł do oka swój AK-47, czekając na brygadę Golf. Cała sprawa błyskawicznie przybrała zły obrót.

- TAC-AIR jeden do TCO... - dźwięczał głos w słuchawce Jeremy'ego. -  
Trzydzieści sekund...

- Kurwa! Nie dostanę go - oświadczył Jeremy. Nie mógł przecież strzelać do odbicia.

Z tyłu wzmógł się ryk silników helikopterów. Jeremy dostrzegł ich cień na horyzoncie. Leciały z szybkością stu dwudziestu węzłów, a każdy miał na pokładzie czternastu szturmowców. Liny, po których mieli oni zejść w dół, już były przygotowane. Musiał ostrzec tych z brygady Golf bez alarmowania Macheteros, bo zabiją dziewczynkę, zanim ktokolwiek do niej dotrze.

- Kryj mnie - powiedział, zrywając się na równe nogi, zanim jeszcze Jesus zdążył spytać, co się dzieje. Wstając, chwycił swój karabin MP-5SD i pognał wzdłuż linii drzew, tuż obok karabinu Jesusa. Jeśliby ten ostatni wołał za nim, to Jeremy i tak by nie słyszał. Myślał tylko o jednym - aby powstrzymać Hektora.

- Uwaga, kontroluję... - wołał Mason do wszystkich brygad. Jeremy pochylił się, aby nie było widać jego sylwetki na tle drzew

i biegł tak szybko, jak tylko pozwalało mu na to jego ghille. Wyglądał jak jakiś potwór, który wyłonił się z bagien i wybiegł z dżungli - cała postać była jednym cieniem.

- Pięć...

Jeremy gnał przez dżunglę zwisających pnączy i liści palmowych. Jakaś gałąź zaczepiła się o jego ghille na głowie i zerwała tę kamuflażową zasłonę, odsłaniając zmatowiałe od potu włosy i wysmarowaną farbą twarz, na której rysowała się ślepa obsesja.

Przechodząc przez wąski trawnik, uniósł do góry broń i szedł w kierunku narożnika domu. Za nim śmigła helikopterów łomotały powietrze: ŁUP. ŁUP. ŁUP.

- Cztery...

Chłopcy z brygady Golf posuwali się wzdłuż budynku. Ten, który miał wysadzać drzwi, wyjął z torby z materiałami wybuchowymi przygotowany ładunek i przykucnął obok drzwi.

136

- Gdzie ty, do cholery, jesteś? - krzyczał Jeremy sam do siebie, kiedy biegł i wreszcie dobiegł do domu. Z bliska wszystko wyglądało inaczej. Rynny zwisały, sztukaterie były poobrywane na dużych przestrzeniach. Kozy patrzyły na niego, nie przestając żuć.

Ukrył się za drzewem banianu, jedyną osłoną, jaka tam była.

- Trzy...

Usiłował spowolnić oddech i uspokoić serce. Przywarł do drzewa, próbując znów dostrzec odbicie Hektora w oknie. Tam, z prawej strony, dosłownie na wyciągnięcie ręki był wartownik przykucnięty za czarną lufą swojego wielkiego karabinu. Jeremy nie zastanawiał się, ale po prostu nachylił się i wsunął lufę swojego MP-5 do spoconego prawego ucha Hektora. i;

- Dwa...

- No mas - wyszeptał Jeremy. - No mas. Hektor znieruchomiał.

Nagle ryk helikopterów zagłuszył akcję zjeżdżania po linie, kiedy to podniebni towarzysze Helliera szybowali ponad głową Jeremy'ego. Wywołany przez śmigła wiatr potargał wszystko dokoła domu. Liny dotknęły dachu, a pęd powietrza sprawił, że w powietrzu zaczęły latać puszki po piwie, liście palmowe, ziemia,

kozie bobki i wszystko, co tylko mogło unieść się w górę. Cały świat wydawał się ginać w tym chaosie wywołanym przez hałas i zamieszanie.

Jeremy'ego uczono, aby nie spuszczał broni z oczu, ale nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć Hektorowi w oczy, które lśniły jak węgle. Nie chciał go zastrzelić, ale przy takiej odległości czas reakcji jest bardzo krótki.

BUUUM!

To brygada Golf wysadziła dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do domu i ludzie Devlina zniknęli w środku. Jeremy zatoczył się do tyłu pod wpływem siły wybuchu, która powaliła nic niepodejrzewającego Hektora na ziemię. Rozczochrany machetero czołgał się w chmurze kurzu, szukając swojego karabinu, ale Jeremy już kopnięciem odrzucił go dalej. Hektor sięgnął gorączkowo do kieszeni koszuli i wyciągnął małe, czarne pudełeczko. W ciemnościach rozbłysło jaskrawoczerwone światło diody.

Co to takiego, do cholery? - zdumiał się Jeremy.

Za jego plecami nagle rozległy się odgłosy walki. Noc rozrywały granaty oślepiająco-ogłuszające, huk strzelaniny, krzyki kobiet,

137

wrzaski mężczyzn krzyczących po angielsku i po hiszpańsku z portory-kańskim akcentem, odgłos tłuczonego szkła i znów strzelanina. Jeremy był zaskoczony tą bezwzględnością i ogromem przemocy. To było zupełnie co innego aniżeli ćwiczebna strzelanina podczas praktykowania walk w zamkniętych pomieszczeniach. Tutaj cel odpowiadał na twoje strzały.

- Nie ruszaj się! Nie ruszaj się! - krzyczał Jeremy, wciskając lufę swego karabinu Hektorowi w twarz. Przerażony mężczyzna upuścił małe pudełeczko.

Co prawda Jeremy'ego pochłaniały myśli o znalezieniu dziewczynki, ale migające na tym leżącym na ziemi pudełeczku światełko wymagało zainteresowania się nim. Również Hektor patrzył na nie przerażony.

- Como esta? - wrzasnął Jeremy. - Co to takiego? - Schylił się i podniósł to coś, co wyglądało jak zwykły pilot do otwierania garażu.

Hektor poderwał się i chciał uciekać, ale Jeremy w porę kopnął go w nogi, a następnie ukląkł mu na gardle, przysunął małe pudełeczko do jego twarzy i wrzasnął: / t . ,



-Co to? -, |" .- :!| |•|

- Benzyna, benzyna - wycharczał Hektor. - To gaz.

Światło z eksplodujących wewnątrz budynku granatów oślepiająco--ogłuszających stanowiło niespodziewaną iluminację. Macheteros musieli brać pod uwagę ewentualność takiego ataku, a benzyna była tania i wciąż pozostawała najskuteczniejszą bombą zapalającą niewymagającą termitu. HRT pakowało się w jakiś gigantyczny koktajl Mołotowa.

- Sierra Trzy do TCO! - wrzeszczał Jeremy do mikrofonu, ale było to jakby szept w czasie huraganu, gdyż odgłosy walki pochłaniały jego głos.

Bez namysłu jednym ruchem podniósł Hektora z ziemi i wepchnął przez wysadzone drzwi domu. To posunięcie było złamaniem wszystkich reguł, jakich go uczono, ale stał w obliczu śmierci.

Wewnątrz budynku tuż przy wejściu leżały dwa ciała; jedno z nich miało tylko pół twarzy. Jedyne pozostałe oko tego mężczyzny patrzyło nieruchomo w górę z bladej twarzy i upiornej rany. Jeremy popchnął dalej swego zakładnika, przez smugę nikłego światła sączącego się z innych pomieszczeń.

- La muchacha! - krzyknął w pełnej paniki hiszpańszczyźnie. -Gdzie jest dziewczynka?

138

- Vamonos! - wrzasnął Hektor, walcząc z Jeremym i próbując uciec. - Na zewnątrz! Na zewnątrz!

Jeremy nacisnął Hektorowi na nerw strzałkowy, tuż ponad prawym kolaniem, ale po zewnętrznej stronie nogi.

- Pokaż mi tę pieprzoną dziewczynkę!

Hektor potknął się, zaskoczony bólem i orgią przemocy, jaka spadła na kryjówkę Macheteros. Granaty oślepiająco-ogłuszające, strzały z broni automatycznej.

Światło odbijające się od luf tańczyło w pomieszczeniach, w miarę jak operatorzy z HRT przedzierali się w kierunku porwanej.

- Stać! - rozległ się czyjś okrzyk, górując nad hałasem. Jeremy odwrócił się, trzymając przed sobą Hektora niczym żywą tarczę. W rogu stał Dave Shellenby pochylony nad swoim MP-5. Światelko kolimatora rzucało na jego twarz diabelską, pomarańczową poświatę.

- Tu Waller! - odkrzyknął Jeremy, na wszelki wypadek podnosząc swoją broń nad głowę. Szturmowcy są szkoleni, aby patrzeć przede wszystkim na broń, a nie na twarz. - Ten facet może zaprowadzić nas do dziewczynki!

Shellenby mrugnął na znak, że poznaje, i skierował broń w stronę Hektora.

Podchodził coraz bliżej, przez dym granatów i ogień palących się mebli; wyglądał jak demon.

- Gdzie ona jest?-wrzasnął.

Jeremy zdał sobie nagle sprawę, że nie ma kamizelki kuloodpornej, nic oprócz ghille i farby na twarzy. Równie dobrze mógłby być nago.

- Gdzie ona jest?

Hektor tylko wybałuszał oczy.

Shellenby oparł lufę swojego karabinu maszynowego dokładnie pomiędzy oczami Hektora i położył palec na spuście.

- A pieprzyć go! - stwierdził.

- Na dole! - powiedział Hektor, zdradzając tajemnicę. Obraz tego terroru wykrzywił mu twarz. Jakkolwiek wyobrażał sobie odpowiedź władz na postępek swego ugrupowania, to nic nie przypominało tego, co teraz widział. - W piwnicy! Wskazał na prawo, na korytarz ciągnący się z tyłu w stronę kuchni. Jeremy pokonał tę przestrzeń w czasie, który był potrzebny Hektorowi na rozpoczęcie modłów do Matki Boskiej. Shellenby omiótł pomieszczenie światłem umieszczonym na lufie. Nie było tu żadnych drzwi, żadnego wejścia na schody.

139

- Gdzie? - spytał szturmowiec. Hektor wskazał pod nogi, na dywan, który Jeremy odrzucił kopnięciem. Ukazało się zakamuflowane wejście. Szturmowcy wpadając do budynku, przebiegli dokładnie nad tym miejscem.

- Wysadź je! - powiedział Shellenby, przykrywając wąż butem i rzucając Jeremy'emu granat Ensign-Bickford, dający błysk o sile jednego miliona świec i huk stu osiemdziesięciu decybeli.

- Nie, nie, nie... gaz! - potrząsnął głową Hektor. - Gaz!

Nie było czasu na opracowanie planu. Jeśli porywacze dotąd nie zabili dziewczynki, to na pewno wkrótce to zrobią. Jeremy rozglądał się za czymś, co na chwilę odwróciłoby uwagę tamtych -jakieś naczynia, puste butelki po piwie,

rozrzucone warzywa. Nagle zobaczył na półce pięcioletnią torbę z mąką do tortilli. Chwycił ją.

- Na trzy... - powiedział, ruchem głowy wskazując drzwi. Shellenby nie miał czasu już nic wyjaśniać. Gdy drzwi się otworzą, on wchodził, bez względu na to, co Jeremy zrobi z mąką.

- Raz... dwa...

Hektor skorzystał z okazji i rzucił się do ucieczki. Jeremy nawet tego nie zauważył.

- Trzy...

Shellenby jednym ruchem otworzył właz i cofnął się pod gradem ognia z broni automatycznej, który eksplodował z czarnej czeluści. Jeremy cisnął w nią torbę z mąką, którą kule natychmiast porwały, wzbijając dokoła gigantyczną chmurę białego pyłu.

- Aaaaa! - krzyknął machetero, myśląc, że to jakiś gaz. Na ułamek sekundy przestał strzelać, ale Jeremy'emu i Shellenby'emu to wystarczyło, aby wsunąć lufy do włazu i omieść przestrzeń światłem. Wszystko stało się tak szybko, że każdy z nich zaledwie zdołał zarejestrować to, co widzi - lufę, pełną paniki twarz terrorysty, powietrze gęste od mąki i nikłego światła.

Bum! Bum! Pociski wystrzelone przez Jeremy'ego trafiły terrorystę między oczy. Zaraz potem odpadła też tylna część jego czaszki.

- Naprzód! - krzyknął Shellenby, ale Jeremy już tam był. Znalazł się na podłodze piwnicy w chwili, w której upadło na nią ciało zabitego. Rozglądał się na lewo i prawo, omiatając światłem to podziemne pomieszczenie. Brudna dziura była zawałona słoikami z przetworami, połamanymi meblami i dwunastoma pięciogalonowymi, płaskimi pojemnikami połączonymi linką detonatora. Zapach benzyny niemal zwał z nóg.

140

- Tam! - rozległ się krzyk Shellenby'ego. Wśród puszek na poszarpanym wiklinowym krześle siedziała przerażona mała dziewczynka, niewiele starsza od Maddy. Jej usta, przeguby rąk i nogi w kostkach były owinięte taśmą samoprzylepną, a po buzi płynęły łzy. Cały czas wolno potrząsała głową.

- Cicho, kochanie - wyszeptał Jeremy. - Przyszliśmy, żeby zabrać cię do domu.

## Faza II

Nora biegła kawałek prosto jak tunel, a potem nagle poszła w dół, tak nagle, że Alicja nie miała nawet chwili na pomyślenie, jak by się tu zatrzymać, a już poczuła, że spada jak gdyby w bardzo głęboką studnię.

Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów

### Rozdział VII

ZNAK NA DRZWIACH obwieszczał, że to teren 51 i że wstęp wzbroniony. Jerry Patterson zaledwie zauważał ten dowcip. Dwadzieścia siedem lat temu, gdy jeden z jego inżynierów po raz pierwszy powiesił tę informację, wszystko wydawało się bardzo mądre. Ale i firma była wówczas o wiele mniejsza, mieściła się na terenie parku przemysłowego za Winchell's Donuts. Dziś jest ogromną firmą elektroniczną i pracuje nad wynalazkami, które potem uświetniają półki wielkich magazynów od Radio Shack i Sharper Image poczynając, a na sieci Wal-Mart kończąc. To, co w latach osiemdziesiątych zaczęło się od prostego patentu, przyniosło olbrzymie fortuny tym, którzy na samym początku uwierzyli w firmę.

- Jak tam wyglądamy na interfejsie? - spytał Patterson.

Ten projekt był oczkiem w głowie Pattersona. Nawet w wieku czterdziestu siedmiu lat, a więc dwadzieścia lat po najlepszym okresie dla większości matematyków, wciąż wstawał rano z prawdziwym zapałem do pracy.

- Właściwie całkiem dobrze - odparła jego główna projektantka, doktor Ilene Proust, uśmiechając się. Z wyglądu bardziej przypominała studentkę, która dopiero co ukończyła uczelnię, aniżeli inżyniera, ale jej wysublimowany oksfordzki akcent zjednywał jej natychmiastową wiarygodność. - Zdaje się, że musimy udoskonalić sekwencje odbicia. Niczego nie można być pewnym, dopóki nie zakończymy wstępnych testów, ale symulacje komputerowe wyglądają bardzo obiecująco.

- Świetnie - uśmiechnął się Patterson. Wynalezienie systemu, który miał przed oczami, zajęło pięć lat. Aczkolwiek pomysł był bardzo prosty, to opracowanie zasad dotyczących jego praktycznego zastosowania wymagało olbrzymiego wysiłku i równie wielkich pieniędzy. - A co ze stabilizacją i spustem?

144

- Oparliśmy się na standardowych pasmach częstotliwości, takich jakie

wykorzystują europejskie telefony komórkowe - tysiąc osiemset megaherców - odpowiedziała doktor Proust. Wszystko da się doskonale zamocować na aluminiowym statywie. Ma nieco zbyt przemysłowy wygląd, ale przed wprowadzeniem na rynek możemy go nieco uatrakcyjnić.

- Al-u-min-ium - powiedział, rozdzielając każdą sylabę i starając się małpować jej akcent. - Czy wie pani, że wy, Brytyjczycy, mówicie jakimś własnym językiem?

- Tak, wiem — odparła doktor Proust. - Nazywamy go angielskim.

Dziesięć lat temu uznalby ją za atrakcyjną. Chociaż blondynki nigdy specjalnie go nie kręciły, to w niej tkwiła pewna chęć przygody. Jednak na szczęście dla Pattersona perspektywa romansu z młodszą kobietą straciła dla niego smaczek. Trzy małżeństwa i straszne alimenty, jakie musiał płacić, były w stanie uśmierzyć najzdrowsze pod słońcem libido.

Patterson wraz ze swym głównym inżynierem przeszli przez podwójne drzwi chroniące sterylne laboratorium naukowo-badawcze. Sześć osób różnej płci pracowało zawzięcie nad kilkoma różnymi gadżetami hi-tech, podczas gdy ze staroświeckich głośników leciał Lumpy Gravy Franka Zappy.

Ilene zaprowadziła Pattersona do pokoju obok, zwanego KINEZJO-LOGIĄ, gdzie drobny mężczyzna w szpitalnym fartuchu operacyjnym i gumowych rękawiczkach pochylał się nad dziwnie wyglądającym pudełkiem z polimeru.

- Dzień dobry, Marty.

- Od-p-p-p-ierdol się - brzmiała odpowiedź. Marty miał na sobie włożoną na lewą stronę bawełnianą koszulkę „Disco-Sucks”, na której czerwonym markerem wypisywał jakieś arkana równań fizycznych.

- Ilene mówi, że niemal skończyłeś.

Patterson zazwyczaj starał się nie zauważać Marty'ego, ale dziś nie miał jak.

Ekscentryczność gościła tu od zarania, a w Neveu Acoustical Engineering's Marty stanowił klasyczny przykład zwariowanego naukowca. Patterson wszystko rozumiał, ale do szału go doprowadzało, że jego firma bardziej przypominała przedszkole niż laboratorium fizyki stosowanej. Jednak zatrudnianie najwybitniejszych w kraju fizyków oraz matematyków i trzymanie ich z dala od wielkich korporacji i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego wymagało akceptowania dziwactw.

- Kkktto... kkkto... kkkto - mężczyzna najwyraźniej szukał słów, starając się przykręcić małą śrubkę. - Kto do kurwy nędzy jest twoim tttatusiem? - wydusił, podłączając elektrodę i odchodząc parę kroków w tył, aby przyjrzeć się czemuś, co najwyraźniej uważał za arcydzieło. - Pppiękne, co?

Marty, samozwańczy twórca teorii fali, wykopał mountain dew ze sterty rysunków i zapalił pall maila 100. Miał dwa doktoraty: z inżynierii elektrycznej i kinezjologii Uniwersytetu Kalifornia, ale do Neveu przyszedł jako specjalista dźwięku. Było to dużym krokiem naprzód w porównaniu z jego poprzednią pracą dla CIA polegającą na poddawaniu drobiazgowej analizie podpisów w paszportach magnetycznych.

- Mamy umówione próbne ttt-esty we www-torek w ppp-rzyszłym ttt-ygodniu w Tucson - powiedział Marty. - Ppp-rzyjdzie ppp-an?

Patterson nie znosił dymu papierosowego, ale tuszował on niezmiernie przykry zapach potu Marty'ego.

- Tak - przytaknął. - Przyjdę.

Pattersona zawsze ekscytowały zagadnienia związane z akustyką. Być może przyczyniła się do tego kolekcja jego ojca, który zbierał wzmacniacze lampowe, wszystkie tarcze gramofonowe oraz monolityczne głośniki z lat siedemdziesiątych. I pasjonowała go nie tyle muzyka, co sposoby jej przekazu. Coś w możliwie najgłośniejszym wyrzucaniu fal dźwiękowych wydawało się tak cholernie obeszładniające.

- Ttt-eraz uwww-azajcie. - Marty naciągnął gogle narciarskie i wspiał się na dokładnie dopasowane do jego kształtów plastikowe krzesło. Zapiął pasy wokół talii i pociągnął za dźwignię. Platforma o wymiarach dwie na trzy stopy uniosła się kilka stóp nad podłogę.

- Dajcie mi ten ttt-efon komórkowy - zawołał, przekrzykując dźwięk warczących silników. Platforma zaczęła się trząść jak stary volkswagen.

Ilene chwyciła z biurka płaski telefon komórkowy wielkości karty kredytowej i podała go Marty'emu.

- A ttt-eraz pp-atrzcie! I ppp-a-mm-iętajcie, że nn-igdy w życiu nie strzelałem z bb-roni.

Nowy wynalazek Marty'ego absolutnie nie przypominał broni, ale wszyscy tam

obecni wiedzieli, że będzie on równie śmiertelny. Dla niewprawnego oka bardziej przypominał kamery, które można zobaczyć na przykład w holu teatru, aniżeli narzędzie niosące zniszczenie. A tak naprawdę to cały ten pomysł narodził się z filmu. Ktoś wpadł na

146

niego w 1979 roku, oglądając film Czas Apokalipsy i scenę ataku z powietrza. Towarzyszącej muzykę Noc Walkirii głośniki w kinie puszczały tak głośno, że tego kogoś aż bolały uszy i zaczął drżeć na całym ciele. Czuł się tak, jakby za chwilę miał dostać ataku serca.

To dosłowne trzęsienie ziemi, tyle że w sferze akustyki, w połączeniu z wizją śmierci i zniszczenia Francisa Forda Coppoli wywołało moment olśnienia.

Dlaczego by nie posłużyć się dźwiękiem tak jak bronią? Jeśli huk silników odrzutowca jest w stanie stłuc szyby w oknach, to dlaczego nie wymyślić sposobu, aby za pomocą tych samych praw fizyki nie rozerwać na strzępy ciała ludzkiego? Realizacja tego pomysłu zajęła ponad dwadzieścia lat, ale tak jak to bywa w przypadku wszystkich wielkich wynalazków, warto było czekać. Nowa „akustyczna armata” Neveu Acoustical Engineering's może zrewolucjonizować wojnę konwencjonalną.

- O-k-k-ay! - krzyknął Marty. - Lll-e-pp-iej stańcie za mną, na ww-w-szelki wyp-p-padek!

Usiadł na małym siedzeniu znajdującym się na półce wykonanej z dziurkowanego aluminium, przyczepionej do lewej płozy symulatora, który zastępował helikopter MD-530. Do sufitu był przymocowany wysoki na cztery stopy nawiew, który dmuchał na niego powietrze, co zastępowało efekt śmigła. Całe to urządzenie chwiało się, furczało i drgało osiem stóp nad podłogą, jak gdyby nagle sufit otworzył się i mały helikopter wpadł do środka, żeby powiedzieć „halo!”.

- Teraz naśladujemy w warunkach miejskich pęd powietrza wysoki na pięćdziesiąt stóp przy wietrze przeciwnym wiejącym z prędkością dziesięciu węzłów oraz podmuchach z dołu - krzychała doktor Proust. - Nie znamy skutków na ziemi. Samo latanie jest do niczego. Najgorsza z możliwych sytuacja dla snajpera.

Patterson wiedział, że ten udawany lot helikopterem ma bardzo niewiele wspólnego ze snajperstwem. Specyfikacja wymagała, aby istniał bliski kontakt, ale odległe

źródło (0 do 300 metrów) drogi, którą musi przebyć fala zdolna spowodować „niszczące wegetatywne wibracje w bioorganicznej galaretowatej tkance”. Aczkolwiek parametry projektu zostały zapisane w formie sinusoidy, złożonej częstotliwości oddźwięku i w megahercach oraz decybelach, to każdy wiedział, jaki jest prawdziwy cel: ktoś wynajął Neveu do zbudowania systemu okaleczania i zabijania istoty ludzkiej za pomocą dźwięku.

147

Jak to na ogół bywa w fizyce, rozbudowane teorie łatwiej jest rozwiązać na papierze aniżeli zastosować w praktyce. Od chwili, w której zespół naukowców zabrał się za pracę nad pomysłem, względnie łatwo było podłączyć do helikoptera prąd o odpowiedniej mocy oraz urządzenia wzmacniające, lecz uzyskać identyczne efekty w urządzeniu tak małym jak telefon komórkowy (a tego wymagał kontrakt) okazało się zdumiewająco trudne. Prawdziwy geniusz doktor Proust ujawnił się, gdy odkryła sposób na połączenie mikrobaterii i kondensatora z magnezo-woceramicznym generatorem częstotliwości czyli „mikrofonem”. Według testów laboratoryjnych urządzenie to było druzgocąco skuteczne.

- Proszę teraz patrzeć na ekran komputera, a zobaczy pan, co tu mamy - powiedziała brytyjska uczona. - Otóż są tu dwaj mężczyźni, idący pod dach od lewej strony ku prawej. Jeden z nich ma konwencjonalny telefon komórkowy z nadajnikiem GPS i galwanicznym odbiornikiem. Drugi używa jednego z telefonów wyprodukowanych przez Borders Atlantic wyposażonych w opcję HyperSonic Sound. Patterson starał się skoncentrować na symulacji komputerowej, podczas gdy Marty bujał się w górę i w dół na płozie helikoptera w swoim szpitalnym ubraniu i wciąż w gumowych rękawiczkach. Jego długie, strąkowate włosy tańczyły rozwiewane podmuchem.

- W tym scenariuszu telefony zostały dostarczone przez osoby negocjujące uwolnienie zakładników - mówiła dalej Proust. - Pierwszy z tych mężczyzn będzie rozmawiać z policją przez telefon Quantis, podczas gdy drugi wyłączył swój i ma go w kieszeni.

- Ale to nie ma znaczenia, nieprawdaż? - zapytał Patterson. Specyfikacja kontraktu wymagała również, aby telefony miały opcję czuwania, nawet jeśli są wyłączone, i aby wtedy można było namierzyć ich posiadacza z dokładnością do



jednego metra.

- Nie ma - przytaknęła doktor Proust. - Nawet jeżeli aparat jest wyłączony, możemy ustalić za pomocą telemetrii, czy telefon jest w ręku tego użytkownika, o którego nam chodzi.

- U-uww-ażajcie!

Marty nacisnął guzik i zdalnie ustawił projektor, z którego zaczęły padać na ekran wcześniej nagrane sceny wielkości 12 x 12 stóp. Ten cały scenariusz stworzony został przez skomplikowany program i dla zwykłego widza wyglądało to jak film, ale w rzeczywistości było raczej grą wideo tak zaprojektowaną, aby zrozumieć polecenie Marty'ego i zareagować tak, jak tego wymagają aktualne okoliczności.

148

- B-b-rawo Trzy do dowództwa, mam namierzony cel. Proszę o zz-z-ielone światło!

- Gdzie, do cholery, on się nauczył tego żargonu? - spytał Pat-terson. Nic w aktach osobowych Marty'ego nie sugerowało, że ma on jakąkolwiek wiedzę na temat operacji SWAT. W swoim życiu najbliżej zetknął się z policyjną taktyką wtedy, gdy podczas studiów jego kolega, z którym dzielił pokój, został wyrzucony za hydroponiczną uprawę marihuany w uczelnianym ogrodzie naukowym.

- Nooo, chłop-p-ie, jesteś dowódcą. Potrzebuję zzz-z-ielonego światła!

Doktor Proust skinęła głową w kierunku Pattersona, który odkrzyknął:

- W porządku, tu dowództwo. Masz zielone światło.

Cała trójka skierowała wzrok na olbrzymi monitor komputera, na którym dwaj terroryści biegli pędem po dachu, trzymając między sobą przerażoną kobietę. Gdy skakali, omijając różne przeszkody, dało się dostrzec, że jeden z nich ma przywiązane do pleców maleńkie dziecko. Głowa dzieciaka znajdowała się nie dalej niż sześć cali od głowy terrorysty.

- Boże! - zdziwił się na głos Patterson. - Jak ktoś może w takiej sytuacji oddać strzał?

Marty wydawał się mniej przerażony. Po prostu wybrał jakiś numer na klawiaturze cieniutkiego, szarego telefonu komórkowego i nacisnął przycisk „send”.

Nic się nie wydarzyło. Żadnego odbicia pocisku, żadnego błysku lufy, żadnego hałasu. Żadnej oznaki, że wymyślna broń właśnie spowodowała wybuch w wysoce

skoncentrowanej „wiązce” dźwięków i wywołała wibracje w receptorach terrorysty. Kiedy ten nagle upadł, krwawiąc obficie ze zniekształconych teraz nosa, ust i uszu, Patterson pokiwał ucieleśnienie głową. Każdy z obecnych w pokoju wiedział, że ten komputerowy efekt - któremu początek dały gry wideo - wyglądałby równie wstrząsająco, gdyby wszystko działo się naprawdę. Wyglądało to tak, jak gdyby w głowie tego człowieka wybuchła bomba.

- Uczestnik nnn-n-numer dwa! No już, padnij! - krzyczał Marty. Znowu nacisnął przycisk „send” w swoim telefonie Quantis, powalając drugiego terrorystę - i znowu identyczny i natychmiastowy efekt oraz również ani śladu broni. |.,\*|

149

- Cholera, ale j-j-j-estem dobry! - wrzeszczał Marty. Nacisnął serię przycisków i zjechał z powrotem na podłogę.

- No, i co pan o tym sądzi? - spytała doktor Proust. Patterson uśmiechał się szeroko, podczas gdy na ekranie komputera ubrani w czarne kombinezony członkowie jednostki SWAT biegli co siłą, aby zabrać kobietę i jej dziecko w bezpieczne miejsce.

- Wzbudza grozę. - Patterson promieniał. Obroty wentylatora spadały, hałaśliwy symulator ucichł, a na ekranie komputera pokazała się tapeta z Britney Spears. - Wygląda na to, że jesteśmy gotowi na próby w praktyce - teraz będzie liczyć się budżet, czas i specjaliści. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy - dlaczego do tej pory nikt na to nie wpadł?

- Tt-to może być pp-p-proste, ale nn-nie jest łatwe, szefie - powiedział Marty, wyłączając z krzesła i ściągając gogle. - Hej, czy mm-m-yśli pan, że L... L... LAPD mógłby użyć tego s-s-s-snajpera nowej generacji?

- Być może - odparł Patterson. - Ale nie podobałaby ci się jego fryzura.

•

ŻYCIE ELIZABETH BEECHUM zawaliło się, spadając z poziomu ogólnonarodowego podziwu i grzęznąc w jakiejś mazi złożonej z szoku i rozpacz, a wszystko to nastąpiło wtedy, gdy sąd odrzucił jej prośbę o ułaskawienie. Zanim jeszcze adwokat zdążył przekazać jej tę straszną wiadomość, zadzwonił reporter z „Washington Times”, prosząc o komentarz.

- Skąd te cholerne gazety wiedzą o tym przede mną? - krzyczała Beechum, ale

odpowiedź była oczywista. Waszyngton to miasto, które żywi się plotkami i informacjami przekazywanymi kanałami nieoficjalnymi. Wszystkie odniesione niedawno sukcesy w sondażach namalowały na jej piersi fluorescencyjny punkt, do którego można było mierzyć. Sprawy bardzo szybko przybiorą fatalny obrót i Elizabeth Beechum dobrze o tym wiedziała.

W poniedziałek rano, dokładnie na tydzień przed krajową konwencją Partii Demokratycznej, tej samej, na której, jak wszyscy oczekiwali, Elizabeth Beechum miała być nominowana jako kandydat tej partii biorący udział w wyścigu do fotela prezydenckiego, Phillip Matthews zabrał ją z domu, skąd pojechali na posterunek policji, gdzie pani senator miała się zameldować. Kierowniczka więzienia pobrała jej

150

odciski palców, a panią senator umieściła w tymczasowej celi i kazała się przebrać w więzienne ubranie. Wyciągnęła nawet gumkę z majtek, aby zapobiec ewentualnym próbom samobójczym.

Rzecz jasna to wszystko było tylko na pokaz. Dwie godziny później, po burzy protestów ze strony adwokata pani senator, sędzia zgodził się na jej wyjście za kaucją i osobistym oświadczeniem złożonym na piśmie. Pomimo oczywistej surowości wyroku, to jednak była senator Stanów Zjednoczonych - osoba znana na arenie międzynarodowej i plasująca się na pierwszym miejscu w sondażach przedwyborczych. Dokąd mogłaby uciec?

Wszystkie gazety w kraju poświęciły tej historii swoje czołówki. Sieci radiowe i telewizyjne podawały ją, przerywając w tym celu dziennik. CNN oraz inne telewizje kablowe ściągały do studia każdego uczonego, eksperta od zbrodni i psychoanalityka, jakiego tylko zdołały znaleźć. To był największy od lat skandal polityczny i czwarta władza stawała na głowie, aby tylko prześcignąć konkurencję. Dziennikarze nachodzili dom Elizabeth Beechum, biuro, tropili jej każde publiczne pojawienie się, ogarnięci żądzą krwi, która teraz towarzyszy każdemu sromotnemu upadkowi polityka.

Po gmachu Kapitolu wieść rozniosła się lotem błyskawicy. - Czy to możliwe? - dziwili się współpracownicy pani senator. Najmniejsza myśl, że kobieta taka jak Elizabeth Beechum popełniła morderstwo, wydawała się absurdalna. Jakże pani w

średnim wieku, znana powszechnie z poszanowania, jakie miała dla prawa, mogła popełnić tak ohydny zbrodnię?

Pierwsze opinie były mieszane. Niektórzy z bliskich przyjaciół publicznie okazali jej poparcie, argumentując, że lata służby dla kraju powinny przynajmniej przemawiać za zwątpieniem w to oskarżenie. Apelowali o cierpliwość i o to, aby dać czas systemowi sprawiedliwości. Każdy jest niewinny tak długo, dopóki wina nie zostanie mu udowodniona, mówili, nawet jeśli osoba oskarżona ubiega się o prezydenturę. Niektórzy wskazywali nawet na republikanów, mówiąc, że to nie może być przypadek, iż wszystko to spotkało kandydata na prezydenta tuż przed konwencją. Ale nawet ci, którzy bardzo nienawidzili obecnej administracji, nie wierzyli, że upadłaby ona aż tak nisko.

Inni znów szeptali, że przewidzieli to wszystko. Być może Elizabeth Beechum usiłowała ukryć jakąś lubieżną przeszłość i tym samym zabezpieczyć się na przyszłość. Mówiono, że zawsze wiodła

151

intensywne życie osobiste, a to, że większość czasu spędzała, poruszając się po sekretnym świecie tajnych projektów i dokumentów, tylko dolewało oliwy do ognia. A może sama także miała sekretne życie, w którym były kłamstwo, oszustwo i przemoc. To pachniało jakimś wykrętem - fabułą w stylu Forsytha - potężna kobieta znająca wszystkie tajemnice próbuje wyeliminować młodego kochanka, członka Krajowej Rady Bezpieczeństwa. O czym wiedział, co mogłoby spowodować jej upadek?

Oczywiście nikt nie dostarczył ani skrawka dowodu. Wszystko to były jałowe, bezpodstawne spekulacje - plotki i insynuacje. Niestety one też tylko i wyłącznie przemykały się w tych dniach z różną szybkością przez gmach Kongresu.

W miarę jak cała sprawa się rozrastała, Elizabeth Beechum czuła się coraz bardziej odizolowana od Senatu, w którym zasiadała przez znaczną część swego dorosłego życia. Waszyngton starał się odczołgać od niej niczym pies od pogryzionego buta. Członkowie komisji do spraw wywiadu, dla której pracowała przez lata, unikali dziennikarzy z obawy, że będą musieli jej bronić. Znana z rozpolitykowania komisja etyki odcięła się od świata, próbując uhonorować

zadawnioną niechęć do pani senator, ale nadal spełniając polityczne życzenia swego prezydenta-republikanina. Przewodniczący Senatu, republikanin, stwierdził, że jak dotąd żaden z senatorów nie był jeszcze oskarżony o tak ciężkie przestępstwo ani o tak odrażającą zbrodnię.

Sąsiedzi wydawali się zaszokowani. Zawsze uważali ją za osobę dystyngowaną, spokojną i subtelną. Ale odkąd wtrąciły się we wszystko media, wyborcy zaczęli przejawiać coraz większy apetyt na lincz.

Cały ten czas tylko jedno zdumiewało Elizabeth Beechum - milczenie Marcellusa Parsonsa. To był człowiek, który wszędzie publicznie przejawiał swoją niechęć wobec jej polityki oraz zamiary przeszkodzenia jej w kampanii prezydenckiej. I był to przecież ten sam człowiek, który kiedyś błagał ją o poparcie ustawy o zwiększeniu funduszy na cele wojskowe, na czym skorzystałby jego stan, Montana, aby zaraz potem, gdy demokraci obalili ten projekt, wykonać wolę i osobiście zarzucić jej partyjną dwulicowość.

Parsons pokazał nie wiadomo który już raz, że nie ma nic przeciwko kopaniu leżącego, aczkolwiek na forum publicznym przejawiał jedną cechę - siedział cicho.

152

- Betsy, po prostu nie wiem, co mam powiedzieć - wybełkotał, udając pozory szczerości, gdy po raz pierwszy spotkali się po zapadnięciu wyroku. - Jednak aby być w porządku wobec komisji, muszę cię spytać, czy czujesz się nadal zdolna podolać swoim obowiązkom. To znaczy chodzi mi o to, że zajmujemy się dość delikatnymi sprawami i członkowie komisji zaczynają się dziwić, jak ta... czy ta sytuacja nie wpłynie na twoje osądy.

- Marcellusie, czuję się dobrze i dziękuję za troskę - uśmiechnęła się senator Beechum. - A tak dla przypomnienia, to mam na imię Elizabeth.

Całymi dniami musiała walczyć z tłumem reporterów gromadzących się pod jej domem i próbować żyć dalej tak, jak gdyby nic się nie stało. Rosa chciała odpędzić fotoreporterów sprzed frontu budynku, ale oni okrążyli ją i zasypali gradem pytań: Czy pani senator spała z tym mężczyzną? Czy pani go znała? A czy byli jeszcze inni? Ilu ich było? Czy pani senator ma też kobiety-kochanki? Czy kiedykolwiek cię uderzyła?

Elizabeth Beechum nadal sama jeździła do pracy pomimo protestujących, którzy

codziennie oblegali jej samochód. Większość z nich miała skrajnie lewicowe poglądy i stroiła się w antywojenne, a proobywatelskie slogany. „Dość tego tuszowania!”, krzyczeli wieczorem, gdy wracała z pracy, ponieważ byli przekonani, że to morderstwo miało zapobiec ujawnieniu przez Slatera prawdy - bez względu na to, jaka ona była. „Dość tych sekretów, dość tych kłamstw! Wydobądź prawdę ze szpiegów w Senacie!”.

Początkowo jedynym miejscem, w którym czuła się bezpiecznie, było jej biuro w gmachu Dirksena - bunkier, w którym stoczyła tak wiele walk. Przez tyle lat służył za miejsce ucieczki, budynek, w którego głąb zawsze mogła się wycofać, kiedy tylko przydatne okazywały się waga i godność Senatu. Jednak w miarę jak sprawa się rozrastała, jej biuro stało się wielkim marmurowym grobowcem. Pracownicy chodzili na palcach, nie wiedząc, jak się zachować, czy za miesiąc będą jeszcze mieć pracę i czy ich znajomi z Karoliny Południowej nie odwrócą się od nich. Kiedy Elizabeth Beechum wchodziła do budynku, korytarz pustoszał. Nie podsuwano jej żadnych dokumentów do czytania ani nie informowano o toczących się sprawach. Strażnicy rzucali dziwne spojrzenia. Nikt nie dzwonił, z wyjątkiem dziennikarzy.

Prawie nikt. We wtorek rano, gdy większość demokratów szykowała się do wyjazdu do Bostonu na ogólnokrajową konwencję swojej partii, zadzwonił jej prywatny telefon.

153

- Tak? - powiedziała pani senator, podnosząc słuchawkę. Tylko przyjaciele i bliscy znajomi znali ten numer.

- Nie mam zamiaru przeszkadzać pani w pracy - odezwał się jakiś kobiecy głos - ale to jedyna linia, która nie jest jeszcze na podsłuchu. Musimy porozmawiać.

Czy może pani się ze mną spotkać?

Głos brzmiał młodo, a akcent zdradzał, że jego właścicielka pochodzi ze środkowo-zachodnich stanów.

- Kim pani jest? - spytała Beechum ostrym tonem. Waszyngton to miasto zbudowane na informatorach, a przewodnicząca komisji do spraw wywiadu miała ich mnóstwo, ale ten głos nie należał do żadnego z nich.

- Wiem coś o człowieku z tatuażem przedstawiającym kość do gry na rękę -

brzmiała odpowiedź. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- TATUSIU! TATUSIU!

Jeremy obudził się we własnym łóżku i akurat w porę przetoczył się na bok, bo inaczej nie uniknąłby ponaddwudziestokilogramowego uderzenia ciała Maddy, którego jego córka właśnie się nauczyła, oglądając telewizję. Tuż za trzymanym przez Maddy kijem bejsbolowym znajdował się Christopher.

- Nie dacie rady mnie pokonać! - ryknął Jeremy, ogarniając dwójkę dzieci ramionami i siłując się z nimi, a one piszczały z zachwytu, gdy wciskał nos w ich żebra, łaskocząc je i starając się zamknąć w uścisku.

- Tatusiu, co nam przywiozłeś? - spytał wśród chichotów Christopher. Pachniał ciepłem i czystością w swojej piżamce w pokemony. Jeremy próbował uwolnić się na chwilę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zmyje z siebie zapach gnijących mangrowców.

- Co powiecie na spiralną muszlę? - spytał, pozwalając dzieciom na złapanie oddechu. - W Portoryko są bardzo ładne muszle o tym kształcie.

- Spiralna muszla? - zastanowił się Christopher, marszcząc buzię. - Ajak to wygląda?

- Tatusiu! Ja chcę prezent! - wrzeszczała Maddy.

- Hej, hej... zostawcie tatę w spokoju - wtrąciła się Caroline. Weszła do pokoju, niosąc dwie kawy i poranną gazetę. Wcześniej już zdążyła pobiegać. - Idźcie, wyczyśćcie zęby i proszę się umyć. I jazda do szkoły!

154

Christopher popatrzył na tatę, czekając na wskazówki. Mama ustanawiała prawa, ale tata mógł je złamać.

- Wyczyśćcie zęby. - Jeremy uśmiechnął się... - Dostaniecie prezenty po powrocie ze szkoły.

Maddy wyprzedziła Christophera w wyścigu do łazienki na końcu korytarza i w pokoju zapanowała cisza.

- Okay, no więc chciałabym, żebyś mi wszystko opowiedział. Czy mogę chcieć, czy też nie? - spytała Caroline. Podała mu kawę i zaczęła rozbierać się, zamierzając wziąć prysznic. - To znaczy czytałam w gazetach, że kilku terrorystów zginęło.

Wspaniała - pomyślał Jeremy, patrząc na nagą Caroline. Pomimo że już siedem lat

byli małżeństwem, nadal uważał, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Trzy porody miejscami zniszczyły jej sportową sylwetkę, ale to tylko dodało jej wyrazu - i powabu. Była jego najlepszym przyjacielem, ale w chwilach takich jak te sprawiała, że płonął z pożądania.

- Może ci pomóc? - spytał, obserwując, jak usiłuje ściągnąć sportowy stanik przez głowę.

- Jasne, jeśli zechcesz zamknąć dzieciaki w ich pokoju - odparła z uśmiechem i pobiegła do łazienki, chichocząc.

Jeremy leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. Przyjechał późno w nocy, długo po tym, jak Caroline i dzieciaki poszły spać. Napisy i balony, jakie porozwieszali na jego cześć, wciąż powiewały wokół domu jako resztki jeszcze jednego przyjęcia, na którym nie mógł być z powodu FBI. Pamiętał, jak siedział w kuchni, podczas gdy wszyscy spali, jadł ciasteczka upieczone dla niego i w nikłym, zielonkawym blasku zegara kuchenki mikrofalowej czytał wykonane przez dzieci laurki. Zdawało mu się, że od wydarzeń w Portoryko dzieli go tysiąc lat, a tymczasem upłynęły tylko cztery dni.

- Zabiłeś człowieka - powiedział Jeremy na głos, leżąc w ciepłej pościeli.

Zwracał się do siebie jak do kogoś obcego. Może gdyby powiedział te słowa... To wszystko było tak inne od tego, co sobie wyobrażał. Wróg nie znalazł się na krzyżu jego celownika i nie zginął od strzału oddanego z odległości. A tak przecież go uczono. Nie było żadnego oficjalnego pozwolenia na oddanie tego strzału. Żadnego zielonego światła. Żadnego potwierdzenia od dowództwa. Po prostu zareagował... ocenił sytuację i wypalił.

155

A teraz był w domu, daleko od wojny. Tutaj tatuś to mężczyzna, który czyta bajki na dobranoc i tuli na dzień dobry. Złoczyńcy pojawiają się tylko na filmach rysunkowych, a broń jest wykonana z plastiku lub z drewna.

- Zabiłeś człowieka - powiedział Jeremy nieco głośniejszym głosem. Czuł się winny, że wszystko to przyniósł tu ze sobą do domu, zupełnie jakby wdepnął w coś i zapomniał wytrzeć buty. Chciał wejść do łazienki, objąć żonę i opowiedzieć jej wszystko, co się stało, ale coś w głębi go powstrzymywało, jakiś dziwny strach przed wyrzuceniem z siebie emocji dotyczących serii zdarzeń, których jeszcze w



pełni nie przemyślał. - W jaki sposób mężczyzna mówi swojej żonie, że zabił człowieka? - zastanawiał się Jeremy. Gdzie do cholery był w FBI jakiś podręcznik na ten temat?

- Więc kiedy musisz wracać? - krzyknęła Caroline, przekrzykując szum prysznica.

- Mamy wolne do jutra - odkrzyknął.

Jeremy chciał mieć trochę wolnego czasu, aby pozbierać myśli przed stawieniem się jutro rano przed Radą FBI do spraw Oddanych Strzałów. Kwatera Główna FBI już wyznaczyła godziny szeregu spotkań z poszczególnymi operatorami, aby oficjalnie zbadać całą akcję w Portoryko, i Jeremy chciał mieć pewność, że jego odpowiedzi będą zgodne z udokumentowanym biegiem zdarzeń. Wszystko to stanowiło część procesu, który miał miejsce za każdym razem, gdy jakiś agent (lub agentka) wystrzelił ze swojej broni, ale byłoby nonsensem stawić się nieprzygotowanym.

Jeremy wstał z łóżka i naciągnął dzinsy.

Broni palnej wolno użyć tylko i wyłącznie w przypadku wystąpienia śmiertelnego zagrożenia życia albo poważnego okaleczenia agenta lub innej osoby. Znał na pamięć obowiązujące w FBI zasady użycia broni. Przede wszystkim o to będą go pytać.

Pamiętał, jak instruktorzy w Akademii mówili, że przeciętnie agent FBI dokonuje nie więcej niż jednego aresztowania w ciągu roku. Jednego aresztowania. Szanse na wyciągnięcie kiedykolwiek broni w czasie służby plasowały się tuż za szansą na oddanie strzału przez specjalnego agenta, ale w HRT było inaczej. Jeremy mógł na palcach jednej ręki policzyć operatorów, którzy nie brali udziału w jakichś gwałtownych akcjach.

- Nie martw się, to był dobry strzał - mówili mu potem wszyscy. - Pod żadnym pozorem nie powinieneś opuszczać swojego

156

stanowiska, a ta cała sprawa z mąką była trochę dziwaczna, ale strzał był dobry. Faktem jest, że w dobie, kiedy najdrobniejsza kontrowersyjna sprawa związana z FBI zaraz kończyła się przesłuchaniami w Kongresie, misja w Portoryko została wykonana doskonale. Gubernator odzyskał swoją córeczkę; dwaj terroryści zostali wzięci żywcem, dzięki czemu politycy mieli kogo oskarżać podczas publicznego procesu, i żaden z operatorów nie został ranny.

Jeremy wyciągnął bawełnianą koszulkę z dolnej szuflady akurat w chwili, w której Caroline wyszła z łazienki. Uwielbiał zapach jej szamponu (używała Prell).

- Cóż, cieszę się, że masz trochę czasu, aby pobyć w domu z dziećmi -

powiedziała. - Media podawały, że czterech terrorystów zostało zabitych. -

Owinęła się w biały ręcznik i starła kropelki wody z oczu. -Kto strzelał?

- Dwaj chłopcy z brygady Charlie - odpowiedział Jeremy. -Albert Kraus i Jimmy Keefer? - Poszedł do łazienki i wziął szczoteczkę do zębów. - Było tam mnóstwo strzelaniny, jak tylko weszliśmy.

Caroline sięgnęła po suszarkę do włosów.

- My? Myślałam, że ciebie tam nie było, że zostałeś w lesie. - Nie powiedział jej wiele przez telefon, zresztą rzadko pytała go o jego pracę. Wystarczyło, że wiedziała, iż nie został ranny.

- Dżungla, kochanie, to była dżungla.

Wycisnął pastę na szczoteczkę i patrzył na odbicie żony w lustrze. Stali od siebie nie dalej niż dwie stopy, ale jemu zdawało się, że miliony mil.

- Poszedłem tam, Caroline. Strzeliłem do człowieka. Zabiłem go.

## Rozdział VIII

SIRAD POSPIESZNIE zapinała nową bluzkę od Catherine Ma-landrino, do której przypięła prostą brylantową spinkę, stopy wsunęła w klapki w kwiecisty wzór (model Jimmy'ego Choo), które kupiła specjalnie na dzisiejszy wieczór. Rzadko wychodziła w czwartki po pracy, ale dziś przyleciał do Atlanty jej nowy przyjaciel Hamid Mirhadi i chciała wyglądać jak najlepiej.

Po raz pierwszy spotkała tego menedżera do spraw finansowych firmy Borders Atlantic w czasie podróży do Nowego Jorku, dokąd pojechała w celu poddania się testowi z wykrywaczem kłamstw. Ich wspólny znajomy przedstawił ją przystojnemu facetowi w windzie, wspominając mimochodem, że kilka osób wybiera się wieczorem na drinka do SoHo. Sirad wypiła już kilka martini, zanim Hamid przyszedł, i rozmowa doprowadziła do pójścia na kolację, a potem jeszcze na dansing.

Aczkolwiek tej pierwszej nocy sprawy miały dość niewinne zakończenie, Sirad spotkała się z nim ponownie po kolacji z Jordanem Mitchellem i zanim jeszcze Hamid wyszedł z jej pokoju hotelowego następnego dnia, Sirad wiedziała, że to będzie coś więcej niż jednodniowa przygoda.

Hamid też tak sądził. Posłał kwiaty, gdy czekała na lotnisku, a kiedy wróciła do domu, tam również stały kwiaty. Początkowo próbowała zachować rezerwę, ale on wciąż dzwonił: do domu, na komórkę, a wreszcie do jej biura. Fakt, że ten człowiek zarządzał kapitałem firmy wartej ponad trzydzieści miliardów dolarów, w tym funduszami emerytalnymi niemal wszystkich pracowników Borders Atlantic, nie robił na niej wrażenia. Kiedy jednak Hamid zatelefonował do szefa Sirad, oddzwoniła po godzinie.

- Spokojnie, dziewczyno, przecież nie chcesz, aby padł z wrażenia- uspokajała sama siebie, obracając się najpierw w lewo, a potem w prawo i przeglądając się przed wyjściem w lustrze. Zwykle nie

158

wyznaczała sobie żadnych limitów czasowych na uwodzenie, ale Hamid wydał jej się mężczyzną, którego musiała pozyskiwać powoli- szczególnie mając w perspektywie czekającą przeprowadzkę. Pielęgnowanie romansu na dużą odległość było trudne, ale Mitchell powiedział, że ta praca będzie wymagała jej wizyt w Nowym Jorku kilka razy w miesiącu. Nic się nie stanie, jeśli Hamid teraz posmakuje nieco tego, czego będzie mógł oczekiwać podczas przyszłych randek.

Sirad zbiegła do garażu i za chwilę już jechała do restauracji, cały czas uśmiechając się sama do siebie zadowolona z nowego adoratora. Choć dziesięć lat starszy od niej, Hamid był wysportowany, wysoki na tyle, by zachować chłopięcy wygląd, i miał dwa dyplomy: MBA Uniwersytetu w Stanford oraz prawa z Harvardu. Podobnie jak Sirad znał kilka języków, w tym arabski, ale w przeciwieństwie do niej, która wychowała się tutaj, on spędził młodość na Bliskim Wschodzie i w 1979 roku uciekł z Iranu wraz z rodziną obalonego szacha Rezy Pahlawiego. Jednak Sirad najbardziej intrygowało życie Hamida w cieniu międzynarodowych finansów. Dzięki kilku wewnętrznym źródłom informacji i nieco zbyt wielu kieliszkom wina Sirad dowiedziała się, że ten Midas Ivy League wymyślił skomplikowany i bardzo strzeżony rodzaj obrotu papierami wartościowymi znany pod nazwą transakcji peryferyjnych. Nawet w świecie zależnym od obligacji śmieciowych, de-rywatywów i transakcji terminowych to przedsięwzięcie uważano za hazard, ale szanse na zysk były oszałamiające.

Pomysł, wywodzący się z Agencji do spraw Zaawansowanych Projektów Badawczych w

dziedzinie Obronności (DARPA) i Projektów Walki z Terroryzmem, wydawał się bardzo prosty: zadłużenie krajów Trzeciego Świata (olbrzymie) coraz bardziej rośnie i to przede wszystkim wobec Stanów Zjednoczonych i państw grupy G8. Im jest ono większe, tym większe są procenty, więc państwa Trzeciego Świata muszą coraz więcej zwracać pieniędzy, a tym samym pożyczają coraz wyższe sumy. Ta spirala stale się nakręca i doprowadza liczne zubożałe kraje do wojen domowych i katastrofy gospodarczej. A jednak, jeśli któreś z tych państw ma dla Zachodu strategiczne znaczenie, wówczas bardzo często dostaje pomoc w spłacie zadłużenia, na przykład zyskuje wyższy status kredytu zaufania jako pożyczkobiorca, gwarancje, a nawet całkowitą redukcję długów. Związek Radziecki umorzył w latach 1989-1999 ponad dwadzieścia miliardów dolarów, a inne kraje jeszcze więcej.

159

Wojna z terroryzmem wpłynęła na olbrzymi wzrost tej wykalkulowanej hojności. Od 11 września takie kraje jak Somalia, Sudan i Jemen mogły nagle wymienić terrorystów za „pomoc” liczoną w milionach dolarów. Nawet stabilnym państwom takim jak Turcja, Kamerun, Polska i Kuwejt udało się wypertraktować olbrzymie pożyczki. Stanom Zjednoczonym wydawało się sensowne zaproponować Trzeciemu Światu pieniądze w zamian za „pomoc humanitarną i wykazanie dobrej woli na arenie międzynarodowej”: pewnego dnia te pieniądze sprawią, że w biednych krajach znikną wojny.

Jordan Mitchell zgadzał się z tym, szczególnie po tym, kiedy Mirhadi pokazał mu, jak się robi pieniądze na amerykańskiej szkodliwości. Hamid odkrył, że dokonując względnie niewielkiej inwestycji, można liczyć, że skłonni do ryzyka biznesmeni wybiorą opcję wynegocjowania z rządem danego kraju zamiany zagranicznego zadłużenia na namacalne korzyści. Poczynając od kilkupensowych zarobków na każdym dolarze, inwestorzy mieli możliwość spekulowania międzynarodową polityką monetarną w zamian za korzyści w formie pieniędzy, gruntów, zasobów naturalnych lub infrastruktury. To było jak kupowanie zadłużenia na hipotecę, tyle że z większym ryzykiem i przy znacznie większych korzyściach.

Mirhadi, uzyskawszy błogosławieństwo Mitchella, zaczął ostrożnie kamuflować swój nowy rynek, równocześnie rozglądając się za klientami. Jako przykrywkę dla całego interesu założył firmę na Kajmanach, a następnie skontaktował się z

bogatymi spekulantami - głównie arabskimi szejkami - którzy byli już zmęczeni dwuprocentowym zyskiem, jakie dawały im rynki kapitałowe, albo też traceniem całych fortun na oszustwach internetowych. Irańskie pochodzenie Hamida oraz kontakty na Bliskim Wschodzie początkowo były pomocne, ale pod koniec czwartego miesiąca transakcje peryferyjne wystartowały samodzielnie.

Rzecz jasna Bank Światowy i Komisja Papierów Wartościowych spoglądały nieprzychylnym okiem na te transakcje, dlatego bardzo ważne było zachowanie tajemnicy - szczególnie gdy Hamid dowiedział się, że rząd Stanów Zjednoczonych wykorzystał system Zarządu Rezerw Federalnych, aby wycofać swój udział z zysków. Jeśli Borders Atlantic udało się podłączyć do systemu Zarządu Rezerw Federalnych, niezwykle skomplikowanego i bardzo strzeżonego, to zdaniem Hamida, można by przewidywać transakcje rynkowe i manipulować rynkiem - a zyski byłyby jeszcze większe.

160

Zgodnie z zaszyfowaną wiadomością, którą otrzymała Sirad, cały ten proceder już mógł się zacząć. W ciągu ostatnich trzech lat Hamid potajemnie zainicjował niebywałą serię transakcji - tylko w ubiegłym miesiącu ich wartość wyniosła 7,2 miliarda dolarów.

- Zaparkuj tak, żebym mogła go widzieć, dobrze? - powiedziała Sirad do parkingowego przed restauracją Felig, najnowszą i najmodniejszą w Atlancie. Rzuciła mu dziesiątkę oraz uśmiech i wbiegła do zatłoczonego baru. Zazwyczaj w czwartki wieczorem nie było problemu z miejscami w lokalach, ale Felig stał się sceną, na której wypadało się pokazać.

- Cześć, Sirad. Wyglądasz prześlicznie. - Hamid cały uśmiechnięty wstał od baru i nachylił się, by ją pocałować.

- Dzięki - odrzekła Sirad. - Ty też. - To była prawda. Krój garnituru stanowił dobre obramowanie dla jego liczącej metr osiemdziesiąt trzy wzrostu postaci, a tradycyjna fryzura świadczyła o pochodzeniu ze starej, zamożnej rodziny i o wyrafinowanym smaku. Ubierał się gustownie, drogo, acz konserwatywnie, od krawata od Hermesa począwszy, a na zegarku Patek Philippe na przegubie lewej ręki skończywszy. Hamid miał gęste, czarne włosy (to po ojcu Irańczyku) i mówił z francuskim akcentem, jaki wynosi się ze szwajcarskich szkół z internatem — a

te cechy tylko dodawały mu i tak niezaprzecznego wdzięku.

- No, więc jak z twoim apetytem? - spytał.

- Zależy, co masz na myśli - odpowiedziała Sirad. Wyciągnęła rękę, chwyciła krawat Hamida i przyciągnęła go na tyle blisko, aby wyczuć językiem jego wargi.

- Hmm... co to takiego? Piwo słodowe? Macallan?

- Tak miło cię widzieć, Sirad. To Lagavulin, ale po co psuć tę

Chwilę? .i' ||•| "••; . | . ' ;' . •;|;'

•

- ZA KILKA MINUT PODCHODZIMY DO LĄDOWANIA, panie Mitchell - oznajmiła stewardesa

ujmującym głosem. - Może zechce pan zapiąć pasy.

Jordan Mitchell z telefonem przy uchu siedział na kanapie obitej skórą jelenia w luksusowo wyposażonym gulfstreamie G-V. Większość trwającej cztery godziny podróży spędził, rozmawiając z doradcami w swoim biurze, starając się sfinalizować umowę dostawy dla

161

Saudyjczyków. Aż do dziś wszystko szło fantastycznie - od uruchomienia sieci satelitarnej SBT na niskiej orbicie okołozemskiej, aż po stacje przekaźnikowe oraz inne instalacje na terenie całej Zatoki Perskiej - ale Saudyjczycy chcieli przesunąć termin poinformowania o posiadanej przez nich technologii i zgrać go ze szczytem OPEC.

- Powiedz pilotom, żeby zrobili coś z tą cholerną turbulencją! - warknął Mitchell, trzymając ręką mikrofon. Jego nastrój się pogarszał. - To najgorszy lot od kilku tygodni.

Stewardesa skinęła głową i zniknęła w korytarzu prowadzącym do części dla obsługi. Ani ona, ani nikt inny nic nie mógł zrobić w sprawie turbulencji, ale to nie miało znaczenia; gdy szef wydawał rozkazy, jego podwładni starali się je wykonać.

- Słuchaj, nic mnie nie obchodzi, w jaki sposób zaszkodzi to statusowi podatkowemu w stanie Montana - wrzeszczał Mitchell do telefonu. Nigdy nie przepadał za adwokatami, szczególnie gdy myliła im się praca papierkowa z nieprzekraczalną granicą. - To największe przedsięwzięcie, jakiego kiedykolwiek

dokonał Borders Atlantic, i nie powiem Saudyjczykom, że nie jesteśmy w stanie dotrzymać terminów, bo pan ma jakieś kłopoty ze znaczkiem opłaty skarbowej. Zajmij się tym!

Rozłączył się i odwrócił głowę.

- Trask! - wrzasnął na tyle głośno, że stewardesa aż wyjrzała zza rogu, by zobaczyć, czy coś się stało. Trask natychmiast odłożył telefon komórkowy i podszedł do szefa.

- Są jakieś kłopoty z przyspieszeniem produkcji i sprostaniem nowym terminom Saudyjczyków - oświadczył Mitchell. - Czy mogę uważać, że zajmiesz się tym, zanim stanie się to problemem?

Trask spojrzął na zegarek, który wskazywał 21.40 według czasu wschodniego. Już przestawił swój wewnętrzny zegar trzy godziny do tyłu, na czas obowiązujący w Arizonie, ale świecące słońce sprawiało dziwne wrażenie. Nienawidził takich podróży, bo oznaczały zawsze dodanie trzech godzin do i tak już strasznie długiego tygodnia pracy. A dzisiejszy wieczór będzie się wlec w nieskończoność.

- Oczywiście, panie Mitchell - odparł Trask, notując naprędce w swoim notatniku.

- Załatwię wszystko tak, żebyśmy jutro rano wiedzieli wszystko na pewno. A propos, właśnie rozmawiałem z naszymi ludźmi w Katarze, są gotowi do wcześniejszej aktywacji systemu. Nadal musimy rozwiązać kilka problemów technologicznych, ale

162

zapewniam pana, że do momentu realizacji dostaw wszystko będzie zapięte na ostatni guzik.

Mitchell skinął głową z aprobatą. Wiedział, że inżynierowie testowali już system SBT we wszystkich krajach Zatoki Perskiej i posługiwali się telefonami Quantis aż po granice Pakistanu. I choć większość naziemnej infrastruktury znajdowała się na terenie Arabii Saudyjskiej, to satelity pozwalały na objęcie systemem całej kuli ziemskiej.

- A co z... kontraktorami?

- Wszystko potwierdzone. Ustaliliśmy ponownie nowe ograniczenia funkcjonowania - w tym także ustalenia z rządem Jemenu. Pieniądze zostały przesłane, a wywiad zarówno za pomocą ludzi, jak i urządzeń elektronicznych sprawdza czas oraz

lokalizację, koordynację OPFOR, ponownie wszystko uzgadnia i ustala warunki brzegowe. Planujemy ustanowić tam naszą ekipę mającą czuwać nad całym projektem równocześnie z rozpoczęciem szczytu OPEC. To wszystko sprowadza się do celowego zakupu, ale na razie wygląda dobrze.

W czasie odpraw takich jak ta Trask czasem posługiwał się terminologią wojskową. Sformułował już tyle rozkazów składających się z pięciu paragrafów, aneksów logistycznych oraz planów operacyjnych, że mógł je przygotować nawet we śnie.

- A Sirad? - spytał Mitchell.

- Jeszcze nie rozmawialiśmy z nią o zmianach terminu. Oczywiście otrzyma krótkie sprawozdanie, lecz ze względu na bezpieczeństwo całego przedsięwzięcia... - przerwał na chwilę, ponieważ odrzutowiec zakołysał się wskutek turbulencji - uważamy, że lepiej poczekać.

- Zgadzam się - odparł Mitchell. - Jak na dziś, powinna znać datę i wiedzieć, kiedy odbędzie się pokaz, oraz umieć coś powiedzieć na ten temat. Wciąż jeszcze muszę rozwiązać parę kwestii, zanim całkowicie wprowadzimy ją w temat. Przesuń jej lot na wcześniejszy termin i zatroszcz się o wszystkie szczegóły techniczne. Chcę mieć pewność, że kiedy przekażemy wszystko Saudyjczykom, nie będzie żadnych problemów.

Pilot wyhamował silniki i odrzutowiec rozpoczął lądowanie, skłaniając Mitchella do spoglądania przez okno na pajęczynę lśniących w słońcu poszarpanych szczytów górskich. Przestrzeń powietrzna, w której się właśnie znajdowali, rozciągała się ponad odosobnionym terenem, należącym od czasu drugiej wojny światowej do Departamentu Obrony. Dla przechodnia ten nagi kawał Arizony pokryty skałami

163  
i kaktusami wyglądał jak każdy inny krajobraz południowo-zachodnich stanów, ale osobom związanym z wywiadem był on znany pod nazwą Castella Air Base, teren ćwiczeń skoków jednostki Delta Force i baza Conifer Air, jednej z tajnych linii lotniczych należących do CIA.

- Jak wyglądamy pod względem przygotowań do prezentacji? -zapytał Mitchell. Spoglądał na pustynię i nagle ogarnęło go podniecenie na myśl o tym, co miało nastąpić.

- Słyszałem, że wspaniale - odparł Trask. - To odbędzie się jutro rano.



Mitchell kiwnął głową, uśmiechając się leciutko. Czekał na tę podróż ponad rok - na pokaz w terenie, który miał być kulminacją jednej fascynującej inicjatywy i początkiem innej. W Borders Atlantic prowadzono wiele programów naukowo-badawczych, koncern nadzorował niezliczoną liczbę firm i nieustannie szukał nowych rynków, ale to przedsięwzięcie było inne. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin zobaczy technologię, o której nawet trzy lata temu mógł tylko śnić - technologię, która pomoże mu zrealizować największe ambicje.

- Dobrze, dobrze - potakiwał głową Mitchell. Wyciągnął kartki do notowania i coś zapisał. - Żadnych wieści o sytuacji Beechum?

- Jest skończona jako kandydatka. Wiem od naszych źródeł w komisji etyki, że panuje silne przekonanie, iż pani senator powinna, w związku z wynikami śledztwa, zostać zawieszona w swojej funkcji przewodniczącej komisji. Będę coś wiedzieć do przyszłego tygodnia.

Mitchell nic na to nie odpowiedział. Patrzył przez okno i uśmiechał się do widniejącego horyzontu. Żywił zachwyty do południowo-zachodnich stanów od momentu, gdy jego ojciec - zagorzały myśliwy - pięćdziesiąt lat temu zabierał jego i pozostałych synów na polowanie na bazyliki. Mitchell dobrze pamiętał wspaniałe światło na pustyni i suche, pachnące powietrze Arizony.

- Panowie, lepiej zapnijcie pasy - ostrzegła stewardesa, sama przypinając się do składanego siedzenia. - Niedługo lądujemy.

Najbardziej znany w Stanach Zjednoczonych prezes koncernu nieco się zachnął, gdy pilot raptownie skierował przód samolotu w dół i przeszedł szybko do zabronionego przez władze lotnictwa lądowania. To była zastrzeżona przestrzeń powietrzna, toteż aby uniknąć czujnego spojrzenia kontrolerów lotu, prywatny odrzutowiec musiał pomknąć szybko w dół w kierunku 10 000-akrowego lądowiska.

Ból w uszach

164

i ścisk w żołądku niemal mu nie przeszkadzały; to, co uda się załatwić w ciągu kilku najbliższych dni, z pewnością było warte tego dyskomfortu.

•

- POŁÓŻ SIĘ, KOCHANIE... to trochę potrwa.

Sirad pchnęła Hamida na kanapę w jego pokoju hotelowym, zadarła spódnicę i

usiadła na nim okrakiem.

- Kolacja była świetna, co? - zauważył mężczyzna, gmerając w guzikach jej bluzki.

- Kolacja? - spytała. - Nie mów mi, że przyleciałeś tu taki kawał, żeby zjeść kolację. - Przeciągnęła palcem w dół po zewnętrznej stronie szyi Hamida, znajdując linię golenia tuż przed jego małżowiną uszną. Wiesz - powiedziała - tu jest takie miejsce nad obojczykiem noszące nazwę nerwu strzałkowego. - Nacisnęła lekko palcem, aby pokazać, gdzie to jest. - Jeśli naciśnę je dostatecznie mocno, to nastąpi przerwanie dopływu krwi do mózgu i natychmiastowa śmierć. Ale jeśli będę je lizać i ssać, o tak... - tu dokonała demonstracji ze zręcznością wytrawnego instruktora.

- Boże - jęknął Hamid - gdzie, do cholery, nauczyłaś się takich rzeczy?

- Nie chciałbyś wiedzieć — wyszeptwała. Ssała to specjalne miejsce posuwając się po nim ustami w górę i w dół.

- Zabijesz mnie - wyjęczał, usiłując uporać się z guzikami jej spódnicy.

Sirad odchyliła się do tyłu i potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie - stwierdziła, ściskając go między nogami. Nie chodziło o uwolnienie go, ale o suspens - słodkie oczekiwanie tkwiące w pięknej białej bieliźnie, zapachu czekolady i truskawek, i topniejących kostek lodu. Sirad zdawała sobie sprawę z poezji gry wstępnej i z tego, jak złowić mężczyznę w taką niewolę.

- Zastanawiałam się... - wyszeptwała, pochylając się i wracając do poprzedniego zajęcia - o czym też sobie myślisz, kiedy tak siedzisz w tym wielkim gabinecie, a ja jestem tu, w Atlancie. - Ściągnęła bluzkę i stanik i przyłgnęła do jego piersi.

- Wiesz o czym.

- Powiedz mi - zażądała, chwytając go za ręce i przykrywając nimi swoje piersi.

165

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział Hamid. W tonie jego głosu czuć było pośpiech i żal, jak u chłopca, który płacze nad zadrapanym kolanem.

- Powiedz mi, czy myślisz o tym, kiedy jesteś sam - dopytywała się Sirad.

Podniosła się, stojąc teraz na kolanach, i zadarła spódnicę na tyle wysoko, że widać było czerwone koronkowe majteczki, kupione specjalnie na tę okazję, a których zakupowi poświęciła całe popołudnie.

- Mój Boże -jęknął znowu Hamid.

- Powiedz mi, co zrobisz, aby mnie mieć. - Sirad podniosła jego rękę i włożyła w swoje rajstopy, aby mu pokazać, że także jest już gotowa. Nachyliła się, aby pocałować go z językiem, który i tak już dość przysporzył mu tortur. A wreszcie sięgnęła do zanika błyskawicznego w jego spodniach, a ten niemal rozerwał się, gdy go rozpięła.

- Myślę o tobie - wyszeptał mężczyzna.

- Powiedz, co zrobisz, aby mnie mieć.

- Zrobię wszystko, Sirad. - Jego głos przypominał bardziej brokera finalizującego transakcję niż kochanka. Dla mężczyzny, który kontrolował każdy aspekt swojego życia, to był moment znalezienia się na krawędzi.

- Przyrzeknij - zażądała Sirad.

Hamid rozdarł jej spódnicę i przywarł do niej, mocując się z guzikiem przy spodniach, po omacku szukając jej, ściągając jej majtki i sięgając w środek, rozpaczliwie jej pragnąc.

- Przyrzekam - wymamrotał, przyciskając się do niej, kręcąc na

IY obitej adamaszkim kanapie, usiłując osiąść ją całą tym samym nie-'

opanowanym pchnięciem. I A ona osłabła, oddając się wielkiemu szczytowaniu, które narasta-

ło w jej wnętrzu, w brzuchu, a potem wędrowało przez uda. To była ta władza,

którą kochała, uwodzenie, poczucie, że może uzyskać od i tego czy każdego innego mężczyzny to, czego nikt inny nie zdołałby

j. wydobyć.

- Przyrzekam...-powtórzył Hamid, a ona wiedziała, że nie kłamie.

Znowu przysunęła twarz do tego magicznego miejsca na jego szyi i ssła je,

otwierając się na desperację Hamida. Pochyliła się nad nim, kierując nim w swym wnętrzu, i szczytowała, szczytowała, szczytowała.

h \*

I

166

EKIPA NAUKOWCÓW z Neveu Acoustical Engineering przybyła do Arizony dzień przed przylotem Mitchella. Patterson zarezerwował dla wszystkich apartamenty w hotelu

w Tucson, mając nadzieję, że pływalnia i mile spędzony czas sprawią, iż w dniu pokazu ludzie będą w szczytowej formie. Niestety Marty objawił nieoczekiwane zainteresowanie tańcem i alkoholem i strasznie się upił w miejscowym lokalu noszącym nazwę Kaktusowy Księżyc. Zadzwoił z więzienia po trzeciej nad ranem następnego dnia, twierdząc, że policja aresztowała go za napaść na wykidajkę w klubie zwanym TD's West.

- Co ty, do cholery, robiłeś w lokalu ze striptizem? - złościł się Patterson, wioząc wciąż jeszcze pijanego inżyniera z powrotem do hotelu. Neveu była małą firmą, zarabiającą na tajnych projektach. Jeśli jej ekspert od akustyki utracił swoją wiarygodność co do utrzymania tajemnic w tak idiotyczny sposób, to firmę może to drogo kosztować.

- Dz-dz-dziwka mnie wrobiła - stwierdził Marty, a następnie obrzygał cały wynajęty samochód.

Kiedy sześć godzin potem Patterson przyszedł do niego, ekscentryczny matematyk twierdził, że jakiś facet w kowbojskim kapeluszu wmusił w niego narkotyki. Marty oznajmił, że jest zbyt chory, aby jechać na pustynię, i odmówił przedyskutowania faktu, że ma podbite oko i spodnie włożone tyłem naprzód.

Po serii ponagleń i gróźb wreszcie wsiadł do samochodu, ale nikt nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Patterson hamował się, wiedząc bardzo dobrze, że to jest projekt Marty'ego i że tylko on jeden naprawdę wie, jak wszystko uruchomić. A że klienci czekali już na miejscu, aby zobaczyć to trzęsienie ziemi, Marty musiał tam być i pozbierać wszystko do kupy, i to szybko.

- Daj mi trochę kawy, a będzie dobrze - poradziła doktor Proust, gdy jechali na północ autostradą numer 15. Protokół próby leżał u Pattersona na kolanach, a on sprawdzał co chwila, czy o niczym nie zapomnieli. Marty leżał z tyłu w poprzek siedzeń i bełkotał coś o chrupiących muffinkach.

- Wymieńmy jeszcze raz wszystko, co trzeba przygotować - powiedział Patterson. - Z pobliskich gór ma przylecieć helikopter.

- Ten sam, co wczoraj - dodała Proust. - Ten sam cel, ta sama kolejność strzelania i koordynacja. - Poprzedniego dnia wszystko poszło znakomicie, ale inżynierowie mają obsesję na punkcie szczegółów, a już szczególnie inżynierowie Pattersona.

— To gdzieś tam - Patterson wskazał na zjazd numer 37. Niewielki znak na poboczu autostrady informował: Lotnisko Castella - następny zjazd na prawo.

Dziesięć minut później doktor Proust wyłączyła silnik samochodu i wyszła na zakurzony parking. Mała szopa stała pośrodku pustej przestrzeni złożonej z piasku, skał i zarośli. Obok szopy czekał już helikopter MD-530 z dwoma pilotami na pokładzie.

— Nazywam się Earl Carbonough - powiedział jeden z nich, wstając z siedzenia po lewej stronie i przechodząc do załogi Neveu. Był ubrany w dżinsy z Wal-Martu, miał baki w stylu Sha Na Na i zieloną satynową kurtkę firmy Southside Johnny i Asbury Jukes.

— Jeny Patterson, a to jest doktor Proust. A gdzie piloci, którzy byli wczoraj? - zapytał Patterson. Poczytał mnóstwo starań, aby mieć pewność, że każdy szczegół testu zostanie zaprezentowany klientowi ponownie. Toteż zmiany pilotów nie uważał za dobre.

— Nie martw się - odparł Earl. - Latam z różnymi systemami broni na pokładzie od czasu wojny wietnamskiej. Zamontuj go, a zapewniam cię, że walniemy w cel.

— Dobra - zgodził się Patterson. Nie było sensu się spierać. - Za chwilę będziemy mogli wystartować; jeden z naszych kolegów nie bardzo dobrze znosi tę pogodę.

— Cóż, przywiąż mu mózg do dupy - warknął pilot. - Wiatry rzeczywiście są tu irytujące, a ja nie mam zamiaru tracić czasu na symulantów.

•

WE WTOREK RANO Trask jechał autostradą numer 15, popijając kawę z olbrzymiego kubka i usiłując jakoś funkcjonować po przespaniu zaledwie trzech godzin.

Skręcił z dwupasmowej autostrady na zjazd numer 37, w kierunku terenu, który na jego mapie był pustym kołem, a następnie pojechał ziemną drogą w stronę opuszczonego hangaru.

Mitchell obijał się na tylnym siedzeniu wielkiego samochodu terenowego i czytał numer „American Rifleman” sprzed czterech lat. Jakiś dziennikarz znalazł szczególnie interesujący karabin Henry'ego w posiadłości bankiera z Nowego Meksyku. Zdaniem autora artykułu Pewien znany ranczer z Teksasu zamówił tę broń

na ślub syna, ale karabin został skradziony przez jednego z ważnych pułkowników Pancho

I

168

Villi w czasie najazdu na rancho w 1910 roku. Właściciel rancho tak się rozłościł, że aby go odzyskać, wynajął prywatną armię, ale w czasie tych walk zginął jego syn. Karabin był w tej rodzinie od pięciu pokoleń i nosił nazwę Dorado Henry-, od imienia swojego pierwszego właściciela, pana młodego.

- Piękny, nieprawdaż?

- Tak, sir - odparł Trask - - Postanowił pan go kupić?

- Mam na myśli dzień - odparował Mitchell. - Dlaczego w Nowym Jorku nie mamy takiego światła?

Trask wzruszył ramionami, zastanawiając się, czyjego szef mówi do niego, czy też może do Wszechmogącego. Przy hangarze skręcił w lewo i pojechał na pustynię, po cichu psiocząc z powodu suchego powietrza, od którego pękała mu skóra i piekły oczy. W latach osiemdziesiątych piechota morska wysłała go do Twentynine Palms i nigdy nie zapomni, jak takie środowisko naturalne może na sto rozmaitych sposobów uprzykrzyć życie.

- Sądzę, że to jest to, panie Mitchell - powiedział, podjeżdżając do grupy nowo wybudowanych budynków zwróconych frontem do pustkowia. Ponad tuzin samochodów stało w jednej linii z boku piaszczystej drogi. Kurz już pokrył je barwą wysuszonej na słońcu cegły.

Trask zaparkował w pobliżu wejścia i wyskoczył z wielkiego auta o napędzie na cztery koła, spiesząc się, aby otworzyć drzwi szefowi. Pierwsze, co zauważył oprócz upału, to otaczająca ich ze wszystkich stron na wpół schowana kadra uzbrojonych wartowników - niektórzy z nich siedzieli w samochodach, inni znów stali wzdłuż budynków, a jeszcze inni ukrywali się nieco dalej wśród kaktusów. To nie byli zwykli wartownicy, ale brodaczy mężczyźni ubrani po cywilnemu i roztaczający wokół siebie zapach wyższości.

- Boże, tak wcześnie, a już tak gorąco - zauważył Trask, gdy Mitchell wysiadał z samochodu, poprawiał okulary przeciwsłoneczne i wkładał kapelusz z szerokim rondem. Obaj mężczyźni przeszli mały kawałek dzielący ich od drewnianej

platformy, która wyglądała jak łoża prasowa na szkolnym boisku do gry w piłkę nożną. Sierżant w kamuflażu powitał ich u podnóża schodów.

- Dzień dobry panom. - Mówiąc to, żołnierz skinął głową z wojskową formalnością.

- Proszę za mną generał oczekuje panów.

Sierżant wprowadził ich do zatłoczonego pokoju. Ktoś starannie poustawiał w jednym rogu tanie składane krzesła i stolik z ciastem

169

oraz kawą. Inżynierowie technik wojskowych mieli naprzeciwko siebie ścianę z ciemnego pleksi, przez którą widać było doskonale na odległość mili, a która równocześnie chroniła gości przed słońcem i szrap-nelami.

- Dzień dobry, Jordan! - zawołał ktoś. Trask odwrócił się w prawo i zobaczył, że jakiś generał przesuwa się w stronę Mitchella. A ten brylował wśród mundurów niczym dowódca, uśmiechając się i ściskając ręce, jak gdyby sam ukończył West Point.

- No i co Trask, wciąż liżesz dupę i zapamiętujesz nazwiska? - spytał ktoś. Trask odwrócił się w lewą stronę i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego nie widział trzy lata.

- Cóż, tak, ty skurwysynu. - Trask kiwnął głową i dwaj mężczyźni potrzęsali się wzajemnie, trzymając za ramiona w uścisku charakterystycznym dla starych żołnierzy.

- Co się, do cholery, z tobą działo? - spytali równocześnie.

Trask patrzył z podziwem na insygnia na klapie munduru swego przyjaciela.

- Wygląda na to, że daleko zaszedłeś - powiedział. Znał „Chin-cha” Wollertona jeszcze z akademii wojskowej.

- Widzę, że też radzisz sobie całkiem dobrze - odpowiedział pułkownik. - Zapewne mój samochód nie kosztował tyle, co twój garnitur.

Trask chciał mu odpowiedzieć, ale czyjś głos mu przerwał.

- Proszę o uwagę - zawołał nagle major. - Kontrola wystrzału jest gotowa do próby. Za sekundę przyleci helikopter.

- Generale, a gdzie znajduje się cel? - spytał Mitchell na tyle głośno, aby każdy mógł go usłyszeć. Spoglądał przez okno, patrząc na nagą przestrzeń pokrytą tylko piaskiem, skałami i kaktusami, ciągnącą się przez dwadzieścia mil aż do

granicy z Meksykiem.

- Tu obok, sir - odparł pułkownik Wollerton, odciągając na bok przegrodę dzielącą pokój i pokazując dwa siedzące obok siebie manekiny. - Panie Mitchell, jeśli stanie pan tutaj, to my...

Nagle wszyscy zwrócili uwagę na jakiś chaos, hałas i wibracje. Mitchell odwrócił się w lewą stronę, akurat gdy czteroosobowy helikopter MD-530 siadał dokładnie przed frontowym oknem.

- Zlokalizowaliśmy cel - z mikrofonu dało się słyszeć warknięcie pilota.

- Proszę przycisnąć guzik z napisem „pound” - poinstruował major, wskazując na telefon, który trzymał Mitchell. Jordan Mitchell zrobił

170

to i niemal natychmiast się cofnął, kiedy jedna z głów plastikowych kukieł eksplodowała, pękając, a z jej wnętrza trysnął potok wstrętnej zielonej mazi.

- Oho! - wybełkotał Mitchell. Szybkość i gwałtowność tego ataku zaskoczyły go kompletnie. Zanim doszedł do siebie, eksplodowała druga kukła. Jej głowa rozprysnęła się na kawałki po podłodze ze sklejki.

- Charlie Dwa-osiem do OB Jeden - wołał pilot przez radio. - Cele zlokalizowane i zlikwidowane. Wracamy do bazy, odbiór?

- Zrozumiałem, Charlie Dwa-osiem; miłego lotu - słysząc było głos generała przez radio. Uśmiech na jego twarzy sugerował, że misja zakończyła się całkowitym sukcesem. - A teraz, panowie, jeśli moglibyśmy...

- Chwileczkę - przerwał Mitchell. - Co się tu przed chwilą stało? - Jeśli szef Borders Atlantic miał jakieś podejrzenia, to nie okazał tego.

- To, czego był pan dopiero co świadkiem, to całkiem nowa generacja prowadzenia działań wojennych - wyjaśnił pułkownik Wollerton.

- Sir, to urządzenie działa poza słyszalnym spektrum - dodał jeden z asystentów.

- Przenosi wibracje za pośrednictwem modulacji częstotliwości. Nawet atakowany cel nic nie słyszy.

- I działa nawet przez ścianę? - dopytywał się Mitchell.

- Tak jest, sir. Przez ścianę, szkło i przez większość materiałów budowlanych. I możemy podłączyć go, na odległość trzystu metrów, do specyficznego elektromagnetycznego generatora częstotliwości - wynoszącej nawet tylko



trzydzieści herców. Stojąc nieruchomo albo też poruszając się z prędkością jednego macha, o ile tylko uda się namierzyć częstotliwość na cel, możemy go unicestwić, nie pozostawiając żadnych śladów ani też żadnych dodatkowych zniszczeń.

- Żadnych śladów? - spytał Mitchell. Schylił się i nabrał dwoma palcami lepkiej mazi z podłogi.

- Żadnego śladu działania jakiegokolwiek mechanizmu - wtrącił się jakiś nowy głos. Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi, przez które wszedł Patterson z doktor Proust i Martym.

- Żadnych śladów, czyli nikt nie będzie wiedział, w jaki sposób, gdzie oraz kto ich zgładził. Ten system daje możliwość zastosowania

171

śmiercionośnej siły i nie pozostawia absolutnie żadnych śladów mogących doprowadzić do sprawcy, a na dodatek obojętne, czy został zamontowany na płozie helikoptera, czy w telefonie komórkowym.

- Do licha, panowie, to jest dopiero broń - gwizdnął generał.

Mitchell potrząsnął głową, nie korygując generała. Bronią godną podziwu był karabin Dorado Henry, który zamierzał kupić dziś po południu na aukcji. A to tutaj było czymś więcej - zupełnie nowym sposobem stosowania prawa.

## Rozdział IX

- DZIEŃ DOBRY, AGENCIE WALLER, jestem Jack Oushiski, specjalny agent-kierownik.

- Jeremy potrząsnął jego dłoń, podczas gdy tamten się legitymował. - To jest specjalny agent-kierownik Melissa Kennedy; specjalny agent-kierownik John Lee - powiedział Oushiski. - Jesteśmy z OPR... i zajmujemy się sprawą strzelaniny w Villa Davila.

Te trzy litery, OPR, przyprawiały większość agentów FBI o ciarki na grzbiecie, szczególnie jeśli chodziło o użycie broni palnej. Gdy zjawiało się Biuro Odpowiedzialności Zawodowej z mikroskopem w jednej ręce i z Podręcznikiem zasad prowadzenia śledztwa i czynności operacyjnych w drugiej, niemal zawsze oznaczało to kłopoty.

- Od czego zaczynamy? - spytał Jeremy. Usiadł za stołem w pierwszym rzędzie na jednym z miejsc zarezerwowanych podczas porannych odpraw dla dowódców brygad.

Wszyscy kierownicy usiedli po przeciwnej stronie.

- Najpierw musimy ci odczytać twoje prawa - oświadczył główny śledczy. Jeremy zdążył już zapomnieć jego imię i nazwisko.

- To jest po prostu administracyjne śledztwo - wyjaśniła kobieta, wręczając Jeremy'emu formularz FD-395. - Jednak musimy pouczyć pana, że to wszystko może skończyć się sprawą kryminalną i musi pan wiedzieć, że wszystko, co pan powie, może być w sądzie użyte przeciwko panu. Nie ma pan obowiązku rozmawiać z nami bez adwokata. Czy rozumie pan swoje prawa?

Oczywiście, że rozumiał swoje prawa - nie miał żadnych. Jeremy miał ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej i ostatecznie mógł otrzymać adwokata za pośrednictwem Stowarzyszenia Agentów FBI, ale wiedział, że tu przed radą rozpatrującą wszystkie przypadki użycia broni palnej był zdany tylko na siebie.

Wziął firmowe pióro i podpisał formularz FD-395.

173

- No, to strzelajcie - powiedział Jeremy, natychmiast żałując zastosowanego zwrotu.

Przez ponad godzinę zadawano mu pytania na temat samego strzelania lub też wypadków, które do tego doprowadziły. Jaką miał broń? Ile było naboju w magazynku? Ile wystrzelił? Data ostatniej kwalifikacji? Czy zażywa jakieś lekarstwa? Czy został dostatecznie pouczony o specyficznych zasadach użycia broni podczas tej misji? Dlaczego zakął w kajdanki tego machetero, kiedy leżał on umierający na podłodze? Czy udzielił ofierze pierwszej pomocy?

Odpowiedzi na te pytania były łatwe, z wyjątkiem dwóch ostatnich. Pierwsza pomoc?

- myślał. - Ten skurwysyn chciał mnie zabić. Dlaczego miałbym chcieć udzielić mu pierwszej pomocy?

- Zakładaliśmy kajdanki każdemu - wyjaśnił Jeremy, starając się, aby zabrzmiało to fachowo. - Nie było czasu na przeprowadzanie badań medycznych - chcieliśmy możliwie jak najszybciej wydostać stamtąd dziewczynkę.

Kobieta robiła notatki, od czasu do czasu prosząc Jeremy'ego, aby powtórzył jakieś szczegóły bądź przeliterował trudne imiona, jak na przykład Heckler, Koch, albo sformułowania, jak „ochronić się przed ogniem flankowym” czy „ghille”.

Prowadziła ona dochodzenia w sprawie przestępstw popełnianych przez „białe

kołnierzyki"; ale jedyne, co wiedziała na temat Jeremy'ego i HRT, to to, że ich akcje były bohaterskie.

Kiedy skończyli, szef zespołu spytał Jeremy'ego, czy może przychodzi mu do głowy coś, o co zapomnieli zapytać, albo też może chciałby złożyć jakieś oświadczenie.

- Nie, to byłoby wszystko - odparł Jeremy. Zaraz po zakończeniu wypełnił wymagany formularz FD-302, ale takie odpowiedzi były zawsze wymijające. Nikt nie chciał przedstawiać na piśmie szczegółów na temat duchowych rozterek, jakie przeżywał. Adrenalina odwrotnie działała na pamięć; lepiej było po prostu zachować w niej ważniejsze zdarzenia i pozwolić, aby to na nich skupiło się przypominanie, aniżeli na szczegółach.

- Dziękujemy za współpracę - powiedział Oushiski, wstając i szykując się do wyjścia. - Powiadomimy pana o rezultatach naszego śledztwa.

Kiedy? - powinno paść teraz pytanie, ale Jeremy go nie zadał, bo chciał jak najprędzej stamtąd wyjść.

174

Oushiski oraz inni znowu uścisnęli mu dłoń, pozbierali swoje formularze i wyszli, zostawiając Jeremy'ego samego w klasie wpatzonego w mosiężny dzwon. Przez chwilę siedział nieruchomo, starając się zwolnić szybkość, z jaką zaczęło się toczyć jego życie. Trzy dni temu był obecny jako trener na zawodach Little League bejsbola swojej córki, a teraz musiał odpowiadać na pytania Biura Odpowiedzialności Zawodowej, ponieważ zabił człowieka.

- Zabiłeś człowieka? - niemal słyszał słowa Caroline stojącej obok niego w łazience. - Tak mi przykro - powiedziała. Jej głos był odległy, odseparowany, jakby jej to w ogóle nie interesowało.

- Taak - odparł. - A co powiedziała Maddy, gdy udało się jej walnąć w piłkę?

- Walnąć w piłkę... - Caroline przestała wycierać włosy ręcznikiem i patrzyła na mężczyznę, którego, jak myślała, znała. - Czy chcesz porozmawiać o Portoryko? Jeremy pamiętał, jak odłożył szczoteczkę do zębów i ochlapywał twarz wodą, podczas gdy Caroline mówiła; w jego mózgu przesuwały się obrazy: dźwięk złapanej piłki, którą rzucił Marshall Baldwin, ładowanie karabinu kalibru .45, furkot powietrza wywołanego przez zamachnięcie się Maddy kijem bejsbolowym. I nagle znowu był w domu Macheteros i walczył. Te obrazy powróciły z taką siłą, że aż

się wzdrygnął.

Teraz wciąż tak było. Te wspomnienia powracały, gdy najmniej się tego spodziewał, tak jak napady migreny, wzmagające się i ustępujące zupełnie bez powodu i pozostawiające zmęczenie, niemal kaca. Wszystko, co się zdarzyło, rozgrywało się jak powolny sen, w którym on sam usiłował biec, ale nogi nie chciały poruszać się dostatecznie szybko. Jakaś biała chmura z przesuwanego się światła, za którą podążały dwie czarne dziury, z nich wydobywały się czerwone i żółte błyski, a pod stopami było coś śliskiego. Krew. Wylewała się w formie jakiejś mazi z głowy tego człowieka. Tego człowieka. Ale bez żadnego imienia i nazwiska, bez tożsamości, wiadomo tylko, że to „terrorysta” - miano, które otrzymał wówczas, gdy wraz ze swymi dupkowatymi kumplami porwał tę małą dziewczynkę. Czy miał dzieci? - zastanawiał się Jeremy, szykując się do wyjścia z klasy. - Czy miał żonę? Gdzie mieszkali? - Myśli napływały niesprowo-kowane. Pojawiały się w jego mózgu jak przebłyski, podświadomie. Jeremy wiedział, że było coś dziwnego w niemożności uwolnienia się od nich. Jeśli nie zabiłby tego człowieka, to właściwie mógł zabić sam siebie.

175

- Hej, żołnierzu! - zawołał ktoś, przechodząc obok otwartych teraz drzwi klasy. Jeremy odwrócił się, ale nikogo nie było.

Teraz wszystko jest inne - pomyślał. Po raz pierwszy zauważył tę zmianę podczas popijawy w klubie oficerskim w Roosevelt Roads po zakończeniu misji. Najpierw były ukradkowe spojrzenia rzucane przez kolegów, a potem kilka postawionych przez kogoś piw, a potem kieliszek tequili. Każdy chciał wiedzieć, jak się czuł, jak było tam w środku, czy ta dziewczynka coś mu powiedziała. Zgromadzili się wokół niego i kiwali głowami, kiedy on i Shellenby opowiadali o znalezieniu zakamuflowanych drzwi i pomyśle, jak je otworzyć. Chwilami jedynymi dźwiękami w barze był głos Jeremy'ego rozbrzmiewający na tle piosenki George'a Straita.

Minęły tylko dni, ale czasem Jeremy miał wrażenie, że od wydarzeń w Portoryko upłynęły lata. Innym znów razem zdawało mu się, że wciąż tam jest.

Jeremy podniósł się z krzesła w klasie, w której każdego ranka jego jednostka zbierała się na odprawę, i próbował wyrzucić wszystko z myśli. Przeszedł przez hol do głównego wyjścia obok biura.

- Tylko nie zapomnij podpisać się obok godziny wejścia - przypomniała mu sekretarka, stukając palcami przy odpowiedniej rubryce w książce wejść.  
- On nie musi się już podpisywać - zażartował Lottspeich, odpychając łokciem Jeremy'ego, aby sprawdzić, czy jest dla niego jakaś poczta. - To bohater wojenny.  
- Tak, tak, dobra, to FBI, a nie Korpus Marynarki Wojennej. Bohaterowie wojenni nie otrzymają wynagrodzenia, dopóki nie złożą podpisu w książce wejść i wyjść. - Sekretarka rzuciła mu pióro.

Jeremy zrobił, co mu kazano, po czym wziął swoją codzienną porcję formularzy i stosowanych w korespondencji wewnętrznej żółtych kopert i poszedł z powrotem. W połowie korytarza dogonił go Lottspeich.

- A pieprzyć tę książkę wejść i wyjść, okay? - uśmiechnął się. - Jeśli czegoś potrzebujesz, to daj mi znać. W domu wszystko w porządku?

- Tak, w porządku - odparł Jeremy, idąc korytarzem. Skinął głową Jimmy'emu Galiano, operatorowi numer 1 w brygadzie Golf, który, gdyby Jeremy nie interweniował, wlaźby prosto na tego wartownika. Ten stary wyga odpowiedział mu na powitanie z uśmiechem, którego Jeremy nie widział od dnia zawodów z elektrycznym treserem. Dobrze czy źle, ale nie był już „pieprzonym żółtodziobem” w brygadzie

176

Promieni X. Stał się członkiem bractwa niełatwych facetów, którzy znajdowali się na linii ognia i pociągali za spust. Znał swój fach, a każdy przyglądał się, jak sobie radzi.

Jeremy uśmiechnął się i również skinął głową, domyślając się, że teraz wszystko się zmieniło.

- Jak myślisz, jak się mają Albert i Keefer? - zapytał Lottspeich. Tych dwóch operatorów, którzy także byli wtedy w tamtym budynku i strzelali do Macheteros, Biuro Odpowiedzialności Zawodowej jeszcze przesłuchiwało.

- Tylko powiedz prawdę, dobrze? - powiedział Jeremy. - To był dobry strzał i nie ma tu nic do ukrywania.

Kilku kolegów, przechodząc, klepnęło go po ramieniu.

- Oczywiście, że to był dobry strzał chłopie. Wiesz, że tak- brzmiała odpowiedź Lottspeicha.

Jeremy zauważył na ścianie zdjęcie o wymiarach 8 x 10 z akcji w więzieniu Talladega w 1991 roku. Była to jedna z wielu fotografii upamiętniających dwadzieścia lat misji HRT w różnych zakątkach świata. Jak Biuro Odpowiedzialności Zawodowej dokona już wszystkich ustaleń, to znajdą się tu też fotografie z akcji ratunkowej w Villa Davila.

Na końcu korytarza Jeremy skręcił na lewo i wszedł do „jamy” niebieskich snajperów - wielkiego pomieszczenia załadowanego po brzegi przyrządami, przepoconymi ubraniami i sprzętem potrzebnym podczas akcji.

- Hej, Waller, zastanawiam się nad kupieniem żoniu robota do mielenia ziarna i do wyrabiania ciasta na chleb... czy słyszałeś o jakimś dobrym? - To Marty Salinas przystanął przy małym sklepiku, tuż zaraz za biurkiem Jeremy'ego, aby kupić sobie coś do jedzenia. Chłopaki z brygady Whiskey wykupywali wszystko, od batoników po tytoń do żucia, a zarobione pieniądze przeznaczali na fundowanie rozrywek, jak na przykład grilla dla wszystkich z NOTS.

- Pocałuj mnie w dupę - odpowiedział Jeremy, żałując, że nie wymyślił nic mądrzejszego. Salinas przyszedł do jednostki po wojnie w Zatoce Perskiej, gdzie jako dowódca czołgistów w Korpusie Piechoty Morskiej zabił sporo „miejscowych”.

- Czy podczas szkolenia snajperskiego uczył was takiego rozsypywania pudru, czy też sam na to wpadłeś? - zapytał Manny, wybierając pudełko gumy do żucia.

177

Jeremy zaczął odpowiadać, gdy nagle ktoś krzyknął: - Wchodzę! -i cisnął ponad ścianką działową torebkę z mąką. Wylądowała na biurku Jeremy'ego i zamieniła się w wielką, białą chmurę.

- Hej, a pieprzcie się! - wrzasnął Jeremy, chwytając to, co jeszcze zostało z torby, i odrzucając z powrotem, ale tego, który rzucił, już dawno tam nie było.

- Spokojnie, bracie - powiedział Lottspeich, wycierając medal na lotniczym kombinezonie Jeremy'ego. - Tak tu jest i jeszcze przez jakiś czas tak będzie. .

SIRAD WYSZŁA Z POKOJU HAMIDA w piątek rano tuż po ósmej i złapała taksówkę. Pojechała do domu. Znaczący uśmiech na twarzy portiera być może zaniepokoiłby ją, gdyby dostrzegła go po jakiejś nie tak starannie zaplanowanej randce, ale nie dziś. Wszystko układało się jak trzeba, a ona nie miała czasu, aby martwić się czymś tak trywialnym jak to, że wraca do domu w ubraniu, które miała na sobie

wczoraj.

- Szykuje się upał, co, Jimmy? - rzuciła, przechodząc szybko obok niego. To, co zyskała w czasie dzikiej nocy z Hamidem, miało większe znaczenie aniżeli lubieżne domysły służby.

Gdy znalazła się już w swoim mieszkaniu, zrzuciła pogniecione, pachnące piżmem ubranie i pobiegła wziąć prysznic. W centrum czekali na nią ważni klienci, z którymi miała zjeść śniadanie za niecałą godzinę, a tymczasem ona jeszcze nie przestudiowała ich dokumentów i planów. Kiedy brała prysznic, Hamid dzwonił dwa razy, ale Sirad nie widziała potrzeby, by oddzwaniać. On był już bezradnie spętany jej czarem i teraz trzymanie go na haczyku zależało bardziej od jej obietnic niż od tego, co już dostał.

Sirad zatelefonowała do biura, aby sprawdzić pozostawione przez klientów wiadomości, a potem chwyciła aktówkę, pędem zbiegła do samochodu i dwadzieścia minut później zajęła przed hotel Cztery Pory Roku w Buckhead. Borders Atlantic był właścicielem ponad trzydziestu tysięcy stóp kwadratowych przestrzeni biurowej w Atlancie, ale ci klienci specjalnie prosili o spotkanie w swoim ulubionym hotelu. Szef się zgodził, bo w grę wchodziła transakcja warta czterdzieści milionów dolarów. Sirad wręczyła parkingowej kluczyki od BMW i wkroczyła do hotelowego holu. Podszedł do niej boj hotelowy. Trzymał coś w ręku.

178

- Czy panna Malneaux? - spytał ze wschodnioeuropejskim akcentem.

- Tak. - Sirad rozejrzała się, dziwiąc, jak ją rozpoznał.

- Telefon do pani, proszę. - Mówiąc to, mężczyzna wręczył jej telefon bezprzewodowy.

- Halo? - powiedziała Sirad, spodziewając się, że to Hamid, ale już po pierwszych dwóch sylabach wiedziała, że ta rozmowa nie będzie miała nic wspólnego z przyjemnością.

- Myślałem, że zjemy lunch - usłyszała głos. Był męski, basowy, znamionował wewnętrzną młodość, a jego właściciel był erudyta.

- Akurat nie należy pan do osób, które mam zanotowane w telefonie jako te, z którymi mogę szybko się połączyć - odparła Sirad, uśmiechając się ze zdziwieniem.

Miała numer tego człowieka, ale zadzwoniła do niego tylko dwa razy. - Niech

zgodnę: jest pan tu w mieście, ale tylko na jeden dzień. - On tak działał. Hoch pojawiał się znikąd i zawsze wtedy, gdy najmniej się tego spodziewała, a potem znikał, czasem nawet w połowie zdania. Nie tracił czasu na takt bądź sentymenty.

-Skąd pan wiedział, że tutaj jestem? - zapytała Sirad.

- Proszę - odparł na sto procent pewny odpowiedzi. Przez ostatnie trzy lata kontrolował ją za pomocą smyczy wiążącej ją z ciemnym światem, którego istnienia tylko kilku ludzi jedynie się domyślało. Oczywiście, że wiedział, gdzie ona jest.

- Muszę z tobą porozmawiać -powiedział. - Osobiście.

- Kiedy? Teraz? - Sirad spojrzała na zegarek. Klienci zaplanowali spotkanie na dziewiątą, a ona już była spóźniona.

- To nie potrwa długo. Spotkajmy się w hotelowej restauracji.

Sirad skinęła głową, choć nie bardzo wiadomo komu, i oddała telefon bojowi.

Rozejrzała się po holu, natychmiast podejrzewając, że ktoś za nią szedł, a potem popędziła po szerokich schodach do sali jadalnej wypełnionej turystami oraz ludźmi przybyłymi tu w interesach. Hoch siedział przy małym stoliku nieopodal wejścia do kuchni.

- Dobrze wyglądasz. - Hoch mówił miękko głosem, który odbijał się echem. Miał na sobie kaszmirowy sweter, spodnie z szarej flaneli i tę nagłą powagę, którą zawsze podziwiała u niektórych kolorowych.

- Pan też dobrze wygląda. - Sirad usiadła naprzeciw niego i talerza z grzankami z szynką, jajkami na miękko i z plastrem sera holenderskiego, do których Hoch już się zabrał. Wyciągnął rękę, uściskał jej dłoń,

179

równocześnie wsuwając w nią jakiś sztywny, prostokątny przedmiot. Sirad nie oglądając, schowała go do torebki.

- To klucz do pokoju numer trzysta dwadzieścia siedem - powiedział mężczyzna, chrupiąc coś, co miał z boku na talerzu. - Na łóżku znajdziesz kopertę, a w niej jest program, który musisz wgrać do komputera Hamida, zanim wyjedziesz na Bliski Wschód.

- Na Bliski Wschód? - spytała Sirad. - O czym pan mówi?

- Saudyjczycy chcą szybciej otrzymać towar i wcześniej wprowadzić wasze telefony Quantis.



- Chwileczkę - powiedziała Sirad. - Myślałam, że to jesienią. Nawet nie zostałam jeszcze całkiem przydzielona do tego projektu.

- Za dwa tygodnie, licząc od dziś, zostaniesz wezwana do Nowego Jorku i poinformowana o nowych planach dotyczących projektu Quantis. Zaraz potem polecisz do Dubaju na oficjalny lunch z Saudyjczykami.

- Do Dubaju? A dlaczego nie do Rijadu?

- Bo Saudyjczycy chcą na szczycie OPEC poinformować o zawarciu tego porozumienia. To strategiczne posunięcie, które da im wpływ na negocjacje dotyczące wysokości produkcji.

Sirad nachmurzyła się na tę wiadomość.

- A co z naszym terminem?

- Musimy go przesunąć. - Mówiąc to, Hoch ugryzł kawałek grzanki. - Nie widzę żadnego problemu.

- Ale dlaczego teraz? Dawno już powiedziano mi, że wszystko jest przygotowywane na jesień.

- Wszystko się zmienia. Wiesz o tym. Sirad potrząsnęła głową.

- Nie uważa pan, że ktoś powinien mi o tym powiedzieć? - zapytała. - Sądzę, że to niedobrze, jeśli o tak wielkiej zmianie dowiaduję się wcześniej od pana, a nie od swoich własnych szefów.

- Nie zapominaj, Sirad, dla kogo tak naprawdę pracujesz - przypomniał jej Hoch, przywołując historię, której żadne z nich nie chciało omawiać publicznie.

Sirad popatrzyła w dół, na pusty talerz. Aczkolwiek jej życiorys zainteresowałby prawie każdego kierownika działu zasobów ludzkich którejkolwiek z firm z listy pięciuset magazynu „Fortune”, to jej prawdziwe curriculum vitae zaczynało się zaraz po ukończeniu college'u i rekrutacji przez CIA. Po dwutygodniowym szkoleniu w Harvey Point w Karolinie Północnej Sirad została skierowana do tajnej komórki

180

składającej się z obiecujących młodych oficerów, których umieszczano w wielkich międzynarodowych korporacjach, zapewniając im funkcje kierownicze dostępne dla młodej kadry. Zakodowany pod nazwą „Stagehand” ten nowy i głęboko zakamuflowany projekt działał w oparciu o założenie, że najlepszą metodą zbierania informacji

wywiadowczych jest śledzenie przepływu pieniędzy ukrytych za daną sprawą. Przez ostatnie trzy lata Hoch dyrygował niemal każdym aspektem jej życia, począwszy od mężczyzn, z którymi się spotykała, a skończywszy na sposobie ubierania się. To on decydował, kiedy miała gdzieś wyjechać, gdzie spędzić wakacje, a nawet o tym, jaki powinna kupić samochód. Jej przyszłość określała CIA, a nie Borders Atlantic, a awans Sirad to był tylko kamuflaż. Podobnie jak oddelegowanie za granicę. Naprawdę była agentką działającą w ukryciu.

- Nie martw się o Mitchella - powiedział Hoch. - Ściśle kontroluje cały projekt Quantis, a da ci znać, gdy tylko zaspokoi swoją ciekawość dotyczącą twego nowego obiektu zainteresowań.

- To on wie o Hamidzie? »

- Oczywiście.

- Ile wie?

- Tyle, że wynajął ludzi, aby cię śledzili. Twoje biuro, telefon, mieszkanie.

Sirad potrząsnęła głową.

- No, to się napatrzyli ostatniej nocy - prychnęła. - Czy jechali tu za mną dzisiaj rano?

Hoch rozsmarował dżem truskawkowy na chrupiącej grzance, a tymczasem Sirad rozglądała się wokół, starając się nie zwracać uwagi.

- Drugi stolik od drzwi - powiedział. - Zajmę się nimi, gdy pójdziesz na górę po ten program komputerowy.

- Powinien był mi pan powiedzieć... - Sirad zaczęła protestować, ale Hoch uciszył ją wzrokiem. - Przepraszam. - Zdała sobie sprawę, że przeholowała. - Nie powinnam była nic mówić, ale moje życie osobiste... myślałam, że to moja prywatna sprawa.

- Prywatna? A cóż to znaczy? - Hoch skinął na kelnera, aby dolał mu kawy, a następnie pochylił się w stronę Sirad. - Zrozum jedno: Jordan Mitchell to biznesmen. Jego jedyny cel to robienie pieniędzy. I jeśli kiedykolwiek uzna, że twój związek z Hamidem to coś więcej niż romans, będziemy mieć kłopoty.

181

Sirad patrzyła w jego przekrwione oczy. Tylko one zdradzały, czy przeżywał stres.

- Co będę robić w Dubaju? - zapytała.

- Nie martw się o Dubaj. Teraz musisz się martwić tylko o ten klucz w twojej kieszeni. Idź na górę, weź program i wgraj go do komputera Hamida, tego, który ma w domu. Cokolwiek Mitchell każe ci robić w Dubaju, to sprawa drugorzędna w stosunku do naszych celów. - Hoch odchylił się w tył na krześle, rzucił okiem na śledzącą ich ekipę i dopił kawę. - Chciałbym jeszcze zostać i pogadać - powiedział, podpisując rachunek - ale spóźnisz się na spotkanie.

Wstał i nachylił się, aby pocałować ją na pożegnanie, ale Sirad nie miała nic przeciwko temu, żeby sobie poszedł. Siedziała i patrzyła na wpółzjedzone jajka na grzankach.

- Cholera - wymamrotała w końcu, spoglądając na zegarek. Teraz to jej klienci na pewno się dziwią, co się z nią stało.

;:---:-': - . .! || ;>/:! ! !•|| \* |! .•' ^"-- .,;! ||

INFORMATORZY STANOWIĄ RDZENIĄ każdej operacji mającej na celu zebranie informacji

i podobnie jak agencji, które nadzorowała, tak i informatorów Elizabeth Beechum miała całe mnóstwo. Bycie przewodniczącą rządowej komisji nadzoru znaczyło, że wie się więcej niż ktokolwiek inny na temat tego, kto kogo ściga, co robią potem i, co o wiele ważniejsze, dlaczego to jest takie istotne.

Senator Beechum śmiało wyszła z domu, przeszła obok kamer, rozkrzyczanych reporterów i protestujących. Spokojnie otworzyła drzwiczki samochodu, wsiadła i pojechała w kierunku wschodnim Rock Creek Parkway w kierunku Kapitolu i swojego biura. Jednak zamiast skręcić na most Pamięci, skręciła w zjazd 1-395 i pojechała na południe, w kierunku Wirginii. Zawsze była dumna z tego, że potrafi dotrzeć do warstw leżących w Waszyngtonie pod kłamstwem i podstępem, ale wypadki ostatnich trzech tygodni kompletnie ją zaskoczyły. W jaki sposób krew adwokata Rady Bezpieczeństwa Narodowego znalazła się na podłodze u niej w domu? I skąd jego rzeczy w jej śmietniku? Po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat nie wiedziała, gdzie ma szukać odpowiedzi.

Aż do teraz. Ta kobieta, która wczoraj zadzwoniła do jej biura, prosiła, aby spotkały się w restauracji Silver City w Potomac Mills,

182

w odległym o pół godziny jazdy centrum handlowym. Z miliona powodów Beechum nie

powinna się zgodzić na to spotkanie, ale nic nie było w stanie zapanować nad jej desperacką potrzebą dowiedzenia się prawdy. Ktoś umyślnie postanowił zniszczyć jej karierę, jej życie, a ona musiała się dowiedzieć, dlaczego.

Słuchaj i potakuj, stara - powiedziała sama do siebie, skręcając z autostrady.

Tak brzmiała pierwsza rada, którą otrzymała, przybywając do Waszyngtonu, i która wielokrotnie okazywała się przydatna. - Zadawaj pytania, a nie odpowiadaj na pytania.

Dostrzegła restaurację ćwierć mili dalej, wjechała na parking i zatrzymała samochód. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś niecodziennego, nie wiedząc dokładnie, co miałyby to być. Gdy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego pytała ją o informacje przechwycone w Kaszmirze, a dotyczące Al-Kaidy, wiedziała, jak je zdobyć. Kiedy ludzie z Krajowej Agencji Kartograficznej przyszli do niej, by wyjaśnić najnowszą generację technologii 3-D interaktywnego modelowania terenu - wiedziała, kto to wymyślił. Jednak gdy trzeba było wypatrzeć podejrzany samochód, nie miała pojęcia, co robić.

Elizabeth weszła do restauracji i usiadła przy oknie, z którego widać było wjazd.

Z jednej i z drugiej strony siedziało kilka rodzin podróżujących tasiemcową autostradą 1-95\*. Po przeciwnej stronie sali siedziało sześciu członków klubu pieszego z włosami ufarbowanymi na niebiesko. Nikt jej nie rozpoznał.

- Dzień dobry pani - powiedziała jakaś kobieta, zaskakując Elizabeth. - Mam na imię Ruth.

- Dzień dobry, Ruth, proszę, niech pani siada. - Beechum była politykiem i miała właściwą politykom zdolność zapamiętywania nazwisk oraz twarzy, ale natychmiast wiedziała, że po pierwsze, nigdy przedtem nie widziała tej kobiety, i po drugie, Ruth nie było jej prawdziwym imieniem.

- Dziękuję, że pani przyszła - powiedziała Ruth. Beechum skinęła głową.

\* 1-95 to jedna z najdłuższych autostrad w Stanach Zjednoczonych; łączy stan Maine z Florydą. W tym przypadku autor chciał zaznaczyć, że dla tych ludzi spędzanie urlopu polegało na podróżowaniu tą autostradą i zatrzymywaniu się w różnych miejscach (przyp. tłum.).

- Cieszę się, że pani zadzwoniła. Chyba pani wie, jakie to dla mnie ważne.

Kiedy podeszła kelnerka, zamówiły kawę.

- Pomogła pani wielu ludziom w tym mieście - powiedziała Ruth. - Nie mogłabym po prostu tak siedzieć i pozwolić, aby to się działo, i się nie odwdziżyć.

Elizabeth Beechum miała dar jasnowidzenia, który przysporzył jej sławy oraz dzięki któremu stała się pewnego rodzaju obiektem kultu. Jeśli tylko ludziom nie podobał się jakiś projekt lub nie wierzyli w powodzenie operacji - przychodzili do niej. Zawsze wiedzieli, że mogą na nią liczyć. Być może ta kobieta należała do grona jej fanów.

- Więc co się stało? - zapytała Beechum. - Cholernie trudno jest o tym mówić, bo nie mam za diabła pojęcia, co się dzieje. Moje życie było wspaniale sensowne i nagle jestem... - Pani senator uprzytomniła sobie, gdzie jest. Nie wolno jej było zwracać na siebie uwagi.

- Proszę pani, nie wiem, jak to zrobić - powiedziała Ruth. Tak często odwracała się i spoglądała przez ramię, że Beechum pomyślała, iż kelnerka zacznie podejrzewać, że to złodziejka. - A może pojedziemy na przejażdżkę i porozmawiamy w samochodzie?

- Oczywiście - zgodziła się pani senator. Nie rozumiała, dlaczego Ruth bardzo nalegała na spotkanie w tak publicznym miejscu. Beechum położyła na stole pięciodolarowy banknot i poszła za kobietą w stronę najnowszego modelu forda mustanga.

- Teraz możemy rozmawiać - orzekła Ruth, gdy siedziały w samochodzie. Zapaliła silnik i ruszyła w kierunku zachodnim wzdłuż Prince William Parkway. -

Przestańmy już tak kluczyć wokół tematu. Czuje się pani nieswojo i obie o tym wiemy. Mam coś, co może pani pomóc.

- No dobrze - ponagliła ją Beechum. Teraz wysłuchałaby wszystkiego. - Co pani ma? Ruth wyciągnęła małą kasetę magnetofonową, taką jaką Beechum miała w swojej automatycznej sekretarce.

- Co to takiego? - spytała senator.

- Pani senator, to się nie musiało stać - odpowiedziała Ruth, spoglądając w lusterko i skręcając w lewo do dzielnicy dwupiętrowych domów. - Ludzie próbują przekazać pani jakąś wiadomość i o to tu chodzi. Chcą, aby pani wiedziała, że nie ma już pani władzy. Oni chcą, aby pani odeszła.

-W^M

184

- Władzy? A co to wszystko ma wspólnego z władzą? Jednego dnia Tim Russert i Dan Rather błagają mnie o udzielenie im wywiadu, a następnego jeżdżę po północnej Wirginii z kompletnie nieznaną mi osobą i błagam ją o odpowiedzi. I gdzie tu jest ta przeklęta władza?

Ruth trzymała w ręku kasetę, ale senator tylko na nią patrzyła.

- Świat bardzo się zmienił w kilku ostatnich latach - powiedziała Ruth. -

Zaczynamy patrzeć na wojnę z innej perspektywy. Pani wie, o czym mówię?

- Kim pani jest?

- Pani może w to nie uwierzy, ale jestem po pani stronie. Nie chcę, aby panią skrzywdzono.

Kobieta znów skrzywiła się w lewo.

- Skrzywdzono? Co to ma znaczyć?

- Proszę panią w imieniu tych, którym zależy, aby dla własnego dobra wystąpiła pani z komisji do spraw wywiadu i wycofała się z wyścigu do Białego Domu. Wojna z terroryzmem zmierza w nowym kierunku i wielu ludzi uważa, że pani do tego nie dopuści. Jeśli sama nie usunie się pani ze sceny, oni zrobią to za panią.

Beechum potrząsnęła głową.

- Niech pani to weźmie. - Kobieta wsunęła jej kasetę do ręki. - To może sprawić, że zmieni pani zdanie.

Beechum wzięła kasetę i natychmiast wyrzuciła przez okno. Ta kobieta trzymała z ludźmi, którzy tak bardzo chcieli ją skrzywdzić. Nic, co znajdowało się na tej kasecie, nie mogło przynieść żadnego pożytku.

- To Parsons, nieprawdaż? - Wiedziała, to tkwiło gdzieś w jej podświadomości. -

Niech pani wraca do tego żalostnego skurwysyna i powie mu, że nie będę kłamać z tego powodu - oświadczyła. - W tym mieście trudno jest długo utrzymać tajemnicę.

Będę go zwalczać i wygram.

- Przykro mi, że tak pani uważa - stwierdziła Ruth, lekko dotykając hamulców i podjeżdżając do krawężnika. Elizabeth Beechum zauważyła w bocznym lusterku jakies miganie i odwróciła się. Za nimi zatrzymał się nieoznakowany samochód policyjny. - Myślałam, że jest pani mądrzejsza.

- Co pani, do cholery, robi? - spytała Beechum.

Ruth zatrzymała samochód. Dwóch mężczyzn w garniturach podeszło do okna od strony pasażera.

185

- Dzień dobry pani - powiedział jeden z nich. - Czy wyrzuciła to pani przez okno?

Trzymał kasetę nadzianą na koniec firmowego długopisu. Beechum spojrzała na Ruth, a potem prosto przez szybę auta. Tym razem nie czuła chorej rozpaczy, ale przemożną chęć walki.

- Nazywam się Weatherby i jestem specjalnym agentem z Federalnego Biura Śledczego - powiedział. W tym czasie jego kolega otworzył drzwi samochodu. - Chcemy prosić, aby wysiadła pani z auta.

Rozdział X

JEREMY CZEKAŁ dwa tygodnie, aż kwatera główna wyda wstępne ustalenia w sprawie śledztwa dotyczącego Villa Davila. Normalnie ta szybkość zaszokowałaby każdego obeznanego z procedurami FBI, ale znowuż HRT zachowało się doskonale w tej tak ważnej sprawie. A nikt z siódmego piętra w gmachu imienia J. Edgara Hoovera nie widział żadnego powodu, aby zwlekać z zasłużoną pochwałą.

„Wziąwszy pod uwagę bieg wypadków, w tym obecność ciężkiego uzbrojenia, istnienie zakładnika i zademonstrowaną tendencję do użycia przemocy - stwierdzał nagłówek memorandum - nie stwierdziliśmy żadnego rzekomego ani faktycznego niewłaściwego postępowania ze strony kogokolwiek z załogi HRT". Było to takie samo oczyszczenie z zarzutów, jakie można by uzyskać w Departamencie Sprawiedliwości, powiedział Jeremy'emu jego szef. To był dobry strzał, jak stwierdzili koledzy.

Jednak życie Jeremy'ego wcale nie stało się przez to lżejsze. Denerwowały go drobiazgi, na przykład wylane mleko, to, że Christopher nie chciał pozbierać swoich zabawek, rysunkowe filmy, które Maddy nieustannie oglądała. Caroline próbowała trzymać dzieci z dala, sądząc, że Jeremy potrzebuje czasu i miejsca, by uporać się ze stresem, ale po kilku tygodniach zdała sobie sprawę, że mąż tylko coraz bardziej się od nich oddala. Rzadko odzywał się podczas kolacji, prawie nigdy nie układał dzieci do snu i z byle powodu wybuchał. Wyciągała rękę, aby go dotknąć, gdy budził się w środku nocy, i jej dłoń natrafiała na mokrą od

potu pościel. Za każdym razem, kiedy chciała go przytulić, odsuwał się. Wydawało się, że zawładnęło nim tylko jedno uczucie: wściekłość.

Na szczęście Mason również to zauważył. Zadzwoił do wydziału zajmującego się udzielaniem pomocy operatorom i w ciągu dwudziestu czterech godzin ekspert od radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych

187

usiadł z Jeremym i wyjaśnił, że obecnie FBI oferuje wszystkim agentom, którzy zastrzelili kogoś, porady psychologa. To, przez co przechodził Jeremy, nie dotknęło tylko jego, tłumaczył specjalista. To naturalna ludzka reakcja na druzgocące doświadczenie.

Ale to nie było takie proste. Motto nad drzwiami klasy HRT: „Poza tymi drzwiami nie ma już nic” znaczyło dokładnie to, co głosiło. Od operatorów HRT oczekiwano, że będą trzymać się razem i tworzyć zwarty front odporny na wszelkie zewnętrzne wpływy: ze strony żon, facetów w garniturkach z kwatery głównej czy też plotkarzy.

- Znoś to jak mężczyzna - powiedziało mu kilku weteranów, a to oznaczało, że trzeba uporać się z tym samemu, wobec tego siedział podczas sesji z psychologiem, nie mówiąc słowa. Także Caroline nie wypowiadała się na temat oczywistego braku postępu aż do dnia, w którym wybuchnął z powodu nowych zasłon, które właśnie kupiła.

- Jeremy! Ty już nie jesteś sobą! - krzyczała podczas tego długo narastającego wybuchu emocji. - Jesteśmy rodziną. Wszyscy cierpimy. Musisz coś z tym zrobić, zanim zniszczysz wszystko, co z takim trudem budowaliśmy.

I to pomogło. Nazajutrz rano, gdy reszta jednostki wyjechała trenować, Jeremy wsiadł do swojego chevroleta suburban i pojechał do Stowarzyszenia Psychiatrów w Fredericksburgu. To był mały gabinet na drugim piętrze eleganckiej, pamiętającej czasy sprzed wojny secesyjnej obszernej willi na brzegu rzeki Rappahannock. Były tam osobne wejścia i wyjścia, tak aby pacjenci nie mieli najmniejszych szans przypadkowo się spotkać.

- Pan nie zwariował - powiedział mu doktor już za pierwszym razem. Ten pedantyczny człowiek był ubrany w sztruksowy garnitur w szerokie prążki i w koszulkę polo. - Ta wściekłość to reakcja pana umysłu na coś, czego absolutnie



dotychczas nie znał. To tak, jakby się zgubić i sięgnąć do plecaka po mapę.

Proszę myśleć o mnie jak o mapie.

Jeremy wiedział, że lekarz nigdy w życiu nie posłużył się mapą, ale po tej pierwszej sesji terapeutycznej sprawy zaczęły się poprawiać. Doktor Scarloni nie dawał odpowiedzi. On tylko słuchał i przebudowywał jakieś zdanie, nadając mu formę pytania, popychając Jeremy'ego w nowy zaułek samozwątpienia. Czy zawsze tego chciał? Czy podjął się wykonywania takiej pracy, mając nadzieję, że doświadczy krańcowej

188

konfrontacji, czy chciał się sprawdzić wśród innych mężczyzn, którzy są zdolni to zrobić?

Początkowo wszystko to wydawało się takie niejasne. No i co takiego? - dziwił się Jeremy. - Przecież ludzie zabijają się od czasów Kaina i Abla. A to zdarzyło się podczas pełnienia obowiązków służbowych.

W końcu pogodził się z faktem, że nie musi zaraz uzyskać odpowiedzi. Trzeba było cierpieć.

- Zabiłeś człowieka - powiedział do siebie na głos pewnego ranka, czyszcząc zęby.

- Wielkie mi rzeczy. - Pasta kapała mu z kącika ust, a woda ściekała po nosie, zbierając się na czole między brwiami, bo tam skraplała się para z prysznicza.

Mogłyby też kapać łzy, jeśli udałoby się mu wycisnąć je z oczu.

To wszystko stało się jakby za naciśnięciem pstryczka. W jego życiu znów pojawiło się światło, sprawiając, że wydarzenia w Portoryko zamieniły się w jeszcze jedno zdjęcie wiszące na ścianie sukcesów HRT.

Jeremy przestał słyszeć głosy. Christopher zostawiał swoje zabawki rozrzucone po całym domu, nie obawiając się, że zostanie ukarany. Maddy znów oglądała filmy rysunkowe, a Jeremy nawet przyzwyczał się do zasłon w salonie. Życie znów było takie jak wówczas, gdy sprawiało mu radość.

!.. 'V: • | -:|" . ' ;; ! '\ :•! v'-iv,c.,;;

SAMOLOT LINII UNITED AIRLINES z Atlanty wylądował na lotnisku JFK w Nowym Jorku

po dwudziestej w czwartek wieczorem i Sirad wyszła, niosąc torbę podróżną od Louisa Vuittona oraz mniejszy neseserek też z tego kompletu. Wszystko było tak,

jak przewidział Hoch. Dieter zadzwonił, wzywając ją na odprawę do Nowego Jorku w sprawie, jak to określił, „naglącego rozwoju wypadków” w programie Quantis. Nie podał przez telefon żadnych szczegółów - zdaniem Sirad zrobił to umyślnie, nie dając jej szansy na przygotowanie się do podróży do Arabii Saudyjskiej, dokąd, jak już Sirad wiedziała, miała się udać.

Samochód czekał na Sirad przed lotniskiem i kobieta pojechała do mieszkania Hamida, gdzie zamierzała spędzić noc. Dotarła tuż przed kolacją i została powitana w drzwiach bukietem róż.

- Ohoho! - to wszystko, co Hamid zdołał powiedzieć. I miał rację. Sirad spędziła dość dużo czasu, przygotowując się do tej podróży - chciała być pewna, że w ubraniu wygląda równie dobrze, jak nago.

189

- Nie zaprosisz mnie do środka? - spytała. "

Hamid nachylił się, aby ją objąć, i widać było, że pożądanie pozbawia go sił.

- Oczywiście, wejdz. - Wykonał zapraszający ruch ręką. Skinął na służącą w fartuszkach, a ona wzięła torby Sirad i zniknęła w głębi korytarza.

- Co za piękne mieszkanie - zauważyła Sirad, gdy tylko przeszła przez próg. Nie spodziewała się takich wspaniałości. Tylko dzieło sztuki w salonie wystarczyłoby, aby kupić za nie znaczny kawał terenu w najlepszej dzielnicy Atlanty. - Czy to Renoir?

- William Merritt Chase - odparł Hamid, mogąc wreszcie się na czymś skoncentrować. - Renoir wisi w jadalni.

- William Merritt Chase w salonie, a Renoir w jadalni. A co jest w sypialni? - Sirad rozpięła kaszmirowy blezer i rzuciła go na sofę, a następnie kopnięciem zdjęła buty i tak paradowała po pokoju, ubrana w krótką do kolan spódniczkę burberry i w białą bawełnianą bluzkę. Udała zainteresowanie chińską wazą i przeciągnęła palcem po pełnym ciemnych cieni Degasie.

- Takim jesteś fanem impresjonistów, co? - mówiąc to, zatrzymała się przy skraju kanapy i tym samym palcem przeciągnęła, nie kryjąc podziwu, po twarzy Hamida. - Kobieta, która robiła mi dziś wosk w okolicy bikini, też jest artystką. Spytała, czy życzę sobie jakiś szczególny wzór... no, wiesz, tam.

Hamid miał kłopot z wymyśleniem odpowiedzi. Zaplanowanie obiadu zaraz po

przyjeździe jego nowej przyjaciółki było kompletnym nieporozumieniem.

- No i co jej powiedziałaś?

Sirad pochyliła się, pozwalając, aby dekolt jej bluzki odsłonił dostatecznie wiele.

- Powiedziałam jej, że mój nowy przyjaciel to konserwatysta, dość zamożny i wyrafinowany. Praktyczny. - Musnęła palcem jego wargi. - Powiedziałam, żeby zostawiła małą kępkę, w razie gdybyś chciał podrapać sobie górną wargę.

Hamid potrząsnął głową. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety z taką dozą wrodzonej seksualności. Mówiła z energią dziwki z epoki wiktoriańskiej, ale miała ruchy skromnej debutantki z Southampton. Zarówno swoim wdziękiem, jak i intencjami ta kobieta absolutnie go zachwyciła. . , .... .

190

- Przepraszam cię na chwilkę - powiedziała Sirad. - To była długa podróż, muszę się odświeżyć.

- Twoja torba jest w moim pokoju - zauważył Hamid. - Ostatnie drzwi po prawej. Sirad zniknęła w korytarzu i weszła do najbardziej prywatnego pomieszczenia w tym mieszkaniu - do pokoju Hamida. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz, nagle czując ciarki wywołane bliskością czyichś sekretów. Zawsze lubiła intymność takich chwil - od pierwszego razu, kiedy to zajrzała do dziennika prowadzonego przez jej mamę, czego wymagała praktyka na obozie szkoleniowym CIA w Camp Peary. Było coś złego, ale nie wywołującego zażenowania, w zdradzie czyjogoś zaufania, ale to przyprawiało ją o autentyczny, nieudawany dreszcz emocji.

To było głównym powodem, dlaczego od czasu pierwszego roku w college'u mieszkała zawsze sama. W połowie pierwszego semestru jej jedyna współlokatorka poprosiła władze uczelni o przeniesienie, ponieważ gdy pewnego dnia wróciła po zajęciach, znalazła zarządcę bursy przykutego kajdankami do sprężyn łóżka, a Sirad siedzącą na nim okrakiem i ujeżdżającą go niczym kucyka na karuzeli.

- To kompletna wariatka - napisała współlokatorka w swoim podaniu do Studenckiej Rady do spraw Zakwaterowania. - Kradnie mi szampon, czyta listy od moich chłopaków i stale żeruje na moich notatkach z fizyki.

Rada zaprosiła Sirad na rozmowę, sądząc, że zakwalifikują ją do wylania z uczelni, ale zanim wyszła, wszyscy w radzie czuli się małostkowi i winni, że

osądzili ją z góry. Cóż za urocza młoda kobieta - stwierdził dziekan do spraw studenckich.

Sirad przeszukała szuflady Hamida. W jednej skarpetki. W innej bokserki. Na dole swetry i piżamy. Piżamy? - szepnęła Sirad, potrząsając głową. Ten facet miał czterdzieści jeden lat i mieszkał sam. Po co mu piżamy?

W pudełku na górze bielizniarki leżały trzy zegarki: firmy IWC, Patek, który widziała w Atlancie, i szczerozłoty Tank Americaine od Cartiera. Były też dobrane spinki do mankietów, sygnet i coś, co wyglądało jak spinka.

- Gdzie, do cholery, jesteś? - szepnęła. Szybko przerzuciła zawartość jego szafy, przekopała nocne szafki i sprawdziła szuflady w szafie. Nic. Wreszcie zauważyła płaszcz Hamida przerzucony przez poręcz rzeźbionego krzesła. Wsunęła rękę do prawej kieszonki na

191

piersi i wyciągnęła mały pilot. W czasie poprzednich randek widziała, że go używał, i zwróciła szczególną uwagę na kod dostępu. - Sezamie, otwórz się. - Uśmiechnęła się. Nacisnęła guzik „power”, wyciągnęła z torebki coś, co przypominało odtwarzacz MP3, i podłączyła do komputera Hamida. Znajdujący się w urządzeniu program - dał go jej Hoch w Atlancie - był ewolucją najnowszej technologii pozyskiwania danych i zaszyfrowanego włamywania się do nich.

Opracowany przez Centrum Badań Elektronicznych FBI w Quantico w Wirginii, a następnie wzbogacony przez kontrahenta pracującego dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, program ten pozwalał analitykom odtworzyć i prześledzić każde kliknięcie myszą oraz naciśnięcie klawisza w komputerze. Strażnicy praw obywatelskich, gdyby tylko się o tym dowiedzieli, podnieśliby wrzawę na to urządzenie pasujące do Big Brothera, ale tak jak wiele z tego, co pracujący na rzecz wywiadu wymyślili po 11 września, tak i jakakolwiek wzmianka o tej czarnej technologii nie miała się nigdy ukazać w żadnym opublikowanym raporcie.

Sirad pracowała szybko, przerywając swoje zajęcie tylko na chwilę, aby zdjąć bluzkę i spódnicę na wypadek, gdyby przyszedł Hamid. Widok jej stojącej w staniku i w majteczkach z pewnością zająłby jego uwagę na tak długo, że wystarczyłoby jej czasu na ukrycie prawdziwych intencji.

Czekałam na ciebie - powiedziała, przysuwając się bliżej, aby odpłacić za całe

oczekiwanie, jakie narosło w niej przed przyjściem tutaj. Wiedziała, że wielu ludzi nie rozumiałoby, dlaczego ktoś wykonuje taką pracę. Nie rozumieliby, dlaczego nawiązuje romans, aby go potem zdradzić, ani też jak może iść do łóżka z mężczyzną tylko po to, aby uzyskać informację. Ale większość ludzi wiodła żywot małostkowy, pełen hipokryzji, nie mając pojęcia, ile pracy kosztuje zapewnienie im bezpieczeństwa. No i co takiego, jeśli seks pomaga mi w wykonywaniu mojej pracy - upewniała sama siebie. Seks był po prostu narzędziem. Każdy wykorzystywał go w jakimś celu.

Sirad otworzyła urządzenie, które Hoch zostawił w hotelu Cztery Pory Roku, i nacisnęła dwa guziki. W ciągu kilku sekund zaczęło ono warczeć, ponieważ umieszczony wewnątrz maleńki dysk ładował kompletnie niewidoczny program wymyślony specjalnie w celu pokonywania wszelkich zabezpieczeń do danych firmy. W ciągu kilku minut program ten miał jej umożliwić dostęp do każdej notatki, raportu i wiadomości w poczcie elektronicznej znajdującej się w systemie

192

Hamida. Miał obnażyć każdą transakcję, wymianę handlową i zakup, jakiego tylko on dokonał, równocześnie ukrywając się i pozwalając na śledzenie wszystkich kontaktów nawiązywanych za pośrednictwem sieci.

- No, kochanie - mruzczała, zdając sobie sprawę, że wkrótce będzie posiadać tego mężczyznę w sposób wykraczający daleko poza seks. -Uczyń ze mnie gwiazdę. Sirad usiadła na tapicerowanym krześle, a tymczasem urządzenie wyprawiało cuda. Zdarzało się, że ta praca wywoływała w niej takie napięcie, że musiała odpocząć, aby nie stracić równowagi.

JORDAN MITCHELL WRÓCIŁ DO DOMU z kolacji w Kennedy Center, na której zbierano

fundusze na jakiś cel, i zastał Traska czekającego w bibliotece. Co prawda jego szef sztabu często pracował po nocach, ale niemal nigdy nie pojawiał się bez uprzedzenia.

- Sirad jest tutaj, w Nowym Jorku - powiedział. Spacerował tam i z powrotem wzdłuż okna, tak jak to często robił Mitchell. - Mieszka u Hamida.

Mitchell zacisnął zęby. Nie rozżłościło go, że Sirad wybrała tego mężczyznę, ale wzrastające ryzyko, że może użyć swej niemałej zręczności i odkryć nielegalne

transakcje Hamida. Borders Atlantic był telekomunikacyjnym konglomeratem, który już wstępował na bardzo niebezpieczny grunt, nawiązując partnerstwo z Saudyjczykami w sprawie systemu SBT. Ujawnienie nielegalnych transakcji finansowych z niektórymi z grona tych inwestorów z Bliskiego Wschodu wyrządziłoby katastrofalne szkody.

- Nie mamy pojęcia, czy ona wie, czy też nie o transakcjach brzegowych peryferyjnych - wtrącił Trask, prawidłowo odczytując teraz już sangwiniczny nastrój swego szefa. Pomimo że zawsze ktoś śledził Sirad podczas wszystkich jej podróży, pomimo podsłuchu, na którym znajdował się jej telefon, i szerokiego zastosowania urządzeń podsłuchowych, departament bezpieczeństwa Borders Atlantic wciąż bardzo słabo orientował się, jakimi intencjami kierowała się Sirad, nawiązując kontakt z Hamidem.

- Oczywiście, że wie - syknął Mitchell. - A po cóż by podrywała tego faceta?

193

- Tak - przytaknął Trask. Podczas wojny w Zatoce Perskiej znajdował się w otoczeniu generała Schwarzkopfa i wiedział, że wielcy przywódcy są często gwałtowni. Dlatego też lepiej jest po prostu potakiwać i odpowiadać.

- No dobrze, a gdzie jest Dieter? - spytał Mitchell.

- Wciąż w swoim biurze. Pracuje nad kwestiami bezpieczeństwa.

- Przyrowadź go - rozkazał Mitchell. - Powiedz mu, że chcę, aby Sirad natychmiast stawiała się w jego gabinecie. Nie jutro rano - teraz!

- Tak jest, sir - zgodził się Trask, sięgając po telefon komórkowy. - A co on ma z nią zrobić?

- Wszystko mi jedno, byle tylko czymś ją zajął. Chcę, aby wszystko było gotowe do czwartku wieczorem, a to oznacza kompletnie nowe ustalenia, począwszy od aneksu dla mediów, po gotowość służb medycznych i wszelkie opcje. Chcę także, abyś zajął się oczyszczeniem mieszkania Hamida z pluskiew - wyślij tam odpowiednich ludzi; niech szczegółowo przejrzą każdą część jego komputera. Mitchell zaczął pukać palcem w powietrze niczym dowódca liczący swoje atuty.

- A jeśli chodzi o Sirad, to chcę wiedzieć wszystko, co będzie robić od tej chwili aż do jutrzejszego wylotu. Wszystko, rozumiesz? Chcę wiedzieć, z kim rozmawia, dokąd chodzi, co mówi przez telefon i, cholera, także po której

stronie łóżka śpi!

- Zajmę się tym, panie Mitchell - powiedział Trask. - Ale myślę, że Sirad jest w porządku. Spotkała Hamida przypadkowo, jadąc windą, a poza tym Hamid najzupełniej rozumie... Nie mogę sobie wyobrazić, aby on wystawił na szwank bezpieczeństwo całej operacji.

Mitchell walnął pięścią w otwartą dłoń Traska.

- Co ty, nie rozumiesz? - krzyknął. - Ta kobieta widzi wszystko. Jeśli choć przez moment sądzisz, że ona dokładnie nie wie, co robi, to jesteś zbyt naiwny, by dla mnie pracować. Chcę, aby Sirad stawiała się w gabinecie Dietera w ciągu godziny. I ma być pilnowana. - Mitchell podszedł do okna i zapatrzył się na światła Nowego Jorku. - Kto pilnuje spraw związanych z bezpieczeństwem tej podróży?

- Bartholomew.

- Kto?

- Chris Bartholomew. Był kiedyś w Delta Force.

Mitchell nie mógł skojarzyć nazwiska, ale ufał jednostce, w której był Bartholomew. Każdy, kto czuwał nad bezpieczeństwem korporacji, 194

finansów i łączności od siedemnastego piętra w górę, był starannie prześwietlony i przeszedł serię testów. I chociaż biura na tym piętrze nie miały okien, to pracujący tam ludzie pilnowali niemal wszystkich tajemnic Borders Atlantic.

- Chcę, żeby osobiście porozmawiał z Sirad. - rozkazał Mitchell. - Zrozumiałeś? Niech nie daje jej nic, dopóki nie dotrą na miejsce. Ma mnie zawiadomić natychmiast, gdy tylko zauważy, że coś jest nie tak. Mamy cholernie dużo jeżdżenia i nie chcę, byś coś spieprzył z tego powodu, że sądzisz, że Sirad coś wie.

- Rozumiem, sir- odparł Trask, odetchnąwszy z ulgą, gdy Mitchell podszedł do baru i nalał sobie drinka. Sam wybrał miejsce bitwy i szedł do natarcia.

Zazwyczaj to sprawiało, że stawał się znośny. <

•

- CZY KTOŚ WIDZIAŁ MÓJ NOKTOWIZOR? - spytał Jeremy, wchodząc w piątek po południu do boksu, w którym jego brygada trzymała swoje rzeczy. Koordynator ich

treningu zaplanował „nocne strzelanie”, w związku z czym Jeremy musiał mieć doskonały noktowizor, aby przetestować nowy, działający na podczerwień kolimator.

- Wczoraj zostawiłem go w swojej szafce i zniknął.

- Ach, tak, zapomniałem ci powiedzieć - odezwał się Cox. - Bucky wziął go wczoraj, bo jego noktowizor się zepsuł.

- Wczoraj wieczorem? - spytał Jeremy. Mówił głośno, aby przekrzyczeć muzykę dobiegającą z boksu brygady Echo. - A co to było wczoraj w nocy?

- Żniwa przy marnym świetle - odpowiedział Lottspeich.

Jeremy potrząsnął głową. Bucky lubił polować: na jelenie, niedźwiedzie, dziki, świstaki - wszystko, co tylko miało cztery łapy i futro. Często przechwalał się, że nigdy nie kupuje mięsa.

- To znaczy polował przy specjalnym świetle - stwierdził Cox. Nie robił tajemnicy ze swojej miłości do przyrody, od wegetariańskich posiłków, które jadła cała jego rodzina, po nalepkę, jaką miał naklejoną na zderzaku swojej świetnej hondy insight. - W Wirginii nie wolno polować w nocy, nieprawdaż?

- Ooo, znowu zaczynasz to swoje pieprzenie o zakazie zabijania -włączył się spóźniony Tiny. Cisnął plecak na półkę, gdzie leżały już czarne sztruksowe niezbędniki. - Przecież człowiek musi jeść.

i

195

- Nie jestem przeciwko zabijaniu - oznajmił, broniąc się, Cox - ale jestem przeciwny zabijaniu zwierząt. Ludzie zasługują na to, żeby od czasu do czasu dobrze ich przetrzebić, ale dlaczego, do cholery, podkradać się w środku nocy do jakichś bezbronnych zwierząt i zabijać je?

- Bo wychodzi z nich smaczne barbecue! - wtrącił się do dyskusji Bucky, który akurat wszedł. - Nie mów mi Cox, że znowu jesteś w jakimś pieprzonym towarzystwie etycznego traktowania zwierząt - zaśmiał się, rzucając Jeremy'emu jego noktowizor. -A jak myślisz, skąd, do kurwy nędzy, pochodzi skóra, z której są zrobione twoje buty?

- Taak, jak to jest, że zawsze musisz być taki bezduszny? - wtrącił się Tiny.

Mając metr osiemdziesiąt wzrostu, Tiny był najniższym operatorem, inni przewyższali go znacznie, ale tylko szukał pretekstu, by walczyć.



- Bezduszny? Nie miałbym problemu, żeby skopać ci tyłek -uśmiechnął się Cox. Tu nigdy nie zamierało poczucie rywalizacji.

- No to już - odparł Tiny, przypierając Coksa do ściany.

- Hej, hej, hej... - zaprotestował Lottspeich, stając pomiędzy nimi. -

Przestańcie tu wymachiwać fiutami. Chcę się dowiedzieć, jak on to zrobił.

- Ustrzeliłem czteropunktowego jelenia z czterystu trzydziestu jardów - powiedział Bucky, rzucając Coksowi zawinięty w folię stek.

- Zabieraj ode mnie to gówno - stwierdził Cox.

- Czterysta trzydzieści jardów w nocy? Mowy nie ma - odezwał się Tiny. Chełpił się, że jest najlepszym strzelcem w brygadzie Promieni X, nawet pomimo tego, że Jeremy codziennie go prześcigał. - Przez noktowizor widać dobrze tylko do dwustu jardów.

- Wszystko przed wami - powiedział Bucy - a to oznacza, że teraz możecie starać się mnie pokonać.

Sięgnął ręką między dwie szafki i napisał swoje nazwisko na kartce. Snajperzy z brygady Promieni X zakładali się o wszystko, poczynając od rana, od ćwiczeń w strzelaniu, a kończąc na tym, ile razy Mason splunie tytoniem w czasie porannej odprawy. Ten dzisiejszy zakład polegał na celności i trudności strzelania.

Wymogi zakładały, że żywy cel musiał zostać zabity. A teraz już tylko od członków brygady zależało, aby zademonstrowali najbardziej wyrafinowane umiejętności strzeleckie.

- Wygląda na to, że też tu jesteś, Waller - oznajmił Lottspeich. Jako sędzia miał ostatnie słowo.

196

- Dobrze! Tak naprawdę nigdy nie chciałem brać w tym udziału. -Jeremy sprawdził na pudełku numer partii produkcyjnej swoich wyczynowej jakości naboju kalibru .308 i wepchnął je do torby. Jego nazwisko dopisano na listę z powodu celnego strzału, jaki oddał w Portoryko, który spełniał wszystkie kryteria z wyjątkiem dobrego smaku. Jeremy aż się wzdragał na samą myśl, że Biuro Odpowiedzialności Zawodowej odkryje, że wygrał zakład, odbierając jakiemuś człowiekowi życie.

- Każdy wrzuca po parę dolarów - zażądał Lottspeich. Zbiórka rozpoczęła się od

dziesięciu dolarów, przy czym każda nowa osoba dopisana na listę płaciła pięć dolarów. Ten, kto pod koniec zawodów -czyli za dwa tygodnie - zajmował pierwsze miejsce, wygrywał całą sumę, wynoszącą około stu dwudziestu pięciu dolarów. Początkowo Jeremy próbował się wykręcić, uważając, że jest to w okropnie złym stylu, ale w końcu zrozumiał, że HRT to nie klub towarzyski w Harvardzie. Ci faceci stykali się w swojej pracy z brutalnością, codziennie wystawiali życie na szwank, nawet podczas treningu, i to był sposób na upuszczenie nieco pary i podtrzymanie ich żyłki współzawodnictwa. Na zewnątrz mogli to być adwokaci lub księgowi, ale tu byli wojownikami.

- Wciąż w to nie wierzę - stwierdził Tiny, potrząsając głową. - Myślę, że może najpierw powinniśmy zobaczyć, gdzie leżą wypatroszone wnętrzności. Skąd mamy wiedzieć, z którego miejsca strzelałeś?

- Zarzucasz mu kłamstwo? - spytał Langdon. Był on bardzo małomówny, ale w tym przypadku jego słowa miały znaczenie.

- Nie, ja tylko mówię... strzelamy z odległości; mamy pewne zasady. Po prostu nie wyobrażam sobie, jak on mógł oddać taki strzał. Mój noktowizor nie pozwala nic dostrzec na taką odległość.

- Oprócz noktowizora miałem też kolimator na podczerwień - wyjaśnił Bucky. - Oddałem tylko jeden strzał. Jeśli chcesz tam pójść i powąchać trzewia - proszę bardzo, serdecznie zapraszam. Po to je tam zostawiłem.

- Hej, czy myślicie, że napiszą taki dialog, jak będą kręcić film? -zapytał Cox. Zawsze mówił o filmie o HRT, który ktoś pewnego dnia nakręci. - To znaczy, czy nie sądzicie, że to wstyd? Czy pamiętacie scenę z filmu Fuli Metal Jacket! No, nasz dialog był dobry.

- O czym ty, do cholery, gadasz? - zapytał Lottspeich. - Waller, dawaj no pięć dolarów.

Jeremy sięgnął do swojej szafki po portfel.

197

- Który to taki dowcipny? - zapytał, wyciągając małą plastikową torebkę pełną mąki. - Cox?

- Dlaczego musicie zawsze wszystko zwać na mnie? - uśmiechnął się Cox.

- Bo ty jesteś jedynym dupkiem w całej brygadzie, który riie poluje - przerwał

Jesus. Dowódca brygady Promienie X już wchodząc, wyglądał na rozdrażnionego. - Zbierajcie swoje manatki. Mamy robotę - wtrącił, po czym chwycił z podłogi futerał na broń i zniknął za drzwiami.

- Co go, do cholery, ugryzło?

Lottspeich wzruszył ramionami. Wszyscy wiedzieli, że czasem Jesus się wścieka.

- Hej, Waller, wciąż wiesz mi pięć dolarów - ponaglił Jeremy'ego, który zapłacił i wyszedł za Jesusem.

•v; • . |..-- ..;:|•! ,; \. ||;.. || | | |'

- NO WIĘC CO TO ZA WIELKI POŚPIECH? - spytała Sirad, pukając do na wpół otwartych drzwi gabinetu Dietera. Zwalisty Niemiec stał za biurkiem o cienkim metalowym blacie, na którym piętrzyły się starannie ułożone sterty papierów. Dwie ściany były niemal kompletnie zawieszane czarno-białymi zdjęciami wyżłów niemieckich. - Proszę mi tylko nie mówić, że wezwał mnie pan do Nowego Jorku tylko po to, aby powiadomić o tej małej wycieczce do Dubaju.

Niemiec wyraźnie się zachnął rozczarowany, że nie był jedyną osobą znającą tę tajemnicę. Usiadł na krześle i udał nagle zainteresowanie jednym ze stosów papierów.

- Kto powiedział pani o Dubaju? - zapytał.

Sirad zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego. . -

- Też mam swoje źródła - uśmiechnęła się.

- Tak, no dobrze, a czy pani źródła poinformowały, że wyjeżdża pani dziś?

Sirad patrzyła na niego osłupiała.

- Nie mogę dziś wyjechać. Nie spakowałam... Ja nawet...

- Wyjeżdża pani dziś. O trzeciej samochód zawiezie panią na lotnisko i tam będzie już czekać na panią nasz specjalista do spraw bezpieczeństwa. Polecą pani do Dubaju na konferencję z jednym z naszych bliskowschodnich klientów. W czwartek wieczorem będzie pani z powrotem. !

198

- A co właściwie mam robić tam na miejscu? - zapytała Sirad. To pytanie zdawało się rozsądne, zważywszy, że po czekającym janowym awansie miała zostać wiceprezesem wszystkich zagranicznych operacji Quantis.

- W ciągu ostatniej doby mieliśmy trochę kłopotów. - Dieter był zadowolony, że

Sirad znajduje się od niego w odległości nieco większej niż na wyciągnięcie ręki.

Osobiście go interesowała. - Zostanie pani poinformowana już na miejscu, w Dubaju.

- Trudności? Jakiego rodzaju?

- Sprawy bezpieczeństwa. Jestem pewien, że rozumie pani, jak delikatna jest ta cała sprawa związana z projektem Quantis.

- Nie, nie rozumiem. A tak naprawdę to niewiele o tym wszystkim wiem. - Patrzyła na niego dostatecznie długo, by poczuł się niezręcznie. - Jordan Mitchell sam wybrał mnie do tego zadania, ale nie otrzymałam nawet podstawowych informacji, w jaki sposób mam cały ten projekt wspierać. Jak możecie spodziewać się, że będę wykonywać swoją pracę, jeśli nawet nie powiedzieliście mi, co to takiego? Wzięła z biurka Dietera jakiś raport. Niemiec spoglądał na nią potępieniem. Nienawidził jej fizycznego piękna i sposobu, w jaki je wykorzystywała, aby manipulować mężczyznami.

- Jeśli ma pani jakieś uwagi, sugeruję, by osobiście udała się pani na górę i tam je przedstawiła - stwierdził, rzucając spojrzenie kątem oka, żeby pokazać, jak mało go to obchodzi. - Jeżeli to zadanie tak bardzo pani przeszkadza, to jestem pewien, że pan Mitchell znajdzie innego kandydata na to miejsce.

Sirad oparła ręce na biodrach, robiąc przy tym odpowiednią minę.

- O co panu właściwie chodzi, do cholery? - spytała. - Już sam fakt, że Jordan Mitchell powierzył mi ten projekt, powinien być wystarczającym dowodem, że mi ufa.

Dieter wstał i skierował się ku drzwiom.

- Mogę uznać tę argumentację, ale tu sukces wiąże się z większym poświęceniem, niż pani sądzi. To, że przeszła pani próbę z wykrywaczem kłamstw i że jest pani ładna, przywiodło panią na próg, ale pozyskanie zaufania to już całkiem inna sprawa. Trzeba na nie zapracować.

Sirad patrzyła na niego, zastanawiając się, jak dalece powinna naciskać. Było oczywiste, że Dieter wie o tej podróży więcej niż ona. I niż Hoch. Nagle coś się zmieniło, jeśli chodzi o rolę, jaką miała odgrywać

199

w Borders Atlantic, i musiała wiedzieć dlaczego. Odwróciła się w stronę drzwi.

- Dieter, ja nie jestem wrogiem - powiedziała, mając nadzieję, że Mitchell usłyszy ją przez jeden z mikrofonów, które, jak wiedziała, zainstalował wszędzie w budynku. - Jeśli kiedykolwiek zdamy sobie sprawę z całego potencjału tkwiącego w projekcie Quantis, to będziesz musiał się z tym pogodzić.

- Nie spóźnij się - ostrzegł ją Dieter. - Samolot odleci bez ciebie. Sirad zanim otworzyła drzwi, zatrzymała się przy nich na chwilę.

Riposta nie byłaby trudna, ale ona już powiedziała, co o tym sądzi. A wkroczenie na płaszczyznę osobistą tylko przysporzyłoby później

kłopotów. ; |||||,| •-!| . :

## Rozdział XI

- PANI SENATOR, PANI SENATOR, NIE MOŻE PANI tam wejść! - krzyczał stojący z boku

strażnik, podczas gdy Elizabeth Beechum energicznym krokiem przeszła przez hol i weszła do szatni dla senatorów. Na drzwiach nie było wywieszki „Dla panów”, ponieważ nie było takiego drugiego pomieszczenia dla pań, wobec tego nie można było się pomylić. Choć upłynęło już trzydzieści lat od chwili, gdy pierwsza kobieta została wybrana do wyższej izby Kongresu, to ten męski klub nie pomyślał o dodaniu odpowiedniego pomieszczenia dla pań.

- Marcellus! - krzyknęła Elizabeth Beechum. Kilka twarzy pobladło, gdy biegała tak z jednego pomieszczenia do drugiego, szukając człowieka, którego nie była w stanie nazwać senatorem, choć było to piątkowe popołudnie i szatnia niemal opustoszała.

- Elizabeth, nie wolno ci tu wchodzić! - Słowa te wypowiedział Bertram Mathers, republikański senator ze stanu Maine. Stał właśnie przed lustrem, goląc się, a jego głos zabrzmiał tak, jakby odganiał tropiącego wyżła.

- Gdzie on jest? - wrzeszczała. Nie było tu zbyt wielu miejsc, w których można by się ukryć.

- W łaźni parowej - odparł jakiś senator, a dwaj inni wytknęli głowy z kabin prysznicowych, dziwiąc się, z jakiego to powodu ktoś tak wrzeszczy. Ujrzeni zmierzającą ku nim Elizabeth Beechum i zastanawiali się, czy w końcu nie postradała rozumu.

- Marcellus! Wiem, że tam jesteś! - Maszerowała korytarzem pokrytym dywanem,

następnie skręciła w lewo i szarpnięciem otworzyła drzwi do wyłożonej białymi kafelkami łaźni. Pomieszczenie wypełniała dusząca i gorąca para, sprawiając, że nie dało się dostrzec nic, co znajdowało się dalej niż kilka cali.

- Marcellus, ty skurwysynie. Jesteś tam?

201

- Betsy, zamknij te cholerne drzwi - powiedział ktoś słabym głosem. -

Wypuszczasz całe ciepło.

Elizabeth Beechum zrobiła parę kroków w przód, aż zobaczyła go siedzącego na najwyższej półce, gołego, tak jak go Pan Bóg stworzył.

- Być może sądzisz, że wymigasz się z tego, ale zapewniam cię, że nie. - Gniew narastał jej w gardle. Już nie wiedziała, czy to para, czy też wściekłość sprawiała, że kręciło jej się w głowie.

- Czy możemy załatwić to na zewnątrz? - spytał Parsons. Siedział rozkraczony, brzuchaty, łysy, spocony, porośnięty siwymi kłakami i cały w czerwonych plamach.

- Jestem goły.

- Teraz już wiesz, jak się czułam, kiedy przyszły do mnie te twoje wynajęte zbiry. I nie pochlebiaj sobie, Marcellus. Ja już widziałam te rzeczy. Zazwyczaj są o wiele większe.

Nagle drzwi otworzyły się i weszli dwaj strażnicy z Kapitolu.

- Boże, czy nigdy przedtem nie byliście w łaźni parowej? - ryknął Parsons. - Zamknijcie te cholerne drzwi!

Strażnicy usiłowali dojrzeć przez kłęby pary, gdzie on jest.

- Senator Beechum, jest pani tutaj? - Wyższy z nich zderzył się z nią. -

Przepraszam panią, nie chciałem...

- To jest oficjalna sprawa dotycząca Senatu, panowie. I nie potrzebujemy żadnej pomocy - krzyknęła senator.

- Proszę pani, to jest męska przebieralnia. Nie może pani tak po prostu sobie wejść...

- Proszę, chłopaki - odezwał się Marcellus. Wyciągnął spod siebie ręcznik i przykrył się w połowie tułowia. - To nie jest pierwsza kobieta, która załatwia tu sprawy, i prawdopodobnie nie ostatnia. Zostawcie nas na chwilę, a wszystko będzie dobrze.

Strażnicy zawahali się przez chwilę, rozważając tę całą papierkową robotę, jaką trzeba będzie odwalić w związku z usunięciem siłą kobie-ty-senator z męskiej przebieralni, oraz fakt, że ich zwilgotniałe mundury z poliestru przylepiły się do ciała.

- Zaczekamy na zewnątrz - powiedział jeden z nich. Drzwi znowu się otworzyły i strażnicy wyszli.

- A teraz, o co chodzi, Betsy?

Elizabeth Beechum nawet nie zwracała sobie głowy, aby zareagować na imię, jakim nazwał ją Parsons. Robił to, żeby ją rozzłościć.

202

- Problem? Jeśli sposób, w jaki kieruję moją komisją stanowi dla ciebie problem, to dlaczego po prostu tego nie powiesz?

To, że David Ray Venable został tydzień temu w Bostonie nominowany przez Partię Demokratyczną jako jej kandydat w wyborach prezydenckich, wydawało się ledwie wart wzmianki.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek ukrywał swoje dystansowanie się od twojego przywództwa - powiedział Parsons. Termostat tykał, wysyłając nową porcję pary za pomocą jednego, wielkiego syknięcia. -Ale teraz to już nie ma znaczenia, nieprawdaż? Ja pozostanę senatorem, a ty dziś wieczorem stracisz uprawnienia członka komisji.

Beechum usiadła na mokrej ławce.

- To o to w tym chodzi. - Czuła się głupio, że nie dostrzegła tego wcześniej. -A więc to nie tylko sprawy polityki, czy tak? I nie chodzi tylko o zniesławienie mnie. Chcesz pozbawić mnie możliwości ścigania cię.

- Betsy, przykro mi widzieć cię w takim stanie. Doprawdy przykro. Stres przyćmił ci zdolność rozumowania.

A ona słuchając tego, tylko szybko kiwała głową.

- Chcesz, żeby wszyscy uwierzyli właśnie w taką wersję, czy tak? Ty draniu.

Chcesz, aby myśleli, że zwariowałam... i że rzeczywiście zabiłam tego biednego człowieka.

Marcellus podniósł się, owijając się w pasie ręcznikiem, i stanął obok niej na podłodze. Puścił sobie na głowę prysznic zimnej wody i przetarł oczy

pomarszczonymi palcami.

- Tu chodzi o spojrzenie z szerszej perspektywy - stwierdził - której ty, co jest jasne, nie dostrzegasz. Wczoraj miałaś szansę wycofać się, ale wyrzuciłaś ją przez okno. Dosłownie. No, więc teraz masz problemy, którym nikt nie potrafi zaradzić.

Ruszył w kierunku drzwi.

- Nie odejdziesz tak - rzuciła Elizabeth Beechum.

Marcellus odwrócił się do niej. Teraz widziała jego twarz w obłokach pary.

- Popatrz na siebie - powiedział. - Jeśli jeszcze choćby jeden członek tego czcigodnego grona wierzył ci, to zmieni zdanie, zanim jeszcze zaczniesz pisać o tym prasa.

Marcellus otworzył drzwi i skinął na strażników, aby weszli i zabrali załamaną, chlipiącą kobietę z przebieralni - kobietę, która kiedyś miała otrzymać nominację Partii Demokratycznej na startowanie w wyborach prezydenckich, a która teraz była skończona.

203

||•||•

- A WIĘC CO MYŚLISZ o tym spotkaniu grupy G8 w Nowym Jorku? - spytał Lottspeich Jeremy'ego, gdy ten parkował swojego che-vroleta suburban na parkingu za terenem numer cztery, gdzie żołnierze piechoty morskiej odbywali ćwiczenia w strzelaniu.

Było to niecałą milę od kompleksu HRT. Billy Luter wspominał o wyjeździe treningowym do należącego do CIA Camp Peary - tam mieli przygotować się do zbliżającego się szczytu w Nowym Jorku. HRT powierzono niezmiernie ryzykowne zadanie ochrony ministrów finansów nowych rządów koalicyjnych w Iraku i w Afganistanie. Przywódcy tych państw zostali zaproszeni na dowód, że świat gotów jest roztoczyć opiekę nad nowymi, wyłaniającymi się gospodarkami obu krajów.

- Myślę, że byłoby świetnie - odparł Jeremy - ale nie podnieca mnie możliwość zarobienia kuli w obronie jakiejś marionetki z Trzeciego Świata. - Otworzył drzwi i wysiadł w jasną, zalaną słońcem przestrzeń. Przed nimi rozciągał się, granicząc z bujnymi lasami Wirginii, mierzący sto akrów teren ćwiczeń strzeleckich.

- Ja też nie mam zamiaru dostać kuli zamiast kogoś innego - zgodził się



Lottspeich. - Dopóki Departament Stanu wywiązuje się ze swoich obowiązków, dopóty nasze zadanie polega na tkwieniu w oknach w charakterze ich dodatkowej dekoracji. A poza tym bardzo chcę zobaczyć Camp Peary. Podobno mają świetny tor. Fritz sięgnął na tył samochodu Jeremy'ego i wyciągnął futerał na broń firmy Halliburton. W tym czasie zaczęli nadjeżdżać pozostali snajperzy. Wszyscy na poranną porcję strzelania.

- Taak - odparł Jeremy - mogą tu strzelać z samochodów. Doskonałe miejsce, aby odbyć rozgrzewkę przed tą ochroną dygnitarzy. -Zajrzał do swojego sprzętu, nie zwracając uwagi na konwój aut, dopóki jedno z nich nie zajechało, mając muzykę nastawioną tak głośno, że obydwaj mężczyźni spojrzeli, aby zobaczyć, kto to przybył. - A to co, do cholery? - zapytał Jeremy.

Langdon podjechał i zaparkował tuż za nim swego forda expedition z przyciemnionymi szybami i wielkim zderzakiem z przodu.

- Kerfor - odpowiedział mu Lottspeich.

- Co? - Jeremy ledwie go słyszał przez dźwięki heavy metalu.

- Kerfor. Jakiś niemiecki zespół, który Langdon odkrył podczas swoich ubiegłorocznych zagranicznych wojaży.

204

Jeremy wyciągał swój futerał na broń i plecak strzelecki, a tymczasem Langdon serwował przypominające trzęsienie ziemi rytmy i diabo-licznie spozierał przez okna.

- Dzięki Bogu, że on nie jest we wrogim obozie - zauważył Jeremy. Langdon został przyjęty do jednostki z fantastyczną opinią - dyplom z prawa Northwestern University oraz trzecie miejsce w ogólnokrajowych zawodach strzeleckich, lecz ostatnio zdaje się, że zbyt serio wziął sobie do serca walkę z terroryzmem.

- Taak - powiedział Lottspeich, żując kulkę tytoniu Levi Garrett. Wyciągnął plecak kamuflaży z ciężarówki kolegi i otworzył worek ze sprzętem, by się upewnić, że zabrał wszystko, co potrzebne do treningu. Standardowe wyposażenie wszystkich snajperów było mniej więcej takie samo i obejmowało: worek z piaskiem do opierania kolby, lunetę obserwacyjną, matę termoizolacyjną i sto wyczynowej jakości naboju z pociskiem HPBT firmy Federal.

- Czy byłeś kiedyś dłużej w Nowym Jorku? - spytał Lottspeich, gdy szli przez

parking do betonowego bunkra strzeleckiego, z którego rozciągał się widok na liczący trzysta jardów długości teren.

- Byłem tam kilka razy, jeszcze w college'u - odparł Jeremy. Wybrał sobie miejsce pośrodku tarasu i położył swój zestaw strzelecki. Rozwinął matę, wyjął karabin z futerału i rozłożył dwójnóg, ustawiając karabin lufą w kierunku celu, z odciągniętym zamkiem i pustą komorą. - Jeśli wszystko pójdzie gładko, to nie sądzę, abyśmy mieli dużo czasu na zwiedzanie.

Langdon przyszedł na taras, gdy Jeremy już przyszykował swoje stanowisko strzeleckie. Ulokował się tuż obok Lottspeicha, ubiegając kilkunastu innych snajperów w wyborze najlepszego miejsca, jakie jeszcze nie było zajęte, i szybko rozłożył swój sprzęt. Trening rozpoczął się punktualnie o dziewiątej, a każdy był nieco spóźniony.

- Robimy zakłady? - spytał Jeremy. Otworzył pudełko z amunicją i położył dwie plastikowe czerwone obejmy z nabojami obok karabinu.

- Jak zwykle - odpowiedział Lottspeich. Od momentu szkoły snajperskiej obaj zakładali się o dolara podczas każdych ćwiczeń w strzelaniu. Jeremy miał do odebrania już ponad czterdzieści dolarów.

- Uwaga na cele - rozległo się wołanie z wieży kontrolnej. Jeremy ułożył się wygodniej wzdłuż kolby swego karabinu i położył palec

205

na spuście. Wycelował celownik Unertla na odległe drzewo, a następnie spojrzął na pole, na którym nagle pojawiły się zielone, plastikowe ludziki pomalowane tak, aby przypominały chińskich żołnierzy. Trójwymiarowe cele zbliżały się i oddalały, tańczyły w lewo i w prawo, niczym gracze na wielkim stole do gry w hokeja.

Jeremy wycelował i wystrzelił w tym samym momencie, gdy cały taras zmienił się w ścianę złożoną z huku i białoszarego dymu.

BUUM! Ładowanie. BUUM! Ładowanie.

Jeremy włączył się w rytm, dostrzegając cele w taktycznym porządku i likwidując je, jak tylko się pojawiały, najpierw te bliższe, potem dalsze. Instruktorzy mówili, że taki sam porządek obowiązuje podczas walki: przede wszystkim trzeba unieszkodliwić zagrożenie znajdujące się najbliżej, a potem przesuwac się w głąb. I wykorzystywać każdą przewagę, nawet jeśli jest odległa.

Jeremy pociągał za spust i widział, jak zielony ludzik pada, a potem znów ładował karabin i szukał nowych celów. BUUM! Ładowanie. BUUM! Karabin ruszał się pod nim, podczas gdy on obliczał dzielącą go od celu odległość, szacował i zabijał. Cele uciekały, a potem padały na pole. Mosiężne łuski po nabojach połyskiwały w porannym słońcu. Małe obłoczki dymu unosiły się z luf, gdy dwa tuziny karabinów krztusiły się i prychały od wystrzałów.

Być może każde wywołane odbiciem szarpnięcie powinno przypominać mu tę kuchnię w Portoryko, ale nie. Myśli Jeremy'ego instynktownie koncentrowały się na odmierzaniu każdego strzału, a jego ręce obsługiwały karabin; był dobrze nastawioną, a teraz także i odpowiednio przetestowaną maszyną do zabijania.

- To wasz kurs! - Zabrział róg i koniec.

Cały rząd snajperów przekreślił się na bok, sięgając do futerałów na karabin po dzienniki, w których odnotowywali każdy strzał. Te dzienniki dostarczały szczegółowej historii strzału oraz warunków, w jakich został oddany, a więc panującej temperatury, wzniesienia nad poziom morza, szybkości wiatru i wilgotności.

- No i? - zapytał Lottspeich, notując doskonale wyniki w swoim dzienniku. - A co z torbką mąki?

- A co? - zapytał Jeremy. Już dość się nasłuchał zaczepek na temat ataku w Portoryko.

- To znaczy, ja wiem, że to brzmi głupio, ale dlaczego rzuciłeś w tego faceta torbą z mąką?

206

Jeremy uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Bo to była pierwsza rzecz, jaką znalazłem. W piwnicy było pełno benzyny i wiedziałem, że granat oślepiająco-ogłuszający spowoduje wybuch, więc potrzebowaliśmy czegoś, co by odwróciło uwagę tamtych. A do wyboru była tylko mąka albo kilka pustych butelek po piwie. - Lottspeich popatrzył na niego, niezdecydowany co do właściwości osądu Jeremy'ego. - No, co, do cholery, przecież poskutkowało, nie?

- Uwaga, ruchome cele! - rozległ się głos z wieży.

Jeremy znowu ułożył się za karabinem. Słońce grzało go w plecy. Rozejrzał się po

pustym polu, koncentrując się i czekając, aż cele pokażą się i zaczną uciekać...

i wtedy coś uderzyło go w podeszwę. I znowu. Ktoś go kopał.

- Waller... - usłyszał głos Jesusa. Jego dowódca stał nad nim, dając znak, aby wstał.

Cele pojawiały się i BUUM! Chór wystrzałów uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę.

Jeremy wstał i poszedł za Jesusem do jego ciężarówki, której silnik był wciąż włączony.

- Co się stało? - zapytał Jeremy.

- Zbieraj swoje manatki i zostaw w szafce - oznajmił Jesiis. Wyglądał surowo, jakby był zajęty czymś innym. - Zostaw broń i przepustkę w biurku. Odznakę też.

- Coś nie tak? - chciał wiedzieć Jeremy. Pierwsza rzecz, jaka przysłała mu do głowy, to Portoryko.

- Za dwadzieścia minut spotkamy się na parkingu. Weź sprzęt potrzebny w nocy - odpowiedział Jesiis, wsiadając do swojego terenowego samochodu. Jeremy usłyszał dochodzący z radia program Howarda Sterna.

- Ale po co? Jakaś misja czy co? - Jego pager milczał i nie było tradycyjnego wezwania i wyświetlających się cyfr 888. Nic też nie wskazywało, aby któryś z kolegów gdzieś wyruszał.

- Po prostu zbieraj swoje manatki! - wrzasnął Jesiis, przekrzykując odgłos wystrzałów. - I nie dzwoń do domu. To prywatna sprawa.

Po czym nacisnął pedał gazu i zniknął w chmurze spalin i kurzu.

Broń i przepustka na biurku? - Agenci FBI nawet do ubicacji nie chodzą bez broni i bez przepustki. Dokąd, do cholery, mieli jechać?

207

|..| »|| •:•: •.<-. | •" • -V..

SIRAD PRZYJECHAŁA NA lotnisko Teeterborough w New Jersey, ciągnąc za sobą torbę z ubraniami - owocem jej gorączkowej bieganiny po sklepach. Przed przylotem do Nowego Jorku spakowała niewiele rzeczy, nie zabierając ubrań odpowiednich do podróży na Bliski Wschód, ale wyprawa do magazynu Bergdorfa nadrobiła te niedociągnięcia.

- Pilot czeka na panią - oświadczył kierowca, zajeżdżając pod hangar dla prywatnych samolotów, skąd Borders Atlantic zawsze odbierał ważnych biznesmenów.

Sirad podziękowała i weszła do środka, gdzie zastała siedzącego na kanapie i przeglądającego plan lotu kapitana w mundurze.

- Czekasz na mnie? - spytała. Był piękny dzień, a ona chciała jak najszybciej wylecieć.

- Dzień dobry, panno Malneaux - odparł, wstając i podając jej rękę. - Jestem Frank.

Sirad uśmiechnęła się uprzejmie, ale patrzyła na innego mężczyznę stojącego za plecami pilota i studiującego znajdujące się w gablocie czarno-białe zdjęcie starego DC-3 i Grumman Otters. Jak na kogoś z korporacji był ostrzyżony zbyt krótko w kwadrat. Jego twarz zdawała się znajoma, ale Sirad nie mogła przypomnieć sobie, skąd zna tego człowieka.

- Jeśli chce pani wsiąść do samolotu, to wszystko gotowe - powiedział Frank. - Pani pozwoli, że pomogę - i sięgnął po jej torbę.

- Ja to wezmę - oznajmił ten drugi mężczyzna, idąc w jej kierunku. - Frank, ty pilotujesz, ja niosę walizkę. - Mówiąc to, przerzucił przez ramię czarny sztruksowy pokrowiec na ubranie, uściśnął rękę Sirad, i chwycił jej torby.

- Witam. Jestem Chris Bartholomew - powiedział. Przypominał jej gracza w bejsbol.

- Miło mi pana poznać. Jestem Sirad.

- Mnie również. - Bartholomew wpatrywał się w nią oczami, które, zdaniem Sirad, widziały już brzydsze rzeczy. Ruchem głowy wskazał wejście do samolotu i poszedł za pilotem do wnętrza lśniącego białego gulfstreama G-IV, czekającego z włączonym dodatkowym silnikiem, gotowego do lotu.

- Pracujesz w Nowym Jorku? - spytała Sirad, starając się przekrzyczeć dźwięk APU. Gdy szła, czuła jego spojrzenie na swoich biodrach.

208

- Tak, sprawy związane z bezpieczeństwem. - Kiedy podeszli do samolotu, pochylił się nad jej ramieniem. - Głównie sprawy związane z zagranicą.

Złatwiałem wszystko, co dotyczy pani pobytu w Dubaju.

- Och, to pan jest jednym z tych facetów z Króliczej Nory, o których nikomu nie wolno rozmawiać.

Chris Bartholomew uśmiechnął się.

- Czy była pani kiedykolwiek w krajach Zatoki Perskiej?

- Nie, teraz jadę po raz pierwszy - skłamała, wchodząc do samolotu. Wybrała rozkładany obity skórą fotel przy oknie. Bartholomew zdawał się nie zauważyć jedenastu pustych miejsc i usiadł tuż obok niej.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko towarzystwu - powiedział. Sirad uśmiechnęła się niespieszona.

- Nie, skądże - i mówiąc to, wyciągnęła spod fotela poduszkę. -Pan nie chrapie, co?

- Nie - roześmiał się Bartholomew. - Chłopaki, z którymi śpię w czasie podróży, zabiliby mnie.

- Chłopaki? - zdumiała się. -Aja tyle się spodziewałam. Bartholomew wyciągnął jakąś powieść i rozłożył do tyłu oparcie, nagle zdając sobie sprawę, że szykuje się większa zabawa, niż oczekiwał. Pilot włączył silniki i samolot wjechał na pas startowy. Piętnaście minut później gulfstream G-IV z namalowanym na ogonie numerem wskazującym, że należy do jakiejś małej firmy importowo-eksportowej na Antigui, uniósł się w górę z pasa numer 27.

Sirad patrzyła, jak gdzieś pod nią znika New Jersey, a w środku czuła igielki podniecenia, które zawsze towarzyszy nowym przygodom. I zdawał się bez znaczenia fakt, że nie ma pojęcia o tej operacji, o której każdy mówił ze skrywanym lękiem. Wszystko wskazywało, że po trzech i pół roku pracy na bocznym torze wreszcie przystępuje do gry.

LOKALNE LOTNISKO MANASSAS znajduje się trzydzieści mil od Quantico, licząc od tylnej bramy, skąd trzeba się kierować na Międzynarodowe Lotnisko imienia Dullesa. Bliskość Waszyngtonu i dwóch wielkich lotnisk sprawia, że Manassas to doskonała alternatywa dla samolotów niedużych firm przewozowych oraz usług czarterowych. Wzdłuż głównego pasa ciągną się nienagannie utrzymane

209

hangary, spełniające funkcje domu zarówno dla białych, należących do korporacji odrzutowców oraz prywatnych helikopterów, jak i dla jednosilnikowych, zaspokajających hobbystyczne zamiłowania samolotów.

Oficjalnie hangar numer 7 był wynajmowany przez Portner Avia-tion z Burkę w stanie Wirginia, ale każdy na tym lotnisku wiedział, że Portner Aviation to

spółka-córka FBI oraz że hangar 7 kryje najnowo-cześniejsze samoloty, w tym dwa służące do przeprowadzania nocnych zwiadów: dwusilnikowy odrzutowiec z silnikami mitsubishi wyposażony w bardzo zaawansowane systemy elektroniczne służące do przeprowadzania zwiadu i FLIR.

- No, więc masz zamiar powiedzieć mi, dokąd jedziemy? - zapytał Jeremy Jesusa, gdy wyjechali spod siedziby HRT i udali się na północ drogą 234 w kierunku lotniska. Nie było dużego ruchu i upał zelżał, przemieniając się w jeden z pięknych, rzadkich w tym klimacie letnich dni. Pytanie wydawało się rozsądne, tym bardziej że nawet nie zadzwonił do domu, aby powiedzieć Caroline, że spóźni się na kolację.

— Przepraszam - powiedział Jesus - ale ta sprawa wynikła tak szybko, że nie miałem czasu zapoznać się ze szczegółami. - Wyminął traktor z przyczepą, nie zważając na podwójną ciągłą linię. Na liczniku było siedemdziesiąt pięć mil, ale szybkość wciąż rosła, gdy wielka terenowa znalazła się znów na swoim pasie. - Mamy zlecenie. Od Agencji.

Zlecenie? - pomyślał Jeremy. Słyszał o czymś takim, ale niewiele. Chłopaki czasem wspominali o szybkich skokach za granicę w celu złapania niebezpiecznych uciekinierów, terrorystów, przywódców politycznych - każdego, kto był wystarczająco zły i zmienny politycznie, aby aresztować go lub wydać danemu krajowi. Zdjęcia tych niczego niepodważających zbiegów zapełniały korytarze w HRT, a wszystkie przedstawiały zwyrodniałe twarze facetów, którzy naiwnie myśleli, że znaleźli schronienie w krajach Trzeciego Świata.

Jeremy czytał o zleceniach, nawet zanim rozpoczął pracę w FBI. Prawie dwadzieścia lat temu władze Stanów Zjednoczonych kazały schwytać libijskiego porywacza, który został dealerem narkotyków. Nazywał się Fawaz Junis. Tajne agentki wyposażone w bikini, opaleniznę i szampana zwabiły Junisa na mały zagłowiec i wywiozły na wody międzynarodowe. Kiedy świetnie się bawił na pokładzie, podpłynęli nurkowie z HRT, schwytali go i umieścili w szybkiej motorówce, a następnie przetransportowali na lotniskowiec.

210

HRT wykonało wiele zadań tego rodzaju. Tak naprawdę w okresie po Waco była to jedyna praca, jaką jej powierzano. Porwania dokonywane za granicą odbywały się w

tajemnicy i Kongres też o niczym nie wiedział. HRT wyruszało i przywiozło wielu złych ludzi, jak na przykład Ramzi Jusef, Mir Amal Kansi, Ramzi Binalszib, Chalid Szeik Mohammed - w sumie około czterdziestu osób. Od 11 września HRT miało pełne ręce roboty.

- Jakies zadanie za granicą? - zapytał Jeremy. Jeszcze nigdy nie był nigdzie poza Stanami Zjednoczonymi.

- Powiem ci, gdy już będziemy w powietrzu - odparł Jesus.

- Europa? Bliski Wschód? - dopytywał się Jeremy. W HRT zazwyczaj wszystkie szczegóły były znane przed wyruszeniem na misję.

- Jak na nowicjusza zadajesz kurewsko dużo pytań - brzmiała odpowiedź. Zahamował tak gwałtownie, że Jeremy walnął głową w szybę, po czym skręcił na drogę prowadzącą na lotnisko. - Słuchaj, to działa następująco. Ktoś z kwatery głównej dzwoni i masz wsiadać do samolotu. Kolejne dwadzieścia cztery godziny spędzasz w powietrzu, szykujesz się na łapanie jakiegoś dupka, później lądujesz na kompletnie nieznanym ci lotnisku, a ten facet znika w chevroletcie z przyciemnionymi szybami. To nie żadne science fiction, chłopie, ale najkosztowniejsza na świecie zabawa w niańkę.

Jesus wyglądał na zmęczonego rozmową. Jego czoło zmarszczyło się, a zdaniem Jeremy'ego spowodował to olbrzymi stres. - Masz coś do żucia?

Jeremy sięgnął do kieszeni i wyciągnął torebkę z tytoniem Levi Garret. Caroline uważała, że to obrzydliwe przyzwyczajenie, ale powolne, relaksujące żucie pomagało się skoncentrować. Połowa chłopaków w jednostce żuła.

- Waller, ciesz się z przejażdżki - poradził mu Jesus. - Misja to misja. -

Olbrzymi ford dwukrotnie przekraczając dozwoloną prędkość, manewrował, wyprzedzając sznur ciężarówek.

Jeremy kiwnął głową, rozumiejąc, że HRT ukazuje swoje oblicze pomału, właśnie w taki sposób, poprzez zmienne nastroje i dziwną ciszę. Wetknął odrobinę tytoniu pod policzek i gapił się przez okno na wylaniające się budynki starej farmy.

Uważał, że był czas na rozmowę i na jazdę w milczeniu.

211

•

WIEŚĆ O TYM, CO ZROBIŁA ELIZABETH BEECHUM, rozeszła się lotem błyskawicy,



zanim

jeszcze Marcellus Parsons zdążył się wytrzeć i uczesać. Chociaż straż tylko wyprowadziła panią senator na korytarz, co się stało, to się stało. Jak na złość niezmiernie złośliwa reporterka z „The Washington Post” stała w holu i przeprowadzała wywiad z nowym przewodniczącym większości w Senacie i przewodniczącymi dwóch komisji.

- Dzień dobry, Elizabeth - tylko tyle mogli powiedzieć jej koledzy. Patrzyli na Beechum z otwartymi ustami, zastanawiając się, dlaczego, na Boga, kobieta, członek Kongresu, wychodzi z najświętszego ze wszystkich znajdujących się tu pomieszczeń w asyście zbrojnej eskorty.

- Można słówko, pani senator? - spytała reporterka. Zabrzmiało to bardziej jak rada, niż prośba - coś w rodzaju upomnienia, jakiego nauczyciel udziela słabemu uczniowi.

- Nie mam pani nic do powiedzenia - ucięła Beechum. Znała z widzenia tę reporterkę i czytała płomienne historie o swojej sytuacji. Wszystkie nic nie warte śmieci - plotki oraz przecieki z anonimowych źródeł. - Ludzie, czy nie dość już bzdur o mnie napisaliście?

Beechum uwolniła jedną rękę z uścisku strażnika. Straciła tu całą godność i poważanie. Została wyrzucona poza nawias i nawet dziennikarze o tym wiedzieli.

- Bardzo bym chciała to skomentować - dodała, odchodząc - ale mój ojciec powiedział mi kiedyś, żeby nigdy nie stawać do konkursu sikania z ludźmi, którzy kupują atrament galonami.

Chwilę później z przebieralni wyszedł Parsons, nadal zroszony parą. Zazwyczaj obmyślenie strategii wobec prasy, tak by maksymalizować korzyści tej politycznej porażki, zajęłoby jego ludziom godzinę lub więcej, ale nie dziś. Odciągnął reporterkę na bok i bez cienia uśmiechu wygłosił całe przemówienie na temat tego „żałosnego braku rozwagi”.

- To bardzo biedna kobieta - westchnął. - Zawsze zaliczałem się do jej najbliższych kolegów, ale to, co się stało, doprawdy zachwiało moim zaufaniem do niej.

Ta historia i tak była nośna i nie było potrzeby jeszcze się nią rozkoszować.

•  
TUŻ PRZED SIEDEMNAŚCIĄ gulfstream G-IV z numerem NA5767 na ogonie nadleciał od

północy. Kiedy lądował, Jeremy był w magazynie.

- Gotowy? - rzucił pytanie Jesus, wychodząc z jakiegoś pomieszczenia. Jak tylko przyjechali, dowódca brygady Jeremy'ego zniknął w pokoju, gdzie siedział szef. Jeremy skinął głową. Przerzucił worek ze swoimi rzeczami przez ramię i poszedł za Jesusem. Samolot już czekał, paliwo zatankował wcześniej. Smukły odrzutowiec, jakim zazwyczaj podróżują biznesmeni, był pomalowany na biało. Tu i ówdzie widniały akcenty niebieskie oraz zielone. Wyglądał na nowiusieńki.

- Bije na łeb te nasze wojskowe, nie? - zauważył Jeremy, idąc w kierunku samolotu. Jesus szedł obok, zbyt rozkojarzony, by móc rozmawiać. Dowódca brygady Promienie X wyciągnął z kieszeni mały zielony notes, sprawdził jakiś napisany odręcznie numer i wstukał go na swoim telefonie komórkowym. Jego nextell zapiszczał dwa razy i zamilkł.

- Kurwa. Masz przy sobie komórkę?

Jeremy podał mu swój nowy telefon, który dostał dwa tygodnie temu. Podobnie jak większość agend FBI, CIRG odchodziła od starych motoroli, wybierając nextella. Kosztowały one ułamek tego, co stary system, były lepsze, pozwalały na większy zasięg i miały jeszcze funkcję pagera. Większość agentów klęła te nowe telefony, ponieważ dawały kierownictwu większą możliwość ich namierzenia.

- Spotkamy się w środku - powiedział Jesiis i poszedł w prawo, oddalając się od wysokich tonów ryczących silników samolotu. Jeremy skinął głową obsługującym tankowanie maszyny, rzucił szybkie, kontrolne spojrzenie na samolot i po przejściu czterech stopni znalazł się we wnętrzu kadłuba.

- Chyba sobie ze mnie stroją żarty - mruknął, idąc przejściem w kierunku obracanego rozkładanego fotela. Kabina wyglądała tak, że zadowoliliby nawet gwiazdę rocka. Jeremy kiedyś leciał pierwszą klasą liniami United Airlines, ale w porównaniu z tym, co teraz widział, tamto to była ruina. Wnętrze G-IV wyłożone było pięknymi berberyjskimi dywanami, na których stały miękkie skórzane sofy. Wszelkie obramowania były wykonane z drewna tekowego, na ścianach elegancka

tapeta, lampy miały przyciemniane klosze, aby wygodniej było czytać. Obok każdego fotela znajdował się telefon, a umieszczony z przodu ekran pozwalał na oglądanie bezpośredniej transmisji telewizyjnej, filmów DVD oraz mapy z GPS, który szczegółowo określał wysokość, na jakiej znajdował się samolot, jego położenie oraz temperaturę na zewnątrz.

- Czy jest ktoś z tobą? - usłyszał głos za plecami. - Na liście jest was dwóch. Jeremy odwrócił się w kierunku kokpitu. Pilot mógł mieć około pięćdziesiątki, a poza tym miał wojskowe okulary i zmierzwione, pla-tynowo białe włosy.

- Tak, jest na zewnątrz. Telefonuje - odparł Jeremy. Podali sobie ręce. - Jeremy Waller.

- Miło mi pana poznać - powiedział pilot, ale się nie przedstawił. - Galera jest w pełni zaopatrzona. Mamy mnóstwo jedzenia, więc rozgoście się. Do Gander są cztery godziny lotu, a potem kolejne cztery do Shannon.

- Gander? - spytał Jeremy. Po raz pierwszy usłyszał o tym miejscu, w którym miał być w związku z tą podróżą.

- Nowa Fundlandia - stwierdził pilot. Zajął miejsce z lewej strony i rozpoczął sprawdzanie wszystkiego przed startem. - Nie dolecimy do Shannon na jednym tankowaniu.

- Dokąd? - zapytał znów Jeremy. Mężczyzna spojrzął w górę i patrzył na niego długo bez specjalnego zaciekawienia, a potem uśmiechnął się i zajął się przygotowaniami do lotu.

Jeremy odwrócił się w kierunku kabiny i zobaczył dwoje ludzi siedzących w połowie kadłuba. Ten w przejściu wyglądał na strzelca, być może z Delta Force albo z Komanda Foki. Fryzura i wygląd i tak by go zdradziły, ale było w nim jeszcze coś - ta nieuchwytna lekkość, jakiej nabywają faceci, którzy przeszli przez ogień.

- Jeremy Waller - przedstawił się Jeremy.

- Chris. A to jest Sirad.

Jeremy ledwie się nie zakrztusił. Kobieta siedząca przy oknie miała długie czarne włosy ściągnięte z tyłu w zwykły koński ogon. Jej ciemna karnacja była niemal świetlista, a oczy stanowiły odrębne źródło światła. Podniosła na chwilę wzrok znad laptopa i skinęła głową.

- Miło mi panią poznać - powiedział Jeremy. Uśmiechnęła się krzywo, najwyraźniej zbyt zajęta, aby zwracać sobie głowę oficjalną prezentacją.

214

Jeremy przeszedł obok nich, cisnął swój bagaż na podłogę i usiadł w skórzanym fotelu. Uważał za dziwne, że Jesus nic mu nie powiedział o tych dwojgu. Ale przecież wszystko w tej misji wydawało się dziwne. Dlaczego nie powiedziano nic wcześniej? Dlaczego nie było odprawy?

Jeremy wyciągnął z tylnej kieszeni fotela egzemplarz „Men's Journal” i rzucił jeszcze jedno spojrzenie w kierunku kobiety, którą właśnie spotkał. Była ubrana w dzinsy i w sweter, a w uszach miała proste złote kolczyki. Wieczorowa suknia nie sprawiłaby, że wyglądałaby lepiej.

- Przepraszam, że przeze mnie czekaliście - powiedział Jesus, wchodząc na pokład. Wciągnął schodki i zamknął drzwi do samolotu. Pilot pomachał i uruchomił silniki.

- Poznałeś sąsiadów? - dowódca zapytał Jeremy'ego, siadając ciężko w przejściu na podłodze. Chris wyciągnął rękę, a kobieta nie przerywała pisania.

- Tak, znasz ich? - Jeremy udawał, że czyta, toteż mógł patrzeć bez zostania przyłapanym.

- Podczas takich wypraw nigdy nikogo nie znasz - odpowiedział mu Jesus. -

Zapamiętaj to sobie. - Silniki ryczały, a oni wtoczyli się na pas startowy. -1 od tej chwili wystarczy, że przedstawiając się, powiesz tylko imię. Jeśli będą chcieli wiedzieć więcej, przyślij ich do mnie.

## Rozdział XII

EDGAR YALEZ NIGDY nie słyszał o senator Beechum, dopóki nie podjął tej pracy. Kiedy poszedł do armii, zarejestrował się, że będzie głosować, ale nieustanne przenoszenie się z miejsca na miejsce sprawiało, że trudno było się połapać, kto i o jakie stanowisko się ubiegał. A potem został aresztowany i stracił wszelkie zainteresowanie wyborami. Skazani nie głosują.

- Dzień dobry sir - powiedział odźwierny, gdy Valez mijał go, idąc po kawę.

- Tak, jak tam się zwiesz - mruknął. Mieszkał w tym budynku już nieco ponad dwa lata, ale nigdy nie zwracał sobie głowy czymś takim, jak zapamiętywanie imienia odźwiernego. Przeważnie był w podróży, a jeśli nie, to obsługę budynku dobrze opłacano po to, by on czuł się bezpiecznie i był zadowolony. Nie płacono jej za

gadanie.

Nawet pomimo tego wyrwania go z zamyślenia, na twarzy Valeza widoczny był nikły uśmiech, gdy wyszedł w to słoneczne popołudnie na ulicę Nowego Jorku. Dziś był dzień wypłaty, i to bardzo ważny. Za godzinę zadzwoni jego komórka i będzie musiał pójść na Szóstą Aleję, gdzie jego ostatni pracodawca zostawi w skrzynce na listy sto tysięcy dolarów w brylantach luzem. Jeszcze przed kolacją pójdzie do filii Deutsche Banku na Times Square i złoży je w sejfie wraz z innymi wynegocjowanymi, choć nie do wykrycia rzeczami.

- Kawa, bez mleka - powiedział do ulicznego sprzedawcy na rogu. Zatrzymywał się przy tym samym sprzedawcy i zawsze kupował to samo, codziennie, gdy tylko był w Nowym Jorku, ale też nie zaprzętał sobie głowy dowiedzeniem się, jak ten człowiek ma na imię. W biznesie Valeza podawanie imion było ryzykowne - a to był biznes. Podobnie jak kwity płatności, spisy telefonów i legalne kontrakty imiona były niedogodnością, której na ogół starał się unikać. Dlatego też zawsze pracował anonimowo, za pośrednictwem poczty pantoflowej i dobrze

216

zakamuflowanego ogłoszenia w internecie na łamach „London Times”. Ze sporą regularnością dostawał co miesiąc najrozmaitsze zlecenia dotyczące wszystkiego, od śledzenia kogoś, kto akurat przeprowadzał trudny rozwód, przez interweniowanie w jakichś sprawach, aż po morderstwo.

- Ładny tatuaż - skomentował sprzedawca kawy, gdy Valez zapłacił półtora dolara. Na prawym przedramieniu jego stałego klienta widniały dwie kostki do gry w żywych kolorach. Na jednej z nich była cyfra 1 i gwiazdka. Na drugiej dwie dwójki. - Idę o zakład, że służyłeś w armii. Byłeś z Zatoce, co?

- Taak. - To wszystko, co odpowiedział Valez. Dużo ludzi ma tatuaż.

SIRAD PRACOWAŁA NA laptopie, starając się nie dostrzegać mężczyzny siedzącego z lewej strony. Wszyscy mężczyźni gapili się na nią, ale ten sprawiał, że czuła się nieswojo. Za każdym razem, gdy odwracała głowę, aby powiedzieć coś do Bartholomeu, ten facet, Jeremy, odwracał wzrok albo udawał, że czyta. I nie patrzył na nią pożądliwie, spoglądał tak, jakby ją skądś znał. Wydawał się bardziej zainteresowany tym, po co ona tu jest, aniżeli co ona tu robi wraz z nim.

- Więc kiedy zamierzasz wyjaśnić mi, o co tu chodzi? — spytała Bartholomew, kiedy maszyna znalazła się już na odpowiedniej wysokości. Postanowiła nieco go urobić, akurat tyle, aby wydobyć z niego trochę informacji. Od czasu do czasu ocierała się o niego, początkowo przeprasząc, aż w końcu czyniąc swoje zainteresowanie bardziej oczywistym.

- Ho, ho - uśmiechnął się Bartholomew - aby wydobyć ze mnie jakieś informacje, trzeba więcej, niż potrzymanie za tyłek. - Powinna była wiedzieć, że będzie to dłuższa sprawa niż okazjonalny flirt.

- A co robisz tu ci dwaj faceci? - spytała Sirad, udając zakłopotanie. - Mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, co to za jedni.

- No, zobaczymy... kiedyś pracowałem z jednym z nich - uśmiechnął się Bartholomew. - To ten, który siedzi bezpośrednio za nami. Niech zgadnę - w ciągu pięciu minut weźmie tabletki ambien i zaśnie. Przyzwyczajenie to jego druga natura, tak samo jak dawne czasy.

- A jakie to dawne czasy? - spytała Sirad. Nachyliła się, aby wyjąć coś z torby. Wiedziała, że będzie widać sznureczek w jej stringach, i chciała zaobserwować jego reakcję.

217

- Kiedyś był w wojsku - ciągnął Bartholomew. - Zgłosiliśmy się jako pierwsi, on i ja. Potem awansowaliśmy. Potrzebowaliśmy nieco grosza, to wystąpiliśmy.

- Zdaje się, że ty nie zaszedłeś bardzo daleko - stwierdziła Sirad. Zauważyła, że Jeremy znów ją obserwuje.

- A jak to było z tobą? - zapytał Bartholomew. - W jaki sposób, do cholery, kobieta z twoim wyglądem ląduje w samolocie z trzema zabijakami, nie mając pojęcia, dokąd leci ani też co będzie robić, kiedy już dotrze na miejsce?

- Załóżmy, że lubię wielkie niespodzianki - odparła Sirad. - I coś mi mówi, że ty masz dla mnie jedną.

W ich rozmowie nie było teraz żadnego udawania. Obydwoje wiedzieli, że ona nie zamierzała przetrwać całej tej podróży bez wystawienia go na próbę.

- Wiesz co? - powiedział Bartholomew. - Od czasu do czasu nachylasz się i pokazujesz mi sznureczek w swoich stringach, wobec tego zdradzę ci pewną małą tajemnicę dotyczącą tej eskapady.

Roześmiała się głośno.

- Otóż ci faceci to prywatni najemnicy i najlepiej zrobisz, jeśli będziesz trzymać się od nich z daleka.

Wiedział, że to tylko wzbudziło jeszcze większe jej zainteresowanie.

- A co, jeśli pokażę temu facetowi, Jeremy'emu, mój sznureczek od stringów? - szepnęła. - Być może dowiem się od niego tego, co chcę.

- Wątpię - również szepem odpowiedział jej Bartholomew. Przerwał na chwilę, aby rozkoszować się zapachem jej skóry. - On wie tyle, co ty.

•

TRASK UŻYŁ SWOJEGO klucza, aby otworzyć drzwi do mieszkania 12 D, ładnie umeblowanego, z dwiema sypialniami. Borders Atlantic kupił je już wiele lat temu za pośrednictwem swojej zagranicznej filii zajmującej się importem i eksportem. Firma używała go jako „gniazdka schadzek” dla swoich zamiejscowych klientów, przejawiających „szczególne” zainteresowania. Dziś jednak miało posłużyć do całkiem innego celu.

218

- Halo? - zawołał.

- T-t-tu jestem - odezwał się jakiś męski głos. Trask ruszył w kierunku, z którego dochodził głos, i wszedł do pierwszej sypialni wypełnionej chmurami szarobłękitnego dymu papierosowego, gdzie zastał inżyniera do spraw projektów firmy Neveu pracującego nad jakimś dziwnie wyglądającym urządzeniem, tylko trochę większym niż ręczna kamera. Narzuta na łóżko leżała na podłodze, a telewizor był nastawiony na Nickelodeon.

Trask nie zwracając na to wszystko uwagi, od razu podszedł do tego urządzenia i pokiwał głową.

- A więc to to. - Tylko tyle powiedział. Jak na broń nie wywoływało żadnego wrażenia.

- P-p-praca n-nn-ad tym cudem k-kkosztowała mnie rok ż-życia -zakomunikował Marty. Zgasił papieros o szybę, a niedopałek cisnął w kąt pokoju: - T-t-to mój m-mm-mały anioł.

- Myślałem, że to będzie większe - stwierdził Trask.

- W p-p-pudełku znajduje się urządzenie naprowadzające na cel -wyjaśnił Marty. -

Cała r-r-reszta jest w telefonie k-komórkowym, t-t-tak jak tego w-wymaga specyfikacja. - Przykręcił coś śrubokrętem, patrząc z ukosa przez matową mgłę dymu. - Kochanie, m-m-możesz to schować w-w-w g-g-gaciach, j-jeśli chcesz. - Dobrze. - Trask wziął małe, czarne urządzenie i trzymał je ostrożnie w rękę. Wciąż nie wierzył, że można ranić lub zabić za pomocą dźwięku. Oczywiście widział pokaz, ale to była tylko próba w terenie, a wykorzystanie tego w rzeczywistych warunkach to już całkiem inna sprawa.

- Jesteś pewien, że to będzie działać w naszych telefonach?

- J-j-jeśli chodzi o fizykę - odparł Marty - to r-r-rozz-miar ma znaczenie w sypialni, ale nie tutaj.

- A czy pozostawia jakieś ślady? Nie słyszałem niczego na pustyni, ale byliśmy za kuloodporną szybą, wobec tego nie mogłem słyszeć nic oprócz warkotu helikoptera. Czy jesteś pewien, że ludzie na ulicy nic nie usłyszą?

- N-n-nic. - Marty wziął urządzenie z rąk Traska i znów zaczął przy nim majstrować. - O ile t-to t-t-ty nie jesteś celem. A ampli-t-tuda identyczna, jak w twoim stereo. N-n-astawisz na c-cicho i nawet t-twoi sąsiedzi n-n-nie usłyszą. Zrobisz głośniejsze i b-b-będzie hałas, jak-kby P-pan Bóg chlasnął dz-dziwkę p-po tyłku.

219

Trask puścił to porównanie mimo uszu.

Marty skończył robotę i spakował narzędzia. Zapalił kolejnego pall maila, dokończył mountain dew i rozejrzał się po pokoju, czy czegoś nie zostawił. Kiedy był gotów do wyjścia, pożegnał się ze SpongeBo-bem Kanciastoportym i wyłączył Nickelodeon.

- W-w-wszystkiego najlepszego - powiedział, rzucając ostatnie spojrzenie na pokój, zanim skierował się ku drzwiom. Jego skrytym życzeniem było, aby urządzenie, które właśnie przekazał, nosiło jakieś oznaczenia, nazwę firmy lub numer seryjny, co uwieczniłoby jego pracę nad tymi niebywałymi próbami. Ale, tak jak zawsze, wszystkie owiane tajemnicą projekty są anonimowe. Historia zna nazwiska takie jak Colt czy Sikorski, ale prawdziwy geniusz kryjący się za rozwojem arsenału broni zawsze pozostaje ukryty w cieniu.

•



- PROSZĘ - POWIEDZIAŁ JESUS, gdy wzbili się już na wysokość trzydziestu dwóch stóp. - Oto twoje dokumenty tożsamości.

Wyciągnął z plecaka kopertę z grubego żółtego papieru i podał ją Jeremy'emu, siedzącemu po przeciwnej stronie samolotu. Wewnątrz były paszport, dwie karty kredytowe, prawo jazdy wydane w stanie Wisconsin i dodatkowe karty, które zazwyczaj trzyma się w portfelu. Przeglądając je, Jeremy pominął kartę wstępu do wypożyczalni kaset wideo, ale zwrócił uwagę na plastikową kartę-przepustkę upoważniającą do wstępu na teren firmy. Należała ona do Briana Campbella z Tulsy w Oklahomie, zatrudnionego w firmie ARCIN Oil. Ładne imię - pomyślał. Jego matka była Szkotką.

- Upewnij się, czy wszystko pasuje - powiedział Jesus, otwierając swoją kopertę i sortując własne dokumenty.

Jeremy zajrzał do przegródki portfela przeznaczonej na banknoty i znalazł w niej sto sześćdziesiąt tysięcy jemeńskich riasów, pociemniałych od bycia w obiegu. Plastikowa okładka, pod którą trzyma się fotografie, przedstawiała dwa słodkie zdjęcia: żony i dzieciaków - to znaczy czyjeś żony i dzieciaków. Przedtem nigdy w życiu ich nie widział.

Na wszystkich dokumentach znajdował się zgodny z prawdą opis jego wyglądu oraz jego zdjęcie, ale data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego i adres domowy były zmienione. Wszystkie te dokumenty były zniszczone, i wyglądały tak, jakby nosił je przy sobie wiele lat.

220

- Zapamiętaj całe to gówno - powiedział Jesus - a potem weź to.

I wręczył Jeremy'emu dwie małe białe, podłużne tabletki. - Ta mała to środek nasenny. Zapewni ci cztery godziny nieprzerwanego snu. Przyda ci się.

- A ta? - spytał Jeremy, turlając je sobie na dłoni.

- Chlorochinina - odparł Jesus. - Lek na malarię.

- Na malarię? - zdumiał się Jeremy. - Jaką malarię?

Jesus złapał swój plecak i zaczął w nim grzebać, szukając odtwarzacza CD i słuchawek. - W Jemenie istnieje ryzyko zachorowania na malarię - powiedział. - Nie ma żartów.

Jeremy patrzył przez chwilę na obie tabletki, po czym otworzył puszkę 7UP,

wsadził dwie pigułki do ust i popił dużym haustem oranżady.

- A, i tak na przyszłość, to jeśli chodzi o załatwienie się, to zazwyczaj czekam, aż dotrzemy nad jakąś wodę - uśmiechnął się Jesus. - Gdyby nas odwołano, to dokończysz to spanie w hangarze.

Jeremy wzruszył ramionami.

- Odwołano z czego? - zapytał. - Przecież nawet nie wiem, co my, do cholery, robimy.

Jesuis wyciągnął nogi, opierając je na siedzeniu przed sobą.

- Nie martw się tym - stwierdził, wkładając płytę Neila Younga do odtwarzacza płyt kompaktowych. Podał koledze paczkę żółtych zaty-czek do uszu, które ten wepchnął sobie starannie w głąb małżowin. - Lepiej się prześpij. Jemen jest potwornie daleko.

Jemen - pomyślał sobie Jeremy. Spoglądał przez okno na białą mgiełkę, gdy samolot wleciał w przestrzeń ponad chmurami rozciągającymi się nad oceanem. - Druga misja w miesiącu - tym razem gdzieś w Trzecim Świecie w jakiejś zaszrajanej dziurze, ale na pokładzie prywatnego odrzutowca. Zapewne trzeba będzie porwać jakichś terrorystów. A do cholery z IBM i bogatym życiem, jakie wiodą w korporacjach. To gównio było super.

••..•|'•,|• •

EDGAR VALEZ SZEDŁ Piątą Aleją w kierunku południowym pod adres, który dostał dziś rano. Miał jeszcze mnóstwo czasu do tego umówionego telefonu w sprawie pozostawienia przesyłki, ale dzień był piękny, a punktualność stanowiła jeden z powodów, dla którego klienci

221

nigdy na niego nie narzekali. Jeśli miał coś zrobić w określonym czasie, to można było nastawiać według niego zegarek.

•

TRASK ZABRAŁ swojego szefa z biura dokładnie o umówionej porze. O dziewiętnastej Mitchell miał podpisywać książkę w księgarni Barnes & Noble na Piątej Alei i organizator już dzwonił, aby się upewnić, czy nic jego gościowi nie wypadło. Mitchell zawsze narzekał na obowiązki tego rodzaju, ale opiewający na dziesięć milionów dolarów kontrakt był obwarowany pewnymi warunkami.

- To co właściwie powinienem o tym wiedzieć? - spytał. Kierowca podjechał do rogu Czterdziestej Ósmej ulicy i teraz czekał, aż zmienią się światła.

- Nic - odparł Trask. - Kiedy przyjdzie czas, proszę spojrzeć przez wystawową szybę i obserwować, ale tak naprawdę to jest pan tam po to, aby podpisywać książkę.

Kolejka ludzi ciągnęła się od drzwi wejściowych księgarni aż do Czterdziestej Ósmej ulicy. Niektórzy trzymali pod pachą po dwa i po trzy egzemplarze.

- Proszę się upewnić, że ma pan przy sobie takie pióra, jakie lubię - przypomniał Mitchell. Gdy kierowca podjechał i zaparkował blisko wejścia, sięgnął po aktówkę. Towarzystwo złożone ze speców od reklamy i dyrekcja Barnes & Noble już czekali wystrojeni w najlepsze garnitury i uśmiechy.

- O wszystkim pomyślałem, panie Mitchell - oznajmił Trask. - Wszystko jest przygotowane.

• v .-. |" ||...

EDGAR VALEZ SKRĘCIŁ w kierunku wschodnim w Czterdziestą Ósmą ulicę. Miał jeszcze

piętnaście minut zapasu. Zatrzymał się, ponieważ było czerwone światło. Starał się stać na krawędzi chodnika i cieszyć słońcem. Na jego zegarku była 18.55, kiedy policzył kwartały dzielące go od miejsca, do którego miał dojść. Jakaś ładna blondynka weszła na jezdnię, gdy zmieniło się światło, i zaczął za nią iść, ale zadzwoniła jego komórka, przywołując go do rzeczywistości.

222

- Taak - powiedział. Numer rozmówcy był zastrzeżony, więc się nie wyświetlił, ale wiedział, kto dzwoni.

- Gdzie jesteś? - spytał jakiś męski głos.

- Jestem pewien, że wiesz. - Valez wykręcił szyję, patrząc w górę na otaczające go wieżowce. Byli gdzieś tam w górze i obserwowali -nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Nastąpiła zmiana planów - stwierdził ten ktoś. - Idź dalej w kierunku wschodnim, ale potem skręć na północ w Piątą Aleję i idź aż do skrzyżowania z Czterdziestą Szóstą. Na rogu stoi taksówka - numer 6N76. Pieniądze dla ciebie są w bagażniku.

Uśmiech rozjaśnił twarz Valeza i nie próbował go ukryć. Jedne dni były lepsze, inne gorsze, ale najlepsze były te, w których dostawało się wypłatę. Przeszedł przez ulicę, podążając za blondynką. Skręciła na południe i szła w kierunku księgarni Barnes & Noble, przed którą stała długa kolejka ludzi zapewne czekających na jakąś znaną osobę, która miała podpisywać książki.

- Co za cholera? - pomyślał, idąc za kobietą w stronę księgarni. Miał jeszcze kilka wolnych minut, a teraz wyglądało na to, że kupi coś do czytania.

\ | f-y •-' ||||| | ••• '

- NIE JESTEŚMY JESZCZE W NOWEJ FUNDLANDII? - spytał Jeremy, budząc się i przecierając zaspane oczy, podczas gdy front burzowy atakował samolot od wschodniej strony.

- Już byliśmy w Nowej Fundlandii - odpowiedział mu Jesus. Gdyby Jeremy nie spał, to podziwiałby ciągnący się sześć tysięcy stóp pas startowy wylaniający się z masywnej, polarnej kry, która rozciąga się ku północy aż po koło podbiegunowe. Być może smakowałyby mu świeżo upieczone ciasteczka, które były w samolocie w pogotowiu zawsze, przez dwadzieścia cztery godziny, albo też podziwiałby zdjęcia przedstawiające pierwsze loty nad Atlantykiem. Ale wszystko to było już tysiące mil za nim.

Jeremy wyglądał przez okno. Lało, a oni nawet jeszcze nie przebili się przez chmury, aby zejść niżej, przygotowując się do lądowania.

- Chłopie, to lekarstwo rzeczywiście cię powaliło - stwierdził Jesus. Ślina zaplamiła ścianę wyłożoną kosztownym dywanem w tym miejscu, w którym dotykał jej twarz. Jeremy wyjrzał, aby zobaczyć, czy dostrzegła to ta kobieta. Spała.

223

- A więc powiesz mi, co robimy, czy też mam się tego domyślić? Jesus uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej podróży.

- Wybacz, ale podczas takich wypraw nikt nie wie zbyt dużo. Tajna operacja. Turbulencja zaatakowała samolot najpierw z lewej, potem znowu gwałtownie z prawej strony. Dwa plecaki potoczyły się po podłodze, a oczy Jeremy'ego niemal wyszły z orbit, natomiast Jesus ledwie cokolwiek zauważył.

- To zadania od Agencji - oznajmił. - Nigdy przedtem dla nich nie pracowałeś?

Jeremy skinął głową, starając się nie wyglądać jak rekrut.

- Trochę - skłamał.

- Jeden z ich informatorów zlokalizował gnojka stojącego za zbombardowaniem niszczyciela „Cole” w dwutysięcznym roku. Mamy go dopaść.

- Czy to ktoś, kogo rozpoznam? - chciał wiedzieć Jeremy. Znał większość twarzy z listy dwudziestu najbardziej poszukiwanych przez FBI osób.

- Nie, to jakiś dowódca średniego szczebla. Saudyjczyk imieniem Asam alal-Bin.

- Kto tam jeszcze będzie z nami? - pytał Jeremy. Zdawało się, że to logiczne pytanie. W samolocie były cztery osoby, a jedna z nich na pewno nie była snajperem. Wyprawa do Portoryko nie wydawała się tak niebezpieczna, a taszczyli całą jednostkę.

- To zadanie od Agencji - powiedział Jesus. - Jesteśmy tu dla rozgrzewki.

- A po co do Shannon?

- Po paliwo - to mówiąc, Jesus zajął się swoimi papierami. - Tylko lądowanie i start. Następny przystanek - Luksemburg, potem Dubaj, gdzie wysiądziemy w celu zrobienia zakupów. I stamtąd już do Jemenu i akcja.

- Akcja? - zapytał Jeremy. Chłopcy zazwyczaj narzekali, że podczas takich zadań nie było nic do roboty oprócz spania i czytania. Dwie książki i zatwardzenie przez tydzień - klęli. W większości przypadków kraj gospodarzy miał już ptaszka w kajdankach i błagał, aby go zabrano.

- Mam nadzieję, że lubisz pustynię - powiedział Jesus - bo ten dupek nie będzie czekać na nas na lotnisku. - Samolot podskakiwał i trząsł

224

się, deszcz spływał strugami po szybach, uniemożliwiając zobaczenie znajdującego się w dole lotniska. - Masz więcej czegoś do żucia?

Jeremy sięgnął do plecaka i zauważył, że kobieta się obudziła. Wyglądała pięknie, nawet po ośmiu godzinach podróży.

- Już jesteśmy? - ziewnęła, a potem odwróciła się i dostrzegła, że Jeremy się gapi.

- Proszę - powiedział, podając Jesusowi tytoń. - Lepiej oszczędzaj, bo to wszystko, co mamy.

Dziesięć minut później samolot wylądował, a Jeremy po raz pierwszy w życiu

znalazł się zagranicą, ale ledwie to zauważył. Coś w tej kobiecie uderzyło go jako niewłaściwe.

Pieprzyć tytoń - pomyślał. Swoją drogą to wstrętne przyzwyczajenie.

•

TRASK STARAŁ SIĘ wyglądać na zainteresowanego podpisywaniem książek przez Mitchella, ale jego uwagę przykuł faktyczny powód jego obecności tutaj, na Piątej Alei. Miał pewność, że płynnie to wszystko załatwił, ale lata spędzone w firmie Mitchella nauczyły go, jak ważna jest obsesyjna wręcz dbałość o szczegóły. Nie było sensu zdawać się na okazję. Trask podszedł do stołu, przy którym jego szef składał autografy na twardych okładkach swojej książki.

- Panie Mitchell, czy mogę przerwać panu na chwilę? - spytał, wręczając szefowi telefon i przepaszając następną osobę w kolejce, że to coś ważnego i zajmie tylko chwilę.

Mitchell wstał i odszedł na bok, gdzie Trask znalazł już miejsce, skąd doskonale widać było ulicę.

- Który to? - zapytał Mitchell, patrząc przez szerokie okno frontowej witryny sklepu.

- Nie wiem, sir. Nigdy go nie widziałem. - Sprawdził zegarek. - Proszę tylko nacisnąć „send”.

Mitchell usiłował uśmiechać się, zdając sobie sprawę, że wszyscy na niego patrzą. Spojrzał na ulicę, na kilkudziesięciu przechodniów akurat przechodzących na zielonym świetle przez jezdnię, po której pędziły taksówki, ciężarówki i kurierzy na rowerach.

- Teraz, sir. - powiedział Trask. Wyglądał na trochę zdenerwowanego.

225

Mitchell nacisnął zielony guzik i przyłożył telefon do ucha. Usłyszał dwa dzwonki i sygnał połączenia. Ale nie głos. : ZGRZYYYT!

Pisk opon i dźwięk klaksonów wypełnił sklep, a dziesiątki ludzi odwróciły się akurat w porę, aby zobaczyć, jak wielki biało-niebieski autobus skręcił w prawo, uderzył w dwie taksówki i rozbił się na słupie sygnalizacji świetlnej. Policjant, który był w pobliżu, podbiegł, aby pomóc jakiemuś człowiekowi leżącemu na jezdni. Z uszu i z nosa ciekła mu krew.

- Czy wszystko w porządku? - spytał policjant. Pomógł temu mężczyźnie wstać i chciał wezwać ambulans.

- Nie! Nie... Dobrze się czuję. - Edgar Valez był nadal przytomny i żył, nie było mowy, aby poszedł do jakiegoś szpitala bez brylantów. -Co się, do cholery, stało?

- Nie wiem, sir - odparł policjant. - Nie było widać, aby ktokolwiek pana uderzył, ale pan krwawi. Czy na pewno nic panu nie jest?

Valez ukląkł na chwiejnych kolanach, a potem przysiadł na ulicy, aby pozbierać myśli. Policjant schylił się i podniósł należący do Valeza telefon komórkowy, który zaczął dzwonić. Podał go mężczyźnie i odwrócił się w stronę autobusu, którego kierowca kazał pasażerom wysiadać.

- Robi wrażenie, co? - zwrócił się Mitchell do Traska, gdy tymczasem ludzie w księgarni patrzyli, co się stało.

- Tak - odrzekł Trask. Wziął od Mitchella telefon i przytknął do ucha. Widział, jak policjant pomaga Valezowi wstać i prowadzi go na chodnik Piątej Alei.

- Halo? - odezwał się Valez. Wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i wycierał krew z uszu i z nosa. - Kto mówi?

- Tak wygląda pańska przyszłość - powiedział Trask, gdy tymczasem Mitchell wrócił do podpisywania książek. - A to dzwonienie w pańskiej głowie to ostrzeżenie. Zapłata czeka na pana w taksówce, tak jak zostało uzgodnione, ale jeśli kiedykolwiek zechce pan zdradzić coś politykom, to musi pan wiedzieć, że wtedy znajdzie się pan na równi pochyłej.

- Nigdy nie lubiłem polityków - oznajmił Valez Traskowi, obserwującemu go przez witrynę księgarni Barnes & Noble. - Żadnemu nie można wierzyć.

22\*

I " ; :!"; """" ; \*

JEMEN WYŁONIŁ SIĘ z zielono-niebieskich błysków Oceanu Indyjskiego jak przesuwany się miraż. Gdy przylecieli, było już późne popołudnie i spiekotę pustynnego słońca dawało się odczuć na płycie lotniska. Podczas lądowania Jeremy patrzył przez okno na otaczający go widok: piaski, zatoczki przypływu oraz urządzenia do magazynowania ropy naftowej. Zaraz na prawo od samolotu, w kierunku północnym, rozciągały się niskie budynki z cementu i pobielonych

glinianych kafli. Po drugiej stronie był wielki port pełen statków handlowych i tankowców.

- O kurwa, spójrz na to - powiedział Jeremy. Wskazał przez okno w kierunku dwóch rozbitych samolotów, których powyginane wraki stały obok pasa startowego, jakby ostrzegając przybywających, aby nie zawracali sobie głowy uskarżaniem się na usługi jemeńskich linii lotniczych.

Jeremy usłyszał głośny trzask i ujrzał tradycyjnie ubranego Araba niosącego klatkę z wędrownym sokołem. Ptak potrząsał głową na lewo i na prawo, usiłując pod swoim skórzanym kapturem zinterpretować odgłos lądującego samolotu. Jeremy dziwił się, jak takie szlachetne zwierzę może znieść gęsty dym papierosowy w pomieszczeniu. Ledwie widać było kadłub samolotu.

- Idź za mną, trzymaj gębę na kłódkę i wyglądamy na znudzonego - powiedział Jesus, gdy szli w kierunku terminalu. Na lotnisku w Adenie nie było rękawów prowadzących do samolotu; wychodziło się bezpośrednio na rozmiękczone przez słońce i jakby wykonane z dobrze wymieszonego ciasta pas startowy. Jeremy szedł za Jesusem w stronę jednopiętrowej budowli wzniesionej z kostropatej cegły i betonowych bloków. Z samolotu wysiedli tylko oni dwaj; lecący wraz z nimi mężczyzna i kobieta zostali w Dubaju.

- O kurwa, ale gorąco - stwierdził Jeremy. Nie skarżył się, ale po prostu nie mógł uwierzyć, że może być tak gorąco.

Obaj mężczyźni wmieszali się między pasażerów i weszli do budynku terminalu. Umocowane pod sufitem wentylatory nie powodowały nawet najlżejszego ruchu powietrza. Jeremy czuł się tak, jakby weszli do pieca.

Przy połamanym stole siedział celnik, a tuż obok niego stał biały mężczyzna w kamizelce typu safari i w kowbojskich butach ze skóry węża. Miał krótko ostrzyżone blond włosy i ciemne okulary takie, jakie noszą piloci.

227

- Wygląda, jakby stał tu, aby go podziwiać - mruknął Jeremy

- Daj Sinny'emu swój paszport i idź za mną - powiedział Jesus. Nie był zainteresowany żadnymi uwagami Jeremy'ego na temat łez~ pieczeństwa.

Podeszli do kontuaru i ustawili się w kolejce, czekając, aż jemeński urzędnik zauważy ich i wyciągnie rękę po paszporty.



- Bines? - zapytał Jesusa, który przeszedł przed mężczyzną z s0~ kołem.
  - Nie bines, ale bakacje - odparł Jesus. - Zaczynał być niegr2ecz~ ny i Jeremy już miał się wtrącić, aby zatuszować sprawę, gdy wł&czy\* się jeszcze jakiś głos.
  - ARCIN Oil - powiedział ten mężczyzna. - Ci panowie są ze m^- ~ Mówił trochę po arabsku z teksańskim akcentem, jak taśma w magflet0~ fonie, gdy baterie są już na wyczerpaniu. Urzędnik celny wziął pasZPort z rąk Jeremy'ego, dokładnie go obejrzał i kiwnął głową.
  - Bines. - Postawił pieczętki i oddał paszporty. W tym czasie kobieta w czarnym szalu i zasłonie na twarzy odepchnęła Jeremy'ego °d kontuaru.
  - Tędy, panowie. - Tekszańczyk wykonał ruch głową i popfowa" dził ich na skos przez pokój do bocznego pomieszczenia bez ó?2™1' w którym były dwie dziury w podłodze i krótki gumowy szlauch- Ta cuchnąca łazienka śmierdziała tak okropnie ludzkimi odchodami oraz amoniakiem, że Jeremy'emu zaczęły łzawić oczy.
  - Jak lot? - spytał Tekszańczyk, rozpinając rozporek. Wysik^ S1?' chrząknął i splunął.
  - Dobrze - odparł Jesiis stając przy drugiej dziurze. - Czy wszys\*" ko w porządku?
  - Z tego, co ostatnio słyszałem, to tak - powiedział Tekszańczyk-Skończył, zapiął rozporek i zwrócił się do Jeremy'ego, wyciągają0 nie" umytą rękę na powitanie. - Powell, RSO w Sanie.
- Jeremy podał mu rękę. Teraz wiedział, że ten facet był oficer^01 d° spraw bezpieczeństwa w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w S^me-
- Jesus skończył, odszedł na bok, ruchem głowy wskazując Jeremy'emu' że teraz jego kolej. Ale świeżo upieczony snajper z brygady PrOmie\_ nie X nie był zainteresowany.
- To źle, jak nawet nie możesz tu naszczać, co? - roześmi3\* S1? Powell. - Witamy na tym zadupiu.

### Rozdział XIII

HAMID WIÓDŁ DOSTATNIE ŻYCIE. Z jego apartamentu na Upper East Side widać było cztery budynki na Manhattanie, w których miał przynajmniej kontrolny pakiet udziałów, a jego kolekcja obrazów i rzeźb budziła zarówno podziw, jak i drwiny wśród nowojorskich znawców sztuki, którzy nazywali ją najwspanialszym prywatnym

zbiorem „zgrupowanym w ciągu ostatniego kwadransa”. Połowa drużyny New York Knicks wpadała do niego na szampana.

Czterdziestojednoletni czarodziej od finansów Borders Atlantic żył w górnych warstwach stratosfery nowego bogactwa i zdawał się spełniać amerykański sen. Jego smykałka do interesów przyniosła firmie miliardy, a Hamidowi przysporzyła pewnej sławy - dzięki temu miał własne miejsce w słynnym pubie O'Flaherty's, a „Wall Street Journal” zamieszczał czasem jego zdjęcie.

Jednak bez względu na to, jakich bogactw materialnych ten człowiek by się dorobił, nikt nie miał nic z tego odziedziczyć. Wszystkie dzieła Brancusiego, francuscy impresjoniści czy też cacko Tiffany'ego robiły wrażenie, ale nic nie było jego własnością. Hamid otrzymywał świetną pensję, ale należał do Jordana Mitchella.

- Powiedz mi, co wiesz o tej kobiecie.

Hamid siedział w salonie w hotelu Mercer pomiędzy wysokim wazonem z kaliami a Dieterem Planckiem, człowiekiem surowym i pozbawionym poczucia humoru. Dyrektor operacji, o których decyzje zapadały na siedemnastym piętrze, spróbował chateau le pin rocznik 1982 i kiwnął głową z aprobatą.

- Co o niej wiem? Wiem, że jest jedną na najbardziej podniecających kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem - odparł Hamid. - Poznał nas mój przyjaciel. Czy tkwi w tym jakiś problem?

- W tej sprawie wszystko jest problemem. Bardzo wygodnie żyje ci się na poziomie, o którego osiągnięcie zadaliśmy, ale możesz w każdej chwili go utracić - powiedział Planck.

229

Był ubrany od stóp do głów na czarno - z salonu Prądy. Wszystko leżało, ale wydawało się, że nic nie pasuje.

- Dieter, nie będziesz mi tu prawić kazań. Nikt nigdy nie podważał mojej lojalności.

- Nie niepokoi nas twoja lojalność, ale ta kobieta. Pojawiła się znikąd i nagle mieszka u ciebie. Nie możemy dowiedzieć się o niej niczego sprzed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Przed tą datą ona po prostu nie istnieje.

- Co wy robicie? Sprawdzacie kobietę, z którą się umawiam?
  - Śpisz z nią, a to coś więcej niż umawianie się. Wiesz, że mamy wytyczne.
  - Do cholery z waszymi wytycznymi. Gdybym prowadził życie według zasad obowiązujących w Króliczej Norze, to nigdy bym niczego nie osiągnął! - Kilka osób spojrzało na nich, więc ściszył głos. - Ciężko pracuję. Wywiązuję się z tego, co do mnie należy. Nie widzę powodu, dla którego mielibyście być przeciwni, abym od czasu do czasu trochę się zabawił.
  - Nie mówimy o zabawieniu się „trochę”, ale o potencjalnym zagrożeniu dla jednego z najważniejszych przedsięwzięć, jakim ta firma kiedykolwiek się zajęła. Chcesz wystawić to na niebezpieczeństwo, po to żeby pójść do łóżka z tą kobietą? Proszę, abyś rozważył, co jest dla ciebie najważniejsze.
- Hamid starał się opanować swój czasem gwałtowny charakter.
- Dla tego programu dałem z siebie wszystko - syknął. - Wszystko zbudowałem, wymyśliłem i urobiłem sobie ręce po łokcie po to, co okazuje się niczym więcej niż nagrodą motywacyjną na waszej liście płac i nędznym awansem. Tu nie chodzi o chodzenie do łóżka. To moje życie. - Patrzył Dieterowi prosto w oczy i wyrzucił z siebie ostatnie słowa. - Być może doszliśmy do punktu, w którym rozchodzą się wasze korporacyjne cele bezpieczeństwa i moje zdrowie psychiczne. Spotykam się z tym, z kim, do cholery, chcę.
  - Przykro mi słyszeć, że tak uważasz - oświadczył Dieter.
  - Znam te wasze gadki - odpowiedział mu Hamid. - Znam kryjące się za tym projektem realia polityczne, to, co dotyczy ukrytych kontraktów z innymi państwami oraz drugie dno. Wszystko to wiem. Ale pieniądze nie mają nic do mojej nowej kochanki. Ona jest jednym z szefów od informatyki w Atlancie. Jeśli zabrać jej komputer, to nie jest bardziej niebezpieczna niż ten tam aktor.

(

230

Hamid wskazał głową w kierunku siedzącego nieco dalej George'a Clooneya, który wypróbował swój czar na tajlandzkiej kelnerce serwującej koktajle.

- Czas iść. Od dwudziestej obowiązuje tu rezerwacja stolików - powiedział Hamid, patrząc na zegarek i wskazując na drzwi.

Dieter przez chwilę przyglądał się swemu towarzyszowi, próbując zdecydować, ile

Hamid powinien wiedzieć o swoim nowym obiekcie zainteresowań. W tym przypadku emocje w sposób oczywisty przyćmiewały temu finansistę zdolność oceny, ale nikt nie kwestionował jego intencji ani też przydatności dla Borders Atlantic.

Zastąpienie Ha-mida było niemożliwe.

- Masz rację - stwierdził Dieter. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Nie ma sprawy. - Hamid spojrzał na zegarek i kiwnął na kelnerkę, by przyniosła rachunek. - To piękna i utalentowana kobieta z dużymi aspiracjami, ale poza tym jest nieszkodliwa. Uwierz mi.

\*

JAZDA DO hotelu Aden trwała pięć minut. Jeremy starał się nie przyglądać nachalnie, ale jeszcze nigdy w życiu nie widział niczego takiego - jak okiem sięgnąć tylko brud, odpadki, śmiecie. Wałące się budynki, kozy na ulicach, dziury w jezdni, na których rangę rover Po-wella podskakiwał, gnając ulicami, które jego właściciel zdawał się dobrze znać.

- Kogo żeśmy wkurwili, że aż tu nas posłano? - zapytał Jeremy. Siedział z tyłu i usiłował nastawić zegarek na miejscowy czas.

- W północnej części Sany nie jest tak źle - odpowiedział Powell, równocześnie trąbiąc na jakiegoś starego człowieka ubranego tylko w szorty. Był bardzo chudy, skóra zwisała niemal z każdej części jego ciała. - Od chwili zbombardowania „Cole'a" sytuacja w Adenie bardzo się pogorszyła.

Nagle Powell zahamował, bo skrzyżowanie zablokował wóz ciągniony przez osiołka.

Dokoła rangę rovera natychmiast zebrała się grupka dzieci; stukwały w okna, wyciągając ręce po coś, co ci bogaci biali mogliby im ofiarować.

- Średni dochód na głowę wynosi tu około ośmiuset dolarów... to jedno z najbiedniejszych państw świata - powiedział Powell. - Ale ich pieprzony prezydent ma własnego boeinga 747. Mówi wam to coś?

231

Nacisnął sprzęgło i skręcił kierownicą w prawo, zrzucając dzieciaki ze zderzaka.

- Te małe szczeniaki wleżą ci na głowę, jeśli pozwolisz.

Kiedy samochód oddalał się, wzniecając tuman kurzu, dwaj starsi chłopcy zaczęli rzucać w ich kierunku kamieniami.

- Taak, i jeszcze ci ją odetną- stwierdził Jeremy, gdy kamień odbił się o tylną

szybę.

Dziesięć minut potem Powell wysadził ich przed hotelem i obiecał, że za godzinę przyjedzie i pójdą gdzieś na kolację. Powiedział, że ambasador wyjechał na weekend, a on miał wszystko przygotować na przyjazd dostojnych gości.

Hotel Aden, ośmiopiętrowy budynek wyglądający jak hotele w Europie, stał tuż obok ronda, w połowie drogi między ciągnącymi się na wschodzie wzgórzami a portem. W porównaniu z otaczającym je miastem hotel zrobił na Jeremym całkiem przyjemne wrażenie.

- Dzień dobry panom - powitał ich recepcjonista. Nie tracąc czasu, szybko poinformował ich, że uczęszczał do szkoły hotelarskiej na Cornell University, a praktykę odbywał w hotelu MGM Grand w Las Vegas.

Jeremy i Jesus zameldowali się, posługując się swoimi fałszywymi dokumentami tożsamości, a następnie udali do pokoju na szóstym piętrze. Gdy jechali windą, ta zatrzymała się na piętrze, na którym znajdowała się restauracja. Wsiadli dwaj tradycyjnie ubrani Arabowie, pochłonięci dyskusją. Na chwilę zamilkli, przyjrzeni się dwóm Europejczykom i znów podjęli przerwany temat.

- Myślę, że jesteśmy Rosjanami - powiedział Jesus, gdy wysiedli z windy.

- Znasz arabski? - zapytał Jeremy. Nie miał o tym pojęcia, chociaż FBI posyłało wielu agentów do mieszczącego się na południe od San Francisco Instytutu Lingwistyki Departamentu Obrony.

- Tak, nauczyłem się, gdy byłem w armii. - Nigdy nie mówił zbyt wiele o okresie swojej służby w Delta Force, choć krążyło na ten temat wiele plotek.

Jeremy wszedł za swoim dowódcą do typowego pokoju hotelowego - wyglądał na czysty i tani. Przed otwieranymi oknami stały dwa zapadające się łóżka. Oprócz tego było mnóstwo mebli o laminowanych blatach imitujących drewno oraz tanich wykładzin dywanowych z kłębiącymi się na nich kotami wielkości piłki tenisowej.

232

- Hej, sprawdźmy to - powiedział Jeremy, wskazując na tabliczkę przymocowaną nad starą komodą. Widniała na niej strzałka, jakiś arabski napis oraz angielski „Mekka”.

- To im wskazuje, w którym kierunku mają zwracać się podczas modłów. Nas to nie interesuje - oznajmił Jesus. Jeremy wziął jabłko ze stojącego na stole kosza z

owocami, ale Jesus wyrwał mu je z ręki.

- Zostaw to gówno. - Mówiąc to, wyrzucił jabłko do kosza na śmieci. - Nie pij wody ani też nie jedz niczego, co zostało umyte w tej wodzie. - Cisnął swoje rzeczy na łóżko. - Nie wiesz, co to znaczy życie, dopóki nie spędzisz trzech dni w pozycji embrionalnej, wyjąc jak pies i srając sosem tabasco. - Zdaje się, że nastrój mu się poprawił, choć jeszcze niezupełnie. - Jutro musisz być zdrowy, więc jedz to, co ja. Jeśli zachorujesz, to tylko siebie będę mógł za to winić.

Nie ma sprawy - pomyślał sobie Jeremy. Jedyna rzecz, o której teraz myślał, to gorący prysznic i kilka godzin snu. Dla niego była to zupełnie nowa przygoda, wobec tego zdanie się na Jesusa jako na przewodnika całkiem mu odpowiadało.

• ' ' ' ' V

KIEDY ELIZABETH BEECHUM przybyła w piątek rano do swojego biura w budynku imienia Dirksena, zastała nerwową atmosferę i dzwoniące telefony. To był ten sam nieustający zgiełk, jaki zapanował tu, gdy ogłoszono wyrok.

- Do cholery, Elizabeth, co ty sobie myślisz? - spytał jej sekretarz do spraw administracyjnych. - Wyścig o nominację do wyborów prezydenckich może być dla nas zakończony, ale nadal musisz troszczyć się o to biuro. - Reszta personelu tylko patrzyła.

- Obawiam się, James, że wczoraj wieczorem zrobiłam z siebie kompletną idiotkę - westchnęła Beechum. - Powinnam była najpierw porozmawiać z tobą... - Jej głos rozbrzmiewał jeszcze, gdy przeszła obok niego w kierunku gabinetu.

W ciągu minionej doby jej zachowanie poddała ocenie Komisja Etyki, Komisja do spraw Wywiadu odebrała jej uprawnienia do wglądu w tajne akta, a przywódca mniejszości w Senacie publicznie ją zganił, ale przynajmniej nadal została spikerem. Ojcowie założyciele dbali o wszelkiego rodzaju prawa i zawarli je w konstytucji, ale przede

233

wszystkim zatroszczyli się o swoje własne. Pozbawienie senatora jego funkcji wymagało nieco zachodu.

- To wszystko tylko zmierza ku gorszemu - odezwała się Beechum do idącego za nią sekretarza. - Jeśli chcesz odejść, to rozumiem to. - W Waszyngtonie rządzili sekretarze do spraw administracyjnych, a tych dobrych traktowano jak członków

rodziny. Byłaby dumna, gdyby mogła nazywać Jamesa swoim synem.

- Elizabeth, kiedy mnie zatrudniałaś, to powiedziałem, że dla mnie najważniejsza jest lojalność, bez względu na to, co się stanie. - James już teraz nawet nie myślał o tym, że Beechum mogłaby zostać prezydentem. - A poza tym ci ludzie zaczynają mnie wkurzać.

Beechum zachichotała.

- Taak... mnie także. - Spojrzała przez okno na Kapitol, symbol instytucji, którą kochała najbardziej na świecie. - Wiesz, moje pierwsze biuro mieściło się w piwnicach w budynku Dirksena, z tyłu, pod kuchnią. - Otarła łzy, które pojawiły się ze zmęczenia, a może ze wzruszenia, które teraz często ją opanowywało. - Śmierdziało tam jak w smażalni frytek. W pierwszym roku pracy schudłam dziesięć funtów, bo ten smród odbierał mi apetyt. Zawsze miałam tylko ochotę wziąć prysznic. - A popatrz na nas teraz. - Mówiąc to, założyła ręce i popatrzyła na obszerny, wyłożony mahoniowymi panelami gabinet. - Wiesz co? Nigdy nie uważałam tego za coś oczywistego. Ani przez chwilę.

Odwróciła się i usiadła na krześle. Na jej biurku, na którym zazwyczaj wszystko było starannie poukładane, piętrzył się stos papierów. Pod ścianami pełno było ustawionych w sterty pudeł z dokumentami z działalności komisji, której Beechum przewodniczyła.

- Zawsze powtarzałam ludziom, że jedyne, co przeraża mnie w Waszyngtonie, to to, że sprawię mu zawód. To całe jeżdżenie tam i z powrotem do centrum. Spędza się na tym długie godziny. Nie przeszkadzało mi to, bo byłam śmiertelnie przerażona, że coś spieprzę i ta cudowna instytucja zostanie pozbawiona szacunku, na jaki zasługuje. Nie chciałam zdradzić tego zaufania. I wiesz co? Nigdy nie zawiodłam. Ani na chwilę.

- Wierzę - odparł James.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wdarł się dźwięk dzwoniących telefonów.

- Pani senator, nie chciałabym pani niepokoić, ale dzwoni Tom Brokaw w sprawie wywiadu. Osobiście. Jest na linii. Co mam mu powiedzieć?

234

James zwrócił się do Elizabeth Beechum. k .

- Nigdy nie widziałem, żebyś się przed czymkolwiek cofała. Powiedziałaś mi, że

nie masz z tym nic wspólnego i że chcesz walczyć. No i przyszedł na to czas.

- Ale jak, James? Ilekroć chcę walczyć, tyle razy pojawia się nowy przeciek do prasy. Sędzia nic tu nie zrobi, bo boi się, żeby nie zostało to uznane za chęć ukrycia czegoś. Nikt z partii nie pomoże, bo sądzą, że jestem winna. Policja nie ujawni posiadanych dowodów, bo twierdzi, że to zagroziłoby bezpieczeństwu kraju. Przysunął się blisko do niej, bliżej, niż wypada.

- Pamiętasz, co mi powiedziałaś, gdy tylko zacząłem tu pracę? Że śledzenie kogoś w tym mieście jest łatwe, bo biurokraci nie mogą nawet potajemnie umówić się gdzieś na lunch. Powiedziałaś mi, że jedyny sposób na to, aby trzy osoby mogły utrzymać tajemnicę, to taki, że dwie z nich trzeba zabić. - Przerwał, aby słowa dobrze do niej dotarły. -A więc jeśli oni dysponują tylko tajemnicami, to możesz ich pokonać.

- A wiesz, że masz rację - zastanowiła się senator. - Są dwa wyjścia: albo zaczekamy, aż cały spisek się rozpadnie, albo też mamy gromadkę trupów, które czekają, aż sieje wykopie.

- To co, konferencja prasowa? - zapytał James. Potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie. Najpierw chodźmy do mnie do domu i poszukajmy czegoś, czego moglibyśmy użyć w charakterze amunicji.

- Na przykład czego?

- Nie wiem, ale razem mamy dwa dyplomy z prawa i niemal trzydzieści lat spędzonych w Kongresie. Jeśli nie potrafimy znaleźć czegoś, co te gliny przeoczyły, to zasługuję na to, aby pójść do więzienia.

Beechum chwyciła płaszcz i klepnęła Jamesa po ramieniu. Brokaw będzie musiał poczekać.

- Do roboty - powiedziała. - Czas to pieniądz, a jak wiesz, nie znoszę marnować ani jednego, ani drugiego.

•

- NO DOBRZE, ŚCIAGNĘLIŚCIE MNIE TUTAJ, więc co, do cholery, dalej z tą tajemnicą?

Sirad ciągnęła torbę z ubraniami przez długi, lśniący hol centrum handlowego w budynku głównego terminalu lotniska w Dubaju. Środkiem



chodnika biegł długi na pięćdziesiąt jardów rząd szklanych witryn, zakończony po obu stronach sklepami jubilerskimi z olbrzymimi sztabkami złota i rzędami drogiej biżuterii, aparatów fotograficznych Hasselblad, mercedesami z opuszczanymi dachami oraz francuskimi perfumami. Nigdzie nie można było dostrzec nędznej telewizji, tak często pokazywanej przy okazji migawek z Bliskiego Wschodu.

- Nie tutaj, za duże ryzyko podsłuchu.

Sirad rozejrzała się po najbardziej uczęszczanym lotnisku Bliskiego Wschodu, tętniącym życiem i kipiącym mieszanką narodowości. W porównaniu z nim miejsca najchętniej odwiedzane przez amerykańskich turystów wyglądały jak najbielsza pszenna bułka. Ubrani w tradycyjne stroje Arabowie i mieszkańcy Afryki przechadzali się obok Słowian pracujących przy wydobywaniu ropy naftowej, finansistów ze Szwajcarii i tureckich robotników. Kobiety w czarnych burkach wchodziły do toalet, aby wyjść z nich w kostiumach od Chanel i z diamentami wielkości kamienia. Wszędzie unosił się zapach Estee Lauder i ciemnych marokańskich papierosów oraz potu z domieszką trudnej do opisanego woni piżma, czego przyczyną było źle przetrawione curry. Sirad uderzyła ta zdumiewająca sceneria.

- Mówisz poważnie? Przecież nikt nas nie słucha. Wszyscy są zbyt zajęci zakupami, chcąc dorównać zachodniej imperialnej dekadencji. - Sirad zatrzymała się na chwilę, aby zerknąć na lśniące nowe porsche dual turbo, stojące sobie na chromowanej rampie, jak gdyby uchwycone i zatrzymane w kadrze w połowie skoku.

- Sfinalizuj tę transakcję, a będziesz mogła sobie takie kupić, w jakim kolorze zapragniesz - powiedział Chris.

Przeszedł przez tłum japońskich turystów, pędzonych, aby jeszcze przed odlotem porobić zakupy w strefie bezcłowej. Sirad zatrzymała się w pół kroku.

- Dobra. Już dosyć tego. Zanim zrobię następny krok, chcę wiedzieć, o co chodzi.

- O telefony komórkowe.

- Nie gadaj. - Zmiana czasu, zmęczenie organizmu i szesnaście godzin w G-IV przytępiło jej poczucie humoru.

- Ministrowie krajów OPEC rozpoczynają jutro tygodniowy szczyt - powiedział Chris, upewniając się, czy nikt nie słucha. - Będzie wśród nich książę Abdullah

z Arabii Saudyjskiej.

- I?

236

— I Borders Atlantic negocjował umowę z Arabią Saudyjską, aby nową technologię SBT wprowadzić najpierw tutaj, a nie na rynek amerykański. Mitchell chce, żebyśmy sfinalizowali tę transakcję, zanim jeszcze dowiedzą się o niej rynki finansowe.

Bartholomew sięgnął do teczki i wyciągnął telefon w technologii SBT wyprodukowany przez Borders Atlantic. Wyglądał identycznie jak prototyp, który Sirad widziała w biurze, ale ten jubilerzy wykonali z platyny i udekorowali drogimi kamieniami.

— Jutro wieczorem, w czasie przerwy w obradach OPEC - kiedy cały świat będzie czekać na najmniejszą wzmiankę na temat wielkości wydobycia ropy - wręczysz ten telefon księciu jako prezent od Borders Atlantic - powiedział Chris. - To będzie pierwszy egzemplarz na rynku. Wszystko, co musisz zrobić, to uśmiechać się ładnie do fotografów, wręczyć księciu ten telefon i poprosić go, aby zadzwonił.

- Po co robić interesy z Saudyjczykami? Dlaczego nie z Izraelem?

— Bo Izrael nie ma pieniędzy - roześmiał się Bartholomew. - To jest biznes, Sirad, a nie polityka zagraniczna. Saudyjczycy oferują nam kontrolę na Zatokę Perską. Zamierzają sprzedawać te telefony po konkurencyjnej cenie, wprowadzając subsydia i trzy miesiące używalności bez opłaty. Widziałem projekt, który szacował, że pod koniec pierwszego kwartału w użyciu będzie ponad pół miliona aparatów. Saudyjczycy to potężny partner.

Sirad patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mitchell musiał wiedzieć, że dawanie technologii SBT w ręce tych ludzi znacznie utrudni CIA oraz Narodowej Radzie Bezpieczeństwa szpiegowanie osób podejrzanych o terroryzm.

- Przez najbliższe miesiące nie jest nawet planowane wprowadzenie tego telefonu na rynek amerykański. - Sirad autentycznie zdumiał zakres tego, o czym dotychczas jeszcze nie wiedziała. Federalna Komisja do spraw Łączności będzie niezadowolona.

- A niech sobie będzie - stwierdził Bartholomew. - Nie cieszą się autorytetem na zagranicznych rynkach. I właśnie dlatego Mitchell chce zacząć wprowadzać ten

wynalazek najpierw na rynkach zagranicznych. Zanim wiadomość o tym dotrze do Waszyngtonu, ani komisja, ani nikt inny nie będzie mógł już nic zrobić. - Stał, aby przyjrzeć się wyrazowi jej twarzy. - To jedna z najbardziej lukratywnych transakcji w historii tego przemysłu - dokończył. - Jeśli coś cię gnębi, muszę o tym wiedzieć i to natychmiast.

\

237

Sirad zamyśliła się na chwilę, ale nic nie powiedziała. Hoch powiedział, że ma robić to, co każą, i nie zawracać sobie głowy intencjami Mitchella. Agencja musiała o wszystkim wiedzieć.

- A więc jest jakiś problem?

- Nie ma - oznajmiła w końcu Sirad. - Ale szkoda, że nie powiedziano mi o tym przed wyjazdem. - Chwyciła swoją torbę z ubraniami i skierowała się w stronę postoiu taksówek. - Gdybym wiedziała, że spotkam księcia, kupiłabym perły.

JEREMY ZASTAŁ SWOJEGO szefa siedzącego w części wypoczynkowej na półpiętrze.

Miał właśnie zamiar uciąć sobie drzemkę, ale byłoby to tylko złagodzenie ogarniającego go otępienia. Jemen to czas Żulu plus trzy strefy czasowe; w sumie różnica w stosunku do Stafford w Wirginii wynosiła osiem stref czasowych, ale wewnętrzny zegar Jere-my'ego późnił się tylko kilka minut.

- Przyniosę ci piwo - powiedział Jesus. Siedział blisko tylnego wyjścia z holu, tuż obok olbrzymiej szachownicy rozstawionej na podłodze. Korona królowej sięgała niemal buta Jeremy'ego.

- A jak tam u ciebie z grą w szachy? Muszę ci powiedzieć, chłopie, że mnie nie pokonasz.

- Przynajmniej tym się różnimy. Nie jesteśmy identyczni, wiesz o tym? - Pchnął w stronę Jeremy'ego puszkę tuborga. - Bardzo się zmieniło od mojego ostatniego pobytu. Było więcej turystów, przeważnie amatorów pieszych wypraw. Tu jest mnóstwo ruin z czasów przed-etruskich.

Jeremy skinął głową. Nigdy nie myślał o Jesusie jako o archeologu, ale ten facet okazywał się pełen niespodzianek.

- Długo czekacie, chłopaki?

Przyszedł Powell. Ręcznikiem ocierał pot z czoła.

- Dopiero co przyszliśmy. Wszystko gotowe na przybycie jej wysokości?
- Zdaje się, że o niej słyszeliście, co? - spytał Powell. Barbara Shotte, ambasador Stanów Zjednoczonych w Jemenie, zyskała sobie sławę.
- Poznałem już ją w Somalii - odparł Jesus. - Nauczyłem się wszystkiego co powinienem o tutejszym korpusie dyplomatycznym.

238

Departament Stanu zdegradował Barbarę Shotte po fiasku operacji Puch Czarnego Jastrzębia, w której zginęło dziewiętnastu członków amerykańskich jednostek specjalnych. Jedynym piekielnym miejscem gorszym od Somalii był Jemen, wobec tego wysłano ją tu.

- Nie osądzaj całego Departamentu Stanu po jednej kobiecie - powiedział Powell, skinąwszy na kelnera i unosząc w górę puszkę po piwie Tuborg, aby wiedział, co ma przynieść. - Mój człowiek, Rafa, zajmie się wami?
- Taak, tak jak w Czterech Porach Roku - odpowiedział Jesus. - Czy są tu problemy z podsłuchem?
- Jest dość prymitywny, ale w latach osiemdziesiątych Rosjanie dali Jemenowi mnóstwo systemów analogowych. - Rozejrzył się po sali, czy nie dostrzeże tam jakichś znanych mu twarzy lub podejrzanego zachowania. - Widzieliście kiedy taniec brzucha? - Jeremy potrząsnął głową, a Jesus uśmiechnął się. - Chodźcie, pójdziemy w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

I poprowadził ich przez hol, obok recepcji do małego korytarza znajdującego się zaraz przy głównym wejściu. Wysoki mężczyzna przy drzwiach powitał Powella po imieniu i wprowadził ich do wnętrza przypominającego typowy zachodni nocny klub. Jednak w przeciwieństwie do takich klubów w hotelach Holiday Inn północnej Wirginii, to miejsce było wybite zakurzoną czerwoną tapetą, miało dekoracje w arabskim stylu, a muzykę zapewniał dziewięcioosobowy zespół grający bliskowschodnie melodie w stylu pop.

- Tutaj możemy rozmawiać. - Powell usadowił się na miejscu pod tylną ścianą. W środku nie było więcej niż dwadzieścia osób, sami mężczyźni.
- Sprawdźmy - powiedział Jeremy. Odwrócili się w kierunku sceny, na której widać się ładna biała kobieta ubrana w arabskie welony, która teraz zaczęła przesuwac się w ich kierunku.

- To najbliższe miejsce, w którym można sobie popierdolić w tej całej zaszraniej dziurze - poinformował Powell. - Przywożą tu dziewczyny z Białorusi, każą im trochę tańczyć i trochę się kurwić, a potem wymieniają je na te, które występują w innym miejscu. W Stanach nazywają to białym niewolnictwem, ale tu to po prostu biznes.

- Jak przedstawia się nasz jutrzejszy dzień? - zapytał Jesus. Podróżując po świecie, przywykł do kobiet trzęsących tyłkiem za parę groszy.

- Wyruszamy. Wasza eskorta oczekuje was jutro rano w Golden Mahore, zaraz za górami.

239

Jeremy siedział i zastanawiał się, która z ostatnich zmian w jego życiu jest dziwniejsza: czy prostytutka odstawiająca taniec brzucha, czy też agent CIA przedstawiający szczegóły złapania jakiegoś uciekiniera, o którym nadal prawie nic nie wiedział. Usiłował rzucić swojemu szefowi spojrzenie w stylu „O co tu, do cholery, w tym wszystkim chodzi?”, ale tak, aby Powell nie zauważył.

- Jaki mamy środek transportu? - zapytał Powell.

- ARCIN Oil sprowadziło z Dar trzy odrzutowce Bell. Polecicie nimi do małego miasteczka o nazwie Anisi - mniej więcej sto pięćdziesiąt klików od waszego celu. A stamtąd już land roverami po przeważnie piaszczystych drogach w rejon Hadramaut; zajmie to około czterech godzin. Wyjeżdżacie jutro o siódmej i powinniście być na miejscu o zmierzchu.

- Za kogo się podajemy?

- Jesteście geologami, ale nikt nie będzie zadawać wam zbyt wielu pytań. Wszyscy są po naszej stronie. Mamy kilku NSA E-4 oraz techników z NMARSAT oraz pewien rodzaj SCIF. Jest też lekarz z Agencji od Waltera Reeda, wy dwaj oraz dwóch cywili, sejsmologów z Uniwersytetu George'a Washingtona. Macie też kilku uzbrojonych ochroniarzy, na wypadek, gdyby jakieś miejscowe dupki próbowały na was napaść. Pracowaliśmy już wcześniej z tymi facetami i nie będą się wpierdalać. Jeremy słuchał bacznie, usiłując połapać się w żargonie. Nigdy nie pracował z nikim z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale wiedział, że większość jej pracowników do działań w terenie wywodziła się z armii. E-4 oznaczało, że byli sierżantami i wiele razy brali udział w takich akcjach, ale że nie będą wydawać

żadnych rozkazów. NMARSAT to były zasilane baterią telefony satelitarne umożliwiające połączenie niemal z każdego punktu na ziemi. Miał taki w Portoryko podczas akcji z Macheteros.

- A co to SCIF? - zapytał. Wydawało się, że to rozsądne pytanie, zważywszy, że miał brać udział w zadaniu, które z każdym kolejnym piwem wydawało się coraz bardziej niebezpieczne.

- Bezpieczne Urządzenie Informacyjne - odpowiedział mu Jesus, rzucając przy tym jedno z tych spojrzeń typu „Co, kurwa, z tobą?” i potrząsając głową. -A kto jest oficerem wykonawczym? - rzucił Jesus. Poczynając od logistyki, a kończąc na wykonaniu, wszystko to wyglądało na akcję wojskową. Potrzebowali kogoś, kto dbałby o wszystko.

- Doktor. To pułkownik, był w siłach specjalnych. W razie jakiegoś problemu, to do niego.

240

Jeremy siedział, nie odzywając się. Milion pytań przychodziło mu do głowy, ale raczej pobiegłby prosto pod ogień z karabinów maszynowych jemeńskich żołnierzy, aniżeli zbłądził się znów wobec Powella.

- Wyposażenie?

- Niewielkie. O tej porze roku klimat tu jest dość ciężki, ale nie pada, wieje tylko lekki wiatr. To, czego potrzebujecie, to dużo wody, racje żywnościowe na dwa dni i sprzęt. Kupiłem wszystko, co figurowało na sporządzonej przez was liście - dostałem to w sklepach. Rano będzie na pokładzie samolotów.

- Ewakuacja?

- Z powrotem do obozu, a potem na zachód do Dar. Niech to wygląda na pomoc medyczną dla ludności cywilnej. W nocy przerzut za pośrednictwem black hawków na pokład USS „Duluth”, który płynie teraz na południe, przez Kanał Sueski, odbywając jeden ze swoich regularnych rejsów po Morzu Śródziemnym.

- A jak z waszej strony? Wszystko gotowe, ubranie?

- Właśnie dlatego ambasador wraca na weekend. Sądzi, że to akcja zaaprobowana przez Senat i że prezydent Jemenu całkowicie ją popiera. Waszyngton powiedział jej, że tu chodzi o trzydzieści milionów dolarów (tyle dostanie w zamian za tego człowieka Jemen) i pani ambasador jest zadowolona. Po tych transakcjach, jakie

zawarliśmy podczas wojny w Iraku, mogliby jej powiedzieć, że wylądowali jacyś pieprzeni Marsjanie, a ona nie pisnęłaby ani słowa.

- No, to dobrze - skinął głową Jesus. Jeremy też to zrobił, starając się dostosować.

Orkiestra skończyła grać, wobec tego Powell przestał mówić, czekając, aż znowu zacznie.

- Wiem, że to trudne zadanie, chłopaki, ale myślę, że dobrze wszystko ułożyliśmy. To powinno być takie szybkie tam i z powrotem. Słynne słowa, nie?

- Tak, słynne.

Jesus podniósł piwo, wznosił toast za akcję i spojrzał na tancerkę brzucha.

- Czy zastanawiałeś się kiedy, co robi reszta świata w noc taką jak ta? - zapytał.

Jeremy potrząsnął głową. Gdzieś na południe od Dubaju w ogóle zapomniał, że istnieje reszta świata.

#### Rozdział XIV

ROSA ZDUMIAŁA SIĘ, widząc senator Elizabeth Beechum w drzwiach - pani senator od lat nie przyjeżdżała do domu na lunch. Za nią stał James. Cisnął marynarkę na empirową kozetkę i podparł się pod boki.

- Zaczynamy stąd - zawyrokował.

Rosa popatrzyła na niego, jakby zwariował, a potem wróciła do sprzątanina. W piątki była kolej na łazienki, kuchnię, a ponieważ oglądała show Montela Williamsa, była nieco spóźniona.

- No, to co robimy? - spytała Beechum. Najlżejsza myśl o przeżyciu jeszcze raz koszmarów tej strasznej nocy wywoływała u niej dreszcze wzdłuż kręgosłupa, ale wiedziała, że to konieczne. Ktoś dołożył bardzo wielu starań, aby zrobić ją w tę okropną zbrodnię. Toteż jeśli spędzenie jeszcze kilku godzin na szperaniu wśród wspomnień o tym ataku wywabiłby tego, kto to zrobił, z kryjówki, no, to niech będzie.

- Powiedz mi, co się wtedy stało. O której wyszłaś z biura, dokąd poszłaś, jak dotarłaś do domu, wszystko - zażądał James. Rozglądał się dokoła, jak gdyby rozwiązania były wypisane cytrynowym sokiem na ścianach i tylko czekały, aby jakiś przebłysk w śledztwie je odkrył.

- Cóż, wyszłam z pracy tuż po szóstej, wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Zawsze jadę tą samą trasą: Rock Creek do M, a potem w stronę swojej dzielnicy. Tak jest najszybciej.

- Żadnych kłopotów po drodze? - James przeszedł przez hol wejściowy do pierwszego z dwóch saloników. Hol biegł przez całą długość domu, łącząc dwa saloniki z prawej strony z biblioteką i gabinetem po lewej. Kuchnia znajdowała się na samym końcu, z tyłu domu. Elizabeth Beechum umeblowała te pokazowe pokoje w stylu charakterystycznym dla południa Stanów Zjednoczonych oraz rzeczami, które

242

odziedziczyła po ojcu. James był tu wielokrotnie i zawsze urzekała go wielką elegancją i pięknem tych pomieszczeń.

- Kłopotów? Co masz na myśli?

Beechum rozejrzała się, niemal bojąc się iść śladem jego przypuszczeń z obawy, że natknie się na jakiś dowód. Nie zawracała sobie głowy tym, że każdy policjant w Waszyngtonie już to zrobił wcześniej. Nie udało im się skazać Mariona Barry'ego nawet pomimo tego, że jako dowód mieli nagranie wideo, na którym widać było, że pali cracka. Rzecz jasna, że mogli coś przegapić.

- To, czy ktoś za tobą nie jechał, czy nie przeciął ci drogi, czy nie podszedł do ciebie na ulicy. - Pocierał dłońmi swoje krótko ostrzyżone włosy w kolorze piasku. James wcale nie miał większego pojęcia, jak się do tego zabrać, aniżeli ona.

- Nic takiego nie miało miejsca. Zajechałam, zaparkowałam samochód dalej na ulicy, przy końcu... wiesz, tu znaleźć miejsce do parkowania to trudna sprawa i...

- Elizabeth, czy było coś niezwykłego, co mogło wskazywać, że jacyś ludzie włamali się do domu albo że cię śledzono?

- Nie. Nie sądzę, żeby coś wydawało się nienaturalne.

- Rosa miała tego wieczoru wychodne?

- Ona często spędza weekendy ze swoją córką w Aleksandrii.

- No dobrze, więc podeszłaś do drzwi. Otworzyłaś je kluczem? - James cofnął się do początku holu, otworzył ciężkie podwójne drzwi i skinął na senator, aby



stanęła obok.

- Tak. Tu jest tylko zamek zatraskowy. Nigdy nie miałam zasuw.

- A jakiś system alarmowy?

- Mieszkam tu od ponad dwudziestu lat i nigdy nie był potrzebny. - Potrząsnęła głową. - Brzmi głupio, nie?

- Weszłaś do środka. I co potem?

Elizabeth Beechum zamknęła oczy, starając się odtworzyć wypadki tamtej nocy tak, jakby były nagrane na kasetę wideo.

- Weszłam do środka i zawołałam Rosę. Tak, z przyzwyczajenia. Wiedziałam, że ma wolny wieczór, ale czasem jej córka wyjeżdża i wtedy Rosa zostaje tutaj. -

Podeszła parę kroków do przodu, jeszcze raz przeżywając tamtejsze zdarzenia. -

Zobaczyłam, że nie zgasiła światła w kuchni, i rozzłościłam się, bo Rosa jest czasem zapominalska. No wiesz, nie cierpię marnować prądu.

- Wiem. - Każdy wiedział, jaka jest skąpa. - I co potem?

243

- Potem podeszłam do stojaka na wina i wybrałam butelkę dobrego merlot. Ja...

- Czy robiłaś coś po drodze, na przykład czy odłożyłaś torebkę, dzwoniłaś gdzieś?

- Nie, nie przypominam sobie.

- Okay, więc wracasz do kuchni i...

- Czekaj! Wtedy usłyszałam go po raz pierwszy, zapomniałam o tym, ale szłam przez hol i - odtwarzała przebieg wypadków - ...i usłyszałam coś na schodach.

Znowu zawołałam Rosę, ale nikt nie odpowiedział. To ten skurwysyn musiał się już na mnie szykować.

- A co zrobiłaś potem? Czy poszłaś na górę?

- Nalałam wina do kieliszka i... poszłam na górę wziąć kąpiel. Jestem niewolnicą przyzwyczajenia. Kąpię się co wieczór po pracy.

- A więc, poszłaś na górę. Pokaż.

Elizabeth Beechum zaprowadziła Jamesa na górę. U szczytu schodów był salon, potem na prawo dwie sypialnie, łazienka pani domu po lewej stronie, a za nią sypialnia. Łazienka dla gości i czwarta sypialnia znajdowały się w głębi korytarza, a także tajny pokój Paula, do którego wchodziło się przez drzwi, wyglądające jakby prowadziły do garderoby. Tylnymi schodami schodziło się prosto

do kuchni.

- Najpierw poszłam do sypialni, aby się rozebrać, napić się łyżeczek wina. Potem weszłam do łazienki, odkręciłam wodę i wsypałam sól do kąpieli. - Elizabeth Beechum wykonywała wszystkie ruchy identycznie jak tamtego wieczoru. - Potem poszłam do garderoby, żeby, no wiesz, przygotować się. - Czuła się nieswojo, wypowiadając wobec pracujących dla niej ludzi słowo rozebrać się. - Ledwie zdjęłam sukienkę, gdy coś zwróciło moją uwagę.

- I co zrobiłaś?

- Chciałam podejść, ale zadzwonił telefon, więc poszłam go odebrać.

- Gdzie on był?

- W mojej aktówce, na łóżku. - Wskazała na lewo przez drzwi garderoby na antyczne mahoniowe łóżko z baldachimem. - Wzięłam go i odebrałam.

- Powiedziałaś o tym policji?

- Nie, zapomniałam, dopiero teraz sobie przypomniałam. To zdumiewające, jak wszystko wraca.

- Kto to był? Kto telefonował? Beechum zastanowiła się przez chwilę.

244

- Myślę, że to był Biały Dom. Ktoś z pracujących tam dzwonił, mówiąc, że przekładają spotkanie z Narodową Radą Bezpieczeństwa, zmieniają godzinę. To musiał być ktoś nowy, bo nie mogłam poznać po głosie. I wspomniał o Starfire.

- To niezwykle tajny program. Jesteś pewna, że wspomniał o nim, wymieniając nazwę?

- Tak. Tak. Pomyślałam, że musi dostać naganę za mówienie o tym przez niezabezpieczoną linię. Jestem pewna, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego zaraz się tym zajęła, ale nic więcej o tym nie słyszałam.

Poczuła zamęt w głowie.

- A co zrobiłaś później?

- Cóż, wanna była już niemal pełna, więc poszłam do łazienki, aby zakręcić kurek.

- Wciąż rozmawiając przez telefon?

- Nie, rozłączyłam się. - Odtwarzała swoje działania, próbując przypomnieć sobie, co robiła i kiedy. Przybierała taki sam jak wtedy wyraz twarzy, zaczynając odczuwać zmęczenie, jakie opanowało ją tamtego wieczora. - I wtedy... no,

wiesz... zdjęłam... - James skinął głową, szanując jej godność. - Włożyłam palec do wody, żeby sprawdzić jej temperaturę.

- A co z telefonem? Gdzie był wtedy? Na łóżku? Zastanowiła się przez chwilę.

- Nie, trzymałam go w ręku, sędzę. Tak trudno jest teraz to wszystko odtworzyć.

- Po momencie zastanowienia stwierdziła: - Woda wciąż była za gorąca, a ja chciałam zadzwonić do biura i zostawić ci wiadomość, żebyśmy nie zapomnieli złożyć skargi na urzędnika z Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

- I zadzwoniłaś?

- Nie, to właśnie wtedy on zaatakował mnie od tyłu. Wyszedł z garderoby. -

Szybko odwróciła się, jak gdyby ciągle jeszcze czując na szyi gorący oddech.

James spostrzegł, że wspomnianie tego staje się bardzo trudne, ale nie istniało lepsze wyjście. Klucz tkwił w tych wspomnieniach.

- Następną rzecz, którą pamiętasz, to fakt, że ocknęłaś się, leżąc na podłodze.

- Tak. To wtedy wszystko naprawdę...

- I to wtedy znalazłaś broń?

245

- Wstałam, poślizgnęłam się... upadłam na coś ostrego i wtedy zobaczyłam broń.

- Upadłaś na coś ostrego? Co to było?

- Telefon. Musiałam go upuścić, kiedy mnie zaatakował.

James potarł wargi dłonią, a właściwie zagłębieniem między kciukiem a palcem wskazującym.

- Masz billing swoich rozmów? No, wiesz, rachunek za telefon komórkowy?

- Oczywiście. Leży na biurku. Już go zapłaciłam.

- Przynieś go. Daj tu ten rachunek.

James poszedł za nią do sypialni, gdzie Beechum znalazła kopertę ostemplowaną logo Borders Atlantic, otworzył ją i przebiegł palcem w dół kolumny numerów.

- Jest tutaj. Elizabeth, z billingu widać, że o dziewiętnastej jeden zadzwoniłaś do biura. Połączenie trwało jedną minutę. A zdaje się twierdziłaś, że nigdzie nie dzwoniłaś.

- Nie, nie dzwoniłam.

- Czy wybrałaś jakiś numer, sprawdzając wodę?

- Być może, tak sędzę. Nie pamiętam. Doprawdy nie pamiętam. James zastanawiał

się przez chwilę.

- Pokaż mi swój telefon. Mogę go zobaczyć?

- Kiedy nie mam tamtego telefonu. Zabrano go jako dowód... był cały we krwi. Ale mam nowy, identyczny model.

- Taki jak ten? - spytał, wyciągając własny i trzymając w dłoni płaskie, maleńkie urządzenie. Beechum skinęła głową. - Duś mnie - powiedział, szybko wybierając jakiś numer na klawiaturze telefonu. - Duś mnie od tyłu, tak jak on dusił ciebie. No, już, najmocniej, jak potrafisz.

Beechum, mierząca metr osiemdziesiąt, była o piętnaście centymetrów wyższa od swego sekretarza. Stała za nim i otoczyła ramieniem jego szyję.

- Ściskaj, do cholery! - rozkazał.

Beechum zaczęła ściskać, nagle ponownie ogarnięta przez całą tę wściekłość, lęk i bezradność, które zawładnęły nią tamtego wieczoru. Położyła ramię na jego krtani, unosząc go, tak że musiał stać na palcach, i zmuszając, by instynktownie sięgał w górę chcąc uwolnić się z uścisku. Dłoń Jamesa zacisnęła się na telefonie, gdy wpijał paznokcie w jej ramię i walił w nie rękami. Następnie osunął się na podłogę,

246

udając omdlenie. Jego ręce stały się bezwładne, a telefon potoczył się na gruby perski dywan.

- James, przepraszam, dobrze się czujesz? Sekretarz sięgnął po telefon i przyłożył go do ucha.

- Posłuchaj - powiedział.

Senator Beechum wzięła komórkę i usłyszała nagranie sekretarki automatycznej ze swojego biura.

- To jest ta sześćdziesięciosekundowa rozmowa - powiedział James, wstając. - Walcząc z tym facetem, musiałaś instynktownie nacisnąć klawisz łączenia rozmowy. A więc jednak zadzwoniłaś do biura.

- I co nam to daje? - zapytała Beechum.

Twarc Jamesa rozjaśnił uśmiech, gdy poprawiał krawat przekrzywiony przez uścisk.

- To znaczy, że w czasie, w którym nastąpił atak, byłaś połączona z innym numerem, a więc jeśli uda nam się znaleźć zapis tego połączenia w biurze, to

możemy mieć dokładny zapis tego, co się tu w tym domu wydarzyło.

V || „ . .

JEREMY OBUDZIŁ JESUSA z niespokojnego snu o piątej czterdzieści pięć rano.

Ubrali się, spakowali i zeszli na dół, gdzie mieli czekać na samochód. Powell powinien wracać do Sany, więc po wymeldowaniu się z hotelu byli już zdani na siebie.

Dopóki nie dojechali do Golden Mahore, pięknej oazy dziwnie położonej między zasypanymi śmieciami wzgórzami wokół Adenu i błękitną Zatoką Adeńską, Jesiis prawie wcale się nie odzywał.

- Widzisz ten namiot tam na wzgórzu? - wymamrotał wśród łoskotu silnika Diesla. Jeremy skinął głową. Przy drodze prowadzącej w górę do nawisu skalnego czterysta stóp ponad portem siedzieli dwaj żołnierze. - SAM-y. Radzieckiej produkcji. Te dupki strzelały do naszych C-5, kiedy w 2000 roku przybyliśmy tu, aby rozpracować sprawę zbombardowania „Cole'a”.

- Naprawdę? - Jeremy pamiętał, że czytał w gazetach, jak to rząd Jemenu współpracował ze śledczymi. - Myślałem, że byli po naszej stronie.

- Musisz jedno wiedzieć, gdy pracujesz w takim miejscu jak to. Otóż tu każdy jest twoim przyjacielem oraz każdy jest twoim wrogiem,

247

a wszystko zależy od tego, kto płaci rachunki. Ten hotel to pierwsze miejsce, które alal-Bin kiedyś zbombardował, a jego matka jest Jemen-ką. Wierność to wymysł Zachodu. Ci faceci wypieprzyłoby własnego brata, jeśli uważaliby, że dzięki temu dostaną to, co chcą. -Jeremy skinął głową. Łapanie napadających na banki w Springfield w Missouri to była zupełnie inna sprawa. -1 jeszcze jedno - dodał Jesiis. - Dziś jesteś głuchoniemy. - Kierowca podjechał do trzech zdezelowanych ciężarówek i grupki białych pakujących do nich sprzęt. - Posługuj się swoim przybranym imieniem, gadaj jakie chcesz bzdury o swoim życiu, ale pamiętaj, że im więcej powiesz, tym większą masz szansę wszystko spieprzyć.

Rozumiemy się?

- Rozumiemy - przytaknął Jeremy.

Zaczynało mieć sens wszystko to, co Les Mason mówił w klasie w dniu promocji. W czasie misji jego rola polegała na słuchaniu, wykonywaniu rozkazów i trzymaniu

gęby na kłódkę, chyba że polecenie mówiło co innego. Główne decyzje podejmował ktoś, kto plasował się o wiele wyżej w tym łańcuchu pokarmowym.

SIRAD SPAŁA DOBRZE, wstała późno i spędziła bite dwie godziny w centrum odnowy biologicznej. Mitchell wynajął dla niej i dla Bartholomew wspaniałe apartamenty w hotelu Ritz-Carlton, mając nadzieję zademonstrować, iż załamanie w przemyśle telekomunikacyjnym nie dotknęło Borders Atlantic tak bardzo, jak inne firmy tej branży. Sirad skorzystała z tego gestu Mitchella i zamówiła sobie kąpiel w błocie z Morza Martwego i pełen zabieg na twarz.

Chris zadzwonił do niej po południu i odprowadził do czekającego przed hotelem samochodu. Po wyrazie twarzy recepcjonisty wiedziała, że ubrała się jak należy. Może to i Bliski Wschód, ale mężczyźni to mężczyźni, bez względu na to, jaką wyznają religię.

Dwadzieścia minut później zajechali pod Royal Dubai, pięciogwiazdkowy hotel, tak ekscentryczny, że Sirad przez chwilę myślała, że jakimś cudem znaleźli się w Las Vegas. Udekorowany fontanną podjazd był pełen bentleyów continentali i aston martinsów. Po przepięknych ogrodach spacerowały sobie tygrysy, odgrodzone dyskretnymi kratami. Ochroniarze w drogich garniturach i z kolczykami w uszach tworzyli wewnętrzny kordon, pozostawiając resztę terenu wojskowym

248

w starannie wyprasowanych mundurach i z karabinami maszynowymi. Każdego gościa prześwietlano. Media trzymano na odpowiednią odległość.

Wszystko było pozłacane, od wiecznych piór w recepcji po armaturę w łazienkach. To było bogate i zamknięte miejsce. Kto nie figurował na liście gości osoby mieszkającej w tym hotelu, nie mógł marzyć o dostaniu się do środka.

- Jak się czujesz? - spytał Bartholomew, gdy po sprawdzeniu przy wejściu szli w kierunku wyznaczonej sali konferencyjnej. Sirad miała na sobie jedwabną spódnicę od Hermesa, a do tego zakiet z dekoltem w szpic i z klapami w białe prążki, do których przypięła starą broszkę z lapis-lazuli. Włosy zebrała do tyłu, tak jak to robią Arabki, a co podpatrzyła w sklepach na lotnisku. Miała lekki makijaż i małą kopertową torebkę od Louisa Vuittona, pasującą do jej czarnej aktówki.

- Jak Kleo-pieprzona-patra - brzmiała odpowiedź Sirad. Jeśli jakiś przechodzący obok mężczyzna na nią nie spojrzał, z pewnością był gejem. - Masz jeszcze jeden

telefon dla ministra spraw wewnętrznych?

- O wszystkim pomyślano. Nasi specje od techniki są tu od miesiąca, aby mieć pewność, że to całe elektroniczne gówno będzie działać. Przestrzegaj scenariusza, a my zajmiemy się logistyką.

Znaleźli Amouda, sekretarza prasowego księcia. Był przed salą konferencyjną noszącą nazwę Jahira. Jego wysokość zgodził się spotkać z nimi na piętnaście minut, gdy będzie udawać się na lunch. Wszystko już przygotowano. Księżę Abdullah zadzwoni (tak jak to zostało ustalone) ze swojego nowego telefonu Quantis do ministra, a następnie będzie pozować prasie do zdjęć.

Obie strony rozumiały symboliczną wagę tego spotkania. Ogromne połacie Bliskiego Wschodu nie były objęte usługami telefonicznymi, co skutecznie odcinało je od rynku, oświaty i wiedzy o kulturze. Nowy telefon Quantis SBT wykorzystywał sieć satelitów umieszczonych na niskiej orbicie okołozemskiej - a nie tradycyjną naziemną siatkę przekaźników - co sprawiało, że ten system był tańszy i bardziej niezawodny aniżeli jakikolwiek inny. Infrastruktura oraz urządzenia były już tu na miejscu i wkrótce nowy system Borders Atlantic miał przekształcić Arabię Saudyjską w telekomunikacyjne centrum islamskiego świata, równocześnie dając księciu Abdullahowi kontrolę nad łącznością wśród jego bardzo bogatych i niezwykle dbałych o swe bezpieczeństwo sąsiadów.

\

249

- Proszę pamiętać, aby zwracać się do Jego Wysokości per Wasza Wysokość - przypomniał Amoud, wprowadzając Sirad i jej towarzysza do sali konferencyjnej. - Księżę Abdullah mówi doskonale po angielsku, ale państwo będą rozmawiać z nim za pośrednictwem tłumacza -z oczywistych powodów dyplomatycznych oraz bezpieczeństwa.

Sirad skinęła głową. Tutaj przede wszystkim liczyły się pozory.

- Mistrz ceremonii będzie tu przed przybyciem księcia - ciągnął Amoud. - Proszę nie podchodzić bliżej, dopiero gdy on powie. Jego Wysokość będzie stać tam, obok podium, a jego minister do spraw bezpieczeństwa będzie zwracać się do państwa po imieniu, w języku angielskim. Powita was w Dubaju. Będziecie mogli podejść tylko na tyle blisko, na ile pozwoli wam na to służba księcia. Nie wiem dokładnie, jak

zostało zaplanowane przekazanie księciu telefonu. Czy macie go przy sobie?

Sirad przytaknęła i dotknęła aktówki.

- Wolno wam odpowiadać na pytania, jeśli książę jakieś zada, ale proszę się nie odzywać, o ile książę pierwszy tego nie zrobi. Bardzo rzadko się zdarza, aby w takich spotkaniach uczestniczyła kobieta.

Sirad już się nasłuchiwała na temat tych oficjalnych wytycznych książęcych lokai.

- Dziękujemy, ale inwestujemy miliardy w tę działkę pokrytą piaskiem, której nikt inny nawet nie tknie patykiem. - Uśmiechnęła się szeroko skinąwszy głową gapiom, przechodzącym tędy już kolejny raz, aby tylko rzucić na nią okiem. -

Jedyny książę, z którym miałam do czynienia, to znaczy z którym spałam, mieszka w Minneapolis i nosi purpurowy dres ze spandeksu. Jeśli wasz nie umie śpiewać R&B, to proponuję sprzedaż tego gówna komuś innemu. O ile mi wiadomo, to wszystko jest tylko kosztownym obwąchiwaniem tyłka.

Amoud wybałuszył na niąoczy. W jego kraju kobiety ledwie ośmieliłyby się do niego odezwać, a co dopiero rzucać obelgi i to z tak bezczelnym brakiem szacunku.

Jak ona śmie?

Sirad zwróciła się do Bartholomew, który wyglądał na równie porażonego, jak Amoud.

- Mam nadzieję, że to będzie trwać krótko, bo chce mi się siusiu - szepnęła.

•

250

ZANIM JESUS i Jeremy przybyli do swego obozu w Hadramaut, obaj zaczęli odczuwać skutki długiego lotu. Nawet pomimo tabletki nasennej i nocy spędzonej w przyzwoitym hotelu, błyskawiczność tego zadania sprawiła, że pozostała w nich już tylko ambicja.

Podróż do Anisi przebiegła bez żadnych zdarzeń. W drodze na lotnisko trochę rozmawiali, ale podczas lotu helikopterem panował zbyt duży hałas, aby rozmawiać. Cała akcja przebiegała według z góry ustalonego scenariusza. Wszystko było wiadome do ostatniego detalu, z pseudonimami autorów włącznie.

- Ciekawe, jak tam grają Jankesi? - było jedynym nawiązaniem do Stanów Zjednoczonych, a rozmowa szybko się urwała. Ani Al Dżazira, ani BBC nie podawały wyników meczy bejsbolowych.



Było już późne popołudnie, gdy dotarli na położone wysoko w górach przejście, skąd rozciągał się widok na dolinę Baszar. Jedna strona zbocza spadała w dół ku pustym pustynnym płaskowyżom. Druga przechodziła w jedyne w tym kraju prawdziwe pola uprawne, rozrzucone wioski mające dość wody źródlanej, aby utrzymać pola i gaje cytrusowe. Jeremy dostrzegał nikłe ryzyko spotkania kogoś. Wyprawa archeologiczna została starannie wyposażona we wszystko, od dokumentów z uczelni począwszy, a na przepłaceniu gdzie trzeba w kołach rządowych skończywszy. Poza tym nikt ich nie obserwował, z wyjątkiem dwóch wyglądających na pamiętających jeszcze czasy średniowiecza wiosk. Hadramaut przypominało tę niewidoczną, ukrytą stronę księżyca.

Wypakowanie land roverów i założenie obozu zajęło niecałą godzinę. Po południu Jeremy i Jesus rozbili namiot, pomogli urządzić kuchnię i wykopać latrynę. Przygotowali też wszystko, co miało im być potrzebne podczas prywatnej, nocnej wycieczki, gdy inni odpoczywali w cieniu.

- Wrócimy za kilka godzin - oznajmił Jesus, kiedy już byli gotowi. Klepnął Jeremy'ego po ramieniu i skinął głową strażnikom, którzy tylko wzruszyli ramionami i wpakowali do ust kolejną porcję khat. Zapłacono im, aby nieśli broń i pilnowali obozu, na wypadek, gdyby zaatakowali bandyci. Po co się martwić kilkoma nadgorliwymi naukowcami?

Jeremy wraz ze swoim dowódcą oddalili się pieszo, wzięwszy ze sobą wodę, podręczną apteczkę, GPS oraz małe czarne pudełko, które Jesus upierał się nieść sam. Zapytany przez jednego z sejsmologów, co to takiego, wyjaśnił, że to najnowszy sprzęt do testowania gleby.

251

Mieszkańcy obozu pomachali im na pożegnanie, gdy oni mozolnie szli w góry.

- Zdeklarowane dupojeby, co nie? - stwierdził jeden z mężczyzn, patrząc, jak ci dwaj znikają w parzącym słońcu.

•

ELIZABETH BEECHUM I JAMES przyjechali z powrotem do biura. Millie, pracująca tam jako recepcjonistka, znalazła już dwa pudła z mikrokaśetami, na których nagrywane były wiadomości po zakończeniu pracy. Aczkolwiek większość Ameryki posługiwała się systemem digital, Beechum odmawiała wyrzucenia doskonałych

sekretarek automatycznych wykorzystujących kasety magnetofonowe. Byłoby to marnotrawienie pieniędzy podatników. Millie szperała wśród nich, podczas gdy reszta pracowników szukała taśm.

- Co mamy? - wrzasnęła pani senator wpadając przez drzwi. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy weszła do budynku Dirksena 3612, nie odczuwając strachu.

W biurze był bałagan. Pootwierane drzwi szaf ukazywały sterty starych pudełek, zużyty sprzęt biurowy i pokryte pleśnią niemyte od tygodni kubki po kawie.

Skoroszyty z aktami wisiały na szynach, a pracownicy biura szperali wśród nich, poszukując czegokolwiek, co mogłoby zawierać taśmę.

- Znaleźliśmy dwa pudła z taśmami - oznajmiła Millie. Wyglądała na zdenerwowaną i to do takich granic, że machała rękami, dziko gestykulując. -Ale kilku kaset brakuje.

- Jak to kilku? - spytał James. Beechum nie mogła się zdobyć, aby zadać to pytanie. - To znaczy, że je masz, czy nie?

James wiedział, że musi je mieć, bo to on nadzorował tu każdy aspekt pracy biurowej. Cholera, zaczynał piętnaście lat temu jako recepcjonista, kiedy jeszcze był w college'u. Wyjęcie każdego ranka kasety z automatycznej sekretarki i schowanie jej do pudła nie było żadną filozofią.

- No, cóż, niezupełnie - odparła recepcjonistka. Widać było, że krew odpływa z twarzy Elizabeth Beechum. - Ale pamiętam. Pamiętam, że tamtego ranka słyszałam coś i myślałam, że to ktoś zadzwonił, urządzając sobie taki żart.

- Co pani pamięta? - spytała Beechum. Podeszła do recepcjonistki i schwyciła mocno jej gestykulujące ręce. Wyglądała, jak gdyby zamierzała zmusić ją do wykrztuszenia wiadomości.

252

- Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Uspokójmy się i pomyślmy. Co pani zrobiła z kasetą?

- No, cóż, tamtego ranka wszyscy byliśmy zdenerwowani tym, co się stało, wie pan...

James chwycił stojące na biurku recepcjonistki tekturowe pudło z kasetami i zaczął przerzucać małe plastikowe pudełeczka. Na każdym była napisana ołówkiem data i jakaś odnosząca się do treści nagrania notatka, na przykład „Szare

Pantery" albo „AFL-CIO". Nazwisko każdego dzwoniącego z ramienia jakiejś organizacji było podkreślone, co oznaczało, że do tej osoby należy natychmiast od-dzwonić.

- Pamiętam, że gdy przyszedłam do biura, to telefony dosłownie się urywały. Wie pan, każdy chciał się dowiedzieć. Więc poprosiłam kolegów i koleżanki, żeby pomogli mi je odbierać, i jak zawsze wyjęłam kasetę. To pierwsza czynność, jaką wykonuję każdego ranka, zanim jeszcze przygotuję kawę. Myślałam, że może pani dzwoniła, no wie pani, że może jest pani chora, czy coś takiego.

Wiedziała, że senator chciała znać odpowiedź od razu i że w związku z tym była jeszcze bardziej zdenerwowana.

- Ale wtedy zdałam sobie sprawę, że mogę przesłuchać kasetę, bo przecież już ją wyjęłam, więc włożyłam ją z powrotem i nacisnęłam „play".

Łzy napływały jej do oczu, w miarę jak zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co zrobiła.

- I usłyszałam te głosy, męskie, jakby, jakby w tle, potem jakiś krzyk i... to brzmiało jak głośne strzały. A potem było „klik" i już głos reportera z jakiejś gazety. Wszystkie telefony były od reporterów lub...

- Co zrobiła pani z kasetą? Gdzie ona jest?

- No, to właśnie... myślałam, że to jakieś żarty i telefony od reporterów, i byłam zdenerwowana tą sprawą pani senator i wściekła, że każdy telefonował, a to był weekend czwartego lipca, święto, a telefon wciąż dzwonił i...

- Co zrobiłaś z tą cholerną kasetą? - spytał James rozkazującym tonem.

Recepcjonistka wybuchnęła płaczem i osunęła się na krzesło za biurkiem.

- W porządku, kochanie - powiedziała Beechum. Podeszła do załamanej kobiety i otoczyła ją ramieniem jak matka. -Wyrzuciłaś ją?

253

- Musiałam zostawić ją w sekretarce - chlipała. - Myślę... że... nagraliśmy coś na nią.

: Beechum schyliła się i wzięła kasetę z napisem „7/2".

- Przepraszam, pani senator - płakała kobieta. - Pani idzie do więzienia, a to wszystko moja wina.

Beechum zjeżyła się na dźwięk słowa „więzienie", ale nie było sensu przysparzać

tej kobiecie jeszcze większego cierpienia.

- No, już dobrze - powiedziała. Żadne inne słowa nie przysły jej do głowy.

Poszła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Kilka sekund później ktoś zapukał.

- Czy mogę wejść? - spytał James, wsadzając głowę. Wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż Beechum.

- To okrutne, prawda? - zapytała senator. Najpierw bardzo była podekscytowana perspektywą istnienia alibi. Wykonała telefon i co najmniej jedna osoba z zewnątrz słyszała to nagranie.

- Może znajdziemy kogoś, kto mógłby obejrzeć tę kasetę. Być może da się odzyskać pierwsze nagranie. W laboratoriach potrafią robić zdumiewające rzeczy z...

- James. Dobrze jest mieć nadzieję, ale fałszywa nadzieja jest gorsza od rozpacz. - Nie chciała, by zabrzmiało to jak pocztówka z życzeniami, ale po prostu nagle przysły jej do głowy słowa ojca. Jak wszyscy farmerzy miał chwile radości i załamania.

- Przykro mi, Elizabeth, doprawdy bardzo mi przykro. Obydwoje siedzieli i spoglądali na beznadziejną gmatwaninę, jaką stało się ich życie. Nagle na twarzy Jamesa pojawił się uśmiech, a oczy zrobiły się większe.

- Echelon.

Beechum słyszała go, ale to słowo do niej nie dotarło. Ogrom rozczarowania sprawiał, że nie była w stanie zebrać sensownie myśli.

- Przecież jest jeszcze jedna kasetka.

- Co?-spytała.

- Jest jeszcze jedna kasetka. Powiedziałaś, że ten, kto do ciebie dzwonił, wymienił nazwę Starfire.

Beechum spojrzała na niego. Zaczynała pojmywać.

- Starfire to jeden z supertajnych programów. A samo słowo to sygnał. Jeśli tylko ktoś je wymieni, Echelon natychmiast namierza tę rozmowę.

254

Beechum poczuła, że jej serce ponownie zaczyna bić. Powinno jej to być wcześniej przyjść do głowy. Od lat komputery w pracującym dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Fort Meade stosowały skomplikowany i supernowoczesny

system podsłuchowy Echelon. Ta technika podsłuchu pozwalała na wyłowienie z rozmów telefonicznych i przekazów radiowych pojedynczych słów, które mogą łączyć rozmówcę z krajem, programem, tajną operacją lub systemem broni. Było to jedno z najskuteczniejszych narzędzi w historii gromadzenia danych wywiadowczych i jeśli James się nie mylił, to mogło uratować jej karierę.

- A co, jeśli on dzwonił ze stacjonarnego telefonu? - zapytała. Echelon wyławiał słowa tylko z fal głosowych na otwartej przestrzeni, w związku z czym nie zarejestrowałby rozmowy ze stacjonarnego aparatu, jakie ma większość gospodarstw domowych i jakie przeważają w Białym Domu.

- Dzwonił do ciebie na komórkę, więc przekaz rozchodził się w powietrzu.

- Namierzono by pierwszą rozmowę, ale ja się rozłączyłam. A w tym drugim, przypadkowym połączeniu, które wykonałam, nie było niczego takiego, żeby system się nim zainteresował.

Zmiany nastrojów, które pociągały za sobą te rozumowania, sprawiały, że miała zamęt w głowie.

- Ale jeśli już namierzą rozmowę, to nagrywają kilka następnych. Wiesz o tym.

- O czym?

- Do cholery, Elizabeth! - James zerwał się z krzesła. - Czy zamierzasz tak siedzieć i zastanawiać się, czy też pojechać do Fort Meade i przesłuchać kilka taśm?

Senator spojrzała na zegarek. Była 15.15.

- Jeśli się pospieszymy, zdążymy przed godzinami szczytu. - Beechum wstała, ale bynajmniej nie sprawiała wrażenia podekscytowanej. - Chciałam powiedzieć, że nie mam już przepustki, dającej mi wstęp do takich miejsc. Odebrano mi ją. Nie wpuszczą mnie nawet za bramę, a co dopiero do laboratorium któregoś z analityków. To sprawiło, że James pomyślał przez chwilę, ale tylko tyle, aby przypomnieć sobie, gdzie schował kluczyki od samochodu.

255

- Ale nie zabrali mojej - oznajmił. A poza tym to głównie dzięki tobie mają Echelon. - Elizabeth Beechum walczyła o pieniądze dla tego programu, podczas gdy wszyscy inni uważali, że to kolejne dziecko gwiazdnych wojen.

- Racja - zgodziła się. - Chcę zobaczyć tego, kto będzie miał czelność

powiedzieć mi, że nie mogę odsłuchać nagrań swoich własnych rozmów telefonicznych.

## Rozdział XV

POKONANIE PIERWSZYCH KILKU MIL przyszło im z trudnością. Zdaniem Jesusa znajdowali się gdzieś na wysokości sześciu tysięcy stóp, ale przyrządy wskazywały, że raczej około siedmiu tysięcy. Parzące słońce kłuło swymi promieniami ich ramiona niczym igiełkami. Pokruszone skały i kompletny brak jakichkolwiek charakterystycznych punktów sprawiały, że nawigacja przy użyciu GPS była ciężkim zadaniem.

- Mamy do przejścia trzy mile - powiedział Jesus, gdy zatrzymali się po niemal dwóch godzinach marszu. Wyciągnął mapę i wskazał na wioskę o nazwie Hemfi. - To jest nasz cel. Sześć miesięcy temu holenderski dziennikarz pracujący dla „New York Timesa” przyszedł do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Islamabadzie, twierdząc, że dopiero co wrócił z Karaczi. Powiedział, że pracował nad artykułem o możliwości współudziału jednej z naszych agencji wywiadowczych w porwaniu Danny'ego Pearla. Pamiętasz go? - Jeremy skinął głową. - Ten facet z „Timesa” twierdził, że zaprowadzono go do jakiejś kryjówki, w której grupka byłych żołnierzy talibów, rzekomo walczących po stronie Al-Kaidy w Tora Bora, pokazała mu dokumenty. Powiedzieli, że pomogli alal-Binowi przedostać się z Afganistanu do Pakistanu, a następnie przez Beludżystan do Karaczi, gdzie kupił sobie miejsce na liberyjskim frachtowcu. Ochrona alal-Bina powiedziała, że udaje się on do Somalii, ale ktoś zobaczył konosament, a na nim jako miejsce przeznaczenia figurował Aden w Jemenie.

- I przyjechaliśmy taki kawał tutaj tylko na tej podstawie? - spytał Jeremy.

Sprawy kryminalne czasem bazują na bardzo fragmentarycznych informacjach, ale ta zdawała się niezmiernie skąpa.

- Nasz legat wysłał materiał do Langley, które opracowało wszystko, dodając do tego informacje przechwycone przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego oraz zdjęcia satelitarne. Na ich podstawie istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że alal-Bin, wraz z dwiema

257

żonami, tuzinem dzieci i nieliczną ochroną zaszył się w skupisku domów pięć

klików stąd na wschód, za tamtym nawisem skalnym - mówiąc to, Jesus wskazał na prawo.

- Kurwa, chyba sobie żartujesz? - Jeremy rozejrzał się dokoła. - Mamy dokładne zamiary na jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi na kuli ziemskiej i wysyłają tylko nas dwóch, żeby go złapać? Może czegoś tu nie kapuję, ale co ty chrzaniasz?

Jeremy nigdy nie skarżył się podczas selekcji. Cierpliwie znosił całą śmieszoną biurokrację FBI i dążących wyłącznie do kariery facetów z kwatery głównej. I nawet się nie skrzywił, gdy w Portoryko znalazł się w ogniu walki, nie mając odpowiedniego zabezpieczenia, ale tym razem już zaczynał tracić cierpliwość.

- Przecież nie mamy odpowiedniej broni, noktowizorów, wsparcia z powietrza.... Czy myślisz, że pozwolą nam tam wejść, uścisnąć rękę i zaprosić tego dupka na przejażdżkę do Ameryki, żeby sobie posiedział na krześle elektrycznym? Co zrobimy, gdy zaczną strzelać? Będziemy rzucać w nich kamieniami?

Jesus akurat skończył pierwszą butelkę wody i wstał.

- Zbieraj dupę w troki - powiedział. - Mamy godzinę, by dotrzeć na miejsce.

••

SIRAD MIAŁA MNÓSTWO CZASU, by przemyśleć swój arogancki atak na Amouda.

Spotkanie następcy tronu księcia Abdullaha trwało dłużej niż przewidywano, a to oznaczało, że obydwój z Chrisem musieli siedzieć w olbrzymiej, pustej sali konferencyjnej jako goście strażnika ochrony i jednego zasranego przedstawiciela public relations. Nie ulegało wątpliwości, że jej tyrada na temat pozycji Saudyjczyków zaostrzyła stosunki dyplomatyczne. Gdy w sali robiło się cicho, słychać było bzyczenie lamp fluorescencyjnych dwadzieścia stóp nad głową.

- Ładne masz buty - odezwała się wreszcie do Amouda.

- To Bally - poinformował, wyczuwając jej bardziej ugodowy ton. - Szwajcarska firma.

- Od jak dawna pracujesz dla Jego Wysokości?

- Od siedmiu lat. Chodziłem do Harvardu, gdzie byłem w drużynie wioślarskiej, potem wróciłem do domu i zacząłem pracować w Ministerstwie Spraw

Wewnętrznych. ....>|||.

- Ty byłeś w drużynie wioślarskiej w Harvardzie? - zdumiała się Sirad, uśmiechając się równocześnie. Amoud potrząsnął głową, starając się zrozumieć, co miała na myśli. Od ukończenia szkoły w Phillips Exeter chodził do najlepszych prywatnych szkół w Ameryce. Dlaczego ona miałaby...

- Uwaga! - krzyknął ktoś. - Jego Wysokość właśnie przyjechał! Proszę przygotować się na jego przyjście.

W tym momencie wpadł przez drzwi jeden z sekretarzy księcia, stojący wyżej w hierarchii niż Amoud. Miał czterdzieści parę lat, był bardzo zadbany, a na sobie miał ręcznie szyty angielski garnitur w kolorze kobaltu. Poruszał się miarowym krokiem gracza w krykieta.

- Panno Malneaux - powiedział na powitanie. Chociaż nigdy się nie spotkali, ten człowiek zdawał się natychmiast ją rozpoznawać. A tak naprawdę to już przejrzał najnowszy prospekt o podstawach finansowych Borders Atlantic, przestudiował wszystkie informacje wywiadu na temat Sirad oraz zebrał uwagi od licznych partnerów handlowych. Książę wymagał wyczerpujących informacji.

- Jak się masz? - spytała Sirad wyciągając rękę. Amoud cofnął się i stanął obok Chrisa, sprowadzając swoje funkcje wyłącznie do dekoracji. Był w drużynie Harvardu czy nie, to jego pozycja w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nie upoważniała go do odzywania się w obecności księcia.

- Jego Wysokość będzie tu za chwilę, ale zanim zaczniemy, chciałbym omówić z wami kilka spraw.

Sirad skinęła głową, posyłając mu najpiękniejszy ze swych uśmiechów, ale on to zignorował.

- Jesteśmy nieco spóźnieni, więc pozwólcie...

Nagle drzwi otworzyły się i do sali wtargnęła falanga złożona z ochroniarzy, sekretarzy, policjantów, ekspertów od protokołu, dyplomatów i rozmaitych trzymających się dworu rezydentów. Za nimi w pełnej szacunku pozie - bardziej unizonej, aniżeli pozwoliliby sobie na to jakikolwiek szanujący się dziennikarz na Zachodzie - podążały media; a wśród nich wszystkich stał wysoki, nawykły do przebywania w namiocie książę. Jego kruczoczarne wąsy wspaniale kontrastowały z białymi szatami powiewającymi niczym arabskie sirocco.

- Tak, tak, panno Malneaux - powiedział, podążając ku niej niczym lokomotywa



ciągnąca trzydzieści wagonów. Zatrzymał się dosłownie na wyciągnięcie ręki od Sirad, stając na przedzie tego całego tłumu.

259

' - Jestem księżę Sifir ibn Adin Faisal Abdullah, zaufany przyjaciel Jordana Mitchella i sojusznik Stanów Zjednoczonych - oznajmił świetną angielszczyzną, do której, jak twierdził Amoud, jego wysokość się nie zniży. - Witam w ziemi Allaha.

• |•||| |.- , ||:;|- , :-'||

PIĘĆDZIESIĄT MINUT PÓŹNIEJ JESIJS zatrzymał się tuż pod szczytem wyszczerbionej grani, gdzie dwa olbrzymie wapienne głązy zbliżyły się na tyle, że utworzyły bezpieczny łuk. Jesus schronił się w cieniu, spojrzął na zegarek i gwałtownym ruchem wyciągnął z plecaka butelkę z wodą.

- To tutaj? - spytał Jeremy. Stopy paliły go od ciągłego wchodzenia na stromiznę, a odwodnienie oraz wysokość zaczynały dawać o sobie znać.

- Rozejrzyjmy się - oświadczył Jesus. Sięgnął do plecaka i wyciągnął lornetkę Burrisa. Obaj mężczyźni dyszeli ciężko z powodu rozrzedzonego powietrza i wysiłku.

- Podaj mi współrzędne - rzucił Jesus.

Jeremy nacisnął dwa przyciski, łącząc swój GPS z którymś z dwóch geosynchronizujących satelitów sto mil nad jego głową. Jeszcze pięć lat temu taka technologia kosztowałaby sto tysięcy dolarów i wymagała obsługi ze strony Biura Obsługi Tajnych Informacji. Teraz można ją było kupić, zaciągając kredyt świąteczny w dowolnym banku.

- Mam - oznajmił Jeremy. Wyjął z plecaka mapy rozpoznania geologicznego i na jednym z laminowanych arkuszy zaznaczył coś ołówkiem.

- Teraz podaj mi azymut na to skupisko domów tam w dole.

Jeremy popatrzył przez zwieszający się nisko łuk skalny na łagodnie zbiegające w dół zbocze, które milę poniżej przechodziło w soczystą zieleń pól. W połowie drogi między podnóżem góry a polami stało kilka niezdarnie skleconych chat.

- Sto osiemdziesiąt siedem stopni, kąt nachylenia siedem stopni - zameldował Jeremy. Jesus skinął głową.

- Dobra. Jesteśmy na miejscu.

Jeremy wyciągnął lornetkę i wycelował ją w stronę pięciu lepianek pokrytych

strzechą. Z boku stały wyglądające na nowiusieńkie toyoty land cruiser. Obok studni gromadka dzieci bawiła się patykami. Mógł

260

dostrzec kilka wyższych postaci zgromadzonych dokoła stołu, prawdopodobnie mężczyzn. Miraż sprawiał, że trudno było patrzeć, szczególnie przez soczewki o dużym powiększeniu w lornetce Burnsa.

- Słuchaj, starałem się nie zadawać pytań, a tylko wykonywać to, co do mnie należy - odezwał się Jeremy - ale muszę ci powiedzieć, że to wszystko zaczyna mnie niepokoić.

Jesuis wyciągnął z plecaka tajemnicze czarne pudełko i usiłował ułożyć kamienie na płasko, tak aby uzyskać poziomą powierzchnię.

- Co chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, człowieku, co my tu robimy, bo mówię ci wprost, nie ma takiej forszy, która zmusiłaby mnie do przekradzenia się milę po otwartym terenie i złapania w pojedynkę tego skurwysyna.

Jesus potrząsnął głową.

- Nie będziemy zabierać alal-Bina do Stanów. Zabijemy go.

- Zabijemy? Ajakimż to pieprzonym sposobem? - Jeremy zaczął żałować, że zadał to pytanie, zanim jeszcze skończył je wypowiadać, ale już było za późno, aby cokolwiek cofnąć.

- Jeśli masz problem z wykonywaniem moich rozkazów, to możesz natychmiast zabierać swój praworządny tyłek z powrotem do obozu - brzmiała odpowiedź Jesusa.

Nie przejawiał poczucia humoru.

- Nie mam problemu z wykonywaniem twoich rozkazów — wycofał się Jeremy. -

Chodziło mi o to, że... my dwaj? Przecież nie mamy żadnej broni. A poza tym odkąd to FBI zabija ludzi poza granicami Stanów Zjednoczonych?

Jesus otworzył pudełko i wyjął małe, wsparte na trójnogu urządzenie, wyglądające jak czarne pudełko, w którym nosi się lunch.

- Czasy się zmieniły. Już nie czekamy na terrorystów, żeby nas zaatakowali. To my ich atakujemy. A ty musisz wiedzieć tylko tyle, że ludzie, którzy cię tu wysłali, już zadbali o politykę, a od ciebie oczekują, że wykonasz to, co masz zrobić - oświadczył Jeremy'emu. -A jeśli chodzi o broń, to niczego poza tym nie

potrzebujemy. I nie pytaj mnie, jak to działa - wiem tylko tyle, że jest ciche, dokładne i zabija, nie zostawiając żadnych śladów. Kiedy się ściemni, podkradniemy się na odległość stu metrów do kryjówki alal-Bina i nastawimy to. - Ustawił tarczę znajdującą się z boku niewinnie wyglądającego urządzenia. - Następnym razem jak ten pedał pochyli się, aby podziękować Allahowi za to, że pomógł mu zgotować jatkę Amerykanom, otrzyma wiadomość z nieba prosto w swoją okutaną szmatami dupę.

UI

ASAM ALAL-BIN NIGDY tak naprawdę nie brał poważnie pod uwagę możliwości odwetu ze strony Amerykanów, nawet w czasie wojny w Afganistanie. Swoją olbrzymią majątek przeznaczał na organizowanie rozgałęzionej na wszystkie strony świata siatki terrorystycznej i ciągle poniżał Stany Zjednoczone, pomimo ich olbrzymiego potencjału militarnego. Nie miało znaczenia, że podupadł na zdrowiu - osiągnął to, co sobie zaplanował. Historia honoruje prawdziwych rewolucjonistów, którzy zmieniają świat, a on z pewnością zapewnił sobie miejsce w jej pierwszych rozdziałach, tych poświęconych wojnie.

- Mężu, obiad gotowy - zawołała Liah.

Pomimo swej sławy przywódcy Al-Kaidy i jednego z naj okrutniej-szych światowych terrorystów, alal-Bin nadal wstawał przed świtem, aby się pomodlić, czasem wkładał obie nogi do jednej nogawki i jadł wtedy, gdy jego żony przygotowały posiłek. Rząd Stanów Zjednoczonych mógł próbować odmalować go jako nieuchwytnego i diabelskiego, ale alal-Bin uważał, że jest po prostu człowiekiem. Chorował.

Bał się. Czasem płakał z rozpaczy, ale w końcu zawsze okazywał się wojownikiem, a to była święta wojna mająca na celu ochronę tego wszystkiego, co obiecał Allah.

Jego ludzie walczyli razem od ponad tysiąca pięciuset lat, a on będzie kontynuować tę walkę, aż go zabiją- a wówczas przekaże ją swym synom. Niewierni nigdy nie wygrają, choćby nawet walczyli przez kolejnych tysięcy pokoleń.

- Tato! Tato! Popatrz! - wołał jeden z jego synów. Ośmioletni chłopiec biegał obok, trzymając AK-74, mniejszą wersję, poręczniejszą dla tak młodych wojowników. Jassir, jeden ze starszych rangą osobistych ochroniarzy alal-Bina, rozładował karabin, aby chłopiec nie zrobił sobie żadnej krzywdy. To przecież mimo wszystko było jeszcze dziecko i bez względu na to, jak bardzo jego serce

rwało się do walki, miną jeszcze trzy albo cztery lata, zanim będzie gotów przyłączyć się do dżihadu.

- Jedzenie czeka, synu! - zawołał alal-Bin. - Chodź do stołu! Jego ludzie jedli osobno, ale rodzina zawsze zbierała się razem, aby spożyć posiłek i podziękować Allahowi. Życie było okrutne i niewdzięczne, ale Bóg był dobry dla niego i dla jego uczniów. Był bogaty, sławny, miał miliony wiernych mu ludzi i w raju zapewnione miejsce przy stole. Ilu ludzi mogło się poszczycić takimi osiągnięciami?

262

Alal-Bin zebrał się wraz ze swymi ostatnimi dwiema żonami i dziećmi, które mu jeszcze pozostały (reszta umarła lub zginęła podczas bombardowań w Afganistanie) wokół stołu wykonanego z drewna cyprysowego. Skłonił głowę, pobłogosławił żywność i zaczął jeść.

- To powiedz mi, ojcze - spytał najstarszy syn - kiedy zobaczymy tę nową broń, która, jak mówisz, pomoże nam zestrzelić orła?

Muhammad był wysokim, potężnie zbudowanym dwudziestojednoletnim młodzieńcem o czarnych, błyszczących oczach, takich, jak u jego matki. Alal-Bin widział, jak chłopak walczył w Afganistanie, i napawało go to dumą. Gdyby nie bombowce B-52 i pociski rakietowe, to Al-Kaida i goszczący ją talibowie rozdeptaliby butami siły Sojuszu Północnego jak zgniłe granaty.

- Mogę ci ją zaraz pokazać - powiedział alal-Bin, odkładając kawałek płaskiego chleba i sięgając do kieszeni. Dopiero kilka godzin temu jeden z jego kurierów przywiózł to niebywałe urządzenie z Najra-nu wraz z zakupami żywnościowymi. Wyciągnął jasnoszary telefon komórkowy wielkości karty kredytowej. Z wierzchu na obudowie widniał napis Borders Atlantic, a w dolnym prawym rogu Quantis.

- Co to takiego? - spytał Muhammad, spoglądając spode łba. - Jakiś rodzaj telefonu? Jak coś tak małego pomoże naszym bojownikom prowadzić dżihad?

- Małego? - odpowiedział pytaniem alal-Bin, starając się nie podnosić głosu na syna o wiele silniejszego od niego. - Zabiliśmy trzy tysiące za pomocą noży do rozcinania papieru! Muhammad, w dżiha-dzie nie chodzi o technikę przydatną w dniu Sądu Ostatecznego, ale o porażenie naszych wrogów bronią, której nie mogą zobaczyć. Oni szukają broni jądrowej, chemicznej, bakteriologicznej - a my damy

im cień i powietrze. Cień i powietrze. Zobaczysz.

Alal-Bin zjadł kilka kęsów, żując jedzenie i nasłuchując, czy jego ludzie już zjedli. Cień i powietrze to było wszystko, czym dysponował. Jasne, że miał swoich ludzi w Ameryce, ale większość z nich mieszkała w zdewastowanych mieszkaniach i zdobywała pieniądze na kolejne akcje za pomocą szwindli z kartami kredytowymi i drobnych kradzieży. Agencje wywiadowcze takie jak FBI i CIA nie chciały się przyznać, że nie potrafią powstrzymać luźno powiązanych grup samotnych osób, wobec tego wymyślały wielkie historie, aby wyglądało, że jest on wart tych wysiłków. .t

263

Oczywiście media sprawiały, że wszystko było możliwe. Nawet najmniejszy atak wywoływał reakcję łańcuchową terroru, rozprzestrzeniającego się przez okrągłą dobę do miejsc, do których nigdy nie mógłby dotrzeć, nawet przy pomocy najbardziej oddanego samobójcy. Telewizja była wszędzie, zarówno w najbiedniejszych zakątkach, jak i w pokoju obrad w Białym Domu, i to ona, a nie bomby, była jego największą bronią. Rozpowszechniała bez przerwy przerażające obrazy, powodując zmiany w sposobie patrzenia na amerykańską dominację. Wybuch bomby trwa sekundę, ale media będą się tym zajmować przez wiele dni. Wypowiedzi mędrców - tych tak zwanych ekspertów, którzy tak naprawdę nic nie wiedzieli o nim ani o jego operacjach - rozsiewałyby strach. I niepewność. A potem przyszlaby kolej na polityków, którzy zaczęliby wydawać miliardy dolarów na zapewnienie bezpieczeństwa na lotniskach, na operacje wywiadowcze, a zaraz potem obywatele zaczęliby wytaczać procesy temu właśnie rządowi, który próbuje ich chronić. Biznesmeni zaczęliby wycofywać swoje inwestycje, obawiając się krachu gospodarczego. I w końcu Zachód zmarnowałby miliardy, które mogłyby przeznaczyć na budowę szkół, szpitali i autostrad.

- Nigdy nie zapominaj, że naszą najważniejszą bronią jest kapitalistyczna chciwość naszego wroga. - Mówiąc to, wziął telefon z rąk syna i trzymał go jak kielich. - Amerykanie przywieźli Saudyjczykom nową technologię - te telefony komórkowe, które działają na zasadzie przekazu satelitarnego jak nasz NMARSAT, ale na dodatek są na tyle tanie, że na ich kupno stać naszych biedaków. - A więc mogą łatwiej szerzyć zachodnią kulturę wśród islamu - psioczył Muhammad.

- Zachodnią dekadencję. Jeszcze jeden dowód na to, że dynastia Sauda jest tylko lokajem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Zaczekaj - przestrzegł go alal-Bin. - Kieruj się rozumem, a nie emocjami.

Pamiętaj, co powiedziałem o cieniach i powietrzu, i bądź sprytniejszy od wroga.

Te nowe telefony pozwalają na bezpieczne komunikowanie się - tak bezpieczne, że nawet komputery NASA nie są w stanie nic wyłowić. Dają nam system łączności, którego potrzebujemy, aby zgromadzić nasze siły. Rząd Stanów Zjednoczonych starał się wszelkimi sposobami zapobiec sprzedaży tej technologii. Mamy na to dowody, których dostarczył nam nasz wywiad. Mamy też artykuły prasowe i reportaże telewizyjne. : ; | f

264

Alal-Bin pozwolił sobie na lekki grymas. Oto dlaczego zawsze będzie go cieszyć uzyskanie przewagi nad niewiernymi, bo oni ponad wszystko czczą chciwość i zysk i sprzedają mu wszystko, czego potrzebuje, nie zważając wcale, że może on spróbować wykorzystać to przeciwko ich rodzinom. I dlatego maklerzy z Wall Street, właściciele olbrzymich firm telekomunikacyjnych i miejscowi prezesi izb gospodarczych - wszyscy oni byli jego współnikami, bez względu na to, czy o tym wiedzieli, czy też nie.

- A co, jeśli to prawda? W jaki sposób tego użyjemy? - zapytał Muhammad.

- Niedługo planujemy wielką operację - uśmiechnął się alal-Bin. Knuli ją już od miesięcy. - Będziesz z niej bardzo dumny. Zobaczysz.

•

FORT MEADE W STANIE MARYLAND wyróżniał się pod wieloma względami, w tym także

największą w kraju liczbą matematyków, drugim co do wysokości rachunkiem za energię elektryczną w całym stanie i nawymyślniejszymi na świecie sposobami pozyskiwania informacji wywiadowczych. Przyczyna tego była prosta, choć może mało znana: Fort Meade to siedziba Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), super tajnego ramienia Departamentu Obrony. I on też otrzymuje najwięcej pieniędzy ze wszystkich agencji finansowanych na mocy ustawy dotyczącej kwot wyasygnowanych na rzecz wywiadu.

Elizabeth Beechum wraz ze swym sekretarzem skręcili z Balti-more-Washington

Parkway w kierunku wschodnim na dziwny, specjalnie zbudowany zjazd, na którym natychmiast cały ruch rozpiezchał się wśród labiryntu bram, drutu kolczastego i betonowych ścian. Gdy James przejeżdżał obok uzbrojonego po zęby mężczyzny w czarnym kombinezonie i w kamizelce kuloodpornej, kamery śledziły każdy ich ruch.

- Witaj w Czarnej Dziurze przy skrzyżowaniu i drodze na Annapolis - powiedział James. Ze wszystkich instalacji bezpieczeństwa, jakie zwiedzał z senator Beechum, tutaj czuł się najbardziej nieswojo.

- Uważaj - uśmiechnęła się Beechum. - Przecież wiesz, że wszystko słyszą.

„Kryptomiasto” - tak to miejsce nazywali w nim pracujący - wywarło na niej wrażenie takie, jak jeden z tych szpiegowskich filmów z lat

265

siedemdziesiątych, na których każdy jeździ sobie gokartem i twierdzi, że ma na imię John lub Jane. Ta kultura była ukryta przed resztą świata, cała społeczność żyjąca za murami i mająca własne szkoły, posterunki policji i straży pożarnej, kina i szpitale. A nawet własny uniwersytet-Krajową Szkołę Kryptologii.

Bez cienia przesady każdy na tym terenie mógł urodzić się, prze-mieszkać tu całe życie, a następnie umrzeć, nie wysuwając nawet nosa na zewnątrz.

Elizabeth Beechum wiedziała tyle o Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, co każdy inny obywatel mieszkający poza tym terenem mógł wiedzieć. Odwiedzała Kryptomiasto wielokrotnie, kiedy była w Komisji do spraw Wywiadu, i pewnego dnia, gdyby nie to, co się wydarzyło, miałaby tu jakąś ulicę, budynek lub siłownię swego imienia. Nikt inny w Kongresie nie walczył bardziej zażarcie o finansowanie projektów, które wielu senatorów uważało za zbędne. Gdyby nie jej pozagabine-towa polityka, to programy takie jak superkomputer Cray Y-MP EL, umożliwiający analitykom z NSA słuchanie i tłumaczenie wielu przekazów dokonywanych za pośrednictwem mikrofal, nigdy nie wyszłyby poza fazę projektu. Jednak po dzisiejszej wizycie nie należało oczekiwać czerwonego dywanu ani przejść dla VIP-ów. Beechum stała się persona non grata wszędzie tam, gdzie były wymagane specjalne przepustki, i jedyny sposób, w jaki James mógł przeprowadzić ją przez bramkę, polegał na zadzwonieniu do starego przyjaciela, pułkownika lotnictwa, niebawem wybierającego się na emeryturę, który nie miał problemu z wyświadczeniem takiej przysługi. Beechum mogła wejść, tylko i wyłącznie mając

plakietkę z wielką literą „V”, co oznaczało, że musi ją ktoś wprowadzić. Było to nieco upokarzające, zważywszy na to, kim była, ale pani senator to rozumiała.

- James Appleton i Elizabeth Beechum.

James mówił do okienka, przypominającego okienko do wydawania zamówień w McDonalddie. W ciągu kilku sekund jakiś głos kazał im przejść dalej, więc podjechali do ufortyfikowanej budki strażniczej, gdzie umundurowany oficer do spraw bezpieczeństwa Departamentu Obrony sprawdził ich tożsamość. Wartownik wręczył Jamesowi mapę terenu, tymczasowe pozwolenie na skorzystanie z parkingu oraz wydrukowane przepisy dotyczące bezpieczeństwa. Zasalutował pani senator i machnął ręką. i

266

Po kilku minutach weszli do ogromnego, jedenastopiętrowego budynku będącego kwaterą główną NS A. Wyglądał jak każdy biurowiec korporacji, był zbudowany z odbijającego światło szkła i cementu, ale Beechum wiedziała na jego temat nieco więcej. To centrum całego kompleksu, w którego skład wchodziło sześćdziesiąt budynków, było tylko atrapą. Tak jak niektóre architektoniczne metafory, prawdziwa struktura tego budynku kryła się za jego fasadą - to była budowla wewnątrz innej budowli. Ta prawdziwa została cała pokryta miedzią, aby nie przedostały się przez nią żadne impulsy elektroniczne. Miała też odporne na eksplozje okna, które zostały specjalnie skonstruowane, aby wygłuszyć dźwięki i uniemożliwić podsłuch.

- Bez względu na to, ile razy tu byłam, za każdym razem wydaje mi się, że znajdujemy się w jakimś istniejącym gdzieś równoległym wszechświecie - powiedziała Beechum, gdy szli przez hol wejściowy. Była już w Langley, Camp Peary, Harvey Point i w kilku jeszcze podobnych miejscach, ale Fort Meade to był jak gdyby inny świat.

- Jak się czujesz? - zapytał ją James. Takiego ścisku w żołądku nie odczuwał od chwili, gdy w college'u poprosił Jenny Siebert do tańca.

- Mam nadzieję, że jesteś tak sprytny, za jakiego cię uważam, bo jeśli „Washington Post” napisze, że starałam się przeniknąć do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i wykorzystać swoją pozycję do wymuszenia ujawnienia ściśle tajnych informacji, to zamkną mnie, a klucz wyrzucą.



Beechum wraz ze swym sekretarzem weszli do głównej części.

- Szefowo, oskarżono cię o popełnienie morderstwa, więc myślę, że już postanowili, gdzie wyrzucą klucz.

SIRAD POSTĄPIŁA KROK NAPRZÓD, aby podać księciu rękę.

- To zaszczyt poznać Waszą Wysokość - powiedziała. Mówiła głośno i płynnie po arabsku, jak rodowita Arabka. - Przywożę najwyższe wyrazy szacunku od pana Mitchella i całej rodziny, jaką tworzą pracownicy Borders Atlantic.

Dziennikarze przepychali się za jej plecami i kordonem, jaki tworzyła satynowa taśma, ale nikt z otoczenia księcia nawet nie drgnął ani też nie ośmielił się odetchnąć. Tego przecież nie było w scenariuszu.

267

- Jaki śliczny kostium - odezwał się książę, znowu po angielsku. Kamery kręciły, błyskały, a doradcy księcia spoglądali na siebie nawzajem. Książę Abdullah rzadko kiedy robił komentarze zastrzeżone raczej dla „French Vogue”, a już szczególnie podczas sesji zdjęciowych z powodu zawarcia kontraktów handlowych. - Jednej z moich żon na pewno bardzo by się podobał.

- Cóż, dziękuję - odparła Sirad nadal po arabsku. Książę skłonił głowę, podziwiając jej doskonały libański akcent i sposób, w jaki oczy Sirad napępniały energią każdego, kto znalazł się w pobliżu. Miały niemal hipnotyczne właściwości.

- Więc proszę powiedzieć mi coś o tym nowym przedsięwzięciu, które startuje dziś po południu. - Wyjął rękę spod fałd swojej białej szaty, jak gdyby czekając na prezent.

- Tak, oczywiście. - Sirad stała wyprostowana jak struna, wiedząc doskonale, że to, co powie, znajdzie się w telewizji, a jutro rano na stronach prasy ekonomicznej. - Nowe partnerstwo Borders Atlantic z dynastią Saudów sprawi, że Arabia Saudyjska będzie liderem w dziedzinie telekomunikacji i to w czasie, gdy technologia związana z przekazem informacji równa się władzy.

Aczkolwiek nauczyła się na pamięć tekstu, który dał jej Bartholomew, teraz wydawało się, że mówi go od siebie.

- Nasz telefon Quantis działa w oparciu o technologię zaszyfrowanego cyfrowego zapisu przekazu, co zapewnia absolutne bezpieczeństwo zarówno treści słownej, jak obrazowi i to za cenę niemal taką samą jak działające obecnie systemy -

wyjaśniła. - Technologia SBT wykorzystuje sieć satelitów, wobec tego nie są potrzebne kosztowne wzmacniacze, jak w przypadku konwencjonalnych telefonów komórkowych. Mniejsza infrastruktura to mniejsze koszty utrzymania, a więc większe zyski. A ponieważ nasz system zapewnia przekaz i odbiór w zakresie tysiąca sześciuset-tysiąca dziewięciuset megaherców, to telefonów tych będzie można używać niemal wszędzie.

Książę kiwał głową, uśmiechając się. Wiedział, że tak jak w przypadku większości jego publicznych wystąpień, wszystko było tu z góry ustalone, jednak zdawał się tym nie przejmować. I co prawda jego doradcy spoglądali na zegarki, rzucając niecierpliwe spojrzenia, ale saudyjskiemu przywódcy nie było spieszno rozstawać się z Sirad.

- I jesteśmy pierwszym krajem na świecie, który będzie to mieć! -wykrzyknął.

268

- Pierwszym - przytaknęła Sirad.

> - Cudownie! Gdzie jest to cudo, które pani mi przywiozła? «\*+ I Sirad wolno sięgnęła do torebki. Wszędzie wokół siebie dostrzegła ręce na kaburach pistoletów oraz luźno wiszące karabiny maszynowe. W tej sali było tyle broni, że wyczuwało się zapach płynu do jej czyszczenia, który zdominował ciężką woń wody kolońskiej.

- To pierwszy aparat telefoniczny Quantis, jaki zostanie użyty poza obrębem naszych laboratoriów - kłamała Sirad. Kilku najważniejszych prezesów posługiwało się tymi telefonami już od miesięcy i według Chrisa były już tak popularne, jak falafel na Bliskim Wschodzie.

- Wasza Wysokość, mamy bardzo napięty program - wtrącił się jakiś mężczyzna. Piastował tak wysokie stanowisko, że książę nie uciszył go ruchem ręki.

- Tak, oczywiście - powiedział potomek rodu Saudów, biorąc z ręki Sirad piękne hebanowe pudełeczko. W środku znajdował się telefon, który Bartholomew pokazywał Sirad. Jego obudowa była wykonana z platyny i ozdobiona przyciętymi w kwadrat brylantami oraz szmaragdami. Grawerzy wyryli saudyjską flagę tuż ponad logo Quantis. To był jedyny aparat telefoniczny, jaki kiedykolwiek ozdobił Harry Winston.

- Dziękuję, panno Malneaux i rozumiem, że zaszczyt odbycia pierwszej rozmowy w

technologii SBT przypada mnie?

- Tak jest, Wasza Wysokość - przytaknęła z uśmiechem Sirad. - Minister spraw wewnętrznych Waszej Wysokości ma taki sam telefon, jest teraz w Rijadzie i czeka na wiadomość. To wybieranie proste, jedynka, a potem trzeba nacisnąć „send”.  
Twarz księcia rozjaśnił szeroki uśmiech. Ta mała ceremonia była czymś więcej aniżeli tylko sesją zdjęciową z amerykańskim partnerem handlowym; dla całego świata arabskiego na Bliskim Wschodzie była krokiem naprzód w komunikowaniu się za pomocą telefonów bezprzewodowych. W ciągu tygodnia jordańscy handlarze wielbłądów będą mieć łączność z giełdą towarową w Chicago. Dzisiejszy dzień otwierał całkiem nową erę, a on odegrał w tym bardzo ważną rolę.

- Halo, Ali! - zawołał do telefonu. - Słyszysz mnie?

•

JORDAN MITCHELL JUŻ OD GODZINY siedział przy biurku, kiedy przyszedł Trask, aby poinformować go, że łączność satelitarna

269

została nawiązana. Zeszli na dół cztery kondygnacje schodów do Pokoju Wojennego, gdzie dwóch ekspertów od elektroniki właśnie skończyło szukać ewentualnych urządzeń podsłuchowych. Mitchell wiedział aż nazbyt dobrze, jak daleko mogą posunąć się rywale, byle tylko poznać jego tajemnice.

- Gdzie jesteśmy?-spytał.

Trask wskazał pilotem przeciwległą ścianę. - Siedemnaste piętro właśnie zsynchronizowało obraz wideo naszego naziemnego obiektu. - Dwa olbrzymie, sięgające od podłogi do sufitu panele rozsunęły się na boki, odsłaniając ekrany telewizyjne oraz białe tablice. Zazwyczaj to centrum telekomunikacji służyło członkom zarządu jako sala do konferencji interaktywnych i slajdów w Power Poincie, ale dziś miał się tu odbyć pokaz o wiele bardziej interesujący.

- Rozpoznanie pozytywne - ciągnął dalej Trask. - Snajperzy przesunęli się na wysunięte stanowisko strzeleckie, poza wioską.

- A co z Sirad? - warknął Mitchell.

- Księżę właśnie zadzwonił do swojego ministra spraw wewnętrznych. Kanały telewizji kablowej powinny podać informację o tej transakcji lada moment.

- Doskonale.

Mitchell patrzył, jak obraz wideo miga na trzech ekranach telewizyjnych o wysokiej rozdzielczości obrazu - był to przekaz bezpośredni przechwycony z satelity szpiegowskiego KH-11 Narodowego Biura Rozpoznania\*, ponieważ przekazywał on zaszyfrowane informacje szpiegowskie za pośrednictwem jednego z geosynchronicznych satelitów komunikacyjnych należących do Borders Atlantic. Aczkolwiek rządowe agencje zajmujące się wywiadem regularnie kupowały dodatkowe częstotliwości od cywilnych firm telekomunikacyjnych, tylko Borders Atlantic udało się złamać ich kody i uzyskać dostęp do przekazywanego obrazu. Właściwie wszystko, co tylko było przetwarzane przez wojskowy program Taktycznego Wykorzystania Możliwości Krajowych, mogło zostać przechwycone przez należące do Mitchella centrum dowodzenia na siedemnastym piętrze, a w tym i to, co robią w danej chwili ci dwaj mężczyźni w Jemenie. Przekaz najpierw wędrował

\* Narodowe Biuro Rozpoznania (National Reconnaissance Office/NRO), jedna z agencji Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

270

do stacji w Onizuka w Sunnyvale w Kalifornii, a potem do należącego do CIA Ośrodka Odczytywania Zdjęć w Waszyngtonie.

Na jednym ekranie widać było dość szeroki obraz przedstawiający pięć skleconych z gliny chałup na pustynnej równinie. Na dwóch pozostałych widniał ten sam obraz, ale pod pewnym kątem i był tak wyraźny, że Mitchell i Trask mogli powiedzieć, jak ubrani są tamci ludzie, nawet pomimo jasnozielonej poświaty, jaką dawały działające na podczerwień urządzenia wzmacniające obraz. Postaci zdawały się ukrywać w cieniu dwóch wielkich skał.

- Który z nich to Waller? - zapytał Mitchell. Widział w aktach zdjęcie

Jeremy'ego, czytał o nim w dokumentacji HRT, a nawet miał fotografie jego rodziny. Ale żadne z nich nie mogło się równać z tymi migawkami na ekranie.

- Ten po prawej stronie. Widzi pan? Smith jest niższy i ma telefon NMARSAT.

Spojrzał na zegarek. Była 8.17. Dubaj to czas Żulu plus pięć godzin, a więc dziewięć godzin później i godzina różnicy w porównaniu z Jemenem. Ta operacja rozciągała się przez trzy strefy czasowe, przez tysiące mil i w jawnej sprzeczności ze wszystkim, co uczeni jeszcze kilka lat temu uważali za możliwe. Ale oto to wszystko działo się na jego oczach. I kto to powiedział, że za

pieniądze nie można mieć wszystkiego?

- A więc kiedy to nastąpi? - zapytał Mitchell. Nie lubił czekać na próżno.

- Nie ma możliwości przewidzieć dokładnie kiedy, sir. Na pewno w ciągu godziny. Pomyśleliśmy o każdej możliwej ewentualności, ale niestety, nie da się przewidzieć wszystkiego.

Mitchell osobiście zaaprobował każdy aspekt tego planu, ale wiedział, że pomimo wszystkich przygotowań, miliardów dolarów, spotkań, badań, ryzyka oraz niewkalkulowanych w sukces korzyści, to przedsięwzięcie zależało teraz od dokonań człowieka - tej zmiennej, której nigdy nie nauczył się w pełni kontrolować.

•

JESUS LEŻAŁ UKRYTY w cieniu starożytnej kamiennej ściany i powoli nakładał na twarz farbę kamuflażową, czekając na odpowiednią chwilę. Spoglądał z troską na Wallera.

271

- A więc wysiudano cię z listy, co?

- Listy? O czym ty mówisz? - spytał Jeremy, sprawdzając, czy dobrze pokrył farbą wszystkie części ciała. Leżał na odległość rzutu kamieniem od jednego z najniebezpieczniejszych ludzi i jedyną jego osłonę stanowiła ciemność nocy.

- No, wiesz... najlepszych strzelców. Jeremy potrząsnął głową. Różnica pomiędzy zbiórką Lottspeicha

a tym usianym skałami piekłem wydawała się nie do przebycia. - No, tak, do przyszłego piątku powinienem go pokonać. Sądzę, że do tego czasu będziemy już w domu?

- Lepiej, żebyśmy byli - stwierdził Jesiis. Wyciągnął z plecaka telefon NMARSAT i zaczął ustawiać podobną do laptopa klawiaturę tak, aby namierzyć satelitę. - Jeśli będziesz dłużej na dniach wolnych z powodu złego stanu zdrowia, to będzie notatka od lekarza.

- Od lekarza? O czym ty, do cholery, mówisz?

- Wziąłeś czwartek i piątek wolne na podreperowanie zdrowia. Musimy wrócić na poniedziałkową poranną odprawę albo wylatujemy.

Jeremy myślał przez chwilę, gdy tymczasem Jesiis ustawiał ten swój jakiś

przyrząd na płaskiej skale.

Nie chciał robić z siebie idioty, zadając więcej pytań, ale to wszystko nie miało za grosz sensu.

- Chłopie, pomóż mi, bo nic nie kapuję. To znaczy, że wzięliśmy dni na podreperowanie zdrowia, żeby załatwić to gównno?

- A co ty sobie wyobrażasz, że tak po prostu znikniemy i nikt nie będzie zadawać żadnych pytań? Albo bierze się dni dla podreperowania zdrowia, albo urlop wypoczynkowy, ale w tym drugim przypadku musisz podać telefon i adres, pod którym jesteś, i odpowiadać na wiadomości na pagerze.

- To znaczy, że to nie jest żadna akcja? Jesiis!

i - Jesus, to znaczy, że wołasz mnie, czy też Pana Boga?

- Co?

- Nigdy nie wiem, co wy, dupki, macie na myśli, gdy wrzeszczycie „Jesiis”.

Trzeba by być jakimś pieprzonym jasnowidzem.

Jeremy położył głowę na skale, a tymczasem Jesiis wystukiwał jakiś numer na klawiaturze telefonu. To znów zaczynało wyglądać jak selekcja. Albo był zbyt zmęczony, aby wykapować z tego cokolwiek, albo miał halucynacje.

- Robiłeś już przedtem takie rzeczy, prawda?

272

Jesus skinął głową.

- Sierra Jeden na stanowisku - mówił do telefonu. - Proszę o rozwiązanie kompromisowe i pozwolenie przejścia na pozycję Zielony.

Jeremy zczekał, aż jego dowódca skinie głową, rozłączy się i schowa telefon.

- Nie miej moralnego kaca, Waller. Pamiętam pierwszą akcję, jeszcze gdy byłem w Delta Force. Zostałem przypisany do szwadronu A, było to wtedy, gdy Irak przygotowywał się do ataku na Kuwejt.

Jeremy podniósł głowę. Jesus prawie nigdy nie wspominał tamtych czasów.

- Wraz z grupką marines zostaliśmy przeniesieni na Diego Garcia. Przyszeli oficer i wybrał trzech z nas na coś, co miało być, jak powiedzieli, tajną akcją po cywilnemu. Trzydzieści sześć godzin później dopadliśmy jakiegoś chudzielca w bunkrze po irackiej stronie granicy. Wysunięte stanowisko zwiadowcze. Wiedziałem wtedy o akcji tyle samo, co ty tym razem: nic.

Jesus poruszył się, próbując ułożyć nieco wygodniej na kamienistym podłożu.

- Mieliśmy ze sobą tajnego agenta, lingwistę. Nie byłem jeszcze wtedy w szkole językowej, więc za diabła nie rozumiałem, o czym była mowa. Ale było mnóstwo wrzasku i nieco krwi. Ten facet z Agencji dobrze się wystraszył i wyglądało na to, że sprawy nie posuwają się z miejsca. Więc jeden z nas wyszedł do przodu, trzymając butelkę po coca-coli pełną benzyny. I wylewa tę benzynę na buty chudego. Nigdy tego nie zapomnę; miał buty typu huskies, no wiesz, takie jakie sprzedają w Kmarcie.

Mówią temu lingwiście, żeby zapytał tamtego jeszcze raz. Oczy tego chudego robią się coraz większe, ale nic nie mówi. Więc tamten przykłada zapalnik - i wybucha ogień. Ten zasraniec pali się niczym grill.

Ale chudzielec jest zbyt zdumiony, aby krzyczeć. Gapi się przez kilka sekund, aż płomienie obejmują jego spodnie i wżerają się w buty. I wtedy zaczyna krzyczeć, to znaczy naprawdę ryczy. A tamten w jednej ręce trzyma koc, a w drugiej butelkę po coca-coli i tylko wzrusza ramionami, coś w tym stylu: „No i co?”. I nigdy tego nie zapomnę - raptem tamten zaczyna śpiewać Billie Jean. Po angielsku. Ja pierdołę!

273

Śpiewa piosenkę Michaela Jacksona, gdy palą mu się gacie. To była absolutnie najidiotyczniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

Jesus potrząsnął głową.

- Pierwszy podpalony facet, którego widziałem - stwierdził. - Nie martw się o te swoje wolne dni na podreperowanie zdrowia. Zapewniam cię, że wrócimy na czas. Teraz uporajmy się z tym. Mamy zielone światło.

Faza III

W dół, w dół, w dół. Czy to spadanie nigdy się nie skończy? „Ciekawe, ile mil już spadłam? - odezwała się na głos. - Pewnie zbliżam się do środka ziemi”.

Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów

•\*1

Rozdział XVI

ASAM ALAL-BIN SKOŃCZYŁ jeść obiad. Był zadowolony z minionego dnia. Choć w ostatnim roku warunki, w jakich przebywał, uległy radykalnej zmianie, to

potrafił utrzymać dwie rzeczy, które wciąż jeszcze miały dla niego znaczenie: rodzinę i Al-Kaidę. Amerykańskie bomby zniszczyły ogromną część Afganistanu i zabiły tysiące ludzi, ale tylko nieliczni z nich byli członkami Al-Kaidy.

Większość zabitych to wojownicy talibów, którym doprawdy wcale nie zależało na dżihadzie. Walczyli, bo tylko to umieli robić. Afgańczycy to przeważnie okrutni i brutalni ludzie, którzy nigdy nie zaznali pokoju. Dla kraju, który w walce z Rosjanami utracił niemal całe jedno pokolenie, walka z Amerykanami to zaledwie potyczka.

Nie można zaprzeczyć, że Amerykanie jednak zmusili go do opuszczenia Afganistanu, ale to było fałszywe i pozorne zwycięstwo. Amerykańskie siły zapędziły większość wojowników Al-Kaidy w ślepy zaułek, ale wtedy nagle, ku zdziwieniu wszystkich, pozostawili otwartą tylną furtkę i każdy mógł sobie spokojnie przejść do Pakistanu. To był błąd tak głupi i arogancki, że większość wojowników uznała to za pułapkę, ale zasadzki nie było. Toteż wymknęli się z Tora Bora do kraju, którego Stany Zjednoczone nie mogły zbombardować ani zaatakować. Sympatycy Pusztunów z północno-zachodniej przygranicznej prowincji ukryli jego ludzi, a potem przerzucili na południe tym samym szlakiem, którym od wieków szmuglowali broń, narkotyki i skradzione towary.

Alal-Bin pamiętał, jak pięć dni po opuszczeniu Afganistanu wypływał na frachtowcu z portu w Karaczi. Bush i Rumsfeld zmarnowali miliardy, starając się wszystko zniszczyć, a tymczasem on i jego główni doradcy po prostu odeszli.

- Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu! Pif-paf!

Inny z jego synów biegł, trzymając kij w ręku; bawił się w wojnę, tak jak to mali chłopcy zawsze robili i będą robić.

278

- Uważaj! - krzyknął ojciec. Tu trudno było o leki i środki opatrunkowe. Gdyby chłopiec potknął się i skaleczył, to mógłby napytać biedy. - Mama cię zbije, jeśli coś sobie zrobisz!

Uśmiechnął się, widząc, jak wyrosły jego dzieci. On sam przez całe życie bardziej poświęcał się wojnie z Zachodem aniżeli rodzinie i teraz czasem tego żałował. Tutaj przynajmniej wszyscy byli bezpieczni i mógł spędzać z nimi więcej czasu. Jemen to świetna kryjówka. To była ojczyzna jego matki, rozległa pustynia



rzządzona przez plemiennych władców i z dala od kontroli jakiegokolwiek rządu w stolicy. To byli jego ludzie, kuzyni, wujowie i wojownicy, którzy rozumieli, co zrobił dla islamu. Szanowali go, uważając za wielkiego arabskiego wojownika. Nadawali dzieciom jego imię, a męczennicy, gdy wyruszali na akcję z bombą za pazuchą, mieli w kieszeni jego zdjęcie.

- Asam! - krzyknął do niego jeden pułkowników. Ten człowiek dobrze mu służył od samego początku, od dnia Wielkiego Poświęcenia, kiedy to jego męczennicy obalili wieże World Trade Center i rzucili Amerykę na kolana. -Asam, czas zadzwonić! Alal-Bin wyszedł na zewnątrz i zbliżył się do surowego drewnianego stołu, na którym były rozłożone najrozmaitsze dokumenty z wyjątkiem najściślej trzymanyh w tajemnicy szczegółów dotyczących kolejnego ataku. Stali tam już jego dwaj główni doradcy oraz kilku członków ochrony, czekając na informacje dotyczące najnowszego przedsięwzięcia, dla którego kryptonim („Ślub") wymyślił sam alal-Bin.

- Jesteśmy gotowi? - zapytał. ; Jeden z doradców, jemeński kupiec, skinął głową. - Saudyjczycy właśnie oznajmili o zawarciu kontraktu z Borders Atlantic - powiedział. - Nasz człowiek w Rijadzie dzwonił, żeby się dowiedzieć, czy to prawda.

Ten kupiec mówił niewiele, ale jego słowa były istotne. Utrzymywał kontakty z ważnymi ludźmi w rządach państw nad Zatoką Perską, a jedno jego polecenie było w stanie poruszyć rzesze ludzi.

- Tawakilt al Allah (w Bogu nadzieja) - powiedział alal-Bin. Szeroka siatka wywiadowcza Al-Kaidy zaaprobowała użycie nowego telefonu, twierdząc, iż jej wtyczki na dworze Saudów uważały, że jest on bezpieczny.

- Allah huakbar ... -jeden z mężczyzn zaczął się modlić miękkim, śpiewnym, rytmicznym głosem. Inni przyłączyli się do niego. - Allah huakbar, Allah huakbar...

279

Alal-Bin czekał, aż skończą, a potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej cienki jak wafelek telefon. Przez chwilę zarówno on sam, jak i jego ludzie patrzyli na to urządzenie świadomi zagrożenia. Pomimo zapewnień o jego bezpieczeństwie i znaczeniu jako narzędzia służącego do kontaktowania się, ten telefon stwarzał

równocześnie bardzo realną groźbę. Amerykańskie oraz izraelskie służby wywiadowcze ukrywały w telefonach komórkowych ładunki wybuchowe - raz taki przypadek przydarzył się nawet alal-Binowi.

Po denerwującym czekaniu telefon zadzwonił - tak jak było umówione, telefonował pewien Marokańczyk mieszkający obecnie w Damaszku. Alal-Bin, błędnie mniemając, że jakakolwiek bomba ukryta w telefonie może być zdetonowana przez nadchodzący impuls, podał aparat jednemu ze swoich najbardziej skłonnych do poświęcenia ochroniarzy.

- Tak? - powiedział ten, odbierając rozmowę. Jeśli odczuwał jakieś zdenerwowanie, to dobrze je maskował. - Jest tutaj. Proszę zaczekać.

Alal-Bin wziął telefon.

- Halo, halo... Fawaz! - mówił głośno i wyraźnie.

Po głębokim oddechu przez twarz jemeńskiego handlarza przemknął uśmiech. Telefon działał dokładnie tak, jak osoba kontaktowa w Rijadzie zapewniała.

- Powiedz nam, co nowego w sprawie „Ślubu”? - ciągnął dalej alal-Bin. Szybko notował coś na skrawku papieru, a w głosie w słuchawce słychać było coraz większy optymizm w związku z pozytywnym rozwojem wypadków. Wszystkie elementy tego śmiałego spisku pasowały do siebie doskonale, a telefon Borders Atlantic był odpowiedzią na j ego modlitwy.

•

SPOŚRÓD CZTERNASTU niezależnych agencji wywiadowczych, jakie działają w Stanach Zjednoczonych, na NSA przypada 45 procent budżetu przeznaczanego dla wszystkich tych agencji, dostarcza ona 90 procent danych zdobytych na podstawie przechwycenia sygnałów i ponosi niemal całą odpowiedzialność za technologie szyfrowania i łamania kodów. Chociaż CIA i FBI cieszą się największym zaufaniem, to NSA chętniej się, iż robi więcej dla zapobieżenia aktom terrorystycznym wymierzonym w Stany Zjednoczone niż wszystkie jej rywalki razem wzięte. I chyba ma rację.

280

- Zawsze przechodzą mnie ciarki, ilekroć jestem w tym miejscu - powiedział James, stojąc w głównym holu wejściowym do budynku kwatery głównej i działań operacyjnych. Centrum kontroli osób wchodzących sięgało wysokości dwóch pięter,

a po nim następował rząd bramek. Szeroki na sześć stóp plakat z logo NSA pokrywał większą część ściany, a cała przestrzeń wokół nich to w sumie trzy miliony stóp kwadratowych pozamykanych drzwi i tajnych pomieszczeń.

Umundurowany strażnik powitał ich oficjalnym uśmiechem.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Obok nich cały czas przepływał strumień pracowników, którzy przechodzili przez bramki. Każdy miał zawieszoną na szyi kartę wstępu - niebieską stali pracownicy Agencji, zieloną współpracownicy oraz kilkanaście innych kolorów, a każdy oznaczał status innego rodzaju.

- W porządku, Fred, oni są ze mną. - Pułkownik lotnictwa w mundurze wsunął kartę do czytnika, aby przejść przez bramkę, i szedł ku nim, wyciągając rękę na powitanie. - Witam, pani senator, jestem pułkownik Pratt - przedstawił się. - Miło cię widzieć, James.

Wymienili krótkie uprzejmości i pułkownik przeprowadził ich przez bramki, wziął wejściówki i poprowadził w kierunku schodów ruchomych, do budynku OPS2A, w którym mieściła się dyrekcja do spraw operacyjnych.

Elizabeth Beechum zwiedzała już to miejsce przy różnych okazjach, na przykład z powodu nadania nazwy mieszczącemu się w pobliżu Krajowego Centrum Operacji dotyczących Bezpieczeństwa. Co prawda nie pozwoliła jej teraz zbliżyć się do pokoju 3E099 w OPS1, pamiętała jednak i nadal jeszcze była zafascynowana, jak tym miejscem owładnęła obsesja tajności. Wszędzie pełno było idiotycznych plakatów, przypominających pracownikom, aby nie rozmawiali w łazienkach, na korytarzach czy w kawiarenkach. Tu tajemnica ciągle była najważniejsza. Dlatego też miała nadzieję, że pułkownik to osoba o otwartej głowie.

Szli długo, aż wreszcie pułkownik skręcił z korytarza w jego odnogę, której ściany były wyłożone dziwnymi, stykającymi się ze sobą sześcianami. Z góry i z dołu padało przyćmione fluorescencyjne światło, nadając tej osobliwej tapicerce ścian styl cudacznej awangardy.

- Powiniennem poprosić państwa o wyłączenie telefonów komórkowych i pagerów, ale sadzę, że na pewno znacie te wymogi - powiedział pułkownik.

281

Beechum skinęła głową. Pamiętała, jak Agencja po raz pierwszy zastosowała te

dziwnie wyglądające korytarze w celu wykrycia urządzeń służących do elektronicznego przekazu.

- Czy wam przypadkiem po tych codziennych kontaktach z promieniowaniem nie zaczną wyrastać dodatkowe palce u rąk i nóg? - spytał nonszalancko James.

- A, no taaak, ale dzięki temu będę mógł szybciej pisać na maszynie - stwierdził pułkownik.

Zatrzymał się przy drzwiach, na których widniał napis „3E132”, przesunął swą kartę przez czytnik i wystukał sześciocyfrowy kod. Drzwi otworzyły się i weszli do zagraconego gabinetu, przepełnionego zapachem świeżej farby.

- Uwaga na pracujących - ostrzegł pułkownik. - Właśnie zużywamy na to wszystkie nowe pieniądze, jakie dostaliśmy na walkę z terroryzmem.

Wyszli zza rogu i niemal wpadli na trzech malarzy, pokrywających ścianę farbą, której najwyraźniej jeszcze nie było, gdy pułkownik opuszczał pokój. Potrząsnął głową na ten cały bałagan i poprowadził gości dalej, przez kolejny korytarz do pomieszczenia, na którego drzwiach widniał napis „Służby Kryptologiczne grupa 4”. Znowu przesunął kartę przez czytnik i wprowadził Beechum i Jamesa na rodzaj platformy, z której rozciągał się widok na wielką salę pełną cywilnych pracowników, rozlokowanych z wojskową dokładnością w dwunastu identycznych boksach.

Ta sala wyglądała tak jak tyle innych, które pani senator widziała w ośrodkach wojskowych na całym świecie. Na ścianie wisiał portret prezydenta, a z boku nieco mniejszy sekretarza obrony oraz kierującego tym ośrodkiem. W pomieszczeniu było niezwykle zimno, a powietrze było suche. Syczenie lamp fluorescencyjnych, stukot palców uderzających w klawiaturę oraz dźwięk wydawany przez twarde dyski pracujących komputerów sprawiały, że osoba postronna odnosiła wrażenie, jakby trafiła do centrum komputerowego w college'u.

- Witamy w Trzecim Oku, pani senator - powiedział pułkownik. Zaprowadził ich do gabinetu z oknami mieszczącego się na przeciwległym krańcu sali i poprosił, aby usiedli. - Więc, czym mogę służyć?

Beechum zauważyła leżący na biurku egzemplarz „Newsweeka”. Na okładce widniało jej zdjęcie oraz nagłówek: „Najbardziej odrażające morderstwo. Co kryje się za najdziwniejszym z waszyngtońskich skandali?”.

- Jestem pewna, że zdaje pan sobie sprawę, ile to dla nas znaczy -zaczęła.

Pułkownik uśmiechnął się łagodnie. Pamiętał dobrze, jak senator Beechum wywalczyła fundusze na jeden z jego ukochanych projektów, pomimo ogromnych sprzeciwów ze strony innych agencji oraz Pentagonu.

- Jestem również pewna, że to, co panu powiem, pozostanie między nami. - Elizabeth Beechum powtarzała sobie to przemówienie już kilkanaście razy. - Wszystko, co pan o mnie czytał, to kłamstwo.

Czekała na jakąś reakcję, ale twarz pułkownika nie wyrażała żadnych uczuć. Musiał już zdecydować, że nie ma co wierzyć prasie, bo inaczej to spotkanie nigdy nie doszłoby do skutku.

- Całkiem przypadkowo odkryliśmy, że tego wieczoru, kiedy miał miejsce atak, pani senator zadzwoniła ze swojego telefonu komórkowego - przerwał James. - To znaczy nawet podczas samego ataku, bo on nastąpił akurat w chwili, gdy dzwoniła do swojego biura. Połączenie zostało zrealizowane i nagrały się głosy dwóch mężczyzn i strzały. Nasza recepcjonistka odsłuchiwała tę taśmę, ale przez przypadek ponownie zużyła kasetę do nagrywania.

- To niebywałe. - Pułkownik wydawał się zadowolony. - Ale nie bardzo wiem, jak mógłbym pomóc. Jeśli chcecie, aby ktoś zbadał tę kasetę, to nie tutaj.

Powinniście zwrócić się do...

- Nie, nie - przerwała Beechum. - Tuż przed atakiem odebrałam telefon z Białego Domu... jakiś młody urzędnik chciał mnie zawiadomić o zmianie godziny spotkania następnego dnia. I użył specjalnego, zakodowanego słowa - powiedział „Star...” - tu zamilkła, zdając sobie sprawę, że złamałaby protokół dotyczący tajemnic.

- W porządku, pani senator. - Pułkownik pokiwał głową. - Mam odpowiednie uprawnienia, zapewniam panią.

- Starfire - dokończyła. - To projekt Narodowego Biura Rozpoznania, który jest...

- Tak, wiem, co to Starfire - przerwał jej pułkownik. - I ten człowiek wymienił tę nazwę, rozmawiając przez zwykły telefon?

- Tak - potwierdziła Beechum. - Chcemy prosić, aby sprawdził pan, czy ta rozmowa została wychwycona.

Pułkownik usiadł znów na krześle i patrzył na swoich gości.

- Pani senator, zgodziłem się spotkać z panią przez wzgląd na to, co pani dla nas zrobiła przez wszystkie te lata, ale tym razem stawia

283

mnie pani w cholernie trudnej sytuacji. Wie pani, że prawo federalne zabrania nam używania systemu Echelon do podsłuchiwania prywatnych rozmów. A już szczególnie rozmów członków Senatu.

- Wiem, co mówi prawo - prosiła Beechum - przecież pomagałam je układać. I wiem, jak to działa. Jeśli padnie słowo „Starfire”, wasze komputery namierzają tę rozmowę i nagrywają ją. Natychmiast zanotowany został numer seryjny mojego telefonu i przez następne dwadzieścia cztery godziny każda rozmowa była nagrywana. Wiem, że ma pan kod dostępu do moich rozmów i że może pan wydobyć to nagranie, jeśli pan zechce. Jeśli się pan na to zdecyduje.

W pokoju zapadła cisza. W ciągu dziesięciu sekund, które zajęło pułkownikowi zastanowienie się nad odpowiedzią, rozważył i wyważył wszystko, czego go uczono o bezpieczeństwie kraju i leżących u jego podstaw zasadach słuszności i bezprawia. Czasem bezpieczeństwa kraju nie można zawrzeć w instrukcji obsługi. Zdarza się, że trzeba robić to, co słuszne, to co powodowało nim, gdy wstępował do armii.

- Nie proszę pana o odpowiedź - dodała Beechum - ale o to, aby podszedł pan do jednego z terminali, wyszukał tę rozmowę i ją odsłuchał. I proszę samemu to osądzić. Ktoś to wszystko zaplanował, aby wyrzucić mnie z komisji, aby odsunąć mnie od czegoś, co nie ma nic wspólnego z panem, z Agencją ani z kimkolwiek w tym budynku.

Pułkownik patrzył prosto na nią.

- Więc mówi pani, że ktoś panią zrobił.

- Nie. Mówię, że to bardzo skomplikowana sprawa, której jeszcze nie rozgryzłam. Jedno co wiem, to tyle, że ktoś chce mnie usunąć z Komisji do spraw Wywiadu i to tak bardzo, że zabił człowieka i chce wsadzić prawomyślnie wybranego członka Kongresu do więzienia. Panie pułkowniku, przecież poświęcił pan życie na bronienie tego kraju przed takimi nadużyciami. Proszę mi pomóc powstrzymać tych ludzi.

Pułkownik patrzył na nią przez chwilę, a potem wstał zza biurka.

- Proszę wybaczyć, muszę iść do łazienki. Za jakiś czas wrócę. Beechum złożyła ręce i schyliła głowę. Rzadko modliła się, prosząc o coś dla siebie, ale teraz liczyło się wszystko.

•

JEREMY'EMU I JEGO DOWÓDCY pokonanie sześćdziesięciu metrów dzielących ich kryjówkę obok wielkiego głazu od chat zajęło

284

s

nieco ponad czterdzieści pięć minut. Poruszali się powoli i ostrożnie w ciemnościach w stronę miejsca, w którym cienie rozmywały się w sztucznym świetle płynącym z gazowej latarenki i jedynej lampy zasilanej z generatora. Stała na stole.

- Tutaj jest nasz punkt zborny - wyszeptał Jesus, gdy się zatrzymali. - Jeśli coś będzie nie tak, spotkamy się tutaj.

- Jaka jest opcja zapasowa? - spytał Jeremy. Ten punkt zbiórki był okay, ale co, gdyby musiał wydostać się stąd sam? Quantico było gdzieś za górami, za lasami.

- Tam naprzeciwko tych budynków jest otwarta przestrzeń - mówiąc to, Jesus wskazał ku wschodowi. - Są helikoptery. Gdy już będzie po wszystkim, to dwa czerwone błyski. Będą wiedzieć, skąd cię zabrać.

Jeremy potrząsał głową, gdy Jesus zdjął plecak i wydobył dziwne małe pudełko, które pokazywał mu, gdy byli jeszcze na górze. Wewnątrz było jeszcze drugie pudełeczko, bardzo cienkie.

- Co mam robić? — spytał szeptem Jeremy. Widział ze swojego miejsca alal-Bina - najwyższego z mężczyzn. Stał przy stole, mówiąc do czegoś, co było chyba telefonem komórkowym.

- Kiedy ostatni z mężczyzn upadnie, ruszamy, chwytamy ich AK i wpadamy do chaty. I pamiętaj, wszystko w ciszy, aby uniknąć problemów z sąsiadami. Żadnych hałasów, chyba że absolutnie nie ma innego wyjścia.

- Ostatni z mężczyzn? Myślałem, że chodzi tylko o alal-Bina.

- Wszystkie te dupki wyglądają tak samo, a ja nie mam czasu sprawdzać odcisków palców.

Jesus po raz ostatni coś tam ustawił w przyrządzie i podniósł kciuk do góry, po

czym wystukał jakiś numer na swoim telefonie, zwrócił się w kierunku stojącego przy stole i czekał, aż małe, czarne pudełeczko wykona swoje zadanie. Alal-Bin upadł pierwszy, potem mężczyzna stojący za nim, a w krótkim czasie po nich pozostali. Siedmiu. Bez hałasu, bez wystrzałów, bez żadnych oznak przemocy.

- Święty... - zaczął Jeremy, ale Jesiis już pakował urządzenie i szykował się do startu.

- Za mną. - Jesus wyskoczył i biegł niezwykle szybko w kierunku martwych ciał. Jeremy gnał pół kroku za nim, schylając się i chwytając jeden z kałasznikowów z rąk zabitych. Przyklęknął przy stole, wycelował w chatę i czekał, aż ktoś z niej wyjdzie. Było tak cicho, że słyszał

285

czyjś głos w telefonie alal-Bina. W chacie półgłosem rozmawiały kobiety.

Jesus szybko przeskoczył przez ciała, sprawdzając, czy nie żyją, ale to wydawało się oczywiste. Ich twarze wyglądały, jakby ktoś połamał im kości, jak gdyby wewnątrz czaszek wybuchły bomby. Krew wyciekała, tworząc ciemne kałuże i wsiąkając w piasek.

Jeremy cały pękając od adrenaliny, strachu oraz tysięcy głosów brzmiących mu w głowie, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił w życiu, pilnował narożnika, dopóki Jesus do niego nie dołączył. Ale gdy ten klepnął go po ramieniu, szybko wybiegł zza węgła do rogu chaty i w czasie krótszym, niż trwa zaczerpnięcie powietrza, wpadł do dużego, wspólnego pomieszczenia, pamiętając, że lufa musi być uniesiona, a palec spoczywać na spuście. Wewnątrz były cztery kobiety i garstka dzieci. Nie zawracał sobie głowy liczeniem, wzrokiem szukał broni.

Nikt nie odezwał się ani słowem, wszyscy patrzyli.

I wtedy jedna z kobiet wstała i w absolutnej ciszy powoli sięgnęła pod burkę.

- Załatw ją- powiedział Jesus. Przesuwał się w stronę trojga drzwi wiodących do sypialń.

- Ręce do góry! - wrzasnął Jeremy. - Powiedziałaś, żeby nie robić hałasu, o ile...

- Załatw ją, do cholery! - rozkazał Jesus.

Ale Jeremy tylko patrzył na twarze: kobiety, dzieci. Nie mógł...



- Allah huakbar - wrzasnęła ta kobieta, gwałtownie rozrywając bok burki, spod której ukazał się kałasznikow.

Jesiis odwrócił się i wystrzelił. Jeden raz. BUUM! Kula trafiła kobietę pod prawym okiem, odrzucając jej głowę w tył, a ją samą na prawo, gdzie siedzieli pozostali.

Jeremy wstrząsnął się na ten nagły wybuch przemocy, ale zanim jeszcze zdołał zareagować, jego uwagę przykuł jakiś ruch, zza lnianej zasłony po jego prawej stronie wysunęła się lufa AK-74. Odwrócił się w tym kierunku, wyczuwając pod palcem spust i w tej samej chwili go naciskając.

BUUM! Jeremy poczuł na ramieniu odbicie karabinu.

Zza zasłony wypadło ciało małego chłopca i upadło Jeremy'emu pod nogi, a zabawka chłopca, karabin, który zrobił mu ojciec, potoczyła się po podłodze i zatrzymała w kałuży krwi.

286

I wtedy świat realny się skończył. Pomieszczenie rozsadały krzyki. Reszta kobiet wyciągnęła kałasznikowy, strzały, więcej strzałów. BUUM! BUUM! BUUM! Krzyki, biegnący ludzie, chaos. Jesus i Jeremy kręcili się i strzelali. Czarno-białe stroboskopy, błyski luf i dym.

Kule świstały po pomieszczeniu, rozpryskując się o ściany, przewracając ciała, rwąc tkaniny, rozbryzgując krew i rozrywając członki. Jeremy nie wiedział już, kto strzela. Była już tylko adrenalina i gwałt oraz przemożna chęć przeżycia.

Jesus strzelał, celował, strzelał i celował. Dzieci biegły do drzwi, a on do nich strzelał. Inne wciskały się w kąt. Też do nich strzelał. BUUM! BUUM! BUUM!

Karabin podskakiwał i wypluwał ogień tak długo, aż wszyscy byli martwi. Ale Jesus strzelał jeszcze do ciał, aż w magazynku zabrakło naboji.

Zapanowała cisza. Wszystko ustało.

Gazowe lampy syczały, światło migotało. Jeremy usiłował złapać oddech.

A Jesiis stał, dysząc, potrząsał głową, usiłując odzyskać jasność myślenia, a pot zalewał mu oczy. Broń zdawała się parzyć im dłonie, a całe pomieszczenie wypełniał zapach krwi, curry, perfum Chanel 5 i kordytu. Jeremy przez chwilę trzymał karabin gotowy do strzału, ale potem opuścił go na wysokość pasa, patrząc, jak z końca lufy unosi się smużka dymu.

W świetle gazowej lampy połyskiwały złote łańcuszki, pierścionki i bransolety leżały rozrzucone na ciałach kobiet. Jasnoczerwona, połyskująca krew wypływała spod ich sukien na piaszczystą podłogę.

- A to dupki, teraz już nie wyglądają na tak niebezpiecznych, co? -mruknął Jesus.

- Mój Boże... - odpowiedział Jeremy. Nie poznawał własnego głosu.

Wszędzie dokoła leżały ciała. Kobiet, dzieci, chłopców i dziewcząt, matek, córek i synów.

- Zamknij drzwi - rozkazał Jesus, ale Jeremy nie był w stanie się ruszyć. Ogrom tego, co właśnie zrobił, gniótł mu pierś, jakby zawałił się na niego cały gmach.

Jesus podszedł do lampy i przykręcił kurek. Płomień gasł pomału, zamieniając się w nikłą, czerwoną poświatę, aż wreszcie zamknęła ich straszna ciemność nocy.

Jeremy zacisnął ręce na karabinie; po raz pierwszy w swym dorosłym życiu bał się ciemności.

287

•

JORDAN MITCHELL odchylił się do tyłu na krześle i przetarł oczy drżącą ręką. Dokonywał wrogich przejęć korporacji wartych miliardy dolarów, obalał gigantów przemysłu, przeżył ataki swoich rywali, ale jeszcze nic nie walnęło go tak jak to, co przed chwila zobaczył.

- Cóż - powiedział. Patrzył wciąż nieruchomym wzrokiem na ekran, cały ciemny z wyjątkiem jasnoszarych literek IR nad każdym z zabitych. Żadnych innych słów nie był w stanie z siebie wydobyć.

Trask potrząsnął głową.

- Kiedy wracają? - spytał Mitchell.

Trwało chwilę, zanim Trask ujrział maleńkie światełka w górnym prawym rogu pustych ekranów telewizyjnych.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to w niedzielę wieczorem. - Trask wskazał na światełka na ekranie, oznaczające ciepło emitowane przez silniki. - To pewnie są helikoptery.

Mitchell wiedział, że każdy dający się przewidzieć szczegół tej operacji był opracowany z ogromnym wyprzedzeniem, łącznie z zabraniami stamtąd tych ludzi, ale ten dzień przebiegł niemal nieprawdopodobnie dobrze. Nawet w jego świecie

pedantycznych przygotowań to wypadło aż za dobrze. Niepokoilo go to.

- Zaangażowaliśmy w to mnóstwo pieniędzy - powiedział, wstając i zapinając marynarkę. - Co dwie godziny melduj mi, co robią, dopóki nie znajdą się na CONUS\*.

I wówczas, po raz pierwszy od tygodni, Jordan Mitchell się uśmiechnął. To, co właśnie widział, nigdy nie pojawi się w formie specjalnego biuletynu w CNBC. Aczkolwiek wydarzenia z dzisiejszej nocy stanowiły przykład jednego z najbardziej zuchwałych w historii wtargnięć na rynek, to jednak wszystko rozegrało się cicho w dwuwymiarowej przestrzeni i na czarno-białym ekranie telewizyjnym. Cała ta ironia zdawała się nieomal poetycka.

•

\* CONUS - skrót od ContiflMtri UnKod SMW (tnytoriUB Stu\*\*

Zjednoczonych) (przyp. tium.).

288

SENATOR BEECHUM nie odezwała się do swojego sekretarza przez ponad czterdzieści minut. Siedzieli obydwójce w gabinecie pułkownika, oglądając zdjęcia z dwudziestu siedmiu lat spędzonych przez niego w siłach powietrznych. Ukończył akademię, a potem latał na odrzutowcach, F-14 i F-18, był w Kuwejcie i w Iraku podczas wojny w Zatoce Perskiej. W szklanej gablotce na szczycie regału z książkami spoczywał Distinguished Flying Cross, a poniżej ciągnęły się rzędy książek oraz instrukcje obsługi dotyczące rzeczy, o których Beechum nigdy nawet nie słyszała.

- Przepraszam, że to tak długo trwało.

Pułkownik Pratt wszedł do gabinetu, zaniknął drzwi i usiadł za biurkiem. Położył ręce przed sobą i zabębnił kilkakrotnie palcami o blat.

- Pogdybajmy przez chwilę - westchnął.

Beechum wpatrywała się w niego niczym dziecko wezwane w szkole do gabinetu dyrektora.

- Załóżmy, że mam przyjaciela, którego w oczywisty sposób spotkała wielka niesprawiedliwość, a ja widziałem tego dowody. Jedyne problem tkwi w tym, że ujawnienie metod, jakimi je zdobyłem, sprawiłoby, że wszedłbym w konflikt z prawem.

Beechum przechyliła głowę, starając się usłyszeć wszystko, zanim zareaguje.

Pułkownik chciał jej powiedzieć, że znalazł i przesłuchał taśmę - i że to nagranie oczyszcza ją z zarzutów - ale jej istnienia nie można ujawnić.

- Pułkownikowi - przerwała Beechum. - Pracuję w tym biznesie dostatecznie długo, aby poznać prawa, a te są łamane codziennie. - Jej wzrok powędrował ku teczce, która leżała otwarta na jego biurku. Widniały na niej litery „ZARF” - słowo-kod oznaczające tajne dokumenty, których ujawnienie wiązało się z naruszeniem prawa. Pułkownik zauważył to i zamknął teczkę.

- Słucham.

- Jestem gotowa założyć się, że gdzieś pośród pięciu miliardów stron informacji znajdujących się w waszych danych jest też zapis sześćdziesięcioszekundowego nagrania rozmowy telefonicznej, która, zgodnie z dyrektywą numer osiemnaście o podsłuchu telefonicznym założonym przez wywiad Stanów Zjednoczonych, nigdy nie powinna mieć miejsca - powiedziała Beechum. - Idę też o zakład, że nazwisko na tym raporcie - moje nazwisko - zostało zastąpione seryjnym numerem, który nadano przechwyconej rozmowie, i identyfikatorem. Jeśli

289

FBI wysłałoby formalną prośbę, to wówczas miałby pan pełne prawo przekazać te akta.

Pułkownik namyślał się przez chwilę, po czym sięgnął do szuflady i wyjął z niej grubą zszywkę dokumentów. Przerzucił kartki i przeczytał na głos.

- „Wszelkie dane pochodzące z telefonów w gospodarstwach domowych - nawet jeśli zostały uzyskane nieumyślnie, przypadkowo lub w sposób niezamierzony - powinny zostać natychmiast zniszczone” -przeczytał.

- Proszę czytać dalej - wtrąciła Beechum. - Jest tam wyjątek i dobrze pan o tym wie.

- „Nagrania pochodzące z telefonów w gospodarstwach domowych, co do których istnieje uzasadnione podejrzenie, że zawierają informacje dotyczące obcego wywiadu, mają być przekazane do Federalnego Biura Śledczego do dalszego zbadania zgodnie z obowiązującymi procedurami zminimalizowania zagrożenia”.

Pułkownik znowu usiadł na krześle. Waga tego, o co prosiła go senator, sprawiała, że ręce mu opadły.

- Pani senator, pod koniec tego miesiąca przechodzę na emeryturę. Zrobię

wszystko, o co pani mnie prosi, ale ludzie z tej taśmy wydają się gotowi posunąć bardzo daleko, byle tylko panią skrzywdzić. I nie muszę zbytnio wyęźać wyobraźni, aby wiedzieć, co zrobią mnie - powiedział.

- Nie sądzę, aby łatwo było pana zastraszyć - stwierdziła Beechum. Pułkownik zastanowił się przez chwilę.

- Przez dwadzieścia siedem lat służby dla kraju nigdy nie skłamałem - oznajmił.

- Niech pani sprowadzi tu FBI, żeby mnie przepytali, a ja udzielę im odpowiedzi.

Beechum wstała i wyciągnęła rękę, aby uścisnąć pułkownikowi dłoń.

- Dziękuję. Chcę, by pan wiedział, że w ciągu kilku najbliższych dni powinno już być po wszystkim; zawsze mam dla pana wolne stanowisko sekretarza do spraw wojskowych. Dobrze płatne, ale szef wymagający.

- Dziękuję - odparł pułkownik - ale już mam dość Waszyngtonu. Zamierzam zająć się łowieniem ryb w miejscu, do którego NSA, pani ani cały cholerny rząd nigdy nie zajrzy.

- I ja też - dorzuciła senator. - I ja też.

290

• ;>»;;

- CO ZA CHOLERA? - Jeremy starał się przekrzyczeć dzwoniące w uszach. Ciemność dokoła była tak nieprzenikniona, że ledwie był w stanie się poruszać, ale ta niebываła przemoc wywołała u niego łomotanie serca i chęć ucieczki. - Co to, kurwa, było?

Wciąż jeszcze czuł pod nogami ciepło ciała chłopca.

- Na zewnątrz - rozkazał Jesus, dając znak swoim AK-47. Wyciągnął z kieszeni małe punktowe światło i skierował je na drzwi. Jeremy podążył za tym światłem, za Jesusem, a ten wycofywał się do miejsca, gdzie wokół stołu leżała sterta ciał.

- Pomóż mi - zakomenderował, wskazując w kierunku dwóch ochroniarzy alal-Bina. - Bierz wszystko, posortujemy potem.

Starszy operator HRT ukląkł przy ciałach i zaczął przeszukiwać kieszenie zabitych, wpychając dokumenty do plastikowej koperty, którą wyciągnął z kieszeni spodni.

Jeremy trzymając cały czas karabin, zrobił, co mu kazano. Prawą ręką wyciągał

papiery, rozpinął ubrania, wyciągał wszystko, co było zaszyte. Ich kamuflaż był cały ciepły i mokry od krwi, ale Jeremy nie przerywał zajęcia, mając nadzieję, że w tym wszystkim tkwi jakiś cel, że znalezienie czegoś w kieszeniach usprawiedliwi w jakiś sposób tę rzeź.

- A pieprzę! - powiedział po chwili. - Co my tu do cholery robimy? Jesus wstał i podszedł do stołu.

- Wykonujesz rozkazy, Waller. Dlaczego zawsze zdajesz się mieć z tym problemy? Dowódca brygady odsunął nogą leżące mu na drodze ciała i przyklęknął, pochylając się nad twarzą, którą Jeremy widział tysiące razy: Asama alal-Bina, człowieka-mit, teraz leżącego i martwego. Jego długa, rzadka broda była równo przycięta i wciąż szara.

- Bo rozkazy na takie akcje nie są wydawane - burknął Jeremy, wyciągając zakrwawioną rękę z ostatniej już kieszeni i wstając, by zobaczyć, co tak zainteresowało jego dowódcę. - Mam prawo znać odpowiedź.

- Nie masz prawa do niczego, nawet do gówna - powiedział Jesus, wstając i omiatając światłem blat stołu. Kilka żółtych, zakurzonych kartek poruszało się na zrywającym się wietrze. Jesus złożył je i wetknął do plastikowej koperty. - Ale powiem ci, bo wiem, jakie to uczucie, nadstawiać dupę w czyjejs sprawie. Tu nie chodziło o zgładzenie alal-Bina, ale o to.

291

1 podsunął Jeremy'emu kopertę pod nos. • ,

- Od pewnego czasu wiedzieliśmy o przygotowywanej przez Al-Kaidę operacji noszącej kryptonim „Ślub”. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o niej w jednym z codziennych raportów Agencji, a było to w ubiegłym roku, w październiku, szesnastego. I dlatego operację tę nazwano Matrix 1016. Jakkolwiek ją nazwiemy, zdaniem Agencji cała ta sprawa dotyczy Zarządu Rezerw Federalnych i nasza akcja była nieunikniona. I dlatego tu jesteśmy.

- Jak to nieunikniona? - Jeremy odwrócił się w kierunku dźwięku wydawanego przez śmigła helikoptera, który zaczął narastać w pustynnej ciszy.

- NSA twierdzi, że oni właśnie tu zorganizowali swoje ostatnie zebranie przygotowawcze - ciągnął Jesus. Nachylił się i wyjął z ręki alal-Bina telefon SBT, za którego pośrednictwem kontaktował się on z zagranicznymi komórkami Al-

Kaidy. - Niestety te dupki mają teraz bezpieczny sprzęt do porozumiewania się, tak że nie można ich podsłuchać. I dlatego musieliśmy zaatakować.

- Cholera, a to co takiego? - Jeremy wskazał na ciemną sylwetkę helikoptera nadlatującego od strony horyzontu.

- Rosyjski MI-28 z jemeńskim pilotem, który zarabia tyle, że niczym się nie przejmuje. Po prostu wsiadaj, zrozumiano?

Na horyzoncie pojawiły się światła, ale nie samolotu. To były reflektory i obydwaj je zauważyli.

- A co z tymi ludźmi z firmy naftowej? Kto ich stąd wydostanie?

- To nie są ludzie z firmy naftowej i nie musisz się o nich martwić.

Jesus wyciągnął z kieszeni latarkę na podczerwień i trzymając ją nad głową, nacisnął guzik. Warkot helikoptera narastał w pustej, rozległej nocy pustyni.

Jeremy zastanawiał się, czy maszyna zdąży przed reflektorami, które zdawały się być nie dalej niż pięćset jardów.

- Słuchaj... - Jesus zaczął, by się upewnić, że helikopter dostrzegł jego znaki, i dopiero wtedy schował latarkę do kieszeni. - Byłem żołnierzem, odkąd skończyłem szkołę. Nigdy nie chciałem ustanawiać praw... ale tylko zgodnie z nimi postępować. Jak myślisz, dlaczego chowam Srebrną Gwiazdę w szufladzie biurka? Bo moja żona i dzieci myślą, że jestem pieprzonym kucharzem.

Jeremy zaczął się trząść, a przyczyną mogło być zimno, ciemność lub odwodnienie.

292

- Jesus, nie jesteśmy w Delta Force. - Jeremy ledwie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Jesteśmy agentami FBI. Nie latamy w kółko, zabijając niewinnych cywilów.

Helikopter nadleciał, zawisł nisko nad ziemią, kompletnie niewidoczny. Jeremy nie dostrzegł go, dopóki nie wzbił chmury kurzu i nie usiadł na ziemi.

Obracające się śmigła podrywały kamienie, tworząc dziwną chmurę o barwie czerwieni, żółci i pomarańczy.

Jesus popchnął swego opornego współnika do wnętrza maszyny, do powrotu do rzeczywistości. Reflektory świeciły pewnie ze dwieście jardów od nich; nie było chwili do stracenia.

- To skomplikowana robota - stwierdził Jesus. - Dorośnijże, do kurwy nędzy, i rób, co masz robić. |-, - >|,,|•

## Rozdział XVII

- TATUSIU! TATUSIU! TATUSIU!

Ku wielkiemu zdumieniu Maddy Jeremy wrócił do domu w niedzielę wieczorem, kiedy dzieci miały już iść spać. Bez względu na to, co przeszedł w ciągu kilku ostatnich dni, nic nie wzruszało go bardziej niż piski małej.

- Madster! - krzyknął Jeremy, zamykając córeczkę w ramionach i obsypując ją gradem pocałunków. Tuż za nią stał Christopher ze swoją zabawką do kąpieli w jednej ręce, a w drugiej trzymając urządzenie do przepychania ubikacji.

- Dwoje dzieci, tato! Masz dwoje dzieci! - Zawsze tak krzyczał, gdy chciał, żeby Jeremy wziął na ręce również jego.

- Dwoje dzieci - mruknął Jeremy, porywając Christophera z podłogi i ściskając jego i Maddy, a potem klękawszy, zaczął turlać obydwójce po dywanie. Przez moment śmiech i krzyki niewinnych istot dały mu poczucie przynależności.

- Hej, wy tam! Pozwólcie tacie przynajmniej wejść do domu! - zawołała Caroline. Stała w korytarzu niczym matka czekająca na syna, który nie wrócił o wyznaczonym czasie. Cóż, Jeremy spóźnił się.

- A gdzie mój prezent? - zażądała wyjaśnień Maddy.

- No właśnie, gdzie mój prezent? - dołączył się Christopher. Serce Jeremy'ego ścisnęło się; nawet nie miał czasu pomyśleć o prezentach.

- Są w salonie - powiedziała Caroline. Zawsze o wszystkim myślała.

Jeremy wepchnął dzieci do salonu, gdzie jego żona wręczała im prezenty, które sama musiała kupić.

- Dziękuję - szepnęła później, przysuwając się, aby ją pocałować, ale ona delikatnie się od niego odsunęła.

- O co chodzi? - zapytał. ;'!

294

- O co chodzi? Znikasz na kilka dni, a potem zjawiasz się, jakby nic się nie stało - syknęła. - Christopher miał infekcję ucha, Maddy złapała w szkole zapalenie spojówek, a ja musiałam napisać prośbę o duże stypendium. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Nawet nie zadzwoniłeś.

- Nie mogłem... - Jak miał to wyjaśnić? Nadal jeszcze sam nie mógł się pozbierać.



- Przecież wiesz, że czasem muszę wyjechać. Powinnaś była sprawdzić u mnie w biurze.

- Sprawdziłam. Powiedziano mi, że wzięłeś wolne, bo źle się czujesz.

Oczekiwała odpowiedzi. Caroline już przeszła kurs emocji - zaczynał się od strachu, a kończył na złości. Mężowie, którzy czasem znikają na kilka dni, muszą mieć ku temu powody. Nawet jeśli pracują w jednostce antyterrorystycznej.

- Wiem, dlaczego ci tak powiedzieli. Bo to była misja... zagraniczna. W jednej minucie byłem na terenie jednostki Korpusu Piechoty Morskiej, a w drugiej w Jemenie. To było dziwne.

Zdał sobie sprawę, że znów stoją w wejściowym korytarzu, a Caroline zagradza mu wejście do kuchni. Nagle jego dom wydał mu się obcy i jakby leżący poza jakimiś granicami, tak jakby znalazł się tu przejazdem. Wyglądało, jakby nie chciała go wpuścić.

- Jemen? |

- To na Bliskim... | ; -

- Wiem, gdzie jest Jemen! - Zdumiała go ta nagła zmiana w jej nastroju. - Nie rozumiem, dlaczego FBI nie powiedziało mi, że wyjechałeś z powodu akcji. Nawet dzwoniłam do kilku innych żon i ...

- Dzwoniłaś do innych żon? - Uzgodnili z Caroline, że będą trzymać się z daleka od tak zwanej grupy wsparcia. Większość facetów w jednostce narzekała, że ta grupa to tylko kółko plotkarek, niemają-cych nic lepszego do roboty.

- A co miałam robić? Nie zjawiasz się na kolację. Nie przychodzisz przez kilka dni. Byłam śmiertelnie przerażona, że coś ci się stało.

Maddy i Christopher wbiegli do pokoju.

- Mamusiu, co się stało? - zapytała Maddy. Wyglądała na przestraszoną, bo Jeremy i Caroline prawie nigdy się nie kłócili.

- Nic, kochanie - powiedział Jeremy, a Caroline poradziła jej, aby pobawiła się nową zabawką.

- Przepraszam. Chciałbym udzielić ci lepszych odpowiedzi. Był agentem FBI i powinien udzielić odpowiedzi.

295

- Wszystko, co ci mogę powiedzieć, to tyle, że to była tajna misja. - Wyciągnął

rękę, by jej dotknąć, ale kobieta cofnęła się i zaczęła płakać. - Nigdy cię nie okłamałem. To był wyjazd w celu wykonania zadania. Musisz w to uwierzyć. Zamknął ją w ramionach, a ona płakała.

- Martwiłam się o ciebie - chlipała. - To tak trudno nic nie wiedzieć.

- Wiem, kochanie - wyszeptał. - To już się nie powtórzy. Przysięgam. ( •

SIRAD W DRODZE POWROTNEJ DO NOWEGO JORKU zatrzymała się na jeden dzień w Paryżu

i gdy wsiadła do samolotu linii Air France, czuła się wypoczęta, rozpieszczona, choć zaniepokojona osobistymi gratulacjami od Mitchella - oraz tuzinem róż - które umiliły jej pobyt w Ritzu-Carltonie, ale trudno było pogodzić się z jego brakiem zaufania. Przyczyny tego mogły być tylko dwie: albo chciał ją wypróbować przed szerszym dopuszczeniem do całego programu, albo też wiedział, dlaczego zainteresowała się Hamidem. Pierwsza oznaczała roztropną ostrożność, druga - katastrofę.

Na lotnisku JFK czekał na nią samochód wysłany przez Borders Atlantic. Był poniedziałek rano i zarówno „New York Times”, jak i „Washington Post” poświęciły nagłówki kontraktowi Borders Atlantic. Egzemplarz „New York Post” ześlizgnął się na podłogę auta, ale tytuł rzucił jej się w oczy.

NACIŚNIJ „Z” JAK ZDRAJCA - głosił nagłówek przez całą szerokość strony, a pod nim widniało zdjęcie Jordana Mitchella, a obok drugie Asama alal-Bina. W ostro dobranych słowach artykułów i komentarzy od redakcji inne gazety przynosiły szczegółowy opis transakcji z Saudyjczykami, w tym również spekulacje „anonimowych źródeł z kręgów rządowych”, że bardzo zaszkodzi ona wojnie z terroryzmem. Finansowe analizy akcji Borders Atlantic pokazywały ich wzrost o czternaście procent w ciągu ostatnich dwóch dni.

Telewizja zareagowała z podobną wściekłością. Wszystkie talk--show okrzyknęły Jordana Mitchella bezwstydnym chciwcem, który przedkłada interesy korporacji ponad bezpieczeństwo kraju. Jak na ironię wskazywano jako przyczynę tego sukcesu brak senator Elizabeth

296

Beechum w Komisji do spraw Wywiadu. Marcellus Parsons sugerował, że gdyby został przewodniczącym tej komisji, wówczas natychmiast przyjrzałby się całej sprawie.

Sirad przyjechała do apartamentu Hamida mieszczącego się przy Osiemdziesiątej Drugiej ulicy tuż przed ósmą rano.

- Europa ci schlebia - powiedział, gdy postawiła bagaże w przedpokoju. Nie zawracała sobie głowy słowną odpowiedzią. Zresztą i tak już by nie usłyszał, kiedy jej nowe ubranie od Gucciego znalazło się na podłodze. Kombinacja francuskiej koronki i robionych na zamówienie perfum zamieniła wejście w marmurowo-mahoniowy pokój rozpuszty, w którym walało się ubranie, wypełniały pomruki oraz te specjalne dźwięki, a ona już wiedziała, jak je wydobyć, gdy naprawdę było to konieczne.

Kiedy było po wszystkim, Hamid zdał sobie sprawę, że leży w salonie, gapiąc się na Degasa i dziwiąc, dlaczego to ten obraz, albo też jakaś inna część jego życia, kiedykolwiek miały dla niego znaczenie.

- No, to co porabiałeś? - spytała Sirad, gdy Hamid doszedł już do siebie.

Wyciągnęła nogę, sięgnęła stopą i wyciągnęła kwiat lisianthusa z bukietu na niskim stoliku. Umieściła go tam, gdzie kępka jej starannie ufryzowanych włosów zniknęła pomiędzy udami.

Hamid potrząsnął głową. Ta kobieta potrafiła sprawić, że cały świat i wszystkie związane z nim konsekwencje zdawały się trywialne.

- Nie tyle, co ty, rzecz jasna, ale poszedłem na zakupy - powiedział - i kupiłem ci mały prezent, w dowód uznania.

- O? A co? - Bawiła się kwiatem, próbując znów podniecić kochanka.

- Chcesz, żebym go przyniósł?

- Pewnie. Która dziewczyna nie chce prezentu od swojego faceta? Hamid wstał, osłaniając się dwiema poduszkami z sofy. W urodzie

Sirad było coś takiego, że sam był bardzo niepewny atrakcyjności swojego wyglądu.

- Poczekaj tutaj.

Leżała przez chwilę, zastanawiając się, czy ci z siedemnastego piętra założyli tylko podsłuch, czy też są tu jakieś kamery. Hoch powiedział, że jest śledzona; może, gdy jej nie było, Mitchell przysłał tu jakichś swoich speców od podsłuchu.

- Tylko nie mów mi, że nie powinienem, dobrze? - Hamid wrócił z małym, ślicznie zapakowanym pudełeczkiem. - To jedna z rzeczy, których kobieta nigdy nie powinna mówić mężczyźnie.

Ukląkł przy niej i podał pudełeczko. -• - Dlaczego miałabym ci to powiedzieć?

Uwielbiam prezenty, a już szczególnie od ciebie.

Przeturlała się i zabrała mu jedną z poduszek. Wetknęła ją sobie pomiędzy nogi, ale rękę miała wciąż wyciągniętą. Fakt, że jej palce znajdowały się teraz tuż obok jego sterczącego penisa, nie zbił Hamida z tropu. Szybko zakrył się z przodu drugą poduszką i wręczył Sirad jasnoniebieskie pudełeczko od Tiffany'ego, przewiązane tradycyjną wstążeczką.

- To mój ulubiony kolor - stwierdziła.

Pociągnęła za jedną ze ślicznie zawiązanych pętli kokardki i wzięła wstążeczkę w zęby. Obracała pudełeczko w palcach chwilę dłużej, niż tego oczekiwał Hamid. Wiedziała, jak wyczuć moment, jak rozpalić jego oczekiwanie, bez względu na otoczenie.

- Właśnie się zastanawiałam... - zaczęła.

- Zastanawiałaś? Nad czym?

- Nad tym, co ty robisz. - Powąchała pudełeczko, a potem przymknęła oczy i przycisnęła je do piersi, w to miejsce, w którym powinno znajdować się serce normalnej kobiety.

- Wiesz, co robię. - Hamid nachylił się i wziął z jej rąk pudełeczko. - Handluję pieniędzmi innych i trochę zatrzymuję dla siebie.

- Myślę, że zatrzymujesz dużo. Roześmiał się.

- I to cię gnębi? - Przesunął pudełeczkiem po jej przypominających brązy Brancusiego udach.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko sama mam obiekcje. I nigdy nie jestem na tyle arogancka, by sądzić, że mogę skorzystać z czyjegoś doświadczenia.

Sirad powoli wyjęła kwiat spomiędzy ud i zaczęła kreślić nim małe serca na udach Hamida. Jego członek był już twardy, gdy wzięła go w rękę.

- Nie masz zamiaru otworzyć? - spytał.

- Po co się spieszyć? - Sirad pochyliła się ku niemu. - Mamy całą noc.

- Zaczekaj - powiedział. Nie chodziło o to, że nie chciał się z nią znowu kochać, ale o to, że wybieranie tego prezentu zajęło mu prawie cały dzień. - Chcę, żebyś

najpierw to zobaczyła. Włożyła, zanim...

Przysunęła się i przerwała mu w pół słowa.

298

- No, wobec tego dobrze.

Wzięła pudełeczko z jego raje, wydeła wargi i patrząc mu prosto w oczy, uniosła wierzch. Zanim jeszcze spojrzała wdóła rzuciła jej się w oczy blask brylantów.

- Cóż, podoba ci się?

- Niezmiernie mi się podoba, bo dostałam to od ciebie. Równie dobrze mogłyby to być pinezki albo patyczki do lodów. Prezent od ciebie znaczy dla mnie bardzo wiele, bo sam to wybrałaś.

Sirad wyjęła wspaniałą bransoletkę z różowych szafirów i brylantów. Iskrzyła się, wykonana bezbłędnie z platyny i z kamieni bez najmniejszej nawet skazy.

- Włóż ją - powiedziała, zapinając mu bransoletkę na przegubie ręki. - Chcę ją widzieć na tobie, gdy jesteś we mnie.

Hamid przykucnął z boku i patrzył, jak kamienie zdają się błędnie przy jej oczach. Ta kobieta akceptowała go za to, co nosił w sercu, a nie na ręce. Dieter mylił się, podejrzewając ją o cokolwiek.

Sirad nachyliła się i pocałowała go, nie z tą dziką pasją, którą wykazywała przed wyjazdem, ani wtedy, gdy kochali się po raz pierwszy. Czegoś takiego jeszcze nie odczuł. To było subtelne i prawdziwe.

Żadna kobieta nie zrobiłaby tego, gdyby nie darzyła cię uczuciem - pomyślał, gdy Sirad rozłożyła nogi i wpuściła go do środka. - Mogę mieć do niej absolutne zaufanie. |

- CO TO ZNACZY, ŻE NIE MOŻNA prosić o tego rodzaju informację?

Senator Beechum siedziała przy tanim, fornirowanym stole konferencyjnym po przekątnej od agenta FBI, Weatherby'ego, tego samego, który bezceremonialnie wyciągnął ją z forda mustanga, gdy zawierzyła fałszywej informatorce.

- Po pierwsze, nawet nie powinniśmy odbywać tej rozmowy. Pani ma adwokata, co oznacza, że została pani pouczona o prawach Mirandy...

- Och, do cholery z prawami Mirandy. Mam tyle lat, że mogłabym być pańską matką, agencie Weatherby. Wiem wszystko o prawach Mirandy!

James przyglądał się temu w milczeniu. Radził szefowej, aby przed tym spotkaniem

zadzwoiła i poprosiła adwokata, aby teŝ był obecny, ale odmówiła.

299

- Przykro mi, pani senator, ale nawet jeŝli uchylimy pani prawo do poradzenia siê adwokata, to nie mogê omawiać dowodów, które zgromadziliŝmy w tej sprawie, a przede wszystkim dowodów zebranych za pomocą ściŝle tajnych metod oraz źródeł.

- Nie mówię o dowodach, które zamierzacie wykorzystać przeciwko mnie. Mówię o dowodach, które uwolnią...

I wlaŝnie wtedy drzwi otworzyły siê i weszła jakaŝ mikroskopijna osóbką o rudych wlosach i ogniŝcie opalizujących oczach, ciagnąc za sobą swego pazia-biurokratę w stopniu GS-13.

- Dzień dobry, pani senator. Jestem specjalnym agentem, moje nazwisko Milbank. Czym mogê słuŝyć?

Agent Weatherby skulił siê, niczym szczeniak skarcony przez matkę.

- No, to wszystko zaleŝy. Dla agenta Weatherby'ego zdaje siê nie stanowić problemu wyciągnięcie mnie z samochodu i taszczenie przed oblicze sędziego federalnego w sprawie jakiejŝ głupiej kasety, ale nie jest w stanie wykonać prostego telefonu i zaŝądać informacji, która oczyŝciłaby mnie z zarzutów. -Nic jej bardziej nie wyprowadzało z równowagi niŝ biurokratyczna bezkompromisowoŝć.

- Jakiego telefonu? - zapytała agentka, rzucając Weatherby'emu karcące spojrzenie.

- Pani Beechum... - zaczął Weatherby.

- Nadal jestem senatorem i będê nim jeszcze dłuŝo po tym, jak pan udławi siê tą tak zwaną swojå sprawå. I będê wdziêczna za zwracanie siê do mnie z pewnå dozå szacunku.

Weatherby zwrócił siê do swojej szefowej.

- Senator Beechum... twierdzi, ŝe Agencja Bezpieczeŝstwa Narodowego podsłuchiwała rozmowê, którą pani senator wykonała tego wieczoru, gdy została napadniêta. - W jego glosie brzmiał sarkazm.

- Naprawdê? To dlaczego wstêpny raport policyjny nic na ten temat nie wspomina?

- Poniewaŝ pani senator przypomniała sobie o tym swoim telefonie dłuŝo po ataku. To pamieć posttraumatyczna. Zadzwoił do niej jeden z pracowników Agencji Bezpieczeŝstwa Narodowego - wtrącił

się James.

Agentka wytrzeszczyła na niego oczy.

- Kim pan jest?

- To mój sekretarz do spraw administracyjnych - warknęła Beechum. - I to co mówi, to prawda. Otrzymałam telefon, a podczas

300

rozmowy pracownik Agencji Bezpieczeństwa Narodowego nierozważnie wspomniał zakodowaną nazwę tajnego projektu. System Echelon ma obowiązek ją wychwycić, a Fort Meade nagrywa wtedy taką rozmowę. .. i mamy podstawy przypuszczać, że została nagrana także inna rozmowa, którą odbyłam zaraz po tej, w czasie, gdy zostałam napadnięta.

- A w jaki sposób, jeśli mogę spytać, uzyskała pani dostęp do podsłuchu NSA? - spytała agentka, siadając obok Weatherby'ego. - O ile wiem, już została pani oskarżona o nielegalne posiadanie tajnych materiałów. A tak naprawdę, to zaczynam obawiać się, że cała ta rozmowa zbacza na niebezpieczny teren, i kwestii tych dotyczy Piąta Poprawka. Ma pani adwokata.

James postanowił odpowiedzieć zamiast Elizabeth Beechum.

- W chwili, w której ten człowiek ją zaatakował, pani senator dzwoniła do swojego biura, aby zostawić mi wiadomość. W czasie szamotaniny całkiem przypadkowo nacisnęła klawisz „połącz”, a automatyczna sekretarka w biurze wszystko nagrała.

- A gdzie jest ta kasetka? - zapytała Milbank. - Jeśli dysponujecie dowodem, który ma bezpośredni wpływ na śledztwo, to dlaczego nie daliście go nam?

- Bo go nie mamy. : v ||•<• - Nie macie?

- Nie. . . \\\

- Dlaczego?

- Ponieważ recepcjonistka w roztargnieniu nagrała coś na tę kasetę. W biurze wszyscy byli bardzo zestresowani.

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ma tę kasetę! - przerwała Beechum. Miała już tego dosyć.

- A skąd o tym wiecie? - spytała agentka FBI. - Jestem pewna, że jako byłej przewodniczącej Komisji do spraw Wywiadu wiadomo pani, że Agencja Bezpieczeństwa

Narodowego ma prawnie zabronione podsłuchiwanie obywateli na terenie Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli istnieje dostęp do tych danych, to one i tak, zgodnie z prawem, nie mogą zawierać żadnych rozmów podsłuchanych u prywatnych osób.

- Agencja monitoruje eter, powietrze, całe wiązki elektrycznych wibracji - argumentowała Beechum. - W jaki sposób, do diabła, ma wiedzieć, które pochodzą od zwykłych obywateli, a które nie, dopóki ich nie przechwyci?

301

Zapadła cisza. Agent Weatherby spoglądał na swoją szefową Milbank, Beechum patrzyła na Jamesa, a zarówno jedni, jak i drudzy starali się nie stracić panowania nad sobą.

- Nie mogę pani powiedzieć, skąd wiem o tych taśmach - powiedziała Beechum niemal błagalnym głosem - ale mogę zapewnić, że one istnieją. A pani ma prawo przeprowadzić śledztwo.

Milbank zastanawiała się przez chwilę nad całą sytuacją, aż w końcu potrząsnęła głową.

u> ~ n b!Tlam S'ę' Że ni° Die m0Żemy zrobić' aby Pani Pomóc - orzekła. -

Podsłuch rozmów prywatnych obywateli, jeśli istnieje, nie będzie mógł zostać użyty w sądzie.

Beechum walnęła pięścią w stół.

- Jeśli wykona pani swoją pracę i przesłucha taśmy, to nie będzie żadnego sądu! - ryknęła. - Zanim zostałam senatorem, pracowałam jako prawnik, panno Milbank, i właśnie powiadam pani że w ciągu ostatnich tygodni odkryliśmy uniewinniające dowody, które nie tylko oczyszczają mnie, ale równocześnie świadczą o tym, że ktoś próbował zrobić mnie w zbrodnię, której nie popełniłam. To do was należy przeprowadzanie śledztwa; czego jeszcze, do cholery, chcecie'?

- Chcemy sprawiedliwości - odpowiedziała Milbank Jej głos był wyważony i stanowczy.

Beechum zerwała się na równe nogi.

- Jak może pani mówić, że chce sprawiedliwości jeśli nawet nie bierze pani pod uwagę dowodów opartych na domniemaniu? -Milbank nic na to nie odpowiedziała, ale jej twarz wyrażała cień zainteresowania. - Czy nie przeszkadza to pani, że wciąż nie znalazła pani ciała? - wykrzyknęła Beechum. - A co z tym krwawym sadem,



który nagle konczy się u frontowych drzwi domu?

Nikt nie widział rzekomo ciężko rannego mężczyzny wychodzącego z mojego domu, pomimo że był to koniec dnia roboczego i z tuzin potencjalnych świadków - wyliczyła jeszcze raz dowody czy też raczej ich brak, jak to jej później wyjaśnił Phillip. -1 żadnych odcisków palców tego człowieka w moim domu. A jak on tam wszedł? I jak wyszedł? Gdybym miała z nim romans, to czy nie sądzi pani, że zostawiłby jeszcze coś po sobie - oprócz kałuży krwi! - dokończyła senator.

- Pani senator, morderstwo to nie jest przestępstwo podlegające pod prawo federalne - zauważyła Milbank. - Podlega policji. FBI

302

zajmuje się tylko sprawami zagrażającymi bezpieczeństwu kraju i jestem pewna, że pani o tym wie.

- Bezpieczeństwo kraju! Mówi pani o tej kasecie? Ależ agentko Milbank... wrobiła mnie pani w to spotkanie, a kasetę pani odsłuchiwała. Czy to tak wygląda standardowa procedura dotycząca zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju? A tak a propos, to czy pani śledztwo odnotowało, że wyrzuciłam tę przeklętą kasetę przez okno, nawet jej nie odsłuchując?

- Nie mam obowiązku wyjaśniać naszych metod przeprowadzania śledztwa, pani senator, i nie muszę pani pomagać w budowaniu obrony. Mam zaufanie do swoich agentów i do ich pracy. - Mówiąc to, wstała, szykując się do wyjścia.

- Niech pani zaczeka. Proszę. - Beechum zdobyła się na jeszcze jedną, ostatnią prośbę. - Zawsze popierałam FBI, ponieważ szanuję wasz obiektywizm i profesjonalizm. Proszę tylko, żeby spojrzała pani trochę dalej, poza to, o czym informują nagłówki gazet. Jeśli naprawdę zależy pani na sprawiedliwości... niech mi pani pomoże.

- Zgoda, pani senator - powiedziała Milbank, zaskakując wszystkich. - Proszę dostarczyć mi informacji, która uwiarygodni pani żądania, a ja to przemyślę.

JORDAN MITCHELL ODLECIAŁ HELIKOPTEREM ze swego domu w Berkshires. Nie posiadał

się ze szczęścia. W ciągu ostatnich trzech dni jego marzenie o ponownym wynalezieniu przemysłu elektronicznego transferu danych wykazało pierwsze oznaki życia. I nieważne, że media przyklepiły mu etykietkę miejscowego terrorysty albo

że każdy, od służb bezpieczeństwa po Departament Sprawiedliwości, groził wszczęciem śledztwa. To nie była już jakaś drewniana kukła poruszana za sznureczki pomysłami Mitchella; teraz był to chodzący i mówiący stwór, który w ciągu kilku tygodni miał zrewolucjonizować sposób prowadzenia biznesu na całym świecie.

- Dzień dobry - powiedział Trask, gdy Mitchell wszedł do jego gabinetu.

- Dzień dobry - skinął głową Mitchell. - Gdzie ona jest?

- Czeka na zewnątrz - odparł Trask. Do kompleksu biurowego Mitchella prowadziły wejścia ogólne i prywatne, w tym także hol wraz

303

z recepcją, dokąd można było się dostać wyłącznie windą otwieraną specjalnym kluczem.

- Sirad! - krzyknął Mitchell, wychodząc do przedpokoju, gdzie młoda kobieta siedziała, czytając magazyn „Town and Country”. - Gratuluję!

Wyciągnął prawą rękę, aby uścisnąć jej dłoń, a lewą kładąc Sirad na ramieniu.

- Dziękuję, panie Mitchell - powiedziała Sirad. - Cieszę się, że wszystko tak dobrze poszło.

- Niech pani wejdzie. Niech pani wejdzie. - Dawał ręką znak, zapraszając ją do biura, zalewając swym entuzjazmem i prowadząc do miejsca najświętszego ze świętych, którego opis większość pracowników знаła wyłącznie z krążących plotek. To, co zobaczyła w środku, zdumiało ją, nawet biorąc pod uwagę standardy Mitchella. Sufit o wymiarach czterdzieści na czterdzieści stóp zawieszony był na wysokości dwóch pięter. Okna wychodziły na zachód i widać było przez nie Central Park. Ściany pokrywały rzędy karabinów z zamkami dźwigniowymi i srebrzystych rewolwerów. Cały pokój otaczały półki na książki, a w połowie wysokości umieszczony był mały biegnący dokoła balkon. Pięknie kute poręcze, panele z czarnego dębu i gzymsy w kształcie litery „S” podkreślały gabloty oraz obrazy Eakinsa, Winsłowa Homera i Francisa Silvy.

Parkiet pokrywały krwistoczerwone dywany. Wszystkie meble były w stylu empire, ciężkie i tapicerowane, ciemne jak noc, ale bogate w ornamenty i inkrustacje.

Ale uwagę Sirad przykuł najbardziej mebel stojący z przodu, pomiędzy dwoma autentycznymi krzesłami Lannuie-ra. Było to olbrzymie biurko ręcznie rzeźbione w

głowy lwów i inkrustowane Purpurowymi Sercami, klonem i drzewem różanym z Madagaskaru. Błat pokrywała gruba, stara angielska skóra, ręcznie zdobiona na brzegach.

W jednym rogu biurka stała lampa od Tiffany'ego, a obita skórą szkatułka w drugim. Było tam również proste pióro od Cartiera i trzy oprawione w ramki fotografie dzieci i dwie nowożeńców. Wyglądało na to, że przedstawiały jakichś krewnych, ale Sirad wiedziała, że Mitchell nigdy się nie ożenił i prawdopodobnie nie znosił nawet myśli o dzieciach. Wobec tego zapewne zdjęcia te zostały upozowane.

- Cóż za wspaniała przestrzeń - stwierdziła Sirad, zajmując miejsce naprzeciwko jego biurka.

304

Mitchell przeszedł naokoło do swego krzesła i usiadł, oddzielony od niej sześcioma stopami twardego drewna. - Proszę mi powiedzieć, czy jest pani gotowa objąć kierowanie naszą nową inicjatywą?

- Tak, oczywiście. - Sirad obserwowała jego twarz, próbując zdecydować, o jak wiele można zapytać. - Ale muszę się zastanowić, na ile mi pan ufa, sir, jeśli chodzi o ten projekt. To znaczy, nie dostałam nawet...

- Utrzymanie w tajemnicy inwestycji kosztuje Borders Atlantic bardzo wiele starań. - Mówiąc to, Mitchell sięgnął do górnej szuflady i wyjął z niej jeden mosiężny klucz. - To wszystko stało się bardzo szybko, więc nie mogliśmy całkiem pani wciągnąć, ale nie będę przepraszać za dawkanie zaufania.

Sirad popatrzyła na klucz oraz oczy Mitchella. Nadal nie miała pojęcia, co wiedział o jej planach względem Hamida.

- Proszę-powiedział, dając jej klucz. ' - Co to jest?

- Klucz do pani nowego mieszkania. Będzie pani rzecz jasna mieszkać w Rijadzie, ale pozwoliliśmy sobie znaleźć też pani jakieś lokum tutaj - coś stosownego do pani nowych obowiązków.

- Dziękuję. - Sirad przyjęła jego podarunek.

- Jestem pewien, że to wszystko wydaje się pani zbyt nagłe - rzekł Mitchell - ale jeśli chce pani odnieść tu sukces, to musi pamiętać o jednym: w Borders Atlantic pełno jest tajemnic, a one są moją własnością. Sprawy odnoszące się do

tego projektu posuwają się naprzód bardzo szybko, dowie się pani wszystkiego we właściwym czasie.

- Jak pan sobie życzy - odpowiedziała Sirad. - Jestem do dyspozycji.

Walczyła ze sobą, aby się nie uśmiechnąć. Program, który zainstalowała w komputerze Hamida, już dostarczył Hochowi oraz innym analitykom z CIA mnóstwa informacji na temat projektów realizowanych przez Borders Atlantic. Hoch był przekonany, że dodatkowe ważne informacje Hamid trzymał na zewnętrznym dysku z zipami, dyskietkach i płytach CD i że wszystko to znajdowało się w jego mieszkaniu, a Sirad zdobędzie także i to w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Dobrze - stwierdził Mitchell. - Może pani korzystać z należących do korporacji odrzutowców oraz dokonywać zakupów do wysokości jednego miliona dolarów na jedną transakcję. Wszelkie większe

305

wydatki musi pani uzgadniać z Traskiem albo ze mną. A to będzie pani potrzebne na wydatki.

Wręczył Sirad czarną kartę American Express. Sirad już je widziała, ale sama nigdy nie miała takiej karty. Roczny limit w wysokości minimum ćwierć miliona na osobiste wydatki sprawił, że poczuła się bogata.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musi pani nic mówić, ale brać się do pracy. Druga faza inicjatywy Quantis wymaga pani wyjazdu w przyszłym tygodniu do Londynu. Trask już zarezerwował bilet; o czternastej mamy zebranie.

Sirad wsunęła klucz do kieszeni i wyciągnęła do Mitchella rękę.

- Dziękuję, za tę szansę. Nie zawiodę pana.

- Oczywiście, że nie. Ja także pani nie zawiodę - odpowiedział.

•

JEREMY ZJAWIŁ SIĘ na poniedziałkowej porannej odprawie, dokładnie tak, jak mu obiecał Jesus. Billy Luther dopiero zaczął sprawdzać listę.

- Wyglądasz jak kawałek gówna - stwierdził Lottspeich, gdy jego kolega wślizgnął się na swoje miejsce. Jeremy nie zamierzał odpowiadać - od tej sprawy w Jemenie niewiele spał.

- A gdzie jest Jesus? - szepnął Jeremy, widząc, że krzesło dowódcy jego brygady jest puste. Miejsca nie były wyznaczone, ale operatorzy HRT to niewolnicy przyzwyczajenia. Od picia kawy poczynając, a na sposobie, w jaki ładowali pociski do magazynka swego karabinu kończąc, ci faceci mieli wręcz obsesję na punkcie szczegółów i porządku. Jeśli już ktoś wybrał sobie jakieś miejsce, to nikt inny go nie zajmował.

- Zabij mnie, a nie wiem - wzruszył ramionami Lottspeich. Jesus leciał z Jeremym z Adenu do Nairobi, a potem do Londynu, ale tam odłączył się i sam poleciał do Nowego Jorku. Jesus miał przy sobie dokumenty alal-Bina oraz tę dziwnie wyglądającą broń.

- Hej, to Langdon jeszcze ci nie powiedział? - zapytał Lottspeich, zmieniając temat, gdy tymczasem Luther sprawdzał listę kolejnych brygad, odnotowując obecność lub absencję.

- O czym?

- Wyrugował Bucky'ego. Ustrzelił świstaka z odległości ośmiuset metrów. No i teraz przesunąłeś się o dwa miejsca w dół, a masz jeszcze tylko trzy dni na nadrobienie strat.

306

Jeremy potrząsnął głową, dziwiąc się, jak śmiesznie brzmiały te wiadomości w porównaniu z tym, co przeżył. Już zaczął odpowiadać Lottspeichowi, ale coś przykuło jego wzrok. Jesiis. Weteran HRT wszedł do sali, z ramienia zwisał mu niezbędnik, zupełnie jakby była to jeszcze jedna pobudka. Skinął głową kilku starszym operatorom i klepnął Luthera po plecach. A wszystko z uśmiechem na twarzy.

- No, dobrze, a oto plan waszego wyjazdu do Peary - oznajmił Lu-ther. - O czternastej stawiają się wszyscy z brygad Echo i Promienie X. Dowódcy brygad - o trzynastej trzydzieści.

Wspaniale - pomyślał Jeremy. Kompletnie zapomniał o wyjeździe do obozu ćwiczebnego CIA w Williamsburgu, w słownictwie ludzi zajmujących się wywiadem zwanym Farmą. Oznaczało to, że sprawy związane ze szczytem G8 dopiero miały nastąpić, a teraz znów na tydzień wyjedzie. Caroline nie będzie zachwycona.

- Brygada Promienie X ma ćwiczyć pierwsza - poinformował Billy. - A potem Echo,

które na razie będzie ćwiczyć TEVOC. Zmiana o osiemnastej. Są pytania?

Nie było żadnych.

- No, to w porządku. - Billy zamknął swój dziennik i wykonał zachęcający ruch głową. - Do pracy.

Sala nagle ożyła. Dały się słyszeć rozkazy, żarty, przypomnienia i docinki.

Jeremy patrzył, jak jego dowódca wstał i wyszedł. Poszedł za nim do łazienki i stanął obok przy drugim pisuarze.

- Jak spałeś ostatniej nocy? - zapytał, ale w jego głosie brzmiało raczej oskarżenie niż pytanie.

- Jak dziecko, a bo co?

Weszło kilku innych operatorów, ale Jesus zdawał się ich nie dostrzegać.

- Jeremy, nie wyglądasz za dobrze. Jak się czujesz? Wszedł jeden ze szturmowców z brygady Hotel.

- Muszę wiedzieć, co będzie dalej... na co mam się przygotować - wyszeptał Jeremy.

Odwrócił się twarzą do Jesusa. Włosy miał zmierzwiłone, skórę wciąż jasnoczerwoną od ostrego pustynnego słońca, pod oczami ciemne worki.

- Przygotować? - zapytał Jesus. Wyglądał na autentycznie zdumionego. - O czym ty mówisz?

- O strzelaniu. O dowodach, które zabraliśmy. Będziemy zeznawać przed Biurem Odpowiedzialności Zawodowej, prawda?

307

Jesus zapiął rozpiorek i odwrócił się w prawo.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - mówił na tyle głośno, żeby słyszeli go inni.

- Ale powiem ci jedno: od Portoryko zachowujesz się jak dupek. Lepiej pozbieraj się, zanim ludzie zaczną gadać. - Wypunk-towywał swoją wypowiedź zaciśniętą szczęką, a potem odwrócił się, chcąc odejść.

- Zaczekaj chwilę... - zażądał Jeremy. Teraz już obydwaj mówili głośno.

- Nie czekam na nic, Waller. - Ton Jesusa zatrzymał Jeremy'ego w pół kroku. - Na Farmie mamy mnóstwo ćwiczeń, a ty masz dwa wyjścia: albo zbierasz dupę w troki i jedziesz, albo prosisz Luthera o przydział do innej brygady. Przykro mi, że masz problemy emocjonalne, ale niedługo w Nowym Jorku odbędzie się coś ważnego, a Promienie X potrzebują strzelców. Chłopaki muszą wiedzieć, na kogo mogą liczyć.

## Rozdział XVIII

HAMID SIEDZIAŁ W SWOIM GABINECIE, gdy wszedł Dieter, zamykając za sobą drzwi.

- Cześć, Dieter. Teraz raczej jestem zajęty.

Szef ochrony Borders Atlantic podszedł prosto do biurka Hamida, odgarnął stertę dokumentów i cisnął brudną, zakurzoną stertę papierów.

- Co ty, do cholery, robisz? - zdenerwował się Hamid. Pustynny piasek, drobny niczym talk, uniósł się z podłogi, osiadając białą powłoką na jego niebieskim garniturze.

- Przejrzyj je. - Dieter skrzyżował ręce na piersi i wskazał głową na papiery. - To jest to, na co czekałeś.

Hamid użył gumki, aby rozdzielić dwie kupki papierów, zapisane na maszynie i poliniowane. Wszystkie były złożone kilkakrotnie i wyglądały na bardzo zniszczone.

- Czy to wszystko aktualne dokumenty? - zapytał Hamid. Pochylił się nad nimi, nagle zapominając o kurzu. - Ależ są pomieszane.

- A czego się spodziewasz po mieszkających na pustyni ludziach, którzy muszą się ukrywać? Przeczytaj je - odpowiedział mu Dieter.

Podobnie jak Hamid mówił i czytał płynnie po arabsku, ale tych kilka stron zawierało wyłącznie cyfry. I dlatego potrzebny był tłumacz. Po kilku minutach Hamid wyprostował się i przecesał włosy dłonią.

- Zdumiewające - westchnął. - Tu musi być ponad dwieście pięćdziesiąt numerów rachunków bankowych. Instrukcje w sprawie transferów, nazwiska, adresy kawiarenek internetowych w całej Europie. Czy już przejrzałeś któryś z tych rachunków?

- Nie. - Dieter rozplótł ręce, przeszedł wokół biurka i stanął za Hamidem.

Wskazał na laptop spoczywający sobie spokojnie w teczce. - Tylko ty i Mitchell macie dostęp do schematów routerów oraz zaszyfrowanych kodów.

309

- Daj spokój - roześmiał się Hamid. - Powiadasz, że są sekrety, O których Królicza Nora nic nie wie?

- Sprawdź rachunki - polecił Dieter.

Hamid pomyślał przez chwilę, a potem włączył swój laptop i kliknął kilka razy myszką. Wpisał hasło, pokonał trzy zabezpieczenia i znalazł się na stronie, do której chciałby mieć dostęp każdy rozwinięty kraj świata.

- Ta strona zawiera listę numerów routerów Zarządu Rezerw Federalnych i kolejnych transferów, jakich on dokonał - powiedział Hamid.

Dieter potakiwał wyczekująco głową.

- I?

- Zarząd Rezerw Federalnych, Los Angeles... Atlanta... Chicago... Miami... Dallas... Są wszędzie. Są kody dostępu do komputerów osobistych, hasła do prywatnych laptopów, ale - mój Boże, te numery kont - nie wiadomo, ile jest na nich pieniędzy.

- A co z kodami dostępu do routerów? - spytał Dieter. Dostęp do garstki indywidualnych kont nic dla niego nie znaczył. Chciał odkryć plan zakrojony na szerszą skalę.

Hamid posłużył się myszką, aby przejrzeć serię zaszyfrowanych algorytmów, których używał system bankowy kraju, dokonując niemal wszelkich transferów pieniężnych. Złamanie tych zabezpieczeń wymagało od Borders Atlantic trzech lat pracy, milionów dolarów i sporego łutu szczęścia. A tymczasem widniały one na zniszczonych kartkach papieru znalezionych na pustyni w Jemenie.

- Są tutaj - stwierdził Hamid, nerwowo pisząc na laptopie i przebiegając przez strony, na których pojawiały się szczegółowe informacje dotyczące banków oraz innych instytucji finansowych rozrzuconych po czterech kontynentach. Malezja, Szwajcaria, Wenezuela, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Kamerun, Iran - ta lista zawierała jeszcze ze dwanaście innych krajów.

- To bardziej rozległe, niż myślałem. - Hamid potrząsnął głową, wystukując z furią coraz to nowe hasła na laptopie i przesuując mysz po ekranie. - To jasne, że mają w środku swojego człowieka.

- Co to znaczy? Czy oni po prostu obracają pieniędzmi, czy...

- Nie, to o wiele więcej, niż tylko to. Oni są w środku procesu - rzucił gniewnie Hamid. - Tu są rzeczy, których nawet ja wcześniej nie widziałem.

310

- Co przez to rozumiesz? - Dieter zajmował się mnóstwem tajnych spraw, ale w



firmie tak wielkiej i skomplikowanej jak Borders Atlantic nawet on nie był w stanie zrozumieć wszystkiego.

- Pieniądze nigdy nie śpią - wyjaśniał Hamid. - Każdego wieczoru właściele rachunków bankowych oraz akcji - i to każdy, od emerytowanych robotników koncernów samochodowych w Detroit poczynając, poprzez farmerów z Kansas, a na przedsiębiorcach w Nowym Jorku kończąc - kładą się spać, myśląc, że ich pieniądze leżą sobie gdzieś w bankowym sejfie. A tymczasem ich oszczędności obiegają świat, grając na międzynarodowych rynkach finansowych, zagranicznych giełdach i uczestnicząc w działaniach spekulacyjnych. Za nie kupuje się ropę naftową, ubezpieczenia, przyczyniają się do wzrostu lub spadku oprocentowania kredytów. Te kwoty rosną lub maleją, mnożą się albo znikają - a wszystko to dzieje się, gdy tamci śpią. A właściwie każdy cent tych pieniędzy przechodzi przez jeden z dwunastu banków, jakie ma w kraju Zarząd Rezerw Federalnych.

- O jakich kwotach mówisz? - spytał Dieter. - O miliardach? Dziesiątkach miliardów?

- Nie wymieniamy tu żadnych cyfr, Dieterze, mówimy o GDP -produkcie krajowym brutto. O skumulowanym bogactwie najsilniejszej gospodarki rynkowej świata. - Hamid kliknął dwukrotnie myszką i uaktywnił ekran komputera, który mignął kilka razy, a potem otworzyła się inna strona. - Mówimy o finansowych przyczynach, dla jakich Ameryka jest ziemią, na której panuje wolność, i jest ojczyzną dzielnych ludzi.

- I to o to im chodzi? - zapytał Dieter.

Hamid odwrócił się od komputera i przejechał palcem wzdłuż dwóch kartek zapisanych ręcznie po arabsku.

- Niestety wciąż nie wiem, o co im chodzi. To wskazuje, że mają dostęp do systemu oraz wiedzę, jak nim manipulować, ale to nie mówi, w jaki sposób oraz gdzie zamierzają uderzyć. Być może patrzą, jak ukraść olbrzymie sumy pieniędzy, albo też tylko załamać dolara. Nie ma sposobu, aby się tego dowiedzieć, bo gdy już jesteśmy blisko, natrafiamy na zamek, ale ani śladu klucza do niego.

Obydwaj mężczyźni wpatrywali się w brudne kartki. W świecie, w którym ostateczną bronią są pieniądze, spisek, który ujawniły te dokumenty, mógł okazać się bardziej niszczący aniżeli bomba jądrowa.

- Ale muszę ci powiedzieć - dodał Hamid - że z tych wszystkich numerów jeden niepokoi mnie najbardziej. - Mówiąc to, wskazał na datę napisaną na pierwszej kartce. - To coś ma się wydarzyć w tym tygodniu.
- DO CHOLERY, ELIZABETH, powinnaś była najpierw zwrócić się z tym do mnie - denerwował się Phillip Mathews, adwokat Elizabeth Beechum. Przemierzał swój gabinet niczym ranny pies, pocierając czoło i starając się oswoić z informacją, że jego klientka nic mu nie mówiąc, poszła do FBI, aby rozmawiać w sprawie, która z łatwością mogła wpakować ją na resztę życia do więzienia. - Nie wolno ci ot tak iść sobie do ludzi, którzy chcą cię zniszczyć. I jeszcze na dodatek podajesz im na srebrnej tacy informacje.
- Beechum usiadła na kanapie, zakładając nogę na nogę.
- Phillip, nic im nie daliśmy. James i ja jesteśmy w posiadaniu informacji udowadniającej, że to wszystko jest pułapką. A FBI może udowodnić, że jestem niewinna.
- Elizabeth, FBI nie udowadnia niewinności obywateli. Ono pakuje ludzi do więzienia. A to jest sprawa dotycząca jednej z najwyższej postawionych osób, nie zajmowali się czymś takim od lat i nawet ze względów technicznych nie chcą wypuścić tego z rąk.
- Mają obowiązek iść każdym tropem, nawet takim, który może mnie uniewinnić. Sadzę, że agentka Milbank jest prawą osobą i że pomoże mi. Doprawdy tak uważam.
- Och, daj spokój! Pamiętaj, z kim masz tu do czynienia. Spytaj o prawość Richarda Jewella. A co z Wen Ho Lee? A oto fakty: FBI ma przemożne dowody, że to ty zastrzeliłaś członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego i pogwałciłaś prawo federalne.
- Nie mają ciała, odcisków palców ani też śladu po tej kasecie. Z tego, co widzę, to sprawa jest bardzo cienka.
- Po pierwsze, wcale nie potrzebują ciała. Zaginął jeden z pracowników z otoczenia prezydenta, w twoim domu wszędzie było pełno jego krwi, twoje odciski palców znaleziono na broni i policja uważa, że może wskazać na motyw. A poza tym dowody sugerują, że ten człowiek dużo wiedział na temat ściśle tajnego systemu broni, który ty oraz Komisja do spraw Wywiadu chcieliście udupić. I to

potwierdza kaseta.

312

O ile ten facet nie pojawi się i nie udzieli jakichś wyjaśnień, to będziemy musieli udowadniać, że go nie zabiłaś.

- Nie zabiłam. - Tylko na tyle była w stanie się zdobyć.

James, siedząc cały czas z boku i przysłuchując się tej rozmowie, zdecydował, że czas się wtrącić.

- Phillip, nie rozumiesz. To nie jest jakaś desperacka obrona. Rzeczywiście mamy nagranie dowodzące jej niewinności. Ono udowadnia, że ktoś próbuje ją zrobić w zbrodnię, której nie popełniła.

Ale Phillip nie zwracał uwagi na słowa Jamesa.

- Elizabeth, powiem ci, co zrobimy.

- Czy ty mnie słuchasz? - zapytał James. - Wygranie tej sprawy to nie jakaś nikczemna obrona, to dowiedzenie, że ta kobieta została w to wrobiona. Jeśli chcemy ocalić jej życie, to musimy znaleźć jakiś sposób na wydostanie tego nagrania z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

- Dość już gadania o tej cholерnej kasecie! - wrzasnął, tracąc panowanie nad sobą, Phillip. - Jak myślicie, co będzie się liczyć w sądzie? Teraz, kiedy powiedzieliście o tym FBI, to oskarżyciel będzie twierdzić, że wszystko zaplanowaliście. Nikt nie zna lepiej od ciebie, Elizabeth, technologii i technik podsłuchu. Jeśli nawet uda się nam i ława przysięgłych kupi tę twoją teorię, to rząd stwierdzi, że jest to niezwykle tajny sposób pozyskiwania informacji, mający kluczowe znaczenie dla obronności kraju, i odmówi współpracy. To beznadziejny pomysł.

- Ale to jest moje życie, nie zapominaj o tym.

- Elizabeth, wiem, że to twoje życie, ale strasznie tu napsułaś. -Przerwał na chwilę. - Jeśli chcesz mieć szansę przeżycia ostatnich lat na plantacji tytoniu swego ojca, to lepiej zapomnij o tym nonsensownym pomysle i pozwól, że t o ja zajmę się twoją obroną.

Elizabeth Beechum popatrzyła przez chwilę na niego, a potem na Jamesa.

- Doceniam, co usiłujesz dla mnie zrobić, ale wraz z Jamesem mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż trzymanie się portek wynajętego pomocnika. Możesz robić,

jak uważasz, a James i ja mamy dużo pracy.

Po czym obydwójce wstali i wyszli, nie mówiąc nawet do widzenia. Phillip odczekał chwilę, a potem podszedł do telefonu i wykręcił jakiś numer. Odezwał się męski głos, mówiąc tylko „Halo?”.

- Jest taśma z nagraniem - mówił Phillip, wiedząc, że mężczyzna poznaje go po głosie. - Taśma z nagraniem rozmowy telefonicznej. Będzie problem.

313

- W porządku - odpowiedział głos z drugiej strony słuchawki. -Gdzie mogę ją znaleźć?

- Nie możesz. Trzeba się nad tym zastanowić. Daj mi kilka godzin, zadzwonię potem. Musimy być bardzo ostrożni.

- Wiesz, gdzie mnie złapać - powiedział rozmówca Phillipa.

Adwokat odłożył słuchawkę i przetarł oczy. Zawsze szczylił się logiką swego myślenia, byciem prawnikiem, który przewiduje wszystko ze sporym wyprzedzeniem. Niestety tym razem coś przegapił i to coś istotnego. Naprawić to można było tylko w jeden sposób i należało się spieszyć, bo czasu zostało niewiele.

JEREMY PRZYJECHAŁ DO CAMP PEARY tuż po południu. Dwugodzinna podróż dała mu czas,

by przemyśleć zdarzenia kilku ostatnich dni, ale mało wyczucia, co zrobić ze swoją przyszłością. Gdyby powiedział Caroline prawdę, zażądałaby, aby zwrócił się do Biura Odpowiedzialności Zawodowej albo nawet wyżej, do Departamentu Sprawiedliwości. To nie było pilnowanie przestrzegania prawa, to było morderstwo. Ale morderstwo zlecone przez kogo? Aprobata dla czegoś takiego musiałaby zostać wydana przez osobę pełniącą kluczową funkcję w rządzie. Fałszywe paszporty, należący do korporacji odrzutowiec, człowiek z CIA w Adenie, po zakończeniu akcji transport na pokładzie wojskowego helikoptera, a następnie na okręcie marynarki wojennej -Jeremy przebiegał w myślach wszystkie sznurki, za które ktoś musiał pociągać, aby najpierw wysłać jego i Jesusa do Jemenu, a potem ich stamtąd zabrać. Musieli maczać w tym palce co najmniej trzech dyrektorzy gabinetu, Rada Bezpieczeństwa Narodowego, i musiał wiedzieć prezydent.

A co z dokumentami, które Jesus zabrał ze stołu? Jakikolwiek spisek wiarygodny i na tyle bliski, żeby przygotować taką akcję, musiał być niezwykle ważny. Może

Matrix 1016? Zaatakowanie amerykańskich celów. Czy tym powinno zajmować się FBI? Cała ta sprawa zdumiewała go. Komu mógł ufać? Czy pozostali koledzy w jednostce wiedzieli? Czy wyruszali w takie podróże? Było oczywiste, że Jesus tak, ale może dlatego, że przyszedł z armii i że „mokra robota” nie była dla niego niczym nowym.

314

W uszach dźwięczały Jeremy'emu słowa Jesusa: Dorośnijże wreszcie i rób, co masz robić.

Racja - powiedział do siebie Jeremy. Motto jednostki brzmiało *Servare vitas*. I to było jego misją. Nie mógł zgłosić tej sprawy Biuru Odpowiedzialności Zawodowej, ale z pewnością mógł zbadać ją sam.

- Nazwisko? - Pytanie wartownika przywołało Jeremy'ego do rzeczywistości.

- Waller. Jeremy Waller - odpowiedział, wyciągając z kieszeni dokumenty świadczące o jego pracy w FBI i podając je umundurowanemu wartownikowi, ubranemu w kamuflaż i uzbrojonemu w karabin MP-5.

Aczkolwiek napis nad jego głową głosił, że to teren Departamentu Obrony, to prawdziwe przeznaczenie Camp Peary należało do źle strzeżonych tajemnic. Na tym liczącym dziesięć tysięcy akrów terenie odbywały się właściwie szkolenia dotyczące tajnych operacji i ćwiczyli tam wszyscy, od początkujących adeptów CIA oraz analityków po armie rebeliantów z Trzeciego Świata.

- W porządku, sir. Proszę podjechać do recepcji, a tam już pana skierują dalej.

Jeremy podziękował, wziął dokumenty i pojechał na parking przed jednopiętrowym szklanym budynkiem, mijając po drodze całe rzędy przenośnych ścian. Trudno było zaparkować, bo stało tam mnóstwo samochodów ludzi z HRT. Połowa jednostki była już na miejscu, operatorzy stali w kolejce po formularze do wypełnienia i po wejściówki. Jeszcze więcej tajemnic.

Rób, co masz robić - pomyślał Jeremy, wysiadając z samochodu i idąc w stronę kolegów. Gdzieś tam ktoś znał odpowiedzi na te pytania. Teraz najważniejsze zdawało się podjęcie decyzji, kogo spytać.

\*

ELIZABETH BEECHUM NIE ZWLEKAŁA z rozpoczęciem własnej krucjaty w imię prawdy.

Podczas gdy jej pozostali koledzy chodzili na posiedzenia komisji, na lunchy, zbierali fundusze na najrozmaitsze cele - ona zamknęła się w swoim biurze i zajęła telefonowaniem. Podczas tylu lat spędzonych w Waszyngtonie nawiązała i podtrzymywała wiele kontaktów - z pracownikami Kapitolu, analitykami pracującymi na rzecz wywiadu, reporterami kręcącymi się dokoła Pentagonu -

315

i teraz obdzwoniła wszystkich, usiłując znaleźć kogoś, kto znał Craiga Slatera, człowieka, o którego zamordowanie ją oskarżono. Chciała wiedzieć, jakie miał on powiązania z tym wszystkim. I dlaczego wybrano tego mężczyznę na ofiarę? Początkowe rezultaty nie były zachęcające. Ci, którzy znali Slatera, powiedzieli, że był to człowiek cichy i odludek, akademik, którego wybrano do Narodowej Rady Bezpieczeństwa, ponieważ jako pracownik CIA był zatrudniony w Pentagonie. Interesował się archeologią, szachami, lubił słuchać radia i oglądać talk-show. Nigdy nie był żonaty, nie miał rodzeństwa.

Oprócz tego jego życie przerywane było nagłymi zniknięciami i dziwnymi przypadkami, typowymi dla większości tajnych agentów. James znalazł jego kartę z odciskami palców, kilka oficjalnych i prywatnych zdjęć oraz numer telefonu jego rodziców, do których obydwójce postanowili nie dzwonić. Jeśli istniała jakaś przyczyna, dla której został wybrany na uczestnika takiej tragedii, to Beechum zdoła to odkryć.

James właśnie zaczął zastanawiać się nad innymi tropami tego śledztwa, gdy rozległ się dźwięk interkomu.

- Pani senator, przepraszam, że przeszkadzam - mówiła recepcjonistka - ale tu jest jakaś kobieta, która chce się z panią widzieć. Mówi, że to pilne. To major Ellesworth.

Beechum wzruszyła ramionami, James również był zdziwiony. Nigdy o kimś takim nie słyszeli.

- Wprowadź ją.

Niemal natychmiast drzwi otworzyły się i weszła mała, ruda kobieta z zielonymi oczami, obcięta na pazia i w starannie wyprasowanym mundurze wojsk lotniczych. Beechum rozpoznała w niej jednego z ekspertów do spraw telekomunikacji Agencji Bezpieczeństwa Narodowego; dzwoniła do niej jesienią przed posiedzeniem Komisji

do spraw Wywiadu, na której była omawiana kwestia telefonu Jordana Mitchella.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć, pani senator - powiedziała major.

Weszła zdecydowanym krokiem, świadczącym o wyraźnym celu wizyty, i zatrzymała się przed biurkiem. - Miałam nadzieję, że będziemy mogły porozmawiać prywatnie.

- Starła się nie patrzeć na Jamesa, ale jego obecność wyraźnie jej przeszkadzała.

- Wszystko w porządku, pani major. To mój sekretarz do spraw administracyjnych, wolę, żeby został. Proszę mówić śmiało.

316

- Tak jest, proszę pani. Przepraszam, że panią niepokoję, ale już po prostu nie mogłam siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak... to wszystko się dzieje.

Starannie wyprasowana pani oficer sięgnęła do swojej wojskowej torby na długim pasku, który miała przełożony przez ramię, i wyjęła małą kasetę firmy Memorex.

Trzymała ją w dwóch palcach, jakby to był jakiś eksponat.

- Musi pani ją przesłuchać.

Beechum przez chwilę wzdrygnęła się, pamiętając, co się stało, kiedy poprzednio ktoś dawał jej taki prezent, ale w końcu wyciągnęła rękę i wzięła kasetę. James uniósł brwi, widząc, że senator zmierza ku małemu magnetofonowi stojącemu na mahoniowej półce. A ona włożyła kasetę do magnetofonu i nacisnęła „play”.

- Pospiesz się! - zabrzmiał jakiś męski głos o silnym południowym akcencie.

- To on. - Beechum aż zasłoniła sobie ręką usta. - Mój Boże... to ten drań, który mnie zaatakował. Słyszę ten głos nawet przez sen.

- Nie ma jej? - dał się słyszeć jeszcze jeden głos, w oddali i niewyraźnie.

- Zaraz wróci - mówił pierwszy mężczyzna. - Daj mi tę broń. Na chwilę w magnetofonie zapanowała cisza i nagle zabrzmiał odgłos wystrzału. Jeden, a potem drugi.

- Cholera, głośno! - mamrotał drugi mężczyzna. - Pospiesz się, dawaj no tu tę krew, zanim ktoś zadzwoni po gliny. Nie... tam, przy drzwiach.

Teraz nastąpiły stłumione odgłosy jakiegoś przesuwania, chodzenia, a potem ledwie zrozumiałe:

- No, chłopie! Tam... tylko mnie nie umaż tym gównem! -1 znów ten południowy akcent. - Tylko żebyś na pewno... rozmaz na ścianie... tam. Upewn timer się...

Parsons... jest...

Pstryk i taśma nagle się urwała.

Beechum rzuciła się w kierunku kasety i nacisnęła klawisz przewijania do tyłu.

Przystawiła ucho do taśmy, do cienkiego pisku przewijającej się kasety, i ponownie usłyszała: rozmaz na ścianie... tam. Upewnij się... Parsons... jest.

- Czy oni powiedzieli Parsons? - spytała Beechum. Jeszcze raz przesłuchała taśmę, usiłując rozszyfrować słowa. ;

317

- Skąd pani to ma? - chciał wiedzieć James.

- Byłam tam tego wieczoru, gdy komputer wychwycił tę rozmowę - wyjaśniła pani major. - Miałam dyżur, gdy jeden z naszych analityków wyłapał słowo-kod. System Echelon natychmiast namierzył numer telefonu, z którego ono padło, i zaczął nagrywać. Nagrał też wychodzącą z tego numeru rozmowę. Nie myślałam zbyt o tym aż do chwili, gdy usłyszałam o tej całej historii, o tym, co się jeszcze stało tamtej nocy. Nie mogłam po prostu siedzieć i nic nie robić.

- Tam. Upewnij się... Parsons... jest... - Pstryk.

- Czy zanieśe to pani do FBI? - zapytał James. - My nie możemy wykorzystać tego nagrania, nie mówiąc, skąd pochodzi - musimy mieć dowód, że jest autentyczne.

Ramiona kobiety opadły. Już się nad tym zastanawiała.

- Pani senator, mam dwoje dzieci i sama je wychowuję. To mogłoby zrujnować moją karierę.

Beechum skinęła głową, usatysfakcjonowana. . - W porządku, pani major, rozumiem pani sytuację. - Wiedziała, że prosić tę kobietę o taką przysługę to już zbyt wiele. - Zajmiemy się tym. Senator wyjęła kasetę z magnetofonu, a James zerwał się na równe nogi.

- Langley, nieprawdaż? - zapytał.

Już wiedział, o czym Elizabeth Beechum myśli.

- Najpierw musimy zadzwonić do Phillipa, a potem pojedziemy do Langley. Może i tej taśmy nie wolno użyć w charakterze dowodu, ale do cholery, na pewno posłużymy się nią dla podważenia oskarżeń.

- Przyprowdzę samochód - powiedział James.

Beechum podziękowała dzielnej młodej pani major i sięgnęła po telefon. Wystukała



numer, który znała na pamięć, i czekała aż usłyszy męski głos. Domek z kart, którego budowę rozpoczął Marcellus Parsons, teraz zaczynał się walić.

• . < | |

JEREMY PODJECHAŁ do Sosnowej Chaty ukrytej wśród lasów ciągnących się wzdłuż Parch Road i zanim poszedł za Coksem do domku z opon, w którym mieli ćwiczyć strzelanie, zostawił swoją torbę. Chociaż znajdujące się na świeżym powietrzu urządzenia wydawały się siermiężne w porównaniu z dziełem sztuki, jakim było Taktyczne

318

Strzeleckie Centrum Treningowe, gdzie ćwiczyło HRT, to jednak ta nowość stanowiła pewną atrakcję i odpoczynek po nieustannie tych samych pomieszczeniach, kątach i ścianach.

- Bierz sprzęt! Za dziesięć minut mamy domek do dyspozycji! - krzyknął Jesus do Jeremy'ego, gdy ten, tak jak inni, rozkładał swoje rzeczy na kawałku niebieskiego brezentu. Dowódca brygady wszedł do środka, aby sprawdzić ustawienie celów, a tymczasem jego operatorzy z brygady Promienie X byli zajęci rozpakowywaniem czarnych sztruksowych niezbędników, wypchanych kamizelkami kuloodpornymi, słuchawkami do radia, magazynkami do broni półautomatycznej, granatami oślepiająco-ogłuszającymi i całą resztą sprzętu, który był im potrzebny do półgodzinnej walki w zamkniętych pomieszczeniach.

- No, więc jak, masz zamiar nam powiedzieć, czy nie? - spytał Cox na tyle głośno, żeby inni też słyszeli.

- Co powiedzieć?

- O co chodzi. Twoja żona dzwoniła do mojej, pytając, gdzie ty się podziewasz przez cały weekend. Chłopie, masz troje dzieci, nie ma co oszukiwać i bawić się w takie hocki-klocki.

- O czym ty mówisz? - rozzłościł się Jeremy. - Nie zdradzam żony. Byłem za granicą. Dostałem zadanie. - W momencie, w którym wyrzucił z siebie te słowa, już tego żałował.

- Zadanie? - Bucky patrzył na niego z niedowierzaniem.

Jesus kazał mu trzymać gębę na kłódkę, ale teraz nie było już odwrotu.

- A co byś powiedział, jeśli oznajmię ci, że w ostatni weekend obaj z Jesusem

poleciliśmy odrzutowcem należącym do jakiejś korporacji z lotniska Manassas do Jemenu, z fałszywymi paszportami, i zlikwidowaliśmy Asama alal-Bina?

Wszyscy wybałuszyli na niego oczy.

- Powiedziałbym, że te wydarzenia w Portoryko popierdoliły ci we łbie - stwierdził Cox. - Lepiej idź do lekarza. Mówię poważnie.

- To nie żadna bzdura. Znaleźliśmy kilka dokumentów, w których, jak sędzę, był opisany plan ataku na Stany Zjednoczone. Jesus je zabrał. Chłopaki, ja muszę wiedzieć, czy to jest jakaś część wojny z terroryzmem i ja po prostu przegapiłem jakąś odprawę?

Tiny zaczął się śmiać.

- Tak, bez przerwy. Czy nie widziałeś medalu, jaki dostałem za zabicie Osamy ibn Ladena?

319

Bucky załadował magazynek do swojego MP-5.

- Mówię ci, Jeremy, lepiej idź do psychologa, zanim to naprawdę stanie się problemem. I trzymaj jęzor za zębami. Usłyszą, jak gadasz takie głupoty, i przesuną cię do brygady z bronią dla dzieci.

Wszyscy spoglądali przez chwilę na Jeremy'ego, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Hej, wy tam, zamierzacie gadać czy ćwiczyć? - spytał Jesus, nadchodząc z tyłu.

Po wyrazie jego twarzy Jeremy poznał, że wiedział, co się stało.

- Cała brygada, wszyscy - powiedział Jesus, popędzając ich, aby szybciej wchodzili. - Cox, ty biegiesz jako pierwszy. - To zdziwiło niektórych, bo zazwyczaj to Jeremy prowadził. - Tiny ma użyć granatów w przypadku usuwania jakichkolwiek przeszkód wewnątrz. Pytania?

Nie było żadnych. Zazwyczaj zmiana w przydzielanych zadaniach powodowała serię drwin i żartów, ale nie dziś. Coś się zmieniło. Coś więcej, niż tylko przydział zadań.

- No, dobra, do roboty - stwierdził Jesus.

Jeremy poszedł za nim na swoje miejsce, ostatnie w rzędzie, i przechodząc, pochwycił spojrzenie z ukosa, jakie rzucił mu dowódca. Nie zareagował, a tymczasem reszta brygady chwyciła półautomatyczne karabiny, zapięła kamizelki i przywarła do ściany. Jeremy wiedział, że jego wyznaczenie nie było najmądrzejszym

postępkiem.

- Uwaga, mam wszystko pod kontrolą... - krzyknął Jesus, udając komendę rozpoczynającą atak. Cox zaatakował wejście. Jeremy przywarł do stojącego tuż przed nim Lottspeicha. Zapanowała cisza, gdyż wszyscy przygotowywali się do tych ćwiczeń z bronią naładowaną prawdziwymi nabojami.

- Zgoda na akcję! Zgoda! - znowu rozległ się głos Jesusa.

No więc ruszyli, ziejąc ogniem. Wszystko działo się z szybkością błyskawicy - standardowe wejście, po trzech do większych pomieszczeń, dwóch - do mniejszych. Tyny przymocował ładunek wybuchowy do jednych z wewnętrznych drzwi, gdy tymczasem Bucky otworzył inne serią z karabinu. Wewnątrz była jedna kłębiąca się chmura dymu z granatów, od ognia z karabinów maszynowych i z wszechobecnej przemocy.

Jeremy parł do przodu, strzelając do celów, jeśli tylko je znalazł, i rzucając zakładników na podłogę, aby usunąć ich z linii ognia. W ciągu kilku sekund znalazł się przy ostatnich drzwiach, w „gorącej” strefie.

320

Zajął stanowisko przy ostatnich drzwiach; położył się, lufę karabinu uniósł do połowy w górę i skinął na kolegę znajdującego się na drugim miejscu w szeregu, aby wrzucił granat do tego ostatniego pomieszczenia. Poczł na ramieniu czyjąś rękę - był to znak, że kolega jest obok i mogą rozpocząć akcję. I wtedy zobaczył, że Jesus mija go z lewej strony, otwiera kopnięciem drzwi i wrzuca do środka granat.

BUUUM!

Jeremy dał nura do tego pokoju, dwa razy strzelił do uśmiechniętego terrorysty po prawej stronie, a następnie skręcił w lewo w kierunku grupy złożonej z pięciu manekinów usadzonych na starej, zniszczonej sofie. Było jasne, że to zakładnicy - nie mieli broni, nie przedstawiali żadnego zagrożenia.

- Czysto! - zawołał Jeremy. Opuścił broń i odwrócił się w stronę Jesusa, aby dołączyć do kolegów.

Jednak gdy spojrział przez ramię, zobaczył coś, co sprawiło, że do serca spłynęła mu zimna fala śmierci. Pod przeciwległą ścianą stał Jesus, zaledwie dziesięć stóp od niego, ze swoim MP-5 wycelowanym dokładnie w nasadę nosa Jeremy'ego.

Czerwone światełko jego koli-matora, gdyby nie pochodziło od lasera, mogłoby naznaczyć jego czoło kropką, taką jaką malują sobie Hinduski.

- Bach! Bach!

Dwa pociski przeleciały tuż przed twarzą Jeremy'ego. Z lewa i z prawa. Tak blisko, że niemal poczuł je przez skórę. Gdyby się uchylił, dosięgłyby go.

- Co jest, kurwa... - zaczął krzyżeć, ale spojrzenie w oczy Jesusa sprawiło, że zamilkł w pół słowa. Cox zrobił unik w stronę drzwi i podniósł kciuk w górę, na znak pochwały.

- Tu wszędzie czysto! - zawołał.

Jeremy odwrócił się w stronę leżących na podłodze zakładników i z tyłu, na kanapie dostrzegł jednego z terrorystów. Przedtem go nie zauważył. Teraz ten leżał z dwiema dziurami w czole od pocisków wystrzelonych przez Jesusa.

- Powiedziałem ci, żebyś przywiązał sobie łeb do dupy - powiedział Jesus, opuszczając lufę karabinu i podchodząc tak blisko, że zetknęli się ramionami. - Masz problem z ogarnięciem większego pola, ale to, że czegoś nie widzisz, nie oznacza, że to coś nie może cię zabić.

Jesus nie miał na myśli terrorysty na kanapie. To było ostrzeżenie.

## Rozdział XIX

SIRAD WYMKNEŁA SIĘ z pracy zaraz po czwartej, mówiąc, że musi kupić sobie ubranie na zbliżający się wyjazd do Londynu. Zjechała na dół windą, wyszła głównym wyjściem i trzykrotnie zmieniała taksówki, jeżdżąc po mieście i posługując się technikami wywiadowczymi, jakich nauczyła się w Harvey Point w Karolinie Północnej. Kiedy już uznała, że jest czysta, zeszła na stację metra i pojechała szóstką, która zawiozła ją tylko jedną przecznicę od Osiemdziesiątej Drugiej ulicy i domu, w którym mieszkał Hamid.

Odźwierny powitał ją, wymieniając jej imię, i chciał ją zaanonsować, ale Sirad mignęła mu przed oczami kluczem, który dał jej Hamid, i wsiadła do windy.

- Halo! - zawołała otworzywszy drzwi mieszkania. Olbrzymi apartament wyglądał na pusty, był sterylnie czysty i naznaczony takim pustym bezruchem, charakterystycznym dla muzeów i oddziałów dla chorych na raka.

Kiedy nikt nie odpowiadał, podeszła szybko do panelu i wyłączyła alarm, następnie pobiegła głównym korytarzem, minęła sypialnię Hamida, gdzie w szafie

nadal wisały jej rzeczy, i skierowała się do gabinetu. Program, który dał jej Hoch, znalazł setki stron dokumentów: listy inwestorów, numery routerów, terminy transakcji, listy stanu posiadania, personalne dossier, ale również sugerował istnienie dodatkowych informacji, których nie było na twardym dysku. Sirad zamierzała je znaleźć.

W gabinecie rozpoczęła poszukiwania. Jako wiceprezes operacji IT w Atlancie w Borders Atlantic wiedziała, jak się poruszać po stronach komputerowych akt, ale myszkowanie po szufladach biurka, ogromnej kolekcji Hamida zewnętrznych dysków z zipami, dyskietek i płyt kompaktowych to była zupełnie inna sprawa. Chociaż wiele zbiorów było oznaczonych, to jednak wymyślone przez Hamida akronimy, skróty

322

i kody nic jej nie mówiły. Jedynym wyjściem było skopiowanie wszystkiego na jej laptop - a to długi i zmudny proces.

Sirad właśnie otworzyła teczkę i wyjęła z niej swój komputer, gdy dźwięk otwieranych drzwi sprawił, że odwróciła się na krześle.

- Myślisz, że jesteś sprytna, tak? - Pokój wypełnił jakiś męski głos. Ten człowiek stał w drzwiach, ale padające od tyłu z korytarza światło sprawiało, że jego twarz była niewidoczna.

- Kim pan jest? - Sirad zerwała się z krzesła. Co robić? Alarm wyłączyła. Tylko same obrazy w tym mieszkaniu były warte dwadzieścia milionów dolarów, być może przeliczyła się co do ochrony tego miejsca.

- Och, przepraszam - uśmiechnęła się. - Alarm się włączył? W porządku. Mam klucz.

- Trzymała go w ręku jako dowód. - Może pan iść i zadzwonić do Hamida.

- Do nikogo nie będę dzwonić - oświadczył mężczyzna. - Wiem, po co tu jesteś.

W trzech krokach pokonał przestrzeń dzielącą go od niej i chwycił ją za gardło, dokładnie tak, jak uczono ją w czasie zajęć z walki wręcz w Camp Peary.

Sirad instynktownie zwarła ręce i wsunęła je między jego ramiona, aby osłabić uścisk na swojej szyi. Po uśmiechu w kącikach ust mogła zauważyć, że ta jej waleczność go rozbawiła.

- Uczyli cię tego na Farmie? - zapytał.

Sirad wiedziała, że żadna z głupich taktyk obronnych, jakich jej uczono, nie zda

się na dłużej. Ważyła tylko pięćdziesiąt trzy kilogramy, a ten facet był profesjonalistą.

Intruz przyjął pozycję jak do walki i posuwał się do przodu małymi krokami, odcinając jej drogę do drzwi i wtłaczając w kąt. Ten zbir nie był z firmy ochroniarskiej. Wyglądał na Izraelczyka - może był z Mo-sadu, z Szin Betu albo nawet z Kitonu.

Szybciej niż Sirad zdołała zareagować, znalazł się przy niej i chwycił ją za włosy, za co ona w rewanżu zatopiła paznokcie w jego oczach.

- Ty suko! - wrzasnął. Krew płynęła mu po policzkach, a adrenalina rozsadzała ich oboje. Więcej żadnego udawania. Ktoś musiał tę walkę przyplacić życiem. Mężczyzna walnął Sirad pięścią tak silnie, że aż dzwoniło jej w uszach, ale ona natychmiast instynktownie mu oddała.

Kopała najmocniej jak potrafiła obcasem i znalazła miękkie miejsce pomiędzy jego nogami, ale zanim mogła zadać następny cios, mężczyzna

323

wyrzucił do przodu ramię i cisnął nią o ścianę. Podsunął ramię pod podbródek Sirad i tak mocno naciskał jej krtań, że całkowicie odciął dopływ powietrza.

Oczy wyszły jej z orbit, waliła go rękami niczym cepami. Kolanami starała się kopać tego brutalnego człowieka niczym oszalały rowerzysta, ale bez skutku. W jej umyśle przesuwało się życie, jakie prowadziła, oparte na bólu i zdradzie.

Wszystkie te kłamstwa, manipulacje, nikczemności, jakich się dopuściła, aby osiągnąć to, co chciała. I oto, co ono jej zgotowało w zamian.

Po chwili agonii ból zaczął maleć. Sirad zaczęła dryfować obok swego ciała, obok płuc, które paliły, domagając się powietrza. Wszystko zaczęło roztopiać się we mgle. Pokój. Jordan Mitchell. CIA. Jej życie.

I wtedy nagle znów leżała na podłodze i znowu oddychała. Nad nią poruszały się jakieś ciemne postaci. Słyszała głośnie rozmowę, ostre uderzenia i ciężkie odgłosy. Po czym ktoś schylił się i postawił ją na nogi.

- Gdzie jest dysk? - zapytał ktoś rozkazującym tonem. - CD. Gdzie jest?

Sirad zacisnęła usta, a oni nieśli ją do salonu. Z powrotem czerpała powietrze, wracając do życia. Kim byli ci mężczyźni i dlaczego jej nie zabili? „|, - , -.

| :| •  
|>| •

•  
JEREMY WŁAŚNIE ściągnął kamizelkę kuloodporną, kiedy zobaczył, że przyjechał Mason. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że dowódca HRT przyjeżdża zobaczyć, jak przebiegają ćwiczenia, szczególnie takie, ale jeżeli już wysiadał on z samochodu i zmierzał prosto do miejsca, w którym ćwiczyła brygada Promienie X, to Jeremy'emu robiło się niedobrze.

- Głowa do góry - szepnął Cox. - Stary przyjechał.

Mason podszedł do Jesusa i odciągnął go na bok. Przez kilka minut rozmawiali przyciszonymi głosami, po czym Mason machnął w kierunku Jeremy'ego.

- Waller, Lottspeich - wrzasnął Jesus.

- W jakie gówno chcą nas znów teraz wpakować? - spytał cicho Lottspeich.

324

Jeremy rzucił mu spojrzenie, rozpiął kombinezon lotniczy i owinął jego rękawy w pasie. Słuchał się ojca, który kiedyś mu powiedział: Nigdy nie pozwól, aby widzieli cię spoconego.

- Hej, szefie - powiedział, idąc w stronę dowódcy. - Co się stało?

- Mam dla was dwóch robotę. - Mason nigdy nie był zbyt rozmowny. - Właśnie był telefon z Departamentu Stanu: nasz szef przyjeżdża wcześniej. Chcę, żebyście polecili do Nowego Jorku i rozpoczęli obserwację hotelu, w którym się zatrzyma.

- A co z resztą brygady? - Jeremy wiedział, że już dorósł i nie przysługuje mu status „pieprzonego żółtodzioba”, ale jednak to zadanie wydawało się nieco na wyrost dla dwóch najmłodszych stażem członków brygady.

- Zostaje tutaj, aby pomagać brygadzie Echo w przerzuceniu naszych samochodów.

Będą tam dziś w nocy. - Mason rzadko kiedy czuł potrzebę udzielania bardziej wyczerpujących wyjaśnień. -A dlaczego? Masz coś lepszego do roboty?

- Nie, szefie, mogę jechać. - Caroline będzie wściekła, ale nie było co jęczeć.

Mason był trzykrotnie żonaty, ale HRT miało zawsze priorytet. Bez względu na zadanie, które trzeba było wykonać.

- No, to dobrze. Walt już czeka na pasie startowym. Polecicie z nim do Richmond, a stamtąd możecie złapać jakiś samolot dalej.

To powiedziawszy, Mason wsiadł do swojego forda explorera i zniknął na Parch Road.

Trzy godziny później Jeremy, Lottspeich i dwa wypakowane niezbędne odlecieli z międzynarodowego lotniska w Richmond do Nowego Jorku. Jeremy miał chwilę, aby zadzwonić do domu, ale tylko nagrał się na sekretarkę automatyczną.

- Wyjaśnię, jak już będę na miejscu - to było wszystko, co powiedział. Caroline i tak by nie zrozumiała.

\* , , , | . . - \ | | • - .

ELIZABETH BEECHUM JECHAŁA Rock Creek Parkway, a potem drogą 266 prowadzącą do

Langley. Zadzwoiła wcześniej i osobiście umówiła się na spotkanie z zastępcą dyrektora kontrwywiadu, George'm Sheridanem, którego znała jeszcze z czasów, gdy był w Kongresie przywódcą mniejszości. Sheridan, wieloletni przyjaciel kilku prezydentów, zyskał pozycję nietykalnego, dostarczając kluczowych

325

informacji podczas polowania na Al-Kaidę. Aczkolwiek był on republikaninem, to pomimo tego bardzo się przyjaźnił z Beechum. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny w Waszyngtonie o ludziach pracujących w wywiadzie, dlatego jeśli ktokolwiek mógł jej teraz pomóc, to właśnie on.

Senator zaparkowała zaraz na prawo od głównego wejścia i poszła po przepustkę. Kiedy już została skontrolowana, pojechała krętą drogą na najwyższy poziom mieszczącego się w budynku parkingu i znalazła miejsce w pierwszym rzędzie, pomiędzy służbowymi furgonetkami. Sheridan wysłał jednego z pracowników, aby powitał Beechum w nowym gmachu. Trzy minuty później siedziała już w mieszczącym się na siódmym piętrze gabinecie.

- Jak się miewasz, Elizabeth? - Jego głos brzmiał szczerze.

Nie odpowiadając, wyciągnęła z torebki mały magnetofon Olympus i bez żadnych wyjaśnień nacisnęła na klawisz „play”. Sheridan słuchał uważnie aż do samego końca kasy, którą przyniosła pani major.

- Co to było? - spytał, gdy nagranie się skończyło.

- To były odgłosy czegoś, co się nigdy nie zdarzyło.

Sheridan odchylił się do tyłu i przeciągnął dłonią po wypomadowanych włosach.

i. - Musisz dać mi nieco więcej informacji.

- No, dobrze. Zobaczmy. To takie, no, wiesz, skryte działanie pomieszane z



jakaś szkolną paramilitarną operacją i z dobrym, znanym od dawna uderzeniem w łeb. Tajna operacja. Cholerne wrobienie kogoś w coś.

- Nie rozumiem, co ty masz z tym wspólnego.
- Tego wieczoru, kiedy zostałam zaatakowana, młody pracownik Narodowej Rady Bezpieczeństwa zadzwonił do mnie, aby poinformować o przełożeniu spotkania w Białym Domu w sprawie Starfire. Pamiętasz?
- Jasne. Nie było cię. Beechum potrząsnęła głową. •
- W czasie tej rozmowy telefonicznej on powiedział słowo Starfire, a Echelon wychwycił je i wytypował mój numer telefonu do dwudziestoczworgodzinnego podsłuchu.
- Ależ oni nie zrobiliby tego. Jesteś...
- George, nie cytuj mi tu formułek z instrukcji obsługi. Przecież znasz to rozumowanie - wychwycić wszystko, a niech Bóg dokona selekcji. Nagrano dwie rozmowy, a ta oczyszcza mnie z zarzutów.

326

Sheridan był sceptyczny. W:., r- .;''|-', '>:||||'• . |\*|.: '••. ||: 'S - To nagrała NSA? ||^-?;-:;, .| • ,;;, ||^||: .; ':-,v--". ...|

Skinęła głową.

- Zostało przemycone. I potrzebny mi jesteś, aby dostać legalne, normalnymi kanałami.
- Przecież wiesz, że nie mogę tego zrobić.
- Zostałam oskarżona o morderstwo, którego, co właśnie to nagranie jasno pokazuje, nie popełniłam. Posłuchaj jeszcze raz. - Puściła ponownie zakończenie.
- To Parsons. Wymienione jest jego nazwisko.

Sheridan uśmiechnął się.

- Daj spokój, Elizabeth. To może być każde nazwisko. Ty twierdzisz, że to Parsons, ale aby zyskać pewność, trzeba przeprowadzić bardzo dokładną analizę.
- I właśnie dlatego do ciebie przyszedłam. Twój ludzie mogą to stwierdzić.
- Elizabeth, jestem zastępcą dyrektora kontrwywiadu. Jeśli pošlę to do laboratorium z etykietką mówiącą o jakiejś teorii spiskowej, to będą się ze mnie śmiać w całym budynku!
- Twoje stanowisko to nominacja polityczna i sprawujesz pieczę nad dziewięcioma

odrębnymi agencjami wywiadu trudniącymi się działaniami takimi jak operacje psychologiczne, organizowanie kampanii wywrotowych, przekazywanie miliardów dolarów na nielegalne cele, na programy tak tajne, że ty sam potrzebujesz specjalnej przepustki od samego Pana Boga, aby tylko przeczytać jakiś fragment. Do cholery, George, przyznaj, że chodzi o to, iż naród nie powinien się dowiedzieć, że rozmowy zwykłych obywateli są nagrywane. Pomóż mi. Sheridan milczał przez chwilę. Wiedział, że tak jak wiele osób na wysokich stanowiskach, był separowany od tajemnic wiążących się z pracą firmy, w której pracował.

- Załóżmy, że masz rację. Ale dlaczego jeden z senatorów Stanów Zjednoczonych próbuje cię zniesławić i wprost zniszczyć? I zabić jakiegoś człowieka? Prawnika z Narodowej Rady Bezpieczeństwa? To jakiś absurd.

Beechum niemal czuła, jak poczucie praworządności wypełnia jego pierś.

- Nie chodzi mi o wyjaśnienia, ale o nazwisko. O analizę trzech sekund nagrania. O trzy sekundy prawdy. Jesteś ostatnią osobą, jaka mi pozostała, która może mi pomóc.

327

Wicedyrektor siedział przez chwilę, rozważając jej prośbę, po czym anotał coś szybko.

- Zostaw tę kasetę. Zobaczymy, co da się zrobić. Beechum kiwnęła głową.

-I jeszcze coś. Ten mężczyzna, który mnie zaatakował, ma na ramieniu tatuaż.

Wojskowy, tak mi się zdaje. - Mówiąc to, wyciągnęła rysunek, nad którym biedziła się od pewnego czasu, przedstawiający parę kości do gry z jedyнкą zaopatrzoną w małą gwiazdkę na jednej, lewej kostce, a z dwiema dwójkami na drugiej. - Mam nadzieję, że potrafisz to znaleźć.

Sheridan przesunął po rysunku palcem.

- Naprawdę chcę ci pomóc, ze względu na naszą wieloletnią przyjaźń. Ale wyprę się tej rozmowy, jeśli kiedykolwiek ty albo ktoś inny o niej wspomni. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Rozumiem, George - powiedziała. -I dzięki.

Obłudne wyparcie się czegoś stanowiło zasadę w tym biznesie. To była po prostu część gry.

- DOBRZE SIĘ PANI CZUJE?

Sirad leżała na obitej złotym brokatem kanapie Hamida, a dokoła kręciło się z pół tuzina facetów. Dwóch z nich ciągnęło właśnie bezwładne ciało mężczyzny, który ją zaatakował.

- Czy może pani oddychać? - pytał jakiś mężczyzna. To był Jordan Mitchell.

- C-c-co się s-stało? - z trudem wydusiła z siebie te słowa. - Co wy tu robicie?

Usiadła i natychmiast chwyciła się za gardło. Ledwie mogła oddychać. W części głowy czuła potworny ból, a nad lewym uchem wyrastał jej guz wielkości piłki bejsbolowej.

- Co się wydarzyło? - powtórzyła.

- Sądzę, że to nam należą się wyjaśnienia - powiedział Mitchell. Wykonał ruch ręką i człowiek, który ją zaatakował, został wyniesiony.

Sirad usiłowała rozjaśnić zamęt, jaki miała w głowie.

- Słabo mi... - Przekręciła się na bok i zwymiotowała do kosza na śmieci. -

Przepraszam... - Znowu wymiotowała.

- Chyba ma pani wstrząs mózgu, ale on by panią zabił, gdybyśmy się nie włamali.

' >-.||. i---...-... :^

328

Sirad podniosła wzrok i zobaczyła Chrisa, oficera do spraw ochrony, z którym była w Dubaju.

- Co pan tu robi?

- Słuchaj, Sirad - powiedział Mitchell. - Nasi pracownicy zajmujący się bezpieczeństwem odkryli, że odkąd wróciłaś od Saudyjczyków, ktoś usiłuje dotrzeć do naszych najtajniejszych danych komputerowych. Nie wiemy, ale bardzo możliwe, że akurat weszłaś w chwili, gdy ktoś dokonywał tej próby, kradnąc osobiste zapisy Hamida.

Przez chwilę milczała. Czy oni poddają jakiejś próbie?

- Dokąd go zabieracie? - spytała.

- Nie martw się o niego - stwierdził Chris. - Nie będzie cię już więcej niepokoić, ale jego ludzie, kimkolwiek są, zapewne przyjdą go szukać.

Pomimo bólu i nudności Sirad usiłowała myśleć.

- Co on ci powiedział? - pytał Chris. - Czy go rozpoznajesz? Potrząsnęła głową.

Nigdy przedtem go nie widziała.

- Pytał mnie o jakiś dysk - odparła. - Chodziło mu o jakiś dysk.

Mitchell wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Jego górna warga zacisnęła się, żyły wystąpiły mu na skroniach, co sprawiło, że jego rysy przeistoczyły się w ostre jak brzytwa linie.

- Mówiłem, żebyś nie wynosił tej cholерnej rzeczy z siedemnastego piętra! - ryknął na kogoś stojącego na lewo od niego. Sirad spojrzała i zobaczyła Hamida, pochylającego się nad ekranem kominkowym. Wyglądał na załamane go i przestraszone go.

- Przepraszam, panie Mitchell, myślałem że tutaj to będzie bezpieczne.

Sirad znowu zaczęła wymiotować.

- Do cholery, umyćcie ją - rozkazał Mitchell. Chris wraz z dwoma innymi podnieśli ją i wyprowadzili z pokoju, pozostawiając Mitchella z Dieterem i z Hamidem.

Traska nie było w mieście, bo akurat poleciał gdzieś zająć się jakąś inną niezwykle ważną sprawą.

- Czy coś przegrała? - spytał Mitchell, gdy zostali sami. Dieter potrząsnął głową.

- Próbowala. Wciąż nie wiemy, co - jeśli w ogóle - wie o całej operacji.

- Nie mogła przegrać nic poza pewnymi fałszywymi kontami. Tylko to mam tutaj. Dokumenty alal-Bina nie zostały skopiowane i nigdy nie wyniosłem ich z biura - wtrącił Hamid.

329

- Tyle wiesz - prychnął Mitchell. Znow zaczął spacerować. - Trzeba ją zamknąć, nie mamy czasu, aby marnować go na jakieś nowe problemy.

- Panie Mitchell, zamknięcie jej to tylko tworzenie nowych kłopotów. Jeśli ona rzeczywiście chce zdobyć od nas te informacje, to trzeba ją wypuścić, pozwolić działać i śledzić ją. To jedyny sposób, aby dowiedzieć się, dla kogo pracuje - argumentował Dieter.

- A ty co o tym sądzisz? - spytał Mitchell Hamida, najlepiej zaznajomionego z Sirad oraz z transakcjami peryferyjnymi.

- Zgadza się, ona mi ufa. Niech zostanie tu jeszcze kilka dni, a dowiem się, co wie - powiedział finansista. Jakikolwiek uczucia kierowały nim w stosunku do

Sirad, to zbladły one wobec ceny, jaką może będzie musiał za to zapłacić. -

Jeżeli daty na dokumentach alal-Bina są precyzyjne, to wciąż mamy jeszcze czterdzieści osiem godzin, aby obrócić wszystko na naszą korzyść.

Mitchell przestał chodzić i skinął głową. Za dwa dni Stany Zjednoczone czeka najstraszniejszy atak w historii - atak na ich skarbiec, atak, który dałby komuś faktyczną kontrolę nad najpotężniejszą gospodarką świata. On sam zainwestował miliardy, aby się zabezpieczyć, aby mieć pewność, że jeszcze nawet na tym zyska, i choć początkowo sprawy układały się dobrze, to teraz toczyły się zbyt szybko, wymknąwszy się spod kontroli. Hamid miał rację; czasu zostało niewiele, ale nie było powodu do paniki.

- Zgoda - oznajmił. - Ale chcę, aby była śledzona przez cały zespół ludzi i to całą dobę. - Wskazał teraz na Hamida. - A rano chcę od ciebie przeanalizowania transakcji. Waller właśnie przyleciał do Nowego Jorku, nasze systemy podsłuchowe przechwytyją ciekawe rzeczy w rozmowach za pośrednictwem technologii SBT, a Agencja siedzi cicho. Musimy to zakończyć.

Dieter skinął głową. Podobnie jak Mitchell wiedział, że biznes najbardziej nie znosił niepewności, i kiedy nadchodziła, to on jednak nadal się kręcił.

•

- PIĘKNE, NIEPRAWDAŻ?

Phillip Matthews zatrzymał się przy gablocie z osiemnastowiecznymi skrzypcami.

Był w Muzeum Narodowym Historii Ameryki i ze wszystkich eksponatów te skrzypce były jego najukochańszymi.

330

Odwrócił się do wysokiego, zwyczajnie wyglądającego mężczyzny ubranego w spodnie khaki i ciemnozielony sweter. Wyglądał na przewodnika po tym muzeum. Miał króciutko przycięte włosy i trzymał się idealnie prosto, niczym emerytowany wojskowy.

- Tak - odparł Phillip. - To stradivarius, z 1762 roku, wykonany dla pewnego Francuza imieniem Henri Larouse d'Attansione, który zyskał sławę tylko dlatego, że zagrał na tym wspaniałym instrumencie dla Marii Antoniny na dzień przed jej uwięzieniem. Zapewne był to ostatni miły dźwięk, jaki pieścił jej uszy.

- To ciekawe - powiedział ten mężczyzna, zniżając głos, ponieważ dokoła pełno

było szkolnej młodzieży. Właśnie przyleciał z Nowego Jorku i nie miał czasu na bezsensowną pogawędkę. - O co chodzi?

Phillip starał się sprawiać wrażenie, jakby studiował stradivariusa.

- Beechum ma nagranie.

Mężczyzna stojący obok niego zachwiał się lekko, ale natychmiast odzyskał dawną postawę.

- Nagranie? Jakie nagranie?

- No to, z tamtego wieczora, kiedy została napadnięta. Trzymała wtedy telefon komórkowy, telefonowała i wszystko nagrało się na automatyczną sekretarkę w jej biurze.

- I co to może udowodnić? - zapytał ten mężczyzna. - Może kogoś posadzić do badania tysięcy nagrań, ale nikt jej teraz nie uwierzy.

- To nagranie z NSA.

- Jak, do cholery...

- Nie wiem, i nie dbam o to. Ale jest jeszcze coś. Tam jest wymię\* nione nazwisko Parsonsa.

- Parsonsa? A kto do cholery je wymienił? On nawet...

Grupa dzieci zwróciła się w ich kierunku, a jedna z małych dam podniosła do ust palec, każąc im się uciszyć.

- Słyszałeś to nagranie? - spytał ten człowiek.

- Tak, przez telefon. Powiedziała, że jeszcze musiała coś przedsięwziąć, zanim zaniósła je do FBI.

- Coś przedsięwziąć?

- Przypuszczam, że zdobyła to nagranie nieoficjalnymi kanałami i zapewne stara się teraz załatwić wszystko legalnie.

- A więc na razie nie może tego wykorzystać?

331

- Nie sadzę - powiedział Phillip. - Beechum nie ma już dostępu do tajnych informacji, wobec tego nie może legalnie uzyskać tego typu danych.

Jego towarzysz podniósł głowę i wpatrywał się w sufit.

- Jestem prawnikiem - wyszeptał Phillips - i myślę, że uda mi się powstrzymać wszystko przez dwadzieścia cztery godziny, ale ty musisz się tym zająć.

- Nie, to ty musisz się tym zająć - bez wahania odparował ten drugi. - Nie mam zamiaru nadstawiać tyłka za twoją fuszerkę. Zajmiesz się ty, albo my się tobą zajmiemy.

- Nie groź mi - wypalił Phillip. - Jestem adwokatem i mam pewne doświadczenie w takich sprawach.

John Trask, prawa ręka Jordana Mitchella, wpatrywał się w człowieka, który okazał się słabym ogniwiem w niezwykle skomplikowanej, choć drobiazgowo zaplanowanej operacji.

- Nie przeceniaj władzy prawa - przestrzegł go Trask. - Pamiętaj, że my również mamy pewne doświadczenie.

RpZDZIAŁ XX

JEREMY I LOTTSPEICH wylądowali na lotnisku imienia Johna Kennedy'ego w Nowym Jorku tuż przed zmrokiem. Na parkingu czekał już na nich firmowy chevrolet suburban z przyciemnionymi szybami, drabiną na dachu, okratowanym przodem i szerokimi stopniami. Fakt, że ten wojenny pojazd stał w rzędzie limuzyn, zdawał się wcale nie przeszkadzać kierowcy, ostrzyżonemu po wojskowemu facetowi z bicepsami jak melony. Trzydziestoletni agent FBI chciał dostać się do HRT i widać było, że spojrzenia przejeżdżających obok sprawiają mu wyraźną przyjemność. Zasypał obu snajperów gradem pytań i trwało to do chwili, aż zajechali do dowództwa dosłownie naprzeciwko mostu Triborough.

Jeremy siedział z tyłu, toteż większość konwersacji spadła na Lott-speicha.

Natomiast Jeremy wciąż myślał tylko o jednym: o tym, co się wydarzyło w Jemenie, i z każdą chwilą coraz bardziej martwił się, co też stało się z dokumentami, które Jesiis zabrał zabitym: dowodami tożsamości, zdjęciami, adresami, kartami kredytowymi - nawet w nikłym świetle Jeremy widział, co wyciąga. A co z papierami, które leżały na stole? Czy to były te plany, o których mówił Jesiis? Plany „Ślubu”, tego Matrixa 1016?

Zanim przybyli do dowództwa, Jeremy stwierdził, że odłączenie się Jesusa w czasie powrotu wiązało się z przekazaniem tych dokumentów komuś w biurze terenowym w Nowym Jorku. Ten ktoś zajmował się atakiem na World Trade Center, spiskiem niewidomego szejka planującego wysadzenie mostów i tuneli, atakiem na USS „Cole” oraz wysadzeniem w powietrze ambasad Stanów Zjednoczonych w Dar es-

Salaam i w Nairobi. Tylko to miało sens - że biuro terenowe FBI w Nowym Jorku interesowało się alal-Binem i atakiem na Zarząd Rezerw Federalnych.

- Waller! - zawołał jakiś mężczyzna z akcentem charakterystycznym dla Detroit, głębokim i grubym głosem, gdy Jeremy i Lottspeich

333

weszli do wielkiego magazynu tuż obok East River. - Jak się, do cholery, miewasz? Jeremy odwrócił się i zobaczył Amerykanina włoskiego pochodzenia, bruneta o gęstej czuprynie. To był Andy Amustifano, w szkole dla nowych agentów dzielili pokój.

- Musto! - krzyknął Jeremy. Potrząsał ręką kolegi zadowolony, że widzi starego przyjaciela. - Co ty tu robisz?

Musto był kiedyś księgowym i bankowcem i zgodnie z tym, co powiedział, gdy ostatnio rozmawiali przez telefon, przydzielono go do biura terenowego w Nowym Jorku, gdzie miał tropić przestępstwa popełniane przez urzędników. Jeremy uważał za dziwne, że taki facet uczestniczył raptem w odprawie dotyczącej zapewnienia bezpieczeństwa, ale przecież wojna z terroryzmem wszystko pozmieniała. U pasa Musto wisiał pistolet glock .10.

- Przesunęli mnie do PBA- oznajmił Musto. Jego nowy przydział do nowojorskich Połączonych Brygad Antyterrorystycznych rzecz jasna zdejmował go z ulicy. - Pracuję, i to niemal już od roku, nad daktyloskopią dotyczącą rachunków Al-Kaidy. Nie dasz wiary, co my tu robimy. Ale popatrz na siebie, chłopie - niby w tym HRT wszystko w takim tempie, ale gówno z tego. A zawsze mówiliśmy, że dochra-piesz się dyrektorskiego stołka.

Jeremy śmiał się na głos, oglądając dokładnie wszystko wokół siebie. W skład Połączonych Brygad Antyterrorystycznych wchodziłi ludzie ze wszystkich pięćdziesięciu sześciu biur terenowych i wyglądało na to, że już podjęli jakieś działania w sprawie szczytu G8. Dziesiątki ludzi przewijały się przez wielką salę, pracując nad terminalami komputerów, zapewniając bezpieczne od podsłuchu połączenia telefoniczne, działanie kopiarek, monitorów telewizyjnych - to był kipiący pracą dom wariatów.

- Hej, Waller! - wrzasnął Lottspeich. Wraz z kierowcą stali obok faceta w czarnym kombinezonie lotniczym. Wszyscy trzej wyglądali niczym modele pozujący



do plakatów, mających zachęcić do wstępowania do jednostek specjalnych. -

Przywlecz no tu dupę!

Jeremy powiedział Musto, że pogadają później, i poszedł poznać Nakamoto, nowego koordynatora snajperów w nowojorskiej jednostce SWAT, byłego operatora w HRT. Nakamoto był niemal legendą w HRT, ponieważ był biskupem mormonów - i jedynym mormonem, jaki kiedykolwiek służył w jednostce, a na dodatek był najpłodniejszym 334

strzelcem w liczącej sobie dwadzieścia jeden lat historii HRT. Ten mikroskopijny i wiecznie uśmiechnięty Amerykanin japońskiego pochodzenia kiedyś trzema strzałami zabił czterech ludzi.

- Miło cię poznać - powiedział Jeremy, przedstawiając się. Zastanawiał się przez chwilę, czy zabijanie kobiet, dzieci i terrorystów za granicą plasuje go przed Nakamoto na tej wątpliwej liście wyróżnień.

Facet z bronią prowadził każdego do pokoju obok, gdzie już ze dwa tuziny mężczyzn i kobiet siedziały na składanych krzesłach ustawionych w nierówne rzędy. Przed nimi stał trudny do opisu facet, w krawacie, ale bez marynarki, i czytał coś z kartki. Zauważył Nakamoto wchodzącego z dwoma snajperami i spojrzał na salę.

- Dobrze, no to zaczynamy! - zawołał. Sala uciszyła się, a Jeremy usiadł pod boczną ścianą obok Lottspeicha.

- Nie będę marnować waszego czasu na udzielanie instrukcji, ale pozwólcie, że powitam... - Mówiąc to wskazał na trzech mężczyzn w pierwszym rzędzie, wszyscy byli biali, w wieku czterdziestu paru lat. - To są przedstawiciele

Antyterrorystycznego Centrum CIA, służb śledczych marynarki wojennej i służb imigracyjnych. Powiedziałbym, jak się nazywają, ale to prawdopodobnie stanowiłoby naruszenie protokołu dotyczącego bezpieczeństwa kraju, a poza tym jestem przekonany, że i tak nazwiska są fałszywe.

W sali rozległ się śmiech. W porównaniu z innymi odprawami, na jakich był Jeremy, tutejsza atmosfera wydawała się dość jowialna.

- Są też wśród nas dwaj snajperzy przybyli z Quantico. Witam panów. - Jeremy i Lottspeich skinęli wszystkim głowami.

- Wreszcie mamy wsparcie medyczne ze strony armii - dwóch chirurgów urazowych

oraz dwóch lekarzy ogólnych, którzy zostaną przydzieleni do oddziałów taktycznych. Jeśli coś się wydarzy, jestem pewien, że ci ludzie dostarczą was do Bellevue, które zostało wyznaczone na szpital służący nam w razie wypadku. Po czym zastępca kierownika biura terenowego (ASAC) w Nowym Jorku, zajmujący się tropieniem terroryzmu, poprowadził odprawę, która szczegółowością i opracowaniem przewyższała wszystko, co Jeremy dotąd widział. W usystematyzowanym w formie pięciu paragrafów porządku (podobnie jak to HRT zrobiło w przypadku Portoryko) omówił wszystko, od indywidualnych przydziałów brygad począwszy, dróg ewakuacji, prognozy pogody - uzupełnionej fazami słońca i księżyca - po częstotliwość radiową, rozmieszczenie samochodów i, oczywiście,

\  
numer sprawy, tak aby każdy mógł bezbłędnie wypełnić formularze. W FBI nic się nie działo, o ile nie zostało odnotowane na papierze.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę wspomnieć, zanim się rozejdziecie - powiedział ASAC. - Większość z was zapewne słyszała o Matriksie 1016 - czyli operacji Al-Kaidy noszącej kryptonim „Ślub”. Dotyczy ona zaatakowania Zarządu Rezerw Federalnych, choć jeszcze nie ustaliliśmy dokładnie, o co chodzi. Być może o atak bronią masowego rażenia albo z wykorzystaniem cyberprzestrzeni. Jeremy patrzył na tego człowieka nagle całkiem zbity z tropu. Rzecz jasna, że ASAC czuwający nad zapewnieniem bezpieczeństwa obradującym na szczycie G8, gdzie będą również ministrowie finansów największych potęg świata, wiedział, co on i Jesus znaleźli w Jemenie. Na podstawie tego, co powiedział Jesus, śmierć alal-Bina nastąpiła w czasie finalnego spotkania operacyjnego w ścisłym gronie, a to oznacza, że leżące na stole dokumenty musiały zawierać dokładne daty i szczegóły. Jeśli siły specjalne nie widziały tych dokumentów, to kto je dostał?

- Chciałbym nadmienić, że nie padły żadne groźby pod adresem któregoś z przywódców, ale bynajmniej nie zakładamy, że takich celów nie ma. Nasz przyjaciel z CIA dostarczył nam bardzo dobrą, pochodzącą z jednego źródła informację o działającej na Malcie komórce technicznej Al-Kaidy, która może odgrywać jakąś rolę w „Ślubie”. Niestety prawie wszyscy, których obserwowaliśmy, zaczęli korzystać z tych nowych telefonów o technologii SBT, a to uniemożliwia podsłuch. Minęły już czasy, kiedy można było namierzyć rozmówcę.

Wszyscy zebrani zaczęli jęczeć, kląć lub gwizdać. Borders Atlantic przyćmiło nawet Jane Fondę jako imię najbardziej przeklinane w kołach wywiadu i przestrzegania prawa. Nazwisko Mitchella stało się synonimem słowa „zdrajca”.

- W tej sytuacji - kontynuował ASAC - poruszamy się jak ślepcy. A to oznacza, że chociaż nie ma wyodrębnionego niebezpieczeństwa, musimy zakładać najgorsze. Jeremy poczuł chłodny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. W ciągu dwunastu godzin dwie brygady operatorów z HRT oraz kilkuset innych członków tej operacji, w której uczestniczy wiele agencji, mają strzec połowy finansistów tego świata. Informacja, którą wraz z Jesusem znaleźli w Jemenie, musiała być ważna, ale największe i mające największe powiązania biuro FBI najwyraźniej nic o niej nie wiedziało.

336

Kiedy ASAC skończył, Jeremy przeszedł przez pokój i odnalazł Musto zajętego segregowaniem faksów, które właśnie nadeszły z Antyterrorystycznego Centrum Obserwacyjnego mieszczącego się w Centrum Informacyjnym Działań Strategicznych, czyli SIOC.

- Musto, wyświadcz mi przysługę - powiedział Jeremy. Wraz z Lottspeichem mieli sprawdzić dwa hotele oraz drogi przejazdu przez środkową część miasta czterech konwojów. Facet z ramionami jak Popeye\* już czekał na nich na zewnątrz. - Masz dostęp do wszystkiego, prawda?

- Raczej tak. A bo co? Czego potrzebujesz?

- Powiedzmy, że wiem o pewnej rozmowie telefonicznej za pośrednictwem sieci NMARSAT, która odbyła się w określonym dniu i godzinie, za granicą. Czy mógłbyś ją znaleźć? Czy mógłbyś powiedzieć mi, do kogo dzwonił?

Od chwili wyjazdu z Jemenu Jeremy wiedział, że ktokolwiek koordynował tę akcję, dołożył wielu starań, aby uniknąć trafienia na jego ślad. Jeremy tuż przed wylotem z Londynu dał Jesusowi swój fałszywy paszport i inne dokumenty. Lotnisko w Manassas zarejestrowało fałszywy numer na ogonie G-IV. Nie było żadnych płatności kartami kredytowymi, żadnych transakcji internetowych ani też jakichkolwiek innych, które można by namierzyć. Jesus zadbał o wszystko, z wyjątkiem tej rozmowy telefonicznej. Przypuszczał, że jak długo on się o to troszczy, wszelki ślad prowadzi donikąd.

- Tak, mogę. Jasne. - Musto wzruszył ramionami. -Ale to wywoła alarm.  
- To ważne - powiedział Jeremy. Miał nadzieję, że takie wyjaśnienie wystarczy.  
- Dobra. Daj mi dwadzieścia cztery godziny, a dam ci znać, co znalazłem, okay?  
- Hej, Waller! Chodźmy! - krzyczał Lottspeich od drzwi.  
- Została wykonana z odległej części Jemenu, zwanej Hadramaut -mówił Jeremy.  
Napisał godzinę, datę i współrzędne z GPS. -Nie trwała nawet dwudziestu sekund,  
ale jestem prawie pewien, że jej odbiorcą był ktoś w Stanach Zjednoczonych. -  
Jeremy przysunął się do Musto tak

\* Postać z komiksu, marynarz o potężnych, wytatuowanych ramionach {przyp. tłum.}.

337

blisko, aby nikt nie mógł ich usłyszeć. -I nie mam dwudziestu czterech godzin,  
chłopie. Mam dwanaście, a może mniej.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Musto. Po twarzy kolegi, z którym dzielił  
kiedyś pokój, widział, że to poważna sprawa.

\*

-||| SIRAD WIEDZIAŁA, że będą śledzić każdy jej ruch, ale sprawy doszły już do  
takiego punktu, że musiała porozmawiać z Hochem. Napad na nią w mieszkaniu  
Hamida nie miał żadnego sensu. Oczywiście, że Borders Atlantic umieściło tam  
mnóstwo kamer i mikrofonów, ale ona sama, zanim weszła do budynku, bardzo  
starannie sprawdziła, czy nie jest śledzona. Więc kim był ten człowiek?

Leżała w łóżku z godzinę, analizując długą listę pytań. Czy on czekał tu na nią?  
Czy też włamał się, szukając tego, co ona? Jak to się stało, że Mitchell i jego  
lokaje znaleźli się tu tak szybko, nawet jeśli alarm się włączył?

Kiedy Mitchell, Hamid i lekarz, którego do niej wezwano, poszli sobie, Sirad  
wstała i ubrała się bardzo zwyczajnie - w dżinsy i w bawełniany sweter. No cóż,  
będą ją śledzić, ale w tej sytuacji ma już niewiele możliwości.

Zmieniała taksówki, jeżdżąc po całym Nowym Jorku, stosując tę samą technikę, co  
wcześniej tego dnia, ale tym razem wzięła tylko gotówkę; nie miała torebki,  
telefonu, kart ani niczego, co mogłoby posłużyć do naprowadzenia na cel.

Kiedy była pewna, że nikt jej nie śledzi, poszła do kawiarenki internetowej w  
centrum miasta, zamówiła chude mleko sojowe i usiadła przy terminalu. Zanim jej  
picie przestygło, weszła na stronę rady studenckiej uniwersytetu stanowego w

Indianie i zalogowała się. W ciągu kilku sekund ktoś o imieniu APEX575 również się zalogował. Chociaż każdy, kto przeczytałby tę wymianę zdań, pomyślałby, że to tylko po-gaduszka, APEX575 było nazwą strony oficera CIA przebywającego w Chantilly w Wirginii, a strona biuletynu służyła tajnym agentom do kontaktowania się w nagłych przypadkach, właśnie takich, jak ten. APEX575 to był jej kontakt.

Sirad wystukała swoje imię, którym chciała się posłużyć.

PORTIA27 Czuję się zagubiona. Potrzebuję rady. r APEX575 Jak mogę pomóc? ; i ^  
iv ;: ^ , ^ »:

338

PORTIA27 Muszę spotkać się z mentorem.;o»:i : h |:;:.;!; !; |>

APEX575 Niemożliwe. Potrzeby? ? -s,;!;||; - > ;. A . .. -, u

PORTIA27 Wskazówka.

APEX575 Sprawdź swoją bazę. Najszybciej, jak możesz. Pilne.

PORTIA27 Dane transakcji peryferyjnych?

Sirad czekała chwilkę na odpowiedź. Właśnie poprosiła o spotkanie z Hochem w wyznaczonym miejscu i otrzymała odpowiedź, że nie ma go w Nowym Jorku. Zostawił dla niej wiadomość, żeby jak najszybciej zajrzała do komputera Hamida w biurze, ale nie wiedziała dlaczego.

APEX575 Tak. Pilne, żadnych dodatkowych informacji.

Sirad rozejrzała się po kawiarence, czy nikt jej nie śledzi, i wylo-gowała się.

Skończyła i pojechała do biura podróży, gdzie za niemal wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie, kupiła bilet w jedną stronę, pierwszej klasy, do Belize.

Na bilecie widniało nazwisko Marta Rodri-guez, jej pseudonim, za którym się ukrywała.

Nigdy nie skacz bez rezerwowego spadochronu - uczyli ją w szkole spadochroniarskiej w Karolinie Północnej. Sprawy zaczęły przybierać zbyt szybki obrót, nawet jak na jej gust. Sirad Malneaux chciała upewnić się, że w razie potrzeby może jeszcze raz stać się jedną z tych osób, które nigdy naprawdę nie istniały, i zacząć na nowo.

\|.>..o !.-" !; ||

ELIZABETH BEECHUM nawet jeszcze nie zdążyła wrócić do biura, gdy zadzwonił George Sheridan, wiceszef kontrwywiadu. Wyśledził, że tatuaż w postaci toczących

się kości do gry nosi specjalna jednostka operacyjna sieci związana z zaopatrzeniem armii, stacjonuje w Tooele w Utah. Kilku członków 62. kompanii Działu Zaopatrzenia zostało przydzielonych do wspólnej operacji CIA i Departamentu Obrony, noszącej nazwę Medina, której zadaniem było poszukiwanie śladów broni biologicznej oraz chemicznej w czasie wojny. Trzy siedmioosobowe brygady złożone z tajnych agentów, speców od tych rodzajów broni oraz od ładunków wybuchowych i broni małokalibrowej rozprzeczły się po Iraku, starając się zebrać dowody, że Saddam Husajn miał broń masowego rażenia.

Kiedy wszyscy członkowie jednej z tych brygad zginęli w zasadzce zorganizowanej przez fedainów Saddama, a drugiej w katastrofie śmigłowca, trzecia zakończyła swoją pracę, chociaż miesiące wysiłków nie

339

przyniosły żadnych rezultatów. Z tej siódemki, której udało się przeżyć, czterej to byli naukowcy, trzej zaś to żołnierze sił specjalnych i właśnie oni mieli tatuaże przedstawiające kości do gry: pierwszą z jedyneką zaopatrzoną w gwiazdkę (co w języku SWAT oznacza „Masz tylko jedną dupę do wystawienia na ryzyko”), drugą w cyfrę 22, aby upamiętnić datę powrotu jednostki do Utah. Dwóch z tych żołnierzy przeniesiono do Panamy, a trzeci trafił pod sąd dyscyplinarny za złe traktowanie więźniów w Kirkuku i został zwolniony z armii.

Ten człowiek nazywał się Edgar Gene Valez, sierżant, urodzony 27 lipca 1962 roku w Oxford w stanie Missisipi. Według Sheridana człowiek ten mieszkał w Fort Lee w stanie New Jersey, przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy. Nie wiadomo, czym się trudził.

- Halo, James? - mówiła Beechum, dzwoniąc z komórki. Aczkolwiek warunki zwolnienia za kaucją zabraniały jej oddalać się więcej niż dwadzieścia mil od Waszyngtonu, to nie było siły, która sprawiłaby, że siedziałaby i czekała, aż FBI wkroczy do akcji. Zdając sobie doskonale sprawę z konsekwencji, Beechum wsiadła do samolotu linii Delta, kursującym między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem.

- Zwariowałaś? - brzmiały pierwsze słowa Jamesa. Przed odlotem senator zostawiła mu wiadomość na sekretarce automatycznej, informując o wszystkim i nakierowując na coś, co ewidentnie przeoczyli, przeszukując jej dom. - Jak mogłaś tak po prostu zniknąć? Policja rozdmucha to zaraz do gigantycznych rozmiarów.

- Do gigantycznych rozmiarów?

- A nie oglądałaś dziennika?

. - Ostatnią godzinę spędziłam w samolocie. Co się stało?

- Stało się to, że twój adwokat zrezygnował z prowadzenia tej sprawy. Powiedział, że są jakieś spory co do taktyki obrony, ale jest też przeciek, że dopuściłaś się pogwałcenia zasad bezpieczeństwa kraju, a potem starałaś się ukryć za parawanem przywilejów. Jutrzejszy „Washington Post” napisze, że Phillip poszedł do FBI, twierdząc, że moralne prawo nakazuje mu zrezygnować ze sprawy i wydać cię.

- A to skurwysyn! - wykrzyknęła Beechum. Znała Phillipa od dwudziestu lat.

- Reporterzy i dziennikarze już okrążyli twój dom, a policja stara się cofnąć przywileje, jakie otrzymałaś, wpłacając kaucję. I gdy tylko dowiedzą się, że jesteś w Nowym Jorku, na pewno to zrobią. Musisz wracać, jak...

340

- Nigdzie nie wracam - odwarknęła Beechum. - Jedynym sposobem na powstrzymanie tego szaleństwa jest znalezienie człowieka, który na mnie napadł.

- Ale jak? Wyobrażasz sobie, że po prostu podejdziesz do jego drzwi i poprosisz, żeby zeznawał i przyznał się, że starał się zrobić cię w morderstwo? Zapewne będzie próbował cię zabić!

Beechum, nie zwracając uwagi na ten wybuch Jamesa, pobiegła do wyjścia z lotniska.

- Nie martw się o mnie... przestań mi tu rozkazywać i opowiadaj, czego się dowiedziałeś.

Nastąpiła cisza, w czasie której James zastanawiał się, co powiedzieć. Wiedział, że spierać się byłoby bezsenssem.

- No, co prawda jeśli chodzi o tajny korytarz, to miałaś rację - odezwał się w końcu. - Wróciłem do domu, wszedłem na górę i znalazłem ukryte drzwi, tak, jak mówiłaś - otworzyłem je i poszedłem tym korytarzem aż do piwnicy, a potem do sąsiedniego ogrodu. Miałem przy sobie tylko latarkę i było cholernie ciemno, ale znalazłem niezbity dowód na to, że drzwi zostały wyważone. Zanim wszedłem na górę, prywatni detektywi, których wezwałaś, już tam byli. Zdjęli dwie pary odcisków palców. Jedne należą do faceta, na którego namiary dał ci Sheridan,

czyli do Edgara Gene'a Valeza, urodzonego dwudziestego siódmego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, ale adres jest inny: Nowy Jork, Dziewiętnasta ulica numer dwieście siedemdziesiąt jeden, stan Nowy Jork. Nie wiem, gdzie on mieszka, ale za to mieszkanie płaci świadczenia.

Beechum uśmiechała się szeroko, idąc w stronę wyjścia i omijając tłum. To, co znalazł James, to mocny dowód na to, jaką drogą napastnicy dostali się do jej domu, a potem uciekli. Dowód mówiący, że wykorzystali to samo tajne przejście, przez które Ellington Peach i jego kompani z czasów wojny secesyjnej wymykali się sto czterdzieści lat wcześniej. Dowodziło to także, że ktokolwiek włamał się do jej domu, miał świetną znajomość jego planu. Tylko goście bywający u Paula na kolacji oraz jego studenci widzieli to przejście.

- A te drugie? - zapytała Beechum. Cisza. - James? - spytała znowu. - Przecież mówiłeś, że były odciski dwóch osób. Wiesz, kto to jest ten drugi?

- Tak - odpowiedział James, gdy tymczasem Beechum wsiadała do wynajętego cadillaca town car, aby udać się do miasta.

\

341

"|>| - No i? -.: | ||-||| | ||' ||||- |'-||:'

Ale James zmienił temat. r

-Ci detektywi posłużyli się specjalną analizą, aby znaleźć kropelki krwi na schodach prowadzących na dół oraz na zewnętrznych drzwiach.

Badanie DNA trochę potrwa, ale wierzę, że wskaże na Craiga Slatera.

- Ale co z tymi drugimi odciskami? Powiedziałeś, że znaleziono odciski dwóch osób.

James odetchnął głęboko.

- Detektywi przejrzeni swoje kartoteki i stwierdzili, że należą do Phillipa.

Beechum usiadła prosto, jak struna.

- Phillip James Matthews, data urodzenia szesnasty stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, numer ubezpieczenia społecznego zero zero trzy-pięćdziesiąt sześć-tysiąc sto osiemdziesiąt dziewięć, zamieszkały w Arlington, przy ulicy Marsfield Mews dwadzieścia siedem, w stanie Wirginia. To twój adwokat. Zaraz jak go zapytasz o zrzeczenie się twojej obrony, możesz go spytać, dlaczego



przekradał się przez twoją piwnicę, mając ręce we krwi.

- NO DOBRA, TO GDZIE ONA JEST?

Mitchell stał przy końcu masywnego stołu konferencyjnego w Pokoju Wojennym. Po jego lewej ręce siedzieli Dieter z Hamidem, Trask po prawej. Mitchell był spięty, skupiony, przewidujący niczym marszałek polowy w przededniu bitwy.

- Zaraz po tym zdarzeniu wyszła z apartamentu Hamida - poinformował Trask. - Ci, którzy ją śledzili, zgubili trop w tłoku ulicznym, ale ona zalogowała się na komputerze w jednej z kafejek internetowych w SoHo. Usiłujemy wychwycić wszystkie jej działania, ale jesteśmy niemal pewni, że posługuje się kilkoma adresami, które założyła na rozmaite fałszywe nazwiska.

- Dobra.

Mitchell od dawna podejrzewał, jakie motywy kierowały Sirad, jeśli chodzi o projekt SBT. Nie było teraz najmniejszych wątpliwości, że to ona umieściła program w komputerze Hamida, ale ta śmiała chęć zdradzenia każdej władzy była cechą, która mu się w niej podobała. Poza tym siedemnaste piętro wykryło jej włamanie do komputera na

342

tyle wcześniej, że nie pozwalali sobie na nic więcej oprócz transakcji peryferyjnych.

- A gdzie ona jest teraz?

- Dziesięć minut temu weszła do gmachu i poszła prosto do swojego biura - powiedział Trask. - Jak ostatnio widziałem, interesowała się tym, co zabrać w podróż do Londynu. Jeśli nagli ją jakiś termin, to nie okazuje tego.

- No, dobrze. Pokaż mi, co mamy.

Trask nacisnął guzik, po czym na monitorach umieszczonych na ścianie ukazała się seria wykresów, plansz i zestawień czasu.

- Nasi spece od częstotliwości oraz wykresy pokazują kilka rzeczy: kierujący komórkami nie skontaktowali się z osobą, która ma wszystko rozpocząć, ale naszym zdaniem jest to ktoś mający dostęp do sieci Zarządu Rezerw Federalnych. I jest on tu, w Nowym Jorku.

Trask wstał i podszedł do jednego z ekranów, na którym widniała plansza z wizerunkami wszystkich najwyższych rangą członków Al-Kaidy, poczynając od alal-

Bina, aż po kierujących komórkami w Sudanie, Indonezji, Pakistanie, Maroku i Kanadzie.

- Około czwartej nad ranem planują zaatakować Zarząd Rezerw Federalnych, dokonując przede wszystkim transferów pieniężnych do Azji. Zaraz potem przyjdzie kolej na Japonię, a następnie na Europę -monstrualne załamanie rynku, wskutek którego upadną banki i giełdy.

Mitchell wraz z resztą słuchali Traska, który przedstawiał informacje przechwycone przez Borders Atlantic za pośrednictwem telefonów działających w oparciu o technologię SBT. Ustanowiony przez nich kanał działał tak, jak się spodziewali. Wszyscy, od członków Al-Kaidy począwszy, a na szejkach naftowych skończywszy, wierzyli, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ich nie podsłuchuje, a tymczasem każde wymawiane przez nich słowo przechodziło teraz przez siedemnaste piętro, gdzie tłumacze i analitycy rozkładali te rozmowy na czynniki pierwsze i przekazywali bezpośrednio zaufanemu gronu Mitchella.

- Sprawy się nieco komplikują w związku z liczbą numerów, ale realia wyglądają tak, że kiedy tylko Al-Kaida wykona ruch, wtedy zainstalujemy program, który będzie czuwać nad tymi połączeniami. Nasze zaangażowanie będzie absolutnie niewidoczne, ale jego znaczenie będzie olbrzymie. Nie tylko możemy sprawować kontrolę nad transakcjami Hamida, to znaczy tymi peryferyjnymi inwestycjami, ale oceniamy, że będziemy mogli przerzucać do trzech procent wszystkich

343

kierowanych za granicę funduszy. Zanim przedstawiciele prawa się zorientują, już będzie dawno po wszystkim.

- I zero śladów? - spytał Mitchell.

- Zero, sir, jeśli chodzi o nas - skorygował go Trask. - Al-Kaida będzie domagać się zaufania, czym ściągnie na siebie gniew i tak już wściekłego Białego Domu i poniesie wszelkie tego konsekwencje.

Jordan Mitchell podszedł do okna i spojrział na spowitą w noc wschodnią część Nowego Jorku.

- A co z Beechum? - zapytał.

- Coraz lepiej - odparł Trask, rzucając na stół wydrukowane z in-ternetu artykuły, które „Washington Post” i „New York Times” dopiero miały zamieścić w

porannych wydaniach. - Jej adwokat zrezygnował z prowadzenia sprawy, a zarówno FBI, jak i miejscowa policja poprosiły o zmianę warunków zwolnienia za kaucją. Sytuacja Beechum jest coraz gorsza. Wynajęła prywatną firmę detektywistyczną i oni znaleźli w jej domu odciski palców, ale myśmy już się tym zajęli. Gdy Ameryka przeczyta sfabrykowane przez nas historie, nikt nie usłyszy ani słowa z tego, co ona powie.

- A jak pozostałe części składowe? - Podszedł do stołu i wziął do ręki jedną teczkę osobową.

- Jest na miejscu. Czasowo w porządku. Jesteśmy absolutnie pewni, że nitki prowadzące do akcji w Jemenie są bezpieczne. Gdy coś przechwycimy, Borders Atlantic będzie gotowe do zdjęcia obiektu. Dokładnie według planu.

- Dobrze.

Mitchell podszedł do jednej z gablot i przesunął palcem po szkle chroniącym jego najrzadszą i najcenniejszą broń - wykonany z brązu i niklu karabin Henry'ego kalibru .5440. Został подарowany Szalonemu Koniowi jako wyraz dobrej woli tuż przed przeniesieniem Siuksów do rezerwatu Pine Ridge, ale Ulysses Grant kazał swemu osobistemu rusznikarzowi spiłować iglicę, bojąc się, by indiański wódz nie wypalił z niego do amerykańskich wojsk.

- A jak tam sprzedaż? - spytał. Pomimo oburzenia społeczeństwa na transakcję z Saudyjczykami, groźby zeznawania przed komisją senacką i zamiaru FBI postawienia go przed sądem, sprzedaż jego książki rosła, dowodząc racji powiedzenia, że nie ma to jak czarna reklama.

- Osiemdziesiąt tysięcy tydzień temu - odparł Trask. - Właśnie daliśmy dwa całostronicowe ogłoszenia do „New York Timesa”, kierując

344

je do ludzi w wieku dwadzieścia jeden-trzydzieści lat i na stanowiskach kierowniczych. Myślę, że sprzedaż podskoczy, gdy wszystkim dobrze pokierujemy. Mitchell kiwnął głową. Na dobre czy na złe, był kapitalistą. Nawet gdy pozostawało już mniej niż osiem godzin do ataku na cyberprzestrzeń, który mógł załamać amerykańską gospodarkę i wywołać efekt domina, on musiał mieć pewność, że jego podstawy są zabezpieczone. Silni przetrwają, a wtedy on miał zamiar przewyższyć ich wszystkich.

"%

## Rozdział XXI

WSIADAJĄC DO WINDY w Essex House, jednym z najlepszych hoteli znajdujących się przy nowojorskim Central Parku, Jeremy spojrzął na zegarek. Była 23.17. Cztery godziny od chwili, kiedy razem z Lottspeichem opuścili posterunek, sprawdzili wszystkie drzwi, korytarze, szafy i wyjścia ewakuacyjne na czternastym piętrze. Zabezpieczyli szyby wind, oczyścili pomieszczenia tylko dla personelu od dachu po kuchnie, sprawdzili wszystkich hotelowych gości w Centrum Informacji Kryminalnej i w spisach Służb Imigracyjnych i przeprowadzili dokładny wywiad na temat wszystkich zameldowanych w bazach danych CIA, służb specjalnych i Służby Celnej.

Wszystko wydawało się gotowe na przyjazd ich obiektu - afgań-skiego ministra spraw zagranicznych i jego świty - o 6.15. Jeremy miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku i wiedział, że zrobili wyjątkowo duży krok do przodu, ale wszystko to wydawało się niczym w porównaniu do prawdziwego celu akcji - zdobycia numeru telefonu od Musto.

- Jak rozpoznanie terenu? - zapytał Lottspeich, kiedy zjeżdżali windą na parter. Ktoś nadal musiał czuwać nad zabezpieczeniem najdrobniejszych szczegółów trasy z hotelu do sal na Trzydziestej Drugiej ulicy, gdzie odbywało się spotkanie G8.

- Jesus i reszta zajmą się tym.

- Jak na razie, gówno zrobili. Będziemy jeszcze musieli sprawdzić ustawienia magnetometru i zweryfikować listę gości.

Jeremy i jego partner odhaczyli wszystkie punkty na dziesięciostopniowej liście zadań w czasie o połowę krótszym, niż jest to normalnie zalecane. Jeśli obiekt miał wylądować na lotnisku za siedem godzin, jedynym sensownym wyjściem w takiej sytuacji było rozdzielenie zadań przez Jesusa wśród reszty jego brygady.

- Muszę zadzwonić - powiedział Jeremy, kiedy winda zatrzymała się na parterze. -

Może

346

sprawdzisz magnetometr, a ja spróbuję dowiedzieć się w centrali, jak stoimy z czasem.

Lottspeich pokiwał głową i ruszył przez główny hol pełen ubranych w garnitury

agentów bezpieczeństwa, którzy zaczynali zbierać się przed kolejnym dniem pracy.

- Pamiętaj, żeby zapytać o samochody - rzucił. - Chcę mieć pewność, że nie przyślą nam jakichś śmieci. Potrzebujemy trzech SUV-ów.

- Jasne. - Jeremy skręcił w lewo, w kierunku biura ochrony i zniknął w zagraconym, pozbawionym okna pomieszczeniu, którego wyposażenie stanowiły zegar wiszący na ścianie i korkowa tablica pełna informacji dla hotelowych ochroniarzy. Jeremy podniósł słuchawkę, wcisnął dziewiątkę, następnie wybrał numer, jaki dał mu Musto jeszcze w Głównym Centrum Operacji.

- Amustifano - męski głos po drugiej stronie przebił się przez głośny szum rozmów i urzędzeń biurowych.

- Musto, tu Jeremy. Masz coś?

- Dla ciebie mam tylko „jesteś mi coś winny”. Wiele osób chciało się dowiedzieć, po co, do cholery, chcę namierzyć jakąś rozmowę prowadzoną przez NMARSAT z Jemenu - zwłaszcza kiedy po zalogowaniu zobaczyli identyfikator sprawy.

- Co masz na myśli? - Jeremy ponownie spojrzął na zegarek. Jesus i reszta mogą zjawić się w każdej chwili.

- Jakieś trzy minuty po telefonie, o którym mi mówiłeś, NSA namierzała rozmowę z Hamburga z miejscem znajdującym się raptem sto metrów od punktu, którego namiary mi podałeś. To był jeden z tych nowych modeli komórek - SBT - których nie da się podsłuchać - ale zbieżność czasu i miejsca tych rozmów wywołała małe zamieszanie. Ludzie zaczynają wariować przez tego Matriksa 1016. Coraz bardziej mnie naciskają, żebym złożył wyjaśnienia w tej sprawie.

Jeremy zamyślił się na chwilę.

- Rób co musisz - powiedział. - Nie chcę niczego ukrywać. Oczywiście kłamał, ale nie miał wyjścia. Jakikolwiek oficjalne śledztwo zaczęłoby się w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, by następnie dojść do ludzi z Centrum Informacji Antyterrorystycznej, gdzie i tak mają dużo pracy. Zanim namierzyliby go, Jeremy będzie miał wszystkie informacje, jakich potrzebuje.

- Masz to czy nie? - zapytał.

347

Musto ściszył głos.

- To numer z Nowego Jorku. Należy do firmy inwestycyjnej będącej własnością Borders Atlantic. Jeremy, nie mam pojęcia, w co się wplątałeś, ale może lepiej, żebyśmy my to przejęli. SAC właśnie dostał gwarancje od FISA i niedługo zostaną rozesłane listy gończe za Jordanem Mitchellem w sprawie interesów z Saudyjczykami. Jak tylko NSA usłyszy o tych rozmowach, sprawa trafi do prezydenta.

- Borders Atlantic? Jesteś pewien? - dopytywał się Jeremy.

- Słyszałeś co mówiłem?

- Muszę wiedzieć, Musto - który oddział Borders Atlantic? Masz nazwisko? Piętro? Daj mi cokolwiek, do cholery!

- Próbuję ci pomóc. I mówię: uważaj na swoją dupę! To się nie skończy w tym miejscu. Ktoś zacznie cię szukać.

- Dzięki, Musto. - Jeremy upewnił się, że dobrze zapisał numer i że odczyta wszystkie notatki, które zrobił. - Nie chcę cię w nic wplątać. Po prostu szukam kilku odpowiedzi. Możesz mi wierzyć, że jak tylko je znajdę, będziesz pierwszą osobą, której o tym powiem.

Rozłączył się i wziął bardzo głęboki wdech. Dlaczego Jesus dzwonił do jednej z największych w Stanach firm korporacyjnych? Do firmy, którą wszyscy, od „Washington Post” po prezydenta, piętnowali za bezwzględny handel bezpieczeństwem narodowym dla korzyści korporacji. Czyżby kupili i jego?

- Skurwiel - Jeremy zaklął w myślach.

Ponownie podniósł słuchawkę i wykręcił dziewiątkę. Kto inny jak nie Mitchell z jego pieniędzmi i kontaktami mógł wyciąć taki numer? Kto jak nie Mitchell ma dostęp do technologii SBT, której użył alal-Bin? Kto wielokrotnie pokazywał swoją bezczelność i brak szacunku dla prawa? Ale dlaczego?

Ledwie Jeremy zaczął wykręcać numer, który dostał od Musto, kiedy do biura ochrony wszedł Jesus.

- Słyszałem, że jesteś zajęty - powiedział szef grupy. Nie wyglądał na zadowolonego.

Jeremy odłożył słuchawkę.

- Przyszędłeś wcześniej.

Jesus rozejrzał się po pokoju, żeby upewnić się, że są sami.

- Lottspeich powiedział, że skońcZyuscie-

- Poza rozeznaniem trasy przejazd- Pomyślałem, że moglibyście nam w tym pomóc, jak będziemy kończyć robotę tutaj.

348

Jesus podszedł i stanął kilkanaście centymetrów od miejsca, w którym siedział Jeremy. Sięgnął po kartkę, na której Jeremy zapisał numer telefonu do Musto.

- Jest tu ktoś, kto chce się z tobą spotkać. - Spojrzał Jeremiemu w oczy i uściśnął jego rękę teatralnym gestem. Żadne słowa nie dałyby takiego efektu jak to zachowanie.

- Agent specjalny Waller? - odezwał się jakiś głos. Głos ten był bez wątpienia głosem kobiety, którą na tej tylko podstawie można by określić jako protekcyjną sukę. Weszła z dwoma agentami SWAT, jeden z nich wyglądał, jakby brał udział w zawodach strong-manów.

- Sheila Reynolds z nowojorskiego biura Programu Wsparcia Pracowników (EAP). Chyba powinniśmy porozmawiać kilka minut.

Jeremy'emu żołądek podszedł do gardła. EAP przychodziło po ludzi, którzy mieli problemy z narkotykami i alkoholem... oraz takich, którzy zwariowali.

- Chcielibyśmy, żebyś poszedł z nami - powiedziała. Jej ton nieco złagodniał, ale i tak nie pozostawiał wątpliwości, że ona tu rządzi.

Jeremy spojrział na drzwi, następnie na chłopaków ze SWAT i Jesusa. Nie było jak ich ominąć.

- Oczywiście. - Wstał.

- Poczekaj chwilę, Waller. - Jesus zatrzymał go w połowie drogi. Złapał Jeremy'ego za rękę. - Dopóki nie uda nam się odkręcić tej sprawy, zamkną cię w jakimś pokoju i urządzą niezły maraton. Dopóki do nas nie wrócisz, musisz oddać broń i odznakę.

• |.- -; •|•|b,||

TOWN CAR SENATOR BEECHUM zatrzymał się niedaleko skrzyżowania Broadway i Dziewiętnastej w gorącą sierpniową mżawkę. Adres w New Jersey, który Sheridan sprawdzał jako pierwszy, okazał się adresem skrzynki pocztowej. Tym razem trafiła dobrze.

Senator przez okno przyglądała się ścianie budynku. Tylko w trzech oknach paliło

się światło. Biorąc pod uwagę porę, nie było to aż tak dziwne.

- Proszę tu zaczekać - poprosiła Beechum kierowcę. Wygramoliła się z auta i w deszczu podbiegła do budynku. Do momentu kiedy zatrzymała się przy drzwiach, nie zdawała sobie sprawy,

349

że wejście może stanowić jakikolwiek problem. Odźwierny stanął jak posąg między nią a windą.

- Słucham panią? - odezwał się. Spoglądał na nią, a w jego oczach widać było pytanie. Tak jakby rozpoznał jej twarz, ale nie mógł uwierzyć, że zabój czyni szpiegów, której twarz ciągle widział w telewizji, zjawi się w jego budynku o północy przemoknięta i zmarznięta.

- Tak... Ja... Do cholery - pewnie i tak wiesz, kim jestem. Mężczyzna unikał patrzenia na pierwszą kolumnę „Globe”, który leżał na biurku.

Twarz Beechum zajmowała całą stronę, a w poprzek zdjęcia widniał ogromny napis ZDRAJCZYNI UCIEKA.

- Tak, wiem, kim pani jest - starał się, by jego głos brzmiał normalnie.

Odźwierni zazwyczaj widzą dużo rzeczy.

- Muszę porozmawiać z jednym z lokatorów - powiedziała. Nie próbowała żadnego podstępu. - Pod 7A mieszka niejaki Valez, wydaje mi się, że to człowiek, który mnie zaatakował w moim własnym domu i może być jednym z członków grupy, próbującej mnie wrobić.

Odźwierny pokiwał głową, jednocześnie zastanawiając się, co powinien zrobić.

Następnie otworzył przykrywkę zasłaniającą guzik domofonu i nacisnął przycisk.

- Wie pani, mam brata w Rikers Island, który twierdzi, że nigdy nikogo nie zabił. Mam kolegę ze szkoły, który odsiaduje wyrok za napaść z bronią w rękę, ale cały czas twierdzi, że został wrobiony. W innym wypadku powiedziałbym, że jest pani szmatą, która zawiodła zaufanie głoszących na panią wyborców i zabiła jakiegoś ważniaka z Białego Domu. Ale niemal codziennie od dwóch i pół roku widzę tego Valeza. Zawsze jestem dla niego uprzejmy - dzień dobry, panie Valez, dobry wieczór, panie Valez. Ani razu przez ten czas nie miałem dnia wolnego. A on ani razu nie powiedział głupiego „cześć”.



Beechum starała się nie patrzeć na telewizor, w którym właśnie w wiadomościach MSNBC pojawiło się jej zdjęcie, a na pasku informacyjnym widniał tytuł materiału: Beechum uważana za szpiega. Pod zdjęciem przewijał się napis: Informatorzy określają straty dla kraju jako „druzgoczące”.

- Pomógłbym, gdybym mógł, ale... - Palec odźwiernego sunął po liście wejść i wyjść - przyszła pani jakieś dwadzieścia minut za późno. Wyprowadził się bez uprzedzenia dzisiejszego popołudnia. Zamawiałem mu taksówkę na Grand Central. Przykro mi, pani senator, ale Valez już tu nie mieszka. ' i <

350

WIĘKSZOŚĆ PRACOWNIKÓW WSPOMINAJĄC siedemnaste piętro centrali Borders Atlantic,

ściszała głos. Wynikało to z plotek i legend, że to właśnie na tym piętrze ustalane i przechowywane są największe tajemnice największej komunikacyjnej korporacji na świecie. Faktycznie, informacje od poufnych danych personalnych po patenty technologiczne czy wyciągi z numerów przypisanych do aparatów SBT przechowywane były właśnie tutaj. Jednak jaskinia lwa była także siedzibą działów takich jak wywiad korporacyjny, departament operacji bezpieczeństwa i komunikacji, o których wiedziało zaledwie kilka osób z kręgu Dietera Plancka.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Mitchell, kiedy Trask wyprowadził go z windy.

Mężczyźni znajdowali się przy wyjątkowo zwyczajnie wyglądającej recepcji. Po lewej stronie pomieszczenia, przy niewielkim biurku siedział umundurowany ochroniarz, po prawej stały dwie identyczne sofy, a na wprost wyjścia z wind znajdowały się ciężkie drewniane drzwi.

- Potwierdziłszy już czas, ale nadal nie mamy żadnej informacji na temat ataku

- powiedział Trask. Przeciągnął swoją kartę przez czytnik i wbił pięciocyfrowy kod dostępu. Wszystkie wejścia i wyjścia do i z tego pomieszczenia były monitorowane. - Zgodnie z nasłuchem będzie o szóstej czasu Greenwich. To za nieco ponad godzinę.

- Dobry wieczór panie Mitchell. - Dieter przywitał mężczyzn, zanim jeszcze zdążyli zamknąć drzwi. Dyrektor ochrony Borders Atlantic miał na nosie okulary w drucianej oprawie i prążkowany garnitur w wojskowym stylu. Poprowadził swoich gości korytarzem do pokoju, w którym znajdowało się małe biurko firmy Lucie i

jeden z najnowocześniejszych laptopów Apple iMac. Jakiś zaniedbany facet w fartuchu laboratoryjnym, na którym widniało imię „Russ”, nawet nie oderwał wzroku od klawiatury, kiedy weszli.

- To to? - zapytał Mitchell. Scena wydawała mu się co najmniej surrealistyczna.

- Och, niech to cię nie zwiedzie - uśmiechnął się Russ - to jedynie interfejs użytkownika. Nie zobaczysz tych wszystkich procesorów Craya, które sprawiają, że to cudo działa. Nazywamy je Oz. Zawiera wszystkie wstydlive informacje, jakich NSA nigdy nie chciałyby ujawnić. Zbiera dane od Siedmiu Drwali.

351

- Co?

- Główne centrum przetwarzania danych w CIA - wyjaśnił Russ-siedem serwerów największej mocy, które jak orkiestra gromadzą i przetwarzają dane. Ale to, co my tu mamy, rozwała wszystko: Oz to najnowocześniejszy system gromadzenia i przetwarzania informacji.

Jordan od razu polubił tego człowieka. Mówił rzeczowo, znał się na tym, czym się zajmował, i widać było, że jego pasją jest utrzymanie Borders Atlantic z dala od zwalniającego obrotu świata.

- Zobaczmy, co to cacko potrafi - powiedział.

- Jasne. - Russ wykonał serię kliknięć myszką i monitor wypełnił się kilkoma wykresami prezentującymi procesy zachodzące w systemie i internecie. Kliknął na ikonę o nazwie Transfery. Obraz na ekranie się zmienił. Teraz przypominał monitor z danymi giełdowymi i trzema podświetlonymi przyciskami: Ruch, Źródło, Trasa.

- Jesteśmy gotowi? - zapytał Mitchell. Russ bez słowa kliknął na przycisk Ruch.

- Zanim zobaczymy fajerwerki, minie chwila - uprzedził. - Jest małe opóźnienie ze względu na dane księgowo i tajne kody dostępu. Ale na Bliskim Wschodzie jest teraz poranek - siedzą i czekają, czy nie pojawią się jakieś problemy.

- Jesteśmy na to gotowi? - znowu dopytywał się Mitchell.

- Oczywiście. Tu... posłuchajcie tego.

Kliknął na przycisk Źródło. Tym razem na ekranie rozblęsnęła mapa świata. Russ zademonstrował możliwości programu, dzięki któremu mógł odizolować regiony, kraje, miasta oraz poszczególne organizacje finansowe i rządowe.

- To nasz program namierzania sygnału. Lokalizatory GPS są seryjnie instalowane w telefonach Quantis, które mają zamontowane procesory do przekazywania danych na temat identyfikatorów, najświeższych transakcji finansowych i oprogramowania do śledzenia operacji księgowych.

Ekran rozświetlił się kolorowo od wykresów i tekstowych informacji. Mężczyźni mogli dowiedzieć się, kto, gdzie, kiedy używał telefonów Quantis oraz co mówił.

- Każde słowo, obraz lub bajt informacji wysyłany do sieci możemy namierzyć tym lub każdym innym odpowiednio przystosowanym komputerem. O... spójrzcie - mamy pierwsze trafienie.

Dieter włączył głośniki i wyciszony pokój wypełnił się dźwiękiem rozmowy prowadzonej przez dwóch mężczyzn - Arabów - z elektronicznie

352

generowanym tłumaczeniem w tle. Była to rozmowa jakich wiele - mężczyźni bawili się swoimi nowymi gadżetami.

- Minister spraw zagranicznych Damaszku i libijski sprzedawca dywanów w Alexandrii w stanie Wirginia - powiedział Russ.

- Wygląda na to, że kupują te rzeczy szybciej od nas - zauważył Mitchell.

- Nocne kursy DHL - strzelił Dieter.

- No i proszę. Zaczyna się. !

Oz coś liczył, przejrzał rozmowy prowadzone przez telefony komórkowe, serwery, przez które przechodzi ruch internetowy, i ogromną liczbę cywilnych i wojskowych połączeń realizowanych przez satelity, włączając w to satelity NSA i Narodowego Biura Rozpoznania. W ciągu kilku sekund ekran eksplodował nieskończoną liczbą informacji - cała sieć połączeń pełna chciwych, knujących osób była w zasięgu Mitchella.

Mitchell nie mógł uwierzyć, jak łatwo można pokonać najlepsze rządowe firewalle i zabezpieczenia. Ze zdumienia nie przestawał potrząsać głową. Pieniądze. Ktoś musi zbudować siatkę szpiegowską, która będzie działać na całym świecie. Kto robi to lepiej niż największa firma telekomunikacyjna? Borders Atlantic świetnie dawało sobie radę z konkurencją, ponieważ jego szefowie wiedzieli, że na dłuższą metę pozycję zdobywa się dzięki informacjom, nie rozwijaniu produktów. Niesamowite - pomyślał - CIA i NSA miały obsesję na punkcie zabezpieczenia

danych posiadanych przez poszczególne osoby i cyfrowych zamków przy wszelkich drzwiach, a zwracały tak małą uwagę na właścicieli korporacji, z którymi robią interesy. Ludzie tacy jak Robert Nanssen i Aldrich Ames byli laikami w porównaniu ze specjalistami z firm takich jak Ford Aerospace i Rand czy SAIC. Firmy te przygotowywały oprogramowanie, rozwijały produkty i przygotowywały instrukcje obsługi oraz pełną dokumentację aplikacji i narzędzi używanych przez każdego agenta w Ameryce. To jakby zamknąć słoik z ciastkami, ale zapomnieć o osobie, która ma przepis na ciastka.

- Proszę, panie Mitchell - powiedział Dieter. Z ledwością opanowywał podniecenie, kiedy podkreślił głośność rozmowy prowadzonej przez syryjskiego ministra spraw zagranicznych i libijskiego handlarza dywanami. - To jest rozmowa, na którą czekaliśmy. Wiem, że to brzmi jak farsa, ale w rzeczywistości oznacza to, że za niecałą godzinę Borders Atlantic będzie rządzić światem.

353

JEREMY SIEDZIAŁ na jednym z ogromnych łóżek w całkiem przyjemnie urządzonej sypialni na ósmym piętrze Essex House. Przedstawicielka EAP usiadła na zbyt mocno zdobionym fotelu po jego prawej stronie, a facet z barami jak szafa stał niedaleko drzwi.

- Może coś panu podać? - zapytała kobieta. - Herbatę? Piwo imbirowe? Piwo imbirowe? - krzyknął Jeremy w myślach. Jego cały świat stanął na głowie, a ta idiotka traktowała go, jakby miał gripę.

- Dziękuję - powiedział, starając się zebrać w sobie i wyglądać na wyjątkowo zdrowego psychicznie. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieli. Irracjonalne zachowanie, zwidy, niewyjaśnione nieobecności w pracy. I to na Farmie... co za głupi błąd.

Jeremy przypominał sobie wyraz twarzy kolegów, kiedy prowadzono go do tego pokoju. Lottspeich był jedyną osobą, która życzyła mu powodzenia; reszta tylko się gapiła wzrokiem wyrażającym coś pomiędzy współczuciem i zdradą. Jeremy siedział i zastanawiał się, czy Ca-roline patrzyłaby na niego tak samo.

- W zasadzie, gdybym mógł dostać trochę gorącej herbaty, byłoby super - zmienił zdanie. To musiało być coś, czego nie mogła wyciągnąć z pokojowego barku, coś, po co musiała wezwać obsługę. -1 przepraszam na chwilkę. Okay? Muszę skorzystać

z toalety.

Kobieta uśmiechnęła się takim samym współczującym uśmiechem, jaki widział u swojego psychiatry po akcji w Portoryko. - Proszę bardzo, a ja zadzwonię po obsługę.

Jeremy wstał i ruszył w stronę łazienki. Obok swojego umięśnionego przyjaciela przechodził bardzo wolno. Kątem oka usiłował dojrzeć drugiego z agentów jednostki specjalnej, z nadzieją, że uda mu się znaleźć jakiś słaby punkt, szansę na atak i ucieczkę.

- Sorry, kolego, ale muszę pilnować cię cały czas - powiedział agent. Mężczyzna westchnął i wszedł za Jeremym do łazienki. -A patrz sobie - zgodził się Jeremy, odwrócił się i zaczął rozpinąć spodnie. W tym czasie agent zajął się swoim odbiciem w lustrze napinając i rozluźniając mięśnie ramion. Ledwo dostrzegalny uśmiech zadowolenia przebiegł po twarzy mięśniaka na widok efektów jego ciężkiej pracy w siłowni. Bez wątplenia kilogramy, które tam wycisnął, od razu zapewniłyby mu miejsce w HRT, myślał.

354

Agent napinał teraz mięśnie nóg, nadal przeglądając się w lustrze, w czasie kiedy Jeremy robił, co musiał. Ledwo odnotował dźwięk spluczki, a jego mózg nie zdążył zarejestrować szybkiego ruchu ręki Jeremy'ego, która trafiła go w skroń. Zanim strażnik domyślił się, co go uderzyło, upadł na podłogę.

Po jakimś czasie jego otumaniony umysł zaczął rejestrować krzyki. Tak, to niewątpliwie krzyczała ta baba z EAP. Mięśniak zdał sobie sprawę, że Jeremy uciekł. Skurwysyn - skarcił sam siebie. Mimo ciągłego dzwonienia w uszach wiedział, że jego szanse na dostanie się do HRT przepadły na dobre. Nigdy nie miał takiego doła.

SIRAD TRZYKROTNIE bezskutecznie usiłowała skontaktować się z Hochem. Teraz siedziała przy biurku w swoim nowym biurze w centrali Borders Atlantic. Jej sytuacja nie wyglądała najciekawiej -z jednej strony nieustanna obserwacja ze strony Mitchella, z drugiej przejmujące uczucie, że w Agencji coś idzie nie tak. Hamida nie było w biurze i nie odbierał jej telefonów.

Młoda kobieta nerwowo stukała paznokciem palca wskazującego w klawiaturę telefonu, zastanawiając się, jakie kroki powinna teraz podjąć. Ktoś właśnie

zaatakował ją w mieszkaniu Hamida, nie poradziła sobie z ochroniarzami Mitchella na siedemnastym piętrze. Jeśli nie znajdzie sposobu na szybkie wyplątanie się z tej sytuacji, następny atak może mieć zupełnie inne zakończenie.

Wstała i wzięła torebkę. Bez wskazówek od Hocha jedynym wyjściem było dla niej samodzielne złapanie Mitchella. Oznaczało to dotarcie do wszystkich tajemnic, o których non stop mówił. Oznaczało to wejście do Króliczej Nory.

•

DWIE MILE na południe od imperium Jordana Mitchella było opustoszałe biuro, wypełnione fluorescencyjnym światłem. Theodore Allen Dokes sięgnął po kosz na śmieci wypełniony po brzegi tekturowymi kubkami po kawie z pobliskiej kawiarni sieci Starbucks, ręcznymi notatkami i niedojedzonymi pączkami z galaretką. -

Bism Allah al-Rahman, al-Rahman - szeptał jak mantrę cytat z Koranu, który niecały rok temu

355

odkrył jako słowo Boga. Niedawno rozmawiał ze swoim mułłana temat muzułmańskiego imienia, jakie powinien przybrać, imienia, którego już używał, by podkreślić swoją nową wiarę: Mustafa Ali Muhammad. -Brzmi jak wojownik o dżihad - pomyślał; imię miało być hołdem dla jego dwóch ulubionych bokserów: Eddiego Mustafy Hamsho i tego największego, który kiedyś używał imienia Cassius Clay.

Dokes wyrzucił śmieci do swojego wózka sprzątacza, przeczyścił monitor i poszedł dalej. Co wieczór robił to samo, sprzątał do białego rana wiele godzin po tym, jak aroganccy Amerykanie, zagonieni w walce przeciw islamowi, opuścili swoje miejsca pracy. To byli ci sami ludzie, ten sam rząd, który zamknął go za posiadanie narkotyków przed pięcioma laty, zaprzepaszczając jakąkolwiek szansę Dokesa na wyrwanie się z południowego Bronksu. To była ta sama zła władza, która przez pięć lat odsiadki przybrała formę ropnia zżerającego jego trzewia - do chwili, kiedy mułła z bloku E pokazał mu prawdziwego Boga.

Kiedy tylko wpuścił go do swojego serca, wszystko się zmieniło. Teraz wiedział, dokąd zmierza, znalazł sens istnienia. Już nie patrzył na siebie jak na usłużnego robota. Teraz był wojownikiem, agentem operacyjnym, zbierającym wartościowe notatki z koszy na śmieci, biurka, tablic, tu, w jednym z najpotężniejszych banków w Stanach Zjednoczonych.

- Allah huakbar - szeptał Dokes, obracając się w kierunku, w którym znajduje się Mekka, i odmawiając modlitwę, w której ofiarował swoją pracę na równi z poczynaniami braci, którzy dla Allaha poświęcili swoje życie. Nie, to nie była misja samobójcza, ale niewątpliwie dzięki niej może liczyć na umieszczenie go w jednym szeregu z innymi męczennikami. Tak przynajmniej mówił jego kontroler. Dzwonili do niego na jego nowiutki telefon, który mu dali, nafaszerowany najnowszą technologią, między innymi systemem, dzięki któremu mógł uszkadzać księgowo oprogramowanie w komputerach.

Allah huakbar - za mniej niż godzinę zapoczątkuję dżihad na Zachodzie na skalę porównywalną z atakami na Nowy Jork. - Tak mu mówili za każdym razem.

Dokes opróżnił następny kosz, następnie po raz kolejny sprawdził, czyjego nowiutki telefon Quantis wyprodukowany przez Borders Atlantic był włączony. Nie chciał przeoczyć największej szansy swego i tak zmarnowanego życia.

## Rozdział XXII

!>>>|| ..

JEREMYPRZEBIEGŁ PIERWSZYCH dziesięć przecznic, kierując się na zachód, wzdłuż Hudson, następnie skręcił na północ w Broadway i na wschód do Central Parku. Zatrzymał się na środku ulicy, pokazując się w całej okazałości ludziom, którzy, tu miał stuprocentową pewność, go gonili, ale spoglądając w ciemny, zaciemniony teren parku, nabrał pewności snajpera. Tam mógł pozostać niezauważony, ukrywając się do czasu, aż będzie pewien, że nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Zaraz po północy Jeremy pojawił się na ścieżce, którą biegają amatorzy joggingu we wschodniej części parku, i minął znak wskazujący kierunek na Siedemdziesiątą Dziewiątą ulicę. Okolica wyglądała na wymarłą, poza ruchem wywołanym przez lejący deszcz. Żadnych przechodniów, jedynie czasem jakaś taksówka. Woda spływała mu po twarzy, uniemożliwiając wyraźne widzenie, kiedy łąpał oddech po długotrwałym wysiłku.

Tam - pomyślał. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowały się trzy budki telefoniczne, które wyglądały na wyjątkowo przestarzałe, jak na erę telefonów komórkowych. Jeremy rozejrzał się dokładnie, szukając znaków, które mogłyby świadczyć o tym, że ktoś go namierzył; następnie przebiegł pędem ulicę i skrył się w cieniu jednej z budek, po czym wykręcił swój numer domowy.

- Caroline, słuchaj - zdenerwowany wyszeptał, jak tylko jego żona podniosła słuchawkę aparatu w Wirginii. Z wyjątkiem SMS-ów, Jeremy nie kontaktował się z nią od rana, kiedy rozmawiali przed jego wyjściem do pracy.

- Gdzie jesteś? - dopytywała się. - Dzwonili z twojego biura... powiedzieli, że zabierają cię do Chicago na jakieś badania psychologiczne. Jeremy, co się...

- Słuchaj mnie! - krzyknął, od razu żałując. - Posłuchaj, kochanie, przepraszam, nie mogę teraz tego wyjaśnić... ale musisz coś dla mnie

357

zrobić. - Zamilkł, czekając na odpowiedź, ale nie słyszał nic poza deszczem. -

Musisz wezwać mi samochód, tak jak wtedy w Waszyngtonie, pamiętasz? - Jeremy zezował, usiłując odczytać numer ulicy, na której się znajduje. Osiemdziesiąta Pierwsza. - Tym razem Nowy Jork. Powiedz, żeby zgarnęli mnie z... - Przestał mówić. To był publiczny telefon; każda rozmowa, wystarczająco podejrzana, by powiązać ją z akcją w Jemenie, mogła zostać podsłuchana. - Weź naszą rocznicę i dodaj sześćdziesiąt, okay?

- Dzień czy miesiąc? - zapytała, a Jeremy uśmiechnął się pierwszy raz od kilku tygodni.

- Dzień. Dzień plus sześćdziesiąt. Powiedz, żeby przyjechali do mnie na tę ulicę o... - znów zrobił krótką pauzę. Do czego, do cholery, miał się odnieść przy określeniu konkretnego miejsca? Osiemdziesiąta Pierwsza jest strasznie długa. - Wschodnia strona Central Parku. Ten numer i wschodnia strona Central Parku - powiedział Jeremy. Podejrzał, iż taksówkarz będzie wiedział, że Caroline mówi o Piątej Alei. - Zamów go najszybciej, jak się uda, dobrze kochanie? - Jeremy rozejrzał się po okolicy, jak tylko Caroline potwierdziła, że zrozumiała, co ma zrobić.

- Zadzwoń, jak tylko będę mógł - obiecał. - I... - wstrzymał na chwilę oddech

- Caroline, pamiętaj, że cię kocham, okay? Nie wierz im, bez względu na to, co będą ci o mnie mówili.

Rozłączył się i pobiegł z powrotem do parku, w nadziei że ukryje się tam do czasu, kiedy przyjedzie samochód, by go uratować.

\*

GRAND CENTRAL to ogrom marmuru, betonu i historii, jednak wszystko, co widziała



senator Elizabeth Beechum, wchodząc nań wejściem od Czterdziestej Drugiej ulicy, to życie przemykające jej przed oczami. Gdzieś między drzwiami a peronami znajdował się dowód na to, że wszystko, co o niej mówili, wszystko, o co była oskarżana, co o niej napisali, było kłamstwem.

Beechum pospiesznie zmierzała w kierunku hali głównej, zgodnie z tą niewielką garścią informacji, jakie udało jej się zebrać na temat Valeza. Odźwierny pokazał jej taśmy z kamery przy wejściu, na których zobaczyła wchodzącego i wychodzącego mężczyznę, więc poznała twarz tego, którego szukała. James przekazał jej dane, znajdujące się na prawie jazdy Yaleza, miała więc ogólny opis osoby. Dzięki telefonowi

358

do informacji kolejowej dowiedziała się, o której i z których peronów odjeżdżają pociągi - wiedziała, dokąd powinna iść. Jedyne, czego nie miała, to czas.

||'!|..•

JEREMY CZEKAŁ w kępie jałowców do momentu, aż czarny cadillac zatrzymał się na skrzyżowaniu. Szybko podbiegł do samochodu i wskoczył na tylne siedzenie.

- Telefon - to wszystko co powiedział do kierowcy. - Potrzebuję twojego telefonu.

SIRAD WIEDZIAŁA, że nigdy więcej nie będzie miała okazji być na siedemnastym piętrze. Zresztą teraz już i tak nie miała wyjścia. Wszystkie odpowiedzi, jakich potrzebowała, mogła zdobyć jedynie poprzez komputer w biurze Hamida.

Tuż po północy wstała od swojego biurka, pojechała windą na dwudzieste piętro i po prostu zeszła do sanktuarium Hamida. Jego komputer stał na biurku po prawej stronie. Laptop, którego używał do szczególnych operacji handlowych, stał po lewej.

- Borders Atlantic jest pełne tajemnic, a teraz wszystkie one są moje -

wyszeptała, przedrzeźniając Jordana Mitchella. Jego zakaz zamykania drzwi do własnych pokoi był niestosowny, ale dzisiejszej nocy zdecydowanie ułatwiał jej życie.

Sirad usiadła przy biurku w ciemności i włączyła obie maszyny. Delikatna poświata monitorów dawała jej wystarczającą ilość światła. Okay, ty draniu - myślała, stukając w klawiaturę - zobaczymy o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

• i.

MITCHELL ODSUNĄŁ SIĘ od komputera Russa, przekonany, że wszystko, nad czym tak ciężko pracował, nareszcie zaczyna współpracować. Finał tej gry właśnie się zaczął.

- Więc nadal wierzymy, że Arabowie w pełni ufają systemowi? -zapytał.

359

- Tak jest - powiedział Trask. - BBC nadaje reportaż o tym, jak w kryjówkach terrorystów w Kairze, Caracas i Manili znaleziono mnóstwo telefonów SBT.

Wszystkie trzy kanały kablówki jutro rano puszcza programy o planach FBI co do namierzania rozmów terrorystów, korzystających z tych aparatów. Wszyscy trzej kandydaci demokratów wydali oświadczenia potępiające Borders Atlantic - i pana, z imienia i nazwiska - za sprzedawanie Stanów Zjednoczonych. Z wyjątkiem senator Beechum, w chwili obecnej pan i Borders Atlantic są przedmiotem najzjadlejszej nienawiści w Ameryce.

- Dobrze - Mitchell zacisnął pięści, jak miał zwyczaj robić w ważkich chwilach.

- Co z poziomem zagrożenia?

- Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego ma zamiar podnieść poziom zagrożenia terrorystycznego do czerwonego, zgodnie z procedurą Matrix 1016. Nie mają jeszcze decyzji co do czasu wprowadzenia tego poziomu, więc na razie nie wiemy, czy stanie się to jutro, czy za kilka dni. Pojawiły się spekulacje, że takie posunięcie może wywołać znaczne spadki na giełdzie.

- Nieważne - machnął ręką Mitchell. - Na długo przed tym będziemy już bezpieczni...

- Chwila - przeszkodził mu Russ - firewall odnotował wtargnięcie do bazy szczególnych danych handlowych. Właśnie się pojawiło.

- Gdzie? - zapytał Mitchell. Jego głos zdradzał zaniepokojenie, nie, jak się można było spodziewać, zaskoczenie.

- Biuro Hamida. Ktoś używa jego komputera i hasła.

Mitchell zwrócił się do najtęższego finansowego umysłu swojej firmy.

- Widzisz, co ci mówiłem Hamid, tę twoją przyjaciółkę interesuje znacznie więcej niż tylko twój uśmiech.

•

W CIĄGU TRZECH MINUT od wejścia do biura Hamida Sirad uzyskała dostęp do danych

handlowych firmy, kont, informacji o źródłach finansowania firmy oraz wypłatach - wszystko, po co wysłał ją Hoch do mieszkania Hamida. Sirad skopiowała to, potrząsając głową na widok danych, które pokazywały całą prawdę o transakcjach zespołu Mitchella. Setki miliardów dolarów, klienci na Bliskim Wschodzie, w Europie, Azji, w samych Stanach. Jeśli dane te trafią do FCC, Mitchell będzie skończony. .!!!.:'

360

W czasie pracy w Borders Atlantic Sirad przyglądała się recepcji i działalności biura. Wiedziała, że jakiegokolwiek działania na komputerze Hamida uruchomią co najmniej jeden alarm. Być może ochroniarze z siedemnastego piętra już wiedzą, gdzie jest i co robi.

- No, dalej. - Wystukała na klawiaturze ostateczną komendę i wyjęła dyskietkę z napędu. Wyłączyła komputer. Żadnego dźwięku. Żadnych powiadomień na monitorze. Włożyła dyskietkę do kieszeni płaszcza i spieszenie wyszła z gabinetu. Jej internetowy kontakt jasno dał do zrozumienia, że czekają na te informacje, jak tylko je zdobędzie. Wszystko, czego teraz potrzebowała, to jedna z tych otwartych całą dobę kafejek internetowych, w której będzie mogła zaaranżować spotkanie gdzieś w mieście, w którego trakcie przekaże dyskietkę dalej. Wyszła na korytarz i wcisnęła przycisk, przywołujący windę jadącą w dół. Po mniej więcej nieskończoności drzwi się otworzyły i Sirad już miała wsiąść do windy, gdy zatrzymał ją męski głos.

- Pracujesz do późna?

W windzie stał Jordan Mitchell. Na jego twarzy malował się wyraz świadczący o tym, że wie wszystko. Poza nim w windzie byli Hamid, Trask i Dieter.

BEECHUM ZOBACZYŁA GO, jak stał jakieś pięćdziesiąt stóp od niej, przy automacie z kawą. Miał na sobie czapkę bejsbolówkę, sztruksowy płaszcz i kowbojki.

Zapamiętała go jako mniejszego, jednak nie miała wątpliwości, że to był on. Bez dwóch zdań. To było to zwierzę, które na nią napadło.

- Przepraszam, panie Valez, to nic osobistego - odezwała się, podchodząc do niego od tyłu. Mówiła spokojnie i łagodnie, z pewnością w głosie, dokładnie tak, jak on ostatnio mówił do niej.

Człowiek, który nawiedzał ją w snach przez ostatnie tygodnie, zdjął przykrywkę z

plastikowego kubka z kawą, nie odwracając się, po czym wsypał do kawy dwie porcje cukru. Beechum nie widziała jego tatuażu, ale dokładnie pamiętała uczucie, jakie towarzyszyło jej, kiedy jego wielkie ramię zaciskało się na jej gardle.

- Masz niezłe jaja, skoro chcesz to załatwić osobiście - to wszystko, co powiedział. Beechum stała za nim nie dalej niż na wyciągnięcie

361

ręki, ze świadomością, że jej prześladowca w każdej chwili może po prostu odwrócić się i złamać ją na pół. Ale on tego nie zrobi. To miejsce publiczne, a on był wojskowym. Wiedział, że nie miałby szans.

- Wystarczy mi nazwisko - oznajmiła. Senator okrążyła go i stanęła przed nim, tak by widzieć jego twarz. Miał jasne, niebieskie oczy i jasne brwi. - Muszę wiedzieć, kto wynajął cię, żeby mi to zrobić.

Valez spojrział na nią znad kawy, choć starał się ukryć, że na nią patrzy.

- Wiesz, że nie mogę tego powiedzieć. Nawet jeśli będę miał wyrzuty sumienia z powodu tego, co cię spotkało. Nie mogę ich wydać.

Czego nie śmiał powiedzieć, to tego, co go spotkało na Piątej Alei i że nigdy nie przestanie myśleć o tym, że mogą go znaleźć i sprzątnąć, gdy tylko zechcą.

- Nikt się nie dowie, że mam te informacje od ciebie - obiecała Beechum. Valez tylko się roześmiał. Wymownie spojrział na mężczyznę stojącego niedaleko nich: czarnoskórego, dobrze ubranego biznesmena. Najwyraźniej jego nadzór nie krępował Valeza. - Oni wiedzą wszystko - stwierdził.

- Jacy oni? - zapytała Beechum. Zaczęła się odwracać. - Do diabła z tym! Dowiem się sama.

Valez zatrzymał ją.

- Jesteś na tyle mądra, by tego nie robić - powiedział.

- Jestem wystarczająco mądra, by to skończyć! - warknęła, \* Mam twoje odciski palców, nagranie, na którym jest wszystko, co powiedziałaś i zrobiłaś.

- Więc cóż jeszcze mogę pani zaoferować, pani senator? ogląda na to, że ma pani wszystko do rozwiązania tej sprawy.

- Powiedz mi, kto za tym stoi.

- Chodźmy. - Valez upił łyk kawy i poprowadził ją wzdłuż peronu, z którego miał odjeżdżać jego pociąg.

- Pani wie, że nie mam tej informacji - oświadczył. - Tak to się u nas robi.

Cienie, sugestie, zaprzeczenia, kłamstwa. Jedyne gotówka jest prawdziwa. -

Wziął głęboki oddech, zastanawiając się przez chwilę nad swoim życiem. - Ja jestem podwykonawcą, proszę pani, w znacznie większym projekcie. Nie znam każdego szczegółu operacji.

- Musisz mieć jakieś kontakty - nalegała Beechum. Omal nie weszła w stojak z gazetami - na pierwszych stronach dzienników wciąż królowała na zmianę z Jordanem Mitchellem. '<

362

- Dzwonili do mnie, nigdy nie kontaktowałem się z nimi sam.

- A co z Phillipem? On był twoim kontaktem? Co ci powiedział?

- Jeśli masz na myśli człowieka, z którym wszedłem do twojego mieszkania, nie miałem zielonego pojęcia, kto to jest, nie wiedziałem, że to on mnie wprowadzi.

Wydawało się, że wie co robi. To był jedyny raz, kiedy go widziałem.

Zatrzymali się przy skraju peronu, a Beechum zauważyła, że czarnoskóry biznesmen śledził ich przez całą drogę. Teraz stał o wiele bliżej.

- Pomóż mi jakoś - prosiła. FBI zgodziło się na podsłuch, jeśli padnie nazwisko, ale jeśli nazwisko Marcellusa Parsonsa nie zostanie wymienione w czasie tej rozmowy, będzie nadal potrzebowała dowodu.

- Jest jedna sprawa. - Valez sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej jakieś dziwnie wyglądające urządzenie. Beechum rozpoznała je od razu - to był aparat Quantis z technologią SBT. Walczyła, by Borders Atlantic przestało je sprzedawać. Oddał jej aparat. - W ten sposób kontaktowali się ze mną... ale na twoim miejscu nie włączałbym tego telefonu. Niemal mnie nim zabili.

Jordan Mitchell? - zapytała samą siebie. Czy posunąłby się tak daleko, tylko po to, by zdobyć rynek telefonów komórkowych?

- Mówiłem prawdę, że to nic osobistego, pani senator - powiedział Valez. W tym momencie na peron wtoczył się pociąg i otworzyły się drzwi wagonu. - Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się od nich uciec, ale będę próbował. Może pani też powinna spróbować.

Valez odwrócił się, żeby odejść, ale Beechum złapała go za ramię.

- Nie możesz tak po prostu odejść i zostawić mnie z tym. Mężczyzna wyciągnął

rękę z uścisku senator. Obserwujący ich agent zbliżył się do pary.

- Powodzenia - krzyknął Valez.

Beechum odprowadziła wzrokiem ostatnią deskę ratunku dla swojego honoru, jak wchodzi do wagonu i znika w korytarzu. Czarnoskóry mężczyzna podszedł jeszcze bliżej.

\* | - |||| • | • | ||| \*  
| - |||| • | • | |||

JEREMY ODPRAWIŁ KIEROWCĘ i wysiadł z ciepłego, ciemnego cadillaca na skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Siódmej ulicy i Central Parku. Szybkie telefony do Musto i asystentki dyrektora dostarczyły mu wszystkich informacji, jakich potrzebował, by podjąć działania jeszcze

363

tej nocy. Według Musto, biuro w Nowym Jorku wprowadziło wobec niego procedurę BOLO - pozostawania w zamknięciu i zakazu udzielania mu pomocy i informacji, z pisemną notatką, w której znalazły się dane na temat wszystkich osób, z którymi Jeremy mógł się kontaktować, i wszystkimi sprawami, którymi się zajmował. Dobra wiadomość to ta, że Musto namierzył rozmowę Jesusa przez satelitę NMARSAT z telefonem w centrali Borders Atlantic, wykonanej z aparatu znajdującego się nie dalej jak dwie przecznice od miejsca, w którym obecnie był Jeremy. Mężczyzna nie wiedział, czego się spodziewać w pustym biurze po północy, ale w chwili obecnej musiał od czegoś zacząć, a to było najlepsze miejsce. Coś mu mówiło, że jeśli tylko dostanie się do biura, będzie mógł dobrać się do tego węzła gordyjskiego, który zacieśniał się wokół jego szyi.

M.,r.

SIRAD SIEDZIAŁA na niewygodnym krześle tuż przy szklanej ścianie, patrząc na panoramę miasta przysłoniętą ścianą deszczu. Jej ręce były skrępowane na plecach, a nogi przywiązane do nóg krzesła. Rozebrali ją do bielizny.

- Pytam jeszcze raz. Dla kogo pracujesz? - Do tej pory jedynie Mitchell się odzywał.

- Przecież wiesz, dla kogo pracuję. - Sirad starała się, by jej głos nie zdradzał strachu i bólu, jaki czuła na twarzy po kilku ciosach wymierzonych przez Dietera. Nie było kropli krwi - bił ją otwartą dłonią -wyjątkowe

upokorzenie jak dla kogoś, kto właśnie doznał całkowitej porażki. - Pracuję dla ciebie.

Plask!

Dieter znów ją spoliczkował. Tym razem wystarczająco mocno, by strużka krwi pociekła jej z ust.

- Teraz już chyba wiesz, że nie dla mnie. - Mitchell przybrał ton protekcyjny.

- Nikt, kto dla mnie pracuje, nie kradnie tego, co ty ukradłaś. Nikt nie śpi z moim dyrektorem finansowym, by zdobyć informacje. Żaden z moich pracowników nie zdradziłby moich tajemnic, szczególnie po tym, co osiągnęliśmy. Czy nie mówię prawdy, Sirad? - Mitchell podszedł do Dietera wystarczająco blisko, by dotknąć twarzy kobiety, wodził palcami po jej szyi, w dół, po ramieniu. Hamid stał tuż za nim, patrząc na nią wzrokiem pełnym pogardy. Nie zareagował,

364

kiedy Mitchell zsunął z ramienia Sirad ramiączko stanika. - Może i dostajesz czeki z Borders Atlantic, ale najwidoczniej nie pracujesz dla mnie. Kto cię tu przysłał?

Plask!

Tym razem Mitchell uderzył sam. Odszedł w tył, jakby cios zaskoczył jego samego. Patrzył na swoją dłoń, jak dziecko na nową i interesującą zabawkę.

- To nic nie da - odezwał się Trask.

- Zgadzam się. - Dieter kiwnął głową, przyglądając się Sirad jak ciekawski profesor. - Tracimy czas. Jeśli ona widziała nasze dane handlowe, pewnie wie też o Matriksie. A to znaczy, że mamy tu niezbyt ciekawą i trudną sytuację.

Mitchell zgodził się.

- Spróbujmy z wodą- powiedział. - Może to rozwiąże te jej małe, piękne usteczka.

JEREMY MIAŁ NIEWIELE CZASU, by wprowadzić swój plan w życie. W czasie rozmowy z

Musto przez komórkę w samochodzie otrzymał adres i dokładną lokalizację aparatu telefonicznego łączącego się za pomocą satelity NMARSAT, ale to i tak nic mu nie dawało. Jedyne, na co liczył w tym momencie, to to, że uda mu się zrobić wystarczająco dużo zamieszania, by ściągnąć Jordana Mitchella do budynku. Jeśli uda mu się dotrzeć do Mitchella w chwili, kiedy namierzy go FBI, być może

przyłapie Jesusa na gorącym uczynku. Być może uda mu się zatrzymać to, co Jesus określa jako Matrix 1016 - „Ślub” - zanim się zacznie.

Wejście do budynku nie przysporzyło mu problemów. Po prostu przeszedł przez obrotowe drzwi, podszedł do strażnika z nadwagą, który zamiast pilnować drzwi, bujał się na krześle, przysypiając. Jeremy ogłuszył go jednym ciosem.

Jeremy powinien czuć się winny z powodu nieuzasadnionego ataku, ale w tej chwili czysty cios był niemal uprzejmością. Umysł przemokniętego i wycieńczonego mężczyzny pracował teraz ociężale.

- Mitchell - wrzasnął Jeremy. Spojrzał na sufit znajdujący się czterdzieści stóp nad nim i zamachał do kamer ochrony, mając nadzieję, że ochroniarze szybko zareagują na wizytę nieproszonego gościa. - Mitchell! Skurwielu! Jestem!

365

Jeremy podszedł do biurka i wyciągnął listę telefonów należących do ochrony. Szybko przesuwając palcem w dół listy, szukając numeru, który podał mu Musto. Pokój 3171.

- Może być. - Jeremy wyciągnął glocka .10 z kabury ochroniarza i wetknął sobie za spodnie. - W takim razie idę do ciebie.

\* ' .:;! ;" ;:

MUSTAFA ALI MUHAMMAD czekał na wyznaczoną godzinę, by włączyć swój nowiutki telefon, który przyjechał do niego za pośrednictwem firmy DHL prosto z Paryża.

Instrukcje, jakie otrzymał, były proste, jednak dla pewności powtarzał je cały czas w myślach. Po włączeniu komputera wkłada do napędu płytę, którą dostał dziś rano. Wpisuje komendy i wykonuje kilka kliknięć myszą, dopóki monitor nie rozbłyśnie jasnym światłem.

- Allah huakbar - szeptał, zastanawiając się, jaki widok mieli jego koledzy - wojownicy džihadu - zza sterów samolotów, które uderzyły w budynki World Trade Center i Pentagon, oraz czy tak jak on po kolei powtarzali w myślach, co mają robić krok po kroku. Jego myśli skupiły się na dzielnych kolegach, którzy musieli stoczyć bitwę z pasażerami, zanim rozbili samolot na polach Pensylwanii. Wyobraził sobie, jak to jest, gdy cały świat zna twoje imię - muzułmańskie imię - i powtarza je wyjątkowo często.

Mustafa Ali Muhammad rozłożył się wygodnie w fotelu i patrzył przez ramię, czy



zaden z innych pracowników firmy sprzątajacej nie idzie w jego kierunku. -  
Cierpliwosci - powtarzal sam do siebie. Jego palce wodziły po najnowszym  
telefonie wyprodukowanym przez Borders Atlantic, dzieki ktoremu cala ta operacja  
byla mozliwa. - Na pewno zadzwonia. . :

• :...!

SIRAD TRZYMAŁA SIĘ DZIELNIE, jednak Trask okazał się o wiele silniejszy, niż na  
to wyglądał. Dieter i Hamid pomagali mu, przy-gważdżając ją do dużego  
konferencyjnego stołu i odciągając jej głowę niemal pionowo do tyłu,  
unieruchamiając kobietę jeszcze bardziej.

366

- To ci się na pewno nie spodoba - powiedział Dieter. Sirad zrozumiała, dlaczego  
nigdy jej nie lubił. Sadyści nie lubią nikogo.

Wlewał powoli gazowaną wodę do nosa kobiety, a ta zaczęła się krztusić.

Zachłysnęła się, a woda wdarła się głębiej do przełyku, wypychając bąbelki  
powietrza, następnie zaczęła zalewać jej płuca.

- Dla kogo pracujesz? - ponownie zapytał Mitchell. Wydawał się zaskoczony tym,  
jak okropnie wygląda przesłuchanie, jeśli jest się jego uczestnikiem. Badanie  
wariografem było znacznie czystsze i miłsze.

Sirad próbowała uwolnić ręce i nogi, ale uścisk trzymających ją mężczyzn był  
zbyt silny, kobieta nie miała szans na wyswobodzenie się. Czekala na kolejną  
dawkę wody, wiedząc, że ta lub następna spowoduje utratę świadomości.

- Jeszcze? - Dieter cały czas przyglądał się Sirad, na jego twarzy rysowało się  
dziwne podniecenie - wyraz, którego Mitchell nigdy wcześniej u niego nie widział.

- Tak, jeszcze - przytaknął Mitchell.

Dieter podniósł butelkę i zaczął wlewać wodę do nosa kobiety, kiedy...

- Odsuńcie się od stołu!

Mitchell nonszlancko odwrócił się w kierunku ogromnych drzwi do gabinetu, gdzie  
oświetlony jedynie światłem z foyer stał ociekający wodą, wyglądający na  
zdesperowanego mężczyznę. Celował w ich kierunku z olbrzymiego pistoletu. Widać  
było, że z chęcią by go użył.

- Ach, agent specjalny Waller! - Mitchell niemal krzyknął.

A Jeremy stał. Po prostu stał w drzwiach, pozwalając, by woda wielkimi kroplami

ściekała z jego płaszcza prosto na antyczny perski dywan. Wygląd pokoju zachwyił go. Światła, drewno, ściany niemal całkowicie pokryte różnymi rodzajami strzelb i trofeów myśliwskich. Kobieta na stole - kobieta, którą znał z jemeńskiej wyprawy.

Mitchell ruszył w jego kierunku z ramionami rozchylonymi na boki.

- Zajęło ci to więcej czasu, niż przypuszczałem - powiedział. - Miałeś problem z wejściem do środka?

- Stój - nakazał Jeremy. Kiwnął lufą pistoletu w kierunku stołu, na którym leżała Sirad, dając do zrozumienia wszystkim mężczyznom obecnym w pokoju, że chce się rozprawić także z nimi. - Odsuńcie się od niej - rozkazał. Podszedł do Sirad i lewą ręką poluzował sznury, którymi miała skrupowane ręce. Kobieta zeskoczyła ze stołu i ruszyła

367

w kierunku kupki ubrań. - Chcę wiedzieć, dlaczego, ty zdradziecki draniu - mówił Jeremy głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Chcę wiedzieć, co próbujesz zrobić z moim cholernym życiem.

- Słyszałem, agencie Waller, że zadaje pan mnóstwo pytań. Być może to naturalne dla osób robiących to, co pan. - Mitchell skinął w kierunku Traska. - Niestety, nie mamy zbyt wiele czasu.

Trask sięgnął po pilota od zestawu telewizyjnego.

- Nie ruszaj się - zawołał Jeremy, ale Trask i tak nacisnął przycisk. Orzechowe drzwi szafy rozsunęły się, ukazując ścianę pełną monitorów i sprzętu audio, na której śledzili wyprawę Jeremy'ego do Jemenu.

- Powiedziałem... - zanim Jeremy skończył, ktoś wszedł do pokoju przez drzwi za jego plecami. Dostrzegł postać kątem oka i zaczął się odwracać, ale głos zatrzymał go. To był głos mężczyzny, głos, który wcześniej wydawał mu rozkazy.

- Wystarczy, Waller. Rzuć broń - polecił Jesus.

Jeremy mrugnął, usiłując odzyskać ostrość widzenia, którą nadal zakłócała woda ściekająca mu z włosów. Jak, do cholery, Jesus mnie tu namierzył? - zastanawiał się.

- Nie mam zamiaru rzucać czegokolwiek - odpowiedział Jeremy. Skierował broń prosto w twarz Mitchella. Lufa pistoletu była tak blisko prezesa Borders

Atlantic, że na pewno czuł on zapach oleju do czyszczenia broni. - Co zrobisz? Strzelisz jednemu ze swoich podwładnych w plecy? Może i uszło ci morderstwo w Jemenie, ale nie myśl, że ten numer przejdzie tutaj.

Nagle błysk, przeszywający ból wdarł się do głowy Jeremy'ego. Miał wrażenie, że stoi na wprost ogromnego głośnika, który działa, ale nie słyhać żadnego dźwięku. Zatoczył się z bólu, powoli potrząsnął głową i osunął się na kolana. Broń upadła na dywan kilkanaście centymetrów przed nim.

- Teraz możemy tę broń dołączyć do kolekcji na ścianie, panie Waller - stwierdził Mitchell. - Technologia zostawia broń daleko w tyle. - Ruszył z zamiarem podniesienia glocka Jeremiego, ale Jesus szybko podniósł pistolet. Ból w głowie Jeremy'ego powoli mijał, przenosząc się na oczy - mała strużka krwi spływała mu po nosie. - Hoch, przyprowadź ich - nakazał Mitchell wystarczająco głośno, by osoba znajdująca się za drzwiami mogła go usłyszeć.

Otworzyły się boczne drzwi i weszło przez nie trzech mężczyzn i kobieta. Sirad była pierwszą, na której twarzy odmalowało się zdziwienie.

368

O mój Boże - pomyślała. Pierwszy z mężczyzn, którzy weszli, to był Hoch.

- Państwo pozwolą, że przedstawię naszych gości - powiedział Mitchell. Zaczął gestykulować, jakby był na spotkaniu biznesowym. - To jest Charles Hoch, pułkownik oddelegowany do CIA. - Hoch stał niedaleko ściany z trofeami, na jego twarzy nie malowały się żadne emocje. Obok niego stał mężczyzna, którego Jeremy znał z gazet i telewizji, z reportaży dotyczących skandalu Beechum.

- To Craig Slater z Rady Bezpieczeństwa Narodowego - kontynuował Mitchell. - Może znacie go lepiej jako domniemaną ofiarę senator Stanów Zjednoczonych Elizabeth Beechum, której na pewno nie muszę przedstawiać.

Jeremy i Sirad przyglądali się tej scenie z niedowierzaniem. Beechum stała naprzeciwko nich, tuż obok Slatera, który był cały i zdrowy.

- I w końcu pozwólcie, że przedstawię Phillipa Matthews'a - prawnika z Waszyngtonu o nieskazitelnym życiorysie. - Mitchell przerwał na chwilę, by rozejrzeć się po osobach zebranych w pokoju. - Wydaje mi się, że jesteśmy już wszyscy. Dobra robota, panie Trask.

Kiwnął w kierunku swojego szefa ochrony, który trzymał teraz w ręku pilota do

telewizorów. Nacisnął przycisk, a monitory wybuchły szarawym obrazem, przedstawiającym twarz mężczyzny wyglądającego na szaleńca. Nikt nie znał jego nazwiska. Był to Mustafa Ali Mu-hammad - sprzątac, który miał rozpocząć Matriksa 1016.

- Wiem, że niektórzy z was mają mnóstwo pytań - mówił dalej Mitchell. - Odpowiedzi na nie otrzymacie za chwilę. Najpierw musimy dokończyć pewną sprawę. Trask włączył dźwięk, pozwalając wszystkim na słuchanie rozmowy telefonicznej pomiędzy sprzątacem a niezidentyfikowanym głosem po drugiej stronie linii.

- Dzielny i pracowity bohaterze Al-Kaidy - mówił głos po angielsku z arabskim akcentem. - Nadszedł czas, Muhammad. Nadszedł czas, by rozprawić się z tymi amerykańskimi świniami.

- Dlatego nas nienawidzą - powiedział Mitchell. - Przez pieniądze. Stany Zjednoczone to największa potęga w historii nie dzięki sile militarnej, ale dzięki bogactwu.

Jak na sygnał, Hamid podszedł do komputera i zaczął szybko wpisywać coś na klawiaturze. Wszyscy inni obserwowali monitory, usiłując odnaleźć sens wydarzeń, których byli świadkami.....,

369

- Dlatego mamy tyle problemów z Al-Kaidą i nie możemy z nimi skończyć - wyjaśniał Mitchell. - Rekrutują ludzi dzięki ideologii - fundamentalizmowi, który nie ma granic geograficznych. Mogą namierzyć zwykłego obywatela Stanów Zjednoczonych i sprzedać go za cenę nienawiści i strachu. Nazwijcie ich śpiochami lub tajnymi agentami, jak chcecie: rezultat będzie taki sam. Chcą nas skrzywdzić i nikomu nie udaje się ich znaleźć.

- On rozpoczyna cały proces - wtrącił Hamid. Dyrektor finansowy zdawał się przyklejony do monitora. - Namierzam jego klawiaturę i on już...

- Właśnie się rozłączył-przerwał mu Dieter. Wszyscy odwrócili się w kierunku ściany monitorów, która zamigotała, a następnie zrobiła się cała czarna. -

Kamera działa tylko wtedy, kiedy ktoś jest na linii.

- W porządku, nie mamy zbyt wiele czasu. - Mitchell przerwał na chwilę swoje wyjaśnienia. - Kontynuujmy.

Jeremy uniósł się, ale musiał opierać się o ścianę, aby znowu nie upaść.

Zauważył, że Jesus opuścił pistolet, który trzymał, ale nadal był bardziej zainteresowany jego osobą niż całą resztą wydarzeń, które działy się wokół nich.

- Mam! - zawołał Hamid podniecony. Postukał w klawiaturę, przerwał na chwilę i znowu wbił kilka komend. - Wszystkie międzynarodowe operacje przechodzące przez Bank Federalny zostały zdeponowane na naszych kontach. W tej chwili jest pan najbogatszym człowiekiem w historii świata, panie Mitchell.

- Dobrze. Zabij go - rozkazał Mitchell.

Bez żadnych pytań czy dalszych wyjaśnień Dieter wyciągnął swój telefon Quantis i wybrał numer. Ekrany znów się rozświeciły, ukazując twarz sprzątacza Muhammada, jak odbiera telefon.

- Halo? - odezwał się. Po chwili ciszy, dzięki kamerze wbudowanej w telefon, wszyscy zebrani w gabinecie usłyszeli łomot upadającego ciała Muhammada. Telefon po prostu wysunął mu się z ręki, bezdźwięcznie spadając na podłogę, pod biurko, tak że aparat fotograficzny w telefonie zdążył zrobić zdjęcie martwej twarzy Muhammada. Krew wypływała mu z nosa i uszu.

- Kim, do cholery, jesteście? - zapytał Jeremy, odwracając się w kierunku Mitchella. Widział już wystarczająco dużo.

- A oto odpowiedzi, które obiecywałem - powiedział Mitchell. -panie Hoch, może pan nam w tym pomoże. - v> ,

370

Wszyscy spojrzeli w kierunku czwórki osób stojących przy ścianie.

- Trzydzieści siedem lat temu - zaczął Hoch - młody student college^ Dartmouth złożył dokumenty aplikacyjne do CIA. Zatrudniłszy go, sfinansowaliśmy jego studia MBA na Harvardzie, przeszkoliliśmy na Farmie i wysłaliśmy na roczną misję do Peru, by zdobył niezbędne doświadczenie operacyjne. To był tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy rok - czas, kiedy prywatne interesy i rządowe agencje dopiero zaczynały współpracę, w imię ogólnego dobra. W tym przypadku firmą współpracującą była ITT - pierwsza międzynarodowa korporacja. Podczas strajku generalnego w Chile, gdzie ITT kładła sieć telekomunikacyjną, i naszej wojny z komunizmem obie strony rozpoczęły przynoszącą sukcesy współpracę. Oni otrzymywali pieniądze, a my niezbędne wsparcie operacyjne, potrzebne, by odsunąć od władzy SaWadora Allende.

Hoch rozejrzał się po pokoju, by upewnić się, że wszyscy go słuchają, po czym kontynuował swoją opowieść.

- Kiedy Zarząd Operacji zaczął werbować ochotników, chłopak z Dartmouth wykorzystał swoją szansę i w ciągu sześciu miesięcy zamienił czterysta tysięcy dolarów w mały, acz zyskowny interes zajmujący się dostarczaniem drogą powietrzną zaopatrzenia dla i od wywiadu. Coś na kształt Air America, ale na znacznie mniejszą skalę. Jednak to, co zaczął Grumman Goose, dwóch sprzedawców i sekretarka, szybko przekształciło się w jedną z prężniej działających firm eksportowo--importowych w Ameryce Południowej. W ciągu roku kupili kolejny samolot i zatrudnili dodatkowych dwadzieścia siedem osób. Rok później firma była już trzy razy większa. Pod koniec lat osiemdziesiątych przedsiębiorstwo zmieniło branżę, koncentrując się na telekomunikacji, finansach, a także, co w ówczesnych czasach było odbierane jako szaleństwo, na technologii internetowej; zmiana ta przyniosła ogromny sukces, głównie dlatego, że jego nowy dyrektor miał nosa tak do interesów, jak do działalności wywiadowczej. Ta druga okazała się na wagę złota. Szef firmy zaproponował rządowi Stanów Zjednoczonych coś, za co każda agencja na świecie była gotowa zapłacić miliardy - dostęp do informacji. Zatrudniając sto dwadzieścia siedem tysięcy pracowników, posiadając firmy zależne operujące na rynku finansów, dostaw, produkcji; kontrolując handel w stu siedemnastu krajach, jego firma otworzyła drzwi, przez które nikt nigdy nie miał okazji jeszcze przejść. - Hoch z dumą spojrzął w lewą stronę. - Ten człowiek to Jordan Mitchell.

371

Jeremy i Sirad spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Twierdzisz, że jedna z największych korporacji operujących w Stanach współpracuje z CIA? - zapytał Jeremy. - Dlaczego, do cholery, CIA sprzedaje bezpieczeństwo komunikacyjne kraju temu...

Sirad zrozumiała niemal w tym samym momencie co Jeremy. Jej twarz nadal nosiła ślady tego, co jej robili wcześniej, ale teraz wszystko zaczynało mieć sens.

- Wiedział, że ich wykorzystują.

Beechum przytaknęła. Najwyraźniej została wtajemniczona w całą sprawę w drodze z dworca.

- To jedyny sposób, by ich zatrzymać - powiedziała senator. - Al-Kaida przygotowuje ataki latami. Wywiad dowiedział się z podsłuchów, że al-Bin planował atak na Zarząd Rezerw Federalnych - pod kryptonimem Matrix 1016 - ale nie wiadomo, co dokładnie planują. Atak chemiczny na Wall Street? Brudną bombę w banku rezerw w Nowym Jorku? Cyberprzestępstwa? Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

Trask wtrącił się do rozmowy.

- Jordan Mitchell zgodził się na ochotnika, by zostać głównym podejrzanym i znienawidzonym przez cały kraj, po to, by go ratować.

- Ale co z pieniędzmi? - dopytywał się Jeremy. Nadal nie rozumiał szczegółów. - Ukradliście pieniądze terrorystom.

- Na chwilę - wyjaśnił Hamid. - kiedy Al-Kaida zaczęła robić przelewy, nie mogliśmy ich zatrzymać, więc skierowaliśmy wszystkie procesy na nasze zabezpieczone serwery. Już wszystko wróciło tam, gdzie powinno być. Nikt poza nami nie dowie się o tym, co się wydarzyło.

- Nami? - zapytał Jeremy. - Co masz na myśli, mówiąc nami?

- To już inny świat, agencie Waller - powiedział Mitchell. - Wymaga innego podejścia do terroryzmu. To, co widział pan w tym pokoju, to fundament dla zupełnie nowego sposobu walki: bez odcisków palców, z możliwością całkowitego zaprzeczenia sprawie, z natychmiastową reakcją na wydarzenia - jednostki uczestniczące w tych akcjach są tak tajne, że nawet prezydent wie o nich jedynie tyle, ile musi.

Jeremy widział we wzroku Jesusa, że był zamieszany w całą sprawę od samego początku, reszta dołączyła po drodze.

- Potrzebowaliśmy trzech osób spośród dwustu osiemdziesięciu milionów z odpowiednimi predyspozycjami i pozycją, by ruszyć tę

372

sprawę. - Mitchell wstał i podszedł do swoich najnowszych partnerów: Jeremy'ego, Sirad i senator Beechum. - PhiUip i inni pomogli nam w dopracowaniu szczegółów, ale potrzebowaliśmy agentów we władzy, w wywiadzie i polityce. Wam trojgu się udało. Gratuluję.

- To była jakaś selekcja? - Jeremy nadal domagał się dokładnych wyjaśnień. -

Zrujnowaliście nam życie z powodu jakiejś pieprzonej rozmowy kwalifikacyjnej?  
- Zrujnowaliśmy! - przedrzeźniał go Mitchell. - Ledwo nam się to udało, agencie Waller. To, co zostało wam odebrane, dostaniecie z powrotem w trakcie śniadania. To już specyfika życia. Wszystko sprowadza się do możliwości, otrzymanej szansy i tego, co z nią zrobicie.

Mitchell pozwolił, by trójka jego kandydatów na agentów rozważyła jego propozycję. Tego typu decyzje wymagały wiary w powodzenie projektu, nie logiki.  
- Jesteście patriotami. Przeszliście wszystkie testy - powiedział. -Widzieliście, co możemy wam zaoferować. Wyobraźcie sobie, ile możemy zdziałać, pracując razem.

#### Faza IV

Wtem napatoczył się jej stolik o trzech nogach, cały z grubego szkła, na którym leżał tylko malutki, złoty kluczyk (...) zobaczyła nisko zawieszoną kotarę, której przedtem jakoś nie zauważyła, a za nią były małe drzwiczki, wysokie może na piętnaście cali: spróbowała włożyć klucz do zamka i ku jej radości okazało się, że pasuje!

1 V ' Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów

#### Rozdział XXIII

JEREMY WALLER SIEDZIAŁ z tyłu najnowszego modelu ca-dillaca STS. Leżąc za jego plecami gazeta opisywała dwie niezmiernie ciekawe sprawy. Na pierwszej stronie literami tak dużymi, że można je było przeczytać nawet po ciemku, widniał tytuł: BEECHUM WMANEWROWANA W PUŁAPKĘ!

Craig Slater znalazł się i sprawiał wrażenie, że całkiem już wyzdrowiał po fatalnym upadku, jakiego doznał podczas archeologicznej wyprawy do Turcji. Źródła twierdziły, że FBI bada, w jaki sposób doszło do pomyłki, która sprawiła, że powiązano osobę Slatera z krwią znaną w domu senator Beechum, a policja waszyngtońska przyznała, że może nigdy nie dojść, kto ponosi odpowiedzialność za napad na panią senator w jej własnym domu.

Na stronie 3A widniał inny artykuł, o szczycie G8, który przebiegł gładko, bez zakłóceń, pomimo że wywiad spodziewał się, choć zdołał mu w porę przeszkodzić, ataku Al-Kaidy na Zarząd Rezerw Federalnych. I chociaż FBI i CIA próbowały sobie przypisać zasługi, to kilku dociekliwych reporterów odkryło, że znaczącą rolę odegrała tu nowa jednostka antyterrorystyczna.



Zadzwoiła komórka Jeremy'ego.

- Halo? - odezwał się, odbierając telefon.

- Tatusiu, chciałam zadzwonić, żeby ci powiedzieć dobranoc. - To była Maddy.

- Dobranoc, kochanie - odpowiedział jej Jeremy. Nie dotarł do domu na czas, aby ułożyć ją do snu; rzadko kiedy już to robił. Nowy koordynator kierujący naborem do HRT przykręcił światło i skinął głową kierowcy. Szczupły Pakistańczyk wyjechał zza zakrętu i wolno minął ambasadę Egiptu. Mignął dwukrotnie światłami i odjechał, jak gdyby nic się nie stało.

- To zadanie o nieokreślonym czasie trwania - wyszeptał Jeremy. - Wasz następny cel to...

Myślisz, że już udowodniłeś, co jesteś wart, ale nigdy tak nie jest.

O Autorze

Christopher Whitcomb jest autorem Zimnego strzału, pamiętnika -z piętnastu lat pracy w FBI, gdzie był snajperem w HRT, jednostce antyterrorystycznej, następnie uczył metod przeprowadzania przesłuchań w Akademii Treningowej FBI, a ostatnio dyrektorem do spraw wywiadu w Grupie Reagowania Kryzysowego (Critical Incident Response Group). Występował w dziesiątkach programów radiowych i telewizyjnych, pisał dla „GQ” i „New York Times Magazine” a jako analityk do spraw terroryzmu stacji NBC wypowiadał się na najróżniejsze tematy związane z wywiadem. Whitcomb za wykazanie się niezwykłą dzielnością w czasie pełnienia obowiązków służbowych otrzymał przyznawany przez FBI medal „Za Odwagę”.

TEGO SAMEGO AUTORA

Christopher Whitcomb